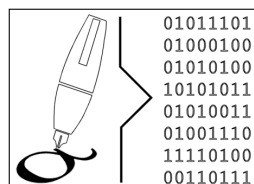


Michael Crichton

Linia Czasu

Przełożył: Andrzej Leszczyński



Tytuł oryginału:

TIMELINE.

Data wydania polskiego: 1999 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1999 r.

Wszystkie wielkie mocarstwa przyszłości będą imperiami umysłu.

Winston Churchill, 1953

Jeżeli się nie zna historii, nie zna się niczego.

Edward Johnston, 1990

Nie jestem ciekaw przyszłości. Interesuje mnie przyszłość przyszłości.

Robert Doniger, 1996

Wstęp

NAUKA POD KONIEC WIEKU

Sto lat temu, u schyłku XIX wieku, naukowcy byli przekonani, że dysponują precyzyjnym fizycznym opisem naszej rzeczywistości. Jak ujął to Alastair Rae, „pod koniec ubiegłego stulecia wszystko wskazywało, iż znane są już fundamentalne prawa rządzące wszechświatem materialnym”¹. Wielu uczonych twierdziło nawet, że badania w zakresie fizyki zostały prawie zakończone; nie spodziewano się żadnych wielkich odkryć, trzeba było jedynie dopracować niektóre szczegóły.

W drugiej połowie ostatniej dekady zaobserwowano jednak kilka zaskakujących zjawisk. Roentgen odkrył promienie zdolne przenikać ludzkie ciało i z powodu tych zdumiewających właściwości nazwał je promieniami X. Dwa miesiące później Henri Becquerel zauważył przypadkiem, że blenda uranowa emituje coś, co zaczernia kliszę fotograficzną. A w roku 1897 odkryto elektron, będący nośnikiem energii elektrycznej.

Fizycy sądzili, że nowe odkrycia da się jakoś wytłumaczyć w ramach istniejących teorii. Nikt nie podejrzewał, iż w ciągu nadchodzących pięciu lat zrodzi się zupełnie nowa koncepcja budowy wszechświata, a wraz z nią powstaną rewolucyjne technologie, które w XX wieku niewyobrażalnie zmienią codzienne życie.

Gdyby w roku 1899 powiedzieć jakiemuś fizykowi, że za sto lat satelity krążące po niebie będą przysyłać do naszych domów ruchome obrazy, a bomby o ogromnej mocy zagrożą bytowi wszystkich istot żywych na ziemi; że do walki z chorobami będzie się stosować antybiotyki, przeciw którym zarazki chorobotwórcze zaczną wynajdować własną broń; że kobiety uzyskają prawo głosu i będą stosować pigułki w celu kontroli urodzin; że codziennie miliony ludzi będą latać w powietrzu maszynami zdolnymi do startu i lądowania bez udziału człowieka, a podróż nad Atlantykiem odbywać się będzie z prędkością trzech tysięcy kilometrów na godzinę; że ludzie dotrą na Księżyc, a potem przestaną się nim interesować; że przez mikroskop będzie można zobaczyć pojedyncze atomy, a przez kieszonkowy telefon bez drutu, ważący zaledwie kilkadziesiąt gramów, rozmawiać z osobą oddaloną o tysiące kilometrów; i że większość tych cudów będzie uzależniona od urządzeń o rozmiarach znaczka pocztowego, skonstruowanych na

¹Alastair I.M. Rae *Quantum Physics: Illusion or Reality* (Cambridge University Press, Cambridge 1994). Patrz także: Richard Feynman *The Character of Physical Law* (MIT Press, Cambridge, Massachusetts 1965) oraz A.I.M. Rae *Quantum Mechanics* (Hilger, Bristol 1986).

podstawie nowej teorii zwanej mechaniką kwantową — gdyby o tym wszystkim powiedziec fizykowi, z pewnością uznałby nas za szaleńców.

Wielu tych wynalazków nie sposób było przewidzieć w 1899 roku, ponieważ według uznawanych powszechnie teorii naukowych wydawały się niemożliwe. Inne, na przykład samolot, nie kłóciły się z teoriami, ale skala ich wykorzystania całkowicie przechodziła pojęcie ówczesnych specjalistów. Konstrukcja maszyny latającej była do ogarnięcia myślą, lecz obecność w powietrzu dziesięciu tysięcy samolotów równocześnie przekraczała wszelkie wyobrażenia.

Śmiało zatem można powiedzieć, że u progu XX wieku nawet najtęższe umysły świata nauki nie miały najmniejszego pojęcia o tym, co nadchodzi.

* * *

Teraz, u progu XXI stulecia, fizycy znów są przekonani, że natura świata materialnego została dostatecznie wyjaśniona, i nie oczekują żadnych rewolucyjnych odkryć. Smutne doświadczenia powstrzymują ich przed publicznym wygłaszeniem podobnych opinii, lecz sposób myślenia nie uległ większej zmianie. Niektórzy posuwają się do stwierdzenia, że cała nauka zbliża się ku końcowi, ponieważ nie zostało już nic istotnego do odkrycia².

Sto lat temu nic nie zapowiadało nadchodzących zmian i tak samo jest teraz, u schyłku XX wieku nie wiemy, co przyniesie przyszłość. Najbardziej perspektywiczna wydaje się technika kwantowa. Od kilku lat podejmowane są próby opracowania nowych technologii wykorzystujących podstawowe cechy rzeczywistości wewnątrzatomowej, która może zrewolucjonizować nasze poglądy w kwestii tego, co jest możliwe, a co nie.

Technika kwantowa stoi w jawnej sprzeczności z naszym zdroworozsądkowym pojmowaniem świata. W jej ramach urządzenia działają same, bez potrzeby zasilania, a wiele rzeczy da się znaleźć, nawet jeśli się ich nie szuka. Komputer o niezwyklej mocy obliczeniowej może istnieć wewnątrz jednej cząsteczki. Dane przemieszczają się nieustannie między dwoma punktami bez żadnych połączeń i sieci informacyjnych. Odległe obiekty można badać, nie mając z nimi jakiegokolwiek styczności. Maszyny matematyczne wykonują obliczenia w innych czasoprzestrzeniach, a dobrze znana z powieści fantastycznonaukowych teleportacja jest czymś powszednim, wykorzystywanym na wiele różnych sposobów.

W latach dziewięćdziesiątych badania w dziedzinie techniki kwantowej zaczęły przynosić pierwsze rezultaty. W 1995 roku udało się przesłać supertajną

²John Horgan *The End of Science* (Addison-Wesley, Nowy Jork 1996). Patrz także: Giinther Stent *Paradoxes of Progress* (W.H. Freeman, Nowy Jork 1978).

kwantową wiadomość na odległość sześćdziesięciu kilometrów, co sugeruje, że w nadchodzącym stuleciu może powstać ogólnoswiatowa kwantowa sieć informatyczna w rodzaju Internetu. W Los Alamos fizycy zmierzili grubość ludzkiego włosa za pomocą promienia laserowego, który wcale nie padał na obiekt, a jedynie „mógł być” na niego skierowany. Ten zdumiewający „kontrrzeczywisty” efekt zachęca do dalszych badań nad pomiarami nieingerencyjnymi, nazywanymi krótko „znajdowaniem czegoś bez szukania”.

Wreszcie w 1998 roku, równocześnie w trzech laboratoriach, w Innsbrucku, Rzymie oraz w Kalifornii³, zademonstrowano kwantową teleportację. Fizyk Jeff Kimble, kierownik zespołu badawczego z Kalifornijskiego Instytutu Technicznego, zapowiedział, że już niedługo kwantową teleportację da się zastosować do obiektów materialnych. „Stan kwantowy każdego bytu można przenieść do innego bytu (...). Wiemy już, jak tego dokonać”⁴. Nie odpowiedział wprost na pytanie, czy możliwa jest teleportacja ludzi, dał jednak do zrozumienia, że można spróbować na przykład z przenoszeniem bakterii.

Kwantowe osobliwości, sprzeczne z logiką i zdrowym rozsądkiem, nie przyciągnęły dotąd uwagi szerokiej opinii publicznej, ale wkrótce to nastąpi. Prawdopodobnie już w pierwszym dziesięcioleciu nowego wieku większość fizyków z całego świata zajmie się wybranymi aspektami techniki kwantowej⁵.

* * *

Nie należy się zatem dziwić, że już w połowie lat dziewięćdziesiątych kilka korporacji podjęło badania w tej dziedzinie. W 1991 roku powstało Fujitsu Quantum Devices. Dwa lata później IBM powołał specjalny zespół badawczy pod kierunkiem Charlesa Bennetta⁶. Wkrótce ich śladem podążyło ATT i inne firmy, a także wyższe uczelnie, na przykład Cal Tech — Kalifornijski Instytut Techniczny, oraz instytucje rządowe, jak chociażby laboratorium w Los Alamos. Nie pozostała również w tyle firma badawcza o nazwie ITC. Dzięki współpracy z na-

³Dik Bouwmeester i in. Experimental Quantum Teleportation „Nature” nr 390 (! XII 1997) str. 575-579.

⁴Maggie Fox Spooky Teleportation Study Brings Future Closer Reuters 22 X 1998. Wypowiedź Jeffreya R. Kimble’a wg A. Furusawa i in. Unconditional Quantum Teleportation, „Science” nr 282 (23 X 1998), str. 706-709.

⁵Colin P. Williams, Scott H. Clearwater Explorations in Quantum Computing(Springer-Verlag, Nowy Jork 1998). Patrz także: Gerard J. Milburn Schrodinger’s Machines (W. H. Freeman, Nowy Jork 1997) oraz The Feynman Processor (Perseus, Reading 1998).

⁶C.H. Bennett i in. Teleporting an Unknown Quantum State via Dual Classical uniiEinstein-Podolsky- Rosen Channels, „Physical Review Letters” nr 70 (1993), str. 1895.

ukowcami z Los Alamos ITC osiągnęło znaczne rezultaty już w pierwszej połowie ostatniego dziesięciolecia, a w 1998 roku jako pierwsze znalazło praktyczne zastosowanie rozwijającej się błyskawicznie techniki kwantowej.

Zarząd firmy utrzymuje, że rewelacyjne wynalazki przyniosą ludzkości same korzyści, jednak rezultaty tak zwanej ekspedycji ratunkowej dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. W czasie wyprawy jeden z jej członków zginął bez śladu, drugi odniósł poważne obrażenia. Dla młodych naukowców, którzy na ochotnika wzięli udział w ekspedycji, pionierska technologia kwantowa, zwiastun XXI wieku, okazała się zgubna.

Zdarzenia roku 1357 są typowym przykładem ówczesnych wojen lokalnych. Sir Oliver de Yannes, angielski hrabia szlachetnego serca, miał pod swoją pieczęcią miasta Castelgard i La Roque nad rzeką Dordogne. Ten „pożyczony władca” rządził łaskawie i sprawiedliwie, dlatego był uwielbiany przez lud. W kwietniu ziemie sir Olivera najechała hulaszcza zgraja dwóch tysięcy brigandes, zdeprawowanych rycerzy dowodzonych przez niejakiego Arnauta de Cervole, wydalonego z zakonu mnicha znanego jako Arcykapłan. Po spaleniu Castelgard Cervole zorganizował wyprawę na pobliski klasztor Sante-Mčre, wyciął w pień zakonników i zdewastował osławiony młyn wodny nad Dordogne. Później ruszył w pościg za sir Oliverem do zamku La Roque, gdzie wywiązała się krwawa bitwa.

Oliver bronił swego bastionu z męstwem i odwagą. Ówczesni kronikarze przypisują jednak liczne bitewne sukcesy hrabiego jego doradcy, niejakiemu Edwardowi de Johnesowi. Niewiele wiadomo o tym człowieku. Wokół jego postaci, jak wokół Merlina, narosło mnóstwo legend. Mawiano, że potrafił zniknąć w błysku światła. Kronikarz Audreim podaje, iż Johnes pochodził z Oksfordu, według innych źródeł miał być mediolańczykiem. Podróżował z licznym gronem uczniów, prawdopodobnie należał więc do wędrownych mędrców, oferujących swe rady każdemu, kto tylko chciał za nie zapłacić. Bez wątpienia zaliczał się do ekspertów w zakresie artylerii i stosowania prochu strzelniczego, będących w tamtej epoce absolutną nowością. . .

Ostatecznie hrabia Oliver stracił swój warowny zamek, gdy zdrajca otworzył najeźdźcom ukryte przejście i wpuścił rycerzy Arcykapłana za mury. Podobne akty zdrady były rzeczą powszechną wśród skomplikowanych intryg owych czasów. . .

Na podstawie Wojny stuletniej we Francji M.D. Backes, 1996

Corazón

*Jeśli kogoś nie szokuje teoria kwantowa,
to znaczy, że jej nie rozumie.*

Niels Bohr, 1927

Nikt nie rozumie teorii kwantowej.

Richard Feynman, 1967

Dan Baker żałował, że zgodził się jechać tym skrótem. Krzywił się boleśnie, kiedy jego nowy mercedes S500 sedan podskakiwał na wybojach bitej drogi prowadzącej w głąb rezerwatu Indian Nawaho w północnej Arizonie. Krajobraz stawał się coraz bardziej dziki. Na wschodzie wyrastały brunatnoczerwone mesas, na zachodzie aż po horyzont ciągnęła się pustynia. Przed godziną minęli nędzną wioskę przycupniętą w cieniu skalnego urwiska — kilka brudnych chat z kościółkiem i drewnianą szkołą. Od tamtej pory nie widzieli nawet ogrodzenia dla bydła. Nie spotkali żadnego samochodu. Dochodziło południe i słońce prażyło niemiłosiernie. Baker, czterdziestoletni inżynier budownictwa z Phoenix, zaczynał się coraz bardziej niepokoić, tym bardziej że jego żona Liz, architekt i artystyczna dusza, nie przejmowała się takimi drobiazgami jak zapasy benzyny czy wody. Tymczasem bak auta był w połowie pusty, a silnik grzał się niebezpiecznie.

— Jesteś pewna, że dobrze jedziemy? Liz pochyliła się nad mapą i powiodła palcem wzdłuż wyznaczonej trasy.

— Wszystko na to wskazuje. Według przewodnika powinniśmy skrócić pięć kilometrów za kanionem Corazón.

— Minęliśmy Corazón dwadzieścia minut temu. Musieliśmy przeoczyć drogowskaz.

— Myślisz, że można przeoczyć taką faktorię?

— Skąd mogę wiedzieć? — burknął, wpatrując się w krajobraz za szybą. — tutaj nic nie ma. Może jednak zmienisz zdanie? Słynne dywany Nawahów można kupić w Sedonie. Mają duży wybór wzorów. . .

— To marne podróbki — rzuciła pogardliwie.

— Na pewno są prawdziwe, skarbie. Zresztą dywan to tylko dywan.

— Gobelin.

— Niech ci będzie, gobelin. — Westchnął ciężko.

— To nie to samo — powiedziała Liz z naciskiem. — W Sedonie można

kupić tylko imitacje dla turystów, z akrylu, nie z wełny. Chcę mieć taki gobelin, jaki sprzedają w rezerwacie.

— Jak sobie życzysz.

I tak nie potrafił zrozumieć, po co im jeszcze jeden dywan — czy też gobelin — Nawahów, skoro mają ich już kilkanaście. Liz rozkładała je po całym domu, ale część leżała upchnięta na dnie szafy.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Powietrze nad drogą falowało od żaru, cały teren wyglądał jak srebrzysta powierzchnia jeziora. Pojawiały się na niej miraże, domy i sylwetki ludzi, które szybko znikwały, kiedy podjechało się bliżej. Byli na pustkowiu.

Baker znowu westchnął.

— Naprawdę musieliśmy przeoczyć skrzyżowanie.

— Przejedziemy jeszcze parę kilometrów — zawyrokowała jego żona.

— Ile?

— Nie wiem. Kilka.

— Ile konkretnie, Liz? Musimy zdecydować, jak długo jeszcze będziemy się zagłębiać w pustynię.

— Przez dziesięć minut.

— Dobra. Dziesięć minut.

Wpatrywał się we wskaźnik poziomu paliwa, kiedy Liz nagle uniosła dłoń do ust i krzyknęła:

— Dan!

Szybko przeniósł wzrok na drogę. Mignęła mu sylwetka ubranego na brązowo mężczyzny stojącego na poboczu. Coś łupnęło z prawej strony auta.

— Boże! — zawołała Liz. — Potraćeś go!

— Co takiego?

— Przejechałeś człowieka!

— Niemożliwe. Trafiliśmy kołem na jakąś dziurę.

Spojrzał w lusterko. Mężczyzna nadal stał na poboczu, zaraz jednak zniknął w gęstym obłoku pyłu unoszącego się za samochodem.

— Nie mogłem go potraścić, bo ciągle tam stoi.

— Dobrze widziałam, Dan. Uderzyłeś go.

— Wykluczone, skarbie.

Jeszcze raz spojrzął w lusterko. Nie zobaczył nic poza chmurą kurzu.

— Lepiej zawróćmy — uznała Liz.

— Po co?

Baker nie miał żadnych wątpliwości, że żona się myli. Na pewno nie potraćili tego człowieka. Ale gdyby tak się stało, gdyby był choćby lekko ranny, czekała ich długa przerwa w podróży. Nie wróciliby do Phoenix przed nocą. Mężczyzna na tym odludziu mógł być tylko Indianinem. Trzeba byłoby go odwieźć do szpitala

lub przynajmniej do najbliższego miasta, czyli do Gallup leżącego sporo w bok od ich trasy...

— Wydawało mi się, że już wcześniej chciałeś zawrócić.

— Owszem.

— W takim razie wracajmy.

— Wołałem się z tobą nie spierać, Liz.

— Nie opowiadaj mi bajek, dobrze?

Baker westchnął głośno i zahamował.

— W porządku, już zawracam.

Manewrował ostrożnie, żeby się nie zakopać w sypkim czerwonym pyłe na poboczu. Wreszcie wykręcił i ruszył z powrotem.

* * *

— Matko Boska...

Gwałtownie zatrzymał samochód i wyskoczył zza kierownicy. Aż zabrakło mu tchu, kiedy zwałił się na niego słoneczny żar. Musiało być co najmniej pięćdziesiąt stopni.

Kiedy kurz wreszcie opadł, Dan dostrzegł człowieka leżącego przy drodze. Był to starzec po siedemdziesiątce. Z wysiłkiem próbował dźwignąć się na nogi. Miał skołtunioną brodę, rozległą łysinę i bladą cerą. Nie przypominał Indianina z plemienia Nawaho. Jego dziwaczna brązowa szata opadała fałdami aż do kostek. Chyba jakiś wędrowny kaznodzieja, pomyślał Baker.

— Nic się panu nie stało? — zapytał, ujmując go pod ramię.

Starzec zaniósł się kaszlem.

— Nie. Nic mi nie jest — wycharczał.

— Chce pan wstać? — Baker poczuł ogromną ulgę; nie zauważył nigdzie śladów krwi.

— Zaraz.

— A gdzie pański samochód? — Rozejrzał się dookoła.

Mężczyzna znów zakasłał, głowa opadła mu bezwładnie, jakby wypatrywał czegoś w piachu.

— Dan, on chyba jest chory — powiedziała Liz.

— Na to wygląda.

Starzec sprawiał wrażenie, jakby był w głębokim szoku. Baker rozejrzał się po raz drugi. We wszystkie strony, jak okiem sięgnąć, rozciągało się tylko pustkowie, rozmywające się w oddali w rozedrganą mgiełkę.

Nigdzie nie było drugiego samochodu.

— Jak on się tu dostał?

— Czy to ważne? Musimy go zawieźć do szpitala.

Baker chwycił nieznajomego pod pachy i pomógł mu stanąć na nogi. Wyczuł, że dziwne ubranie jest grube i sztywne, jakby z filcu. Ale mężczyzna wcale nie był spocony. Przeciwnie, skórę miał zimną, prawie lodowatą. Zawisł na Danie całym ciężarem i bezwolnie dał się wyprowadzić na drogę. Liz otworzyła tylne drzwi.

— Mogę chodzić, mogę brodzić — wymamrotał starzec.

— Tak, oczywiście.

Baker ostrożnie posadził go w środku. Nieznajomy położył się na skórzanym siedzeniu i podciągnął kolana do brzucha. Pod grubą sukmaną miał zwykłe ubranie, wytarte dżinsy, kraciatą flanelową koszulę, na nogach adidas. Dan zatrzasnął drzwi. Liz usiadła na swoim miejscu. Zawahał się z ręką na klamce. Jak starzec znalazł się na pustyni? I dlaczego nie pocił się pod grubym okryciem? Jakby przed chwilą wysiadł z samochodu. Może zasnął za kierownicą? Może wóz zjechał z drogi i rozbił się na pustyni? Może został ktoś we wraku?

Z tylnego siedzenia doleciał stłumiony głos:

— Dajże spokój, rzuć to z boku. Zaraz wracaj, czeka praca, i to jaka. . .

Dan przeszedł na drugą stronę drogi. Zauważył małą, głęboką dziurę w nawierzchni. Już chciał pokazać ją żonie, ale się rozmyślił.

W pyle na poboczu nie znalazł żadnych śladów opon, za to wyraźne były ślady zostawione przez mężczyznę. Prowadziły prosto na pustynię. Wychodziły z odległej o trzydzieści metrów niecki, części naturalnego zagłębienia. Poszedł po śladach. Stanął na krawędzi dołu i zajrzał do środka. I tam nie było samochodu. Spomiędzy kamieni wyśliznął się przestraszony wąż piaskowy. Danowi aż ciarki przeszły po plecach.

Na stromym zboczu, metr od krawędzi coś połyskiwało w słońcu. Kucnął, żeby się lepiej przyjrzeć. Była tam mała biała kostka ceramiczna. Przypominała fragment porcelanowego izolatora elektrycznego. Podniósł ją. Uderzyło go, że jest zimna. Może wykonano ją z tego nowego materiału pochłaniającego ciepło? — pomyślał.

Obejrzał ją dokładniej. Przy krawędzi zauważył ciemne litery ITC. Z boku znajdował się okrągły przycisk. Co by się stało, gdyby go nacisnął? Zerknął na boki i szybko to zrobił.

Nic nie zadziało.

Wcisnął jeszcze raz. Znow nic.

Szybkim krokiem wrócił do samochodu. Starzec spał na tylnym siedzeniu. Głośno chrapał. Liz siedziała ze wzrokiem utkwionym w mapę.

— Najbliższe miasto to Gallup — oznajmiła.

— Wiem — odparł, uruchamiając silnik.

* * *

Wrócili na autostradę i skręcili na południe. Teraz mogli przyspieszyć. Nieznajomy ciągle spał. Liz obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem:

— Dan. . .

— Tak?

— Widziałeś jego ręce? Nie. A co? Spójrz na palce.

Baker szybko zerknął przez ramię. Palce mężczyzny były zaczerwienione do linii środkowych stawów.

— Pewnie poparzył je na słońcu.

— Same palce? Czemu nie całe dłonie?

Dan wzruszył ramionami.

— Zresztą wcześniej nie były takie czerwone — dodała Liz. — Wyglądały normalnie, kiedy wsadzałeś go do samochodu.

— Może po prostu nie zwróciłaś na nie uwagi, skarbie.

— Zwróciłam uwagę, bo pomyślałam, że ma zrobiony manikiur. Po co takiemu staruchowi na pustyni wymanikiurowane paznokcie?

— Rzeczywiście — mruknął Baker, spoglądając na zegarek. — Ciekawe, ile trzeba będzie czekać w szpitalu. Pewnie kilka godzin. — Westchnął. Autostrada biegła prosto aż po horyzont.

W połowie drogi do Gallup starzec się obudził. Zakasłał i mruknął:

— Tam jesteśmy? Gdzie jesteśmy? Jak się pan czuje? — zapytała Liz.

— Czuje? We łbie kołuje.

— Świetnie, po prostu świetnie. Jak panu na imię?

Starzec zamrugął.

— *Quanto va piana* do włóczęgi skłania.

— Ale jak się pan nazywa?

— Tak samo dzięki gamom.

— Wszystko rymuje — wtrącił Baker.

— Zauważyłam.

— Widziałem program w telewizji. Rymowanie może oznaczać schizofrenię.

— Rymowanie to czasu zgrywanie — podsumował nieznajomy i zaczął śpiewać na cały głos. Niemal ryczał na znaną melodię Johnny'ego Denvera:

Quanto va piana do włóczęgi skłania,
w rodzinne strony gna
tą starą czarną, brukowaną drogą,
Quanto va piana do tułaczki pcha. . .

— O rety... — jęknął Dan.
— Proszę pana — zaczęła Liz. — Czy może pan powiedzieć, jak się nazywa?
— Z niebem zabawa, grozi niesława. Drobne osobliwości nie tworzą parzystości.

Baker westchnął.

— To jakiś czubek, skarbie.

— W innych okolicznościach nazwałabym go dosadniej... — Liz nie chciała się jednak poddać. — Słyszysz mnie pan? Jak mamy się do pana zwracać?

— Mówcie mi Gordon! — huknął starzec. — Może być Gordon, może być Stanley. I tak zostanie w rodzinie.

— Ale... Proszę pana...

— Nie męcz go, Liz — mruknął Baker. — Może się trochę uspokoi. Przed nami jeszcze kawałek drogi.

Nieznajomy znów ryknął na cały głos:

— Do rodzinnych stron, stara czarna magia, przykra jak nostalgia, a wieśniacza piana do włóczęgi skłania... — Umilkł niespodziewanie, lecz po chwili znów zaczął śpiewać.

— Boże — jęknęła Liz. — Długo będziemy musieli to znosić?

— Lepiej nie pytaj.

* * *

Uprowadził telefonicznie izbę przyjęć, kiedy więc zatrzymał mercedesa przed kremowo-czerwonym portalem oddziału urazowego szpitala Mc Kinleya, sanitariusze czekali już z noszami na wózku. Starzec dał się na nich położyć, ale gdy zaczęli zapinać pasy zabezpieczające, ożywił się i krzyknął:

— Precz z łapami! Precz z pasami!

— To dla pańskiego bezpieczeństwa — wyjaśnił sanitariusz.

— To twoje zdanie, mnie nie omamisz! Bezpieczeństwo to ostatnie schronienie łajdaków!

Baker patrzył z podziwem, jak sanitariusze wprawnie radzą sobie z niesfornym pacjentem. Położyli go delikatnie, lecz stanowczo, i zapięli pasy. Nie mniejsze wrażenie zrobiła na nim energiczna, drobna, ciemnowłosa kobieta w białym fartuchu, która wyszła z budynku.

— Nazywam się Beverly Tsosie — powiedziała, wyciągając rękę na powitanie — jestem lekarzem dyżurnym.

Odprowadziła spojrzeniem szamoczącego się i protestującego mężczyznę, którego sanitariusze powieźli do izby przyjęć. Z głębi korytarza doleciał jeszcze

głośniejszy okrzyk:

— *Quanto va piana* do włączęgi skłania. . .

Wszyscy siedzący w poczekalni patrzyli na dziwnego pacjenta. Baker zauważył dziesięcioletniego chłopca z rękaw gipsie, który spojrział na mężczyznę z wyraźnym zainteresowaniem i szepnął coś do matki.

Starzec zawył przeciągle:

— Dooo roodziinnych strooon! . . .

— Od jak dawna jest w takim stanie? — zapytała doktor Tsosie.

— Od początku, od kiedy go znaleźliśmy.

— Był spokojny tylko wtedy, kiedy spał — dodała Liz.

— Stracił przytomność?

— Nie.

— Skarżył się na nudności? Wymiotował?

— Nie.

— Gdzie go państwo znaleźli? Za Corazón?

— Tak. Osiem, może nawet dwanaście kilometrów za kanionem.

— To zupełnie pustkowie.

— Zna pani te okolice?

— Wychowałam się tam — odparła z uśmiechem. — W Chinle.

Sanitariusze z pacjentem zniknęli za wahadłowymi drzwiami oddziału. Krzyki nieco przycichły.

— Proszę tu poczekać — powiedziała doktor Tsosie. — Wrócę, gdy tylko będziemy mieli wstępne rozpoznanie. Trochę to potrwa. Mogą państwo przez ten czas zjeść lunch.

* * *

Beverly Tsosie pracowała w szpitalu uniwersyteckim w Albuquerque, od pewnego czasu jednak przyjeżdżała na dwa dni w tygodniu do Gallup, żeby opiekować się swoją babką. Chcąc trochę dodatkowo zarobić, brała dyżury na Oddziale urazowym szpitala McKinleya. Podobały jej się nowoczesne wnętrza, kremowo-czerwona kolorystyka i atmosfera typowego szpitala rejonowego, dobrze służącego miejscowej społeczności. I polubiła Gallup, znacznie mniejsze od Albuquerque. Czuła się swojsko wśród współplemieńców.

Zazwyczaj na urazówce panował spokój. Pojawienie się nadzwyczaj ożywionego, krzykliwego pacjenta wzbudziło więc zainteresowanie. Kiedy Tsosie weszła za zasłonkę, mężczyzna był już rozebrany z grubej brązowej szaty. Sanitariusze zdejmowali mu adidasy. Wciąż się szamotał, aż trzeba było mocniej zapiąć pa-

sy bezpieczeństwa. Nie bez wysiłku ściągnięto z niego dzinsy. Flanelowa koszula rozerwała się podczas zdejmowania.

Nancy Hood, siostra oddziałowa, orzekła, że nie ma się czym przejmować, bo koszula i tak była już zniszczona. Przez lewą pierś ciągnęło się ukosem długie, byle jak zszyte rozdarcie.

— Pewnie sam ją naprawiał. Powinien poprosić jakąś kobietę, zrobiłaby to dużo lepiej. Nieprawda. — Sanitariusz podniósł koszulę do światła. — W tym miejscu wcale nie była zszywana, materiał jest cały. Dziwne, kraciasty wzór nie pasuje do siebie, dolna część jest większa od górnej. . .

— Tak czy inaczej, nie ma czego żałować — powtórzyła oddziałowa. Rzuciła koszulę na podłogę i zwróciła się do Tsosie: — Chcesz go od razu zbadać?

Pacjent był zbyt rozgorączkowany.

— Nie, zaczekam. Załóż mu wejścia na obu rękach. Przeszukaj kieszenie, może ma jakieś dokumenty. W przeciwnym razie trzeba będzie zdjąć mu odciski palców i przefaksować je do Waszyngtonu, żeby sprawdzili w centralnym rejestrze.

* * *

Dwadzieścia minut później Tsosie zajęła się chłopcem, który złamał rękę podczas meczu szkolnej drużyny futbolowej. Nosił okulary i wyglądał nad wiek poważnie, ale sprawiał wrażenie szczególnie dumnego z typowo sportowej kontuzji.

Nancy Hood zajrzała za parawan i powiedziała:

— Przeszukaliśmy tego faceta.

— I co?

— Nie znaleźliśmy niczego, ani portfela, ani kart kredytowych, ani kluczy. Miał przy sobie tylko to.

Podawała lekarce złożoną kartkę papieru. Przypominała wydruk komputerowy. Zagęszczenia kropek układały się w regularny geometryczny wzór. Na dole było napisane: „kla. ste. mere”.

— Klastemere? Mówi ci to coś?

Nancy pokręciła głową.

— Według mnie to psychopata.

— Nie mogę dać mu nawet środków uspokajających, dopóki się czegoś o nim nie dowiem. Zabierzcie go na prześwietlenie głowy. Sprawdzimy, czy nie ma żadnych urazów albo wylewów.

— Zapomniałaś, że na radiologii jest remont? Na zdjęcie trzeba czekać całymi dniami. Nie lepiej wsadzić go pod rezonans magnetyczny? Sprawdzimy wszystko

za jednym zamachem.

— Masz rację. Zróbcie tak — poleciła Tsosie.

Nancy zawróciła już, lecz po chwili się cofnęła:

— Mam dla ciebie niespodziankę. Jest tu Jimmy, ten policjant.

* * *

Baker nie mógł usiedzieć na miejscu. Jak podejrzewał, musieli czekać w izbie przyjęć. W szpitalnym barze zjedli lunch — meksykańskie pierożki z mięsem w ostrym sosie paprykowym. Gdy wrócili, czekał już na nich młody policjant. Po krótkiej rozmowie wyszli na parking. Policjant dokonał szczegółowych oględzin samochodu. Wodził nawet delikatnie dłonią po błotnikach i drzwiach z prawej strony. Dan poczuł się jak przestępca. Chciał zaprotestować, ale się rozmyślił. Wrócili do poczekalni. Zadzwonili do domu i zawiadomili córkę, że będą w Phoenix później, niż planowali, może nawet dopiero nazajutrz rano.

I czekali. Koło czwartej Baker poszedł do recepcji, żeby zapytać o stan pacjenta.

— Jest pan krewnym? — spytała pielęgniarka.

— Nie, ale...

— W takim razie proszę zaczekać w poczekalni. Lekarz niedługo z panem porozmawia.

Usiadł obok Liz i westchnął ciężko. Zaraz jednak wstał, podszedł do okna i wyjrzał na swój samochód. Policjanta nie było już na parkingu, za wycieraczką łopotała na wietrze jakaś kartka. Baker nerwowo zabębnił palcami o parapet. W takich miasteczkach zawsze spotyka się jakieś kłopoty, wszystko się może zdarzyć. Im bardziej przedłużało się oczekiwanie, tym niezwyklejsze myśli przychodziły mu do głowy. Starzec wpadł w śpiączkę i nie będą mogli wyjechać z Gallup, dopóki się nie obudzi. Zmarł i zostaną oskarżeni o morderstwo. Nie było dowodów, ale szeryf mógł ich wzywać na przesłuchania co najmniej przez cztery dni.

Wreszcie ktoś się zjawił w poczekalni. Nie była to jednak drobna lekarka, lecz policjant. Miał najwyżej dwadzieścia parę lat, starannie wyprasowany mundur i długie włosy. Na plakietce nad kieszonką widniało nazwisko JOHN WAUNEKA. Baker przez chwilę się zastanawiał, z jakiego plemienia pochodzi. Prawdopodobniej z Hopi albo Nawaho.

— Państwo Baker? — zapytał uprzejmie Wauneka i przedstawił się. — Rozmawiałem przed chwilą z dyżurną lekarką. Skończyła wstępne badania. Właśnie ogląda wyniki rezonansu magnetycznego. Nic nie wskazuje na to, aby tego człowieka potrafił samochód. Obejrzałem państwa wóz. Nie ma żadnych wgnieceń

ani zadrapań. Pewnie trafiliście na dziurę w drodze i pomyśleliście, że wpadł wam pod koła. Tamta droga jest dość kiepska.

Dan spojrzął na żonę. Patrzyła policjantowi w oczy.

— Wyjdzie z tego? — zapytała.

— Tak, raczej tak.

— Więc możemy już wracać do domu? — wtrącił Dan.

— Nie oddasz tej rzeczy, którą znalazłeś, kochanie?

— Ach, tak. — Baker wyciągnął z kieszeni ceramiczną kostkę. — To leżało na pustyni, niedaleko miejsca, gdzie go znaleźliśmy.

Policjant obrócił biały prostopadłociąg w palcach.

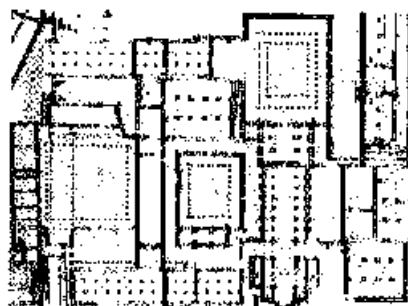
— ITC — odczytał na głos. — Gdzie dokładnie pan to znalazł?

— Jakieś trzydzieści metrów od drogi. Pomyślałem, że ten człowiek jechał samochodem, usnął za kierownicą i się rozbił. Przeszedłem więc kawałek po śladach, ale nie znalazłem wozu.

— Coś jeszcze?

— Nie, to wszystko.

— Dziękuję. — Wauneka wsunął kostkę do kieszeni i na chwilę zastygł bez ruchu. — Byłbym zapomniał. — Wyjął złożoną kartkę i rozpostarł ją ostrożnie. — Znaleźliśmy przy nim tylko to. Widzieli państwo wcześniej ten wydruk?



Baker zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie skupiskom czarnych kropek na papierze.

— Nie — odparł. — Nie mam pojęcia, co to jest.

— To nie państwo dali mu ten schemat?

— Nie, skąd.

— I nie wie pan, co może przedstawiać?

— Już mówiłem, nie mam pojęcia.

— A ja chyba się domyślam — powiedziała w zamyśleniu Liz.

— Naprawdę? — zainteresował się policjant.

— Tak... Pozwoli pan?... — Ostrożnie wzięła wydruk z dłoni Wauneki.

Baker znowu westchnął. W jego żonie obudziła się zawodowa ciekawość.

Oglądała tajemniczą kartkę pod światło, obracała pod różnymi kątami. Dan świetnie to znał. Usiłowała za wszelką cenę zamaskować swój błąd — przecież nawet policjant przyznał, że musieli trafić kołem na dziurę w drodze i na pewno nie potracili człowieka. To z jej winy spędzili prawie cały dzień w szpitalnej poczekalni. Dlatego teraz starała się uzasadnić stratę czasu, skierować uwagę męża na inne sprawy.

— Tak — powiedziała w końcu. — Już wiem. To architektoniczny przekrój kościoła.

Baker popatrzył na kartkę i spytał podejrzliwie:

— Kościoła?

— Oczywiście, to rzut poziomy. Widzisz? Tu jest dłuższe ramię krzyża, nawa główna. . . To bez wątplenia kościół, Dan. Na całym wydruku punkty układają się we współśrodkowe prostokąty. Wygląda to jak. . . Tak, to może być nawet klasztor.

— Klasztor? — powtórzył zdumiony Wauneka.

— Tak mi się zdaje. Świadczy o tym także podpis. Pierwsza część, „kla.”, to prawdopodobnie skrót od klasztoru. Jestem przekonana, że to poziomy rzut jakiegoś klasztoru.

Podążyła wydruk Waunece. Baker popatrzył na zegarek.

— Naprawdę musimy już jechać.

— Oczywiście. — Indianin pospiesznie schował kartkę. — Dziękuję za pomoc i przepraszam, że musieli państwo tak długo czekać. Życzę miłej podróży.

Dan objął żonę w tali i bez słowa pociągnął w kierunku drzwi. Wyszli na zalanym słońcem parking. Nie było już tak gorąco. Nad wschodnim horyzontem unosiło się kilka dużych balonów. Gallup słynęło jako ośrodek baloniarstwa. Podeszli do samochodu. Kartka za wycieraczką okazała się reklamówką przecenionej turkusowej biżuterii z pobliskiego sklepu. Dan zgniótł ją w dłoni i szybko usiadł za kierownicą. Liz zajęła swoje miejsce i z rękoma skrzyżowanymi na piersiach patrzyła przed siebie. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

— W porządku. Przepraszam — powiedziała tonem, który sugerował, że niczego więcej nie powinien oczekiwać.

Cmoknął ją w policzek.

— Nic się nie stało. Dobrze zrobiłaś. Uratowaliśmy facetowi życie.

Uśmiechnęła się lekko.

Baker wyjechał z parkingu i ruszył w kierunku autostrady.

Po dawce łagodnych środków nasennych mężczyzna usnął. Maskę tlenową zasłaniała mu pół twarzy. Oddychał powoli, rytmicznie. Beverly Tsosie konsultowała niezwykle przypadki z Joe Nieto, internistą. Pochodził z plemienia Apaczów Mescalero i słynął z trafnych diagnoz.

— Biały mężczyzna koło siedemdziesiątki. Przywieziony w stanie skrajnego rozkojarzenia, dezorientacji i nadzwyczajnego ożywienia. Stwierdziłam nieznaczny arytmii serca i lekko podwyższony poziom enzymów, poza tym żadnych urazów.

— Na pewno nie został potrącony przez samochód?

— Na pewno. Ciekawe, że znaleziono go błąkającego się na pomoc od kantonu Corazón. To zupełnie pustkowie, nic tam nie ma w promieniu dwudziestu kilometrów.

— I co z tego?

— Facet nie ma żadnych objawów udaru słonecznego. Ani odwodnienia, ani ketozy, ani nawet zaczerwienionej skóry.

— Myślisz, że ktoś go porzucił? Miał dość dziadka nie rozstającego się z pilotem od telewizora?

— Owszem, tak przypuszczam.

— A co się stało z jego palcami?

— Nie wiem. To wygląda na brak krążenia. Palce są całkiem zimne, coraz bardziej sinieją, zachodzi nawet obawa gangreny. Bez względu na przyczynę, ich stan wyraźnie się pogorszył od czasu przyjęcia do szpitala.

— Cukrzyca?

— Nie.

— Może choroba Raynauda?

— Nie.

Nieto pochylił się i uważnie obejrzał palce starca.

— Sinieją tylko same końce. To objaw dystalny.

— Zgadza się — przyznała Tsosie. — Gdyby nie przywieziono go z pustyni, powiedziałabym, że ma odmrożenia.

— Sprawdzałaś poziom metali ciężkich? Może to rezultat jakiegoś zatrucia, na przykład kadmem lub arsenem? To by wyjaśniało nie tylko stan palców, ale także demencję.

— Pobrałam próbki krwi, ale poziom metali ciężkich oznaczają w szpitalu uniwersyteckim w Albuquerque. Na wyniki trzeba będzie poczekać co najmniej trzy dni.

— Masz jego kartę? Wiesz o nim cokolwiek?

— Nic. Poinformowaliśmy biuro osób zaginionych i przesłaliśmy faksem odciski palców do centralnego rejestru w Waszyngtonie. Odpowiedź dostaniemy najwcześniej za tydzień.

— Mówisz, że był ożywiony, hałaśliwy? Co wykrzykiwał?

— Proste rymowanki, w kółko to samo. Coś o Gordonie i Stanleyu. A najczęściej powtarzał: *Quanto va piana do włóczęgi skłania*.

— *Quanto?* To po włosku?

Tsosie wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, nie znam włoskiego.
— Moim zdaniem to włoskie słowa. . .
Za ich plecami rozległ się cichy głos:
— Przepraszam. . .

Popatrzyli przez otwarte drzwi na chłopca w okularach, który siedział w poczekalni razem z matką.

— Chirurg jeszcze nie przyszedł, Kevin — powiedziała Tsosie. — Bez niego nie nastawimy ci ręki.

— On na pewno nie mówił po włosku — odparł dzieciak. — Powtarzał: kwantowa piana.

— Słucham?

— Kwantowa piana. Mówił o kwantowej pianie.

Oboje podeszli do chłopca. Nieto wyglądał na rozbawionego.

— A co to jest ta kwantowa piana? Chłopiec śmiało spojrzął lekarzowi w oczy.

— Na podstawowym, subatomowym poziomie struktura czasoprzestrzeni nie jest regularna, liniowa. Są tam pęcherzyki, jak w pianie. A ponieważ występują na poziomie kwantowym, nazwano to kwantową pianą.

— Ile masz lat? — spytał internista.

— Jedenaście.

— On dużo czyta — wyjaśniła matka chłopca. Jego ojciec pracuje w Los Alamos.

Nieto pokiwał głową.

— I do czego służy ta kwantowa piana?

— Do niczego. Po prostu taka jest struktura wszechświata, oczywiście na poziomie subatomowym.

— Dlaczego ten facet miałby o niej mówić?

Bo jest znanym fizykiem — rzekł Wauneka, który właśnie pojawił się w drzwiach poczekalni. W ręku trzymał kartkę. — Otrzymałmśmy depeszę dotyczącą niejakiego doktora Josepha Trauba, siedemdziesięcioletniego fizyka ciał stałych, specjalisty od materiałów nadprzewodzących. Dziś około południa jego zaginięcie zgłosiła macierzysta firma, ITC Research z Black Rock.

— Black Rock? To chyba gdzieś koło Sandii? — Od miasteczka w środkowej części Nowego Meksyku dzieliło ich kilka godzin drogi. — Jakim cudem dostał się do Corazón w Arizonie?

— Nie wiem — odparła Beverly — ale. . .

Przerwał jej brzęczyk alarmowy.

* * *

Wszystko stało się błyskawicznie. Jimmy Wauneka był oszołomiony. Starzec uniósł głowę z poduszki, popatrzył na nich szeroko otwartymi oczyma i zwymiotował krwią. Wnętrze maski tlenowej zrobiło się czerwone, strużki krwi ściekły na pościel i zabryzgały ścianę. Mężczyzna charczał, krztusił się.

Beverly i Nieto skoczyli w jego stronę. Wauneka pobiegł za nimi.

— Przekręć mu głowę na bok! — zawołał internista, dopadając wezglowia łóżka. — Obróć go!

Tsosie jednym ruchem zerwała maskę tlenową. Usiłowała przekręcić głowę pacjenta, lecz stawiał wyraźny opór. Dusił się, oczy wychodziły mu z orbit. Wauneka podbiegł z drugiej strony. Chwycił oburącz głowę mężczyzny i przekręcił. Potem ujął go pod ramię i obrócił na bok. Starzec odkaslnął krwią.

— Odsysacz! — krzyknęła Beverly, wskazując rurkę wiszącą na ścianie.

Wauneka odwrócił się. Podtrzymując jedną ręką pacjenta, drugą chciał sięgnąć po odsysacz, ale pośliznął się w kałuży krwi na podłodze. Musiał złapać się poręczą łóżka, żeby nie stracić równowagi.

— Potrzebna pomoc! — zawołała Tsosie. — Gdzie ten odsysacz?!

Przykłęka i wepchnęła mężczyźnie dwa palce w usta, chcąc wyciągnąć mu język. Zanim Wauneka stanął pewnie na nogach, Nieto zdjął już końcówkę odsysacza z haczyka. Podał ją policjantowi i rzucił się do zaworu. Beverly błyskawicznie rozdzieliła plastikowe rurki i włożyła je do ust i nosa pacjenta. Ruszyła pompa, przezroczyste wężyki natychmiast wypełniły się krwią. Starzec zakasłał, chrapliwie wciągnął powietrze. Z każdą chwilą wyraźnie słabł.

— To mi się nie podoba — powiedziała Tsosie. — Może lepiej. . .

Postukujący rytmicznie monitor pracy serca zaczął jednostajnie piszczeć.

— Cholera! — jęknęła Beverly. Miała zakrwawiony fartuch i bluzkę. — Elektrody! Dajcie elektrody!

Nieto trzymał już końcówki defibrylatora. Wauneka odsunął się, robiąc miejsce Nancy Hood. Poczul nieprzyjemny zapach; puściły zwieracze konającego. Policjant zrozumiał, że pacjent umiera. Nieto umieścił elektrody na piersi mężczyzny.

— Gotowe.

Wyładowanie elektryczne szarpnęło bezwładnym ciałem, aż zadzwoniły szklane fiolki na półce nad łóżkiem. Alarmowy brzęczyk monitora piszczał nadal.

— Zaciągnij zasłonki, Jimmy — poleciła Beverly.

Wauneka obejrzał się i zobaczył w otwartych drzwiach sali chłopca w okularach, który przyglądał się reanimacji z rozdziawionymi ustami. Szybko zasunął

zasłonkę.

* * *

Godzinę później zmęczona Beverly Tsosie usiadła przy biurku w rogu sali, żeby wypisać akt zgonu. Przynajmniej w tym dokumencie nie zostaną żadne wolne miejsca, pomyślała. Zaczęła wypełniać kolejne rubryki. Do sali wszedł Wauneka. Przyniósł jej kubek gorącej kawy.

— Dzięki — mruknęła. — Mógłbyś poszukać numeru telefonu do ITC? Muszę ich zawiadomić.

— Sam ich powiadomię — rzekł, kładąc dłonie na jej ramionach. — Miałaś ciężki dzień.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, przysunął telefon na skraj biurka, otworzył notes i wybrał numer. Uśmiechał się do niej, czekając na połączenie.

— ITC Research — zgłosiła się operatorka centrali.

— Mówi James Wauneka z departamentu policji w Gallup. Dzwonię w sprawie waszego zaginionego pracownika, Josepha Trauba.

— Proszę chwilę poczekać, połączę pana z kierownikiem działu personalnego.

Przez parę minut nic się nie działo, w słuchawce rozbrzmiewała komputerowa muzyka. Zakrył mikrofon dłonią i zapytał cicho:

— Jesteś z kimś umówiona na obiad? A może wybierasz się do babci?

Nie podniosła głowy. Wciąż starannie wypełniała rubryki.

— Jadę do babci — odparła po chwili. Wzruszył ramionami.

— Tak tylko pytałem. . .

— Ona wcześniej kładzie się spać, koło ósmej.

— Naprawdę? — Uśmiechnęła się szeroko, nadal nie podnosząc głowy.

— Tak.

Wauneka odpowiedział równie szerokim uśmiechem.

— To wspaniale.

— Jasne.

W słuchawce pstryknęło i kobiecy głos zapowiedział:

— Proszę się nie rozłączać, zaraz będzie z panem rozmawiał wiceprezes zarządu, doktor Gordon.

— Dziękuję. — Sam wiceprezes?

Jeszcze raz coś pstryknęło i rozległ się męski, poważny głos:

— Słucham, John Gordon.

— Mówi James Wauneka z departamentu policji w Gallup. Dzwonię ze szpitala McKinleya. Niestety, mam dla pana złe wieści.

* * *

Z panoramicznego okna sali konferencyjnej centrali ITC rozciągał się widok na pięć budynków kompleksu badawczego w Black Rock, skąpanych w złocistych promieniach południowego słońca. W oddali nad pustynią zbierały się czarne burzowe chmury. Żaden z dwunastu członków zarządu nie był w nastroju do podziwiania widoków. Pili kawę przy małym stoliku w rogu sali, oczekując niecierpliwie na rozpoczęcie zebrania. Nie dziwiła ich późna pora.

Prezes firmy, Robert Doniger, cierpiał na chroniczną bezsenność i zwykle zwoływał posiedzenia na wieczór. Cieszył się tak wielkim autorytetem, iż żaden z wiceprezesów czy głównych udziałowców ITC nie ośmielał się protestować.

Ale teraz Doniger się spóźnił. Jego zastępca, John Gordon, domyślał się powodu. Nie przestając rozmawiać przez telefon komórkowy, ruszył w kierunku wyjścia. Poprzednio pracował w biurze projektowym lotnictwa wojskowego i wciąż wyglądał jak zawodowy oficer. Granatowy garnitur miał starannie wyprasowany, a czarne buty wypolerowane do połysku.

— Tak, rozumiem — rzucił krótko do słuchawki.

Wyjrzał na korytarz. Jak podejrzewał, Doniger krążył tam nerwowo i z przejęciem mówił coś półgłosem do stojącej nieruchomo pod ścianą Diane Kramer, radcy prawnego firmy. Właśnie zaczął groźnie wymachiwać jej palcem pod nosem. Najwyraźniej był wściekły.

* * *

Trzydziestoosmioletni Robert Doniger był błyskotliwym fizykiem. I miliarderem. Mimo pokaźnego brzuszka i rozległej siwizny tryskał energią. ITC było trzecią założoną przez niego firmą. Dwie poprzednie przynosiły pokaźne zyski, nie miało to jednak większego wpływu na jego surowy, bezwzględny styl zarządzania. Prawie wszyscy podwładni się go bali.

Na co dzień chodził w luźnych bawełnianych spodniach i swetrze, ale na posiedzenia zarządu wkładał granatowy garnitur. Wyglądał w nim jak nastolatek, któremu rodzice kazali się elegancko ubrać.

— W każdym razie bardzo dziękuję za wiadomość, panie Wauneka — powiedział Gordon do aparatu. — Załatwimy wszelkie formalności... Tak, zrobimy to jak najszybciej... Jeszcze raz bardzo dziękuję. — Przerwał połączenie i zwrócił się do Donigera: — Traub nie żyje. Zidentyfikowano zwłoki.

— Gdzie?

— W Gallup. Właśnie dostałem wiadomość od gliniarza. Dzwonił ze szpitala.
— Co było przyczyną śmierci?
— Jeszcze nie wiedzą. Prawdopodobnie rozległy zawał serca. Stwierdzili też brak krążenia w palcach. Chcą przeprowadzić sekcję zwłok. Podobno tak każą przepisy.

Doniger lekceważąco machnął ręką.

— Niech się odpieprzą, sekcja niczego nie wykaże. Traub zmarł z powodu błędów transkrypcyjnych, a tego nie stwierdzą za żadne skarby. Po co mi zawracasz głowę takimi bzdurami?

— Bo właśnie umarł jeden z twoich pracowników, Bob.

— Zgadza się — powiedział Doniger lodowatym tonem. — Tylko co z tego? Cholernie mało mogę zrobić w tej sprawie. Przykro mi. Wyślij w moim imieniu wieniec na jego pogrzeb. Dopilnuj tego, dobra?

W takich chwilach Gordon robił kilka głębszych oddechów i powtarzał w myślach, że Doniger niczym się nie różni od innych młodych, bezwzględnych przedsiębiorców. Tłumaczył też sobie, że pomijając sarkazm, w gruncie rzeczy prezes ma rację. Ciągle musiał sobie przypominać, iż szef niemal w każdej sytuacji zachowuje się tak samo.

* * *

Doniger był geniuszem. Już w szkole podstawowej czytał akademickie podręczniki inżynierii. Kiedy miał dziewięć lat, potrafił naprawić prawie każde urządzenie elektroniczne; dopóty grzebał w lampowych odbiornikach radiowych i telewizyjnych, dopóki nie znalazł usterki. Gdy matka raz za razem ostrzegała, że śmiertelnie porazi się prądem, odpowiadał krótko: „Nie bądź idiotką”. Kiedy zmarła jego ukochana babci a, spokojnie poinformował matkę, że starsza pani była mu winna dwadzieścia siedem dolarów, i teraz od niej oczekuje zwrotu pieniędzy.

W wieku osiemnastu lat uzyskał absolutorium z fizyki na Uniwersytecie Stanforda i podjął pracę w Laboratorium Fermiego pod Chicago. Po pół roku złożył wypowiedzenie, oznajmiwszy dyrektorowi, że fizyka cząstek elementarnych to zajęcie dla wariatów. Wrócił na uczelnię, gdzie zajął się dziedziną jego zdaniem znacznie bardziej obiecującą: magnetyzmem ciał nadprzewodzących.

Działo się to w czasach, kiedy naukowcy wszelkich specjalności porzucali pracę na uniwersytetach i przechodzili do prywatnych firm, oferujących im o wiele wyższe dochody. Po roku Doniger założył TechGate, przedsiębiorstwo produkujące maszyny do trawienia płytek krzemowych w procesie wytwarzania ukła-

dów scalonych. Stosował opracowaną przez siebie nową metodę, a gdy władze uniwersytetu zaprotestowały, twierdząc, że kradnie wyniki prac, jakimi kierował na uczelni, odparł krótko: „Zaskarżcie mnie albo zamknijcie się raz na zawsze”.

Właśnie w TechGate ujawnił się jego bezkompromisowy styl zarządzania firmą. Podczas spotkań z zespołami naukowców Doniger zajmował miejsce w kącie sali, rozparty wygodnie w fotelu, i od czasu do czasu rzucał krótkie pytania: „I co z tego?”, „Dlaczego jeszcze się tym nie zajęliście?”, „Do czego to ma służyć?”. Jeśli odpowiedź go satysfakcjonowała, mamrotał: „Może...”. Nikt nigdy nie usłyszał z ust szefa większej pochwały. Jeżeli natomiast nie był zadowolony z odpowiedzi, co zdarzało się znacznie częściej, wykrzykiwał: „Rozum ci odjęło?!”, „Aspirował do tytułu idioty roku?!”, „Chcesz umrzeć na głupotę?!”, „To się kupy nie trzyma!”. Gdy coś go rozzłościło, rzucał długopisami i notesami, wrzeszcząc: „Kretyni! Pieprzeni imbecyle!”.

Pracownicy TechGate ze stoickim spokojem znosili wybryki „Kostuchy Donigera”, bo był naprawdę genialnym fizykiem, lepszym od nich. Doskonale znał problemy, z jakimi się borykali, a jego krytyka niezmiennie okazywała się trafna. Rządy żelaznej ręki przyniosły jednak rezultaty. W ciągu dwóch lat TechGate przebiło się do czołówki firm w swojej branży.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym Doniger sprzedał TechGate za sto milionów dolarów. „Time” umieścił jego nazwisko wśród pięćdziesięciu przedsiębiorców poniżej dwudziestego piątego roku życia, „którzy ukształtują ostatnie lata tego stulecia”. Na liście znalazł się obok Billa Gatesa i Steve’a Jobsa.

* * *

— Szlag by to trafił! — warknął Doniger, odwracając się do Gordona. — Wszystko muszę załatwiać sam? Jezu! Gdzie znaleziono Trauba?

— Na pustyni, w rezerwacie Nawaho.

— A dokładnie?

— Dwanaście kilometrów na północ od Corazón. Zdaje się, że to zupełnie pustkowie.

— Dobra. Ściągnij Baretto z ochrony i każ mu odstawić samochód Trauba do Corazón. Niech pojedzie na pustynię, przedziurawi oponę, zostawi tam wóz i wraca.

Diane Kramer, ciemnowłosa trzydziestoletnia prawniczka ubrana w czarną garsonkę, chrząknęła.

— Nie powinniśmy tego robić, Bob — powiedziała mentorskim tonem. — To preparowanie dowodów...

— Oczywiście, że preparowanie, dokładnie o to mi chodzi! Prędzej czy później ktoś zacznie się zastanawiać, jak Traub znalazł się na środku pustyni. Więc trzeba podrzucić tam jego samochód.

— Ale nie wiemy dokładnie, gdzie...

— Nieważne. Zróbcie, jak powiedziałem.

— To oznacza, że Baretto i jeszcze ktoś będą musieli się dowiedzieć...

— Kogo to obchodzi? Zajmij się tym, Diane.

Zapadła cisza. Kramer wbiła wzrok w podłogę. Była wyraźnie niezadowolona.

— Posłuchaj — Doniger zwrócił się do Gordona. — Pamiętasz, jak Garman wahał się z wyborem oferty pracy? Pamiętasz, jaką plotkę puściliśmy wtedy do prasy?

— Owszem.

— Wtedy też się zamartwiałeś — prezes uśmiechnął się chytrze i wyjaśnił Kramer: — Garman był gruby jak świnia. Żona przestawiła go na ścisłą dietę i szybko zaczął tracić na wadze. Puściliśmy plotkę, że jest chory na raka i zamierzamy wycofać naszą ofertę. Zaprzeczał wszystkiemu, ale że wyglądał na chorego, nikt mu nie wierzył. W ten sposób znalazł się w naszym zespole. Wysłałem jego żonie wielki kosz owoców. — Zaśmiał się głośno. — Nikt się nie zorientował, że celowo rozpuszczamy plotki. Teraz też wszystko będzie w porządku, Diane. Biznes to biznes. Odprowadźcie ten cholerny samochód na pustynię.

Pokiwała głową, nie podnosząc wzroku.

— A potem — ciągnął Doniger — chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób, do cholery, Traub dostał się do sali tranzytowej. Odbył już bardzo wiele wypraw i nagromadził zbyt dużo błędów transkrypcyjnych. Przekroczył dopuszczalny limit. Nie wolno mu było więcej wyruszać. Nie miał zresztą wstępu do sali tranzytowej, która jest podobno pilnie strzeżona. Więc jak się tam dostał?

— Podejrzewamy, że miał kartę wstępu obsługi technicznej, prowadzącej konserwację urządzeń — odparła Kramer. — Zaczekał do wieczornej przerwy między zmianami i uruchomił maszynę. Sprawdzamy to jeszcze.

— Nie chcę, żebyście cokolwiek sprawdzali — syknął Doniger. — Macie zlikwidować luki w ochronie, Diane.

— Zrobimy to, Bob.

— Mam nadzieję, do diabła. Stoimy teraz wobec trzech problemów, a Traub jest najmniej istotnym z nich. Dwa pozostałe są znacznie ważniejsze. O niebo ważniejsze.

* * *

Doniger miał zdumiewający dar przewidywania biegu wydarzeń. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku sprzedał TechGate, bo doszedł do wniosku, że błyskawiczny rozwój układów scalonych wkrótce natknie się na barierę technologiczną. Wtedy wydawało się to nierealne. Średnio co półtora roku ulegała podwojeniu moc obliczeniowa wytwarzanych procesorów, podczas gdy ich ceny malały o połowę. Doniger stwierdził jednak, że jest to możliwe wyłącznie dzięki upychaniu coraz większej liczby elementów we wspólnej obudowie układu scalonego, a tego procesu nie da się ciągnąć bez końca. Ostatecznie musiało dojść do takiego zagęszczenia obwodów, że układy zaczęłyby się topić od wydzielanego przez siebie ciepła. Oznaczało to, że istnieje granica mocy obliczeniowej komputerów. I mimo że zdawał sobie sprawę, iż rynek będzie się nadal domagał coraz szybszych i wydajniejszych procesorów, stosowane dotychczas technologie ograniczą dalszy rozwój.

Sfrustrowany wrócił do swoich wcześniejszych zainteresowań magnetyzmem ciał nadprzewodzących. Założył drugą firmę, Advanced Magnetics. Szybko uzyskała ona kilka patentów, głównie dotyczących skanerów rezonansu magnetycznego, dzięki którym dokonywał się wówczas przewrót w medycynie. Od każdego wyprodukowanego skanera firma otrzymywała ćwierć miliona dolarów honorariów patentowych. „To dojna krowa”, orzekł pewnego razu Doniger, „i równie interesująca jak hodowla krów mlecznych”. Szukając ciągle nowych wyzwań, w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym sprzedał również Advanced Magnetics. Miał wtedy dwadzieścia osiem lat, a jego majątek szacowano na miliard dolarów. Doniger uważał jednak, że nie dał jeszcze z siebie wszystkiego.

Rok później, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, założył ITC.

* * *

Jednym z idoli Donigera był fizyk Richard Feynman, który już na początku lat osiemdziesiątych rozważał budowę komputera wykorzystującego kwantowe własności atomów. Teoretycznie taki „kwantowy komputer” miałby miliardy razy większą moc obliczeniową od produkowanych dotąd maszyn, jednak pomysł Feynmana zakładał powstanie całkiem nowej technologii, która byłaby sprzeczna z uznawanymi prawami i którą trzeba by stworzyć od podstaw. Nikt nie potrafił skonstruować komputera kwantowego, więc idea Feynmana szybko poszła w zapomnienie.

Ale nie dla Donigera.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku zaczął pracować nad stworzeniem takiego urzędnika. Pomysł był tak rewolucyjny i zarazem ryzykowny, że Doniger przed nikim nie zdradził się ze swymi zamierzeniami. Nowej firmie nadał niewiele mówiącą nazwę ITC — International Technology Corporation. Jej główne biura założył w Genewie, ściągnąwszy do współpracy grupę utalentowanych fizyków z CERN.

Przez kilka lat nie było nic słyhać ani o Donigerze, ani o jego firmie. Przypuszczano, że wycofał się z czynnej działalności. Ostatecznie często spotykało się przedsiębiorców, którzy ograniczali prowadzenie interesów, gdy już zbili majątek.

Kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku „Time” opublikował kolejną listę dwudziestu pięciu ludzi poniżej czterdziestki mających największy wpływ na kształtowanie gospodarki, nie było wśród nich Roberta Donigera.

W tym samym roku ITC przeniosła się do Stanów Zjednoczonych, do nowo zbudowanego laboratorium w Black Rock w Nowym Meksyku, godzinę drogi na pomoc od Albuquerque. Wnikliwy obserwator na pewno zwróciłby uwagę, że zgromadził się tam doborowy zespół fizyków. Ale nie było żadnych obserwatorów.

I nikt nie zauważył systematycznego rozwoju ITC w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. W Black Rock stopniowo powstał cały kompleks budynków, ciągle rosła liczba zatrudnianych fizyków. Zarząd firmy powiększył skład z sześciu do dwunastu osób, oprócz wiceprezesów należeli do niego najważniejsi udziałowcy spółki. Wszyscy musieli podporządkować się rygorystycznym przepisom o ochronie tajemnicy służbowej, podpisać zaprzysiężone oświadczenia, poddać się testom z wykorzystaniem wariografu i wyrazić zgodę na założenie przez ITC podsłuchu w ich domowych telefonach. Co więcej, Doniger zażądał od inwestorów minimalnego wkładu w wysokości trzystu milionów dolarów. Wyjaśnił bezczelnie, że to koszt miejsca przy stole konferencyjnym. „Jeśli chcecie wiedzieć, do czego zmierzam, jeśli chcecie mieć udział w moich osiągnięciach, wyłóżcie na stół jedną trzecią miliarda dolarów. Wóz albo przewóz. Wcale mi na tym nie zależy”.

Ale zależało. ITC miała już kłopoty z uzyskaniem bankowych kredytów, bo w ciągu dziewięciu lat zadłużyła się na ponad trzy miliardy dolarów. A Doniger dobrze wiedział, że będzie potrzebował jeszcze więcej.

— Problem numer jeden — powiedział prezes — to sytuacja finansowa. Musimy zdobyć jeszcze miliard, zanim wyniki badań będą mogły ujrzeć światło dzienne. — Ruchem głowy wskazał drzwi sali konferencyjnej. — Z nich nic już nie wydusimy, trzeba więc powiększyć zarząd o trzy następne osoby.

— W tym gronie nawet nie próbowałbym prosić o dalsze finansowanie — wtrącił Gordon.

— Masz rację. Oni doskonale znają stan naszego zadłużenia i chcą wiedzieć, kiedy je zlikwidujemy. Chcą też poznać wyniki naszych prac. Zamierzam je przedstawić na dzisiejszym posiedzeniu.

— O czym im powiesz?

— O sukcesie — odparł Doniger. — Te dupki o niczym innym nie marzą. Pragną usłyszeć jakieś ekscytujące nowiny o którymś z naszych projektów.

Kramer aż jęknęła.

— Bob, wszystkie nasze projekty są długofalowe — zaprotestował Gordon.

— Więc któryś trzeba uznać za bliski zakończenia. Co powiesz na Dordogne?

— Wykluczone. Odradzałbym jego ujawnianie.

— Potrzebny mi jakiś sukces — ciągnął Doniger. — Profesor Johnston już trzy lata siedzi za nasze pieniądze we Francji ze swoim zespołem. Powinni mieć coś, czym można się pochwalić.

— Za wcześnie, Bob. Poza tym nie wykupiliśmy jeszcze całego terenu.

— Mamy wystarczająco dużo ziemi.

— Bob...

— Wyślemy tam Diane. Odpowiednio przyciśnie archeologów.

— Johnstonowi się to nie spodoba.

— Nie wątpię, że Diane poradzi sobie z Johnstonem.

Jeden z asystentów otworzył drzwi sali konferencyjnej i wyjrzał na korytarz.

— Za chwilę, do cholery! — wrzasnął Doniger, ale natychmiast ruszył w tym kierunku. Obejrzał się jeszcze przez ramię i rzucił: — Zróbcie to!

Wszedł do sali i zamknął drzwi.

* * *

Gordon poszedł za Kramer korytarzem. Zwrócił uwagę, że do eleganckiej czarnej garsonki włożyła pantofle bez pięt na masywnych koturnach. Pomyślał, że to dla niej typowe; zawsze starała się wyglądać ponętnie, a jednocześnie odpychająco.

— Wiedziałaś wcześniej o jego planach? — spytał.

Skinęła głową.

— Zapoznał mnie z nimi przed godziną.

Gordon zagryzł wargi. Czuł narastającą złość. Pracował z Donigerem już od dwunastu lat, od czasu powstania Advanced Magnetics. W ITC kierował olbrzymim projektem badawczym na dwóch kontynentach, w którym uczestniczyły

dziesiątki fizyków, chemików oraz informatyków. Od podstaw musiał się zapoznawać z ciałami nadprzewodzącymi, kompresją fraktalną, kiubitami kwantowymi i wysokociśnieniową wymianą jonową. Zakopał się po uszy w fizyce teoretycznej, a wciąż brakowało mu czasu, bo musiał się także zajmować harmonogramami badań, kosztorysami i odsetkami od kredytów. Jego praca przynosiła wymierne efekty, lecz mimo to Doniger wciąż nie darzył go pełnym zaufaniem.

W przeciwieństwie do niego Kramer od początku miała znakomite układy z szefem. Zaczynała jako adwokat w jakiejś małej kancelarii, gdzie przydzielono jej sprawy ITC. Doniger uznał, że jest wystarczająco bystra i ma dość klasy, by na stałe reprezentować firmę. Przez następny rok mieszkali razem i choć od tamtej pory minęło już kilka lat, wciąż uważnie słuchał jej rad. Zresztą przez ten czas kilkakrotnie udało jej się odegnać widmo porażki.

— Od dziesięciu lat trzymamy ten wynalazek w tajemnicy — powiedział. — Szczerze mówiąc, tylko cudem się to udawało. Traub jest pierwszą ofiarą. Na nasze szczęście sprawę prowadzi jakiś mało doświadczony gliniarz z prowincjonalnego miasteczka, są więc duże szanse, że nie narobi szumu. Jeśli jednak Doniger będzie naciskać ekipę z Francji, ludzie zaczną kojarzyć pewne fakty. Już mamy kłopoty z tą paryską dziennikarką, która się na nas uwzięła. Bob może zwiększyć niebezpieczeństwo przecieków.

— Zdaje sobie z tego sprawę. Uznał to za drugi pod względem ważności problem firmy.

— Przecieki do prasy?

— Tak. Możliwość ujawnienia tajemnicy.

— I nie martwią go konsekwencje?

— Owszem, martwią. Ale wygląda na to, że wie, jak sobie z nimi poradzić.

— Mam nadzieję — odparł Gordon. — Nie możemy liczyć na to, że zawsze będziemy mieli do czynienia z jakimś małomiasteczkowym kołkiem w mundurze.

Następnego ranka James Wauneka zjawił się w szpitalu McKinleya. Chciał porozmawiać z doktor Tsosie o wynikach sekcji zwłok znalezionej na pustyni męczyzny. Dowiedział się w recepcji, że Beverly jest na trzecim piętrze w sali analiz komputerowych. Poszedł na górę.

Pomalowany na beżowo pokój sąsiadował z laboratorium rezonansu magnetycznego. Tsosie rozmawiała z technikiem Calvinem Chee. Siedzieli oboje przed komputerem i przeglądali czarno-białe obrazy ze skanera. Na ciemnym ekranie widać było pięć ustawionych w rzędzie jaśniejszych kółek. W miarę, jak Chee przerzucał kolejne zdjęcia, kółka stawały się coraz mniejsze.

— To niemożliwe, Calvin — powiedziała Beverly. — Musiałeś coś pomylić.

— Najpierw każesz mi sprawdzić wyniki, a teraz nie wierzysz? Powtarzam, Bev, pomyłka jest wykluczona. To na pewno te zdjęcia. Popatrz na przekroje dru-

giej dłoni.

Chee wpisał polecenie na klawiaturze i na ekranie pojawił się wydłużony w poziomie owal z podobnymi pięcioma jaśniejszymi kółkami w środku.

— Proszę, oto lewa dłoń. Przekrój mniej więcej w połowie długości. — Obejrzał się na Waunekę. — Zobaczylibyście to samo, gdybyście dłoń człowieka przetrąbali toporem na pół.

— Bardzo apetyczne porównanie, Calvin.

— Chciałem, żeby wszystko było jasne. — Odwrócił się z powrotem do komputera. — Tych pięć kół to kości. Słabiej widoczne plamki to ścięgna biegnące do poszczególnych palców. Mięśnie poruszające palcami znajdują się głównie w przedramieniu, więc tu ich nie widać. To małe kółko to arteria promieniowa, która doprowadza krew do dłoni od nadgarstka. Dobra, przesuńmy się teraz ku końcowi.

Widok na ekranie zaczął się zmieniać. Poziomy owal wyraźnie się spłaszczył, kości stawały się cieńsze, poszerzały się odstępy między nimi, aż wreszcie pozostały tylko cztery jaśniejsze kółka.

— W porządku — ciągnął Chee. — Zeszliśmy ze środkowej części dłoni i mamy teraz cztery palce. Do każdego krew doprowadza odrębna tętnica, rozdzielająca się na coraz mniejsze naczynia, lecz wciąż jeszcze widoczna na przekroju. Widzicie? Tu i tu... Dobra, przesuńmy się jeszcze dalej... Kości robią się grubsze, bo dochodzimy do stawów... Kolejno mijamy knykcie... a teraz... Zwróćcie uwagę na naczynia, które zaraz... jeszcze chwila... O, właśnie!

Wauneka zmarszczył brwi.

— To chyba jakaś skaza. Wygląda, jakby nagle przeskoczyły.

— Bo przeskoczyły — oznajmił Chee. — Tętniczki nie pasują do siebie, nie są ustawione liniowo.

Jeszcze raz wyświetlił poprzednie zdjęcie i przełączył na następne. Główne naczynia krwionośne palców, widoczne w postaci małych jasnych kótek, nagle zmieniały położenie, jak gdyby uskakiwały w bok.

— Właśnie to było przyczyną braku krążenia w palcach. Krew do nich nie dopływała z powodu przerw w tętniczkach. Nastąpiła awaria, doszło do przesunięcia...

Beverly pokręciła głową.

— Calvin!

— Sama widziałaś. Zresztą podobne uskoki występują w innych miejscach, na przykład w sercu. Nic dziwnego, że facet zmarł na skutek rozległego zatoru. W ściankach obu komór stwierdziłem analogiczne przesunięcia.

— To na pewno ślady przebytego wcześniej zawału — powiedziała Tsosie, wciąż kręcąc głową. — Daj spokój, Calvin. Ten facet miał siedemdziesiąt jeden lat. Jeśli nawet uznamy to za wady wrodzone, zarówno w sercu, jak i w dłoniach,

żył z nimi dosyć długo. Gdyby naprawdę istniała przerwa w naczyniach krwionośnych, palce musiałyby mu odpaść już przed wielu laty.

— Nie odpadły jednak, więc musiał odnieść te rany niedawno. Pamiętaj, że stan palców wyraźnie się pogarszał już w trakcie jego pobytu w szpitalu.

— Co chcesz mi wmówić? Że komputer się pomylił?

— Najwyraźniej. Żaden sprzęt nie jest niezawodny, poza tym mógł się zaplątać wirus. . .

— Sprawdziałem urządzenie, Bev. Jest sprawne.

Tsosie wzruszyła ramionami.

— Przykro mi, ale nie wierzę. Coś jest nie w porządku z aparatem. Jeśli jesteś taki pewien rezultatów, zejdź na patologię i osobiście zrób sekcję palców.

— Chciałem, ale zwłoki już zabrano.

— Naprawdę? — zdziwił się Wauneka. — Kiedy?

— Dziś o piątej rano. Przyjechali po nie ludzie z jego firmy.

— Do Sandii mają kawałek drogi, pewnie jeszcze nie dotarli na miejsce. . .

— Wcale go nie wiozą — odparł Chee. — Z samego rana poddali ciało kremacji.

— Poważnie? Gdzie?

— W tutejszej kostnicy.

— Tu go skremowali? — zapytał z niedowierzaniem Wauneka.

— Przecież mówię wyraźnie. To od początku do końca podejrzana sprawa.

Tsosie skrzyżowała ręce na piersiach i obrzuciła obu mężczyzn karcącym spojrzeniem.

— Nie ma w tym nic podejrzanego — powiedziała. — Jego firma wszystko załatwiła telefonicznie, nikt nie musiał tu przyjeżdżać. Wystarczyło zlecić zadanie kierownikowi kostnicy. Przysłał po zwłoki swoich ludzi. Często tak się robi, zwłaszcza gdy zmarły nie ma nikogo bliskiego. — Zwróciła się do technika: — Przestań robić sensację. Lepiej ściągnij serwis do swojej maszyny. Rezonans nie działa tak, jak powinien. I tyle.

* * *

Jimmy Wauneka chciał jak najszybciej zakończyć sprawę Trauba. Kiedy jednak wrócił na izbę przyjęć, ujrzał duży plastikowy worek z ubraniami i rzeczami osobistymi zmarłego. Nie miał innego wyjścia, jak ponownie zadzwonić do ITC. Tym razem połączono go z innym wiceprezesem firmy, panną Kramer. Gordon był na jakimś posiedzeniu.

— Chodzi o doktora Trauba — wyjaśnił.

— Ach, tak... — Głośne westchnienie słycać było nawet przez telefon. — Biedny doktor Traub, był taki sympatyczny.

— Dziś rano jego ciało poddano kremacji, zostały jednak rzeczy osobiste. Powinni państwo zdecydować, co mamy z nimi zrobić.

— Doktor Traub nie miał żadnych spadkobierców — odparła panna Kramer. — Wątpię, czy komukolwiek zależałoby na jego ubraniach i pozostałych drobiażkach. A właściwie o jakie rzeczy chodzi?

— W kieszeni jego spodni znaleźliśmy rysunek. Wygląda na plan jakiegoś kościoła albo klasztoru.

— Aha.

— Nie wie pani, do czego był mu potrzebny?

— Nie umiem powiedzieć. Jeśli mam być szczerą, w ostatnich tygodniach doktor Traub zachowywał się dość dziwnie. Od czasu śmierci żony nie mógł się otrząsnąć z przygnębienia. Czy jest pan pewien, że to plan klasztoru?

— Nie, skądże. Tylko się domyślam. Chce pani, żebym go odesłał do waszej firmy?

— Gdyby nie sprawiło to panu większego kłopotu...

— A co z tą porcelanową kostką?

— Jaką kostką?

— Zmarły miał ją przy sobie. To biały ceramiczny sześcian o boku długości dwóch centymetrów. Ma w rogu wydrukowane litery ITC.

— Ach, już rozumiem. To nic ważnego.

— Zastanawiałem się, do czego może służyć.

— Do czego? To plakietka identyfikacyjna.

— Nigdy nie widziałem podobnych identyfikatorów.

— Na własne potrzeby opracowaliśmy nowy model. Służy między innymi do otwierania drzwi chronionych pomieszczeń.

— Czy tę kostkę również odesłać?

— Tak, jeśli nie sprawi to kłopotu. Wie pan co? Proszę zanotować nasz numer federalnej poczty ekspresowej. Włoży pan te rzeczy do koperty, wypisze na niej numer i zostawi list w okienku na poczcie.

Wauneka odłożył słuchawkę. Nie mógł się uwolnić od myśli, że mydlono mu oczy.

* * *

Zadzwoił do księdza Grogana, proboszcza miejscowej parafii katolickiej, opisał mu przez telefon znaleziony rysunek i przedyktował umieszczony w rogu

napis: kla. ste. mere.

— To prawdopodobnie klasztor Sainte-Mčre — odparł ksiądz.

— Na pewno klasztor?

— Bez wątpienia.

— Gdzie on się znajduje?

— Nie mam pojęcia. To nie jest hiszpańska nazwa. „Mčre” po francusku znaczy „matka”, a „Sainte-Mčre” jest odpowiednikiem „Najświętszej Panienki”. Mógłby to być klasztor w Luizjanie.

— Dałoby się go zlokalizować? — spytał Wauneka.

— Mam gdzieś spis wszystkich klasztorów w Stanach Zjednoczonych. Daj mi trochę czasu, to go odszukam.

* * *

— Przykro mi, Jimmy. Nie widzę w tej sprawie niczego podejrzanego.

Carlos Chavez, zastępcą departamentu policji w Gallup, który wkrótce miał przejść na emeryturę, był opiekunem Wauneki od początku jego służby. Siedział z nogami opartymi na skraju biurka i słuchał relacji ze sceptyczną miną.

— Zwróć uwagę — ciągnął Jimmy — że znaleziono tego faceta za kanionem Corazón. Bredził jak w malignie, a mimo to nie stwierdzono u niego żadnych śladów udaru słonecznego. Nie był odwodniony, nie miał nawet zaczerwienionej skóry.

— Więc ktoś go tam zostawił. Na pewno rodzina postanowiła się go pozbyć.

— Nie miał bliskich krewnych.

— W takim razie sam tam pojechał.

— Nikt nie widział samochodu.

— Nikt? To znaczy kto?

— Ludzie, którzy go znaleźli.

Chavez westchnął ciężko.

— Nie przyszło ci do głowy, żeby tam pojechać i poszukać auta?

— Nie — odparł z ociąganiem Wauneka.

— Uwierzyłeś tym ludziom na słowo?

— Tak... Chyba tak.

— Chyba? A więc i ty podejrzewasz, że samochód wciąż może stać gdzieś na pustyni?

— Tak, to niewykluczone.

— Jasne. Co było potem?

— Zadzwońłem do jego firmy, ITC.

- I co ci powiedziano?
- Że był załamany po śmierci żony.
- Pasuje.
- No, nie wiem. . . — mruknął Jimmy. — Rozmawiałem z dozorcą budynku, w którym mieszkał Traub. Jego żona zmarła ponad rok temu.
- Czyli facet wpadł w depresję po pierwszej rocznicy jej śmierci, zgadza się? Nie ma w tym nic niezwykłego.
- Chyba powinienem tak pojechać i osobiście porozmawiać z ludźmi z ITC.
- Po co? To czterysta kilometrów.
- Wiem, ale. . .
- Ale co? Ile razy musimy szukać turystów, którzy zaginęli w rezerwacie? Trzy, cztery razy w roku. A połowa z nich albo jest już martwa, albo umiera wkrótce po przewiezieniu do szpitala. Zgadza się?
- Owszem. . .
- I dzieje się tak zwykle z dwóch powodów. Albo są to nawiedzone czubki z Sedony, które szukają orłów czy chcą nawiązać kontakt z Bogiem i gubią drogę bądź psuje im się samochód, albo ludzie w głębokiej depresji. Jedno albo drugie. Ten facet był przygnębiony.
- Tak powiedzieli. . .
- Załamał się po śmierci żony. Co w tym niezwykłego? — Carlos znowu westchnął. — Niektórzy się załamują, inni cieszą.
- Nie wszystko jest jasne — upierał się Wauneka. — Miał przy sobie jakiś dziwny schemat i ceramiczną kostkę. . .
- Jimmy, zawsze są pewne wątpliwości — odparł Chavez, krzywiąc się z niechęcią. — Przyznaj się lepiej, że chcesz zrobić wrażenie na tej zgrabnej małej lekarce.
- Jakiej małej lekarce?
- Dobrze wiesz, o kim mówię.
- Nie wygłupiaj się. Jej zdaniem wszystko jest jasne.
- Sam widzisz. Daj temu spokój.
- Ale. . .
- Jimmy. . . — Chavez pokręcił głową. — Posłuchaj mojej rady i zamknij sprawę.
- W porządku.
- Mówię poważnie.
- Dobra — rzucił Wauneka. — Zrozumiałem. Zamknę sprawę.

* * *

Nazajutrz patrol policji z Shiprock zatrzymał grupę trzynastolatków jeżdżących po autostradzie samochodem z numerami rejestracyjnymi z Nowego Meksyku. W skrytce w desce rozdzielczej znaleziono prawo jazdy niejakiego Josepha Trauba. Chłopcy zeznali, że zobaczyli porzucony wóz na poboczu drogi prowadzącej do kanionu Corazón. Kluczyki były w stacyjce. W aucie był straszny bałagan, wszędzie wałały się puszki po piwie, a dzieciaki miały nieźle w czubie.

Wauneka zrezygnował z wyprawy do sąsiedniego miasta i oględzin samochodu.

* * *

Dzień później zadzwonił do niego ksiądz Grogan.

— Sprawdziłem twoje informacje — powiedział. — Nigdzie w Stanach Zjednoczonych nie ma klasztoru Sainte-Mère.

— Rozumiem. Dzięki.

Nie spodziewał się niczego innego. Ten trop również prowadził donikąd.

— Kiedyś istniał taki klasztor we Francji, ale doszczętnie spłonął w czternastym wieku. Zostały tylko ruiny. Jeśli cię to bardzo interesuje, trwają tam obecnie wykopaliska archeologiczne. Prowadzi je zespół z Yale przy współpracy uniwersytetu z Tuluzi. Nie sądzę jednak, by wykopali tam coś ciekawego.

— Aha. . .

Wauneka przypomniał sobie nagle, że jedna z pozornie bezsensownych rymowanek obłąkanego starca brzmiała mniej więcej tak: „We Francji chłopcy z Yale nie mają szans nic znaleźć”.

— Gdzie to jest? — zapytał.

— W południowo-zachodniej Francji, nad rzeką Dordogne.

— Dordogne? Jak to się pisze?

Dordogne

*Chwała przeszłości jest złudzeniem.
Tak samo należy traktować chwałę teraźniejszości.
Edward Johnston*

Śmigłowiec z łoskotem przebijał się przez gęstą mgłą. Siedząca z tyłu Diane wierciła się niespokojnie. Kiedy mgła nieco zrzędła, Kramer dostrzegła czubki drzew tuż pod brzuchem maszyny.

— Musimy lecieć tak nisko? — zapytała.

Andre Marek, który siedział obok pilota, roześmiał się głośno.

— Proszę się nie martwić, nic nam nie grozi — odparł.

Sprawa miała wrażenie człowieka, który niczym się nie przejmuje. Miał dwadzieścia dziewięć lat, był wysoki i barczysty. Krótkie rękawki bawełnianej koszulki opinały jego imponujące mięśnie. Nie wyglądał na asystenta profesora historii Uniwersytetu Yale ani też na zastępcę kierownika projektu Dordogne.

— Za chwilę wyjdziemy z tej mgły — powiedział.

Mówił z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem. Z pochodzenia był Holendrem, skończył studia w Utrechcie. Kramer wiedziała o nim wszystko. Należał do pokolenia historyków „eksperymentujących”, którzy twierdzili, że rekonstruowanie dawnych budowli pozwoli lepiej zrozumieć przeszłość. Pod tym względem był niemal fanatykiem. Nosił średniowieczne stroje, uczył się dawnych obyczajów i dialektów. Umiał nawet walczyć na kopie.

— Dziwi mnie, że profesor Johnston nie poleciał z nami — powiedziała.

Sądziła, że kierownik projektu przywita ją osobiście. W końcu należała do zarządu spółki finansującej tutejsze wykopaliska. Zwyczajna grzeczność wymagała, aby właśnie Johnston oprowadził ją po terenie. Podczas lotu do Europy układała w myślach przebieg rozmowy, jaką zamierzała z nim przeprowadzić jeszcze w helikopterze.

— Niestety, profesor Johnston miał wcześniej umówione spotkanie.

— Czyżby?

— Tak, z Francois Bellinem, ministrem ochrony zabytków, który specjalnie przyjeżdża z Paryża.

— Rozumiem.

Zdawła sobie sprawą, że Johnston musiał w pierwszej kolejności zająć się ważnym politykiem. Losy projektu Dordogne zależały od dobrych stosunków z rządem francuskim.

— Macie jakieś kłopoty? — zapytała.

— Nie. Minister jest starym znajomym profesora. No, dolecieliśmy.

Helikopter wypadł z mgły nad rozświetlony porannym słońcem teren. Kamienne wiejskie zabudowania rzucały wydłużone cienie. Łoskot wirnika spłoszył stado gęsi na podwórzu najbliższego gospodarstwa. Stojąca w drzwiach kobieta pogroziła pięścią w kierunku śmigłowca.

— Nie przepadają tu za nami. — Marek wskazał ręką zabudowania.

Kramer włożyła okulary przeciwsłoneczne i odparła:

— To zrozumiałe. Jest dopiero szósta rano. Dlaczego wystartowaliśmy tak wcześnie?

— Z powodu oświetlenia. Głębsze cienie podkreślają kontury, ujawniają charakterystyczne cechy terenu. — Wskazał spód kadłuba maszyny, gdzie podwieszono trzy duże, pomalowane na żółto blaszane pojemniki. — Mamy tu stereoskopową kamerę do mapowania, skanery podczerwieni i nadfioletu oraz szerokokątny radar.

Diane popatrzyła za okno. Z boku, pod statecznikiem śmigłowca, wisiał niemal dwumetrowej długości srebrzysty cylinder.

— A to co? — spytała.

— Magnetometr protonowy.

— Do czego służy?

— Wychwytuje anomalie magnetyczne w powierzchniowych warstwach gleby, których źródłem mogą być zagrzebane mury, większe obiekty ceramiczne lub metalowe.

— Przydałby się wam jakiś dodatkowy sprzęt?

Marek uśmiechnął się szeroko.

— Nie, panno Kramer. Mamy wszystko, czego nam potrzeba.

Pofałdowana równina pod śmigłowcem była porośnięta gęstym lasem. Coraz częściej pojawiały się jednak ciemne nagie skały i strome urwiska. Marek wczuł się w rolę przewodnika, zaczął gadać jak najęty.

— Te wapienne skały to pozostałość dawnego wybrzeża morskiego — tłumaczył. — Przed milionami lat ta część Francji stanowiła dno oceanu. Później morze się cofnęło i odsłoniło piaszczystą plażę. Osady denne, gromadzone i ścisane przez stulecia, zamieniły się w wapień. Dlatego skały są takie miękkie i jak ser podziurawione tysiącami jaskiń.

W pionowych urwiskach można było dostrzec ciemniejące otwory pieczar.

— Rzeczywiście jest ich mnóstwo — przyznała Diane.

Marek przytaknął ruchem głowy.

— Cały ten rejon należy do najstarszych siedlisk człowieka na ziemi. Ludzie mieszkają tu co najmniej od czterystu tysięcy lat. Znane są stanowiska wszystkich form przejściowych, od człowieka neandertalskiego po współczesnego.

Kramer skinęła głową i zapytała:

— A gdzie wasz obóz?

— Kawalek dalej.

Las się skończył, ustępując miejsca polom uprawnym i rozproszonym zabudowaniom. Lecieli w kierunku miasteczka leżącego na szczycie wzniesienia. Wzdłuż wąskich uliczek ciągnęły się stłoczone kamienne domy. Górowała nad nimi cylindryczna baszta zamku warownego.

— To Beynac — objaśnił Marek. — Oho, jest już także nasz sygnał dopplerowski.

Rzeczywiście w słuchawkach rozległy się elektroniczne popiskiwanie; stawały się coraz szybsze.

— Szykuj się — rzucił pilot.

Marek włączył aparaturę. Na dodatkowym pulpicie zapaliły się lampki kontrolne.

— Dobra, zaczynamy pierwsze przejście — powiedział pilot. — Trzy... dwa... jeden...

Pofałdowany zalesiony teren skończył się nagle stromym urwiskiem. Oczom Diane Kramer ukazała się malownicza dolina rzeki Dordogne.

* * *

Rzeka niczym brązowy wąż wiła się ciasnymi zakolami po dnie doliny, którą sama wyżłobiła przed tysiącami lat. Nawet o tak wczesnej porze pływało po niej parę kajaków.

— W średniowieczu Dordogne stanowiła linię graniczną — tłumaczył Marek. — Ta strona była francuska, tamta angielska. Niemal bez przerwy toczyły się tu wojny. Beynac, które właśnie minęliśmy, było twierdzą francuską.

Kramer obejrzała się na zabytkowe miasteczko. Stłoczone domy z surowego kamienia były kryte ciemną ceramiczną dachówką. Po wąskich, krętych uliczkach kręciły się gromadki turystów. Beynac wyrastało ze zbocza urwiska, ciągnęło się od brzegu rzeki aż do podnóży starego zamczyska.

— A tam — Marek wskazał drugi brzeg Dordogne — widać twierdzą angielską, Castelnaud.

Na szczycie odległego wzgórza wznosił się drugi zamek, zbudowany z żółtego kamienia. Był mniejszy, lecz pięknie odrestaurowany. W niebo strzelały trzy

wysmukłe baszty połączone wysokimi murami obronnymi. Powstałe wokół niego miasteczko także roilo się od turystów.

— To nie jest wasza baza, prawda? — spytała Diane.

— Nie. Chcę panią jedynie zapoznać z ogólnym układem warowni w tym rejonie. Na całej długości Dordogne można spotkać podobne, stojące naprzeciwko siebie stare zamki. Na naszym stanowisku także znajduje się taka para, ale to jeszcze kilka kilometrów w dół rzeki. Niedługo je zobaczymy.

* * *

Helikopter pochylił się ostro na bok i skręcił na wschód. Atrakcje turystyczne zostały za nimi. Kramer z ulgą popatrzyła na ciągnące się po horyzont lasy. Minęli Envaux, kolejną miejscowość leżącą nad rzeką, po czym wzniesli się ponad okoliczne pasma wzgórz. Na jednym ze stoków Diane dostrzegła rozległą polanę. Pośrodku, otoczone zielonymi polami, znajdowały się ruiny kamiennych zabudowań. Bez wątpienia było tam kiedyś miasteczko wzniesione wokół obronnego zamku. Z warowni pozostały jedynie koliste fundamenty dwóch baszt i niewielkie skrawki łączących je niegdyś murów. Tu i ówdzie wśród ruin stały białe namioty. Kręciło się między nimi kilkanaście osób.

— Jeszcze trzy lata temu cały ten teren należał do pewnego hodowcy kóz rzeł Marek. — Francuzi zapomnieli o ruinach zagubionych w młodym, zdziczałym lesie. Oczyszcziliśmy polanę i odtworzyliśmy niektóre zabudowania. Oto przed panią resztki osławionej angielskiej twierdzy Castelgard.

— To jest Castelgard? — zdziwiła się Kramer. Uderzyło ją, jak niedużo było tu do oglądania. Zaledwie fragmenty zrujnowanych ścian domów. — Sądziłam, że zachowało się trochę więcej.

— Niedługo znów będzie co oglądać. Castelgard było niegdyś dużym miastem, a zamek robił naprawdę imponujące wrażenie. Potrzeba paru lat, żeby go odbudować.

Kramer zaczęła się zastanawiać, co powie Donigerowi. Prace w ramach projektu Dordogne nie były tak zaawansowane, jak mu się wydawało. Aż trudno było sobie wyobrazić zakres rekonstrukcji, skoro tak niewiele pozostało z dawnego miasta. W dodatku należało się liczyć z tym, że profesor Johnston z założenia będzie przeciwny wszelkim sugestiom w tym zakresie.

— Naszą kwaterę dowodzenia założyliśmy w tamtym gospodarstwie. — Marek wskazał kamienny dom otoczony paroma szopami, niezbyt odległy od skupiska ruin. Tuż przy nim stał wielki zielony namiot. — Chce pani, żebyśmy jeszcze raz okrążyli Castelgard?

— Nie — odparła Diane, siląc się na spokojny ton. — Lećmy dalej.

— W porządku. Pokażę pani teraz młyn.

Helikopter skręcił na północ, w stronę rzeki. Teren łagodnie opadał ku szerokiemu, płaskiemu brzegowi Dordogne. Przelecieli nad jej szerokim, leniwym nurtem. W pobliżu północnego brzegu znajdowała się duża, gęsto zalesiona wyspa. Węższa odnoga rzeki miała najwyżej pięć metrów szerokości. Stały nad nią ruiny jakiejś zniszczonej budowli.

— Co to jest? — zapytała, pochylając się do okna.

— Młyn wodny. Kiedyś brzegi rzeki spinał tutaj most, pod którym znajdowały się potężne młyńskie koła. Wykorzystywano ich energię do mielenia zboża oraz napędzania wielkich miechów w pobliskiej hucie żelaza.

— Tu też niczego jeszcze nie odbudowano — zauważyła Diane.

— Nie — odparł Marek — ale cały czas prowadzimy badania. Chris Hughes, jeden z magistrantów, nie zajmuje się niczym innym. O, właśnie go widać. Tam, w dole, razem z profesorem.

Kramer popatrzyła na ciemnowłosego młodzieńca stojącego obok wysokiego, postawnego mężczyzny, w którym rozpoznała Johnstona. Żaden nawet nie spojrział na przelatujący nad ich głowami śmigłowiec. Obaj byli zajęci pracą.

Skręcili jeszcze bardziej na północ. Pod brzuchem maszyny rozciągał się płaski, równinny teren. Minęli kolejne skupisko ruin. Prostokątne zarysy dawnych budowli były dobrze widoczne w ostrym świetle słonecznym. Resztki ścian miały nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów wysokości.

— A to co? — spytała Diane. — Kolejne miasteczko?

— Niezupełnie. To klasztor Sainte-Mère, niegdyś jeden z najpotężniejszych i najbogatszych we Francji. Został doszczętnie spalony w czternastym wieku.

— Macie tu gdzie kopać.

— Tak, to nasze najważniejsze stanowisko.

Kramer dostrzegła głębokie prostokątne jamy wykopalisk, zagłębiające się w podziemia ruin klasztoru. Wiedziała, że archeolodzy odnaleźli tu wiele cennych średniowiecznych dokumentów i mieli nadzieję wydobyć kolejne.

Helikopter znowu wszedł w ciasny skręt. Przed nimi wyłoniły się wapienne urwiska i ruiny następnego miasteczka. Pilot poderwał maszynę w górę.

— Zbliżamy się do czwartego, ostatniego stanowiska — wyjaśnił Marek. — To twierdza nad miastem Bezenac, w średniowieczu zwanym La Roque. Znajduje się na francuskim brzegu, lecz została zbudowana przez Anglików, którzy zamierzali utrzymać rozległy przyczółek po tamtej stronie granicy. Jak pani widzi, to potężna twierdza.

Na szczycie urwiska wznosił się olbrzymi bastion obronny, otoczony aż trzema koncentrycznymi ciągami murów. Zajmował obszar ponad dwudziestu hektarów. Diane odetchnęła z ulgą. Twierdza La Roque była w znacznie lepszym stanie

niż pozostałe miejsca objęte projektem Dordogne. Zachowane fragmenty ścian pozwalały ocenić wielkość dawnej budowli.

Kręciło się tu jednak mnóstwo turystów.

— Udostępniście obiekt do zwiedzania? — spytała zdziwiona.

— Niewiele mieliśmy w tej sprawie do powiedzenia — odparł Marek. — Jak pani wie, obiekt został odkryty niedawno i władze francuskie nalegały, aby uczynić z niego atrakcję turystyczną. Ruiny zostaną zamknięte, gdy rozpoczniemy rekonstrukcję.

— Kiedy to będzie?

— Może już za dwa lata, najpóźniej za pięć.

Zbyła to milczeniem. Pilot znowu zawrócił i poderwał śmigłowiec jeszcze wyżej.

— To już koniec naszej wycieczki — ciągnął Marek. — Z odpowiedniej wysokości będzie pani mogła ogarnąć wzrokiem wszystkie stanowiska projektu: fortecę La Roque, klasztor na równinie, młyn nad rzeką, a na drugim brzegu zamek Castelgard. Chce pani jeszcze raz je obejrzeć?

— Nie — rzuciła Kramer. — Możemy wracać. Dość się napatrzyłam.

Edward Johnston, kierownik katedry historii Uniwersytetu Yale, odprowadził wzrokiem helikopter odlatujący na południe w kierunku Domme, gdzie znajdowało się lotnisko. Spojrzał na zegarek i powiedział:

— Wracajmy do pracy, Chris.

— Oczywiście — odparł Hughes, odwracając się do zamontowanego na trójnogu komputera połączonego z odbiornikiem GPS. — Za minutę będę gotów.

Christopher Stewart Hughes był jednym z pięciu magistrantów, których profesor — bo nikt inaczej go nie nazywał — włączył do ekipy prowadzącej wykopaliska w Europie. Oprócz seminarium magisterskiego Johnston prowadził zajęcia z historii cywilizacji zachodniej. Studenci go uwielbiali.

I nic w tym dziwnego. Barczysty, przystojny naukowiec, mimo że przekroczył już sześćdziesiątkę, nieodmiennie tryskał energią i był pełen młodzieńczego wigoru. Z powodu śniadej cery, ciemnych oczu i ciętego dowcipu bardziej przypominał Mefistofelesa niż uniwersyteckiego wykładowcę historii. Tylko strój pozwalał go zaliczyć do kadry profesorskiej — nawet tu, podczas prac terenowych, Johnston zawsze miał na sobie białą koszulę i krawat. Jedynym jego ustępstwem wobec warunków obozowych były džinsy i traperskie buty na grubych podeszwach.

Ale głównym powodem niemal powszechnego uwielbienia był stosunek profesora do studentów. Raz w tygodniu zapraszał ich na domowe obiady, a jeśli któryś miał jakieś kłopoty, finansowe, rodzinne czy z nauką, zawsze mógł liczyć na pomoc Johnstona.

Chris ostrożnie otworzył stojącą na ziemi metalową walizeczkę i wyjął z niej

przejrzysty płaski ekran ciekłokrystaliczny. Zamontował go pionowo w uchwytach na szczycie trójnogu, po czym zrestartował komputer, żeby system operacyjny rozpoznał dodatkowe urządzenie.

— Jeszcze parę sekund — powiedział. — GPS musi się skalibrować.

Johnston uśmiechnął się i skinął głową.

Chris specjalizował się w technologiach i wynalazkach średniowiecznych. Był ekspertem od dawnej metalurgii i sztuki zbrojarskiej, zasad trójpolowej gospodarki rolnej, chemii garbarskiej i dziesiątek innych specjalności tamtego okresu. Postanowił, że tematem jego pracy doktorskiej będą średniowieczne młyny wodne — równie fascynujące, co zapomniane. Dlatego zainteresował się przede wszystkim ruinami młyna Sainte-Mère.

Kiedy Hughes był na ostatnim roku studiów, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Nie miał rodzeństwa, więc bardzo ciężko to przeżył, myślał nawet o porzuceniu nauki. Johnston nakłonił go wtedy, aby na trzy miesiące zamieszkał w jego domu, i starał się zastąpić mu ojca. Zajął się wszelkimi problemami Chrisa, od spraw majątkowych rodziców, po kłopoty sercowe, a tych ostatnich było bardzo dużo.

Osamotniony po utracie najbliższych Hughes zaczął się wiązać z wieloma kobietami. Rychło pojawiły się rozmaite komplikacje — gniewne wymówki zazdrosnych kochanek, tajemnicze nocne rozmowy telefoniczne na temat opóźniającej się miesiączki, kiedy akurat był w łóżku z kim innym, czy wreszcie przypadkowe spotkanie w hotelu ze znajomym doktorem filozofii, uwikłanym w szczególnie bulwersującą i niesmaczną sprawę rozwodową. Jak można się było spodziewać, nie pozostało to bez wpływu na wyniki w nauce. I wtedy znów zainterweniował profesor. Przez kilka kolejnych wieczorów odbywał ze swoim magistrantem szczerą męską rozmowę.

Chris był jednak głuchy na dobre rady. Niedługo później stał się przyczyną sprawy rozwodowej i tylko interwencja Johnstona uchroniła go przed wyrzuceniem ze studiów. Jakby nagle oprzytomniał, popadł w drugą skrajność i całkowicie poświęcił się nauce. Szybko poprawił oceny i skończył ostatni rok z piątą lokatą. Jednocześnie stał się szalenie konserwatywny i teraz, mając dwadzieścia cztery lata, przejawiał wyraźne skłonności do pedanterii. Zaczął też mieć kłopoty z żołądkiem. Z dawnych lat pozostała mu tylko słabość do kobiet.

* * *

— No, wreszcie — mruknął Hughes. — Program ruszył.

Na ekranie pojawiły się jaskrawozielone kontury, widoczne za przejrzystą szy-

bą ruiny młyna otoczyła zielonkawa poświata. Stosowali najnowszą metodę modelowania struktur archeologicznych. Do niedawna mogli bazować tylko na tradycyjnych modelach architektonicznych, których elementy mozolnie wycinało się z płyt styropianu. Praca szła bardzo powoli, a nanoszenie poprawek było skomplikowane.

Jak w wielu innych dziedzinach pomocne okazało się modelowanie komputerowe. Nie tylko znacznie szybciej uzyskiwało się obraz całej budowli, ale i łatwo było wprowadzać modyfikacje. Co więcej, program komputerowy umożliwiał weryfikację założeń w terenie. Do bazy danych wprowadzało się koordynaty ruin, a komputer za pośrednictwem przystawki GPS odczytywał z sieci satelitarnej dokładne współrzędne geograficzne i po dokonaniu obliczeń ukazywał obiekt we właściwej perspektywie, na tle autentycznych resztek budowli.

Obaj mężczyźni patrzyli z uwagą, jak zielone zarysy na ekranie wypełniają się barwnymi plamami. Chwilę później widoczny był już w całości szeroki, w znacznej części osłonięty murami kamienny most i rozmieszczone pod nim trzy wielkie koła młyńskie.

— Chris — odezwał się Johnston z podziwem w głosie. — Ty go ufortyfikowałeś!

— Wiem, że to ryzykowne założenie. . .

— Ależ skąd! Moim zdaniem całkiem sensowne.

W literaturze fachowej spotykało się wzmianki o warownych młynach, istniały oryginalne zapiski dotyczące bitew o tego typu budowle i sporów o prawa do nich. Odkryto jednak ruiny tylko dwóch ufortyfikowanych młynów: w Buerge i niedaleko Montauban, w sąsiedniej dolinie. Historycy średniowiecza uważali, że takie młyny należały do rzadkości.

— Podstawy słupów nośnych na brzegu rzeki są bardzo duże — tłumaczył Chris. — Kiedy młyn porzucono, okoliczni chłopcy wykorzystali kamienie do budowy własnych domów. Ale większe głazy z podstaw filarów pozostały, bo były po prostu za duże, aby ruszyć je z miejsca. Wyciągnąłem stąd wniosek, że most był szczególnie masywny, a więc prawdopodobnie ufortyfikowany.

— Niewykluczone — odparł Johnston. — Poza tym wydaje mi się. . .

W tej samej chwili z głośnika krótkofalówki doleciał głośny trzask.

— Chris? Czy profesor jest z tobą? Minister już do was jedzie.

Johnston spojrzał w kierunku ruin klasztoru, skąd wzdłuż rzeki prowadziła wyboista polna droga. W ich stronę pędził zielony land-rover z dużym białym napisem na drzwiach. Podskakiwał w koleinach, zostawiając za sobą wielki tuman kurzu.

— Już tu jest — mruknął profesor. — To na pewno Francois. Zawsze mu się śpieszy.

* * *

— Edouard! Edouard! — Francois Bellin objął profesora i ucałował go w oba policzki. Był wysoki, łysiejący i nadzwyczaj wylewny. — Drogi przyjacielu, tak dawno cię nie widziałem. Jak się miewasz?

— Doskonale, Francois — odparł Johnston, odsuwając się na krok. Dobrze wiedział, że ta ostentacyjna poufałość musi oznaczać jakieś problemy. — A co u ciebie?

— Bez zmian. Nie mogę narzekać. — Bellin rozejrzał się na boki, położył rękę na ramieniu profesora i rzekł konspiracyjnym szeptem: — Edouard, muszę cię prosić o przysługę. Mam drobny kłopot.

— Jaki?

— Znasz tę reporterkę z „L’Express”?

— Nie — uciał Johnston. — To wykluczone.

— Edouard. . .

— Już z nią rozmawiałem przez telefon. Należy do osób, które na każdym kroku wietrzą spisek. Kapitalizm jest ohydny, wszelkie korporacje to wcielenie zła. . .

— Tak, Edouard, masz całkowitą rację. — Przysunął się bliżej. — Ale ta kobieta sypia z ministrem kultury.

— To nie zmienia postaci rzeczy.

— Proszę, Edouard. Ona zyskuje coraz większą popularność, może nam przysporzyć kłopotów. I mnie, i tobie, i temu projektowi. . .

Johnston westchnął.

— Wiesz, że w obiegowej opinii Amerykanie niszczą każdą kulturę, bo nie mają własnej — ciągnął Bellin. — Robi się szum wokół amerykańskich filmów czy muzyki. Mówi się nawet o konieczności wyeliminowania Amerykanów z pracy nad francuskimi zabytkami. I co ty na to?

— Stara śpiewka — mruknął profesor.

— Nawet wasz sponsor, ITC, sugeruje, byś porozmawiał z tą dziennikarką.

— Czyżby?

— Tak. Panna Kramer jest gotowa nalegać.

Johnston westchnął po raz drugi.

— To nie zajmie ci więcej niż kilka minut. Obiecuję. — Francuz wskazał zielonego land-rovera. — Ona czeka w samochodzie.

— Sam ją tu przywiozłeś? — zdziwił się profesor.

— Zrozum, Edouard. Musimy traktować tę kobietę poważnie. Nazywa się Louise Delvert.

Dziennikarka wysiadła właśnie z auta. Była kobietą po czterdziestce, zgrabną

brunetką o regularnych, choć nieco za ostrych rysach twarzy. Emanowała celowo nieudolnie maskowaną zmysłowością. Delvert miała na sobie jasną bawełnianą bluzkę i luźne spodnie, a przez ramię przewieszony aparat fotograficzny, kamerę wideo i reporterski magnetofon. Z otwartym notatnikiem w dłoni ruszyła energicznym krokiem w stronę trzech mężczyzn.

— Profesor Johnston — powiedziała z francuskim akcentem, uśmiechając się przyjaźnie. — Czuję się zaszczycona, że znalazł pan czas na rozmowę ze mną.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Johnston, delikatnie ściskając jej dłoń. — Pokonała pani długą drogę, panno Delvert. Chętnie udzielę pani wszelkich informacji.

Profesor nie wypuszczał jej dłoni przez dobre dziesięć sekund, a Delvert cały czas uśmiechała się do niego przymilnie. Powtórzyła, że czuje się zaszczycona, na co Johnston ponownie odparł, iż cała przyjemność po jego stronie.

* * *

Ruszyli w kierunku ruin klasztoru. Johnston i panna Delvert szli przodem, Bellin i Chris parę kroków za nimi, na tyle blisko, aby słyszeć każde słowo.

Johnston od wielu lat był wdowcem i choć krążyło wiele rozmaitych plotek, Chris nigdy go nie widział w towarzystwie kobiety. Z tym większym zainteresowaniem obserwował teraz profesora. Nie zauważył jednak żadnych zmian w jego zachowaniu. Johnston sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego rozmową. Uważnie słuchał pytań dziennikarki. A pytania okazały się znacznie mniej zaczepne, niż można było oczekiwać.

— Jak panu zapewne wiadomo, profesorze — mówiła Delvert — już od pewnego czasu moje pismo zbiera materiały dotyczące amerykańskiej firmy o nazwie ITC.

— Tak, słyszałem o tym.

— Czy to prawda, że ITC sponsoruje wasze prace wykopaliskowe?

— Owszem.

— Słyszałam, iż firma poświęca na ten cel milion dolarów rocznie.

— Coś koło tego.

Przez chwilę panowało milczenie, jakby Delvert chciała starannie dobrać słowa do następnego pytania.

— Zdaniem niektórych moich kolegów wydawanie tak dużych pieniędzy na wykopaliska jest podejrzone.

— Proszę przekazać swoim kolegom, że nie ma w tym niczego podejrzanego — odrzekł Johnston. — Prace badawcze na tak dużych stanowiskach jak to

zazwyczaj tyle kosztują. Zresztą ITC pokrywa tylko nasze koszty bezpośrednio w wysokości ćwierć miliona. Dodatkowo płaci rocznie sto dwadzieścia pięć tysięcy na rzecz uniwersytetu, osiemdziesiąt tysięcy na stypendia naukowe, delegacje i zasiłki oraz pięćdziesiąt tysięcy na sprzęt laboratoryjny i archiwizację dokumentów.

— Ale to nie wszystko, fundusz jest znacznie wyższy. — Francuzka zamrugała i okręciła pasemko włosów wokół długopisu.

Chris pomyślał, że próbuje kokietować profesora.

— Oczywiście, że jest wyższy — odparł Johnston, nie zwróciwszy nawet uwagi na jej zabiegi — ale reszta nie ma nic wspólnego z naszymi badaniami. To koszty prowadzonych rekonstrukcji. Jak pani na pewno wie, księguje się je oddzielnie, gdyż w kosztach odbudowy partycypuje także rząd francuski.

— Tak, wiem. Zatem uważa pan, że roczny koszt typowych prac wykopaliskowych wynosi około pół miliona dolarów?

— Możemy spytać o to Bellina. Obecnie tylko w tej części kraju trwają prace na dwudziestu siedmiu stanowiskach archeologicznych, od paleolitycznych, którymi zajmują się koledzy z uniwersytetu w Zurichu wspomagani przez firmę Carnegie-Mellon, aż do późnorzymskiego fortu pod Bordeaux, gdzie badania prowadzi ekipa z Oksfordu. Koszty prac na każdym z tych stanowisk oscylują wokół pół miliona dolarów rocznie.

— Nie wiedziałam o tym. — Delvert spojrzała profesorowi prosto w oczy, otwarcie go prowokując.

Robi to zbyt jawnie, pomyślał Hughes. Uderzyło go nagle, że prawdopodobnie od pierwszej chwili niewłaściwie oceniał zachowanie dziennikarki. Przecież mógł to być jej zwykły sposób prowadzenia wywiadu.

Johnston obejrzał się na Bellina.

— Słyszałeś, Francois? Co na to powiesz?

— Jestem przekonany, że wiesz, co robisz... to znaczy, co mówisz — odparł minister. — Rzeczywiście koszty prac wykopaliskowych wahają się od czterystu do sześćset tysięcy dolarów rocznie, przy czym badania ekip skandynawskich, niemieckich i amerykańskich są najdroższe. Kosztowne są także prace na stanowiskach z paleolitu. Masz rację, średni koszt oscyluje wokół pół miliona dolarów.

Panna Delvert nie spuszczała wzroku z Johnstona.

— Wróćmy do pańskich badań, profesorze. Ile czasu musi pan poświęcać fundatorowi wykopalisk?

— Prawie wcale.

— Czyżby?

— Prezes ITC, Robert Doniger, odwiedził nas przed dwoma laty. Pasjonuje się historią i wszystko przyjmował niemal z dziecięcym entuzjazmem. Poza tym któryś z wiceprezesów firmy przylatuje tu średnio raz w miesiącu. Właśnie teraz gościmy pannę Kramer. Pomijając te krótkie wizyty, pracujemy na własną rękę.

— A co pan wie o działalności ITC?

Johnston lekceważąco wzruszył ramionami.

— Prowadzą badania z zakresu fizyki kwantowej i produkują jakieś części do aparatów rezonansu magnetycznego stosowanych w lecznictwie. Poza tym opracowują kilka różnych metod datowania opartych na technice kwantowej, umożliwiających dokładne określenie wieku znaleziska. W tym zakresie ściśle współpracujemy.

— Rozumiem. Jakie rezultaty przynoszą te nowe metody?

— Mamy kilka prototypowych urządzeń w magazynie. Niestety, okazały się zbyt delikatne do pracy w terenie. Ciągle coś się psuje.

— Tak więc jednym z powodów finansowania przez ITC waszych badań jest możliwość testowania urządzeń?

— Nie — odparł Johnston. — To sprawa drugorzędna. ITC zajmuje się opracowywaniem sprzętu do datowania z tych samych przyczyn, z jakich nas finansuje. Bob Doniger jest pasjonatem historii. Stanowimy jego hobby.

— Dosyć kosztowne.

— Nie dla niego, jest miliarderem. Kupił Biblię Gutenberga za dwadzieścia trzy miliony dolarów, a na aukcji arrasów z Rouen wydał siedemnaście milionów. Koszty naszych prac to dla niego mało znacząca suma.

— Możliwe, ale pan Doniger jest także biznesmenem.

— Zgadza się.

— I naprawdę sądzi pan, że wspiera wasze wykopaliska tylko ze względu na swoje zamiłowania? — spytała łagodnym, niemal przymilnym tonem.

Johnston spojrzał na nią.

— Nigdy nie wiadomo, panno Delvert, jakie są prawdziwe pobudki czyichś działań.

A więc on także coś podejrzewa, pomyślał Chris. Delvert chyba również to wyczuła, gdyż nagle przeszła na ostrzejszy, bardziej rzeczowy ton.

— Ma pan rację. Nie pytałam o wasze stosunki z ITC bez przyczyny. Czy to prawda, że nie macie żadnych praw własności do wyników prowadzonych badań, a wszelkie znaleziska stają się własnością sponsora?

— Tak, to prawda,

— I pan się na to godzi?

— Gdybym pracował dla Microsoftu, wyniki moich prac byłyby własnością Billa Gatesa.

— Owszem, to jednak nie to samo.

— Dlaczego? ITC jest firmą inżynierską i fundusz ustanowiony przez Donigera niczym się nie różni od podobnych funduszy tworzonych przez inne przedsiębiorstwa tego typu. Nie martwię się też obwarowaniami zawartymi w umowie, dopóki mamy pełną swobodę publikowania wyników naszych prac i pobierania za to odpowiednich honorariów.

— Ale dopiero po uzyskaniu zgody sponsora.

— To prawda, wcześniej musimy przedstawić materiały ITC. Do tej pory jednak nie spotkaliśmy się nawet z żadnym komentarzem.

— Krótko mówiąc, nie dostrzega pan jakiegoś większego planu za poczynaniami ITC? — spytała dziennikarka.

— A pani? — odparł szybko Johnston.

— Nie wiem. Właśnie dlatego z panem rozmawiam. Pewne aspekty działalności firmy wydają mi się szczególnie zastanawiające.

— Jakie?

— Na przykład to, że ITC jest największym na świecie konsumentem ksenonu.

— Ksenonu? Chodzi pani o gaz szlachetny?

— Tak. Używa się go do wypełniania lamp elektronowych i laserów. Profesor wzruszył ramionami.

— Z mojego punktu widzenia ITC może zużywać tyle ksenonu, ile tylko zdoła kupić. Nie widzę w tym nic zastanawiającego.

— A zainteresowanie firmy rzadkimi metalami? Ostatnio ITC kupiła nigeryjskie przedsiębiorstwo, aby zapewnić sobie rytmiczne dostawy niobu.

— Niobu? A co to jest?

— Metal o właściwościach podobnych do tytanu.

— Do czego służy?

— Do produkcji magnesów nadprzewodzących. Poza tym używa się go w reaktorach jądrowych.

— I zastanawia się pani, do czego ITC wykorzystuje ten metal? — Johnston pokręcił głową. — Proszę ich o to zapytać, panno Delvert.

— Próbowałam. Powiedziano mi, że niob jest potrzebny do badań z zakresu specjalistycznego magnetyzmu.

— I ma pani jakieś powody, aby w to nie wierzyć?

— Nie, ale jak sam pan powiedział, ITC jest firmą inżynierską. Zatrudnia aż dwustu fizyków, którzy pracują nad stworzeniem nowych technologii.

— Zgadza się.

— Ciekawi mnie, po co badawczej firmie technologicznej aż tyle ziemi.

— Ziemi?

— ITC wykupuje duże połacie gruntów w różnych rejonach świata, w górach Sumatry, w północnej Kambodży, w południowo-wschodnim Pakistanie, w porośniętej dżunglą środkowej części Gwatemali, na peruwiańskich płaskowyżach andyjskich. . .

— Jest pani pewna? — spytał Johnston ze zmarszczonymi brwiami.

— Całkowicie. Nie wspomniałam jeszcze o terenach w Europie. Pięćset hektarów na zachód od Rzymu i siedemset w Niemczech, w okolicach Heidelberga.

ITC kupiła także ziemię we Francji: tysiąc hektarów usianych wapiennymi skałami wzgórz nad rzeką Lot oraz ten teren, nad Dordogne.

— Tutaj też?

— Owszem. Za pośrednictwem brytyjskich i szwedzkich firm holdingowych ITC potajemnie wykupiła pięćset hektarów obejmujących wszystkie wasze stanowiska archeologiczne. W tej chwili są to głównie lasy i ziemie uprawne.

— Czemu miałyby korzystać z usług firm holdingowych?

— Aby trudniej było wyśledzić rzeczywistego nabywcę. Wszystko, czym zajmuje się ITC, jest robione w ścisłej tajemnicy. Wróćmy jednak do rzeczy najważniejszej. ITC w całości finansuje wasze prace badawcze, więc po co dodatkowo wykupiła ziemię wokół wszystkich stanowisk?

— Nie mam pojęcia — odparł Johnston. — Formalnie ITC nie jest właścicielem gruntów. W ubiegłym roku firma przekazała nasze stanowiska, a więc Castलगard, Sainte-Mère oraz Beyzac, rządowi francuskiemu.

— Oczywiście, lecz tylko ze względu na ulgi podatkowe.

— Tak czy inaczej, to nie ITC jest właścicielem stanowisk. Czemu więc firma miałyby kupować okoliczne tereny?

— Z przyjemnością pokażę panu całą dokumentację, jaką zgromadziłam w tej sprawie.

— Chyba powinna pani to zrobić — rzekł profesor.

— Mam wszystkie materiały w samochodzie.

Zawrócili w kierunku land-rovera. Spoglądając za nimi, Bellin skrzywił się z niesmakiem.

— O rety... Dziś już nikomu nie można ufać — mruknął.

Chris, który słabo znał francuski, układał jeszcze w myślach odpowiedź, kiedy przez krótkofalówkę wezwał go David Stern, główny technik ekipy:

— Chris? Profesor jest z tobą? Zapytaj go, czy zna niejakiego Jamesa Waunę.

Hughes wcisnął klawisz nadawania i rzekł do mikrofonu:

— Profesor jest teraz zajęty. O co chodzi?

— Ten facet z Gallup dzwonił już dwa razy. Chce nam przesłać szkic architektoniczny tutejszego klasztoru, który jakoby znalazł na pustyni.

— Co takiego? Na pustyni?

— To pewnie jakiś pomyleniec. Twierdzi, że jest gliniarzem, i w kółko gada o zmarłym naukowcu z ITC.

— Dobra, podyktuj mu nasz adres e-mailowy — odparł Chris. — Obejrzymy ten szkic.

Wyłączył radio. Bellin zerknął na zegarek, a potem spojrzął w stronę land-rovera. Johnston i Delvert stali pochyleni nad dokumentami rozłożonymi na masce. Niemal stykali się głowami.

— Mam umówione spotkanie — jęknął minister. — Kto wie, ile to jeszcze potrwa?

— Sądzę, że niedługo — odparł Chris.

* * *

Dwadzieścia minut później Bellin z panną Delvert wyruszyli w drogę powrotną. Hughes i profesor pomachali im na pożegnanie.

— Mam nadzieję, że nieźle mi poszło — odezwał się Johnston.

— Co to były za dokumenty? — spytał Chris.

— Kopie aktów własności ziemi w tej okolicy. Cztery działki wykupiło jakieś niemieckie konsorcjum inwestycyjne, o którym nic nie wiadomo. Dwie działki nabył angielski adwokat, rzekomo pragnący się tu osiedlić na starość. Kilka innych holenderski bankier dla swojej dorastającej córki, i tak dalej.

— Anglicy i Holendrzy od lat wykupują ziemię w Perigord. To nic nowego.

— No właśnie. Według niej wszystkie ostatnie transakcje da się powiązać z ITC, ale to naciągana teoria, wyłącznie dla amatorów sensacji.

Samochód zniknął za szczytem wzgórza. Mężczyźni zawrócili w kierunku rzeki. Słońce stało już wysoko na niebie, zrobiło się gorąco.

— Czarująca kobieta — powiedział Hughes w zamyśleniu.

— Moim zdaniem zbyt wiele czasu poświęca sprawom zawodowym — odparł Johnston.

Wsiedli do łodzi stojącej w zakolu rzeki. Chris odwiązał ją od palika, obrócił dziobem ku nurtowi i silnymi uderzeniami wiosł skierował na drugi brzeg, do Castelgard.

* * *

Zaczęli się wspinać na wysoką, stromą skarpe. Nieco poniżej jej szczytu minęły pierwsze fragmenty murów obronnych zamku. Od strony rzeki pozostały po nich tylko obłe wały porośnięte trawą, spod której miejscami wystawały nagie kamienie. Po upływie sześciuset lat wyglądały na formację naturalną. Tylko wprawne oko mogło w nich rozpoznać resztki murów.

— Odniosłem wrażenie — powiedział profesor — że Delvert jest przeciwna sponsorowaniu badań przez bogate przedsiębiorstwa. Zapomina jednak, że ar-

cheolodzy zawsze bazowali na hojności dobroczyńców. Sto lat temu fundatorami mogły być pojedyncze osoby, Carnegie, Peabody czy Stanford, ale teraz naprawdę bogate są tylko korporacje. Skoro telewizja japońska finansuje prace w Kaplicy Sykstyńskiej, brytyjski Telcom opiekuje się Yorkiem, Philipps patronuje renowacji twierdzy w Tuluzie, to czemu ITC nie miałyby sponsorować naszych badań?

— O wilku mowa — mruknął Chris.

Dotarli właśnie na szczyt skarpy. W dole ujrzeni Diane Kramer pograżoną w rozmowie z Andre Markiem. Profesor westchnął głośno.

— Zmarnowany dzień. Jak długo ona zamierza tu siedzieć?

— W Bergerac czeka na nią samolot. Mają wystartować o trzeciej po południu.

* * *

— Przepraszam za tę wścibską babę — powiedziała Kramer, kiedy Johnston podszedł, żeby się z nią przywitać. — We wszystko się wtrąca, a my nie jesteśmy w stanie jej uciszyć.

— Bellin mówił, że nalegała pani, bym z nią porozmawiał.

— Każdego prosimy, żeby zechciał odpowiedzieć na jej pytania. Naprawdę robimy wszystko, aby ją przekonać, że nie mamy niczego do ukrycia.

— Była zbulwersowana tym, że ITC wykupuje ziemię w tej okolicy.

— Ziemię? ITC? — Kramer zaśmiała się w głos. — Pierwsze słyszę. A nie pytała pana o niob i reaktory jądrowe?

— Prawdę mówiąc, pytała. Według niej wykupiliście jakieś przedsiębiorstwo nigeryjskie, żeby zapewnić sobie dostawy tego metalu.

— Nigeryjskie — powtórzyła Kramer, kręcąc głową. — No, no. W rzeczywistości sprowadzamy niob z Kanady. Powinien pan wiedzieć, że to wcale nie taki rzadki metal. Kosztuje około stu pięćdziesięciu dolarów za kilogram. — Jeszcze raz pokręciła głową. — Chcieliśmy ją oprowadzić po naszych laboratoriach, zorganizować spotkanie z prezesem firmy, zapewnić fotografa, kontakt z wybranymi przez nią ekspertami. Jednym słowem wszystko, czego by zapragnęła. Nie zgodziła się. Takie już jest nowoczesne dziennikarstwo: nie można dopuścić, aby fakty przesłoniły wizję świata. — Obejrzała się i wskazując ręką ruiny zamku Castलगard, dodała: — W każdym razie doktor Marek urządził mi cudowną wycieczkę. Najpierw pokazał cały teren z powietrza, a potem oprowadził po ruinach zamku. Nie ulega wątpliwości, że wykonujecie tu dobrą robotę. Postępy są wyraźne, efekty interesujące, archiwizacja bez zarzutu, ludzie zadowoleni, a teren odpowiednio zabezpieczony. Naprawdę znakomicie, trudno oczekiwać czegoś więcej. Tylko doktor Marek nie chciałby się spóźnić na... Jak pan to nazwał?

— Lekcję fechtunku — odpowiedział Andre.
— Właśnie, lekcję fechtunku. Wolę go dłużej nie zatrzymywać. Czy panowie mogliby towarzyszyć mi przez jakiś czas?
— Oczywiście — odparł Johnston.
W krótkofalówce znowu zatrzeszczało.
— Chris? Sophie cię szuka.
— Porozmawiam z nią później.
— Ależ nie — wtrąciła szybko Kramer. — Proszę się zająć swoimi sprawami. Chętnie zostanę z profesorem.
— Zazwyczaj Chris mi towarzyszy, robi notatki zaoponował profesor.
— Dzisiaj nie będziemy potrzebowali żadnych notatek.
— W porządku, jak pani sobie życzy. — Johnston odwrócił się do Hughesa.
— Na wszelki wypadek zostaw mi radio.
— Jasne.
Chris odpiął krótkofalówkę od paska i podał profesorowi. Ten obrócił ją w dłoni i niepostrzeżenie włączył ciągle nadawanie. Dopiero później umocował sobie radio przy pasie.
— Dzięki — powiedział. — Biegnij teraz do Sophie. Dobrze wiesz, jak ona nie lubi czekać.
— Lecę — rzucił Hughes.
Kiedy Johnston i Kramer ruszyli z wolna wzdłuż resztek murów, pobiegł pełną drogą w stronę kamiennych zabudowań, gdzie była główna baza ekipy.

* * *

Na samym początku prac kupili zniszczony kamienny dom znajdujący się tuż pod murami zrujnowanej warowni Castelgard. Naprawili dach i załatali dziury w ścianach, a następnie umieścili wewnątrz sprzęt elektroniczny i laboratoryjny, łącznie z komputerowymi stanowiskami archiwizacyjnymi. W kącie zielonego namiotu rozstawionego przy budynku leżały nieprzepisane notatki i nieskatalogowane jeszcze znaleziska.

Chris wbiegł do domu, rozdzielonego prowizorycznym przepierzeniem na dwa pomieszczenia. Lewe zajmowała Elsie Kastner, lingwista i grafolog ekipy. Badała właśnie jakieś stare dokumenty. Hughes nawet nie spojrzał w jej kierunku. Od razu skręcił na prawo do głównej części zastawionej sprzętem elektronicznym. David Stern, technik zespołu, rozmawiał przez telefon.

— Będzie pan musiał zeskanować ten szkic z dość wysoką rozdzielczością i przesłać nam utworzony plik — mówił do słuchawki. — Ma pan dostęp do

skanera?

Chris rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając krótkofalówki. Ale jej nie znalazł.

— Departament policji nie dysponuje skanerem? — kontynuował Stern. — Ach, rozumiem. Dzwoni pan ze szpitala. Więc czemu nie pójdzie pan na posterunek i nie skorzysta z policyjnego skanera?

Hughes delikatnie klepnął technika w ramię i wyszeptał:

— Radio! — Stern przytaknął ruchem głowy i odpiął swoją krótkofalówkę od paska.

— Tak, oczywiście, szpitalny skaner powinien wystarczyć. Może znajdzie pan tam kogoś do pomocy? Potrzebna nam rozdzielczość tysiąca dwustu osiemdziesięciu na tysiąc dwadzieścia cztery punkty na cal, a plik w formacie JPEG. Dopiero po jego utworzeniu będzie pan mógł przesłać...

Chris wybiegł przed budynek, w pośpiechu przerzucając kanały łączności radiowej. Szybkim spojrzeniem ogarnął całe stanowisko archeologiczne. Od razu dostrzegł profesora i pannę Kramer. Patrzyli ze szczytu skarpy na ruiny klasztoru. Diane trzymała otwarty notatnik i coś w nim szkicowała.

Złowił strzępy ich rozmowy na kanale ósmym:

— ... znacznie przyspieszyć prace — powiedziała Kramer.

— Co takiego? — zdziwił się Johnston.

* * *

Profesor pochylił głowę i zmierzył gościa surowym spojrzeniem znad drucianej oprawki okularów.

— To niemożliwe — odparł stanowczo.

Kramer wzięła głębszy oddech.

— Chyba niewłaściwie mnie pan zrozumiał. Przecież podjęliście już pewne prace rekonstrukcyjne, na których Bobowi tak bardzo zależy. Chciałby ruszyć z odbudową w najszerszym możliwym zakresie.

— Tak właśnie rozumiałem i twierdzę, że to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Ponieważ zbyt mało wiemy — odparł ze złością profesor. — Proszę zwrócić uwagę, że jedyne prace rekonstrukcyjne, jakie dotąd podjęliśmy, były podyktowane wyłącznie względami bezpieczeństwa. Musieliśmy naprawić mury, żeby kamienie nie sypały się nam na głowę. Nie jesteśmy jednak gotowi do rozpoczęcia odbudowy całego zamku.

— Na pewno jakąś część można by już odtworzyć. Niech pan spojrzy chociażby na klasztor. Bez wątplenia da się już odbudować kościół, główny budynek mieszkalny, refektarz. . .

— Co takiego? Refektarz? A skąd pani wie, że refektarz przylegał do głównego budynku klasztornego?

— No cóż, wydawało mi się. . .

— Właśnie, wydawało się. Problem polega na tym, że wciąż nie jesteśmy pewni lokalizacji refektarza. Przypuszczamy, że sąsiedował z głównym budynkiem, nie mamy jednak żadnych dowodów.

— Profesorze, akademickie rozważania można ciągnąć bez końca — rzuciła wyraźnie poirytowana Kramer. — Ale w realnym świecie tylko konkretne wyniki. . .

— Właśnie na nich mi zależy — przerwał jej Johnston. — Nie można powtarzać błędów z przeszłości. W ubiegłym wieku pewien architekt, Viollette-Duc, dokonał rekonstrukcji wielu zabytków w całej Francji. Niektóre odtworzył bezbłędnie, ale inne nie. Nie dysponował wystarczająco dokładnymi informacjami i dlatego popełnił błędy. Część budowli nosi wyraźne znamiona jego inwencji twórczej.

— Rozumiem, że dąży pan do maksymalnej precyzji. . .

— Gdybym wiedział, że ITC chce tu zbudować Disneyland, nigdy bym się na to nie zgodził.

— Nie chcemy żadnego Disneylandu.

— Jeżeli teraz przystąpimy do rekonstrukcji, nic innego nie uzyskamy, panno Kramer. Byłoby to urzeczywistnienie naszych wyobrażeń, średniowieczna kraina fantazji. . .

— Zapewniam pana, że nie zależy nam na urzeczywistnianiu wyobrażeń. Chcemy dokonać historycznie dokładnej rekonstrukcji tego obiektu.

— Ale tego nie da się zrobić.

— Naszym zdaniem się da.

— Jak?

— Z całym szacunkiem, profesorze, wykazuje pan zbyt dużą zachowawczość. Wie pan znacznie więcej, niż chce się do tego przyznać. Na przykład miasteczko Castelgard przylegające do zamkowych murów z pewnością można by już odbudować.

— Podejrzewam, że. . . przynajmniej w części byłoby to możliwe.

— I tylko o to nam chodzi. Chcemy zacząć rekonstrukcję tam, gdzie jest to wykonalne.

* * *

David Stern wyszedł z domu i stanął obok Chrisa.

— Podsluchujesz? — spytał.

— Cicho. To bardzo ważne.

Stern obojętnie wzruszył ramionami. Nie podzielał entuzjazmu młodych magistrantów, z którymi przyszło mu pracować. Nie był historykiem, lecz fizykiem, i na wiele rzeczy patrzył zupełnie inaczej. Nie zachwycał się odkryciem kolejnego paleniska do wytopu żelaza czy wykopaniem paru ludzkich kości z dawnego grobu. Przyjął tę pracę — polegającą na konserwacji sprzętu elektronicznego, wykonywaniu prostych analiz chemicznych i datowaniu znalezisk tradycyjną metodą węglową — tylko z jednego powodu: żeby być bliżej swojej narzeczonej, która odbywała letnie praktyki w Tuluzie. Zaintrygowały go kwantowe techniki oznaczania wieku znalezisk, ale jak dotąd specjalistyczne urządzenia psuły się na okrągło.

Z głośnika krótkofalówki doleciał głos Kramer:

— Gdybyśmy odbudowali część miasta, moglibyśmy też przystąpić do rekonstrukcji fragmentów murów obronnych, zwłaszcza tam, gdzie budynki do nich przylegały. Na przykład tu. — Wskazała prosty odcinek odsłoniętego muru biegnącego z północy na południe.

— No cóż, prawdopodobnie dałoby się...

— Można by odtworzyć cały ten mur, aż do lasu — ciągnęła Diane. — Gdy by wyciąć trochę drzew, już teraz moglibyśmy zacząć odbudowę tamtejszej wieży.

Stern i Hughes popatrzyli na siebie zdumieni.

— O czym ona mówi? — zapytał technik. — Jakiej wieży?

— Nikt jeszcze niczego nie szukał w tamtym lasku — odparł Chris. — Zamierzaliśmy się tym zająć pod koniec lata i prowadzić poszukiwania przez całą jesień.

Przez radio usłyszeli odpowiedź profesora:

— Ta propozycja jest bardzo interesująca, panno Kramer. Jeśli pani pozwoli, przedyskutuję ją z resztą zespołu i ponownie wrócimy do sprawy podczas lunchu.

Hughes popatrzył na drugi koniec dziedzińca. Johnston odwrócił się w ich stronę i wymownie wskazał palcem na pobliski młodniak.

* * *

Minęli ruiny miasta, wspięli się na trawiaste wzniesienie i stanęli na skraju

lasku. Drzewka były jeszcze młode, rosły jednak blisko siebie i pod zwartą osłoną listowia panował chłód i półmrok. Hughes ruszył wzdłuż muru, który jednak stawał się coraz niższy i w końcu całkowicie zniknął pod darnią. Musiał zwolnić. Odchyłał wybudujące paprocie i zaglądał między kępy trawy, aby nie stracić z oczu resztek budowli.

Przypomniał sobie pierwszą wizytę w Castelgard. Wówczas cały szczyt skarpy był zarośnięty młodym lasem. Kilka większych fragmentów ścian ginęło pod warstwą mchu i porostów. Sprawiały wrażenie jakiegoś olbrzymiego baśniowego stwora wynurzającego się spod ziemi. Ruiny spowijała atmosfera pradawnej tajemnicy, która bezpowrotnie zniknęła, gdy tylko oczyścili teren i rozpoczęli wykopaliska.

Stern szedł za nim w milczeniu. Rzadko wychodził z laboratorium, więc wyraźnie cieszył się z okazji do krótkiego spaceru.

— Dlaczego te drzewa są takie niskie? — zapytał w końcu.

— To młody las — odparł Chris. — Prawie wszystkie lasy w Perigord są młode, nie mają nawet stu lat. Wcześniej rozciągały się tu winnice.

— Co się z nimi stało?

Hughes wzruszył ramionami.

— Zaraza. Pod koniec ubiegłego wieku olbrzymią część upraw zniszczyła filoksera, szkodnik winorośli. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Francuski przemysł winiarski doprowadziło to niemal do upadku. Uratował go dopiero import z Kalifornii odmian winorośli odpornych na filokserę. Teraz Francuzi niechętnie o tym wspominają.

Uważnie patrzył pod nogi, szukając pojedynczych kamieni bądź ich odłamków, resztek dawnego muru. Niczego nie dostrzegł. Parokrotnie się cofał w poszukiwaniu zgubionego tropu.

— Cholera.

— Co się stało?

— Nie mogę odnaleźć ruin. Mur biegł tędy... — wskazał dłonią kierunek — ... ale tu ślad się urywa.

Stali przed kępą krzaków. Pod gęstymi paprociami ciągnęły się kolczaste pędy jakichś pnączy. Chris był w krótkich spodenkach i zdążył już podrapać sobie nogi. Stern miał długie spodnie, ruszył więc dalej, mówiąc:

— Na pewno nie zakrecał gwałtownie, musi tu coś być...

Hughes postanowił jeszcze raz sprawdzić kilka ostatnich metrów. Odwrócił się, kiedy nagle doleciał go stłumiony okrzyk Davida.

Spojrzał przez ramię.

Sterna nigdzie nie było. Zniknął.

Chris pozostał sam w lesie.

* * *

- David?
Odpowiedział mu cichy jęk.
— Jasna cholera. . .
— Co się stało?
— Skręciłem sobie kostkę. Boli jak diabli.
Hughes rozejrzał się szybko.
— Gdzie jesteś?
— W dole, wpadłem do jamy. Uważaj, jak będziesz tu podchodził. Chociaż. . .
— Kolejny jęk i zdławione przekleństwo. — Dobra, jakoś sobie poradzę. Stane na tej nodze. Nic mi nie jest. Prawdę mówiąc, to. . . O rety!
— Co takiego?
— Zaczekaj chwilę.
— O co chodzi?
— Powiedziałem, zaczekaj.
Hughes zauważył poruszenie w krzakach, liście paproci pochyliły się raz i drugi. Stern przesunął się w lewo. Wreszcie odezwał się dziwnie zmienionym głosem:
— Wiesz co, Chris?
— Co się stało?
— To fragment murów. Biegnie półkuliście.
— Niemożliwe.
— Wygląda na to, że stoję u podstawy czegoś, co kiedyś musiało być wieżą obronną.
— Bez żartów — mruknął Chris. Przez głowę przemknęła mu myśl: skąd Kramer o tym wiedziała?

* * *

- Sprawdźcie w komputerze — polecił profesor. — Może na którymś z rozpoznawczych skanów ze śmigłowca, radarowym bądź w podczerwieni, znalazły się pozostałości tej wieży. Może nie zwróciliśmy na nie uwagi.
— Najlepiej przejrzyć zdjęcia w podczerwieni — podsunął Stern. Siedział na krześle i przykładał do zwichniętej kostki worek z lodem.
— Dlaczego?

— Wapień silnie pochłania ciepło. Z tego powodu ludzie pierwotni wybierali wapienne jaskinie. Nawet zimą w pieczarach Perigord temperatura jest o pięć stopni wyższa niż na zewnątrz.

— A więc wieczorem. . .

— Mury pozostają cieplejsze, podczas gdy las szybko się ochładza. Powinno to wyjść na zdjęciach w podczerwieni.

— Nawet mury pogrążone w ziemi?

Stern wzruszył ramionami.

Chris usiadł już przed komputerem i zaczął pospiesznie wybierać polecenia z menu. Rozległo się elektroniczne popiskiwanie, w rogu ekranu ukazało się migające okienko.

— Oho, mamy jakąś wiadomość e-mailową.

Naprowadził kursor na okienko i wcisnął klawisz myszki. Ekran zajaśniał na biało. Przekaz dość długo ładował się do pamięci.

— Co to jest?

— Pewnie od tego Wauneki — rzekł Stern. — Kazałem mu zrobić skan z dość dużą rozdzielczością. Nie sądzę, by wpadł na pomysł, żeby skompresować plik.

Stopniowo zaczął się wyświetlać obraz. Skupiska czarnych punktów układały się w regularny, geometryczny wzór. Wszyscy natychmiast go rozpoznali. Był to architektoniczny rzut klasztoru Sainte-Mère, w którego ruinach prowadzili badania.

Rysunek ukazywał znacznie więcej szczegółów, niż znajdowało się na ich szkicach.

Johnston patrzył na ekran z niedowierzaniem. Wreszcie zabębnił nerwowo palcami po stole i rzekł:

— To zdumiewające. Bellin i Kramer niby przypadkiem zjawili się tu tego samego dnia.

— Co w tym dziwnego? — zapytał Chris.

— Bellin nawet nie poprosił o spotkanie z Kramer, a przecież dotąd zawsze chciał zamienić choćby parę słów z przedstawicielem fundatora badań.

Hughes wzruszył ramionami.

— Może miał pilniejsze sprawy.

— Chyba rzeczywiście się spieszył. — Profesor odwrócił się do Sterna i rzekł: — Wydrukuj ten rysunek. Zobaczymy, co o nim powie specjalista.

* * *

Katherine Erickson wisiła piętnaście metrów nad podłogą i niemal wodziła

nosem po powierzchni gotyckiego sklepienia kaplicy zamku Castelgard. Dzięki alpinistycznej uprząży miała wolne ręce i mogła robić notatki oraz pobierać próbki kamiennej konstrukcji.

Niebieskooka jasna blondynka była najmłodszym członkiem ekipy badawczej. Dołączyła do niej zaledwie przed paroma miesiącami. Początkowo studiowała architekturę na Uniwersytecie Yale, ale potem przeniosła się na wydział historii. Tu zwrócił na nią uwagę Johnston. Pewnego dnia zagadnął: „Nie chciałaby pani odpocząć od tych starych ksiąg i na jakiś czas zająć się odkopywaniem rzeczywistej historii?”.

Erickson chciała. Powierzano jej najbardziej karkołomne zadania. Nie miała nic przeciw temu, pochodziła bowiem z Kolorado i była amatorką wspinaczki. Każdej niedzieli wyprawiała się w jakiś odludny zakątek doliny Dordogne. Cieszyły ją samotne eskapady, ponieważ w Stanach do ciekawszych tras wspinaczkowych trzeba było stać w kolejkach.

Teraz z paru miejsc odłupała łopatką laboratoryjną kilka płatków zaprawy murarskiej do analizy spektrograficznej. Umieściła je w plastikowych pojemniczkach po błonach fotograficznych i wsunęła do kieszonek szerokiego pasa, który miała zapięty przez piersi niczym bandolier.

Opisywała właśnie nalepki na pojemniki, kiedy z dołu doleciał głos:

— Mogłabyś stamtąd zejść? Chciałbym ci coś pokazać.

Spojrzała przez ramię na stojącego pośrodku kaplicy Johnstona.

— Już idę — rzuciła.

Zwolniła karabińczyk zabezpieczający i ostrożnie dociskając dźwignię hamulca, zgrabnie zjechała po linie na posadzkę. Szybkim ruchem odgarnęła włosy z twarzy. Erickson nie była zbyt ładna, ale miała wiele wdzięku i podobała się mężczyznom.

— Podejrzewam, że jesteś gotowa wspiąć się na każdą ścianę — rzekł profesor.

Kate rozpięła szelki uprząży.

— A jak inaczej mogłabym stamtąd pobrać próbki?

— Załóżmy, że tylko o to chodzi.

— Mówię poważnie. Jeśli zależy nam na odtworzeniu architektonicznej historii tej kaplicy, musimy analizować skład zaprawy. Sklepienie było przebudowywane wielokrotnie, albo dlatego, że zostało źle skonstruowane i trzeba je było poprawiać, albo z powodu zniszczeń spowodowanych przez maszyny obłożnicze.

— Raczej to drugie — odparł Johnston.

— Nie jestem taka pewna — powiedziała Kate. — Główna część zamku, czyli wielka sala i otaczające ją pomieszczenia mieszkalne, tylko sprawiają wrażenie solidnej konstrukcji. Ściany wcale nie są zbyt mocne. Poza tym w wielu miejscach dokonywano przeróbek, najczęściej w celu utworzenia sekretnych przejść. Kilka już odkryliśmy. Był nawet tajemny korytarz prowadzący do kuchni. Widocznie

pomysłodawca tych zmian cierpiał na poważną paranoję. No i część z nich została zrobiona byle jak, w pośpiechu. — Wytarła dłonie o szorty. — Co chciał mi pan pokazać, profesorze?

Johnston wręczył jej kartkę komputerowego wydruku, na którym ciemniejsze punkty układały się w geometryczny wzór.

— Co to jest? — spytała Kate.

— Ty mi powiedz.

— Wygląda na poziomy rzut Sainte-Mčre.

— Jesteś pewna?

— Raczej tak. Tyle że...

Ruszyła szybko w stronę wyjścia, stanęła przed kaplicą i popatrzyła ze skarpy na ruiny klasztoru, odległe o jakieś półtora kilometra. Widać je było niemal dokładnie pod tym samym kątem, pod jakim zostały uwidocznione na rysunku.

— Oho...

— Co takiego?

— Na szkicu są elementy, których jeszcze nie odkopaliśmy — powiedziała. — Chociażby ta absydalna kaplica przy kościele, drugi budynek mieszkalny w północno-wschodnim rogu terenu i... to był chyba ogród warzywny wewnątrz murów obronnych... Skąd pan ma ten rysunek?

* * *

Restauracja w Marqueyssac stała na samym brzegu skarpy. Z okien rozciągał się panoramiczny widok na dolinę Dordogne. Kramer podniosła głowę i zmarszczyła brwi ze zdziwienia. Nie sądziła, że profesor zabierze ze sobą zarówno Hughesa, jak i Marka. Liczyła na to, że będą mogli porozmawiać w cztery oczy. Zresztą wybrała stolik dwuosobowy.

Marek przysunął dwa krzesła od sąsiedniego stolika i wszyscy stłoczyli się naprzeciwko niej. Profesor pochylił się nieco i zapytał:

— Panno Kramer, skąd pani wie, gdzie znajdował się refektarz?

— Refektarz? — Wzruszyła ramionami. — Nie pamiętam, Czy jego lokalizacja nie została opisana w którymś raporcie? Nie? Więc może doktor Marek wspominał mi o tym, kiedy oprowadzał mnie po stanowisku. — Powiodła wzrokiem po twarzach trzech mężczyzn wpatrujących się w nią z napięciem. — Panowie, średniowieczne klasztory nie są moją specjalnością. Widocznie usłyszałam o tym od kogoś.

— A skąd pani wiedziała o wieży w lesie?

— Na pewno była o niej wzmianka w sprawozdaniu albo w opisie jakiegoś starego zdjęcia.

— Sprawdzaliśmy. Nie została nigdzie wymieniona.

Profesor położył przed nią na stoliku zadrukowaną kartkę.

— A jakim sposobem pracownik ITC, niejaki Joseph Traub, sporządził architektoniczny szkic klasztoru, który jest dokładniejszy od naszych rysunków?

— Nie wiem... Skąd pan to ma?

— Od pewnego policjanta z Gallup w Nowym Meksyku, który chciał się ode mnie dowiedzieć tego samego, o co teraz pytam panią.

Milczała, patrząc profesorowi prosto w oczy.

— Panno Kramer, sądzę, że pani coś przed nami ukrywa. Wydaje mi się, że na własną rękę przeprowadziliście analizę zebranych materiałów i nie udostępniście nam swoich wniosków. A przyczyną, jak sądzę, są pani potajemne pertraktacje z Bellinem na temat przejęcia wszelkich prac badawczych, w razie gdybym nie zgodził się z wami ściśle współpracować. Skądinąd wiem, że władze francuskie z prawdziwą przyjemnością usunęłyby Amerykanów z tak cennego stanowiska archeologicznego.

— Nieprawda, profesorze. Mogę pana zapewnić...

— Nie, panno Kramer, nie może pani. — Johnston spojrział na zegarek. — O której pani odlatuje?

— O piętnastej.

— W takim razie polecę z panią. — Odsunął krzesło i wstał.

— Aleja muszę się zatrzymać w Nowym Jorku — zaprotestowała Kramer.

— Więc proszę zmienić plany i lecieć prosto do Nowego Meksyku.

— Chce się pan spotkać z Bobem Donigerem? Nie wiem, czy znajdzie czas...

— Panno Kramer! — rzekł z naciskiem Johnston, pochylając się nad nią. —

To już pani zmartwienie!

Kiedy profesor wsiadał do samochodu, Marek rzekł:

— Niechaj Bóg czuwa nad tobą i bezpiecznie przywiedzie cię z powrotem.

Zawsze w ten sposób żegnał odjeżdżających przyjaciół. Było to ulubione powiedzenie zmarłego przed sześciuset laty hrabiego Geoffreya de la Tour.

Zdaniem przyjaciół Marka jego fascynacja dawnymi obyczajami graniczyła z obsesją. On sam jednak traktował to jak rzecz naturalną. Od wczesnej młodości pasjonował się średniowieczem do tego stopnia, że zaczął sobie przyswajać niektóre ówczesne zachowania. Kiedyś w restauracji powiedział przyjacielowi, aby zgolił brodę, bo w tych czasach jest niemodna. Tamten, zaskoczony, zaprotestował głośno: „Jak to niemodna?! Rozejrzyj się tylko dookoła. Popatrz, ilu ludzi nosi brody!”. Marek odpowiedział spokojnie: „Żle mnie zrozumiałeś. Brody

są niemodne w moich czasach”. Nie musiał dodawać, że ma na myśli trzynasty i czternasty wiek.

Wielu historyków średniowiecza umiało odczytać dokumenty napisane w dawnych językach. Marek zaś umiał także płynnie mówić po staroangielsku, starofrancusku, oksytańsku i łacinie. Był ekspertem w zakresie średniowiecznych strojów i dworskich manier. Postanowił również osiągnąć mistrzostwo w posługiwaniu się orężem tamtego okresu. Była to wszak epoka niekończących się wojen. Szybko nauczył się jeździć na olbrzymim perszeronie, jakie przed laty nazywano rycerskimi rumakami. Doszedł też do wprawy w walce na kopie, godzinami trenując z obrotową makietą, którą szumnie nazywał kwintaną. Strzelanie z łuku szło mu tak dobrze, że uczył innych zasad posługiwania się tą bronią. Obecnie doskonalił się w sztuce władania mieczem.

Bogata wiedza o przeszłości sprawiała, że do terażniejszości odnosił się z dystansem. Nagły wyjazd profesora wywołał spore zamieszanie w obozie. Zwłaszcza wśród młodszych członków ekipy zaczęły krążyć rozmaite plotki: że ITC zamierza wstrzymać finansowanie, że chce przekształcić teren wykopalisk w średniowieczne wesołe miasteczko, że jeden z członków zarządu zginął w dziwnych okolicznościach, przez co firma znalazła się w poważnych kłopotach. Ustała praca, wszystkich pochłaniały przeróżne spekulacje.

Marek postanowił zwołać ogólne zebranie. Wczesnym popołudniem cały zespół zgromadził się przed wielkim zielonym namiotem obok magazynu. Andre wyjaśnił, że powstała drobna różnica zdań między profesorem a zarządem ITC i Johnston poleciał do siedziby firmy, aby wyjaśnić pewne sprawy. Obiecał dzwonić co dwanaście godzin, a wróci najdalej za kilka dni. Wtedy wszystko potoczy się dawnym rytmem.

Niewiele to pomogło. Nadal nikt nie kwapił się do pracy. Kilku studentów stwierdziło, że jest za gorąco na kopanie, lepiej więc wybrać się na wycieczkę kajakową po rzece. Marek po krótkim namyśle pozwolił im popłynąć.

Inni także znajdowali sobie jakieś zajęcia na wieczór. Kate wróciła przed namiot obciążona linami i hakami. Oznajmiła, że idzie się powspinać na skalne urwisko niedaleko Gageac. Poprosiła Chrisa, aby z nią pojechał, lecz wolał pójść z Markiem na plac ćwiczebny. Stern pojechał do Tuluzy na obiad, a Rick Chang wybrał się do Les Eyzies na spotkanie z kolegą pracującym przy tamtejszych wykopaliskach z paleolitu. W magazynie została tylko Elsie Kastner pochłonięta analizą jakichś dokumentów. Marek zapytał ją, czy chce poćwiczyć razem z nim.

— Nie wygłupiaj się, Andre! — usłyszał w odpowiedzi.

* * *

Od centrum jeździeckiego na obrzeżu Souillac dzieliło ich zaledwie sześć kilometrów. Właśnie tu Marek ćwiczył dwa razy w tygodniu. W rogu mało używanego placu pozwolono mu wkopać słup z zamocowaną na szczycie, dającą się obracać poprzeczką. Na jednym jej ramieniu wisiała słomiana tarcza, na drugim tworzący przeciwwagę wypchany skórzany worek, podobny do bokerskich worków treningowych.

Była to właśnie kwintana, której współczesną wersję wykonał na podstawie rysunków ze starych manuskryptów.

Zrobienie kwintany było stosunkowo proste. O wiele większe trudności sprawiło zdobycie odpowiedniej kopii. Marek wielokrotnie miewał podobne problemy. We współczesnym świecie zdobycie rzeczy niegdyś wytwarzanych i używanych masowo graniczyło z cudem, nawet jeśli dzięki funduszowi ITC pieniądze nie stanowiły problemu.

W średniowieczu kopie ćwiczebne toczono z drągów o długości prawie trzech i pół metra. Taki był przyjęty rozmiar oręza turniejowego. Okazało się jednak, że drzewce tej wielkości są nie do zdobycia. Po długich poszukiwaniach Andre znalazł specjalistyczny warsztat stolarski w północnych Włoszech, niedaleko granicy austriackiej. Właściciel zgodził się wytoczyć sosnowe drągi o żądanych rozmiarach, zdumiało go jednak zamówienie na dwadzieścia sztuk. „Kopie często się łamią”, tłumaczył Marek. „Będę ich potrzebował dużo”. Żeby zabezpieczyć się przed odłamkami miękkiego drewna, kupił plastikowy kask futbolowy, do którego zamocował przezroczystą osłonę na twarz. Ilekroć go wkładał, budził powszechną sensację. Wyglądał w nim jak obłąkany pszczelarz.

Ostatecznie Marek wrócił do współczesnej techniki i zaczął korzystać z kopii aluminiowych, wytwarzanych w firmie produkującej kije bejsbolowe. Były lepiej wyważone, przez co sprawiały wrażenie autentycznych. A ponieważ drzazgi z pękających drzewców nie stanowiły zagrożenia, mógł używać zwykłego lekkiego kasku jeździeckiego.

Docisnął jego pasek pod brodą i z końca pola dał znać Chrisowi stojącemu przy kwintanie.

— Jak tam?! Gotów?!

Hughes skinął głową, uniósł tarczę i pomachał ręką. Marek opuścił kopię i spiął konia.

Ćwiczenia z kwintana należały do stosunkowo prostych. Galopujący jeździec musiał trafić w tarczę ostrzem kopii. Jeśli mu się to udało, wprawiał przyrząd w ruch obrotowy. Nie mógł więc wyhamować konia, żeby zawieszony na drugim końcu poprzeczki worek z piaskiem nie trafił go w tył głowy. Marek wiedział, iż

w średniowieczu stosowano bardzo ciężkie przeciwwagi, zdolne wysadzić młodego adepta sztuki z siodła. Jego worek był znacznie lżejszy, niemniej uderzenie nie należało do przyjemności.

Podczas pierwszej próby trafił w sam środek tarczy, ale jechał trochę za wolno, toteż boleśnie dostał workiem w lewe ucho. Zatrzymał konia i odwrócił się w siodle.

— Czemu sam nie spróbujesz, Chris?

— Może później — odparł Hughes, ustawiając kwintanę do następnej próby.

Do tej pory Markowi tylko dwa razy udało się namówić przyjaciela do ćwiczeń z przyrządem.

Zawrócił konia, cofnął się na koniec pola i ruszył do kolejnej szarży. Początkowo trafienie w tarczę w pełnym galopie wydawało mu się niewykonalne. Dopiero z czasem nabrał wprawy. Tylko co piąta próba kończyła się niepowodzeniem.

Rumak zaczął nabierać prędkości. Marek opuścił kopię.

— Cześć, Chris! — usłyszał Hughes za plecami.

Obejrzał się i pomachał ręką dziewczynie na koniu. W tym momencie Marek trafił w tarczę, poprzeczka się obróciła, a skórzany worek trafił Chrisa prosto w twarz.

* * *

Leżał oszołomiony na ziemi, słuchając dźwięcznego, donośnego śmiechu. Dziewczyna opanowała się szybko, zeskoczyła z konia i pomogła mu wstać.

— Och, Chris, wybacz mi, proszę — powiedziała z nienagannym brytyjskim akcentem. — To przeze mnie. Niepotrzebnie cię zawołałam.

— Wszystko w porządku — mruknął nieco naburmuszony.

Otarł piach z twarzy, podniósł głowę i zdobył się na uśmiech.

Jak zawsze był pod wrażeniem jej uroku. Zwłaszcza teraz, w popołudniowym słońcu, blond włosy cudownie podkreślały jej urodę i kontrastowały z niebieskimi oczyma. Sophie Rhys-Hampton była najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał w życiu. Do tego najinteligentniejszą i najbardziej urzekającą.

— Och, Chris. — Delikatnie ocierała mu policzki chłodnymi palcami. — Naprawdę strasznie mi przykro. Jak się czujesz? Lepiej?

Dwudziestoletnia Sophie, cztery lata młodsza od niego, była studentką Cheltenham College. Gospodarstwo, które wynajęli na potrzeby archeologów, należało do jej ojca, Hugh'a Hamptona, londyńskiego adwokata. Sophie przyjechała na wakacje z grupą przyjaciół i zatrzymała się w pobliskim domu. Któregoś dnia przysła do obozu, aby coś zabrać z gabinetu ojca. Kiedy Chris ją zobaczył, jak

ślepiec wpaść na drzewo. Później wielokrotnie rozmyślał z żalem, że to niezwykle zauroczenie na zawsze napiętnowało ich znajomość.

— Bardzo mi pochlebia, że aż tak na ciebie działałam, Chris — powiedziała. — Ale martwię się o twoje bezpieczeństwo. — Zachichotała i lekko cmoknęła go w policzek. — Dzwoniłam dziś do ciebie.

— Przekazano mi. Byłem zajęty. Mamy drobny kryzys.

— Kryzys? Co może być przyczyną kryzysu w archeologii?

— No wiesz, kłopoty z finansowaniem.

— Ach, tak. Ci ignoranci z ITC, z Nowego Meksyku rzekła pogardliwym tonem, jakby chodziło o jakąś dziurę zabita deskami. — Słyszałeś, że chcieli kupić farmę taty?

— Naprawdę?

— Stwierdzili, że jest im potrzebna na tak długo, że woleliby ją kupić, niż wynajmować. Oczywiście tata odmówił.

— Jasne. — Uśmiechnął się nieśmiało. — Co powiesz na wspólny obiad?

— Och, Chris, dzisiaj nie mogę. Ale jutro możemy się wybrać na przejażdżkę. Zgoda?

— Bardzo chętnie.

— Rano? O dziesiątej?

— Dobrze. Spotkamy się o dziesiątej.

— Nie przeszkodzi ci to w pracy?

— Dobrze wiesz, że nie.

— Możemy się spotkać kiedy indziej...

— Nie — odparł stanowczo. — Jutro o dziesiątej.

— Zgoda. — Uśmiechnęła się promiennie.

W gruncie rzeczy Sophie Hampton była za piękna, nazbyt zgrabna i zanadto urzekająca, aby należeć do realnego świata. Marek od razu dostał od niej kosza. Tylko Chris cieszył się pewnymi względami.

Kiedy odjechała, Marek ruszył do kolejnej szarży. Tym razem Hughes zdążył się w porę odsunąć od kwintany. W drodze powrotnej Andre rzucił od niechcenia:

— Masz coraz większego fioła na jej punkcie.

— Możliwe. — Chrisa ani trochę nie obchodziło zdanie kolegi.

Nazajutrz rano Marek poszedł do klasztoru, aby pomóc Changowi przy pracach w katakumbach. Wykopaliska trwały już od paru tygodni, szły jednak powoli, bo ciągle natykali się na ludzkie szczątki. Kiedy tylko ktoś odsłonił fragment kości, trzeba było odstawiać łopaty, sięgać po kielnie i pędzle.

Chang, antropolog zespołu, z dużą wprawą identyfikował znalezione szczątki. Wystarczyło, że spojrzał na kostkę wielkości ziarna grochu i od razu mógł powiedzieć, jak długo leżała w ziemi, czy pochodzi z prawego czy z lewego nadgarstka,

kobiety czy mężczyzny, dziecka czy dorosłego.

A szczątki, które tu napotykali, dawały wiele do myślenia. Przede wszystkim należały wyłącznie do mężczyzn. Dużo kości długich nosiło wyraźne ślady urazów bitewnych, kilka czaszek miało dziury od strzał. W czternastym wieku przeważająca część żołnierzy ginęła od strzał z łuku lub kuszy. Nie znaleźli jednak żadnych zapisków mówiących o bitwach toczonych o ten klasztor.

Pracowali właśnie nad odsłonięciem czegoś, co wyglądało na resztki zardzewiałego żelaznego hełmu, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Marka. W słuchawce rozległ się głos profesora.

— Jak idzie? — spytał Andre.

— Na razie dobrze.

— Spotkałeś się z Donigerem?

— Tak, dziś po południu.

— I co?

— Jeszcze nie wiem.

— Wciąż nalegają na rozpoczęcie rekonstrukcji?

— No cóż, nie jestem pewien. Sprawy wyglądają trochę inaczej, niż się spodziewałem. — Johnston mówił z ociąganiem, jakby czymś zaabsorbowany.

— To znaczy jak?

— Wolałbym o tym nie mówić przez telefon. Chcę ci tylko przekazać, że nie odezwę się przez najbliższe dwanaście godzin, może nawet przez całą dobę.

— Rozumiem. Poza tym wszystko w porządku?

— Jak najbardziej, Andre.

Marek nie był o tym przekonany.

— Może potrzebujesz aspiryny? — Użył jednego z umówionych zwrotów, które stosowali, gdy wydarzyło się coś złego, a w obecności innych osób nie można było o tym mówić otwarcie.

— Nie, skąd. Nie potrzebuję.

— Zdaje się, że jesteś zdenerwowany.

— Raczej zaskoczony. Ale wszystko w porządku, przynajmniej tak mi się zdaje. — Profesor umilkł na chwilę. — A co u was? Praca idzie normalnie?

— Jestem z Rickiem w klasztorze, odkopujemy katakumby w sektorze czwartym. Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj, najdalej jutro, dotrzemy do posadzki.

— Doskonale. Miej na wszystko oko, Andre. Postaram się jutro zadzwonić.

Johnston przerwał połączenie.

Marek ze zmarszczonymi brwiami schował aparat do futerału przy pasku. Co się dzieje, do cholery? — przemknęło mu przez myśl.

Popatrzył na przelatujący helikopter. Podwieszane skrzynie z przyrządami były otwarte. Stern postanowił dwukrotnie, rano i wieczorem, powtórzyć wcześniejsze pomiary. Chciał się przekonać, czy fragmenty budowli, na których ślad naprowadziła ich Kramer, dają jakiegokolwiek odczyty instrumentów.

Marek bardzo był ciekaw rezultatów, nie miał jednak krótkofalówki, żeby porozumieć się ze Stemem. Musiał wrócić po radio do magazynu.

* * *

— Elsie — rzekł, wchodząc do budynku — masz radio, przez które mógłbym porozmawiać z Davidem?

Kastner nie odpowiedziała. Jak urzeczona wpatrywała się w leżące przed nią dokumenty. Miała wyjątkową zdolność całkowitej koncentracji na swojej pracy. Godzinami przesiadywała w magazynie, odcyfrowując ręczne zapiski na pergaminach. Znała nie tylko sześć podstawowych języków średniowiecznej Europy, lecz także dawno zapomniane dialekty. Marek bardzo ją cenił, chociaż stale trzymała się na uboczu i czasami zachowywała się trochę dziwnie.

— Elsie?! — powtórzył.

Podniosła głowę.

— Co? Ach, przepraszam, Andre. Ja właśnie... To znaczy... — Wskazała dłonią leżący na stole pergamin. — Męcę się nad tym rachunkiem wystawionym przez zakonników niemieckiemu hrabiemu za udzielenie noclegu dwudziestu dziewięciu ludziom i trzydziestu pięciu koniom. Widocznie hrabia podróżował z tak wielkim orszakiem. Ale rachunek został spisany mieszaniną łaciny i oksytańskiego. Do tego jest niechlujnie nagryzmołony.

Podniosła pergamin i przeszła do stołu zdjęciowego. Aparat był zamocowany na wysokim czworonożnym statywie, w rogach stały wysięgniki z silnymi lampami. Elsie ułożyła dokument pośrodku, wygładziła go, a obok położyła nalepkę identyfikacyjną z kodem kreskowym i pomalowaną w czarno-białą szachownicę skalę centymetrową. Zrobiła zdjęcie.

— Gdzie jest radio, przez które mógłbym się połączyć z Davidem?

— Och, przepraszam. Leży na końcu stołu, powinno być oznakowane inicjałami DS.

Marek znalazł krótkofalówkę, wcisnął klawisz nadawania i rzekł do mikrofonu:

— David? Tu Andre.

— Cześć. — Głos Sterna był ledwie słyszalny poprzez ogłuszający terkot śmigłowca.

— Odkryłeś coś?

— Nic. Absolutnie nic. Zero — odparł Stern. — Sprawdziłem i klasztor, i wieżę w lesie. Żadnych ruin, o których mówiła Kramer, nie widać na przyrządach, ani na magnetometrze i radarze, ani w podczerwieni bądź nadfiolecie. Nie mam po-

jęcia, skąd o nich wiedziała.

* * *

Popędzili wzdłuż szczytu trawiastej skarpy nad doliną rzeki. Sophie jechała galopem; Chris trząsł się i podskakiwał w siodle, nieźle wystraszony. Dotąd Hampton nigdy nie rozpędzała konia do galopu podczas ich wspólnych przejażdżek, właśnie ze względu na niego, ale dzisiaj tylko pisnęła radośnie i pognęła przez pola.

Chris usiłował za nią nadążyć, modląc się w duchu, aby zwolniła. Dopiero po pewnym czasie ściągnęła wodze, zatrzymała się i zaczęła na niego.

— Czyż to nie podniecające? — spytała, poklepując po karku spoconego, parskającego czarnego ogiera.

— Rzeczywiście — odparł, z trudem łapiąc oddech. — Bez dwóch zdań.

— Muszę przyznać, że bardzo dobrze ci idzie, Chris. Coraz lepiej trzymasz się w siodle.

Mógł tylko sztywno skinąć głową. Prawie nie czuł już pośladków od ciągłego podskakiwania, a mięśnie nóg bolały go dotkliwie od kurczowego ściskania kolanami boków konia.

— Jak tu pięknie. — Sophie wskazała rozległą dolinę rzeki i ciemne sylwetki zamków na wysokim przeciwległym brzegu. Czy to nie wspaniały widok?

Spojrzała na zegarek. Chrisa aż ścisnęło w dołku na myśl o drodze powrotnej. Było jednak bardzo miło. Jechali blisko siebie, konie prawie stykały się bokami, a Sophie nachylała się do Chrisa i szeptała mu do ucha. Wreszcie objęła go ramieniem i pocałowała. Szybko odwróciła głowę, jakby zawstydzona swoim zachowaniem.

Z nadrzecznej skarpy roztaczał się widok na całe stanowisko archeologiczne. Przed sobą mieli ruiny Castelgard i klasztoru, a na szczycie odległego wzgórza La Roque. Chmury wędrujące po niebie urozmaicały krajobraz ruchomymi cieniami. Bezwietrzne powietrze było ciepłe, panowała cisza i spokój, jeśli nie liczyć odległego warkotu samochodu.

— Och, Chris... — szepnęła Sophie i znów go pocałowała.

Tym razem szybciej odwróciła głowę, popatrzyła w dal i niespodziewanie pomachała ręką.

Krętą wiejską drogą zbliżał się do nich żółty kabriolet. Był to model sportowy, nisko zawieszony, z głośno dudniącym silnikiem. Zatrzymał się na wprost nich. Kierowca wstał i przysiadł na oparciu fotela.

— Nigel! — krzyknęła Sophie.

Odpowiedział na jej pozdrowienie, machnąwszy ręką nad głową.

— Och, Chris, będziesz tak dobry? — rzuciła dziewczyna, podając mu lejce swego ogiera.

Zeskoczyła z konia i pobiegła w dół zbocza ku złotemu kabrioletowi. Rzuciła się mężczyźnie na szyję. Po chwili oboje wsiedli do samochodu. Kiedy odjeżdżali, obejrzała się jeszcze i przesłała Hughesowi całusa.

Miasteczko Sarlat było szczególnie malownicze po zmroku, kiedy stłoczone kamienice przy wąskich krętych uliczkach rozjaśniał ciepły blask latarni gazowych. Pod białymi parasolami w ogródku restauracji przy rue Torny Marek z grupą magistrantów raczył się ciemnoczerwonym winem z Cahors. Chris Hughes lubił te wieczorne spotkania, ale tego wieczoru nic mu nie odpowiadało. A to było mu za gorąco, a to niewygodnie na wąskim metalowym krzeselku. Zamówił swoje ulubione danie, pintade aux cepes, lecz pieczeń z perliczki wydawała się łykowata, a sos z borowików niedoprawiony. Nawet rozmowa przy stole go irytowała. Zazwyczaj omawiali wyniki całodziennej pracy, ale dziś architekt zespołu, Kate Erickson, spotkała znajomych z Nowego Jorku, dwóch dobiegających trzydziestki handlowców. Przyjechali do Francji ze swymi narzeczonymi. Chris od pierwszej chwili poczuł do nich wstręt.

Obaj bez przerwy odchodzili od stolika, żeby prowadzić rozmowy telefoniczne. Ich narzeczone były redaktorkami w tym samym wydawnictwie i właśnie skończyły pracę nad nową książką Marthy Stewart. Chrisa denerwowało lekceważące zachowanie całej czwórki. Jak większość ludzi biznesu uważali naukowców za nieszkodliwych szaleńców, niezdolnych do funkcjonowania w prawdziwym świecie i całkowicie nieprzystosowanych do twardych reguł walki o byt. Nie rozumieli, że można poświęcić się pracy, która nie uczyni z człowieka milionera w wieku dwudziestu czterech lat.

Musiał jednak przyznać, iż byli dość sympatyczni, mimo że pili dużo wina i zadawali mnóstwo pytań na temat wykopalisk. Niestety, były to te same pytania, które słyszało się na każdym kroku, najczęściej z ust turystów: Co niezwykłego jest w tym miejscu?, Skąd wicie, gdzie należy kopać?, Czego szukacie?, Jak głęboko kopiecie i po czym poznajecie, kiedy trzeba przestać?

— Co was przyгнаło aż tutaj? Czym to miejsce wyróżnia się spośród innych? — zapytała jedna z kobiet.

— To dość typowe stanowisko dla interesującego nas okresu — odpowiedziała Kate. — Dwa zamki obronne stały tu naprzeciwko siebie. A naprawdę niezwykle jest to, że o obu zupełnie zapomniano. Nigdy wcześniej nie prowadzono tu żadnych prac archeologicznych.

— To dobrze, że o nich zapomniano? — zdziwiła się Amerykanka, marszcząc brwi. Pochodziła ze świata, w którym zapominało się wyłącznie o rzeczach złych.

— Dla nas jest to bardzo pomocne — wyjaśnił Marek. — W archeologii prawdziwa gratka nadarza się właśnie wtedy, gdy cały świat zapomniał o jakimś miejscu. Do takich należy również Sarlat, to miasto.

— Jest przeurocze — wtrąciła druga redaktorka.

Mężczyźni znów odeszli od stolika, żeby przeprowadzić kolejną rozmowę telefoniczną.

— Pierwotnie była to osada pielgrzymów — ciągnęła Kate — powstała wokół klasztoru, w którym przechowywano relikwie. Z czasem stała się tak duża i ruchliwa, że zakonnicy opuścili klasztor i przenieśli się do spokojniejszej siedziby. Ale Sarlat pozostało centrum handlowym dużego rejonu Dordogne. Stopniowo jednak podupadało i na początku dwudziestego wieku mieszkała tu zaledwie garstka ludzi. Miasto było tak biedne, że nie prowadzono żadnych remontów. Opuszczone domy popadały w ruinę, nie było kanalizacji ani linii elektrycznych. W latach pięćdziesiątych powstał projekt rozbiórki najstarszej części wokół rynku i zbudowania tam nowoczesnego osiedla. Przeciwno temu zaprotestował Andre Malraux. Zdołał przekonać francuski rząd, aby wyasygnował fundusze na restaurację zażytkowych kamienic. Wiele osób sądziło, że postradał zmysły. Tymczasem Sarlat, prawdziwa perła średniowiecznej architektury, stało się jedną z największych atrakcji turystycznych na południu kraju.

— To miłe — odparła jedna z kobiet.

Obaj mężczyźni równocześnie wrócili do stolika, jak na komendę usiedli i schowali telefony komórkowe do kieszeni. Mieli takie miny, jakby dokonali najbardziej intratnej transakcji na świecie.

— Co się stało? — spytała Kate.

— Zamknęli giełdę — odparł handlowiec.

— Rozmawialiśmy o Castelgard.

— Więc cóż w nim jest niezwykłego?

— Najważniejsze, że nigdy wcześniej nie prowadzono tu wykopalisk — powtórzył Marek. — Dla nas ważne jest także, że to typowe średniowieczne miasto obronne. Gród istniał już wcześniej, ale w czternastym wieku został przebudowany, a raczej zmodyfikowany do potrzeb obronnych. Wzmocniono zewnętrzne mury, wykopano fosę, stworzono układ strzeżonych bram i zwodzonych mostów.

— Kiedy to było? W zamierzchłych czasach? — zapytał Amerykanin, nalewając wina do kieliszków.

— Nie — wyjaśnił spokojnie Andre — w późnym średniowieczu.

— No to wypijmy, bo i tu robi się późno — rzekł handlowiec z uśmiechem. — A co było przedtem? Wczesne średniowiecze?

— Zgadza się.

— No proszę! — Uniósł kieliszek w toaście. — Wreszcie i ja coś odgadłem.

* * *

W pierwszych wiekach naszej ery znaczna część Europy pozostawała pod rządami Imperium Rzymskiego. Region, w którym się znajdowali, był rzymską prowincją zwaną Akwitanią. Rzymianie budowali tu drogi, nadzorowali handel, ustanawiali prawa i strzegli porządku. Europa kwitła. Około roku czterechsetnego Rzym zaczął wycofywać swoje legiony i porzucać strażnice. Po upadku imperium w Europie na pięćset lat zapanowało bezprawie. Spadła liczba ludności, zamarł handel, miasta opustoszały. Plagą stały się hordy wojowniczych barbarzyńców, Gotów, Wandalów, Hunów i wikingów. Cywilizację pochłonęły mroki wczesnego średniowiecza.

— Począwszy od roku tysięcznego, sytuacja zaczęła się poprawiać — tłumaczył Marek. — Pojawił się nowy rodzaj ładu społecznego, nazywany ustrojem feudalnym, chociaż wtedy nikt jeszcze nie używał tego określenia. Prawo stanowiли lokalni możnowładcy. Wraz z umacnianiem tego systemu ożywiało się rolnictwo i handel, rozkwitały miasta. Około roku tysiąc dwusetnego Europa znów prosperowała znakomicie, liczba mieszkańców przekroczyła tę z czasów Imperium Rzymskiego.

— Dlatego trzynasty wiek uważa się za początek późnego średniowiecza, okresu dynamicznego rozwoju gospodarczego i kulturalnego.

Amerycanie spoglądali na siebie z niedowierzaniem.

— Jeśli cywilizacja rzeczywiście rozkwitała, to po co budowano wszędzie mury obronne?

— Głównie z powodu wojny stuletniej — odparł Marek — która toczyła się między Anglią i Francją.

— Była to wojna religijna?

— Skądże, religia nie miała z tym nic wspólnego. W tamtych czasach jedni i drudzy byli katolikami.

— Naprawdę? A co z protestantami?

— Nie było wtedy protestantów.

— Prześladowano ich?

— Nie — tłumaczył Marek. — Kościół protestancki powstał znacznie później.

— Naprawdę? To o co toczyła się ta wojna?

— O suwerenność. Wtedy znaczna część ziem francuskich znajdowała się pod rządami Anglików.

Handlowiec zmarszczył brwi i z niedowierzaniem przekrzywił głowę.

— Chcesz mi wmówić, że Francja była kolonią angielską?

Andre westchnął głośno.

* * *

Marek nazywał takich ludzi czasowymi prowincjuszami — nie tylko nie znali historii, ale jeszcze byli z tego dumni.

Dla nich liczyła się wyłącznie teraźniejszość. O tym, co wydarzyło się wcześniej, można było bez żalu zapomnieć. Fascynujący świat współczesny stawiał coraz to nowe wyzwania, których przeszłość była pozbawiona. Poznawanie historii traktowali z taką samą pogardą, jak wykuwanie na pamięć alfabetu Morse'a czy naukę kierowania wozem zaprzęgowym. Średniowiecze, kojarzące im się wyłącznie z rycerzami w dzwoniących zbrojach i księżniczkami w powłóczystych sukniach, nie mogło mieć obecnie żadnego znaczenia.

A przecież prawda była taka, że kształt współczesnego świata zrodził się w średniowieczu. Wszystko, począwszy od kodeksów prawnych, państw jednonarodowych i cywilizacji opartej na zdobyczach techniki, aż po ideały romantycznej miłości, pochodziło z tej epoki. Nawet handel na giełdzie nosił pewne znamiona średniowiecznej ekonomii rynkowej. Jeżeli ktoś nie chciał o tym wiedzieć, to widocznie nigdy nie zadawał sobie pytania, kim naprawdę jest, dlaczego zajmuje się tym, czym się zajmuje, albo też skąd pochodzi.

Profesor Johnston mawiał, że jeśli się nie zna historii, nie zna się niczego. Jest się jak liść, który nie wie, że stanowi część drzewa.

* * *

Handlowiec nie dawał za wygraną, pytał tonem człowieka nie potrafiącego się pogodzić z własną niewiedzą:

— Naprawdę? Jakaś część Francji należała wtedy do Anglii? Przecież to bez sensu. Anglicy i Francuzi zawsze się nienawidzili.

— Wcale nie zawsze — zaoponował Marek. — Sześćset lat temu było zupełnie inaczej. Francuzów i Anglików wiele wówczas łączyło. Większość angielskiej szlachty była pochodzenia francuskiego. Mówiła po francusku, jadała i ubierała się na francuską modłę. Nikogo nie dziwiło, że pod rządami Anglików pozostawała część Francji. Tu, na południu, Anglicy władali Akwitanią przez ponad sto lat.

— Więc o co była ta wojna? Francuzi doszli do wniosku, że chcą mieć cały kraj tylko dla siebie?

— Mniej więcej.

— Kapuje — mruknął Amerykanin.

* * *

Marek kontynuował swój wywód, a znudzony Chris przyglądał się Kate. Blask świec na stolikach i gazowych płomyków latarń łagodził rysy jej twarzy, które w dziennym świetle były bardzo ostre, wręcz odpychające. Niespodziewanie Erickson wydała mu się atrakcyjna.

Nie zauważyła jednak jego spojrzeń, była całkowicie pochłonięta swymi przyjaciółmi. Typowe, pomyślał Hughes. Kobiety zawsze lgną do mężczyzn, którzy mają pieniądze, nawet jeśli są takimi miernotami, jak ci dwaj.

Odruchowo przyjrzał się ich zegarkom. Wielkie, ciężkie roleksy na poluzowanych metalowych paskach przesuwają się przy każdym ruchu dłoni jak damskie bransoletki. Miała to być oznaka bogactwa i pełnego luzu.

Kiedy jeden z handlowców zaczął obracać zegarek na przegubie ręki, Hughes nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Wstał od stolika i wymamrotał zdawkowe przeprosiny, tłumacząc, że w obozie musi jeszcze przeprowadzić kilka analiz. Ruszył rue Tourny w kierunku parkingu znajdującego się na obrzeżach starówki.

Miał wrażenie, że po ulicy spacerują wyłącznie zakochane pary. Mijali go ludzie trzymający się za ręce albo przytuleni do siebie. Nie rozmawiali, tylko w milczeniu podziwiali zabytki. Z sekundy na sekundę był coraz bardziej poirytowany. Przyspieszył kroku.

Odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie wsiadł do samochodu i ruszył do obozu.

Nigel!

Co za kretyńskie imię!

Następnego ranka Kate znów pracowała pod sklepieniem kaplicy w Castlegard. W pewnej chwili z głośnika krótkofalówki doleciały okrzyki:

— Gorące krokiety! Gorące krokiety! Sektor czwarty! Zapraszam wszystkich! Lunch podany!

Było to umówione hasło ekipy oznaczające nowe odkrycie. Stosowali szyfr we wszystkich rozmowach przez radio, bo obawiali się, że ktoś może ich podsłuchiwać. Zdarzało się, iż przedstawiciele miejscowych władz od razu konfiskowali znalezione przedmioty, nie dając archeologom czasu nawet na ich opisanie czy zbadanie. Francuscy inspektorzy terenowi mieli jedną wspaniałą cechę, odróżniającą ich od amerykańskich kolegów po fachu — niezbyt sumiennie wykonywali swe obowiązki. Nie wolno było jednak zapominać, że społeczeństwo jest przeciwnie temu, by obcokrajowcy wtykali nos w chwalebny historię Francji.

Sektor czwarty oznaczał klasztor. Kate zastanawiała się przez chwilę, czy warto iść taki kawał drogi. W końcu postanowiła zrobić sobie krótką przerwę. Była już zmęczona monotonią wykonywanych zadań. Innym też przydałby się zastrzyk

entuzjazmu. Mogło nim być ważne odkrycie.

Ruszyła przez ruiny Castelgard. W przeciwieństwie do wielu studentów potrafiła sobie wyobrazić kształt budowli i wygląd całego miasta. Podobało jej się. Nie było miastem chaotycznym, pośpiesznie rozbudowywanym w czasie wojny. Charakteryzowała je prostota, za którą Kate tęskniła podczas studiów na wydziale architektury.

Kiedy poczuła słoneczny żar na karku i łydkach, po raz setny ogarnęła ją radość, że jest teraz we Francji, a nie w New Haven, w ciasnym, zagraconym gabinecie na szóstym piętrze wydziału sztuki i architektury, z panoramicznym oknem wychodzącym na pseudokolonialny Davenport College i pseudogotyckie Payne Whitney Gymnasium.

Nic nie mogło się równać ze słonecznym latem w południowej Francji, a i w tutejszym zespole szybko poczuła się jak w rodzinie. Jak do tej pory wakacje były bardzo udane.

Jedyny minus stanowiła konieczność znoszenia męskich umizgów. Marek zaczął ją adorować niemal od pierwszego dnia, później przyszła kolej na Ricka Changa, a teraz musiała uwolnić się od Chrisa Hughesa. Bardzo źle zniósł kosa, jakiego dostał od tej Angielki. Chyba tylko on z całej ekipy nie przeczuwał, co się święci. A teraz zachowywał się jak dziecko ze skaleczonym paluszkiem. Wczoraj w restauracji wpatrywał się w nią nachalnie, potwierdzając tym samym, że mężczyźni nie rozumieją, iż ostentacyjne szukanie pociechy u innej kobiety jest dla niej po prostu obraźliwe.

W zamyśleniu dotarła na brzeg rzeki, gdzie w zatoczce stała łódź wiosłowa.

Obok niej, uśmiechnięty od ucha do ucha, czekał właśnie Chris Hughes.

* * *

— Ja będę wiosłował — powiedział, jeszcze zanim wsiadła do łodzi. Przystała na to bez słowa.

Wiosłował powoli, długimi pociągnięciami. Kate milczała. Rozsiadła się wygodnie i wystawiła twarz do słońca. Czuła przyjemne rozleniwienie.

— Piękny dzień — zagadnął Chris.

— Tak, piękny.

— Wiesz, Kate — zaczął ostrożnie — wczoraj wieczorem było bardzo przyjemnie. Pomyślałem, że może. . .

— To bardzo uprzejme z twojej strony, Chris — przerwała mu — ale muszę być z tobą szczerą.

— Naprawdę? To znaczy?

- Właśnie z kimś zerwałam.
— Ach, rozumiem. . .
— I chciałam przez pewien czas być sama.
— Tak, oczywiście. Może jednak. . .
— Raczej nie — powiedziała szybko, siląc się na uśmiech.
— Jak chcesz. — Przez chwilę sprawiał wrażenie nadąsanego, ale zaraz dodał:
— Chyba masz rację. Najlepiej będzie, jeśli zostaniemy przyjaciółmi.
— No to bądźmy przyjaciółmi. — Wyciągnęła do niego rękę. Dziób łodzi zarył w piach na brzegu.

* * *

W ruinach klasztoru zebrała się cała ekipa. Wszyscy stali na ziemnym kopcu przy stanowisku czwartym i zagłądali w głąb wykopaliska.

Trzymetrowej głębokości dół miał przekrój kwadratu o boku sześciu metrów. W północnej i wschodniej ścianie odsłoniли masywne łuki z płaskich kamieni, świadczące jednoznacznie, że dotarli do katakumb znajdujących się pierwotnie pod głównym budynkiem klasztornym. Przestrzeń pod łukami była jeszcze wypełniona zbitą ziemią. Tydzień wcześniej wykopali wąski rów pod łukiem w północnej ścianie, wyglądało jednak na to, że prowadzi donikąd. Zabezpieczono go więc stemplami i zaniechano dalszych prac.

Teraz uwagę wszystkich przyciągał podobny rów pod wschodnim łukiem. Kopanie szło wolno, ponieważ ciągle natykali się na ludzkie kości, które Rick Chang identyfikował jako szczątki poległych żołnierzy.

Kate spostrzegła, że w głębi wykopu ziemia obsunęła się po obu stronach i utworzyła wielką pryzmę u jego czoła. Przypominało to typowy zawał kopalni, uniemożliwiający kontynuowanie prac. W dodatku osuwisko odsłoniło wiele zbrązowiałych kości. Wystawały teraz z ubitej ziemi.

U wylotu rowu stali Chang, Marek i Elsie, która wyjątkowo oderwała się od swoich papierów. Robiła zdjęcia aparatem ustawionym na trójnogu. Miały posłużyć do wykonania trójwymiarowego komputerowego modelu architektonicznego.

Marek spojrzał w górę i dostrzegł Kate na skraju wykopu.

— Czekaliśmy na ciebie. Zejdź do nas — zawołał.

Erickson zbiegła po drabinie na ubite dno dołu. Unosił się tu zapach świeżej ziemi z ledwie wyczuwalnym odorem rozkładu materii organicznej. W pobliżu kamiennego łuku leżała czaszka, która zapewne wytoczyła się z rowu. Kate obezła ją łukiem. Wiedziała, że ludzkich szczątków nie wolno dotykać, dopóki nie zajmie się nimi Chang.

— Mamy już pewność, że to katakumby — powiedziała. — Ale zwłoki nie były grzebane w trumnach. Czyżby faktycznie rozegrała się tu jakaś bitwa?

Marek wzruszył ramionami.

— Wszędzie toczono bitwy. Na razie bardziej mnie interesuje to. — Wskazał odsłonięty fragment dolnej części łuku, zbudowanego z wygładzonych i starannie do siebie dopasowanych kamieni.

— To robota cystersów, może nawet dwunastowieczna. . .

— Jasne. A tamto?

U podstawy haku widać było mroczną jamę o średnicy około metra.

— Co zamierzasz? — spytała Kate.

— Ktoś powinien tam zejść, i to jak najszybciej.

— Po co ten pośpiech?

— Wygląda na to, że jest tam większa niezasypana komora — wtrącił Chang.

— Jakaś sala, może nawet kilka sal.

— I co z tego?

— Teraz dostało się tam powietrze, prawdopodobnie po raz pierwszy od sześciuset lat.

— I sądzisz, że jakieś znaleziska są zagrożone?

— Nie wiemy, co tam jest — uciął Marek. — Pewne rzeczy mogą jednak ulec rozkładowi już po paru godzinach. — Odwrócił się do Changa. — Mamy węża?

— Nie, jest w Tuluzie, w naprawie.

Wężem nazywali grubą wiązkę światłowodu, którą można było przymocować do obiektywu aparatu i w ten sposób badać niedostępne miejsca.

— To może wypełnić całą tę salę azotem? — podsunęła Kate.

Mało reaktywny gaz, cięższy od powietrza, wypełniłby podziemną komorę niczym woda, zabezpieczając znajdujące się tam przedmioty przed korozyjnym działaniem tlenu z atmosfery.

— Już o tym myślałem — odparł Marek — lecz mamy go za mało, tylko parę butli pięćdziesięciolitrowych.

Rzeczywiście azotu było za mało. Kate wskazała skupisko czaszek i powiedziała:

— Jeśli spróbujemy tam zejść, naruszymy. . .

— Nie przejmowałbym się szkieletami — przerwał jej Chang. — Zawał już ruszył je z miejsca. W dodatku wygląda to na masowy grób ofiar jakiejś bitwy. Badania szczątków nie przyniosą nam nic nowego. — Cofnął się o krok, zadął głowę i zapytał: — Chris, kto ostatni brał reflektor?

— Nie ja — odparł stojący na krawędzi wykopu Hughes. — Chyba powinien być gdzieś tu, w klasztorze.

— Widziałem go wczoraj w sektorze trzecim — odezwał się jeden ze studentów.

— No to do dzieła. Elsie, skończyłaś wreszcie te zdjęcia?

- Nie poganiaj mnie.
- Skończyłaś czy nie?
- Za minutę.

Chang zawołał do studentów, żeby przynieśli reflektor, lecz czterech już wcześniej pognało wielkimi susami do sąsiedniego wykopu.

Marek objął dowodzenie.

— Dobra, ludzie. Do roboty — zawołał. — Potrzebne mi są latarki, plecak z lekkim sprzętem, butle tlenowe, maski ze świeżymi filtrami, liny i haki... Biegiem!

Zapanowało poruszenie. Kate jeszcze przez chwilę patrzyła w głąb jamy. Potem podniosła wzrok na kamienny hak. Był w kiepskim stanie, zaprawa się powykruszała, a część kamieni poluzowała. W normalnych warunkach dociskał je ciężar wznoszącej się wyżej konstrukcji, masa budowli spoczywała na centralnym kamieniu sklepienia łuku. Obsunięcie się ziemi spowodowało, że właśnie jego górna część zawisała w powietrzu, niczym niepodtrzymywana. Tymczasem u podstawy nadal osuwały się drobne kamyczki i grudki gleby. Łuk groził zawaleniem.

— Andre, zejście do podziemi nie jest bezpieczne — powiedziała.

— A kto mówi o schodzeniu? Spuścimy cię na linie.

— Mnie?

— Oczywiście. Przerzucimy linę nad hakiem i po prostu spuścimy cię na dno.

— Spoglądała na niego zdziwiona, więc uśmiechnął się i dodał: — Nie martw się, zjadę na dół z tobą.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli... — Urwała nagle. Przez głowę przemknęła jej myśl, że mogą zostać żywcem zasypani!

— O co chodzi? — mruknął Marek. — Strach cię obleciał? Nie musiał już nic więcej mówić.

* * *

Dziesięć minut później Erickson zawisała na linie ponad mroczną czeluścią. Miała na sobie plecak z poluzowanymi do końca szelkami, żeby układał się na butlach tlenowych. Dwie duże latarki kołysały jej się u paska niczym ręczne granaty. Maskę tlenową zsunęła na razie na czoło. Gruby kabel łączył krótkofalówkę na piersiach z ciężkim akumulatorem w kieszeni. Tak obciążona czuła się nieswojo, miała ograniczone ruchy. Stojący obok Marek trzymał koniec dodatkowej linki zabezpieczającej. Rick ze studentami obserwował uważnie operację z krawędzi wykopu.

Kate spojrzała na Andre.

— Daj półtora metra luzu.

Szybko przesunął linkę w palcach. Kate ostrożnie zwolniła hamulec i opuszczała się w dół, aż dotknęła stopami szczytu ziemnego osuwiska. Kilka grudek ziemi zsunęło się w głąb jamy. Podgięła nogi i przekręciła się do poziomu.

— Jeszcze metr.

Powoli opadała na czworaki, delikatnie sprawdzając wytrzymałość muldy pod jej ciężarem. Nic się nie stało. Z niepokojem popatrzyła w górę. Zaprawa wokół centralnego kamienia łuku wyraźnie była popekana.

— Wszystko w porządku? — zapytał Marek.

— Tak. Schodzę na dół.

Przesunęła się trochę w głąb jamy, odpięła latarkę od pasa i obejrzała się na Marka.

— Nie wiem, czy dasz radę tu zjechać, Andre. Usypisko może nie wytrzymać twojego ciężaru.

— Na pewno nie zostawię cię tam samej.

— Jak chcesz. Ale zaczekaj, aż zejdem na sam dół.

Zapaliła latarkę, włączyła krótkofalówkę, zsunęła na twarz maskę tlenową i ostrożnie popęzła w ciasną, mroczną czeluść.

* * *

W podziemnej sali było bardzo zimno. Strumień światła latarki wyłowił płaskie kamienie posadzki. Chang miał rację, sala jakimś cudem nie została zasypa-
na. Ale parę metrów dalej posadzka ginęła pod stertą gruzu i ziemi zagradzającą
dalsze przejście. Kate poświeciła wyżej, próbując ocenić stan sklepienia komory,
lecz pod tym kątem niewiele mogła zobaczyć. To też nie wróżyło najlepiej.

Popęzła na czworakach w dół osuwiska, kilkakrotnie zsuwając się po pochy-
łości. W końcu jednak stanęła pewnie na posadzce.

— Jestem na dole.

Otaczały ją nieprzeniknione ciemności, w powietrzu czuć było wilgoć. Wypeł-
niał je nieprzyjemny odór, wyczuwalny nawet przez filtry maski, które chroniły
przed bakteriami i wirusami. Na większości wykopalisk nie używano masek tle-
nowych, tu jednak były konieczne. W czternastym wieku zarazy uśmierciły jedną
trzecią mieszkańców Europy. Większość groźnych chorób roznosiły wszechobec-
ne wtedy szczury, ale niektóre rozprzestrzeniały się drogą kropelkową. Zarazki
mogły więc przetrwać w takiej zamkniętej, odizolowanej przestrzeni.

Kate usłyszała za sobą szelest; w dziurze pod sklepieniem pojawił się Marek.

Wylądował miękko na stercie ziemi. Zaczął się zsuwać, więc szybko zeskoczył na posadzkę.

— Co ty wyrabiasz? Nie wiesz, że możemy tu zostać pogrzebani żywcem?

— Trochę optymizmu — mruknął Andre.

Ruszył przed siebie, omiatając salę strumieniem fluorescencyjnego światła z reflektora. Komora była prawie pusta. Po lewej stronie stał kamienny sarkofag bez pokrywy, ozdobiony płaskorzeźbą przedstawiającą zmarłego. Zajrzeli do środka, był pusty. Pod przeciwległą ścianą stał ciężki stół z surowych bali. Na nim też nic nie leżało. Na lewo od niego odchodził krótki korytarz kończący się kamiennymi schodami, które metr dalej ginęły pod stertą ziemi. Z prawej strony stołu pod kolejnym kamiennym hakiem leżała druga kupa gruzu. I to przejście było zawałone.

Marek westchnął głośno.

— Tyle krzyku... i wszystko na nic.

Kate, zainteresowana osuwiskiem przy stole, zaczęła się uważniej przyglądać stercie ziemi.

Wtedy to zauważyła.

— Andre — powiedziała. — Chodź tutaj.

* * *

Wystający róg był tak jak ziemia brunatnoczarna, miał jednak delikatny połysk. Kate musnęła przedmiot palcami. Od razu rozpoznała ceratę. Wyraźnie zarysowała się ostra krawędź. Coś było w nią zawinięte.

Marek spojrzał jej przez ramię.

— Świetnie. Znakomicie.

— Znano już wtedy ceratę?

— Och, tak. To wynalazek wikingów, chyba z dziewiątego wieku. W średniowieczu była znana w całej Europie. Nie przypominam sobie jednak, byśmy dotąd znaleźli w ruinach klasztoru choćby skrawek ceraty.

Zaczęli odkopywać znalezisko. Pracowali powoli, ostrożnie, żeby nie spowodować osunięcia się większej masy ziemi. Wkrótce wydobyli niewielki rulon przewiązany grubo nawoskowanym sznurem.

— To pewnie jakieś dokumenty — rzekł Marek, obracając go w palcach. Z trudem się opanowywał, żeby nie rozpakować od razu. — Zabierzemy go ze sobą.

Wsunął zawiniątko pod pachę i ruszył do wyjścia. Kate po raz ostatni obrzuciła wzrokiem pryzmę ziemi, tknięta jakimś przecuciem. Miała wrażenie, że coś przeoczyła. Poświeciła latarką i...

Przystanąła w pół kroku.

Kątem oka złowiła odbłask jakiegoś połyskliwego przedmiotu. Przesunęła tam i z powrotem promień światła. Już myślała, że to złudzenie, kiedy znów dostrzegła refleksy.

Okruch szkła ledwie wystawał z ziemi.

— Andre, zaczekaj. Jest tu coś jeszcze.

* * *

Szkiełko było cienkie i gładkie. Miało zaokrągloną krawędź, jak gdyby maszynowo wypolerowaną. Kate pospiesznie otarła je z kurzu. Zorientowała się, że to szkło od okularów. Soczewka miała dwa ogniska.

— Co to jest? — Marek podszedł do niej.

— Sam popatrz.

Oświetlił szkiełko reflektorem.

— Gdzie je znalazłaś? — spytał odmienionym głosem.

— Tutaj.

— Leżało na wierzchu, tak jak teraz?

— Nie, wystawał tylko brzeg. Odsłoniłam je bardziej.

— Jak?

— Zwyczajnie, palcami.

— Twierdzisz zatem, że szkło było częściowo zakopane w ziemi? — zapytał ostrym tonem.

— O co ci chodzi?

— Odpowiedz, proszę.

— Nie, Andre. Było prawie całkiem zasypane. Z ziemi wystawał tylko kawałek górnej krawędzi.

— Szkoda, że go dotknęłaś.

— Ja też zaczynam żałować. Gdybym wiedziała, że zareagujesz w ten sposób...

— Trzeba to wyjaśnić. Odwróć się.

— Słucham?

— Odwróć się! — Chwyił ją za ramię i szarpnięciem obrócił twarzą do ściany.

— Jezu...

Kate zerknęła przez ramię, żeby zobaczyć, co on robi. Przyświecając sobie reflektorem, dokładnie oglądał plecak, stopniowo przesunął się niżej, wreszcie zaczął sprawdzać jej szorty.

— Czy mógłbyś mi wreszcie wyjaśnić...

— Bądź cicho, dobrze? — Skończył inspekcję po minucie i rzekł: — Lewa dolna kieszeń plecaka jest otwarta. Czy ty ją otwierałaś?

— Nie.

— Była otwarta przez cały czas, od chwili, kiedy włożyłaś plecak?

— Chyba tak...

— A nie otarłaś się nim o ścianę?

— Chyba nie. — Kate bardzo uważała, żeby nie dotykać murów.

— Jesteś pewna? — nalegał Andre.

— Na miłość boską! Nie, nie jestem pewna!

— W porządku. Teraz ty sprawdź mnie. — Podał jej reflektor i odwrócił się plecami.

— Czego mam szukać?

— To szkło jest ewidentnym skażeniem stanowiska. Musimy wyjaśnić, skąd się tutaj wzięło. Sprawdź, czy któraś kieszeń w moim plecaku nie jest rozpięta. Kate zrobiła to, lecz nie znalazła niczego podejrzanego.

— Przyjrzałaś się dokładnie?

— Tak, bardzo dokładnie — odparła z pewnym rozbawieniem.

— Dziwnie szybko się z tym uwinęłaś.

— Nie przesadzaj, Andre.

Obejrzał się na pryzmę ziemi. Nie była zbyt mocno ubita, parę kamyków osu-
nęło się na posadzkę.

— Szkło mogło wypaść z któregoś plecaka...

— To niewykluczone.

— Oczyszczyłaś jeż ziemi jednym ruchem palca, nie było więc głęboko zagrzebane.

— Tak, masz rację.

— W porządku. Mamy zatem wyjaśnienie.

— Jakie?

— Musieliśmy przynieść soczewkę ze sobą i gdy odkopywaliśmy dokumenty zapakowane w ceratę, wypadło z plecaka i zostało przysypane ziemią. Później je zauważyłaś i odsłoniłaś. To jedyne sensowne wyjaśnienie.

— Być może.

Marek wyjął aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć szkła — najpierw z bli-
ska, potem z coraz większej odległości, pod różnymi kątami. Następnie wyciągnął plastikową torebkę, chwycił soczewkę szczypcykami, wydobyl z ziemi i wsunął do torebki. Okleił ją paskiem papierowej taśmy samoprzylepnej i podał Kate.

— Zaopiekuj się tym. Tylko bądź ostrożna.

Rozluźnił się wyraźnie, już nie pokrzykiwał na nią.

— Jak sobie życzysz.

Zaczęli się wdrapywać po stercie ziemi do wyjścia.

* * *

Na górze powitały ich gromkie owacje całej ekipy. Ceratowe zawiniątko oddali pod opieką Elsie, która natychmiast ruszyła z nim do magazynu. Zapanowała ogólna radość, tylko Chang i Hughes pozostali śmiertelnie poważni. Mieli krótkofalówki i słyszeli rozmowę w katakumbach. Dlatego byli zasępieni i podenerwowani.

Doskonale wiedzieli, czym grozi skażenie wykopalisk — dowodziło niechlujstwa i niedbałości przy nadzorowaniu prac i stawiało pod znakiem zapytania autentyczność wszelkich wcześniejszych, choćby najlepiej udokumentowanych znalezisk. Mieli świeżo w pamięci skandal, jaki wybuchł rok wcześniej w Les Eyzies.

Pod skalną ścianą odkopywano tam siedlisko pracźlowieka z wczesnego paleolitu. Archeolodzy pracowali już na poziomie datowanym na trzysta dwadzieścia tysięcy lat przed naszą erą. Nieoczekiwanie odnaleźli zagrzebaną w ziemi prezerwatywę. Była w oryginalnym opakowaniu z metalizowanej folii i nikomu nie przyszło nawet do głowy, by zaliczyć ją do znalezisk archeologicznych. Niemniej z faktu, że leżała częściowo przysypana ziemią na terenie objętym badaniami, wynikało jednoznacznie, że kierownictwo ekipy zaniedbało środki ostrożności. W zespole zapanowało zamieszanie, a winowajcę wyrzucono z hukiem i odesłano do Paryża.

— Gdzie jest ta soczewka? — zapytał cicho Hughes.

— Kate ją ma.

Erickson wyjęła z kieszeni torebkę i podała Chrisowi. Odwrócił się tyłem do wiwatujących studentów, rozerwał taśmę klejącą i uniósł szkielek do słońca.

— Bez wątplenia współczesna — orzekł. Ze smutną miną pokręcił głową. — Sprawdzę jeszcze dokładnie. A wy opiszcie wszystko w raporcie.

— Jasne — burknął Marek.

Rick Chang odwrócił się i zaklaskał w dłonie.

— No, dość tego! Koniec zabawy! Wracamy do pracy!

Popołudniami Marek prowadził ćwiczenia w strzelaniu z łuku. Dla studentów była to atrakcja, starali się nie opuszczać żadnej lekcji. Ostatnio nawet Kate przychodziła na zajęcia. Tego dnia obrali za cel słomianego stracha na wróble ustawionego w odległości pięćdziesięciu metrów. Uczniowie stali w szeregu z opuszczoną bronią, a Marek kroczył przed nimi dumnie, tłumacząc:

— Jeśli chcecie zabić przeciwnika, pamiętajcie, że na pewno będzie w zbroi, a przynajmniej w napierśniku. Niewykluczone, że będzie miał osłoniętą także głowę, szyję i uda. Aby go zabić, musicie trafić albo w przód głowy, albo w bok, gdzie schodzą się części zbroi.

Kate słuchała tego z rozbawieniem. Marek traktował wszystko bardzo poważnie, jakby naprawdę miał na myśli zabijanie ludzi. Tutaj, w skąpanej popołudniowym słońcem Francji, przy wtórze dolatującego od strony szosy dźwięku klaksonów, brzmiało to absurdalnie.

— Jeśli zaś chcecie tylko unieszkodliwić przeciwnika — ciągnął Andre — celujcie w nogi. Od razu powalicie go na ziemię. Dzisiaj będziemy strzelali z łuków dwudziestopięciokilogramowych.

Taką siłę trzeba było przyłożyć, aby napiąć cięciwę. Wymagało to sporego wysiłku. Strzały miały prawie metr długości. Wielu studentów nie radziło sobie z nimi, zwłaszcza przy pierwszych próbach. W dodatku Marek systematycznie zwiększał naciągi, chcąc wyrabiać siłę swoich uczniów.

Sam bez trudu potrafił strzelać z pięćdziesięciokilogramowego haku. I choć trudno było w to uwierzyć, powtarzał, że właśnie tak silne naciągi stosowano w czternastym wieku.

— W porządku. Załóżcie strzały, wycelujcie i zwolnijcie uchwyt.

Pęk strzał przeciął powietrze.

— Nie, nie tak. David, nie naciągaj cięciwy tak silnie, żeby ci drżały mięśnie. Musisz nad nią panować. Carl, patrz na tarczę. Bob, za wysoko. Deanna, pamiętaj o ułożeniu palców. Rick, tym razem było znacznie lepiej. No, dobra. Powtarzamy. Założyć strzały, wycelować... puścić!

* * *

Zapadał już zmierzch, kiedy Stern wywołał Andre przez radio i poprosił go, żeby przyszedł do magazynu. Powiedział, że ma dobre wieści. Marek zastał go przy mikroskopie. Badał znalezioną soczewkę.

— Co się stało?

— Sam popatrz. — David zsunął się ze stołka.

Marek usiadł przy stole i popatrzył przez okular. Obiektów był wycelowany w krawędź szkła. Po obu jej stronach widniały rozproszone białe plamki, przypominające drobne kolonie bakterii.

— I co w tym niezwykłego? — zapytał.

— Przyjrzyj się lewej krawędzi.

Stern przesunął stolik, podstawiając pod obiektów brzeg soczewki. Oszlifowana krawędź była biała. Dopiero po chwili Andre zauważył, że białe obszary miejscami sięgały na gładką powierzchnię.

— To kolonie bakterii usadowione na szkle — wyjaśnił Stern. — Podobne do skalnego werniksu.

Tą nazwą określali cieniutką warstwę pleśni i bakteryjnych kolonii, jakie spotykało się na dolnych powierzchniach kamieni. Była to szczególnie cenna materia organiczna, pozwalająca na datowanie znaleziska.

— Dałbyś radę pobrać próbkę? — zapytał Marek.

— Tak, ale nie wystarczy węgla czternaście do wykonania pomiaru. Wynik datowania byłby bardzo wątpliwy. Z taką ilością nawet nie warto zaczynać.

— A więc?

— To jest krawędź, która wystawała z ziemi, prawda? Ta, którą zauważyła Kate?

— Zgadza się...

— Więc szkło jest stare, Andre. Nie wiem, jak stare, lecz to na pewno nie skażenie stanowiska. Rick przejrzał kości, które odstoniły się podczas zawału, i podejrzewa, że część z nich jest młodsza, z osiemnastego, może nawet dziewiętnastego wieku. A to oznacza, że jeden z zabitych mógł nosić okulary dwuogniskowe.

— No, nie wiem... Szkło wygląda na bardzo precyzyjnie obrobione.

— To wcale nie oznacza, że musi być współczesne — rzekł z naciskiem Stern. — Dwieście lat temu znano już metody precyzyjnego szlifowania szkła. Skontaktowałem się ze znajomym optykiem z New Haven. Obiecał zbadać soczewkę. Poprosiłem też Elsie, żeby wstępnie oceniła dokumenty zapakowane w ceratę i sprawdziła, czy nie ma w nich czegoś niezwykłego. Naprawdę sądzę, że nie musimy się niczym przejmować.

— To rzeczywiście dobra nowina. — Marek uśmiechnął się.

— Dlatego postanowiłem cię od razu zawiadomić. Porozmawiamy jeszcze przy kolacji.

Zarezerwowali stolik w restauracji w Domme, miasteczku wznoszącym się na szczycie urwistej skarpy, kilka kilometrów od Castelgard. Hughes, który przez cały dzień był w złym humorze, pod wieczór się ożywił. Niecierpliwie oczekiwał spotkania przy kolacji. Miał nadzieję, że Marek odebrał jakąś wiadomość od profesora. Inaczej, trzeba było planować pracę na następny dzień. Dobry nastrój przysł, gdy Chris spostrzegł przy stoliku dwóch Amerykanów z narzeczonymi. Bez wątpienia zostali zaproszeni na kolację. Już chciał wycofać się niepostrzeżenie, gdy Kate poderwała się z krzesła, podbiegła, objęła go w pasie i pociągnęła do stolika.

— Nie mam ochoty — powiedział półgłosem. — Nie znoszę tych facetów.

Kate dała mu tylko kuksańca w bok i posadziła na krześle. Chris od razu spostrzegł, że dzisiaj Amerykanie fundują wino. Na stoliku stały butelki Chateau Lafite-Rotschild, rocznik dziewięćdziesiąty piąty. Musiały kosztować co najmniej cztery tysiące franków.

— To również przeurocze miasto — odezwała się jedna z redaktorek. — Zwiedzaliśmy dzisiaj mury obronne. Są imponujące. Brama też bardzo mi się spodobała. Wiecie, ta z dwiema kolistymi wieżyczkami po bokach.

Kate przytaknęła ruchem głowy.

— Może was to zdziwi — powiedziała — ale miasteczka, które obecnie są atrakcją turystyczną, w czternastym wieku pełniły głównie rolę targowisk.

— Targowisk? Co masz na myśli? — zainteresowała się Amerykanka. W tej samej chwili zatrzeszczało w głośniku krótkofalówki Marka.

— Andre? Jesteś tam?

To była Elsie, która nigdy nie uczestniczyła we wspólnych kolacjach. Siedziała do późna nad papierzyskami. Marek uniósł radio do ust.

— Tak, słucham.

— Znalazłam właśnie coś bardzo dziwnego.

— To znaczy?

— Czy mógłbyś poprosić Davida, żeby tu przyjechał? Potrzebna mi jego pomoc. I jeszcze jedno. Jeśli to jakiś kawał, to mało zabawny.

Głośny trzask oznajmił przerwanie połączenia.

— Elsie?

Nie było odpowiedzi. Marek rozejrzał się po gromadce siedzącej przy stoliku.

— Ktoś z was zrobił jej jakiś kawał?

Wszyscy zgodnie pokręcili głowami.

— Może to początek załamania — podsunął Chris. — Wcale bym się nie zdziwił. Po tylu godzinach nad pergaminami. . .

— Zobaczę, o co jej chodzi — powiedział Stern. Wstał od stolika i ruszył w stronę parkingu.

Hughes chciał jechać z Davidem, lecz Kate spojrzała na niego i uśmiechnęła się rozbrajająco. Rozsiadł się więc wygodnie i sięgnął po kieliszek z winem.

* * *

— Mówiłaś, że te miasta pełniły funkcję targowisk. . .

— Tak, w każdym razie większość — odparła Kate. — Poza tym były podstawowym źródłem dochodów właścicieli ziemi, podobnie jak dzisiaj. Mają zresztą ten sam układ architektoniczny, co obecne miasta targowe. — Obejrzała się i wskazując główną część rynku, wyjaśniła: — Widzicie te zadaszone stoiska targowe na środku? Podobne można znaleźć niemal we wszystkich miastach tego regionu. Świadczą wyraźnie, że mamy do czynienia z bastide, czyli nową, ufortyfikowaną osadą. W czternastym wieku we Francji powstało prawie tysiąc takich

osad. Tylko niektóre pełniły rolę bastionów obronnych, większość służyła wyłącznie pomnażaniu bogactwa.

Te słowa, jak zakłęcie, przyciągnęły uwagę handlowców. Jeden z nich zapytał ze zdziwioną miną:

— Jakim sposobem zbudowanie miasta mogło pomnożyć czyjś majątek?

Kate uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Na tym opierała się czternastowieczna gospodarka. Załóżmy, że jesteś szlachcicem posiadającym wielki majątek ziemski. W średniowieczu Francja była znacznie bardziej zalesiona, więc twój majątek stanowią głównie lasy. Masz najwyższą gromadkę lenników, którzy płacą ci łącznie grosze za dzierżawę ziemi uprawnej. To za mało, żeby zdobyć bogactwo. A ponieważ jesteś szlachcicem, zawsze brakuje ci pieniędzy, czy to na prowadzenie wojen, czy na wystawny styl życia, jakiego się po tobie oczekuje. Więc co robisz, żeby pomnożyć zyski ze swego majątku? Budujesz nowe miasto. Zachęcasz ludzi do osiedlenia się w nim poprzez obniżanie podatków czy specjalne przywileje zapisane w karcie praw miejskich. Ogólnie rzecz biorąc, zwalniasz mieszkańców swego miasta od wielu feudalnych obciążeń.

— Po co jeszcze ulgi podatkowe? — wtrącił drugi Amerykanin.

— Bo szybko zaczniesz się bogacić na sklepikarzach i kupcach odwiedzających twoje miasto. Ściągane od nich podatki i opłaty zagwarantują ci stały dochód. Za wszystko będą musieli płacić: za korzystanie z drogi prowadzącej do miasta i prawo przekroczenia miejskich bram, za miejsce do rozstawienia straganu na rynku, utrzymanie straży strzegących porządku i ściąganie lichwiarzy na targowisko.

— Nieźle.

— Pewnie, że nieźle. A w dodatku będziesz pobierać procent od każdego sprzedanego towaru.

— Naprawdę? Jaki procent?

— Różny, w zależności od miejsca, popytu i rodzaju towaru. Zwykle od jednego do pięciu procent. A więc targowisko jest główną przyczyną założenia miasta. Zresztą widać to po układzie architektonicznym. Spójrzcie na kościół — powiedziała, wskazując okazałą budowlę za ich plecami. — Wcześniej życie miast koncentrowało się wokół kościoła, mieszkańcy co najmniej raz dziennie uczestniczyli we mszy świętej. Dlatego kościoły stanowiły centrum miasta. Ale tu, w Domme, kościół znajduje się na obrzeżu rynku, którego centralną część stanowi targowisko.

— I wszystkie dochody pochodziły z opłat targowych?

— Niezupełnie. Ufortyfikowane miasta zapewniały bezpieczeństwo, toteż karczowano lasy wokół nich i rozpoczynano uprawę ziemi. To z kolei umożliwiało podniesienie opłat lennych. W sumie budowa miasta była nadzwyczaj opłacalną inwestycją. Dlatego budowano ich tak dużo.

- I to był jedyny powód rozwoju miast?
- Nie, drugą ważną przyczynę stanowiły względy obronne...
- Andre? — ponownie zgłosiła się Elsie przez radio.
- Tak, słucham — odpowiedział Marek.
- Lepiej i ty wracaj, bo nie mam pojęcia, co z tym fantem zrobić.
- O co chodzi?
- Nie pytaj, tylko przyjedź, dobrze?

Generator głośno warczał. W porównaniu z otwartym terenem, omywanym jedynie blaskiem gwiazd, wewnątrz magazynu wydawało się rzęsiście oświetlone.

Wszyscy zebrali się w ciasnym pomieszczeniu. Elsie siedziała przy stole pośrodku i spoglądała na nich z zasepioną miną. Sprawiała wrażenie zamyślanej.

- To niemożliwe — powiedziała.
- Co jest niemożliwe? Co się stało?

Marek obejrzał się na Davida Sterna, który siedział w kącie pokoju pochłonięty jakimiś analizami. Kastner westchnęła ciężko.

- Nic z tego nie rozumiem...
- Dobra, zacznij od początku — rzekł Andre.

— Jasne. Od początku. — Wstała i podeszła do arkusza plastikowej folii, na której leżała sterta pergaminów. — To jest początek. Dokumenty, które oznakowałam jako zbiór M-31, wydobyte dziś rano z klasztornych podziemi. David prosił, abym je przejrzała jak najszybciej.

Wszyscy patrzyli na nią w milczeniu.

— No więc zajęłam się tym zbiorem. Zwykle robię to tak: wybieram około dziesięciu pergaminów i rozkładam je na stole. — Wzięła ze stosu dziesięć arkuszy. — Siadam i zaczynam je kolejno przeglądać. Po zbadaniu każdego wprowadzam wstępny opis do komputera i przenoszę pergamin na stół fotograficzny. Dokładnie tak. — Wzięła pierwszy arkusz i rozłożyła go na drugim stole, pod aparatem na statywie.

— Tak, wiemy... — zaczął Marek.

— Nie, nic nie wiecie — ucięła ostro. — Nie macie o niczym pojęcia. — Wróciła na swoje stanowisko i podniosła następny pergamin. — Przeglądam papiery jeden po drugim. W tym zbiorze znalazły się rozmaite dokumenty: rachunki, kopie listów, odpowiedź na zamówienie złożone przez biskupa, zestawienie zbiorów płodów rolnych, spis wartościowych przedmiotów należących do zakonu... Wszystkie pochodzą z roku tysiąc trzysta pięćdziesiątego siódmego.

Podnosiła kolejne pergaminy, aż doszła do ostatniego.

— I nagle — wskazała pozostały arkusz — natknęłam się na to. Wszyscy pochylili się nad stołem.

Pergamin miał ten sam rozmiar, co reszta dokumentów zapakowanych w ceratę, ale nie był gęsto zapisany po łacinie czy starofrancusku. Widniały na nim tylko dwa słowa, do tego angielskie:

POMÓŻCIE MI
4 IV 1357

— Gdybyście chcieli wiedzieć — dodała Elsie — to charakter pisma profesora.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie ośmielił się nawet poruszyć. Wszyscy w osłupieniu patrzyli na pergamin.

Marek gorączkowo rozważał wszelkie możliwości. Ze względu na szczegółową, niemal encyklopedyczną wiedzę o średniowieczu wielokrotnie był powoływany na konsultanta do spraw średniowiecznych znalezisk w nowojorskim Metropolitan Museum. Stał się ekspertem w zakresie rozmaitych fałszerstw. Rzadko miewał do czynienia z podrobionymi dokumentami. Zazwyczaj chodziło o imitację szlachetnych kamieni w bransolecie mającej zaledwie dziesięć lat czy też kompletną rycerską zbroję wyprodukowaną w Brooklynie. Jednak doświadczenie kazało mu dopatrywać się fałszerstwa.

— Dobra, zacznijmy jeszcze raz od początku — odezwał się w końcu. — Jesteś pewna, że to pismo profesora?

— Tak — odparła Elsie. — Bez dwóch zdań.

— Po czym poznałaś? Parsknęła pogardliwie.

— Jestem grafologiem, Andre. Zresztą przyjrzyj się sam.

Położyła obok kartkę z notatnika, na której parę dni wcześniej Johnston zapisał uwagę i dopiął do jakiegoś rachunku: PROSZĘ SPRAWDZIĆ TĘ SUMĘ.

— Wielkie litery są łatwiejsze do analizy. Spójrz na M. U profesora pionowe elementy zawsze zbiegają trochę poniżej linii podstawowej. On najpierw stawia pionową kreskę, potem rysuje górny element i dopiero na końcu robi drugą nóżkę. Tak samo jest z P, najpierw pionowa kreska, później powrót na górę i rysowanie brzuszka. Charakterystyczne jest również E, które wygląda jak L z dorysowanymi dwiema kreskami, często połączonymi w jeden zygzak. Nie mam żadnych wątpliwości. To jego pismo.

— I nikt nie mógłby go podrobić?

— Nie. Brak jakichkolwiek elementów sugerujących fałszerstwo. To na pewno pismo profesora.

— Więc może zrobił nam kawał? — wtrąciła Kate.

— Jeśli tak, to mało śmieszny.

— A co powiesz o pergaminie, na którym zostało to napisane? — spytał Marek. — Czy jest tak samo stary, jak reszta dokumentów?

— Tak — odpowiedział Stern, podchodząc do nich. — Nawet bez datowania węglowego mogę powiedzieć, że pochodzi z tego samego okresu.

Jak to możliwe? — zastanawiał się Marek.

— Jesteś pewien? — zapytał głośno. — Ten arkusz wygląda trochę inaczej. Mam wrażenie, że jest bardziej szorstki.

— Owszem, jest — przyznał David. — Dlatego że został zdrapany w pośpiechu. Pergamin był wówczas bardzo cennym materiałem. Po zapisaniu całego arkusza zdrapywano go do czysta i wykorzystywano ponownie. Jeśli jednak przyjrzesz mu się w nadfiolecie... Czy ktoś może zgasić górne światło?

Kate cofnęła się do wejścia i wyłączyła jarzeniówki. W półmroku Stern skierował na arkusz światło lampy ultrafioletowej.

Oczom Marka ukazały się wcześniejsze zapisy, słabo widoczne, ale wyraźne.

Pierwotnie na tym arkuszu spisano rachunek za nocleg — wyjaśniła Elsie. — Później wydrapano go do czysta. Rzeczywiście niezbyt starannie, jakby ktoś działał w pośpiechu.

— Sugerujesz, że to profesor go wydrapał? — odezwał się Chris.

— Nie mam pojęcia, kto to zrobił, ale na pewno nie miał w tym wprawy.

— Rozumiem — powiedział Marek. — Jest jeszcze jeden sposób na ostateczne rozstrzygnięcie autentyczności. — Odwrócił się do Sterna. — Co powiesz o atramencie, David? Jest oryginalny?

Stern zawahał się.

— Nie jestem pewien — bąknął.

— Nie jesteś pewien? Dlaczego?

* * *

— Zrobiłem analizę i znalazłem to, czego należało się spodziewać: zawiesinę tlenku żelaza w roztworze garbników z galasów, pełniących funkcję organicznego spoiwa. Czasami dodawano trochę sadzy i parę procent cukru. Do dziś stosuje się cukier, żeby tusz miał szklisty połysk. Krótko mówiąc, to zwykły atrament żelazowo-galasowy, jakim posługiwano się w średniowieczu. To jednak o niczym jeszcze nie świadczy.

— Rozumiem. — Marek uznał, że wyniki analizy mogą przemawiać za fałszerstwem.

— Przeprowadziłem też analizę ilościową — ciągnął Stern. — Zwykle się tak robi w wątpliwych przypadkach, żeby określić zawartość poszczególnych składników. Wyniki miareczkowania wskazują, że ten atrament jest podobny, ale nie taki sam, jak użyty do spisania pozostałych dokumentów.

— Podobny, lecz nie identyczny — powtórzył Andre. — Jak bardzo podobny?

— No cóż, średniowieczne atramenty często się rozwarstwiały, trzeba je było wstrząsać przed użyciem. Garbniki, które otrzymywano przez mielenie galasów z liści dębowych, to substancja organiczna, rozkładająca się z czasem. Niekiedy dodawano do atramentu wina jako środka konserwującego. W każdym razie spotyka się atramenty o dość zróżnicowanej zawartości garbników i żelaza. Nieraz różnice te sięgają dwudziestu czy nawet trzydziestu procent. Zazwyczaj są na tyle wyraźne, że można stwierdzić, czy dwa dokumenty były pisane tego samego dnia albo tym samym atramentem. Ten konkretny atrament różni się od innego, którego próbkę pobrałem z sąsiedniego pergaminu, o dwadzieścia dziewięć procent.

— To na nic — orzekł Marek. — Wyniki analizy ilościowej także nie przesądzą o autentyczności. Zrobiłeś analizę spektrograficzną?

— Tak, przed chwilą skończyłem. Tutaj masz widma atramentu z trzech dokumentów. Ten z pisma profesora jest pośrodku. — Rozwinął podłużny pasek papieru, na którym trzy poziome linie miejscami tworzyły wyższe lub niższe pik. — To też świadczy, że jest podobny, ale nie identyczny.

— Wcale nie tak bardzo podobny — zaprotestował Andre, spoglądając na rozmieszczenie pików. — Z tego, co widzę, poza różnicami w składzie ilościowym w widmie atramentu użytego przez profesora występuje sporo pierwiastków śladowych. Na przykład od czego jest ten pik?

— To chrom. Marek westchnął.

— A więc to współczesny atrament.

— Niekoniecznie.

— W średniowiecznych atramentach nie stosowano związków chromu.

— To prawda, lecz chrom znajdowano w wielu tuszach z manuskryptów. Wcale nie był taką rzadkością.

— Czy w tej dolinie występują rudy chromu?

— Nie, ale przywożono je już wtedy do Europy. Były stosowane nie tylko do wyrobu farb i tuszów, lecz także do barwienia tkanin.

— A pozostałe pierwiastki śladowe? — Marek wskazał szereg drobnych, niewyraźnych pików na widmie i pokręcił głową. — Przykro mi, ale nie dam się przekonać.

— Masz rację — przyznał Stern. — To musi być jakiś kawał.

— Będziemy mieć pewność po wykonaniu datowania węglowego — uznał Andre.

Pomiary zawartości węgla C-14 pozwalały na ustalenie wieku atramentu i pergaminu z dokładnością w przybliżeniu do pięćdziesięciu lat. Taka precyzja wystarczała, by rozstrzygnąć, czy dokument jest autentyczny, czy podrobiony.

— Chcę jeszcze zrobić badanie termoluminescencyjne, może również spróbować aktywacji laserowej — powiedział David.

— Nie mamy tu sprzętu.

— Nie, ale myślałem, żeby pojechać z tym do Les Eyzies.

W Les Eyzies znajdowało się świetnie wyposażone laboratorium. Można tam było wykonać nie tylko datowanie węglowe, ale i potasowo-argonowe, a także przeprowadzić analizę metodą aktywacji neutronowej i kilkoma innymi nowoczesnymi metodami. Wyniki nie były tak dokładne, jak z laboratoriów w Paryżu czy Tuluzie, lecz czekało się na nie najwyżej parę godzin.

— Dasz radę to załatwić jeszcze dzisiaj? — podchwycił Marek.

— Spróbuję.

Dołączył do nich Chris, który próbował się skontaktować z profesorem przez telefon komórkowy.

— Nic z tego — mruknął. — Zgłasza się tylko automatyczna sekretarka.

— No dobra, dzisiaj już nic więcej nie zdołamy — powiedział Andre. — Zakładam, że to kiepski żart. Nie mam pojęcia, kto mógł go zrobić, ktoś się jednak odważył. Jutro wykonamy pomiary węglowe i zrobimy datowanie. Jestem pewien, że pergamin i atrament okażą się współczesne. Przy całym szacunku dla Elsie, uzyskamy niezbity dowód, że to fałszerstwo. — Kastner chciała coś powiedzieć, lecz Marek nie dał jej dojść do słowa. — Tak czy owak, profesor powinien jutro zadzwonić. Zapytam go wprost. Tymczasem proponuję, żebyśmy poszli do łóżek i porządnie wypoczęli.

Marek starannie zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy zapalił światło. Rozejrzał się po pokoju profesora.

Jak można było oczekiwać, panował tu wzorowy porządek, niczym w zakonnej celi. Na podłodze przy łóżku leżało w starannie wyrównanym stosiku pięć czy sześć książek. Kilka dalszych spoczywało w prawym rogu biurka, obok zamkniętego laptopa. W biurku była szuflada, wysunął ją więc i pobieżnie przejrzał zawartość.

Nie znalazł tego, czego szukał.

Później zajrzał do szafy. Ubrania profesora wisały na wieszakach porozmieszczanych w identycznych odstępach na całej długości poprzeczki. Marek zaczął sprawdzać kieszenie, ale i w nich niczego nie znalazł.

Naprzeciwko drzwi stała komódka. Wyciągnął górną szufladę i popatrzył na garść monet w płytkiej plastikowej łódeczce, plik amerykańskich dolarów ściśniętych gumką i kilka rzeczy osobistych, między innymi scyzoryk, wieczne pióro i zapasowy zegarek. Nic niezwykłego.

Jego wzrok padł na wciśnięte w sam kąt pudełko z tworzywa.

Sięgnął po nie i otworzył. Wewnątrz spoczywały okulary. Postawił pudełko na blacie komódki.

Okulary miały owalne szkła dwuogniskowe.

Z kieszeni spodni wyjął plastikową torebkę. W tej samej chwili usłyszał za sobą ciche skrzyknięcie. Odwrócił się szybko. W drzwiach stała Kate Erickson.

— Sprawdzasz jego gacie i skarpetki? — spytała, marszcząc brwi. — Zobaczyłam światło pod drzwiami i dlatego zajrzałam do środka.

— Bez pukania? — mruknął.

— Co tu robisz? — Spostrzegła plastikową torebkę. — Czyżbyś miał takie same podejrzenia, jak ja?

— Owszem.

Wyjął soczewkę z torebki i trzymając ją ostrożnie za brzeg peseta, położył na komódce przy okularach profesora.

— Nie są identyczne — powiedziała Kate. — Sądzę jednak, że to jego szkło.

— Też mi się tak wydaje.

— Nie przyszło ci to wcześniej do głowy? W końcu nikt poza profesorem nie nosi tu dwuogniskowych szkieł. To jego okulary spowodowały skażenie stanowiska.

— Nie ma żadnego skażenia — odparł Marek. — Soczewka jest stara.

— Co takiego?

— David twierdzi, że na jej krawędziach zadomowiły się kultury bakterii. To nie współczesne szkło, Kate. Naprawdę jest stare.

Przyjrzała się soczewce.

— Niemożliwe — orzekła. — Popatrz na charakter szlif. Jest dokładnie taki sam, jak w okularach profesora. To musi być szkło z jego okularów.

— Widzę. Powtórzyłem tylko opinię Davida.

— Ile ma lat, według niego?

— Nie umiał powiedzieć.

— Nie mógł zrobić datowania?

Marek pokręcił głową.

— Ilość materii organicznej jest za mała.

— A więc zaczęłaś myśzkować w tym pokoju, ponieważ... — Urwała, jeszcze raz popatrzyła na okulary, wreszcie przeniosła wzrok na Marka i zmarszczyła brwi. — O ile pamiętam, Andre, upierałeś się, że zapis na pergaminie to fałszerstwo.

— Zgadza się.

— Ale jednocześnie poprosiłeś Davida, żeby wykonał badania jeszcze dziś wieczorem.

— To prawda.

— Później przyszedłeś tu ze szkłem, gdyż zaniepokoiło cię... — Pokręciła głową. — No właśnie, co? Jak można to wszystko wyjaśnić?

Marek przez chwilę patrzył jej w oczy.

— Nie mam pojęcia. To się po prostu nie trzyma kupy.

— Jednak coś ci nie daje spokoju?

— Zgadza się — odparł.

Następnego dnia już od rana było parno i gorąco. Słońce prażyło na bezchmurnym niebie. Profesor nie zadzwonił. Marek dwukrotnie próbował się z nim skontaktować, lecz odzywała się tylko automatyczna sekretarka: „Proszę zostawić wiadomość. Oddzwonię po powrocie”.

Nie było też wieści od Sterna. Kiedy zadzwonił do laboratorium w Les Eyzies, techniczka powiedziała, że jest zajęty i nie może podejść do aparatu. Później rzuciła ze złością:

— W kółko powtarza pomiary! Już po raz trzeci!

Pomyślał, że coś się stało. W pierwszej chwili chciał jechać do Les Eyzies, ale po namyśle zdecydował się zostać i czekać na telefon od Johnstona.

Profesor jednak nie dzwonił.

W pewnym momencie Elsie mruknęła głośno:

— Oho!

— Co masz? Wskazała pergamin.

— Leżał bezpośrednio na arkuszu z pismem profesora — powiedziała. Marek podszedł do stołu.

— Co na nim znalazłaś?

— Wygląda mi to na plamki tego samego atramentu, którego używał profesor. Spójrz, tutaj i tutaj... .

Wzruszył ramionami.

— Może wziął go na wzór, żeby podobnie zapisać wiadomość.

— Ale ślady są na marginesie, zupełnie jakby wcześniej była tu jakaś notatka.

— Jaka notatka? — zapytał. — Co to za dokument?

— Fragment opisu podziemnej rzeki odkrytej przed jednym z mnichów. Jest tu powiedziane, że w pewnych miejscach należy zachować szczególną ostrożność, uważnie patrzeć pod nogi i tak dalej.

— Podziemna rzeka... . — mruknął lekceważąco.

Mnisi byli ludźmi wykształconymi i często na brzegach pergaminów zapisywali różne notatki dotyczące geografii regionu, technik ciesielskich, sposobów pielęgnacji drzew owocowych czy zabezpieczania ziarna na zimę.

— „Brat Marcel ma klucz” — odczytała Elsie. — Co to może znaczyć? Właśnie w tym miejscu profesor postawił znaczek. A dalej jest coś o... wielkiej stopie... nie... o wielkich stopach?... Może o stopach giganta?... Mają być... *vivix*, to po łacinie znaczy... zaraz zobaczymy... — Sięgnęła po słownik.

Marek odwrócił się i zaczął krążyć po pokoju. Był coraz bardziej zaniepokojony.

— Dziwne — odezwała się Elsie. — Nie ma takiego słowa, przynajmniej w tym słowniku. — Zapisała je w notesie, żeby sprawdzić gdzie indziej.

Andre westchnął ciężko.
Mijały godziny.
Profesor nie dzwonił.
Nadeszło południe. Studenci zgromadzili się przy wielkim namiocie na lunch. Marek obserwował ich sprzed drzwi magazynu. Zachowywali się beztrosko, żartowali, opowiadali sobie dowcipy, śmiali się głośno.
Zadzwoił telefon. Andre wbiegł szybko do środka. Odebrała Elsie.
— Tak, jest tutaj. Marek podszedł do stołu.
— Profesor? — spytał.
Pokręciła głową. Podając mu słuchawkę, szepnęła:
— Ktoś z ITC.
— Słucham, tu Andre Marek.
— Czy byłby pan łaskaw zaczekać, doktorze Marek? Pan Doniger bardzo chciałby z panem rozmawiać.
— Naprawdę?
— Tak. Próbujemy się z panem skontaktować już od paru godzin. Proszę poczekać, zaraz go odzyskam.
W słuchawce pstryknęło, rozległa się jakaś muzyka klasyczna.
— To Doniger — szepnął do Elsie.
— Ho, ho! Twoje akcje idą w górę.
— Czego on może chcieć ode mnie?
Pięć minut później, gdy Andre wciąż czekał na połączenie, do magazynu wkroczył Stern.
— Nie uwierzysz w to — powiedział.
— W co? — spytał Marek.
David bez słowa wręczył mu kartkę, na której było napisane:

638 ± 47 BP

— Co to ma być?
— Wiek atramentu.
— Co takiego?
— Wiek atramentu na pergaminie — wyjaśnił Stern. — Ma sześćset trzydzieści osiem lat z dokładnością do czterdziestu siedmiu.
— Co?
— Dobrze słyszałeś. Wiadomość została zapisana około roku tysiąc trzystu sześćdziesiątego pierwszego.
— Niemożliwe!
— A jednak — upierał się David. — Powtarzałem pomiary trzy razy. Wynik jest pewny. Jeśli naprawdę napisał to profesor, zrobił to ponad sześćset lat temu.
Marek odwrócił kartkę. Na odwrocie widniała data:

1361n.e. ± 47 lat

W aparacie rozległ się męski głos:

— Tu Bob Doniger. Doktor Marek?

— Tak, słucham.

— Może pan nie pamięta, ale poznaliśmy się kilka lat temu, kiedy zwiedzałem wasze stanowisko.

— Pamiętam doskonale.

— Dzwonię w sprawie profesora Johnstona. Niepokoiimy się o jego bezpieczeństwo.

— Zaginął?

— Nie, skąd. Wiemy, gdzie jest.

Coś w tonie głosu prezesa ITC sprawiło, że Markowi ciarki przeszły po plecach.

— Mógłbym z nim porozmawiać?

— Obawiam się, że w tej chwili to niemożliwe.

— Czy profesorowi zagraża jakieś niebezpieczeństwo?

— Trudno powiedzieć. Mam nadzieję, że nie. Będziemy jednak potrzebowali pomocy pana i pańskiego zespołu. Już wysłałem po was samolot.

* * *

— Panie Doniger — rzekł Andre. — Wygląda na to, że znaleźliśmy wiadomość od profesora, mającą sześćset lat. . .

— Nie przez telefon — uciął szybko prezes ITC. Marka uderzyło, że ani trochę nie zaskoczyła go ta informacja. — Teraz we Francji jest południe, prawda?

— Tak, niedawno minęło.

— Dobrze. Proszę wybrać z zespołu troje ludzi najlepiej znających region Dordogne i pojechać z nimi do Bergerac. Nie martwcie się o bagaże, zaopatrzymy was we wszystko, co będzie potrzebne. Samolot wylądjuje około piętnastej waszego czasu i zabierze was do Nowego Meksyku. Czy to jasne?

— Tak, ale. . .

— W takim razie do zobaczenia.

Doniger się rozłączył.

* * *

Stern spoglądał na Andre podejrzliwie.

— Co się dzieje?

— Idź po swój paszport.

— Po co?

— Po paszport. I przyprowadź samochód.

— Jedziemy dokądś?

— Tak, jedziemy — rzekł Marek, sięgając po krótkofalówkę.

* * *

Kate Erickson patrzyła ze szczytu ruin zamku La Roque na pozostałości wewnętrznego muru i zarośnięty trawą dziedziniec. Kręciła się po nim gromada turystów, ubranych w pstrokate koszulki i szorty. Mierzyli obiektywami aparatów fotograficznych we wszystkie strony.

Doleciał do niej głos jakiejś dziewczynki:

— Jeszcze jeden zamek! Dlaczego musimy łązić po tych ruinach, mamó?

— Bo tatusia to interesuje — odparła matka.

— Ale one wszystkie są takie same!

— Wiem, skarbie...

Głowa rodziny stała kilka metrów dalej między resztkami ścian dawnej komnaty.

— A tutaj — powiedział mężczyzna — na pewno znajdowała się sala tronowa.

Kate zerknęła w jego kierunku. Stał w ruinach kuchni. Łatwo to było poznać po śladach trzech palenisk, doskonale widocznych na lewej ścianie. A tuż za plecami miał resztki kamiennej rynny, która doprowadzała do kuchni bieżącą wodę.

— Do czego służyła ta sala tronowa? — zapytała dziewczynka.

— Wydawano w niej huczne bale, a książęta składali hołdy królowi.

Kate uśmiechnęła się pobłaźliwie. Nie znaleźli żadnych dowodów, aby król kiedykolwiek odwiedził La Roque. Zamek został zbudowany w jedenastym wieku przez niejakiego Armanda de Clery. Przebudowano go na początku czternastego stulecia. Dodano wówczas zewnętrzny mur i kolejne zwodzone mosty. Prace te zlecił w roku tysiąc trzysta drugim książę Francois le Gros, Franciszek Gruby.

Mimo francuskiego przezwiska Franciszek był księciem angielskim. Zmodernizował La Roque według nowej angielskiej mody, zainicjowanej przez Edwarda I. Zamki edwardiańskie były przestronne, z wielkimi dziedzińcami i wytwornie

urządzonymi komnatami mieszkalnymi. Ten styl bardzo odpowiadał Franciszkowi, który miał artystyczną duszę i skłonności do kłopotów finansowych. Ostatecznie książę musiał zastawić, a później sprzedać zamek. W czasie wojny stuletniej Beyzac przechodziło z rąk do rąk, ale zamek nigdy nie został zdobyty. Zmieniał właścicieli jedynie na drodze transakcji handlowych.

Wielka sala, znajdująca się dalej z lewej strony, była teraz w bardzo złym stanie. Po resztkach murów można było jednak ocenić jej wielkość: miała prawie trzydzieści metrów długości. Zachowały się fragmenty gigantycznego paleniska, wysokiego na trzy metry i szerokiego na cztery. Tak olbrzymie pomieszczenie o kamiennych ścianach musiało być przykryte drewnianym dachem. W ruinach zewnętrznego muru widać było otwory po masywnych nośnych belkach stropowych. Nad nimi były niegdyś krzyżulce podtrzymujące dach.

Po wąskim nasypie szanica szła grupa angielskich turystów. Przewodnik opowiadał:

— Te wały zostały usypane przez Franciszka Okrutnego w roku tysiąc trzysta sześćdziesiątym trzecim. Był to wyjątkowo brutalny władca. Uwielbiał torturować mężczyzn i kobiety, a nawet dzieci. Po lewej widać pozostałości Wieży Kochanków, z której w roku tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym drugim rzuciła się madame de Renaud, zhańbiona zajściem w ciążę z chłopcem stajennym. Historycy do dziś nie są zgodni, czy rzuciła się z wieży z własnej woli, czy też została zepchnięta przez rozwścieczonego małżonka. . .

Kate westchnęła głośno. Skąd się biorą takie bzdury? — pomyślała. Odwróciła kartkę szkicownika, w którym utrzymywała wygląd ocalałych resztek murów. W tym zamku również znajdowały się tajemne przejścia. Franciszek Gruby był wytrawnym architektem i porozmieszczał je tak, by zapewnić drogę odwrotu obrońcom zamku. Jeden z ukrytych korytarzy prowadził spod szanica w dole aż do głównego holu; przebiegał za gigantycznym paleniskiem. Inne przejście wiodło pod nasypem wzdłuż południowego muru zewnętrznego.

Wciąż nie mogła odgadnąć biegu najważniejszych ukrytych przejść. Według czternastowiecznego kronikarza, Froissarta, zamek w Beyzac nigdy nie został zdobyty, bo wojskom oblężniczym nie udało się odnaleźć sekretnych korytarzy, którymi dostarczano obrońcom żywność i wodę. Plotki głosiły, że przejście prowadziło do ciągu jaskiń w wapiennych skałach pod zamkiem, a z nich można się było wydostać zamaskowanym otworem u podnóża nadrzecznej skarpy.

Warto by go odnaleźć.

Zdaniem Kate łatwiej było jednak odszukać wylot korytarza od strony zamku i posuwając się nim, dotrzeć do zespołu jaskiń. Ale do tego potrzebna jej była pomoc techniczna. Chciała jeszcze skorzystać z radaru. Gdyby nie ci turyści. . . Zamek był zamknięty w poniedziałki, może więc na początku przyszłego tygodnia. . .

— Kate? — rozległo się z głośnika krótkofalówki. Poznała głos Marka. Wci-

snęła klawisz nadawania.

— Słucham, tu Erickson — powiedziała.

— Natychmiast wracaj do bazy. Sytuacja alarmowa.

* * *

Chris Hughes skrócił linkę utrzymującą go w miejscu w nurcie Dordogne. Tego dnia woda była dość przejrzysta, widoczność sięgała czterech metrów, mógł więc ogarnąć wzrokiem całą podstawę filaru ufortyfikowanego mostu młyńskiego. Od jej skraju ku środkowi koryta leżał w prostej linii szereg skalnych odłamów, będących pozostałością dawnego filaru.

Przesuwał się powoli wzdłuż niego, oglądając kamienie. Wypatrywał wciąż wpustowych bądź innych śladów, które by świadczyły, że most miał częściowo drewnianą konstrukcję. Od czasu do czasu obracał któryś kamień. Szło mu to z trudem, bo pod wodą nie miał żadnego punktu podparcia.

Ponad nim na powierzchni unosiła się plastikowa boja z czerwonym proporczykiem, znak pracującego pletwonurka. Chris miał nadzieję, że proporczyk odstraszy amatorów kajakowych wycieczek.

W pewnej chwili coś mocno szarpnęło za linkę, podrywając go z dna. Wyplął na powierzchnię tuż przy żółtej burcie kajaka. Siedzący w nim mężczyzna trzymał boję w górze i wykrzykiwał coś, chyba po niemiecku.

Hughes wyjął ustnik i rzekł ze złością:

— Proszę to zostawić, dobrze?

Kajakarz zaszwargotał coś, wskazując rękaw stronę brzegu.

— Posłuchaj, kolego! Nie wiem, o co ci chodzi. . .

Mężczyzna zawołał głośniejszym, energicznie wymachując ręką. Chris obejrzał się. Na brzegu stał jeden ze studentów. Trzymał w ręku krótkofalówkę i nawoływał go. Minęło parę sekund, zanim Chris zrozumiał, o co chodzi.

— Marek chce, żebyś jak najszybciej wracał do bazy!

— Jezu, potrzebuję jeszcze pół godziny.

— Powiedział: natychmiast!

Nad odległymi mesas wisały ciemne chmury, zbierało się na deszcz. Doniger odłożył słuchawkę i powiedział:

— Zgodzili się przyjechać.

— To dobrze — odparła Diane Kramer. Stała przed biurkiem, tyłem do okna.

— Potrzebujemy ich pomocy.

— Niestety, tak — przyznał Doniger.

— Nie rozumiem, jak straciliśmy kontakt z profesorem. Musiał wyjść do zewnętrznego świata. A mówiłeś mu, żeby tego nie robił. Powtarzałeś kilka razy. On jednak musiał wyjść.

— Nie wiemy, co się stało. Nie mamy zielonego pojęcia!

— Nie bez powodu napisał tę wiadomość.

— Owszem, jeśli wierzyć Kastner. Kiedy z nią rozmawiałaś?

Wczoraj wieczorem. Zadzwoiła, gdy tylko się o tym dowiedziała. Do tej pory można było na niej polegać, a poza tym...

— Nieważne — warknął Doniger i lekceważąco machnął ręką. — Nie w tym sedno.

Używał tego określenia, gdy chciał podkreślić, że coś jest zupełnie nieistotne.

— A w czym?

— Żeby go ściągnąć z powrotem — wycedził. — Bez względu na wszystko musimy go odnaleźć. Tylko to się liczy.

— Masz rację — przytaknęła Diane.

— Osobiście uważam, że ten stary piernik to zwykły dureń, lecz jeśli go nie sprowadzimy, będziemy mieli cholerne kłopoty.

— Racja, cholerne kłopoty.

— Jakoś sobie poradzę.

— Jestem tego pewna.

Kramer miała zwyczaj powtarzania stwierdzeń Donigera, kiedy ten mówił tylko do siebie. Mogło to wyglądać jak podlizywanie się szefowi, miało jednak inny cel. Doniger lepiej się koncentrował, kiedy słyszał powtórzone na głos swoje zdanie. Diane doskonale to rozumiała i chętnie brała na siebie rolę biernego rozmówcy.

— Problem polega na tym — mówił — że zwiększamy liczbę osób zaznajomionych z naszą techniką, a nie uzyskujemy równocześnie proporcjonalnych zysków. Z tego, co wiemy, studenci także nie dadzą rady ściągnąć go z powrotem.

— Ale ich szansę są większe.

— Tylko teoretycznie. — Zaczął chodzić po pokoju. — I tak są marne.

— Zgadzam się, Bob. Są marne.

— Ekipie ratunkowej się nie udało. Kogo wysłałaś?

— Gomez i Baretto. Nigdzie nie znaleźli nawet śladów profesora.

— Długo tam byli?

— Około godziny.

— Ale nie wychodzili do świata zewnętrznego?

Kramer pokręciła głową.

— Po co mieliby podejmować zbędne ryzyko? Są doświadczeni, oboje służyli w piechocie morskiej. Nie wiedzieliby, na co zwracać uwagę. Nawet nie rozpoznaliby grożącego im niebezpieczeństwa. Tam jest zupełnie inna rzeczywistość.

— Myślisz, że studenci będą wiedzieli, czego szukać?

— Tak mi się wydaje.

W oddali zagrzmiało, pierwsze krople deszczu zabębniły o szyby gabinetu. Doniger spojrzął za okno.

— A jeśli studentów także stracimy?

— To będzie jeszcze większy koszmar.

— Niewykluczone — mruknął. — Ale musimy się przygotować na taką ewentualność.

Odrzutowiec gulfstream V, oznakowany srebrzystymi literami ITC na ogonie, z wyciem silników dokołował na skraj pasa. Opuszczono schodki, stewardesa w uniformie rozwinęła u ich podstawy krótki czerwony dywanik.

Patrzyli na to w osłupieniu.

— Uszczypnijcie mnie — mruknął Chris Hughes. — Ten czerwony chodnik jest prawdziwy?

— Idziemy — odparł Marek. Zarzucił plecak na ramię i ruszył w kierunku samolotu.

Powiedział im niewiele. Podał tylko wyniki datowania węglowego, dodając, że nie potrafi tego wyjaśnić, i oznajmił, że ITC zwróciło się do nich o pomoc dla profesora i że sprawa jest pilna. Resztę zachował dla siebie. Zwrócił uwagę, iż Stern także milczy.

Wnętrze odrzutowca utrzymane było w tonacji szarosrebrzystej. Stewardesa zapytała, czy chcą coś do picia. Z otaczającym ich luksusem dziwnie kontrastował szczupły siwowłosy mężczyzna, który powitał ich na pokładzie. Był w eleganckim garniturze, lecz Marek od razu rozpoznał w nim wojskowego.

— Nazywam się Gordon — rzekł szybko — i jestem wiceprezesem ITC. Witam na pokładzie. Lot do Nowego Meksyku potrwa dziewięć godzin i czterdzieści minut. Proszę zająć miejsca i zapiąć pasy.

Gdy tylko usiedli, samolot zaczął kołować na początek pasa startowego. Chwilę później silniki zawyły ze zdwojoną mocą. Marek popatrzył przez okno na zostające w dole pagórkowate równiny południowej Francji.

* * *

Mogło być gorzej, pomyślał Gordon, obserwując grupę z miejsca na tyle odrzutowca. To prawda, że miał do czynienia z naukowcami, indywidualistami bujającymi w obłokach. Nie dostrzegął żadnej koordynacji poczynań, żadnego dzia-

łania zespołowego.

Z drugiej strony wszyscy byli w znakomitej kondycji fizycznej, dobre wrażenie sprawiał zwłaszcza ten Holender, Marek. Jedyna kobieta w grupie także odznaczała się słuszną budową ciała. Była niezłe umięśniona, miała stwardniałą skórę na dłoniach, emanowała pewnością siebie. Powinna sobie poradzić w skrajnej sytuacji.

Tylko ten gołowąs o chłopięcej twarzy jest do niczego — Gordon westchnął, patrząc na Hughesa wyglądającego przez okno. Chris musiał dostrzec swe odbicie w szybie, gdyż przygładził dłonią zmierzwione włosy.

Gordon spojrział na czwartego członka grupy. Na pewno spędza sporo czasu na świeżym powietrzu, bo ubranie ma wypłowiałe od słońca, a okulary mocno podniszczone, pomyślał. Nie wygląda jednak na archeologa. To raczej technik, doskonale obeznany ze sprzętem i układami elektronicznymi, za to oderwany od rzeczywistości. Trudno ocenić, jak się zachowa w krytycznych warunkach.

Rozmyślenia Gordona przerwał Marek. Odwrócił się i zapytał:

— Powie nam pan, co się wydarzyło?

— Sądzę, że pan wie, doktorze Marek. Mam rację?

— Znaleźliśmy sześciusetletni pergamin z odręcznie napisaną wiadomością od profesora. Napisaną sześciusetletnim atramentem.

— Tak, wiem. Marek pokręcił głową.

— Ja jednak wciąż nie potrafię w to uwierzyć.

— Kwestia możliwości technicznych — odparł Gordon. — Krótko mówiąc, to wykonalne. — Wstał z fotela i usiadł koło nich.

— Ma pan na myśli podróże w czasie? — zapytał Marek.

— Nie, miałem na myśli co innego. Podróże w czasie są niemożliwe. Każdy to wie.

* * *

— Samo pojęcie podróży w czasie nie ma sensu, ponieważ czas nie płynie — ciągnął. — To, że rejestrujemy jego upływ, wynika z naszego sposobu postrzegania rzeczywistości. Naprawdę czas nie płynie, to my przemijamy. Czas się nie zmienia, jest wartością stałą. Przeszłość i przyszłość nie są odrębnymi miejscami, nie są od siebie oddalone, tak jak Nowy Jork od Paryża. A ponieważ przeszłość nie znajduje się w innym miejscu, nie można do niej podróżować.

Nikt się nie odzywał, słuchali go z uwagą.

— Ważne, żebyście to zrozumieli — mówił Gordon. — Technologia opracowana w ITC nie ma nic wspólnego z podróżowaniem w czasie, a przynajmniej

nie bezpośrednio. Rozwinęliśmy pewną odmianę podróży w przestrzeni. Ściślej mówiąc, wykorzystujemy technikę kwantową do wprowadzania zmian w ortogonalnych współrzędnych multiświata.

Mieli coraz bardziej zdumione miny.

— To oznacza, że podróżujemy do innych miejsc w multiświecie.

— Co to jest multiświat? — zapytała Kate.

— Świat określony przez mechanikę kwantową. Inaczej mówiąc...

— Mechanikę kwantową? — powtórzył Chris. — A co to jest?

— To dość złożone pojęcie. Jesteście historykami, spróbuję zatem przybliżyć je wam historycznie.

* * *

— Sto lat temu fizycy uważali, że każda forma energii, a więc światło, magnetyzm czy elektryczność, ma postać płynących ciągle fal. Do dziś mówimy o falach radiowych czy świetlnych. Odkrycie, że wszelkie rodzaje energii mają charakter falowy, było jednym z najważniejszych osiągnięć dziewiętnastowiecznej fizyki. Ta teoria nie wyjaśniała jednak wszystkiego. Okazało się, że strumień światła padającego na metalową płytkę wzbudza w niej prąd elektryczny. Max Planck zaczął badać zależność między ilością padającego światła a natężeniem prądu elektrycznego i doszedł do wniosku, że energia nie jest ciągłą falą, lecz składa się z odrębnych porcji, które nazwał kwantami. Właśnie to odkrycie zapoczątkowało rozwój fizyki kwantowej. Kilka lat później Einstein wykazał, że efekt fotoelektryczny da się w pełni wytłumaczyć przy założeniu, że światło jest złożone z drobnych cząstek, które nazwał fotonami. Kiedy fotony ze strumienia światła uderzają w metalową płytkę, wybijają z niej elektrony będące nośnikami prądu elektrycznego. Od strony czysto matematycznej wszystko się zgadzało. Energia świetlna musiała mieć charakter cząsteczkowy. Jak dotąd wszystko jasne?

— Tak.

— Dość szybko fizycy uświadomili sobie, że nie tylko światło, lecz także wszelkie inne formy energii muszą być złożone z cząstek. W rzeczywistości cała materia we wszechświecie jest zbudowana z cząstek. W skład atomów wchodzi ciężkie cząstki elementarne tworzące jądro i lekkie elektrony krążące po orbitach wokół niego. Tak więc, zgodnie z nowym sposobem widzenia świata, wszystko ma budowę korpuskularną. Jasne?

— Tak.

— Cząstki są elementami dyskretnymi, mają charakter kwantów. A teoria opisująca ich zachowanie to mechanika kwantowa, największe odkrycie fizyki dwu-

dziestowiecznej.

Zgodnie pokiwali głowami.

— Fizycy kontynuowali badania nad cząstkami i zaczęli sobie uświadamiać, że są to bardzo dziwne twory. Nie można dokładnie określić ich położenia, nie da się ich precyzyjnie zmierzyć, nie sposób nawet przewidzieć ich reakcji. Czasami zachowują się jak cząsteczki materialne, kiedy indziej jak fale. Zdarza się, że dwie cząstki oddziałują na siebie, chociaż są oddalone o miliony kilometrów i nie istnieje między nimi żadne powiązanie. Wydawało się to dziwaczne, ale wciąż znajdowano dowody słuszności teorii kwantowej. To chyba najlepiej udowodniona teoria w historii nauki. Sklepowe czytniki kodów paskowych, lasery, komputerowe układy scalone, wszystkie te urządzenia bazują na mechanice kwantowej. Tak więc nie ma najmniejszych wątpliwości, że teoria kwantowa jest właściwym matematycznym opisem budowy wszechświata.

Ale problem polega na tym, że jest wyłącznie opisem matematycznym. Zbiorem równań. Fizycy nie potrafią przedstawić całościowego obrazu świata opisywanego tymi równaniami, gdyż jest on zbyt niezrozumiały, zanadto sprzeczny. Między innymi Einstein był z tego bardzo niezadowolony. Jego zdaniem dowodziło to, że teoria jest fałszywa. Jednak bez przerwy znajdowano potwierdzenia jej słuszności, dowody sypały się jak z rękawa. W końcu nawet największe sławy, nobliści mający udział w tworzeniu teorii kwantowej musieli otwarcie przyznać, że sami jej kompletnie nie rozumieją. Powstała przedziwna sytuacja. Niemal od początku dwudziestego wieku posługujemy się teorią opisującą wszechświat, wszyscy twierdzą, że jest to teoria prawdziwa, nikt jednak nie umie wyjaśnić, jaki naprawdę jest ten opisywany przez nią wszechświat.

— A co to ma wspólnego z wszechświatami wielokrotnymi? — zapytał Marek.

— Zaraz do tego dojdziemy.

* * *

Wielu fizyków próbowało interpretować te równania, opowiadał Gordon, ale z takich czy innych powodów ich wyjaśnienia okazywały się błędne. Dopiero w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym Hugh Everett zaproponował zupełnie nowe podejście. Założył, że nasz wszechświat — świat materialny, który obserwujemy, zawierający skały, drzewa, ludzi i galaktyki rozsiane w kosmosie — jest tylko jednym z nieskończonej liczby wszechświatów istniejących obok siebie.

W każdym z tych wszechświatów historia toczy się własnymi torami. Istnieją

więc wszechświaty, w których Hitler przegrał wojnę, i takie, w których ją wygrał; w jednych Kennedy został zastrzelony, a w innych żył nadal; w niektórych wszechświatach myjemy zęby każdego ranka, w innych tego nie robimy. I tak dalej, i tak dalej. Jest nieskończenie wiele różnych światów.

Everett nazwał to wieloświatową interpretacją mechaniki kwantowej. Takie wyjaśnienie pasowało do równań teorii, ale fizycy nie potrafili się z nim pogodzić. Najwięcej zastrzeżeń budził fakt, że w każdym wszechświecie bieg zdarzeń musiały się wciąż rozszczepiać na nieskończenie wiele torów, rodząc tym samym kolejne wszechświaty. Nikt nie mógł uwierzyć, że nasza rzeczywistość ma taką postać.

— Większość fizyków do dziś nie umie się z tym pogodzić — powiedział spokojnie Gordon — chociaż nikt nie zdołał wykazać, że ta interpretacja jest błędna.

Everett szybko stracił cierpliwość do ciągłych sporów z kolegami. Uznał, że jego teoria jest prawdziwa, czy się to nam podoba, czy nie. Jeżeli ktoś nie chce w nią uwierzyć, widocznie jest tępy i ograniczony, tak jak ci wszyscy, którzy nie mogli się pogodzić z heliocentryczną teorią Kopernika.

— Everett twierdził z uporem, że jego koncepcja wielu światów jest prawdziwa. A ponieważ chodziło o nieskończenie wiele wszechświatów istniejących równocześnie obok siebie, zaczęto nazywać ten niezwykły twór multiświatem.

— Chwileczkę — przerwał mu Chris. — Sugeruje pan, że ta teoria jest prawdziwa?

— Tak.

— Skąd pan to wie? — wtrącił Marek.

— Zaraz wam pokażę.

Gordon wyjął z aktówki kartonową teczkę z napisem „Technologia ITC/TPP”. Wyciągnął z niej czysty arkusz papieru i zaczął rysować.

— To bardzo proste doświadczenie. Jest wykonywane od dwustu lat. Ustawmy naprzeciwko siebie dwa ekrany, a w pierwszym zrobimy wąską pionową szczelinę.

Pośpiesznie naszkicował to na kartce.



— Skierujmy teraz na szczelinę strumień światła. Na drugim ekranie ujrzymy...

— Białą pionową kreskę — odparł Marek. — Od światła przechodzącego przez szczelinę.

— Zgadza się. Będzie to wyglądało mniej więcej tak.
Wyjął z teczki fotografię.



Niżej zrobił na kartce drugi rysunek.

— Teraz zamiast jednej szczeliny zróbmy dwie. Kiedy skierujemy na nie strumień światła, zobaczymy...



— Dwie pionowe kreski — wpadł mu w słowo Marek.

— Nie. Będzie to cały szereg jaśniejszych i ciemniejszych pasków.
Pokazał drugie zdjęcie.



— Ale gdy skierujemy strumień światła na cztery szczeliny, otrzymamy dwukrotnie mniej pasków niż poprzednio. Co druga kreska zostanie wygaszona.



Marek zmarszczył brwi.

— Im więcej szczelin, tym mniej pasków? Dlaczego?

— Zwykle efekt ten tłumaczy się wzajemnym oddziaływaniem dwóch fal światła przechodzącego przez szczeliny. Fale się sumują, więc w pewnych miejscach wzmacniają, w innych zaś wygaszają nawzajem. Stąd bierze się szereg jasnych i ciemnych pasków na ekranie. Nazywamy to zjawisko interferencją światła, a powstające paski prążkami interferencyjnymi.

— Jasne — odezwał się Hughes. — Co złego jest w tym wyjaśnieniu?

— Co złego? Jest ono oparte na teorii dziewiętnastowiecznej. Wszystko się zgadza pod warunkiem, że założymy falowy charakter światła. Od czasów Einsteina wiemy jednak, iż światło jest strumieniem cząstek zwanych fotonami. Jak można wyjaśnić to zjawisko wzajemnym oddziaływaniem materialnych fotonów?

Nikt nie odpowiedział. Marek i Chris pokręcili głowami. Po raz pierwszy zabrał głos David Stern.

— Teoria korpuskularna nie jest taka prosta, jak ją pan przedstawił. W zależności od sytuacji cząstki wykazują wiele właściwości falowych. Mogą też interferować ze sobą wzajemnie. W tym wypadku mamy do czynienia z interferencją fotonów, której wynikiem jest taki interferogram.

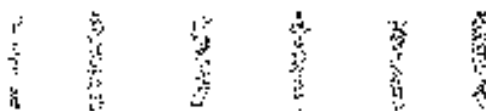
— To brzmi logicznie — przyznał Gordon. — W końcu każdy strumień światła składa się z olbrzymiej liczby fotonów. Nietrudno sobie wyobrazić, że w taki czy inny sposób muszą na siebie oddziaływać, tworząc w efekcie prążki interferencyjne.

Wszyscy przytaknęli ruchem głowy. Rzeczywiście nie było trudno to sobie wyobrazić.

— Tylko czy to wytłumaczenie jest prawdziwe? — ciągnął Gordon. — Czy właśnie tak się dzieje? Jednym ze sposobów na ujawnienie prawdy jest eliminacja wszelkich oddziaływań między fotonami. Trzeba wziąć wąziutki strumień pojedynczych fotonów. Udało się to wykonać doświadczalnie. Uzyskano bardzo cienką wiązkę światła, utworzoną przez liniowy strumień fotonów. Oczywiście, zamiast ekranu należało zastosować detektory, w dodatku tak czułe, aby wychwytywały nawet pojedynczy foton. Jasne?

Znowu pokiwali głowami, lecz już mniej energicznie.

— W ten sposób całkowicie wyeliminowano interferencję między cząstkami, które przedostawały się przez szczelinę pojedynczo, jedna za drugą. A detektory rejestrowały miejsca, w których fotony zderzały się z ekranem. I po kilku godzinach uzyskano taki oto rezultat.



— Jak widzicie, pojedyncze fotony trafiały w ekran tylko w niektórych miejscach, do innych nigdy nie docierały. Zachowywały się dokładnie tak, jak widzialny dla nas, szerszy snop światła. A przecież był to strumień pojedynczych fotonów, żadne inne cząstki nie mogły z nimi interferować. Niemniej interferencja musiała zachodzić, bo zaobserwowano zwykłe prążki interferencyjne. Powstało więc pytanie: z czym interferuje pojedynczy foton?

Wszyscy milczeli.

— Panie Stern?

David pokręcił głową.

— Jeśli sięgnąć do rachunku prawdopodobieństwa...

— Nie odwołujmy się do matematyki, pozostajmy przy faktach. To doświadczenie wykonano z prawdziwymi fotonami skierowanymi na prawdziwe detektory. I zaobserwowano interferencję. Więc co interferowało z fotonami?

— Musiały to być inne fotony — odparł Stern.

— Zgadza się. Tylko skąd? Detektory nie wykazały obecności jakichkolwiek innych fotonów. Więc skąd się wzięły?

David westchnął głośno.

— No dobrze — powiedział.

— Co dobrze? — spytał Chris. — O co ci chodzi?

Gordon spojrział na Sterna.

— Proszę im wyjaśnić — rzekł.

— Interferencja pojedynczych fotonów dowodzi, iż rzeczywistość jest znacznie bardziej złożona od tego, co obserwujemy w naszym wszechświecie. Jeżeli zachodzi interferencja mimo wyeliminowania wszelkich czynników mogących ją powodować, oznacza to, że interferujące fotony należą do innego wszechświata. Mamy więc dowód na jego istnienie.

— Dokładnie tak — przyznał Gordon. — Jest to zarazem dowód, że inne wszechświaty oddziałują na nasz wszechświat.

* * *

— Przepraszam, ale nie rozumiem — rzekł Marek. — Dlaczego jakiś inny wszechświat miałby interferować z naszym?

— Bo taka jest natura multiświata — odparł Gordon. — Proszę pamiętać, że według teorii wszechświaty dzielą się i przenikają bezustannie, mamy więc nieskończenie wiele wszechświatów podobnych do naszego. I właśnie te podobne oddziałują z naszym. Ilekroć w naszym świecie uzyskujemy strumień światła, analogiczne strumienie powstają we wszechświatach podobnych. Fotony z tam-

tych wszechświatów interferują z naszymi fotonami, przez co powstaje obraz prążków interferencyjnych.

— Więc ta teoria jest prawdziwa?

— Od początku do końca. To doświadczenie powtarzano wielokrotnie.

Marek zmarszczył brwi. Kate utkwiła spojrzenie w stoliku. Chris podrapał się w głowę. Po chwili David Stern zapytał:

— Ale nie wszystkie wszechświaty są podobne do naszego?

— Nie.

— A czy wszystkie istnieją równocześnie z naszym?

— Nie, także nie wszystkie.

— Niektóre istnieją we wcześniejszym czasie?

— Tak. Dokładniej rzecz biorąc, nieskończona liczba światów sprawia, że istnieją one we wszystkich wcześniejszych czasach.

— Zatem twierdzi pan — powiedział Stern po krótkim namyśle — że ITC dysponuje techniką umożliwiającą podróże do tych innych wszechświatów.

— Tak. Właśnie do tego zmierzałem.

— Jak to robicie?

— Tworzymy połączenia kanalikowe w pianie kwantowej.

— Ma pan na myśli pianę Wheelera? Subatomowe fluktuacje czasoprzestrzenne?

— Zgadza się.

— To niemożliwe.

Gordon uśmiechnął się.

— Niedługo sami się o tym przekonacie.

— Naprawdę? W jaki sposób? — zapytał Marek.

— Sądziłem, że pan już wie — odparł Gordon. — Profesor Johnston przebywa w czternastym wieku. Chcemy, żebyście go odnaleźli i sprowadzili z powrotem.

* * *

Nikt się nie odezwał. Stewardesa wcisnęła przycisk i na wszystkie szyby jednocześnie zsunęły się zasłonki odcinające dostęp światła słonecznego. Ruszyła wzdłuż kabiny, rozkładając na kojach poduszki i koce. Obok poduszek kładła duże słuchawki z grubo wyściełanymi nausznikami.

— Cofniemy się w czasie? — spytał Hughes. — Jak?

— Za długo byłoby opowiadać — odparł Gordon i rozdał im foliowe torebki z jakimiś tabletkami. — Na razie proszę to zażyć.

— Co to jest? — zainteresował się Chris.

— Mieszanina trzech środków usypiających. Usiądźcie wygodnie i włączcie słuchawki. Możecie się nawet zdrzemnąć. Przed nami długa podróż, a i tak nie macie nic innego do roboty. Wykorzystajcie ten czas na naukę języków.

— Jakich języków? — zapytał Chris, przełknąwszy tabletki.

— Staroangielskiego i starofrancuskiego.

— Ja już je znam — wtrącił Marek.

— Ale na pewno nie zna pan mowy potocznej. Proszę włożyć słuchawki.

— Nikt nie może znać... — zaczął Marek, lecz ugryzł się w język.

— Chyba już pan rozumie, że my możemy — odparł Gordon.

Chris wyciągnął się na koi, przykrył kocem i nasunął słuchawki na głowę. Z przyjemnością stwierdził, że skutecznie wytłumiły nieustanne wycie silników odrzutowca.

Środki nasenne musiały być dość silne, gdyż szybko ogarnęło go rozleniwienie. Wkrótce oczy zaczęły mu się kleić. W słuchawkach przyjemny głos tłumaczył:

— Oddychaj głęboko i wyobraź sobie piękny, słoneczny ogród. Znasz tu każdy kamień i czujesz się doskonale. Na wprost ciebie znajdują się drzwi prowadzące do piwnicy. Otwierasz je. Tu także czujesz się swojsko, gdyż jest to twoja piwnica. Zaczynasz schodzić po kamiennych schodach do ciepłego, przytulnego wnętrza. Z każdym krokiem coraz lepiej słyszysz głosy. Są miłe i łagodne, słuchasz ich z przyjemnością...

Chwilę później rozpoczął się dialog mężczyzny i kobiety:

— Podaj mi kapelusz...

— Jest tutaj...

— Dziękuję...

— Proszę bardzo...

Zdania stawały się dłuższe. Chris z coraz większym trudem śledził przebieg rozmowy.

— Zimno mi, wołałabym wziąć płaszcz...

Powoli ogarniała go senność, wciąż jednak miał dziwne wrażenie, że schodzi po schodach, zagłębiając się w przepaścistą, wypełnioną głosami przestrzeń. Był coraz bardziej rozluźniony. Kolejne zdanie na krótko obudziło jego czujność.

— Gdzie jest mój miecz?

Zapadł w sen.

Black Rock

*Zaryzykuj wszystko, bo nie zyskasz niczego.
Geoffrey de Chamy, 1358*

Wysiedli z samolotu w chłodną, rozgwieżdżoną noc. Pas startowy był mokry od deszczu. Nad widocznymi na wschodzie mesas wisiały ciemne chmury. Przy płycie lotniska czekał na nich land-cruiser.

Jechali autostradą biegnącą przez gęsty las.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Marek.

— Na północ od Albuquerque — odparł Gordon. — Najbliższe miasto to Black Rock. Właśnie tam znajduje się nasz ośrodek badawczy.

— Wygląda to na zupełne pustkowie.

— Tak się wydaje po ciemku. W Black Rock ma swoje siedziby piętnaście firm technologicznych. Kawalek dalej jest Sandia, godzinę drogi stąd Los Alamos, a jeszcze dalej White Sands.

Po kilku minutach zobaczyli wielką luminescencyjną tablicę z napisem: LABORATORIUM ITC, BLACK ROCK. Kierowca skręcił w prawo, w wąską, krętą drogę dojazdową.

* * *

— Powiedział pan, że utworzyliście połączenia z innymi wszechświatami — odezwał się z tylnego siedzenia Stern.

— Tak.

— Poprzez kwantową pianę?

— Zgadza się.

— To bez sensu.

— Dlaczego? Co to jest ta kwantowa piana? — zapytała Kate, tłumiąc ziewnięcie.

— To pozostałość po narodzinach wszechświata — wyjaśnił Stern. — Na początku wszechświat był jedną, niezwykle gęstą drobiną materii. Osiemnaście miliardów lat temu ta drobina eksplodowała i od tamtej pory wszechświat stale się rozszerza. Po eksplozji, zwanej powszechnie Wielkim Wybuchem, wszechświat przybrał postać rozszerzającej się kuli materii. Ale ani ta kula nie jest geometrycznie idealna, ani rozkład materii wewnątrz niej nie jest jednorodny. Dlatego zamiast regularnego przestrzennego rozkładu mamy w kosmosie bezładnie rozrzucone galaktyki, tworzące gromady i skupiska. W strukturze owej kuli materii istnieją drobne zaburzenia, które nigdy nie znikną. Stanowią integralną część wszechświata.

— Naprawdę? Gdzie one są?

— W przestrzeni subatomowej. Czasoprzestrzeń wewnątrz atomów nie jest ciągła, są w niej bąble i pęknięcia. Właśnie to nazywamy kwantową pianą. Mówimy jednak o strukturach znacznie mniejszych od rozmiarów atomu. Nie da się stwierdzić, czy w kwantowej pianie istnieją jakiegokolwiek przejścia kanalikowe.

— Istnieją — wtrącił Gordon.

— Więc jak je wykorzystać do podróży? Nie można precyzyjnie przecisnąć człowieka przez tak małe kanalik. Niczego nie da się przez niego precyzyjnie przecisnąć.

— To prawda. Nie można też precyzyjnie przecisnąć kartki papieru przez linię telefoniczną. Ale można wysłać telefaks.

Stern zmarszczył brwi.

— To zupełnie co innego.

— Czemu? Da się przesać wszystko, jeśli tylko zostaną ustalone sposoby kompresowania i kodowania informacji. Czyż nie?

— Teoretycznie tak — przyznał David — chodzi jednak o kompresowanie i kodowanie informacji dotyczących całego człowieka.

— Owszem.

— Tego nie da się zrobić.

Gordon uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Dlaczego?

— Kompletny opis człowieka, a więc budowy miliardów komórek, ich wzajemnych powiązań, składu chemicznego i struktury molekuł, ich stanu biochemicznego, zawiera zbyt wiele informacji, by mógł go przetworzyć jakiegokolwiek komputer.

— Informacja to informacja. — Gordon wzruszył ramionami.

— Ale jest jej za dużo.

— Do kompresji używamy algorytmu fraktali bezstratnych.

— Mimo wszystko...

— Chwileczkę — wtrącił się Chris. — Czy mówicie o kompresji człowieka?

— Nie, o kompresji danych tworzących kompletny opis budowy człowieka.

— A jak można tego dokonać? — zapytał Hughes.

— Poprzez wykorzystanie algorytmów kompresujących. Dzięki temu dane wprowadzane do komputera zajmują mniej miejsca. Powszechnie wykorzystuje się standardy JPEG i MPEG do kompresji obrazów. Zetknąłeś się z nimi?

— Tak. Pamiętam, że jest coś takiego w naszych programach.

— W porządku — rzekł Gordon. — Wszystkie programy kompresujące działają na podobnej zasadzie. Wychwytyją podobieństwa między danymi. Załóżmy, że masz rysunek w tonacji czerwonej złożony z miliona pikseli. Każdy piksel odpowiada jednemu punktowi o określonej lokalizacji i kolorze. W sumie daje to trzy miliony danych, a więc bardzo dużo. Jednak większość czerwonych pikseli tego obrazu będzie sąsiadowała z innymi czerwonymi pikselami. Dlatego program skanuje obraz linia po linii i sprawdza, czy sąsiadujące ze sobą piksele mają ten sam kolor. Jeśli tak, zapisuje instrukcję dla komputera, aby wyświetlił czerwony piksel, a za nim pięćdziesiąt identycznych. Załóżmy, że potem ma się pojawić piksel szary, po nim następnych dziesięć szarych i tak dalej. W ten sposób zamiast odrębnych informacji dla każdego indywidualnego punktu zapisuje się instrukcje do odtworzenia całego obrazu przez komputer. Uzyskujemy kilkukrotnie mniejszą objętość danych.

— My jednak — zaproponował Stern — nie mówimy o prostym dwuwymiarowym rysunku, lecz o trójwymiarowej żywej istocie, której opisanie wymaga tak wielu danych, że...

— Niezbędne jest zastosowanie wielotorowej obróbki równoległej — wpadł mu w słowo Gordon. — Pod tym względem masz rację.

Chris zmarszczył brwi.

— Co to jest obróbka równoległa?

— Trzeba połączyć kilka komputerów i podzielić między nie zadanie, żeby zostało wykonane szybciej. Największe komputery do obróbki równoległej mogą zawierać szesnaście tysięcy sprzężonych procesorów. Do specjalnych zastosowań da się sprzęgnąć trzydzieści dwa tysiące. My zaś dysponujemy trzydziestoma dwoma miliardami procesorów.

— Miliardami? — powtórzył Chris.

Stern pochylił się w fotelu.

— To niemożliwe. Nawet gdybyście próbowali zmontować... — Przymknął oczy i zaczął przeliczać: — Załóżmy dwa centymetry przerwy między płytami obwodów drukowanych. To daje razem... dwa tysiące... sześćset... w przybliżeniu kilkunastokilometrową konstrukcję. Gdyby nawet rozmieszczać płyty obok siebie, zajęłyby gigantyczną halę. Nie dałoby się tego sprzęgnąć. Nie dałoby się ochłodzić. Poza tym taki komputer nie mógłby skutecznie działać, gdyż natychmiast powstałyby konflikty dostępu między procesorami.

Gordon patrzył na niego z coraz szerszym uśmiechem.

— Jedynym sposobem obróbki takiej ilości informacji — ciągnął Stern — byłoby wykorzystanie charakterystyki kwantowej poszczególnych elektronów. Trze-

ba by dysponować komputerem kwantowym, a takiego nikt jeszcze nie skonstruował.

Gordon wciąż milczał i wciąż się uśmiechał.

— Czyżby?... — mruknął Stern.

— Pozwólcie, że wyjaśnię, o czym mówi David — odezwał się w końcu Gordon. — Zwykle komputery wykorzystują tylko dwa odmienne stany elektronów. Przypisano im wartości jedynki i zera. Dlatego wszelkie obliczenia prowadzone są w układzie dwójkowym, zero-jedynkowym. Ale dwadzieścia lat temu Richard Feynman zasugerował, że można by stworzyć komputer wykorzystujący wszystkie trzydzieści dwa stany kwantowe elektronu. Wiele firm pracuje nad skonstruowaniem komputera kwantowego. Miałby niewyobrażalną moc obliczeniową, wystarczającą do tego, by skompresować dane dotyczące trójwymiarowej istoty żywej w strumień elektronów. Dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej pracuje telefaks. Taki strumień można by przesłać kanalikiem w pianie kwantowej do innego wszechświata. Właśnie tym się zajmujemy. To nie jest kwantowa teleportacja ani wychwytywanie cząstek elementarnych, lecz bezpośrednia transmisja danych do innego wszechświata.

* * *

Land-cruiser wyjechał z lasu. Zobaczyli kompleks przeszklonych dwupiętrowych budynków z cegły. Podobne siedziby rozmaitych firm spotykało się na przedmieściach wielu amerykańskich miast.

— To jest ITC? — zapytał Marek.

— Tak — odparł Gordon. — Wybraliśmy to miejsce, bo w pobliżu są stare szyby kopalniane. Coraz trudniej je znaleźć, a wiele projektów badawczych wykonuje się głęboko pod ziemią.

Na skraju placu krzątało się kilku mężczyzn. Przygotowywali do wypuszczenia balon meteorologiczny. Był biały i miał około dwóch metrów średnicy. Po chwili wzniósł się majestatycznie w niebo. Pod nim na linie wisiał zestaw jakichś przyrządów.

— Po co wypuszczacie balony? — zainteresował się Marek.

— Musimy kontrolować grubość powłoki chmur, zwłaszcza podczas deszczowej pogody. Sprawdzamy wpływ warunków atmosferycznych...

— Na co?

Samochód zatrzymał się przed największym budynkiem. Umundurowany strażnik otworzył drzwi.

— Witamy w ITC — powiedział, uśmiechając się szeroko. — Pan Doniger

oczekuje państwa.

Doniger i Gordon szli korytarzem. Kramer ruszyła za nimi. Po drodze prezes przeglądał skrótowe charakterystyki czworga historyków wchodzących w skład zespołu.

— Co o nich myślisz, John?

— Jest lepiej, niż się spodziewałem. Są w dobrej kondycji fizycznej i znają teren. Znają też epokę.

— Dużo będę musiał im tłumaczyć?

Nie. Moim zdaniem są gotowi. Ale zachowaj ostrożność, mówiąc o ryzyku.

— Sugerujesz, że nie powinienem być wobec nich całkiem szczery? — zapytał Doniger.

— Po prostu bądź ostrożny — odparł Gordon. — Są naprawdę błyskotliwi.

— Czyżby? Zaraz się o tym przekonamy.

Otworzył drzwi.

* * *

Wprowadzono ich do niewielkiej sali konferencyjnej. Była urządzona bardzo skromnie — na środku stał laminowany stół i składane krzeselka, z boku duża tablica z wypisanymi markerem równaniami matematycznymi, tak skomplikowanymi, że ciągnęły się przez całą jej długość. Dla Kate były całkowicie niezrozumiałe. Już chciała zapytać Sterna, czego dotyczą, kiedy do sali wkroczył Robert Doniger.

Zaskoczyło ją, że jest taki młody. Wyglądał na ich rówieśnika. Wrażenie to potęgowało ubranie: zamszowe pantofle, dzinsy i jasnoszara koszulka z krótkimi rękawami. Nawet w środku nocy tryskał energią. Rażnym krokiem obszedł stół i kolejno uściskał im dłonie. Do wszystkich zwracał się po imieniu.

— Kate — powiedział do niej z uśmiechem. — Miło cię poznać. Czytałem twoje wstępne opracowanie dotyczące kaplicy. Jest znakomite.

Zaskoczona zdołała z siebie wydusić tylko:

— Dziękuję.

A Doniger poszedł już dalej.

— Chris, cieszę się, że cię znowu widzę. Spodobał mi się twój komputerowy model młyna wodnego. Sądzę, że jest dosyć rzetelny.

Hughes także ledwie zdążył skinąć głową, gdy prezes firmy witał się z kolejną osobą:

— Ach, David Stern. Nie spotkaliśmy się dotąd. O ile mi wiadomo, jesteś fizykiem, podobnie jak ja.

— Zgadza się. . .

— Witam w zespole. I Andre. Ani trochę nie zwalniasz tempa. Twój artykuł o edwardiańskich turniejach rycerskich sprawił, że monsieur Contamine nie mógł zasnąć. Dobra robota. Siadajcie, proszę.

Zajęli miejsca przy stole. Doniger stanął u jego szczytu.

— Przejdę od razu do rzeczy — zaczął. — Potrzebujemy waszej pomocy. Od dziesięciu lat moja firma opracowuje nową, rewolucyjną technologię. Nie ma ona nic wspólnego ze zbrojeniami. Nie jest to również technologia komercyjna, przeznaczona do sprzedaży. Jest zupełnie niegroźna i pokojowa. Powinna przynieść ludzkości ogromne korzyści. Niewyobrażalne. Ale potrzebujemy waszej pomocy.

* * *

— Zastanówcie się — ciągnął — jak nierównomiernie technika wpływa na rozwój różnych dziedzin nauki. Fizycy mogą korzystać z najnowszych osiągnięć technicznych, włączając w to akceleratory cząstek mające wiele kilometrów średnicy. Podobnie jest w chemii czy biologii. Sto lat temu Faraday i Maxwell mieli niewielkie prywatne laboratoria, Darwinowi wystarczył do pracy notatnik i mikroskop. Dziś jednak żadne doniosłe odkrycie nie jest możliwe z tak skromnymi środkami. Nauki ścisłe uzależniły się od zaawansowanych technologii. A co z dyscyplinami humanistycznymi? Jaki w tym samym czasie nastąpił w nich postęp?

Urwał, chociaż pytanie było retoryczne.

— Odpowiedź brzmi: żaden. Współczesna technika nie ma większego wpływu na te dziedziny. Badacze literatury czy historii posługują się takimi samymi metodami, jak ich poprzednicy sto lat temu. Oczywiście, nastąpił pewien rozwój, na przykład w zakresie oznaczania autentyczności dokumentów czy wykorzystania baz danych na CD-ROM-ach. Ale poza tym zwykła, codzienna praca humanistów niewiele się zmieniła.

Powiódł spojrzeniem po ich twarzach.

— Tak więc powstała dysproporcja, wyraźne zróżnicowanie w poszczególnych dziedzinach wiedzy. Badacze średniowiecza mówią z dumą, że w dwudziestym wieku zrewolucjonizowano sposób postrzegania przeszłości. Ale w tym samym czasie fizycy przeżyli trzy rewolucje. Sto lat temu spierali się jeszcze o granice wszechświata czy źródła energii na Słońcu, rzeczy wówczas całkowicie niewytłumaczalne, które dzisiaj potrafi wyjaśnić niemal każde dziecko. Teraz znamy nie tylko wielkość wszechświata, lecz także jego budowę, od gromad galaktyk po

cząstki subatomowe. Wiemy także, co się działo w ciągu kilku pierwszych minut po Wielkim Wybuchu. Czy badacze średniowiecza osiągnęli analogiczny postęp w swojej specjalności? Nie. Dlaczego? Ponieważ nie mieli dostępu do żadnej nowoczesnej technologii. Aż do tej pory.

* * *

Mistrzowskie wystąpienie, ocenił Gordon, jedno z najlepszych jego przemówień. Porywające, żywe, momentami nawet zbyt emocjonalne. W rzeczywistości Doniger objaśniał projekt, nie ujawniając jego prawdziwych celów. Nie wspominał ani słowem o tym, do czego naprawdę zmierza.

— Powiedziałem wcześniej, że potrzebujemy waszej pomocy. To prawda — teraz prezes mówi wolno, z powagą, niemal ze smutkiem. — Wiecie, że profesor Johnston przyjechał tu, ponieważ uważał, że zatailiśmy pewne informacje. Prawdę mówiąc, miał rację. Część informacji ukrywaliśmy, gdyż nie mogliśmy zdradzić źródła, z którego pochodzą.

Tyle że Kramer się wygadała, dodał w myślach Gordon.

Profesor zaczął naciskać — ciągnął Doniger. — Zagroził nawet, że powiadomi dziennikarzy. Ostatecznie musieliśmy mu zademonstrować urządzenie, które i wy zobaczycie. Był bardzo podekscytowany, co i was zapewne czeka. Zaprzagnął znaleźć się w przeszłości, zobaczyć ją na własne oczy.

Przerwał na chwilę.

— Nie chcieliśmy go puścić, ale znów zaczął grozić. Nie mieliśmy innego wyjścia. Wyruszył trzy dni temu i nadal tam jest. Poprosił was o pomoc, zostawiając wiadomość w takim miejscu, abyście ją odnaleźli. Znać ten rejon i epokę znacznie lepiej niż ktokolwiek inny. Musicie więc wyruszyć i ściągnąć profesora z powrotem. To nasza jedyna szansa.

* * *

— Co się z nim dokładnie stało po przejściu do innej epoki? — zapytał Marek.

— Tego nie wiemy — odparł Doniger. — W każdym razie złamał reguły.

— Jakie reguły?

— Nie zapominajcie, że jest to wciąż technika eksperymentalna. Zachowywaliśmy dotąd wzmożoną ostrożność. Już od dwóch lat wysyłamy obserwatorów,

zazwyczaj byłych komandosów, świetnie wyszkolonych żołnierzy. Nie są historykami, musimy więc ich trzymać na krótkiej smyczy.

— To znaczy?

— Do tej pory nie pozwalaliśmy obserwatorom wychodzić do świata zewnętrznego, nie wolno im było oddalać się bardziej niż na pięćdziesiąt metrów od maszyny. Nikt dotąd nie nawiązał kontaktu ze światem zewnętrznym.

— Ale profesor to zrobił?

— Widocznie tak.

— I my też będziemy musieli, jeżeli mamy go odnaleźć? Będziemy pierwszymi ludźmi, którzy zjawią się w tamtej epoce?

— Tak.

— Naprawdę będziemy pierwsi? Nikt wcześniej nie miał styczności z tym światem?

— Nie. Przed wami zrobił to tylko Johnston.

Przez chwilę panowała martwa cisza. Przerwał ją Marek.

— Niesamowite — powiedział, uśmiechając się szeroko. — Nie mogę się doczekać!

Inni nadal milczeli. Spoglądali na siebie wyraźnie zaniepokojeni.

— A co z tym facetem, którego znaleziono na pustyni? — odezwał się wreszcie Stern.

— Chodzi ci o Trauba? Był jednym z naszych najlepszych naukowców.

— Co porabiał na środku pustyni?

— Wygląda na to, że pojechał na wycieczkę. Znaleziono jego samochód. Wciąż nie wiemy, dlaczego to zrobił.

— Prawdopodobnie coś z nim było nie tak — ciągnął David. — Coś się stało z jego palcami. . .

— Nic o tym nie wiem — uciął Doniger. — Zgodnie z wynikami autopsji zmarł na atak serca.

— Więc jego śmierć nie ma żadnego związku z waszą technologią?

— Absolutnie żadnego.

* * *

Znowu zapadła cisza. Chris poruszył się niespokojnie.

— Na ile bezpieczna jest ta technika? — spytał.

— Bezpieczniejsza od jazdy samochodem-odparł Doniger bez wahania. — Otrzymacie szczegółowe instrukcje, poza tym będzie wam towarzyszyć dwóch

doświadczonych obserwatorów. Wyprawa potrwa najwyżej dwie godziny. Po prostu udacie się tam i sprowadzicie profesora.

Chris nerwowo zabębnił palcami po stole. Kate przygryzła dolną wargę. Nikt się nie odezwał.

— Udział w wyprawie jest dobrowolny — dodał Doniger. — Tylko od was zależy, czy się zgodzicie, czy nie. Ale to profesor prosił was o pomoc. Sądzę, że nie chcecie go zawieść.

— Dlaczego nie wyślecie samych obserwatorów? — wtrącił Stern.

— Ponieważ za mało wiedzą. Z pewnością rozumiesz, że to zupełnie inny świat. Wy dysponujecie odpowiednią wiedzą, jesteście zaznajomieni i z miejscem, i z epoką, znacie język i obyczaje.

— Ale nasza wiedza jest czysto akademicka — odparł Chris.

— Już nie.

* * *

Wyszli z sali z Gordonem, żeby obejrzeć urządzenie. Doniger odprowadził gości wzrokiem. Chwilę później do sali weszła Kramer, która oglądała przebieg spotkania za pośrednictwem wewnętrznej sieci telewizyjnej.

— I co o nich myślisz, Diane? — zapytał. — Wyruszą?

— Tak. Na pewno.

— I sprowadzą Johnstona?

Kramer zawahała się.

— Oceniam ich szansę na pięćdziesiąt procent.

Schodzili szeroką betonową pochylnią, wystarczająco dużą, by zjechała po niej ciężarówka. Na dole znajdowały się masywne stalowe wrota. Marek zwrócił uwagę na rozmieszczone na ścianie kamery systemu bezpieczeństwa. Obracały się z wolna, śledząc ich drogę w dół. Na końcu pochylni Gordon zwrócił się twarzą do najbliższej kamery i cierpliwie czekał. Wrota zaczęły się rozsuwać.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia. Brama automatycznie się zamknęła. Przed kolejnymi drzwiami Gordon znów stanął twarzą do kamery.

— Nie może pan sam ich otworzyć? — zapytał Marek.

— Nie.

— Dlaczego? Zarząd panu nie ufa?

— Nikomu nie ufa. Nikt nie dostanie się do środka, jeżeli nie uzyska wcześniej akceptacji.

Drzwi się otworzyły.

Weszli do obszernej, obitej blachą klatki. Powietrze było chłodne, lekko zala-
tywało stęchlizną. Drzwi zamknęły się za nimi. Klatka zaczęła sunąć na dół.

Dopiero teraz Marek zrozumiał, że są w windzie.

— Musimy zjechać trzysta metrów pod ziemię — wyjaśnił Gordon.

* * *

Winda stanęła i drzwi się rozsunęły. Wyszli do długiego betonowego koryta-
rza, w którym ich kroki rozbrzmiewały głośnym echem.

— To poziom sterowania i obsługi technicznej — powiedział Gordon. — Sa-
me urządzenia znajdują się jeszcze dwieście metrów pod nami.

Dotarli do ciężkich dwuskrzydłowych drzwi. W pierwszej chwili Marek po-
myślał, że są zrobione z bardzo grubego szkła. Lecz gdy się rozsuwały na wpusz-
czonych w podłogę przewodnicach, dostrzegł wewnątrz nich lekkie zafalowanie.

— To woda — wyjaśnił Gordon. — Zużywamy mnóstwo wody w tarczach
ochronnych. Technika kwantowa jest bardzo czuła na przypadkowe oddziaływa-
nia z zewnątrz, takie jak promieniowanie kosmiczne czy pasożytnicze pola elek-
trostatyczne. Głównie z tego powodu umieściliśmy urządzenia głęboko pod zie-
mią.

Dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do laboratorium badawczego. Za nim był
pomalowany na biało korytarz. Po obu stronach ciągnęły się drzwi oznakowane
dużymi napisami. Na pierwszych z lewej widniał napis: SKAN WSTĘPNY. Na
drugich: PAKOWANIE. Przy końcu korytarza wisiała pod sufitem tabliczka z na-
pisem: TRANZYT.

— Przejdźmy od razu do sali skanowania.

* * *

Niewielkie pomieszczenie przypominało Markowi szpitalne laboratorium ana-
lityczne. Poczul się nieswojo. Na środku stał ponad dwumetrowej wysokości cy-
linder mający około półtora metra średnicy. Grube drzwi na zawiasach były uchyl-
one. Wnętrze cylindra pokrywały paski szarej folii.

— Solarium? — zapytał Andre z uśmiechem.

— Nie, to nowoczesny skaner rezonansu magnetycznego. Podobny do tych,

jakich używa się w medycynie. Zobaczycie jednak, że działa znacznie sprawniej. Zechce pan wejść pierwszy?

— Mam tam wejść? — zdziwił się Andre. Cylinder kojarzył mu się z metalową trumną.

— Tak. Proszę się rozebrać i wejść do maszyny. To przypomina typowe badanie rezonansu magnetycznego, nic pan nie poczuje. Cały proces potrwa około minuty. My zaczekamy w sąsiednim pokoju.

Wyprowadził resztę grupy przeszklonymi wahadłowymi drzwiami. Zamknęły się tak szybko, że Marek nie zdążył zobaczyć, dokąd prowadzą.

W rogu pokoju stało krzesło. Andre rozebrał się do naga, położył ubranie na krześle i śmiało wszedł do cylindra. Rozległ się cichy trzask i z głośnika pod sufitem doleciał głos Gordona.

— Czy mógłby pan spojrzeć pod nogi, doktorze? Marek popatrzył w dół.

— Widzi pan okrąg na podłodze? Proszę stanąć na jego środku.

Andre przesunął się nieco w bok.

— Doskonale, dziękuję. Teraz drzwi się zamkną.

Zasunęły się z cichym szumem. Zasyczało sprężone powietrze.

— To komora ciśnieniowa? — zapytał.

— Tak. Poczuje pan na skórze chłodne powietrze. Kalibrację musimy przeprowadzać przy zwiększonej zawartości tlenu. Mam nadzieję, że nie cierpi pan na klaustrofobię?

— Dotąd jej nie miałem.

Rozglądał się ciekawie. Zauważył, że szara folia zasłania okienka w ścianach. Za nią świeciły jakieś lampki, coś się obracało. Rzeczywiście otoczyło go wyraźnie chłodniejsze powietrze.

— Zaczynamy kalibrację — powiedział Gordon. — Proszę stać spokojnie.

Pierścienie zaczęły wirować, rozległo się postukiwanie. Szara folia przesuwała mu się przed oczami coraz szybciej i szybciej. Nagle wszystko ustało.

— Świetnie. Jak się pan czuje?

— Jak w młynku do mielenia pieprzu — odparł.

Gordon zachichotał.

— Kalibracja zakończona. Reszta wymaga precyzyjnego zgrania w czasie, urządzenie działa automatycznie. Proszę po prostu wykonywać instrukcje przekazywane przez głośnik, dobrze?

— W porządku.

Pstryknęło. Zapadła martwa cisza.

Chwilę później rozległ się odtwarzany z taśmy głos.

— Rozpaczynam sekwencję skanującą. Włączam lasery. Proszę patrzeć prosto przed siebie, nie podnosić głowy.

Nagle otoczyła go jaskrawobłękitna poświata. Miał wrażenie, że świeci samo powietrze.

— Lasery polaryzują ksenon wtłaczany obecnie do komory. Pięć sekund. Ksenon? — przemknęło mu przez myśl.

Błękitny blask zaczął przybierać na sile. Marek spojrział w dół, na swoje dłonie, lecz światło było tak intensywne, że ledwie mógł dojrzeć ich zarysy.

— Stężenie ksenonu jest odpowiednie. Teraz proszę zaczerpnąć głęboko powietrza.

Mam oddychać ksenonem? — pomyślał.

— Proszę się nie ruszać przez trzydzieści sekund. Stać nieruchomo, z otwartymi oczami... zaczerpnąć powietrza i wstrzymać oddech... Teraz!

Pierścienie zaczęły wirować z oszałamiającą prędkością. Niektóre zatrzymały się nagle, czasami cofały, jak gdyby czegoś szukając. Wyglądało na to, że poruszają się niezależnie od siebie. Markowi dreszcz przebiegł po plecach, wydawało mu się, że spoglądają na niego setki oczu. Proszę się nie ruszać. Jeszcze dwadzieścia sekund.

Pierścienie wirowały z głośnym szumem i świstem. Nagle wszystko ustało. Przez kilka sekund panowała kompletna cisza. Potem rozległa się seria metalicznych trzasków i pierścienie zaczęły się wysuwać w jego stronę i cofać, wykonując przy tym część obrotu.

— Proszę się nie ruszać. Jeszcze dziesięć sekund.

Znow zaczęły wirować coraz szybciej, stopniowo synchronizując obroty. Wkrótce cała ściana cylindra rozmazała mu się przed oczami. Po chwili stanęła.

— Skan zakończony. Dziękuję za współpracę — oznajmił głos z taśmy.

Zgasła błękitna poświata, drzwi odchyliły się z szumem. Marek wyszedł z maszyny.

* * *

Gordon siedział przed komputerem, reszta otaczała go półkolem.

— Większość ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy — tłumaczył — że podczas zwykłego badania rezonansu magnetycznego w szpitalu następuje zmiana stanu kwantowego atomów w ciele człowieka, przede wszystkim momentu pędu cząstek w jądrach atomowych. Z doświadczeń w stosowaniu tych urządzeń w medycynie wiemy, że zmiany stanu kwantowego nie powodują żadnych objawów chorobowych. W rzeczywistości nawet ich nie zauważamy. A przecież w zwykłych aparatach wytwarzane jest pole magnetyczne o natężeniu około półtorej tesli, czyli jakieś dwadzieścia pięć tysięcy razy silniejsze od ziemskiego pola magnetycznego. My go nie potrzebujemy. Stosujemy nadprzewodzące interferometry kwantowe,

które są tak czułe, że mogą mierzyć rezonans powstający w wyniku oddziaływania pola magnetycznego Ziemi. Nie musimy używać żadnych elektromagnesów.

Marek wszedł do pokoju.

— I jak wyglądam? — zapytał.

Na ekranie komputera widać było tylko półprzezroczysty kręgosłup i połyskujące czerwono zarysy kończyn.

— Na razie mamy dopiero szpik wypełniający kości długie, kręgosłup i czaszkę — odparł Gordon. — Program odtwarza wygląd organizmu od środka, dodając kolejne grupy narządów. A oto i kości. — Na ekranie widać było kompletny szkielet. — Zaraz powinny się ukazać mięśnie.

Spoglądając na pojawiające się z wolna organy, Stern mruknął:

— Wasz komputer jest niewiarygodnie szybki.

— Och, proces rysowania obrazu na ekranie musieliśmy bardzo spowolnić, bo inaczej nie dałoby się niczego zauważyć — rzekł Gordon. — Rzeczywisty czas obróbki wynosi zero.

— Zero? — powtórzył David z niedowierzaniem.

— To inny świat. — Gordon pokiwał głową. — Trudno w nim stosować utarte pojęcia. — Obejrzał się na pozostałych. — Kto następny?

* * *

Przeszli na koniec korytarza do drzwi oznakowanych napisem TRANZYT.

— Po co to robimy? — zapytała Kate.

— Wstępne pakowanie. Dzięki niemu późniejsza transmisja idzie szybciej, gdyż podstawowe informacje są już wprowadzone do maszyny. Potem wystarczy jeden skan, żeby wychwycić, jakie nastąpiły różnice, i można przystępować do transmisji.

Znaleźli się w drugiej windzie. Po wyjściu z niej minęli następne drzwi z płaszczem wodnym.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Gordon.

* * *

Weszli do ogromnej, jasno oświetlonej pieczary, w której wszelkie odgłosy odbijały się głośnym echem. Powietrze było zimne. Ruszyli metalową kładką za-

wieszoną jakieś trzydzieści metrów nad dnem jaskini. Chris popatrzył z góry na trzy duże, łukowate, wypełnione wodą osłony, rozmieszczone na okręgu. Przerwy między nimi były wystarczające, by przeszedł tamtędy człowiek. Wewnątrz znajdował się drugi, nieco mniejszy pierścień osłon, a za nim trzeci. Wszystkie osłony przesuwwały się wzdłuż okręgów w taki sposób, żeby trzy przejścia nawet na chwilę nie znalazły się w jednej linii. Cała konstrukcja przypominała niewielki labirynt.

Przestrzeń pośrodku koncentrycznych osłon miała około sześciu metrów średnicy. Stało tam siedem prostokątnych klatek wielkości budki telefonicznej. Z kładki widać było tylko pomalowane na szaro daszki. Podstawy klatek ginęły w smugach białej gęstej pary. Między nimi znajdowały się jakieś cylindryczne zbiorniki, wśród których wiły się grube czarne pęki kabli. Przy jednej z klatek pracowało kilku mężczyzn.

— To nasza sekcja transmisyjna — powiedział Gordon. — Tam, dalej, budujemy drugą podobną sekcję, ale będzie gotowa dopiero za kilka miesięcy. — Wskazał w głąb pieczary, gdzie z dna wyłaniały się trzy takie same koncentryczne zestawy osłon wodnych. Były jednak całkiem przejrzyste, między ich ścianki nie wpompowano jeszcze wody.

Od końca metalowej kładki do przestrzeni za osłonami prowadziła winda łańcuchowa.

— Możemy tam zjechać? — spytał Marek.

— Nie teraz.

Któryś z techników zadarł głowę i pomachał im ręką.

— Norm, kiedy nastąpi odpalenie?! — zawołał Gordon.

— Za parę minut! Gomez jest już w drodze!

— Dzięki! — Odwrócił się do swoich gości. — Będziemy mogli wszystko obserwować z sekcji kontrolnej.

* * *

Urządzenia stały na podwyższeniu, skąpane w strumieniu błękitnego światła. Były matowoszare i cicho szumiały. Po podłożu snuły się pasma białej mgły przesłaniające ich podstawy. W jednej z klatek płyta podłogowa była zdjęta. Dwaj mężczyźni w niebieskich kombinezonach coś robili wewnątrz na czworakach.

W zasadzie nie były to klatki, lecz otwarte cylindry o podłogach z metalowych płyt. Trzy grube pręty podtrzymywały metalową osłonę na górze.

Przy drugim cylindrze technicy ściągali z umieszczonego nad nim wysięgnika grube czarne kable i szybko podłączali do gniazd na dachu. Wyglądali jak pracow-

nicy stacji benzynowej wtykający węże dystrybutorów do wlewów tankujących aut.

Przeźren między podstawą a dachem była całkowicie pusta. Urządzenia wyglądały bardzo prosto. Tylko pionowe pręty były dziwne, trójkątne w przekroju i na całej długości najeżone czymś w rodzaju nitów. Spod daszków wydobywał się słabo widoczny, niebieskawy dymek.

Kate nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Jak urzeczona wpatrywała się w dwa gigantyczne ekrany w ciasnej sali kontrolnej. Dwoje techników w koszulkach z krótkimi rękawami siedziało przed konsolami komputerowymi.

— Patrzenie na ostatnie wersje maszyn wykonanych według naszej technologii TPP — tłumaczył Gordon. — To skrót od techniki pętli pseudoczasowej, topologii czasoprzestrzeni, którą wykorzystujemy w naszych wyprawach. Do skonstruowania tych urządzeń, musieliśmy rozwiązać wiele problemów technicznych. Macie przed sobą szóstą wersję. Pierwszy działający prototyp powstał trzy lata temu.

Chris obserwował maszyny w milczeniu. Kate z zaciekawieniem rozglądała się po sali kontrolnej. Stern, wyraźnie zafrapowany, skubał palcami górną wargę. Marek patrzył na Davida.

— Wszystkie zasadnicze elementy, czyli kwantowa pamięć z arsenku indowogalowego, lasery komputera i akumulatory zasilające, mieszczą się w podstawie. Lasery rozpylające znajdują się we wspornikach. Ten matowo-szary metal to niob. Zbiorniki ciśnieniowe są z aluminium, a pojemniki z zapasami z tworzywa sztucznego.

Do sali transmisyjnej weszła młoda kobieta o krótko obciętych rudych włosach. Była ubrana w koszulkę khaki, szorty i buty traperskie, jakby wybierała się na safari.

— Gomez będzie waszą przewodniczką podczas wyprawy. Za chwilę wyruszy. Już zaprogramowała swój marker nawigacyjny, ustaliła docelową datę i teraz sprawdzi, czy wszystko się zgadza. — Gordon sięgnął do przycisku interkomu. — Sue? Pokaż nam swój marker.

Kobieta wyciągnęła do kamery białą kostkę wielkości znaczka pocztowego.

— Właśnie to urządzenie pokieruje wyprawą, a później przywoła maszynę do powrotu. Sue, możesz pokazać przycisk startera?

— Nie za dobrze go widać — odparła, obracając kostkę bokiem do obiektywu. — Tu jest maleńki przycisk, łatwo go wyczuć pod palcem. To on przywołuje maszynę, kiedy jest się gotowym do powrotu.

— Dzięki, Sue.

— Jest uskok pola — oznajmił technik siedzący przy konsoli. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Na jednym z mniejszych ekranów widać było trójwymiarowy wykres. Pośrodku lekko pofałdowanej płaszczyzny wyrastał poszarpany ostry pik przypominający górski wierzchołek.

— Bardzo ładny — ocenił Gordon. — Klasyczny. — Zwrócił się do gości: — Do pomiarów gęstości lokalnego pola magnetycznego także wykorzystujemy nadprzewodnikowe interferometry kwantowe. Pozwalają wykryć nawet najmniejsze zaburzenia, nazywane przez nas uskokami. Uskoki pojawiają się około dwóch godzin przed konkretnym wydarzeniem. Ten również zarejestrowaliśmy niespełna dwie godziny temu. Oznacza to, że maszyna powraca do naszego świata.

— Która maszyna? — zapytała Kate.

— Ta, w której wyruszy Sue.

— Ale jeszcze nie wyruszyła.

— Owszem. Pozornie to nie ma sensu, lecz zdarzenia kwantowe często przeczą zdrowemu rozsądkowi.

— Twierdzi pan, że czujniki wykryły powracającą maszynę, zanim jeszcze wyruszyła?

— Oczywiście.

— Jak to możliwe?

Gordon westchnął głośno.

— To dość skomplikowane. W rzeczywistości oglądacie wykres funkcji probabilistycznej określającej prawdopodobieństwo powrotu maszyny. Kłóci się to z utartymi schematami myślenia, dlatego mówimy po prostu, że uskok pola sygnalizuje powrót maszyny. Chcąc jednak zachować naukową ścisłość, należałoby powiedzieć, że uskok jest dowodem wzrostu prawdopodobieństwa jej powrotu.

Kate pokręciła głową.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Niektóre rzeczy trudno jest wytłumaczyć. W naszym świecie opieramy się na związku przyczynowo-skutkowym. W każdym warunkach najpierw musi pojawić się przyczyna, aby wystąpił skutek. Ale w świecie kwantowym taki porządek nie zawsze jest zachowany. Niekiedy skutki występują równocześnie z przyczynami, a czasem nawet je poprzedzają. Macie właśnie do czynienia z taką sytuacją.

* * *

Gomez szybko weszła do klatki i wsunęła białą kostkę w szczelinę w podstawie.

— Podłączyła swój marker nawigacyjny, który pokieruje drogą maszyny — wyjaśnił Gordon.

— A skąd wiadomo, że wróci się dokładnie do punktu startowego? — zapytał Stera.

— Transfer multiświatowy wytwarza coś w rodzaju energii potencjalnej. To tak, jakby naciągało się sprężynę, która musi powrócić do pierwotnego stanu. Powrót maszyny jest więc stosunkowo łatwy. Start stwarza znacznie więcej problemów. Dlatego programujemy parametry w płytce ceramicznej. — Gordon pochylił się nad pulpitem i wcisnął klawisz interkomu. — Sue? Jak długo cię nie będzie?

— Minutę, najwyżej dwie.

— W porządku. Można pominąć synchronizację.

Technicy zaczęli strzelać przełącznikami na konsoli, zerkając na komputerowe odczyty parametrów pojawiające się na ekranach.

— Poziom helu? — spytał mężczyzna.

— Maksymalny — odparła kobieta sprzed drugiej konsoli.

— Sprawdzam EMR.

— Gotowy.

— Włączam linearyzację laserów.

Sięgnął do umieszczonego nieco z boku przełącznika. Z trzech pionowych wsporników wytrysnął w kierunku środka klatki gęszcz zielonych promieni laserowych.

Gomez stała z zamkniętymi oczami, po całym jej ciele tańczyły zielone ogniki światła.

Pręty zaczęły się powoli obracać. Kobieta wciąż stała bez ruchu. Promienie laserów gęsto poznały jej ciało zielonymi poziomymi smugami. Po chwili wszystko ustało.

— Lasery ustawione.

— Do zobaczenia za minutę, Sue — rzucił Gordon do mikrofonu, odwrócił się i powiedział: — Uważajcie. Zaczynamy.

* * *

Półkolisty wodny osłony przesuwające się wokół przestrzeni z klatką spowijała błękitnawa poświata. Trzy wsporniki maszyny znów zaczęły powoli wirować. Gomez stała nieruchomo, to maszyna obracała się wokół niej.

Szum przybierał na sile, pręty wirowały coraz szybciej. Gomez nawet nie drgnęła, sprawiała wrażenie całkowicie rozluźnionej.

— Ta wyprawa potrwa najwyżej dwie minuty — ciągnął Gordon. — Akumulatory wystarczają jednak na trzydzieści siedem godzin. To nieprzekraczalny limit czasu pozostawiania maszyn poza naszym światem.

Wsporniki wirowały w oszałamiającym tempie. Rozległy się głośne trzaski przypominające serię z karabinu maszynowego.

— Zadziałał system bezpieczeństwa. Czujniki podczerwieni sprawdzają przestrzeń wokół maszyny. Wstrzymają transmisję, jeśli w promieniu dwóch metrów wykryją jakieś ciało materialne. Nie chcielibyśmy, aby maszyna wynurzyła się wewnątrz kamiennego muru. Oho, puścili ksenon. Zaraz się zacznie.

Szum był już bardzo głośny. Urządzenie wirowało tak szybko, że zewnętrzne pręty rozmywały się przed oczyma w szarawą smugę. Ale stojącą wewnątrz kobietę widzieli bardzo wyraźnie.

Doleciał ich ten sam głos z taśmy:

— Proszę się nie ruszać. Stać z otwartymi oczami. Zacerpnąć głęboko powietrza i wstrzymać oddech. . . Teraz!

Spod dachu maszyny opuścił się nagle pojedynczy pierścień skanujący i opadł aż do stóp Gomez.

— Teraz patrzcie uważnie. Proces jest bardzo szybki.

Z laserów rozmieszczonych w prętach strzeliły ku środkowi klatki fioletowe promienie. Stojącą nieruchomo kobietę otoczyła jasna poświata, jakby jej ciało rozpalono do białości. Po chwili całe wnętrze maszyny zalało oślepiające białe światło. Kate odruchowo zaciśnęła powieki i odwróciła głowę. Kiedy ponownie spojrzała na środek sali transmisyjnej, wciąż miała przed oczyma jaskrawe rozbłyski. Przez moment nic nie widziała. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że klatka wyraźnie zmalała. Pęki kabli podłączonych wcześniej od góry teraz zwisały luźno, Znowu rozbłysły lasery.

Maszyna stała się jeszcze mniejsza. Gomez kurczyła się razem z nią. Miała już tylko metr i dalej malała pod wpływem kolejnych serii oślepiających rozbłysków.

— Matko Boska. . . — jęknął Stern. — Jak tam jest, w środku?

— Nic się nie czuje — odparł Gordon. — Absolutnie nic. Czas wędrówki impulsów nerwowych od skóry do mózgu jest rzędu setek milisekund. Odparowanie laserowe trwa około pięciu nanosekund. Nic tam już nie ma.

— Przecież ona wciąż stoi.

— Nie. Zniknęła podczas pierwszego rozbłysku laserowego, trwa jedynie komputerowa obróbka transmitowanych informacji. To, co widzicie, to fantom towarzyszący kompresji danych. Licząc serie wstecz, ta jest minus druga .. minus trzecia. . .

W kolejnym rozbłysku klatka znów gwałtownie zmalała. Miała niespełna metr wysokości, po następnym już tylko pół metra. Stała się nagle maleńka niczym dziecięca zabawka. A kobieta w środku przypominała lalkę w sportowym stroju.

— Minus cztery. . . — odliczał Gordon.

Promienie strzelały coraz bliżej podłoga, tracąc zarazem na intensywności. Kate nie była już w stanie dostrzec klatki.

— Co się z nią stało? — spytała.

Jeszcze ją widać, ale słabo, Tym razem błysk laserów był jak mignięcie latarką tuż nad podłogą.

— Minus sześć...

Rozbłyśki następowały coraz szybciej, ale teraz przypominały migotanie robaczka świętojańskiego. Gordon kontynuował odliczanie:

— Minus czternaście... Koniec.

Błyśki ustały.

Klatki nie było. Zniknęła bez śladu.

Pozostał po niej odsłonięty fragment czarnej wykładziny zakrywającej dno pieczary.

— I my też mielibyśmy... to zrobić? — spytała Kate.

* * *

— To wcale nie jest przykre uczucie — rzekł Gordon. — Ani na chwilę nie traci się świadomości, chociaż nie umiemy wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. W ostatnim etapie kompresji danych jest się częstką o rozmiarach subatomowych więc coś takiego jak świadomość nie powinno istnieć. A jednak. Naszym zdaniem to także złudzenie, rodzaj halucynacji powstającej w momencie transmisji. Coś jak ból nogi, która została amputowana. Być może nasz mózg potrafi tworzyć fantomy. Oczywiście mówimy o czasie rzędu nanosekund. Zresztą i tak nie wiemy, czym właściwie jest świadomość.

Kate wciąż patrzyła na ekran. W jej myślach dominowały skojarzenia architektoniczne. Była pod wrażeniem koncentrycznej symetrii niezwyklej podziemnej budowli — nieco podobnej do symetrii baszt średniowiecznych zamków — mimo że ów nowoczesny twór powstał bez jakiegokolwiek zamysłu estetycznego. Służył wyłącznie rozwiązaniu konkretnych problemów naukowych. Dla niej wygląd urządzenia był po prostu fascynujący.

Teraz jednak z całą mocą uświadomiła sobie cel, jakiemu służy maszyna. Pragnęła zrozumieć wszystko, czego była świadkiem. A w tej kwestii zmysł architektoniczny nie mógł jej pomóc.

— Ale ta metoda zmniejszania wymaga przecież rozłożenia człowieka na czynniki pierwsze...

— Nie. Wymaga jego zniszczenia — odparł Gordon bez ogródek. — Musimy unicestwić oryginał, aby możliwe było jego odtworzenie na drugim końcu. Nie można być jednocześnie tu i tam.

— Więc Gomez umarła?

— Nie nazwałbym tego w ten sposób. Musicie zrozumieć...

— Unicestwiliście ją — powiedziała Kate z naciskiem. — Czy to nie jest śmierć?

— Naprawdę nie wolno tego rozważać w tradycyjnych kategoriach. Jeżeli człowiek jest sekwencyjnie rekonstruowany dokładnie w tej samej chwili, kiedy następuje jego unicestwienie, to jak można mówić o śmierci? Nie umiera, tylko przenosi się w inne miejsce.

* * *

Stern podejrzewał, że Gordon nie jest całkiem szczery. Patrząc na grube tarcze osłon wodnych i pozostałe maszyny, miał wrażenie, że coś przed nimi ukrywa.

— Więc Gomez jest teraz w innym wszechświecie? — zapytał.

— Zgadza się.

— Przesłaliście ją na drodze transmisji danych i po prostu wyłoniła się w tym samym wszechświecie jak faks?

— Dokładnie tak.

— A czy do odtworzenia człowieka nie jest konieczna druga maszyna na przeciwnym końcu linii?

— Nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ ona już tam jest.

Stern popatrzył na niego z ukosa.

— Już tam jest? Jak to możliwe?

— W momencie transmisji człowiek od razu znajduje się w innym wszechświecie, nie musi więc być rekonstruowany przez nas.

— Jak to? — zdziwił się David.

— Przyjmijcie na tym etapie, że wynika to z natury multiświata. Porozmawiamy o tym później, jeśli będzie pan miał ochotę. Nie jestem pewien, czy należy wszystkich zanudzać takimi szczegółami. — Ruchem głowy wskazał resztę grupy.

Na pewno coś się za tym kryje, pomyślał Stern. Chcą przed nami ukryć pewne sprawy. Popatrzył na strefę transmisji, próbując wyłowić jakiś detal, który nie pasowałby do reszty. Nie miał już żadnych wątpliwości, że nie wszystko się zgadza w tej układnej historyjce.

— Mówił pan, jeśli dobrze pamiętam, że dotąd wyruszyło w przeszłość zaledwie kilka osób.

— Tak, to prawda.

— Wyruszali pojedynczo?

— Prawie zawsze. Wyjątkowo wyprawialiśmy dwie osoby.

— Więc po co aż tyle tych maszyn? — zapytał Stern. — Jest ich osiem. Dwie by nie wystarczyły?

— To wynik obszernego programu badawczego. Nadal wprowadzamy różne usprawnienia.

Gordon na każde pytanie miał gotową odpowiedź, Stern był jednak pewien, że dostrzeża w jego oczach cień niepokoju. Bez wątpienia coś przed nimi ukrywano!

— A nie łatwiej wprowadzać poprawki w gotowych i działających już urządzeniach?

Tym razem Gordon nie odpowiedział, tylko lekceważąco wzruszył ramionami. Chyba tu kryła się jakaś tajemnica.

— Czym się zajmują ci dwaj technicy? — ciągnął Stern, wskazując mężczyzn pochylonych nad otwartą podstawą jednej z maszyn. — Mówię o tej ostatniej klatce, na samym końcu. Co oni tam naprawiają?

— Davidzie, naprawdę. . .

— Czy wasza technika jest rzeczywiście całkiem bezpieczna?

Gordon westchnął.

— Sam się przekonasz.

Na odsłoniętym fragmencie podłogi sekcji transmisyjnej pojawiły się drobne iskrzenia.

— Już jest — oznajmił Gordon.

Rozbłyśki stawały się jaśniejsze. Znów coś zaterkotało, najpierw cicho, potem coraz głośniej. Nagle ich oczom ukazała się klatka w pierwotnym rozmiarze. Donośny szum zaczął cichnąć, wokół podstawy maszyny zawirowała gęsta para. Kobieta wyskoczyła ze środka i pomachała ręką do kamery.

Stern obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Sprawiała wrażenie zdrowej i zadowolonej, w jej wyglądzie nic się nie zmieniło.

Gordon popatrzył na niego.

— Masz dowód, że to całkowicie bezpieczne — rzekł, po czym odwrócił się do ekranu. — I jak poszło, Sue?

— Wspaniale — odparła Gomez. — Punkt tranzytowy znajduje się na północnym brzegu rzeki, w odludnym miejscu w głębi lasu. Nawet pogoda jest całkiem przyjemna jak na kwiecień. — Spojrzała na zegarek. Niech pan szykuje swój zespół, doktorze Gordon. Ja wypalę zapasowy marker. Powinniśmy wyprawić się jak najszybciej i odnaleźć tego staruszka, zanim ktoś zrobi mu krzywdę.

— Proszę się położyć na lewym boku.

Kate przekręciła się na leżance. Z niepokojem popatrzyła na starszego mężczyznę w białym fartuchu, który przytknął jej do ucha coś, co wyglądało jak pistolet do klejenia na gorąco.

— Poczujecie pani ciepło.

Coś ją ukłuło, jakby kropla wrzątku spadła jej na skórę.

— Ach... Co to jest?

— Polimer organiczny — odparł mężczyzna. — Nietoksyczny i niewywołujący alergii. Trzeba odczekać osiem sekund... Dobrze. Proszę teraz zagryźć zęby. Musi się ułożyć... Proszę jeszcze przez chwilę zaciskać szczęki i rozluźniać mięśnie...

Wyczuła, że odwrócił się do niej tyłem. Sąsiednią leżankę zajmował Chris, następną Stern. Na ostatniej leżał Marek. Mężczyzna zaczął powtarzać jak wykutą na pamięć lekcję:

— Proszę się położyć na lewym boku... Poczujcie pan ciepło...

Po minucie wrócił do niej. Kazał jej się położyć na drugim boku i przykleił taki sam gorący polimer w drugim uchu. Gordon, który przyglądał się temu z końca sali, powiedział:

— Ta technika też jest eksperymentalna, ale jak dotąd zdawała egzamin. Stosujemy polimer, który zaczyna się biodegradować po tygodniu.

Mężczyzna poprosił ich, aby wstali. Wyjął im z uszu utwardzone polimerowe implanty i położył je na stole. Kate spojrzała na Gordona.

— Nie mam kłopotów ze słuchem, niepotrzebny mi aparat słuchowy.

— To nie jest aparat słuchowy — odparł.

W drugim końcu sali technik błyskawicznie montował w ukształtowanych osłonach jakieś układy elektroniczne. Szło mu to nadzwyczaj sprawnie. Nakładał na płytki cienką warstwę tego samego polimeru.

To połączenie komputerowego translatora z krótkofalówką. Dzięki temu będziecie rozumieć, co ludzie do was mówią.

— Nawet jeśli zrozumiem, co mówią, to jak będę mogła odpowiedzieć? — spytała Kate.

Marek trącił ją w bok.

— Nie martw się. Znam oksytański i starofrancuski.

— To wspaniale — rzuciła ironicznie. — I nauczysz mnie obu tych języków w ciągu najbliższego kwadransa?

Była coraz bardziej spięta. Nie dawała jej spokoju myśl, że ma zostać wyparowana czy też unicestwiona w tej cholernej maszynie. Z trudem panowała nad swoimi reakcjami.

Marek spojrzał na nią zaskoczony.

— Nie — odparł z powagą. — Bądź blisko mnie, zaopiekuję się tobą.

Poczowała ulgę. Jego niezmacony spokój podziałał kojąco na jej nerwy. Wkrótce wszyscy mieli już w uszach elektroniczne implanty.

— Na razie są wyłączone — poinformował Gordon. — Aby je włączyć, wystarczy postukać palcem w ucho. Pozwólcie teraz za mną...

* * *

Wręczył każdemu niewielkie skórzane etui.

— Wciąż pracujemy nad zestawami pierwszej pomocy. To pakiety prototypowe. Jako pierwsi wyjdziecie do świata zewnętrznego, więc mogą się wam przydać. Łatwo je ukryć pod ubraniem.

Otworzył jedno z nich i wyjął cylindryczny aluminiowy pojemnik. Miał około dziesięciu centymetrów długości.

— To jedyna ochrona, jaką możemy wam zapewnić. Pojemnik zawiera dwanaście dawek pochodnej kwasu bursztynowego w substracie proteinowym. Zdemonstruję wam działanie na kocie. H. G., gdzie jesteś?

Na stół wskoczył duży czarny kot. Gordon pogłaskał go po grzbiecie, po czym szybko rozpylił mu odrobinę cieczy tuż przed nosem. Kot prychnął, zamrugał szybko i przewrócił się na bok.

— Powoduje utratę przytomności w ciągu sześciu sekund — mówił Gordon i wywołuje amnezję retroaktywną. Pamiętajcie, że działa dość krótko. Poza tym trzeba prysnąć człowiekowi prosto w twarz, żeby uzyskać efekt.

Kot rzeczywiście zaczynał się już ruszać. Gordon sięgnął do etui i wyciągnął trzy czerwone papierowe sześcianiki rozmiarów kostki cukru. Połyskiwały lekko, jakby były polakierowane. Z wyglądu przypominały petardy.

— Gdybyście chcieli podłożyć ogień, to załatwi sprawę. Wystarczy wyciągnąć tą zawleczkę, a nastąpi samozapłon. Ładunki są oznakowane liczbami piętnaście, trzydzieści i sześćdziesiąt, które oznaczają, ile sekund upłynie od wyciągnięcia zawleczki zapłonu. Pokryto je woskiem, więc są wodoodporne. Mogą jednak nie zadziałać.

— Czemu nie zalaliście ich tworzywem? — zapytał Hughes.

— Nie pasuje do epoki. Wtedy nie znano jeszcze plastiku. — Gordon schował ładunki do etui. — Poza tym macie tu środki pierwszej pomocy. Nic szczególnego, materiały opatrunkowe, leki przeciwzapalne, przeciwbiegunkowe, przeciwskurczowe i przeciwbólowe. Nie byłoby dobrze, gdyby któreś z was zwymiotowało w zamku. A nie możemy wam dać pigułek do odkażania wody.

Stern patrzył na to wszystko z coraz większym niedowierzaniem. Wymiotować w zamku? — powtarzał w myślach.

— Chwileczkę... — zaczął.

— Jest tu wreszcie przyrząd wieloczynnościowy. — Gordon wyjął sporych rozmiarów scyzoryk, zawierający między innymi nóż i wytrych. — Pewnie żadna z tych rzeczy nie będzie wam potrzebna, ale na wszelki wypadek powinniście mieć te zestawy. Teraz się przebierzecie.

* * *

Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia. Uśmiechnięta starsza kobieta, która na ich widok wstała od maszyny do szycia, wręczyła każdemu komplet ubrań: białe lniane majtki przypominające bokserki, ale bez gumki w pasie, skórzany pas i czarne wełniane rajtuzy.

— Co to jest? — zdziwił się Stern. — Rajstopy?

— Nazywano to pończochami, kochanečku. W nich także nie było gumki.

— Jak się będą na mnie trzymały?

— Trzeba koniec wsunąć pod pas, pod dubletem, albo przywiązać je do punktów dubletu.

— Do punktów?

— Zgadza się, kochanečku. Do punktów dubletu.

Stern popatrzył na resztę zespołu. Wszyscy w milczeniu układali podawane im rzeczy w stosik. Sprawiali wrażenie, jakby świetnie wiedzieli, jak należy z nich korzystać. On jednak czuł się zagubiony, z wolna ogarniała go panika. Obrzucił ironicznym spojrzeniem białą lnianą koszulę sięgającą mu prawie do kolan i luźny kaftan z pikowanego filcu, zwany dubletem. Na końcu otrzymał sztylet w pochwie na żelaznym łańcuszku. Skrzywił się na jego widok.

— Wszyscy takie nosili — wyjaśniła kobieta. — Na pewno ci się przyda, choćby przy jedzeniu.

Odłożył sztylet na wierzchu i zaczął badawczo oglądać dublet w poszukiwaniu tajemniczych punktów.

— Takie ubrania nosili ludzie niezbyt bogaci, ale i nie biedni — wyjaśnił Gordon. — Wędrowni kupcy, paziowie, drobna szlachta.

Kobieta podała Sternowi buty. Były to lekkie skórzane pantofle z wydłużonymi noskami, ozdobione dużymi klamrami. Wyglądają jak ciżemki nadwornego błazna, pomyślał.

— Nie martw się, mają bardzo miękkie podeszwy — wtrąciła z pobłażliwym uśmiechem kobieta. — Chodzi się w nich jak w adidasach.

— A dlaczego to wszystko jest brudne? zapytał David, obrzucając podejrzliwym wzrokiem lnianą koszulę.

— Chyba nie chcesz się wyróżniać wśród innych ludzi, prawda?

* * *

Poszli się przebrać. Stern obserwował swoich kolegów.

— Cholera, jak wy to... — zaczął.

— Chcesz wiedzieć, jak ubierano się w czternastym wieku? — wszedł mu w słowo Marek. — To proste.

Rozebrał się błyskawicznie i całkiem nagi bez skrupowania przekładał swoje rzeczy. David z zazdrością popatrzył na jego imponujące muskuły, zaczął powoli rozpinać spodnie.

— Najpierw wciągnij majtki — tłumaczył Andre. — Ten len jest naprawdę przyjemny w dotyku. Umieci dobrze go wyprawiać. Teraz zapnij pas i wywin brzeg majtek na zewnątrz. Najlepiej owiń kilkakrotnie. Jasne?

— To pas trzeba nosić pod ubraniem?

— Zgadza się. Teraz pończochy. — zaczął wciągać wełniane rajtuzy. Końce nogawek były ukształtowane na stopy, jak w niemowlęcych śpioszkach. — Na górze mają wiązadła. Widzisz?

— Moje są strasznie wypchane. — Stern skrzywił się, pokazując pękate worki na wysokości kolan.

— I tak powinno być. To nie są pończochy do stroju galowego, więc nie muszą się opinać na nogach. Teraz włóż koszulę. Wsuń ją przez głowę i pozwól swobodnie opaść. Nie, nie tak. Rozcięcie pod szyją musisz mieć z przodu.

David wysunął ręce z rękawów i zaczął obracać koszulę, wściekle mamrocząc pod nosem.

— I na końcu wkładamy dublet — ciągnął Marek, sięgając po kaftan. — To takie skrzyżowanie marynarki z wiatrówką, nosi się go zarówno w pomieszczeniach, jak i na powietrzu. Nigdy się go nie zdejmuje, chyba że jest bardzo gorąco. Teraz widzisz punkty? To te sznurówki na obwodzie, niewidoczne od zewnątrz. Musisz do nich przywiązać pończochy.

Markowi zajęło to parę chwil, jakby ubierał się w ten sposób od wielu lat. Stern zauważył z satysfakcją, że Chris również ma spore kłopoty. Sam ledwie mógł sięgnąć wiązadeł na plecach.

— I twierdzisz, że to proste? — mruknął.

— Chyba dawno się nie przyglądałeś swoim ciuchom — odparł Andre. — My nosimy na co dzień od dziewięciu do dwunastu sztuk ubrania, a tu masz tylko sześć.

Stern zawiązał ostatnią sznurówkę i opuścił brzeg dubletu. Kaftan sięgał mu do połowy ud. Mocując się z wiązadłami, podwinął poły lnianej koszuli.

Marek pomógł mu ułożyć wszystko porządnie. Poprawił też z tyłu wiązanie pończoch i zapiął mu na biodrach łańcuch ze sztyletem. Odsunął się na krok, żeby ocenić wygląd kolegi.

— Gotowe — rzekł, kiwając głową. — Jak się w tym czujesz?

Stern, krzywiąc się pogardliwie, poruszał ramionami do przodu i do tyłu.

— Jak zasznurowany kurczak do pieczenia.

Marek zachichotał.

— Przywykniesz.

* * *

Kate kończyła się ubierać, kiedy do pokoju zajrzała Susan Gomez. Miała już na sobie stosowny strój, nosiła też perukę. Podała jej drugą. Erickson skrzywiła się z niechęcią.

— Musisz ją włożyć — powiedziała Gomez. — Krótkie włosy nosiły tylko kobiety shańbione i heretyczki. Nikt nie może zobaczyć twoich naturalnych włosów.

Kate włożyła perukę. Długie blond włosy rozsypały jej się na ramionach. Odwróciła się do lustra, z którego popatrzyła na nią twarz całkiem obcej osoby. Wyglądała na młodszą i atrakcyjniejszą. Sprawiała też wrażenie bezbronnej.

— Możesz także ostrzyć włosy całkiem krótko, po męsku — rzekła Gomez. — Jak wolisz.

— Już wolę perukę — mruknęła Kate.

Diane Kramer zmierzyła wzrokiem Victora Baretto. — Przecież wiesz, że nie można złamać tej zasady — powiedziała.

— Owszem, ale tym razem czeka nas konkretne zadanie — odparł. Trzydziestoletni były komandos pracował w firmie od dwóch lat i przez ten czas dał się poznać jako odpowiedzialny agent ochrony. Miał jednak tendencję do robienia z siebie primadonny.

— Chcecie, żebyśmy wyszli do świata zewnętrznego, lecz nie pozwalacie zabrać żadnej broni — dodał.

— Zgadza się, Viktorze. Żadne współczesne wyroby nie mogą się znaleźć w przeszłości. Od początku uznaliśmy to za żelazną zasadę.

Kramer usiłowała zachować spokój. Nie po raz pierwszy miała kłopoty z mężczyznami, którzy wcześniej służyli w wojsku. Z kobietami, jak choćby z Gomez, radziła sobie łatwiej. Tylko faceci bez przerwy usiłowali „wykorzystać swoje umiejętności” w czasie wypraw. Jej zdaniem wynikało to z męskiej potrzeby ciągłego udowadniania swojej przewagi, nigdy jednak nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Zdawała sobie sprawę, że dla byłych komandosów wystarczająco trudne jest przyjmowanie rozkazów od kogoś takiego jak ona.

Trudno im było także dochować tajemnicy. Chcieli rozpowiadać na lewo i prawo o swoich wyprawach w przeszłość. Zabraniały im tego rozmaite klauzule podpisanych kontraktów, o nich jednak łatwo się zapominało po paru kolejkach w ba-

rze. Właśnie dlatego Kramer od czasu do czasu rozpuszczała plotki o istnieniu kilku specjalnych markerów nawigacyjnych. Nadała im znaczące nazwy: Tunguski, Wezuwiusz czy Tokio. Wezuwiusz miał przenieść maszynę nad Zatokę Neapolitańską w sierpień roku siedemdziesiątego dziewiątego na kilka sekund przed wybuchem, który unicestwił Pompeję. Tunguski był zaprogramowany na Syberię tysiąc dziewięćset ósmego roku, przed upadkiem wielkiego meteorytu, którego fala uderzeniowa zabiła wszelkie żywe istoty w promieniu setek kilometrów, a Tokio przenosiło maszynę do stolicy Japonii w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim, tuż przed tragicznym trzęsieniem, które zrównało miasto z ziemią. Przez to ludzie żyli w ciągłej obawie, że jeśli zdradzą tajemnice firmy, w następną wyprawę mogą wyruszyć z niewłaściwym markerem. Zwłaszcza byli komandosi nie potrafili ocenić, czy takie markery rzeczywiście istnieją, czy też są wytworem fantazji. Kramer ta sytuacja bardzo odpowiadała.

— To nowe zadanie — ciągnął Baretto, jakby nie trafiały do niego żadne argumenty. — Mielibyśmy wyjść do świata zewnętrznego, a więc na tyły wroga zupełnie bezbronni.

— Jesteście przecież mistrzami w walce wręcz. Ty, Gomez i cała reszta.

— Nie wiem, czy to wystarczy.

— Viktorze...

— Z całym szacunkiem, panno Kramer, niewłaściwie ocenia pani sytuację powtarzał z uporem. — Już straciliście dwóch ludzi. Nawet trzech, jeśli doliczyć Trauba.

— Mylisz się, nie straciliśmy nikogo.

— Czyżby? A co z Traubem?

— Nie zginął podczas wyprawy. Wyruszył na własną rękę, poza tym przeżywał załamanie nerwowe.

— To pani tak uważa.

— Wiemy, że był w depresji. Od czasu śmierci żony nie mógł odzyskać równowagi, miał myśli samobójcze. Poza tym przekroczył limit wypraw, a mimo to chciał wyruszyć, żeby sprawdzić jakiś pomysł usprawnienia maszyn. Pracował nad redukcją ilości błędów transkrypcyjnych. Wygląda jednak na to, że jego innowacje przyniosły odwrotny skutek. Właśnie dlatego znalazł się na pustyni w Arizonie. Osobiście uważam, że wcale nie zamierzał wracać, chciał popełnić dość wyszukane samobójstwo.

— A Rob? On nie miał żadnych skłonności samobójczych.

Kramer westchnęła. Rob Deckard był jednym z pierwszych, którzy wyprawili się w przeszłość. I właśnie u niego ujawniły się pierwsze błędy transkrypcyjne.

— To było dwa lata temu, we wstępnej fazie projektu. Nie mieliśmy jeszcze tak dopracowanej technologii. Zresztą sam wiesz, co się stało. Drobne błędy wystąpiły u Roba już po paru wyprawach, lecz on sam nalegał na kontynuowanie badań. To nie był żaden wypadek.

- Pewnie. Wyszedł z maszyny i nigdy nie wrócił — burknął Baretto.
- Rob dobrze wiedział, na co się porywa.
- A teraz jeszcze profesor.
- Johnston wcale nie zginął. Wciąż żyje.
- Mam nadzieję. Ale nie wiecie, dlaczego nie wrócił w wyznaczonym czasie.
- Viktorze...
- Twierdzą tylko, że planowana wyprawa nie pasuje do przyjętych założeń taktycznych. Chce pani, byśmy podjęli zbędne ryzyko.
- Nie musisz w niej brać udziału, jeśli nie chcesz — odparła łagodnym tonem.
- Do cholery, nie o to mi chodzi.
- Naprawdę nie musisz.
- Oczywiście, że wezmę udział.
- W takim razie przestrzegaj zasad. Żaden współczesny wyrób nie może się znaleźć w tamtym świecie. Jasne?
- Tak.
- I nie wolno ci o tym wspominać historykom.
- To zrozumiałe. W końcu jestem zawodowcem.
- W porządku.

Kramer popatrzyła za odchodzącym Baretto. Był wyraźnie rozżłoszczony, ale nie zamierzał rezygnować. Podobne rozmowy zawsze się tak kończyły. Dla niej żelazne reguły były nienaruszalne. Nawet jeśli Doniger w swoich wystąpieniach powtarzał, że nie da się zmienić historii, nikt nie wiedział, jak jest naprawdę, i nikt nie chciał podejmować ryzyka. Dlatego nie zabierano w przeszłość ani nowoczesnej broni palnej, ani żadnych urządzeń technicznych, ani nawet przedmiotów z tworzyw sztucznych.

Siedzieli na niewygodnych składanych krzesłach wokół dużej mapy rozpostartej na stole. Susan Gomez, która zbadała cel wyprawy, mówiła szybko i nieco chaotycznie.

— Udajemy się do klasztoru Sainte-Mère leżącego nad rzeką Dordogne w południowo-zachodniej Francji. Przybędziemy dokładnie o ósmej cztery w czwartek, siódmego kwietnia tysiąc trzysta pięćdziesiątego siódmego roku. Ta właśnie data widniała na wiadomości zostawionej przez profesora. Dobrze się składa, gdyż tego dnia w Castelgard odbędzie się turniej, który powinien przyciągnąć wielki tłum gapiów z całej okolicy. Nie powinniśmy więc wzbudzić żadnej sensacji. — Postukała palcem w mapę. — Klasztor znajduje się tutaj. Castelgard jest po drugiej stronie rzeki. A tu, na szczycie nadbrzeżnego klifu nad klasztorem, stoi forteca La Roque. Czy są jakieś pytania?

Wszyscy pokręcili głowami.

— W porządku. Sytuacja w tym rejonie jest niepewna. Minęło dwadzieścia lat od rozpoczęcia wojny stuletniej i siedem miesięcy od zwycięstwa Anglików pod Poitiers. Podczas tej bitwy wzięli do niewoli francuskiego króla. Teraz jest przetrzymywany jako zakładnik. Tymczasem we Francji trwają zamieszki. Zamek Castelgard pozostaje w rękach sir Olivera de Vannes, angielskiego hrabiego urodzonego we Francji, który niedawno przejął również twierdzę La Roque i obecnie umacnia jej mury obronne. Sir Oliver to nieprzyjemny typek, słynący porywczosći. Miejscowi nazywają go Rzeźnikiem z Crecy, gdyż okrył złą sławą podczas bitwy pod tym miastem.

— Sir Oliver włada obydwoma zamkami? — spytał Marek.

— Chwilowo tak. Ale nadciąga już gromada zdeprawowanych rycerzy pod wodzą byłego mnicha, Arnauta de Cervole. . .

— Czyli Arcykapłana — wtrącił Marek.

— Zgadza się. Arcykapłan łupi wszystkie miasta na swej drodze i bez wątpienia chciał zdobyć zamki sir Olivera. Jego wataha jest o kilka dni i od Dordogne, walki mogą wybuchnąć w każdej chwili. Będziemy się musieli pospieszyć.

Rozłożyła drugą mapę w większej skali, przedstawiającą klasztor i okolice. Zjawimy się gdzieś tu, na skraju lasu Forêt de Sainte-Mčre. Będziemy mieć doskonały widok na cały klasztor. Profesor zostawił wiadomość w klasztorze, dlatego właśnie tam rozpoczniemy poszukiwania. Jak wiecie, zakonnicy jedli główny posiłek o dziesiątej rano, więc o tej porze profesor powinien tam być. Przy odrobinie szczęścia szybko go znajdziemy i sprowadzimy z powrotem.

— Skąd to wszystko wiecie? — zapytał Marek. — Podobno nikt wcześniej nie wychodził do świata zewnętrznego.

— To prawda. Obserwatorzy pozostawali w pobliżu maszyny, zebrali jednak wystarczająco dużo informacji, zwłaszcza o tym szczególnym okresie. Jeszcze jakieś pytania?

Znowu wszyscy zaprzeczyli ruchem głowy.

— W porządku. Najważniejsze, byśmy odnaleźli profesora, dopóki jeszcze będzie w klasztorze. Jeśli wyjedzie do Castelgard czy La Roque, bardzo utrudni nam zadanie. A chciałabym się trzymać ustaleń i nie pozostawać tam dłużej niż dwie do trzech godzin. Przez cały czas będziemy się trzymać razem. Gdyby ktokolwiek został oddzielony od grupy, musi nawiązać kontakt radiowy. Jak tylko odnajdziemy profesora, natychmiast wracamy. Jasne?

— Tak.

— Będziecie mieli dwuosobową eskortę, oprócz mnie wyruszy Victor Baretto. — Wskazała mężczyzną siedzącego przy drzwiach. — Przywitaj się, Vic.

Baretto był niewysoki, lecz barczysty i mocno umięśniony. Miał na sobie strój wieśniaka, źle dopasowany, z grubego samodziałowego płótna. Sztywno skinął głową i uniósł rękę na powitanie. Najwyraźniej był w kiepskim nastroju.

— Wszystko jasne? — ciągnęła Gomez. — Jeszcze jakieś pytania?

- Profesor Johnston jest tam od trzech dni? — odezwał się Chris.
- Tak.
- Za kogo się podaje?
- Tego nie wiemy. W ogóle nie wiadomo, dlaczego oddalił się od maszyny. Musiał mieć jakiś ważny powód. Ale skoro nawiązał już kontakt z mieszkańcami tamtego świata, byłoby najlepiej, gdyby udawał uczonego z Londynu albo pielgrzyma zmierzającego do hiszpańskiego Santiago de Compostella. Sainte-Mère leżało na drodze pielgrzymek. Pielgrzymi zatrzymywali się tam na kilka dni czy nawet tydzień, zwłaszcza jeśli zdobyli zaufanie słynnego na całą Francję przeora. Prawdopodobnie profesorowi się to udało, niczego jednak nie możemy być pewni.
- Czy jego obecność w klasztorze nie będzie miała wpływu na historię? Nie odmieni w jakiś sposób bieg wydarzeń? — spytał Hughes.
- Nie.
- Jesteście pewni?
- Tak, to niemożliwe.
- A co z paradoksami czasowymi?
- Paradoksami?
- No właśnie — wtrącił Stern. — Typowym paradoksem jest wyprawa w przeszłość i zabicie własnego dziadka, przez co uniemożliwi się swoje przyjscie na świat, a w rezultacie późniejszą wyprawę w przeszłość i zabicie własnego dziadka. . .
- Ach, to. Gomez z uśmiechem pokręciła głową. — Paradoksy czasowe nie istnieją.
- Oczywiście, że istnieją — upierał się David.
- Nie, nie istnieją — powtórzył za ich plecami jakiś głęboki, basowy głos. Wszyscy się obejrżeli. W drzwiach stał Doniger.
- Paradoksy czasowe nie mogą się wydarzyć — powiedział.

* * *

- Dlaczego? — zapytał Stern. Wciąż nie mógł się uwolnić od przecucia, że są zbywani ogólnikami.
- Tak zwane paradoksy czasowe w rzeczywistości nie dotyczą czasu — odparł Doniger. — Należą do utartych błędnych schematów historii. Fascynują przez to, że dopuszczają możliwość znacznego wpływu jednostki na bieg wydarzeń. A jednak są błędne, bo to niemożliwe.
- Nie mamy żadnego wpływu na bieg wydarzeń?
- Nie.

— Bzdura. Oczywiście, że mamy.

— Nieprawda. Najłatwiej rozpatrzeć to na konkretnym przykładzie. Załóżmy, że idziesz na mecz baseballowy między drużynami Jankesów i Metysów, wiadomo, że Jankesi wygra, ale tobie zależy na tym, aby zwyciężyli Metysi. Co możesz zrobić? Jesteś tylko jednym z wielu tysięcy kibiców na trybunach. Jeśli spróbujesz wejść na boisko, zatrzymają cię służby porządkowe. Gdy tylko przeskoczysz ogrodzenie, policjanci zawloką cię do wozu patrolowego. Większość dostępnych ci środków nie przyniesie żadnego skutku, a już na pewno nie wpłynie na przebieg meczu. Powiedzmy, że zdecydujesz się na bardziej ekstremalny wyczyn i postanowisz zastrzelić miotacza Jankesów. Kiedy tylko wyciągniesz broń, prawdopodobnie natychmiast pozostaniesz obozwładniony przez najbliższych kibiców. Jeśli zaś uda ci się oddać strzał, zapewne chybisz. A gdybyś nawet zdołał zabić miotacza, co byś przez to osiągnął? Jego miejsce zająłby rezerwowy, a Jankesi i tak by wygrali mecz. Załóżmy, że postanowisz działać jeszcze bardziej ekstremalnie i zabić wszystkich na stadionie gazem paraliżującym. Z tych samych powodów, które już wymieniłem, masz niewielkie szanse powodzenia. Gdyby jednak udało ci się wypuścić gaz, także nie zmieniłbyś wyniku spotkania. Możemy dyskutować, czy twój czyn miałby jakikolwiek wpływ na bieg historii, ale na pewno nie przyczyniłby się w żaden sposób do zwycięstwa słabszej drużyny. Jeśli się dobrze zastanowić, nie można uczynić niczego, co by pozwoliło Metysom wygrać. W każdej sytuacji będzie się tylko jednym z tysięcy widzów na stadionie. Podobne ograniczenia dotyczą większości historycznych zdarzeń. Samotny człowiek niewiele może zdziałać. Duża grupa ludzi mogłaby w jakiś sposób odmienić przeszłość, ale jednostka ma na to bardzo niewielkie szanse.

— Niewykluczone, wrócimy jednak do zabójstwa własnego dziadka — odparł Stern. — Gdyby zginął przed moim przyjściem na świat, w ogóle bym nie istniał, a tym samym nie mógłbym go zabić. To jest właśnie paradoks.

— Owszem, pod warunkiem, że faktycznie zdołałbyś zabić własnego dziadka. W praktyce nie byłoby to wcale łatwe. Mógłbyś go nie spotkać we właściwym miejscu i czasie, zginąć po drodze pod kołami autobusu, zakochać się bez pamięci czy zostać aresztowany przez policję. Mógłbyś go zabić zbyt późno, już po przyjściu na świat twoich rodziców, albo też stwierdzić, że nie jesteś w stanie pociągnąć za spust, kiedy już stanąłeś z dziadkiem twarzą w twarz.

— Ale teoretycznie...

— W konfrontacji z realną historią teorie są bezwartościowe — uciął Doniger, lekceważąco machnąwszy ręką. — Mają znaczenie tylko wtedy, gdy pomagają przewidzieć przyszłość. Rzeczywista historia jest zapisem działań ludzkości, a tych nie zdoła przewidzieć żadna teoria. — Energicznie zatarł ręce. — Czy możemy już zakończyć te spekulacje i ruszać w drogę?

Odpowiedziały mu niepewne pomruki. Stern odchrząknął.

— Jeśli mam być szczery, nie chcę tam wyruszać.

* * *

Marek obawiał się tego. Uważnie obserwował Sterna i zauważył jego narastającą nerwowość. David wiercił się na krześle, jakby siedział na szpilkach.

On sam nie miał żadnych zastrzeżeń do wyprawy. Od lat pasjonował się średniowieczem, w wyobraźni bywał na zamkach w Wartburgu i Carcassonne, odwiedzał Awinion i Mediolan; u boku Walińczyków walczył z wojskami Edwarda I, był świadkiem kapitulacji mieszczan z Calais i uczestniczył w osławionych targach szampańskich; miał okazję podziwiać przepych na dworach Eleonory Akwitańskiej i księcia du Berry'ego. Nic nie mogło go powstrzymać od wzięcia udziału w wyprawie. A co do Sterna. . .

— Przepraszam — bąknął David — ale średniowiecze nie jest moją specjalnością. Dołączyłem do zespołu profesora Johnstona tylko dlatego, że moja dziewczyna odbywa letnią praktykę w Tuluzie. Nie jestem historykiem, mam wykształcenie ścisłe. Poza tym uważam, że taka wyprawa nie jest bezpieczna.

— Nie masz zaufania do naszych maszyn? — spytał Doniger.

— Nie, do celu wyprawy, do roku tysiąc trzysta pięćdziesiątego siódmego. Po bitwie pod Poitiers całą Francję ogarnęła wojna domowa, grupy rycerzy łupiły miasta i wioski. Roilo się od bandytów i rzeźmieszków, panowało bezprawie.

Marek pokiwał głową. Stern przynajmniej rozumiał ówczesną sytuację. W czternastym wieku zanikał wcześniejszy ład, rzeczywiście było niebezpiecznie. Ludzkim życiem rządziły kanony religijne, każdy co najmniej raz dziennie musiał uczestniczyć we mszy świętej. Równocześnie dominowała przemoc, armie harcówników mordowały wszystkich na swojej drodze, kobiety i dzieci katowano dla zabawy, nawet kobiety ciężarne rozcinano dla rozrywki. To był świat, w którym do cnót rycerskich obok ustawicznych modlitw zaliczano grabieże i morderstwa. Kobiety, powszechnie uważane za istoty słabe i delikatne, zdobywały ogromne majątki, rządziły w zamkach, według woli wybierały sobie kochanków, snuły intrygi i wszczynały rebelie. W tym świecie granice i przymierza zmieniały się z dnia na dzień. A wszędzie królowała śmierć, zbierające wrogie żniwo plagi i epidemie, nieustanne wojny.

— Nie będziemy cię do niczego zmuszali — powiedział Gordon do Sterna.

— Weź pod uwagę, że nie byłbyś sam — wtrącił Doniger. — Pozostawałbyś pod ochroną eskorty.

— Przykro mi — powtórzył David. — Nie dam rady.

— Niech zostanie — odezwał się Marek. — Ma rację. Średniowiecze nie jest jego okresem, a zaginięcie profesora to nie jego sprawa.

— Skoro już o tym wspomniałeś — podjął Chris — muszę wyznać, że to także nie mój okres. Zdecydowanie więcej wiem o wieku trzynastym. Może więc

powinieniem zostać z Davidem. . .

— Nie ma mowy. — Marek objął Hughesa ramieniem. — Wszystko będzie dobrze.

Starał się obrócić to w żart, choć doskonale wiedział, że obawy Chrisa są uzasadnione. Zresztą i on nie był w nastroju do żartów.

W sali było zimno. Lodowata mgła nad podłogą spowijała im stopy. Idąc w stronę maszyn, rozgarniali ją nogami jak pianę. Cztery klatki zostały ustawione jedna przy drugiej, piąta stała trochę na uboczu.

— To moja — rzucił Baretto, skręcając w jej kierunku. Wszedł do środka i stanął sztywno wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

Susan Gomez wskoczyła do pierwszej maszyny z brzegu i powiedziała:

— Wyruszycie razem ze mną.

Marek, Kate i Chris zajęli miejsca w sąsiednich klatkach. Wydawało się, że maszyny stoją na sprężystym podłożu. Podłogi kołysały się lekko przy każdym poruszeniu.

— Wszyscy gotowi?

Pokiwali głowami, rozległy się niewyraźne pomruki.

— Panie mają pierwszeństwo — rzekł Baretto.

— Pewnie — burknęła Gomez. Nie ulegało wątpliwości, że niezbyt się lubią.

— W porządku. Ruszamy.

Chrisowi serce zaczęło mocniej bić. W głowie miał pustkę, ogarniała go panika. Mimowolnie zacisnął pięści.

— Spokojnie — powiedziała Susan. — Myślę, że wam się to spodoba. — Wsunęła ceramiczną kostkę w szczelinę u podstawy maszyny i wyprostowała się szybko. — Zaczynamy. Pamiętajcie, żeby stać bez ruchu, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

Maszyny zaczęły szumieć. Chris wyczuł pod stopami delikatne wibracje. Szum przybierał na sile. Wokół podstaw klatek zakłębiła się mgła. Maszyny cicho skrzypiały, jakby metalowa konstrukcja była poddawana dużym naprężeniom. Skrzypienie stawało się głośniejsze, w końcu przypominało przeciągły, stłumiony jęk.

— To od ciekłego helu — wyjaśniła Gomez. — Trwa schładzanie metalowych części do temperatury nadprzewodzenia.

Nagle zgrzyt umilkł, zastąpił go głuchy terkot.

— Kontrola w podczerwieni. Już to słyszeliście.

Chris poczuł bezwiedne drgania mięśni całego ciała. Próbował nad tym zapanować, lecz kolana się pod nim uginały. Miał ochotę wyskoczyć z maszyny, lecz w tej samej chwili z głośników popłynęła nagrana zapowiedź:

— Proszę się nie ruszać. Stać z otwartymi oczami. . .

Za późno! — przemknęło mu przez myśl. Za późno!

— ...Zaczerpnąć głęboko powietrza i wstrzymać oddech... Teraz!

Spod sufitu opadł gruby metalowy pierścień, głucho stuknął o podłogę.

Chwilę później nastąpił oślepiający rozbłysk światła, blask otoczył Chrisa ze wszystkich stron. Niczego jednak nie poczuł. Spozrzegł ze zdumieniem, że wrócił mu spokój, jakby po raz drugi oglądał tę scenę z zewnątrz.

Otaczała go głucha cisza.

Stojąca nieopodal maszyna Baretto nagle stała się większa, a i Victor urósł do rozmiarów giganta. Pory w jego skórze przypominały głębokie jamy. Pochylał głowę, spoglądał na nich z góry.

Nastąpiły dalsze rozbłyski.

Jednocześnie rosnąca klatka zaczęła się błyskawicznie oddalać. Chris patrzył ze zdumieniem na czarny bezkres wykładziny zakrywającej dno pieczary.

Ponownie zajaśniały lasery.

Na wykładzinie pojawił się deseń koncentrycznych okręgów. Wypiętrzyły się szybko jak czarne, otaczające go skały. Po chwili urosły do takich rozmiarów, że przypominały szereg drapaczy chmur przesłaniających światło. Wkrótce zwały się nad jego głową i otoczyła go ciemność.

Znów błysnęło.

Jeszcze przez chwilę zapadał się w nieprzeniknioną, atramentową czerń. Potem pojawiły się iskielki drobnych rozbłysków. Układały się w regularny, geometryczny wzór, ciągnący się we wszystkich kierunkach w nieskończoność. Miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu gigantycznego, roziskrzonego kryształu. Patrzył jak urzeczony na powiększające się i jaśniejące skry o coraz silniej rozmytych brzegach, które ostatecznie przybrały postać połyskujących mętnie kul. Przyszło mu do głowy, że to pojedyncze atomy.

Nie mógł już ogarnąć wzrokiem symetrycznej struktury, widział tylko powiększające się kule, które jak gdyby pulsowały, stawały się rozedrganymi skupiskami migoczącego światła.

Nagle wpadł do wnętrza najbliższej kuli. Otoczyła go świetlista mgła. Jej blask stopniowo przygasał, aż w końcu zupełnie zniknął. Chris znalazł się w ciemności. Otaczała go nieprzenikniona czerń.

Dopiero po chwili zauważył, że proces zmniejszania trwa nadal. Spadał ku powierzchni czarnego morza zatopionego w gęstym mroku nocy. Bezkresny ocean burzył się i kipiał, na grzbietach fal dryfowała gęsta, błękitnawa piana. Rosła szybko, w miarę jak zbliżali się do powierzchni. Chris zwrócił uwagę na jeden z powiększających się bąbli, biła od niego jaśniejsza niebieskawa poświata.

Maszyna skierowała się w tamtą stronę. Spadała wciąż szybciej i szybciej. Naszły go obawy, że rozbije się na powierzchni piany. Po chwili jednak przy wtórze głośniego pisku wpadła do środka bąbla.

Nastąpiła cisza.

Znów otoczyła go ciemność.
I pustka.

W sali kontrolnej David Stern patrzył, jak skupiska iskier tuż nad podłogą przygasają, a potem nikną. Po czterech maszynach nie został nawet ślad. Technicy przełączyli komputery na klatkę Baretto i rozpoczęli odliczanie przedstartowe. Stern jednak wciąż gapił się w ten punkt, gdzie zniknęły klatki trzech osób z jego zespołu.

— Gdzie oni teraz są? — zapytał Gordona.

— Już na miejscu. W tamtym świecie.

— Zostali odtworzeni?

— Tak.

— Bez udziału telefaksu podłączonego na drugim końcu linii?

— Zgadza się.

— Chcę poznać prawdę — wycedził Stern. — Proszę przybliżyć mi te szczegóły, którymi nie chciał pan zanudzać pozostałych.

— Dobrze — odparł Gordon. — To nic strasznego, ale inni mogliby, że tak powiem, poczuć się nieswojo.

— Czyżby?

— Wróćmy do problemu interferencji światła. Jak pamiętasz, obecność prążków interferencyjnych uznano za dowód, że inne wszechświaty oddziałują na nasz. W rzeczywistości nie musimy nic robić, aby uzyskać zjawisko interferencji. Zachodzi ona samoistnie.

— Jasne.

— W dodatku jest to oddziaływanie stałe, występuje zawsze, ilekroć odpowiednio ustawimy szczeliny.

Stern przytaknął ruchem głowy. Próbował się domyślić, do czego Gordon zmierza, ale na razie nie umiał wychwycić powiązania między różnymi zjawiskami.

— A więc w pewnych sytuacjach możemy być pewni oddziaływania innych wszechświatów na nasz. Jeśli tylko ustawimy szczeliny, tamte wszechświaty stworzą obraz prążków interferencyjnych, które będziemy mogli obserwować.

— Rozumiem.

— Tak samo w wypadku transmisji przejściem kanalikowym mamy pewność, że wysłany człowiek zostanie odtworzony na drugim końcu.

Zapadło milczenie. David zmarszczył brwi.

— Zaraz, zaraz — mruknął. — Mam rozumieć, że podczas transmisji człowiek jest odtwarzany przez inne wszechświaty?

— Można tak powiedzieć. To znaczy... chyba tak się dzieje. W każdym razie my nie możemy go odtworzyć, gdyż nas tam nie ma. Zostajemy w naszym

wszechświecie.

— A więc to nie my...

— Nie.

— Bo nie wiemy, jak tego dokonać.

— Bo nie jest to konieczne — poprawił Gordon. — Tak jak nie jest konieczne przyklejanie talerzy do blatu stołu. Pozostają na miejscu, bo działa na nie siła grawitacji. Podczas wyprawy dają o sobie znać inne stałe czynniki, charakterystyczne dla multiświata.

Stern wciąż siedział ze zmarszczonymi brwiami. Nie podobało mu się tu porównanie, było zbyt uproszczone, strywializowane.

— Posłuchaj — ciągnął Gordon. — Cała mechanika kwantowa opiera się na zjawisku wzajemnego przenikania odrębnych wszechświatów. Kiedy komputer kwantowy wykonuje obliczenia, wykorzystując wszystkie trzydzieści dwa stany kwantowe elektronu, teoretycznie przenosi te obliczenia do innego wszechświata. Zgadza się?

— Teoretycznie tak, ale...

— Nie tylko teoretycznie. Taka jest rzeczywistość.

Znów zapadło milczenie.

— Może łatwiej ci będzie zrozumieć — dodał Gordon — jeśli rozpatrzysz to zjawisko z punktu widzenia tego wszechświata, w którym pojawia się obca istota. To przybysz z zewnątrz, z innego świata.

— No i...

— I to wszystko. Pojawia się przybysz z innego wszechświata. Nie z naszego.

— Może pan powtórzyć?

— Ten człowiek nie pochodzi z naszego wszechświata.

— Więc skąd?

— Ze świata, który jest niemal identyczny z naszym. Jediną różnicę stanowi to, że znana jest w nim metoda odtwarzania człowieka na podstawie informacji przesłanych z drugiego końca linii.

— Chyba pan żartuje?

— Nie.

— Czyli Kate, która znajdzie się w średniowieczu, nie będzie tą samą Kate, która stąd wyruszyła? Będzie kobietą z innego wszechświata?

— Owszem.

— Będzie prawie tą samą, ale nie tą samą Kate?

— Nie. To ta sama Kate. O ile możemy stwierdzić na podstawie naszych badań, będzie identyczna. A to dlatego że oba wszechświaty są prawie identyczne.

— A jednak nie będzie to ta sama osoba, która stąd wyruszyła?

— Nie, bo to niemożliwe. Tu została zniszczona, a tam odtworzona.

— Czy podczas całego tego procesu czuje się coś niezwykłego? — zapytał Stern.

— Najwyżej przez dwie sekundy.

Ciemność. I cisza.

A potem niewyraźne światło w oddali.

Zaczęło się zbliżać, szybko, coraz szybciej.

Chrisem wstrząsnął dreszcz, jakby poraził go prąd elektryczny. Mimowolnie zacisnął pięści. Przez ułamek sekundy czuł ciężar własnego ciała, tak jak odczuwa się ciężar włożonego właśnie ubrania. Miał wrażenie przyrastających błyskawicznie od środka tkanek, nabudowywanej masy, zwiększającego się nacisku na podszwy stóp. Poczul nieznośny ból głowy, jak po uderzeniu. Nagle wszystko minęło. Otoczyła go intensywnie czerwona poświata. Skrzywił się i zmrużył oczy.

Stał w blasku słońca. Powietrze było chłodne i wilgotne. W koronach olbrzymich drzew ponad nim ćwierkały ptaki. Słońce przedzierało się przez listowie i padało na ziemię grubymi smugami. Znalazł się w jednej z nich.

Maszyna wylądowała tuż przy wąskiej błotnistej ścieżce wijącej się przez las. Między drzewami otwierał się widok na wioskę.

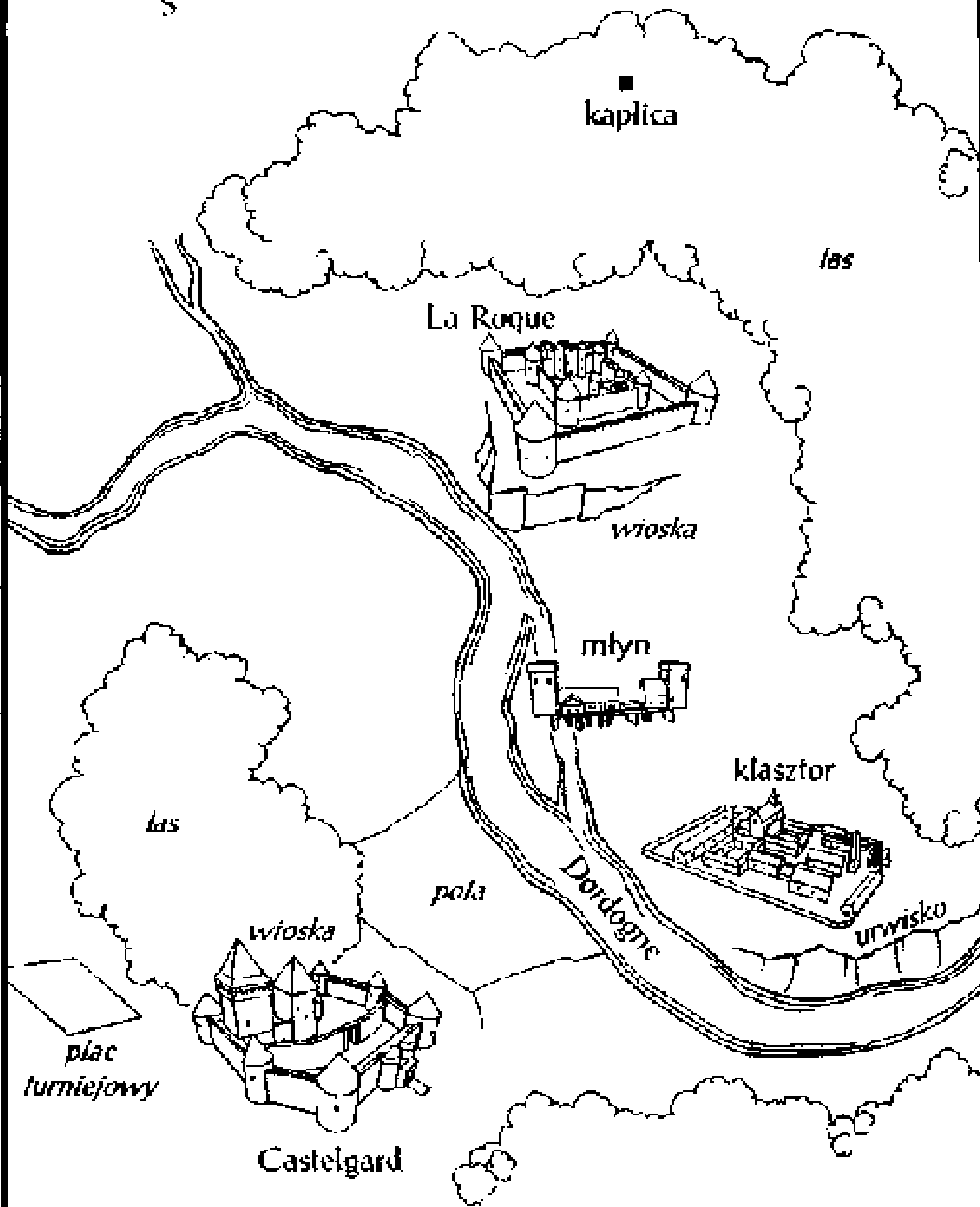
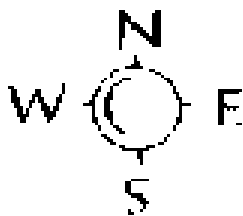
Otaczały ją pola uprawne. Nad słomianymi strzechami chałup unosiły się słupy szarawego dymu. Dalej był wysoki kamienny mur, a za nim kryte czarnymi dachami zabudowania miasta. Jeszcze dalej wznosił się zamek z cylindrycznymi wieżyczkami.

Chris od razu rozpoznał Castelgard.

Był w średniowieczu.

Castelgard

*Nie ma na świecie niczego pewniejszego od śmierci.
Jean Froissart, 1359*



kaplica

las

La Roque

wioska

mbyn

klasztor

las

pola

Dordogne

urwisko

wioska

plac

turniejowy

Castelgard

37.00.00

Suzan Gomez wyskoczyła z maszyny. Marek i Kate wyszli z klatek powoli, najwyraźniej wciąż oszołomieni. Chris także zszedł na ziemię. Stał na grubej warstwie mchu, wyczuwał pod stopami jego sprężystość.

— Niesamowite! — powiedział Marek. Przeskoczył na drugą stronę ścieżki, by mieć lepszy widok na miasto.

Kate z ociąganiem ruszyła za nim. Wyglądało na to, że nadal jest w szoku.

Chris nie zamierzał się oddalać od maszyny. Odwrócił się powoli i popatrzył w głąb lasu, a raczej gęstej, mrocznej, dzikiej puszczy. Drzewa były gigantyczne, niektóre miały tak grube pnie, że mogło się za nimi schować kilku ludzi. Rozłożyste korony tworzyły zwartą powłokę listowia, przez którą z trudem przedzierało się światło słoneczne.

— Pięknie, prawda? — odezwała się Gomez.

— Tak, pięknie — odparł.

Ale dla niego to piękno było obce, puszcza wydawała mu się złowroga. Rozglądał się na wszystkie strony, próbując sobie uzmysłować, co jest nie tak, jak być powinno. Wreszcie mruknął:

— Czemu tu jest tak... dziwnie?

Gomez zachichotała.

— Wsłuchaj się.

Chris skupił się na świergocie ptaków i delikatnym szumie wiatru w koronach drzew, ale poza tym...

— Nic nie słyszę.

— No właśnie. Wiele osób w pierwszej chwili to strasznie denerwuje. Tu nie ma żadnych hałasów w tle, nie grają radia i telewizory, nie latają samoloty, nie ma

samochodów ani innych pracujących maszyn. W dwudziestym wieku tak przywykliśmy do wszechobecnego hałasu, że cisza wydaje się nam nienaturalna.

— Chyba masz rację.

Odwrócił się i popatrzył na skapaną w słońcu ścieżkę. W wielu miejscach błoto miało pół metra głębokości, wszędzie znaczyły je ślady końskich kopyt.

Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił powoli. Nawet ono wydawało się inne, jakby lżejsze, bardziej ożywcze. Najwyraźniej zawierało więcej tlenu.

Nagle jego klatka zniknęła. Obejrzał się, zdjęty strachem, ale Gomez nie była ani trochę zaniepokojona.

— Gdzie się podziała maszyna? — zapytał, siląc się na swobodny ton.

— Usunęła się.

— Usunęła?

— Kiedy maszyny są naładowane, wydają się niestabilne i mają tendencje, do usuwania się z danego strumienia czasu. Dlatego ich nie widzimy.

— Więc gdzie są?

Susan wzruszyła ramionami.

— Nikt tego nie wie. Chyba się przenoszą do innego świata. Tak czy inaczej, nic złego się z nimi nie dzieje. Zawsze wracają.

Demonstracyjnie wyciągnęła przed siebie ceramiczny marker i wcisnęła klawisz. Maszyny powróciły w nagłym rozbłysku światła. Wszystkie cztery klatki znów stały w tych samych miejscach, z których zniknęły jakiś czas temu.

— Pozostaną tu najwyżej dwie minuty, później znów się usuną — powie działa. — Nam to nawet na rękę. Lepiej, żeby nikt obcy ich nie widział.

Chris pokiwał głową. Wyglądało na to, że Gomez wie, co mówi. Ale myśl, że maszyny znikają z tego świata, jeszcze bardziej nasiliła jego niepokój. W końcu stanowiły jedyną drogę powrotu do macierzystej epoki, nie spodobało mu się więc, że mogą w dowolnej chwili zniknąć bez śladu. Czy ktokolwiek zdecydowałby się na podróż samolotem, gdyby pilot oznajmił, że maszyna jest „niestabilna”? Znowu przeszył go dreszcz.

Chcąc opanować strach, przeszedł na drugą stronę ścieżki, uważnie omijając błotniste rozlewiska. Zaczął się przedzierać przez gęste zarośla. Sięgały mu do pasa i miały liście podobne do rododendronu. Obejrzał się na Gomez.

— Grozi nam coś w tym gąszczu? — zapytał.

— Najwyżej żmije. Zwykle kryją się w najniższych gałęziach drzew, spadają na ramiona i kłusają.

— Wspaniale. A są jadowite?

— Bardzo.

— Śmiertelnie?

— Bez obaw, rzadko się je spotyka.

Postanowił o nic więcej nie pytać. Dotarł na skraj zarośli i popatrzył na płynącą trzydzieści metrów niżej rzekę Dordogne. Wiła się leniwie między uprawnymi

poletkami. Niczym się nie różniła od tej samej rzeki, którą widywał w swojej epoce.

Natomiast reszta krajobrazu była nie do poznania. Nie tylko zamek Castलगard, ale i otaczające go miasto stały nienaruszone. Wzdłuż murów ciągnęły się pola, na wielu trwała właśnie orka.

Po prawej stronie dostrzegł kompleks zabudowań klasztornych i, nieco niżej, ufortyfikowany młyn wodny. Mój młyn! — pomyślał. — I most, którego ruiny badam od początku lata. . .

Spostrzegł, że młyn wygląda zupełnie inaczej niż wykonana przez niego komputerowa rekonstrukcja.

Pod mostem obracały się cztery, a nie trzy koła młyńskie. Most zaś nie był jednolitą strukturą. Składał się z kilku odrębnych elementów przypominających niewielkie domostwa. Każde było zbudowane z kamienia o nieco innym odcieniu. Zapewne poszczególne części wzniesiono w różnych okresach. Nad dachem największego budynku unosił się słup ciemnego dymu. Może faktycznie wytapia się tam żelazo? — Mając do dyspozycji energię wodną, łatwo skonstruować wydajną dymarkę. To by wyjaśniało istnienie kilku odrębnych budowli. W młynie, gdzie mielono ziarno, nie można było używać otwartego ognia, nawet świecy. Właśnie z tego powodu młyny pracowały wyłącznie za dnia, od świtu do zmierzchu.

Takie rozważania sprawiły, że szybko się uspokoił.

* * *

Marek nie mógł oderwać wzroku od wioski i widocznego za nią Castलगard.

Był w średniowieczu!

Na polach pracowali wieśniacy w pasiastych portkach i luźnych kaftanach, czerwonych i niebieskich, pomarańczowych i różowych. Żywe kolory ubrań kontrastowały z czarną, wilgotną glebą. Większość pól już obsiano i zabronowano. Był początek kwietnia, więc na pewno kończono już wysiew upraw zwanych po-stnymi, czyli jęczmienia, owsa, grochu i fasoli.

Andre patrzył zafascynowany na dwa woły ciągnące wielki żelazny pług. Z radością spostrzegł umocowaną nad lemieszem szeroką deskę pełniącą funkcję odkładnicy, jakże charakterystyczną dla tej epoki.

Za oraczem szedł drugi wieśniak, który wysiewał ziarno. Czerpał je garścią z przewieszanej przez ramię płachty. Za nim w brzdach siadały ptaki i wydzio-bywały rozsypane nasiona. Nie miały na to zbyt wiele czasu. Na sąsiednim za-gonie pracował już broniarz. Jechał na koniu, który ciągnął dwie żerdzie zbite w kształcie litery T i obciążone dużym kamieniem. Wyrównywały bruzdy, zasy-

pując ziarno ziemią.

Wszyscy trzej pracowali w tym samym, niespiesznym rytmie: siewca brał szeroki zamach ręką, lemiesz odkładał na bok skiby, brona przesuwiała się nad bruzdami. Do lasu nie docierał stamtąd żaden dźwięk, powietrze wypełniało tylko brzęczenie owadów i świergot ptaków.

Marek przeniósł wzrok na sześciometrowy kamienny mur otaczający miasto Castelgard. Na pewnym odcinku trwała jego naprawa. Murarze dopasowywali nowe kamienie, wyraźnie jaśniejsze, żółtawe. Po szczycie muru leniwie przechadzał się strażnik w kolczudze. Od czasu do czasu przystawał i wodził spojrzeniem po linii horyzontu.

Nad miastem górował zamek z krągłymi basztami i czarnymi łupkowymi dachami. Na szczytach wieżyczek łopotały chorągwie. Widniał na nich herb przedstawiający srebrną różę na kasztanowo-szarej tarczy. Całemu ogrodowi nadawały odświętny wygląd. Nic dziwnego, wkrótce miał się odbyć turniej.

Na łące pod murami cieśle wznosili długą trybunę. Zaczynały się gromadzić tłumy gapiów. Przybyło już nawet kilku rycerzy. Przy paru pasiastych namiotach rozstawionych na skraju placu turniejowego stały uwiązane rumaki. Kręcili się tam paziowie i pachołkowie. Szykowali oręż i zbroje, nosili wodę dla koni.

Marek westchnął z zachwytu.

Wszystko w najdrobniejszych szczegółach pasowało do średniowiecza I było aż nadto realne.

* * *

Kate Erickson nie rozumiała zachwytu Marka. Oczywiście była oszołomiona, patrząc na miasto, które jak gdyby nagle powstało z gruzów i odzyskało dawną świetność. Ale poza tym krajobraz niewiele się różnił od zwykłych widoków rolniczego południa Francji. Owszem, był nieco archaiczny, zamiast traktorów w polu pracowały konie i woły, lecz cała reszta. . .

Dla niej najistotniejszą różnicę stanowiły elementy architektoniczne, choćby dachy domów, zwane tutaj lauzes, zrobione z nakładanych na siebie czarnych łupków. Musiały być bardzo ciężkie i wymagały nadzwyczaj solidnych szkieletów dachowych. Obecnie w Perigord spotykało się je wyłącznie w miasteczkach odrestaurowanych na użytek turystów. Zdążyła się już przyzwyczaić do stosowanych powszechnie dachówek, bądź rzymskich, zaokrąglonych, z ochrowej glinki, bądź typowo francuskich, prostokątnych.

Tu jednak wszystkie domy były pokryte lauzes. Nigdzie nie widziała ani jednej dachówki.

Stopniowo zaczęła dostrzegać jeszcze inne różnice. Na przykład wszędzie było mnóstwo koni: jedne pracowały w polu, inne szykowano do turnieju rycerskiego; pasły się w stadach na łące albo ciągnęły drogą wyładowane wozy. Tylko w najbliższej okolicy mogłaby naliczyć ponad sto koni. Nigdy nie widziała ich aż tyle w jednym miejscu, mimo że pochodziła z Kolorado.

Większość ludzi nosiła proste ubrania, szare lub brunatne, niektórzy jednak byli odziani bardzo kolorowo. Nawet z daleka dało się zauważyć, że są to stroje zszywane z kawałków różnobarwnego płótna.

Spoglądając po raz kolejny na Castelgard, Kate odniosła wrażenie, że jest w nim coś bardzo dziwnego. Początkowo nie umiała tego dokładnie sprecyzować. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiła sobie, że budynki nie mają kominów.

Nie było ich nigdzie!

W wiejskich chałupach dym przesączał się przez wąskie szczeliny w słomianych strzechach. W krytych kamiennymi dachami domach miejskich dymy z palenisk wydostawały się przez otwory widoczne także w szczytowych partiach ścian. Nawet w zamku nie dostrzegła ani jednego komina.

Miała przed sobą świat, w którym nie znano jeszcze dymników, a przynajmniej w tej części Francji. Jak można było żyć w domach bez kominów? Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy zaczęto je stosować w budownictwie. Na pewno kominy stawiano powszechnie pod koniec szesnastego wieku, czyli prawie trzysta lat później.

Trzysta lat! — powtórzyła w myślach.

Za jej plecami rozległ się głos Gomez:

— Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery?!

* * *

Kate obejrzała się. Między drzewami po drugiej stronie błotnistej ścieżki stała klatka Baretto.

— To, na co mam ochotę — warknął Victor.

Kaftan miał podwinięty, pod spodem widać było szeroki skórzany pas z kaburą i dwoma granatami ręcznymi. Właśnie sprawdzał pistolet.

— Byłbym cholernie naiwny, gdybym wyszedł do świata zewnętrznego bez broni — dodał.

— Nie pozwolę ci zabrać tego ze sobą.

— No to uważaj, jak będę cię słuchał, siostrzyczko.

— Na pewno będziesz. Wiesz, że to niedozwolone. Gordon nie pozwala zabierać do tego świata współczesnej broni.

- Ale Gordona tu nie ma, prawda?
- Szlag by cię trafił — syknęła Gomez.

Wyciągnęła białą kostkę markera i podetknęła ją Baretto pod nos. Wyglądało na to, że groziła mu natychmiastowym powrotem do ośrodka.

36.50.22

W sali kontrolnej technik odwrócił się od monitora.

- Mamy wyraźny uskok pola.
 - Naprawdę? To doskonale — odparł Gordon.
 - Dlaczego? — zdziwił się Stern.
 - Bo to oznacza, że ktoś wróci w ciągu najbliższych dwóch godzin. Nie wątpię, że chodzi o twoich przyjaciół.
 - Czyżby tak szybko odnaleźli profesora i wyruszyli z powrotem?
 - Wszystko na to wskazuje... — Gordon urwał, wpatrując się uważnie w wykres na ekranie. Przedstawiał lekko pofałdowaną płaszczyznę z unoszącym się pośrodku wąskim, ostrym pikiem. — O tym sygnale mówiłeś?
 - Tak — odrzekł technik.
 - Amplituda jest za wysoka — mruknął Gordon.
 - Owszem. A częstotliwość bardzo szybko rośnie.
 - Czyżby maszyna miała wrócić już teraz?
 - Chyba tak. Można się spodziewać, że zaraz przybędzie.
- Stern spojrział na zegarek. Grupa wyruszyła zaledwie przed kilkoma minutami. Niemożliwe, aby tak szybko odnaleźli profesora.
- I co z tego wynika? — zapytał.
 - Jeszcze nie wiem — mruknął Gordon. W rzeczywistości bardzo mu się nie podobał taki rezultat. — Może napotkali jakieś przeszkody.
 - Na przykład jakie?
 - Może coś zawiodło. Niewykluczone, że u kogoś wystąpił błąd transkrypcyjny.
 - A co to jest? — zaciekawiał się David.
 - Według obliczeń powrót nastąpi za dwie minuty i pięćdziesiąt siedem sekund — zapowiedział technik.
- W okienku na ekranie zmieniały się wyniki pomiarów natężenia pola i częstotliwości impulsów.
- Ilu wraca? — spytał Gordon. — Wszyscy?
 - Nie, tylko jedna osoba.

36.49.19

Chrisa znów ogarnęło zdenerwowanie. Był chłodny poranek, lecz on pocił się obficie, a serce waliło mu jak młot. Głośna kłótnia między Baretto i Gomez nie napawała optymizmem.

Cofnął się do ścieżki, omijając kałuże błota. Marek i Kate stanęli koło niego.

— Dobra! Niech ci będzie, do cholery! — parsknął Baretto. Odpiął pas z bronią i położył go na środku swojej klatki. — Proszę! Zadowolona?!

Gomez powiedziała coś bardzo cicho, niemal szeptem. Chris nie zdołał wychwycić ani jednego słowa.

— Jak chcesz! — warknął ze złością Baretto.

Gomez znów coś powiedziała. Victor z wściekłości zgrzytnął zębami. Atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Hughes odwrócił się do nich plecami. Postanowił spokojnie zaczekać, aż kłótnia dobiegnie końca.

Dopiero teraz zwrócił uwagę, że za lasem ścieżka opada dość stromo ku leżącym niżej obszarom. Dlatego rozciągał się stąd tak wspaniały widok na pola uprawne i leżący za nimi klasztor — kompleks budynków z beżowego piaskowca, otoczony wysokim kamiennym murem. Przypominał niewielkie miasteczko i był zaskakująco blisko, nie dalej niż pięćset metrów.

— Przestańcie się kłócić. Ja idę — rzuciła Kate i ruszyła energicznym krokiem wzdłuż ścieżki.

Marek i Chris spojrzeli na siebie porozumiewawczo i poszli za nią.

— Tylko zostańcie w zasięgu wzroku, do cholery! — huknął za nimi Baretto.

— My chyba też powinniśmy iść — odezwała się Gomez. Zacisnął palce na jej ramieniu.

— Najpierw musimy sobie coś wyjaśnić — syknął. — Trzeba ustalić hierarchię na czas trwania tej ekspedycji.

— Sądziłam, że wszystko jest jasne — odparła.

Baretto pochylił się ku niej i warknął:

— Ale mnie się nie podoba sposób, w jaki... — zniżył głos do szeptu. Znalazłszy się za zakrętem ścieżki, z dala od kłócej się pary, Chris odetchnął z ulgą.

* * *

Kate szła coraz szybciej. Próbowwała się rozluźnić. Kłótnia ochroniarzy wprowadziła niepotrzebne napięcie i tylko nasiliła powszechne zdenerwowanie. Słyszała za sobą kroki Marka i Chrisa. Hughes także musiał być niespokojny, bo Andre łagodnie tłumaczył mu coś półgłosem. Nie chciała tego słuchać. Jeszcze

bardziej przyspieszyła. Ostatecznie była w cudownej, prastarej puszczy, wśród potężnych drzew...

Po minucie oddaliła się na tyle, że nie słyszała już rozmawiających kolegów. Mogła się nacieszyć odrobiną samotności, wiedząc zarazem, że są niedaleko. Otaczający ją gąszcz napawał spokojem. Wsłuchiwała się w świergot ptaków i szelest trawy pod stopami. Wkrótce jednak zaczęły do niej docierać jeszcze inne odgłosy. Zwolniła kroku, czujnie nastawiwszy ucha.

Najpierw usłyszała głośnie i szybkie tupanie. Wydawało jej się, że dobiega ze ścieżki mknącej za krawędzią wzgórza. Później wyłowiła świszczący oddech zziąjanego, biegnącego człowieka.

Jednocześnie rozbrzmiało stłumione, głośniejsze dudnienie, przypominające odległy grzmot. Zza zakrętu wypadł wprost na nią kilkunastoletni chłopak.

Miał na sobie czarne pończochy, jasnozielony pikowany kaftan i czarną czapkę. Był czerwony z wysiłku. Najwyraźniej biegł już od dłuższego czasu.

Szybko opanował zdumienie wywołane jej widokiem i zawołał coś niezrozumiałego.

Z komputerowego implantu przyklejonego w uchu Kate doleciało tłumaczenie:

— Kryj się, pani! Na Boga! Kryj się!

Przed czym? — przemknęło jej przez głowę. Do lasu nikt nie powinien się zapuszczać, więc co mogło jej grozić? Może źle zrozumiała? Może translator coś pomylił? Mijając ją, chłopak zawołał jeszcze raz:

— Kryj się!

I zepchnął ją ze ścieżki. Kate potknęła się o wystający korzeń i poleciała w gęste zarośla. Huknęła w coś głową. Gwiazdy zamigotały jej przed oczyma, żołądek podszedł do gardła. Podniosła się powoli, kiedy nagle zrozumiała, co to za odgłosy.

Tętent kopyt!

Jacyś jeźdźcy pędzili galopem w jej stronę.

* * *

Chris niemal równocześnie zauważył gnającego na oślepie wyrostka i usłyszał tętent koni ścigających go ludzi. Zdyszany chłopak przystanął na chwilę, zgiął się wpół, a złapawszy oddech, wyrzucił z siebie:

— Kryć się! Kryć się!

I pognał dalej w las.

Marek, jakby niczego nie słyszał, spoglądał w kierunku wylotu błotnistej ścieżki.

Chris zmarszczył brwi.

— O co tu chodzi?...

— Jazda! — huknął Andre.

Szarpnął go za rękę i pociągnął za sobą w stronę pobliskich krzaków. Zaskoczony Hughes zarył twarzą w stercie wilgotnych, przegniłych liści.

— Jezus, Maria! — jęknął. — Czy mógłbyś?...

— Cicho! — Marek zakrył mu usta dłonią i szepnął: — Chcesz, żeby nas zabili?

Chris jakby nagle oprzytomniał. Jasne, że nie chciał niczyjej śmierci.

U wylotu ścieżki pojawiło się sześciu jeźdźców w zbrojach, żelaznych hełmach, kolczugach i kasztanowo-szarych płaszczach. Konie były przystrojone czarnymi czaprakami ze srebrnym obszyciem. Wyglądali imponująco.

Jadący przodem rycerz w hełmie ozdobionym czarnymi piórami wyciągnął przed siebie miecz i wrzasnął:

— Bij!

Zwabiona hałasami Gomez wyskoczyła zza krzaków i stanęła przy ścieżce jak wryta. Jeźdźcy pędzili prosto na nią. Czarny rycerz tylko wychylił się lekko z siodła i mijając ją, zamaszystym ruchem machnął mieczem.

Chris patrzył rozszerzonymi oczyma, jak zalany strumieniami krwi bezgłowy korpus wali się na ziemię. Baretto, z twarzą zabryzganą krwią, rzucił nie w głąb lasu. Pozostali rycerze podjęli okrzyk swego pana: Bij! Bij!

Ostatni odwrócił się w siodle i błyskawicznie podniósł łuk.

Strzała trafiła Baretto w lewe ramię i przebiła je na wylot. Żelazny grot wyszedł z przodu. Impet był tak duży, że zwałił człowieka na kolana. Klnąc głośno, ochroniarz poderwał się z ziemi i wskoczył do swojej maszyny.

Sięgnął po pas, szarpnięciem odczepił jeden z granatów i odwrócił się, by nim cisnąć. Ale w tym samym momencie druga strzała wbiła mu się w sam środek piersi. Poleciał do tyłu, uderzył plecami o wspornik i osunął się na podłogę. Zaciśnął palce na drzewcu, jakby chciał je wyciągnąć, kiedy trzecia strzała przeszła mu krtań. Granat wysunął się z jego bezwładnej dłoni.

Jeźdźcy ściągnęli wodze, spłoszone rumaki parskwały i rzucały zadami. Rycerze zbili się w gromadkę, pokrzykując głośno.

Oślepiająco rozbłyły lasery.

Chris wpatrywał się w nieruchomą sylwetkę Baretto, który w kolejnych rozbłyskach kurczył się szybko razem z klatką.

Chwilę później po maszynie nie było śladu. Na twarzach jeźdźców odmalowało się przerażenie. Rycerz w hełmie z czarnymi piórami wrzasnął coś gardłowo i machnął ręką w głąb lasu. Pozostali spięli konie i ruszyli w stronę szczytu wzgórza. Szybko zniknęli między drzewami.

Przywódcą zawrócił rumaka. Koń trafił kopytami na ciało Gomez i się spłoszył. Rozwścieczony jeździec szarpał wodzami i kopał boki konia, aż zwierzę zaczęło tratować zwłoki. Krew tryskała w powietrze, przednie nogi rumaka zrobiły się czerwone. Dopiero po jakimś czasie rycerz się opanował, zaklął głośno, powściągnął konia i ruszył galopem za pozostałymi.

— Jezu!... — jęknął Chris. Oszołomiony bezmyślnym okrucieństwem poderwał się z ziemi i wyskoczył na ścieżkę.

Ciało Gomez leżało w wielkiej krwistej kałuży błocka, stratowane prawie nie do poznania. Prawa dłoń była otwarta. Obok na ziemi leżał biały ceramiczny marker.

Został rozłupany, widać było odsłonięte obwody elektroniczne.

Hughes podniósł go. Kostka natychmiast rozsypała mu się w palcach, srebrzyste okruchy poleciały w błoto. Nagle uświadomił sobie całą grozę ich sytuacji.

Nie mieli już eskorty.

Ostatnia maszyna zniknęła.

A marker przywołujący pozostałe był zniszczony.

Utknęli tu na dobre. Znaleźli się w pułapce, bez wsparcia i pomocy.

I bez możliwości powrotu.

36.30.42

— Uwaga! — zapowiedział technik. — Zaraz się pojawi. Na czarnej wykładzinie wewnątrz okręgu tworzonego przez wodne osłony zajaśniały pierwsze iskry rozbłysków. Gordon popatrzył na Sterna.

— Już za chwilę będziemy wiedzieli, co tam się stało.

Rozbłyski przybierały na sile, maszyna pojawiła się na elastycznym podłożu. Miała około pół metra wysokości, kiedy Gordon syknął:

— Do diabła! Ten facet zawsze sprawia kłopoty.

Stern mruknął coś pod nosem, lecz Gordon nie zwracał na niego uwagi. Wpastrywał się w Baretto siedzącego na podłodze i opartego plecami o wspornik. Ochroniarz był martwy. Kiedy klatka odzyskała pierwotną wielkość, dostrzegł pistolet w ręku zabitego. Ogarnęła go wściekłość. Mimo wyraźnych przestróg ze strony Kramer ten sukinsyn jakimś cudem przemycił ze sobą broń palną. Z pewnością Gomez odesłała go z powrotem i...

Jakiś kulisty czarny przedmiot wytoczył się z bezwładnych palców Baretto.

— Co to może być? — zapytał Stern.

— Nie mam pojęcia — warknął Gordon, wbijając wzrok w ekrany. — Wygląda jak gra...

Eksplozja wstrząsnęła salą tranzytową. Ekrany przygasły, rozlała się na nich szarawa kasza zakłóceń. Do pokoju sterowania doleciał tylko stłumiony huk, przypominający głośny trzask elektrostatyki na łączach radiowych. Kiedy znów pojawił się obraz, pieczarę wypełniał biały dym.

— Jasna cholera! — ryknął Gordon, waląc pięścią w brzeg pulpitu. Technicy krzyczeli. Jeden z nich miał zakrwawioną twarz. Chwilę później ścięła go z nóg potężna fala wody, która wypłynęła z roztrzaskanych odłamkami osłon. Wysoka na pół metra przewaliła się przez dno pieczary jak gwałtowny przyptyw. Szybko ściekła do studzienki, ale odsłonięta połać czarnej wykładziny zaczęła głośno syczeć i parować.

— To ogniwa! — krzyknął Gordon. — Wyciek kwasu fluorowodorowego!

W kłębach gęstniejących białych oparów pojawili się ludzie w maskach gazowych. Udzielali pomocy rannym technikom. Runął jeden z masywnych wysięgników wznoszących się nad kłatkami i roztrzaskał następną osłonę wodną. Chwilę później z hukiem zwałił się sąsiedni dźwig.

W sali kontrolnej ktoś podał im dwie maski. Gordon przekazał jedną Sternowi, drugą błyskawicznie wciągnął na głowę.

— Musimy się stąd wynosić — powiedział. — Powietrze zostało skażone.

David wciąż gapił się na ekrany. Nie słyszał kolejnych wybuchów, ale widział przez kłęby dymu, jak przewracają się pozostałe klatki, w górę strzelają strumienie pary i jakiegoś zielonkawego gazu. Jeszcze tylko jedna stała nietknięta trochę z boku. Nagle spadł na nią zerwany gruby pęk kabli i zwałił na dno pieczary.

— To koniec, nie zachowała się żadna maszyna — rzekł. — Czy to oznacza?...

— Tak — rzucił w pośpiechu Gordon. — Obawiam się, że przynajmniej przez jakiś czas twoi przyjaciele będą zdani wyłącznie na siebie.

36.30.00

— Nie przejmuj się, Chris — powiedział Marek.

— Mam się nie przejmować? Nie przejmować?! — Hughes mówił coraz głośniejszym głosem, prawie krzyczał. — Na miłość boską, sam popatrz! Marker zniszczony! Nie mamy markera, rozumiesz?! A to oznacza, że nie będziemy mogli wrócić. Wpieprzyliśmy się tu na dobre, Andre. A ty mi mówisz, żebym się nie przejmował?!

— Owszem — wycedził Marek nadzwyczaj spokojnie. — Właśnie na tym mi zależy. Postaraj się zachować spokój. Zbierz się do kupy i pomyśl logicznie.

— Niby po co, do cholery?! O czym mam myśleć?! Bądź realistą, Andre. Wszyscy tu zginiemy. Doskonale o tym wiesz, prawda? Kurwa! Na pewno Zginiemy! Nie ma innego wyjścia!

— Nieprawda. Jest.

— Nie mamy nawet niczego do żarcia! Kurwa! Nie mamy niczego! Jesteśmy uwięzieni w tym... pieprzonym zadupiu! Kurwa! Jak w łodzi bez wiosł! A ty... — urwał nagle i odwrócił się gwałtownie. — Co powiedziałaś?

— Że jest stąd inne wyjście.

— Jakie?

— Zastanów się. Ostatnia maszyna wróciła do Nowego Meksyku.
— I co?
— Przekonają się, że...
— Wrócił nią trup! Zobaczą trupa, Andre!
— Na pewno się domyśla, że zaszło tu coś złego. I na pewno przyślą kogoś po nas. Uruchomią pozostałe maszyny.
— Skąd wiesz?
— Na pewno to zrobią. — Marek zawrócił i ruszył ścieżką w dół.
— Dokąd idziesz?
— Poszukać Kate. Musimy się trzymać razem.
— Nie zamierzam się stąd oddalać nawet na krok.
— Jak chcesz. Tylko na pewno nie odchodź.
— Spokojna głowa. Żadna siła mnie stąd nie ruszy. — Wskazał gęstą trawę przed sobą i dodał: — Dokładnie tutaj pojawiła się ostatnia maszyna i tu będę czekał na jej powrót.

Marek przyspieszył kroku i po chwili zniknął za zakrętem. Chris został sam. Przyszło mu do głowy, aby pobiec za przyjacielem. Może faktycznie nie powinni się teraz rozdzielać? Trzymać się razem, jak powiedział Andre.

Zrobił kilka kroków, ale zaraz stanął. Nie, przekonywał się w myślach, obiecałem, że się stąd nie ruszę. Popatrzył tylko wzdłuż ścieżki, próbując uspokoić oszalałe bicie serca.

Dopiero po chwili zauważył, że przydepnął dłoń Gomez. Odskoczył jak oparzony i cofnął się parę metrów, wypatrując miejsca, z którego nie byłoby widać stratowanych zwłok. Mimo wszystko się uspokajał, powracała mu zdolność logicznego myślenia. Doszedł do wniosku, że Marek miał rację. Z ITC muszą przysłać następną maszynę, i to niedługo. Czy zjawi się w tym samym miejscu? Nie byłoby dobrze, gdyby przybyła gdzie indziej.

Tak czy inaczej, pomyślał, najlepiej zostać w pobliżu.

Znowu wyjrzał na ścieżkę, ale Marek nie wracał. Gdzie się podziała Kate? Pewnie odbiegła kilkadziesiąt metrów w dół, może nawet dalej.

Jezu, jak bardzo chciałby już wrócić do domu.

W gąszczu gdzieś po prawej trzasnęła sucha gałązka.

Ktoś się zbliżał.

Wyteżył słuch. Żałował, że nie zabrał żadnej broni. Nagle przypomniał sobie o pakiecie, który miał za pazuchą przymocowany do paska. Znajdował się w nim gaz obezwładniający. Lepsze to niż nic, pomyślał, gorączkowo podwijając poły dubletu.

— Psss!

Odwrócił się gwałtownie.

Zza krzaków wyglądał chłopak, który uciekał przed pościgiem. Twarz miał gładką, bez śladu zarostu. Mógł mieć najwyżej dwanaście lat. Szepnął coś do

niego.

Hughes zmarszczył brwi, nie zrozumiał ani słowa. Usłyszał jednak piskliwy głosik:

— Hej, ty! Irlandczyk!

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że głos pochodzi z komputerowego translatora.

— Co? — mruknął.

Chłopak rzucił dwa krótkie słowa, które w uchu Chrisa zabrzmiały znajomo:

— Chodź szybko.

Wyrostek energicznie dawał mu ręką znaki.

— Ale...

— Chodź. Sir Guy rychło pojmie, że zgubił trop. Zawróci, aby go odszukać.

— Ale...

— Nie stój tu. Zabiją cię. Chodź.

— Ale... — Chris bezradnie machnął rękaw stroną ścieżki, na której zniknął Marek.

— Twój sługa cię znajdzie. Chodźże!

Z głębi lasu znów dolatywał tętent. Był coraz głośniejszy.

— Głuchyś? — syknął chłopak. — No chodź!

Tętent przybierał na sile.

Hughes stał jak wmurowany. Nie wiedział, co robić.

Wyrostek stracił cierpliwość. Skrzywił się z obrzydzeniem, pokręcił głową i zniknął w krzakach, jakby zapadł się pod ziemię.

Chris został sam przy ścieżce. Rozejrzał się gorączkowo. Marka nigdzie nie było. Zerknął w górę, skąd dolatywał odgłos zbliżających się jeźdźców. Serce łomotało mu jak oszalałe.

Musiał natychmiast podjąć decyzję.

— Idę! — krzyknął za chłopakiem i dał nura w gąszcz.

* * *

Kate siedziała na zwałonym pniu i masowała stłuczoną głowę. Peruka jej się nie przekrzywiła.

— Jesteś ranna? — zapytał Marek, podchodząc bliżej.

— Chyba nie...

— Zaraz zobaczę.

Zdjął jej perukę i obejrzał kilkucentymetrowe rozcięcie, ginące pod warstwą zakrzepłej we włosach krwi. Na szczęście krwawienie ustało. Rana nie wyglądała

groźnie.

— Nic ci nie będzie — powiedział, nakładając jej z powrotem perukę.

— Co się stało? — zapytała.

— Susan i Victor nie żyje, zostaliśmy sami. Chris jest nieźle spanikowany.

— Spanikowany... — Pokiwała głową, jakby się tego spodziewała. — W takim razie chodźmy do niego.

Podniosła się z pnia i ruszyła pod górę. Kiedy dotarli do ścieżki, zapytała:

— Co z markerami?

— Baretto zabrał jeden ze sobą. Koń stratował zwłoki Gomez i jej marker został zniszczony.

— A zapasowy?

— Jaki zapasowy?

— Miała przy sobie dwa.

— Skąd wiesz?

— Sama powiedziała. Nie pamiętasz? Gdy wróciła z wyprawy rekonesansowej, oznajmiła, że wszystko w porządku, i kazała nam się czym prędzej szykować. Wtedy właśnie powiedziała: „Idę wypalić zapasowy marker”. Coś w tym rodzaju. — Marek w zamyśleniu przygryzł wargi, dodała więc: — Takie zabezpieczenie byłoby całkiem logiczne.

— Chris się ucieszy, gdy to usłyszy — odparł.

Minęli kępę krzaków na zakręcie i stanęli zdumieni. Hughes zniknął.

* * *

Gnał przez zarośla, nie zwracając uwagi na kolczaste pędy, które dziurawiły pończochy i raniły nogi. Wreszcie jakieś pięćdziesiąt metrów w przodzie mignęła mu między drzewami sylwetka uciekającego chłopaka. Nawet się nie obejrzał, pędził w głąb lasu, ile sił w nogach. Biegł się w stronę wioski. Chris przyspieszył, starając się nie zgubić wyrostka.

Słyszał za sobą parskanie koni i gniewne głosy jeźdźców. Translator przetłumaczył nawet głośniejszy okrzyk:

— Tam! W lesie!

Posypały się przekleństwa. Na szczęście las był gęsty, Hughes musiał przeskakiwać przez zwalone drzewa, omijać karpy i wykroty, schylać głowę pod ronącymi nisko konarami i okrążyć zbite kępy głogów i jeżyn. Ciekawe, czy konie przedrą się przez ten gąszcz? A może jeźdźcy zaczną ich ścigać pieszo? Poddadzą się? Nie, chyba tak łatwo nie zrezygnują. Na pewno nie zrezygnują.

Ta myśl dodała mu sił. Teren stawał się podmokły. Śmiało wskoczył w sięgające mu do pasa zielsko. Ohydnie cuchnęło. Ledwie złapał równowagę w głębokim do kostek błocku. Uświadomił sobie nagle, że głośno dyszy, a mlaskanie rozmięklej ziemi musi być słychać daleko. Ale odgłosy pogoni ucichły.

Wkrótce znów znalazł się na twardszym gruncie. Mógł biec szybciej. Był już nie dalej niż dziesięć metrów za umykającym wyrostkiem, który wciąż nie zwalniał kroku. Chris starał się utrzymać tempo, lecz nogi mu już miękły.

Nie rezygnował jednak. Zdziwił go cichy trzask w uchu.

— Chris?

Rozpoznał głos Marka.

— Chris, gdzie jesteś?

Jak odpowiedzieć? Gdzie jest mikrofon krótkofalówki? Przypomniał sobie nagle, że mówiono im o przewodzeniu dźwięków przez kości. Wychrypiał więc:

— Ja... uciekam...

— Słyszę. Dokąd uciekasz?

— Za chłopakiem... do wioski...

— Chcecie się tam schronić?

— Nie wiem... Chyba tak...

— Nie wiesz? A gdzie teraz jesteście?

Za Hughesem rozległ się nagle trzask gałęzi. Doleciały go okrzyki jeźdźców i parskanie koni.

A więc pościg trwa! Widocznie zostawili za sobą zbyt wyraźny ślad połamanych krzaków i rozchlapanego błota. Jasna cholera!

Przyspieszył. Uświadomił sobie ze zgrozą, że nigdzie nie widzi chłopaka. Przystanął, żeby złapać oddech. Rozejrzał się gorączkowo. Nigdzie go nie było. Jakby zapadł się pod ziemię. Chris był w lesie sam. A jeźdźcy się zbliżali.

* * *

Marek i Kate stali u wylotu błotnistej ścieżki wiodącej do klasztoru. Nasłuchiwali, ale ich aparaty milczały. Erickson kilka razy stuknęła się palcem po ucho, lecz i to nie pomogło.

— Nic nie słyszę — mruknęła.

— Może jest poza zasięgiem radia — odparł Andre.

— Po co miałby uciekać do wioski? Jeśli się nie przestyszałam, pobiegł za tamtym chłopakiem. Dlaczego?

Marek popatrzył na klasztor. Dzieliło ich od niego najwyżej dziesięć minut drogi.

— Jeśli profesor tam jest, moglibyśmy go odnaleźć i wracać do domu. — Poirytowany kopnął lekko pień drzewa, pod którym stali. — Wydawało się to takie proste.

— Ale tylko się wydawało — odparła Kate.

W słuchawkach zatrzeszczało głośno, aż oboje skrzywili się boleśnie. Znów doleciał ich chrapliwy, przyspieszony oddech Hughesa.

— Chris? Słyszysz mnie? — odezwał się Marek.

— Nie mogę... teraz mówić... — szepnął Hughes. W jego głosie czuło się strach.

* * *

— Nie! Stój! — szepnął chłopak, wyciągając do niego rękę z gałęzi rozłożystego drzewa. Najwyraźniej kręcący się w kółko, przerażony Chris wzbudził w nim litość, skoro zdradził swoją kryjówkę. Wychylił się spomiędzy listowia, gwizdnął cicho i przywołał go ruchem ręki. Chris podbiegł, uchwycił gałąź i zaczął się podciągać, zapierając jednocześnie nogami o chropowatą korę. Zaniepokoiło to młodocianego przewodnika.

— Nie tak! — szepnął z naciskiem. — Dźwignij się jeno na rękach! Głupiś! Patrz na ślady na pniu od swoich ciężem!

Chris zawisł nieruchomo i spuścił głowę. Chłopak miał rację. Na korze pozostały doskonale widoczne ślady błota.

Na krucyfiks! Jesteśmy zgubieni! — Wyrostek poderwał się z gałęzi i lekko zeskoczył na ziemię.

— Co robisz? — syknął Hughes.

Ale chłopak popędził już dalej, lawirując między zaroślami. Chris też zeskoczył na ziemię i pognął za nim.

Wyrostek kluczył od drzewa do drzewa, mamrocząc coś gniewnie pod nosem. Wyglądało na to, że szuka zwieszających się nisko grubych konarów. Żaden mu nie odpowiadał. A odgłosy pogoni wyraźnie się przybliżyły.

Przebiegli tak ze sto metrów, aż znaleźli się na odsłoniętym terenie, porośniętym gęstwiną karłowatych sosen. Było tu znacznie więcej słońca. Nieco dalej las przerzedzał się jeszcze bardziej. Chris zauważył, że są blisko krawędzi nadrzecznego urwiska. Między listowiem widać było miasto na drugim brzegu. Chłopak szybko minął jasno oświetloną polankę i pognął głębiej w las. Od razu znalazł drzewo, o jakie mu chodziło. Niecierpliwymi gestami przywołał Hughesa.

— Właż pierwej! Jeno nie zapieraj się nogami.

Przykucnął, splótł przed sobą dłonie i odchylił się nieco do tyłu. Chris po-

myślał, że chłopak jest za słaby, żeby udźwignąć jego ciężar, lecz młodzik tylko ponaglił go ruchem głowy. Postawił więc stopę na jego dłoniach, dźwignął się w górę i zacisnął palce na konarze. Z pomocą wyrostka podciągnął się wyżej, przerzucił nogę przez gałąź i pospiesznie ułożył się na brzuchu, kurczowo oplótłszy konar ramionami. Spojrzał na swego przewodnika, ale ten syknął:

— Dalej!

Chris ostrożnie podniósł się na kolana i znalazł oparcie dla stopy. Kiedy się wyprostował, bez trudu dosięgnął drugiej gałęzi i zaczął wlaźć wyżej.

Chłopak odbił się sprężystością od ziemi, zawisł na konarze i podciągnął się błyskawicznie. Był drobny, ale silny i zwinny jak kot. Zresztą i Chrisowi szło teraz lepiej, szybko znalazł się dobre sześć metrów nad ziemią. Wprawdzie mięśnie go bolały, a płucom brakowało powietrza, lecz mozolnie wdrapywał się z jednej gałęzi na drugą.

Wyrostek złapał go nagle za kostkę. Hughes znieruchomiał. Zerknął przez ramię i spostrzegł, że chłopak zastygł bez ruchu, przywarłszy całym ciałem do konara. Rozległo się parsknięcie konia. Pogoń była blisko.

Bardzo blisko.

* * *

Jeźdźcy wyłonili się kilkanaście metrów od drzewa. Między liśćmi połyskiwały już ich kolczugi. Gdy tylko któryś rumak parsknął, jeździec pochylał się w siodle i delikatnie klepał go po karku, żeby uspokoić zwierzę.

Doskonale wiedzieli, że ich ofiary są gdzieś w pobliżu. Jechali ze spuszczo-nymi głowami, uważnie wypatrując śladów na ziemi. Na szczęście znajdowali się na obszarze porośniętym karłowatymi sosenkami, gdzie trudno było cokolwiek dojrzeć.

Przywódca wydał rozkazy ruchem ręki. Jeźdźcy rozdzielili się i powoli ruszyli dalej tyralierą. Dotarli do potężnego drzewa, mijali je po obu stronach. Chris wstrzymał oddech. Gdyby któryś popatrzył teraz do góry. . . Żaden nie spojrział.

Zaczęli się stopniowo oddalać. Wreszcie jadący z otwartą przyłbicą rycerz z czarnymi piórami na hełmie — ten sam, który jednym cięciem odrąbał Gomez głowę — powiedział głośno:

— Dość. Umknęli. Jak? Skoczyli do rzeki?

Rycerz pokręcił głową. Hughes zwrócił uwagę na jego ciemną karnację, Miał krucze brwi i czarne oczy.

— Dzieciak nie taki głupi.

— I nie taki dzieciak, mój panie.

— Mógł spaść przez nieuwagę, ale nie skoczył umyślnie. — Czarny rycerz znowu pokręcił głową. — Wystrychnął nas na dudków. Wracajmy.

— Jak każesz, panie.

Cała szóstka bez pośpiechu zawróciła konie. Znowu znaleźli się blisko drzewa, pojechali jednak dalej w luźnym szyku i wkrótce wydostali się na skąpaną w słońcu polankę.

— Gdyby nie ten mrok, wnet znaleźlibyśmy ślad.

Chris odetchnął z ulgą.

Przyczajony niżej wyrostek poklepał go po łydce i z uśmiechem skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Dobra robota”. Nadal jednak pozostawali w ukryciu. Kiedy pogoń oddaliła się już na sto metrów i ledwie było widać ludzi na koniach, chłopak zsunął się z gałęzi i zeskoczył na ziemię. Hughes uczynił to samo.

Wylądowawszy w trawie, obejrzał się szybko. Jeźdźcy znikali właśnie za dużą kępą krzaków, byli na wysokości tego drzewa, na którego pniu Chris zostawił ślady butów. Czarny rycerz minął je obojętnie, reszta podążała za nim. . .

Wyrostek chwycił go za ramię i energicznie pociągnął w pobliskie zarośla.

— Panie! Tutaj! Ślady na pniu! Ukryli się na drzewie!

Któryś jeździec zauważył ślady.

Jasna cholera!

Zawrócili konie i zebrali się przy drzewie. Czarny rycerz obrzucił koronę podejrzliwym wzrokiem i spytał:

— Gdzie? Nikogo nie widzę.

— I ja nie widzę pacholka na drzewie, mój panie. Rycerz zaczął się rozglądać na wszystkie strony. Nagle ich spostrzegł.

— Tam są!

Ruszyli z kopyta.

Chłopak rzucił się do biegu.

— Na Boga! Jużeśmy zgubieni! — rzucił, zerkając trwożnie przez ramię. Umiesz pływać?

— Pływać? — zdziwił się Chris.

Jasne, że umiał, lecz nawet mu to nie przyszło do głowy. Cały wysiłek wkładał w przebieranie nogami. Dopiero teraz zauważył, że wyrostek kieruje się na polankę, w stronę coraz rzadziej rosnących drzew.

I stromego nadrzecznego urwiska.

Teren przed nimi opadał, początkowo łagodnie, dalej coraz gwałtowniej. Trawa rzedła, wyłaniały się spod niej nagie połacie żółtawego piaskowca. Słońce oślepiało.

Czarny rycerz wrzasnął coś, czego Chris nie zrozumiał. Wypadli z lasu na skraj urwiska. Wyrostek bez namysłu zeskoczył z krawędzi.

Hughes się zawahał. Zerknął przez ramię na pogoń. Jeźdźcy gnali galopem z uniesionymi mieczami. Nie miał wyboru. Popędził ku krawędzi urwiska.

* * *

Marek skrzywił się boleśnie, kiedy przez radio doleciał głośny wrzask Chrisa. Po chwili rozległ się głuchy łoskot i gardłowy jęk. Rozpoznał odgłos upadku.

Andre nasłuchiwał. Ale w słuchawkach panowała martwa cisza, nawet nie zatrzeszczało.

Jakby nadajnik został zniszczony.

— Zginął? — zapytała cicho Kate.

Marek nie odpowiedział. Podeszedł do stratowanych zwłok Gomez i zaczął się rozglądać.

— Chodź tu. Pomóż mi szukać zapasowego markera.

* * *

Kilkuminutowe poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Marek ostrożnie zacisnął palce na dłoni Gomez — już szarej i zimniej — i starając się zapanować nad obrzydzeniem, pociągnął za rękę i przewrócił korpus na wznak.

Dopiero wtedy zauważył, że kobieta miała na przegubie opaskę z dziwnej plecionki. Wcześniej nie zwrócił uwagi na ten element przebrania, zupełnie nie pasujący do średniowiecza. Gdyby kobiety z tej warstwy społecznej, do której można było zaliczyć Gomez na podstawie stroju, nosiły jakiegokolwiek ozdoby, z pewnością byłyby one wykonane z metalu, szlifowanego kamienia lub z drewna. Rzemienne plecionki zaczęto nosić dopiero w czasach hipisowskich.

Przeciagnał palcami po opasce i stwierdził ze zdumieniem, że jest nadzwyczaj sztywna, jakby była wycięta z kartonu. Obrócił ją na przegubie, szukając zapinki, i niechętnie nacisnął ukrytą zapadkę. Część odskoczyła na zawiaskach, ukazując płaską tarczę elektronicznego wyświetlacza. Wewnątrz znajdował się rodzaj ręcznego zegarka:

Wskazywał 36.37.10.

I odliczał wstecz, do zera.

Marek natychmiast się domyślił, że nie jest to zwykły zegarek, lecz urządzenie wskazujące czas pozostały do wyczerpania się rezerw mocy maszyn. Akumulatory wystarczały na trzydzieści siedem godzin, z których upłynęło już ponad dwadzieścia minut.

Warto go zabrać, pomyślał. Znalazł zamek, zdjął wskaźnik z ręki zabitej i zapiął go na swoim przegubie. Zatrzasnął wieczko wyświetlacza.

— Nigdzie nie ma tego markera — odezwała się Kate.

Szukali go jeszcze przez pięć minut, aż wreszcie Marek oznajmił ze smutkiem, że trzeba się pogodzić z rzeczywistością.

Nie znaleźli markera, a bez niego nie mogli przywołać maszyn.

Chris miał rację: utknęli tu na dobre.

36.28.04

W sali kontrolnej zaterkotały dzwonki alarmowe. Technicy wstali od pulpitów i skierowali się do wyjścia. Gordon chwycił Sterna za rękę.

— Musimy uciekać — powiedział. — Stężenie fluorowodoru w powietrzu staje się groźne. Z sekcji tranzytowej dolatują trujące opary. Wkrótce dotrą i tutaj.

Zaczął ciągnąć Davida w kierunku drzwi. Ten rzucił ostatnie spojrzenie na ekrany. Na środku pieczary kłębowisko wysięgników i innych elementów konstrukcyjnych ginęło w smugach gęstego białego dymu.

— A jeśli spróbują teraz wrócić i nikogo tu nie będzie?

— Nie martw się, to niemożliwe. Czujniki podczerwone wykryją brak wolnej przestrzeni. Nie zapominaj, że w promieniu dwóch metrów od maszyn nie może być żadnych przedmiotów materialnych. Nie ma miejsca, więc czujniki nie pozwolą maszynom na powrót. Będziemy musieli najpierw oczyścić sekcję.

— Ile to potrwa?

— Najpierw trzeba wymienić całe powietrze w pieczarze.

Gordon wyciągnął Sterna na korytarz, który prowadził do głównej windy. Było tu mnóstwo ludzi kierujących się do wyjścia. Ich głosy rozbrzmiewały głośnym echem.

— Wymienić całe powietrze? — zdziwił się David. — W takiej ogromnej przestrzeni? Ile to zajmie?

— Teoretycznie dziewięć godzin.

— Teoretycznie?

— Jeszcze nigdy nie musieliśmy tego robić. Mamy jednak odpowiednie urządzenia. Lada moment powinny się włączyć dmuchawy.

Rzeczywiście parę sekund później korytarz wypełniło donośne wycie. Stern poczuł na nogach pęd powietrza.

— A gdy już wymienicie powietrze? Co dalej?

— Naprawimy wszystkie uszkodzenia i będziemy spokojnie czekali na powrót wyprawy — odparł Gordon. — Dokładnie tak, jak planowaliśmy.

— Co będzie, jeśli spróbują wrócić, zanim skończycie przygotowania?

— To najmniejszy problem, Davidzie. Po prostu maszyny nie wrócą, cofną się do punktu startowego i zaczekają na dogodny moment.

— Zatem ludzie staną się rozbitkami?

— Na jakiś czas. Tak czy inaczej, na razie nie możemy im pomóc.

36.13.17

Chris dopadł krawędzi urwiska i skoczył. Spadał, wymachując rękoma i nogami. Ujrzał skapaną w słońcu Dordogne, leniwie wijącą się w zielonej dolinie. Była strasznie daleko, a dobrze wiedział, że nurt jest za płytki. Śmierć zajrzała mu w oczy.

Spostrzegł, że klif nie opada gładką pionową ścianą, a kilka metrów niżej znajduje się wysunięta ponad rzekę półka. Pochylona ku dolinie, prawie naga skała, miejscami tylko była porośnięta kępami trawy i karłowatymi drzewkami.

Spadł na nią. Grzmotnął ramieniem o skałę, aż zabrakło mu tchu. Natychmiast zaczął się staczać po pochyłości. Próbował się czegoś przytrzymać, wbijał palce w cienką warstwę darni, lecz trawa wyslizgiwała mu się z rąk. Zauważył wyciągniętą dłoń chłopaka, ale nie zdążył jej chwycić. Zsuwał się bezradnie, świat wirował mu przed oczyma. Wyrostek poderwał się na nogi, miał przerażoną minę. Chris domyślił się, że jest już blisko krawędzi i zaraz spadnie...

Zatrzymało go rosnące nad przepaścią drzewko. Huknął brzuchem o jego pień, aż całe ciało przeszył dotkliwy ból. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Był zamroczony, widok przed oczyma rozmywał się w białe i zielone plamy. Powoli odzyskiwał przytomność.

Próbował zaczerpnąć głęboko powietrza. Czuł ból w piersiach, który nie ustawał, ale plamy przed oczyma nabrały ostrości. Mógł popatrzeć na swoje nogi dyndające nad przepaścią.

Mógł nimi poruszyć.

Ale osunął się jeszcze trochę.

Spojrzał na wąty pień rachitycznej sosenki, który wyginał się pod jego ciężarem. Czuł, że zsuwa się dalej. I nie mógł tego powstrzymać. Zacisnął kurczowo palce na niepewnej podporze. Przestał się osuwać. Spróbował dźwignąć się nieco i wpełznąć wyżej na skalną półkę.

Ku swemu przerażeniu ujrzał, że wąte korzenie sosenki zaczynają wyłazić z podłoża. Najpierw jeden, potem drugi pękł z trzaskiem, w słońcu zajaśniała ich biała tkanka. Lada moment całe drzewko mogło wraz z nim runąć w dolinę.

Poczuł czyjś dotyk na karku. Wykręcił szyję i spojrzał na pochylającego się nad nim wyrostka, który ciągnął go za kołnierz. Krzywił się z wysiłku.

— Puszczaj! — syknął.

— Jezu — mruknął Chris.

Odepchnął się od pnia i wylądował płasko brzuchem na skale, dysząc ciężko.

— Muszę chwileczkę...

Koło ucha świsnęła mu strzała. Poczuł impet powietrza na twarzy. Zaskoczony, a jednocześnie przerażony poderwał się na nogi i zgięty w pół pobiegł pod osłonę klifu, przeskakując między drzewkami. Druga strzała przeleciała między gałęziami na wysokości jego ramienia.

Zerknął w górę. Jeźdźcy patrzyli na niego z krawędzi urwiska.

— Głupcze! — wrzasnął czarny rycerz i otwartą dłonią zdzielił strzelca po głowie, aż łuk wyleciał mu z rąk. Zresztą kołczan był już pusty.

Chłopak chwycił Chrisa za rękę i pociągnął w bok. Wyglądało na to, że ma jakiś plan. Jeźdźcy zniknęli im z oczu, najwyraźniej zawrócili do lasu.

Szeroka wystająca skała przechodziła w wąziutką półeczkę, która ciągnęła się do załomu klifu. Poniżej gładka wapienna ściana opadała pionowo do rzeki. Chris zapatrzył się w nurt, ale chłopak chwycił go pod brodę, uniósł mu głowę i rzekł:

— Nie patrz w dół. Chodź.

Przywierając brzuchem do skały i zaciskając palce na drobnych wypukłościach, zaczął się przesuwac po półce. Hughes ruszył za nim, nadal ciężko dysząc z wysiłku. Wiedział, że jeśli się zawaha, strach nie pozwoli mu zrobić nawet jednego kroku. Lekki wiatr zaledwie poruszał połami jego kaftana, lecz jemu się zdawało, że chce go oderwać od skały. Niemal wodził policzkiem po nagrzanym słońcem wapieniu, zaciskając palce na nierównościach skały i próbując opanować narastający lęk.

Chłopak zniknął za załomem klifu. Chris ostrożnie posuwał się za nim. Narożnik był ostry, a w dodatku na pewnym odcinku półka całkiem zniknęła, trzeba było przejść nad otchłanią. Zrobił duży krok, prześliznął się na drugą stronę załomu i odetchnął z ulgą.

Przed nimi było ziemne osuwisko, dość strome, ale porośnięte drzewami. Opadało aż do samej rzeki. Wyrostek ponaglał go ruchem ręki. Hughes pokonał ostatnie metry półki i stanął przy nim.

— Teraz będzie łatwiej — powiedział chłopak i ruszył w dół.

Chris skoczył za nim. Szybko się zorientował, że osuwisko jest znacznie bardziej strome, niż mu się początkowo wydawało. Pod drzewami panował mrok, grunt był rozmiękły. Chłopak ześlizgnął się zwinnie po błocie i zniknął w gęstwinie. Hughes uważnie wypatrywał pewniejszego oparcia dla stóp, przytrzymując się gałęzi, ale i on zaczął zjeżdżać. Po chwili usiadł z impetem w błocie, które poniosło go w dół. W głowie kołatała mu się myśl: Jestem absolwentem uniwersytetu Yale, historykiem specjalizującym się w zakresie rozwoju techniki. Mimo wolnie próbował jakoś się odnaleźć w tym świecie, w którym zaczynał już tracić własną tożsamość.

Zjeżdżając w błotnej strudze, raz i drugi uderzył o pień drzewa; gałęzie chłostały go po twarzy, nie widział jednak żadnego sposobu na wyhamowanie. Ześlizgiwał się coraz niżej i niżej.

* * *

Marek westchnął głośno. Dokładnie przeszukali zwłoki Gomez, ale nie znaleźli rezerwowego markera. Kate w zamyśleniu przygryzła wargi.

— Jestem pewna, że go miała. Musiała gdzieś ukryć.

— Gdzie? — zapytał zrezygnowany.

Kate podrapała się po głowie. Syknęła z bólu, gdy peruka przesunęła się po świeżej ranie.

— Ta cholerna pe... — Urwała i popatrzyła na Marka.

Zawróciła i odeszła parę metrów. Zaczęła się rozglądać w trawie przy ścieżce.

— Gdzie ona jest?

— Co?

— Jej głowa.

Znalazła ją po kilku chwilach. To dziwne, jak mała wydaje się ludzka głowa oderwana od reszty ciała, przemknęło jej przez myśl. Spojrzała na poszarpane i zakrwawione tkanki szyi...

Walcząc z nudnościami, kucnęła i przekręciła głowę. Miała przed sobą poszarzałą twarz o pustych, szklistych oczach. Wokół rozwartych ust kręciły się już muchy.

Zerwała perukę i od razu zauważyła biały ceramiczny marker. Był przyklejony taśmą do osnowy po wewnętrznej stronie. Oderwała go.

— Mam — powiedziała.

Obróciła kostkę w dłoni i popatrzyła na maleńki przycisk. Obok niego świeciła miniaturowa dioda. Klawisz był tak wąski, że dało się go wcisnąć jedynie paznokciem kciuka.

Marek podszedł bliżej i przyjrzał się markerowi.

— Tak, o to chodziło — mruknął.

— Teraz możemy wrócić, kiedy nam się spodoba — odparła. — A chcesz już wracać?

Przygryzła wargi.

— Przybyliśmy tu po profesora, więc powinniśmy go poszukać.

Uśmiechnął się.

Od szczytu wzniesienia doleciał tętent koni. Oboje skoczyli w pobliskie zarośla. Chwilę później na błotnistej ścieżce ukazało się sześciu jeźdźców pędzących galopem w stronę otwartego terenu nad rzeką.

* * *

Chris dotarł nad brzeg rzeki. Był ubłocony od stóp do głowy, wyraźnie czuł ciężar oblepiającej go mazi. Między trzcinami dostrzegł chłopaka pluskającego się w wodzie.

Zaczął brnąć dalej, aż wydostał się z trzcin i stanął na twardym dnie w nurcie rzeki. Woda była lodowata, ale nie dbał o to. Zanurzył się cały, z głową, i jał energicznie ściągać z włosów, twarzy i ubrania skorupę zaschniętego błota.

Kiedy się wynurzył i przetarł oczy, chłopak był już na przeciwległym brzegu. Siedział na kamieniu i wystawiał twarz do słońca. Powiedział coś, czego Chris nie usłyszał, ale translator w uchu przetłumaczył:

— Nigdy nie zdejmujesz stroju do kąpieli?

— Po co? Ty też nie zdjąłeś. Wyrostek wzruszył ramionami.

— Ale ty możesz, skoro chcesz się umyć.

Chris dopłynął do brzegu i wyszedł na trawę. Na ubraniu pozostało jeszcze mnóstwo błota, poza tym lekki wiatr przeszył go chłodem. Rozebrał się szybko i jeszcze raz opłukał rzeczy w nurcie, po czym rozłożył je na kamieniu, żeby wyschły. Popatrzył na liczne zadrapania i siniaki na swoim ciele. Słońce przyjemnie grzało, wystawił do niego twarz i zamknął oczy. Zasłuchał się w świergot ptaków i pieśń śpiewaną przez kobiety na pobliskim polu. Rzeka z cichym pluskiem omywała skalisty brzeg. Poczuł, że błogi spokój i radość życia wypełniają go bez granic, chyba jeszcze nigdy dotąd nie cieszył się tak bardzo z chwili wytchnienia.

Wyciągnął się na głazie, rozleniwiony i zapadł w drzemkę. Wyrwał go z niej głos wyrostka. Otworzył oczy i odczekał moment, aż translator przetłumaczy:

— Dziwnieś mówił ze swoimi ludźmi i dziwnie się ubierasz. Powiedz prawdę, jesteś Irlandczykiem, co?

W zamyśleniu pokiwał głową. Widocznie chłopak słyszał parę zdań z jego rozmowy z Markiem przy ścieżce i na tej podstawie uznał go za Irlandczyka. Raczej nie mogło to przynieść żadnej szkody, nie trzeba więc było prostować.

— Taaa... — mruknął, naśladowując irlandzki akcent.

— Taaa? — powtórzył zdziwiony wyrostek nieswoim, piskliwym głosem, jakby usłyszał całkiem niezrozumiałe słowo. — Taaa?

Nie znał najprostszego potwierdzenia? Próbując czegoś innego, Chris wycedził z udawanym wysiłkiem:

— Oui.

— Oui? — znowu powtórzył wyrostek, nie mniej zdumiony. Rozpromienił się nagle i rzekł: — Gruby? Powiedziałaś: gruby?

Chris pokręcił głową.

— Nie. Chciałem powiedzieć: tak.

Chłopak znowu się zmieszał.

— Tak? — wycedził.

— Tak.

— Jasne, Irlandczyk — przełożył jego słowa translator.

— Zgadza się.

— My mówimy: zaiste. Albo: prawda.

— Prawda — powiedział Chris, starając się uzyskać takie samo brzmienie, i po raz pierwszy translator zareagował na jego własną wypowiedź. W uchu zabrzmiało mechanicznie:

— Prawda.

Chłopak energicznie pokiwał głową zadowolony z rezultatu. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Wreszcie znów popatrzył na niego i rzekł:

— Pewnie jesteś panem.

Panem? Hughes wzruszył ramionami. Pewnie, że był panem, a nie sługą.

— Prawda — odparł.

— Takem myślał. Pańskie twoje maniery, jeno strój dziwaczny. Hughes nie odpowiedział. Nie potrafił ocenić, co jest złego w rym ubraniu.

— Jak cię zwa? — zapytał chłopak.

— Christopher Hughes.

— Ach, Christopher de Hewes — powtórzył wyrostek w zamyśleniu, jakby się starał dopasować nietypowe zawołanie do znanych mu miast i grodów. — A gdzie jest Hewes? W Irlandii?

— Prawda.

Znów na krótko zapadła cisza. Wygrzewali się na słońcu.

— Tyś nie rycerz? — spytał wreszcie chłopak.

— Nie.

— Toś pewno giermek. — Pokiwał głową. — Nie inaczej. — Popatrzył na niego z ukosa. — A ile ci wiosen? Dwadzieścia jeden?

— Trochę więcej, dwadzieścia cztery.

Zaskoczony chłopak zamrugał. Co może być złego w tym, że ma się dwadzieścia cztery lata? — pomyślał Chris.

— Zatem, dobry panie, bardzo wam dziękuję za pomoc, za ratunek z rąk sir Guya i jego zbirów. — Młodzik wskazał na przeciwległy brzeg Dordogne, gdzie sześciu jeźdźców w ciemnych płaszczach stało nieruchomo nad rzeką, konie się poiły, a ludzie spoglądali na dwóch wylegających się na kamieniach uciekinierów.

— Przecież w niczym ci nie pomogłem — zaoponował. — To ty mnie uratowałeś.

— Przecie? — Znowu popatrzył na Hughes podejrzliwie. Chris westchnął głośno. Najwyraźniej niektóre dla obu zrozumiałe słowa używane tu były w mniej czy bardziej odmiennym znaczeniu. Kłopoty ze skleceniem nawet najprostsze-

go zdania zaczynały go przerastać, a w każdym razie zmuszały do olbrzymiego wysiłku. Spróbował inaczej:

— Wszak nie ja cię uratowałem, ale ty mnie.

— Jesteście nazbyt łaskawi, dobry panie — odparł chłopak. — Będę waszym dłużnikiem po kres żywota i z radością zatroszczę się o wasze potrzeby, kiej do-
trzymamy do zamku.

— Do zamku? — powtórzył zdumiony Chris.

* * *

Kate i Marek szli ścieżką wiodącą do klasztoru. Nigdzie w dolinie nie było widać jeźdźców, którzy pognali wzdłuż rzeki. Panowała cisza. Należące do zakonu pola były oddzielone niskim kamiennym wałem. W narożniku ogrodzenia stał widoczny z daleka wysoki sześciokątny obelisk pokryty bogatym ornamentem.

— Czy to jest montjoie! — spytała Kate.

— Doskonale — pochwalił Marek. — To właśnie kamień milowy, najważniejszy punkt orientacyjny w terenie. Pewnie można je tu spotkać na każdym kroku.

Ścieżka prowadziła między wałami do muru okalającego zabudowania klasztorne. Pracujący w polu wieśniacy nie zwracali na nich uwagi. Zza zakrętu rzeki wyłoniła się załadowana barka. Flisak przy grubej żerdzi steru śpiewał na cały głos.

Pod klasztorным murem stały chatynki wieśniaków. Między nimi widniała masywna furta. Klasztor zajmował rozległy teren, więc bramy musiały się znajdować ze wszystkich czterech stron. Tu, od lasu, było najwyraźniej boczne wejście. Marek uznał, że raczej nie powinni iść do głównej bramy.

Byli już przed pierwszymi chałupami, gdy usłyszeli głośnie parskanie koni i miękki głos stajennego, który próbował uspokoić zwierzęta. Marek chwycił Kate za rękę i przystanął.

— Co się stało? — zapytała szeptem.

Wskazał placyk przy furtce za ostatnią chatą i młodego mężczyznę, który trzymał wodze pięciu rumaków. Konie były bogato wystrojone, czerwone czapraki sięgały prawie do ziemi, a siodła obszyte czerwonym, lamowanym srebrem jedwabiem.

— To nie są konie do pracy w polu rzekł, rozglądając się w poszukiwaniu jeźdźców.

— Więc co robimy? — zapytała Kate.

* * *

Chris szedł parę metrów za wyrostkiem. Zmierzali do Castelgard. Nagle w słuchawce usłyszał pytanie Kate i odpowiedź Marka:

— Nie wiem.

— Znaleźliście profesora? — spytał cicho.

Chłopak obejrzał się i zmierzył go czujnym spojrzeniem.

— Do mnie mówicie, giermku?

— Nie, tylko tak, do siebie.

— Tylko — powtórzył wyrostek, kręcąc głową. — Trudna do zrozumienia wasza mowa.

Równocześnie w słuchawce rozległ się głos Andre:

— Chris? Gdzie jesteś, do cholery?

— Idę do zamku — odparł Hughes, po czym dodał nieco głośniejszym głosem: — Piękny dzionek. — Popatrzył na bezchmurne niebo, chcąc sprawiać wrażenie, że faktycznie mówi do siebie.

— Po co tam leziesz? — burknął Marek. — Nadal jesteś z tym chłopcem?

— Tak. Bardzo miły.

Wyrostek znów obejrzał się na niego z podejrzliwą miną.

— Mówicie do powietrza? Rozum wam odjęło?

— Nie — odparł Chris. — Jestem przy zdrowych zmysłach, chciałbym jeno, by moi towarzysze dołączyli do mnie na zamku.

— Po co? — zdziwił się Marek.

— Na pewno dołączą w dobrej chwili — mruknął chłopak. — Opowiedzcie mi o nich. To także Irlandczycy? Giermki, jako i wy, alibo słudzy?

Przez radio doleciał gniewny głos Andre:

— Dlaczego mu powiedziałeś, że jesteś giermkiem?

— Tak zostałem opisany.

— Chris... To oznacza szlachectwo. Giermek musiał być szlachetnie urodzony. Niepotrzebnie ściągniesz na siebie uwagę. Możesz mieć kłopoty, jeśli nie zdołasz wyjaśnić swego pochodzenia, opowiedzieć o rodzie.

— Aha.

— Na pewno zostaliście opisani — powiedział chłopak. — A wasi towarzysze? To także giermki?

— Prawdę rzeczesz — odparł rozochocony Hughes. — Moi towarzysze to też giermki.

— Chris! Co ty wyczyniasz, do cholery?! — parsknął coraz bardziej rozłoszczony Marek. — Trzymaj się z dala od spraw, których nie rozumiesz. Chyba

szukasz kłopotów. A jeśli będziesz się dalej pakował między ludzi, znajdziesz je szybko.

Na skraju przyklasztornej osady Andre wsłuchiwał się w słowa Chrisa.

— Lepiej znajdźcie profesora, dobrze? — rzekł Hughes półgłosem. Równocześnie chłopak zadał mu kolejne pytanie, utonęło jednak w szumie zakłóceń i translator go nie przetłumaczył.

Marek odwrócił się i popatrzył na widoczne za rzeką Castelgard. W połowie drogi przecinającej skarpę dostrzegł dwie sylwetki. Chris szedł nieco z tyłu.

— Widzę cię — powiedział. — Lepiej zawróć i dołącz do nas. Powinniśmy się trzymać razem.

— To bardzo trudne.

— Dlaczego? — spytał poirytowany.

Przez chwilę panowało milczenie. Hughes nie mógł odpowiedzieć wprost.

— A co to za rycerze stoją nad rzeką, paniczu? — zapytał, zwracając się widocznie do swego przewodnika.

Marek nastawił ucha. Dopiero teraz zauważył, że sześciu jeźdźców stoi nad Dordogne. Konie pochylały łby ku wodzie, mężczyźni spoglądali nieruchomo za odchodzącymi.

— To sir Guy de Malegant, zwany Guy Tete Noire. Pozostaje w służbie mego pana, lorda Olivera. To słynny rycerz, głośny ze swych łajdactw i aktów mordy.

— Nie może przeprowić się z powrotem przez rzekę z powodu tych sześciu konnych rycerzy — wtrąciła Kate.

— Prawdę rzeczesz — odezwał się Chris.

Marek pokręcił głową.

— Przede wszystkim nie powinien był się od nas oddalać.

Ich uwagę przykuło głośne skrzypnięcie klasztornej furty. Odwrócili się szybko. W wąskim przejściu w kamiennym murze pojawiła się znajoma sylwetka profesora. Johnston wyszedł na skąpany w słońcu placyk. Był sam.

35.31.11

Edward Johnston miał na sobie czarne pończochy i granatowy dublet. Skromny, prosty strój, pozbawiony jakichkolwiek ozdób, podkreślał roztaczającą się wokół niego aurę uczonego człowieka. Marek uznał, że profesor bez trudu mógł uchodzić za odbywającego pielgrzymkę londyńskiego kancelistę. Od razu przyszła mu na myśl postać Geoffreya Chaucera, średniowiecznego kronikarza, który pielgrzymował po ówczesnym świecie.

Johnston ruszył w stronę osiodłanych koni, ale zachwiał się raz i drugi. Szybko podbiegli do niego. Zwrócili uwagę, że z trudem oddycha. Nie zdziwił się nawet specjalnie na ich widok.

— Macie marker? — zapytał szeptem.
— Tak — odparł Marek.
— Jest was tylko dwoje?
— Nie, przybył jeszcze Chris, ale odłączył się od nas.
Profesor, jakby w przyływie złości, pokręcił głową.

— Nieważne. Wprowadzę was w sytuację. Oliver trzyma Castelgard... Ruchem głowy wskazał zamek po drugiej stronie rzeki. — ... ale chce obsadzić La Roque przed nadejściem Arnauta. Najbardziej obawia się sekretnego przejścia przez jaskinię, łączącego twierdzę z rzeką. Bardzo mu zależy na odkryciu tego korytarza. Wszyscy tu oszaleli na tym punkcie, bo i Arnaut chciałby znać tajne wejście do La Roque. To klucz do utrzymania bastionu. Wzięto mnie za uczonego w piśmie i przeor poprosił, abym przejrzał stare księgi. Znalazłem w nich...

Furta otworzyła się gwałtownie i otoczyli ich strażnicy w kasztanowo-szarych płaszczach. Jeden z halabardników brutalnie odepchnął Kate i Marka. Erickson upadła, omal nie gubiąc peruki. Profesora jednak nie tknęli, tylko powiedli w głąb placyku. Wyglądało na to, że stanowią jego zbrojną eskortę. Marek podniósł się szybko. Otrzeputując z kurzu ubranie, pomyślał, że musieli dostać rozkazy, aby pilnie strzec uczonego.

Spoglądał w milczeniu, jak podsadzają Johnstona na konia i odjeżdżają w kierunku gościńca.

— I co teraz zrobimy? — zapytała szeptem Kate.

Profesor wymownie stuknął się dłonią po ucho. Chwilę później, jakby intonując modlitwę, przekazał im śpiewnie przez radio:

— Podążajcie za mną. Razem się nam zbierać. Odszukajcie Chrisa.

35.25.18

Idąc za chłopakiem, Hughes dotarł do miejskiej bramy. Masywne dębowe wrota wzmocnione żelaznymi sztabami były szeroko otwarte. Stał w nich halabardnik w wiśniowo-szarym płaszczu. Na ich widok rzucił groźnię:

— Stawiacie namiot? Rozkładacie kram? W dzień turniejowy trza za handel płacić pięć soli.

— *Non sumus mercatores* — odpowiedział wyrostek po łacinie. — Nie jesteśmy handlarzami.

— *An thou beest, satisfakere. Quinquesols maintenant, aut decem postea* — warknął strażnik.

Tym razem Chris próżno czekał na tłumaczenie. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że strażnik posługuje się przedziwną mieszaniną angielskiego, francuskiego i łaciny. Niemniej dalszą część translator wychwytał:

— Handlujecie, tedy musicie zapłacić. Pięć soli teraz albo dziesięć potem.

Chłopak energicznie pokręcił głową.

— Widziszli u nas jakie towary?

— *Herkle, non.* — Komputer przełożył: — Nie, na Heraklesa!

— No to masz odpowiedź.

Mimo młodego wieku wyrostek mówił ostro, głosem nawykłym do wydawania rozkazów. Strażnik wzruszył ramionami i odwrócił się do nich tyłem. Przeszli przez bramę i wkroczyli do miasta.

Tuż za murami ciągnęły się porozdzielane płótkami chałupy wieśniaków. Dołatywał od nich intensywny smród gnojówki. Minęli kryte słomą obórki, skąd dobiegało pochrząkiwanie świń, i wspięli się po kamiennych schodach na krętą brukowaną uliczkę, wzdłuż której stały murowane domy. Dopiero tu Chris poczuł się jak w mieście.

Wąska ulica tętniła życiem. Piętrowe kamienice były zbudowane tak, że górna część wysuwała się ponad bruk, znacznie ograniczając dostęp światła słonecznego, na parterze zaś mieściły się sklepy i warsztaty. Minęli kuźnię, zakład ciesielski zajmujący się także wyrobem beczek, pracownię krawiecką i jatkę. W rynsztoku przed sklepem rzeźnik w długim ceratowym fartuchu szlachtował kwiczącą głośno świnię. Musieli obejść łukiem wielką kałużę krwi i pobielających wnętrzności.

Po ulicy kręciło się sporo ludzi, lecz Hughes nawet nie zwracał na nich uwagi, przytłoczony wszechobecnym tu fetorem. Chłopak wyprowadził go na kamienny rynek, pośrodku którego stały zadaszony stragany kupieckie. Chris nie mógł się uwolnić od myśli, że jeszcze niedawno podczas wykopalisk oglądał ten sam teren porośnięty trawą. Aż przystanął i zaczął się rozglądać ciekawie, usiłując dopasować wygląd otoczenia do znanych mu doskonale ruin.

Na drugim końcu placu stała pstrokato ubrana dziewczyna z koszykiem jarzyn. Gdy dostrzegła młodzika, podbiegła do niego i powiedziała:

— Paniczu, wasza długa nieobecność dotkliwie martwi sir Daniela.

Chłopak, dziwnie rozbawiony jej widokiem, odparł lekceważąco:

— Powiedz zatem memu stryjowi, że pokłonię mu się w dobrej chwili.

— Bardzo się uraduje — rzuciła dziewczyna i pobiegła wąskim chodnikiem między dwoma domami.

Chłopak pociągnął Chrisa w przeciwnym kierunku. Nawet słowem nie nawiązał do zagadkowej rozmowy, tylko kroczył zamasyście, mruczając coś pod nosem.

Wyszli na otwarty teren u stóp zamku, wypełniony kolorowo odzianą gawiedzią. Przyjeżdżali rycerze na rumakach, ich poczty dźwigały łopocące chorągwie.

— Wielu dziś przyjezdnych — rzucił wyrostek. — Na turniej.

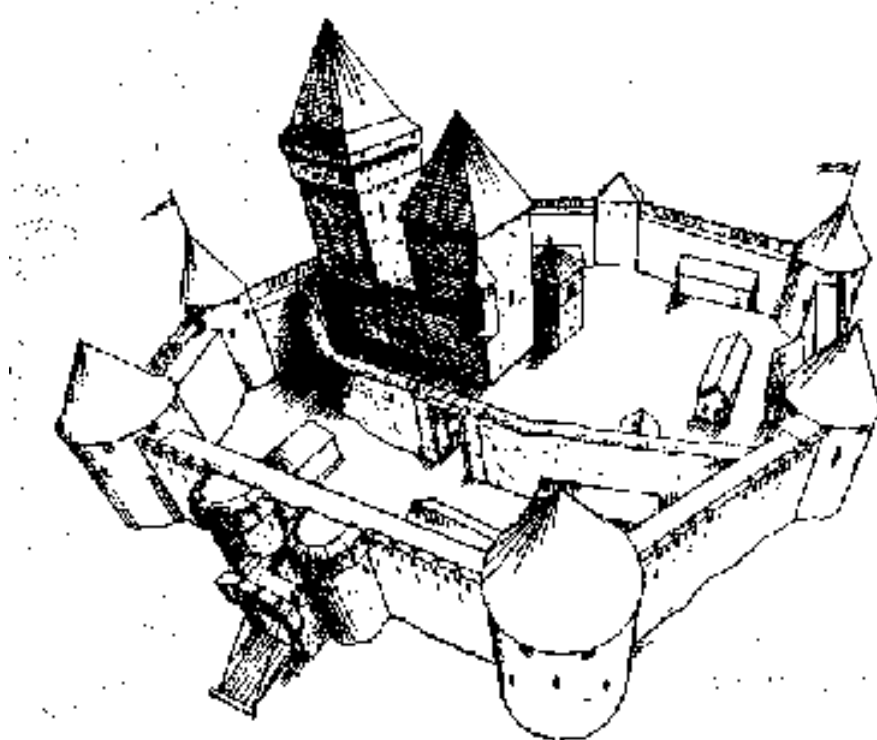
Kierowali się ku zwodzonemu mostowi przed bramą grodu. Chris nie mógł oderwać wzroku od górujących na miastem murów i strzelających w niebo wież. Strażnicy na blankach spoglądali na gęstniejący w dole tłum gości. Chłopak bez wahania prowadził do zamku, ich kroki zadudniły na belkach mostu. W bramie straż trzymało dwóch halabardników. Hughes poczuł się nieswojo.

Strażnicy jednak nie zwrócili na nich uwagi. Jeden obojętnie skinął głową, drugi był zwrócony tyłem i zajęty zeszkrobywaniem zaschniętego błota z butów.

Chrisa zaskoczyła ich reakcja.

— Nie pilnują wejścia do zamku?

— Po co? — zdziwił się wyrostek. — Wszak to dzień. I nie jesteśmy w oblężeniu.



Przed bramą minęli trzy starsze niewiasty z pustymi koszykami, wszystkie w dużych białych chustach na głowie zawiązanych tuż nad oczami. Na nie halabardnik także nie zareagował. Śmiejąc się i plotkując, poszły w stronę miasta.

A więc przekonanie, tak głęboko zakorzenione w umysłach historyków, że nikt nawet nie śmiał go kwestionować, okazało się mylne. Skoro warowne zamki średniowieczne stanowiły obronne bastiony, okolone fosą, przez którą można się było przedostać tylko po zwodzonym moście, wszyscy zakładali, że zbrojne straże w bramach musiały czuwać bez przerwy, dzień i noc. Tymczasem nie zachodziła taka potrzeba. W czasach pokoju zamek był ważnym ośrodkiem życia społecznego, ludzie z różnymi sprawami zwracali się do swego pana, dostarczali do zamku żywność. Nikt nie musiał pilnować bram, zwłaszcza w ciągu dnia.

Natychmiast skojarzył tę sytuację z ochroną współczesnych gmachów biurowych, także strzeżonych tylko w ciągu nocy. Za dnia głównym zadaniem strażników w holu było udzielanie informacji. Niewykluczone, że tu również halabardnicy pełnili podobną rolę.

Z drugiej jednak strony. . .

Zadarł głowę i popatrzył na zaostrome zęby ciężkiej żelaznej brony, teraz podniesionej i schowanej między murami bramy. Dobrze wiedział, że w krótkim czasie można ją opuścić, skutecznie odcinając ludziom dostęp do zamku, a zarazem uniemożliwiając opuszczenie go.

Bez przeszkód wkraczał na dziedziniec, nie miał jednak żadnej pewności, czy równie łatwo wydobędzie się z warowni.

* * *

Na dziedzińcu, otoczonym kamiennymi murami, stało mnóstwo koni. Żołnierze w kasztanowo-szarych płaszczach siedzieli w grupach, spożywając posiłek. Wysoko nad brukowanym placem ciągnęły się wzdłuż murów drewniane krużganki. Na wprost wyrastała przysadzista trzypiętrowa budowla zwieńczona wieżyczkami. Przypominała samodzielny zameczek stojący wewnątrz większego. Chłopak skierował się do głównego wejścia.

Masywne drzwi stały otworem, strażnik trzymał w garści udko kurczaka i leniwie przeżuwał kawałek pieczeni.

— Do lady Claire — powiedział wyrostek. — Jej życzeniem jest, by ten tu Irlandczyk pełnił dla niej służbę.

— Niech i tak będzie — mruknął wojak od niechcenia.

Wkroczyli do środka. Z sieni łukowato sklepione przejście wiodło do głównego holu, gdzie stała pogrążona w rozmowie gromadka bogato wystrojonych ludzi. Ich głosy niesły się po sali echem.

Chłopak nie pozwolił Chrisowi nawet przyjrzeć się gościom, powiódł go wąskimi krętymi schodami na piętro, a stamtąd mrocznym korytarzem do komnat mieszkalnych.

W stronę wchodzącego od razu rzuciły się trzy służące w białych fartuszkach. Objęły go serdecznie, wołając:

— Dzięki Bogu, lady! Wróciłaś!

— Lady?! — zdumiał się Chris.

Jego przewodnik ściągnął czarny czepiec, spod którego wysypały się długie do ramion blond włosy. Dziewczyna skłoniła się lekko, dygnęła i powiedziała:

— Żałuję z całego serca. Wybaczcie mi, proszę, to drobne oszustwo.

— Kim jesteś?

— Nazywają mnie lady Claire.

Uniosła dumnie głowę i popatrzyła mu prosto w oczy. Spostrzegł, że jest nieco starsza, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. Miała dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata. I była urzekająco piękna.

Patrzył na nią z rozdziawionymi ustami. Nie potrafił nic z siebie wydusić. Nie wiedział, co zrobić. Był skrepowany i ogłupiały.

Jedna ze służących, zakłopotana przedłużającym się milczeniem, podeszła bliżej, skłoniła się i powiedziała:

— Jeśli dozwolicie, panie, to lady Claire z Eltham, wdowa po sir Geoffreym z Eltham, dziedziczka znacznych ziem w Guyenne i Middlesex. Sir Geoffrey zmarł od ran, jakie zadano mu pod Poitiers, i teraz sir Oliver, władający tym zamkiem, został opiekunem naszej lady. Sir Oliver pragnie ją wydać na nowo. Swatał jej sir Gya de Maleganta, znamienitego rycerza, lecz spotkał się z odmową naszej lady.

Claire odwróciła się i spiorunowała służącą wzrokiem. Ta jednak, nie bacząc na swą panią, ciągnęła:

— Nasza lady powiada, że sir Guy nie byłby zdolny bronić jej majątków we Francji i Anglii. Sir Oliver wzięłby jednak opłatę za swaty, przeto sir Guy...

— Elaine!

— Lady. — Dziewczyna skłoniła się i odeszła. Dołączyła do pozostałych służących, które szeptały w kącie, widocznie poruszone jej zachowaniem.

— Dość gadania — oznajmiła Claire. — Oto mój dzisiejszy zbawca, sir Christopher z Hewes. Ocalił mnie przed niecnymi zamiarami sir Gya, którego siłą zamierzał dobyć to, czego mu dwornie zakazano.

— Nie, nie — zaprotestował Chris. — Wcale nie tak się wydarzyło...

Urwał, spostrzegłszy zdumione spojrzenia służących. Gapiły się na niego z rozdziawionymi ustami.

— Zaiste cudaczna jego mowa — powiedziała Claire — jako że wywodzi się z odległego skraju ziemi irlandzkiej. I jest skromny, jak przystało giermkowi. Jednakowoż ocalił mnie, przeto dziś przedstawię go memu opiekunowi, gdy Christopher nabędzie godnego wyglądu. — Zwróciła się do jednej ze służących: — Zaliż nasz koniuszy, pan Brandon, nie tej samej postawy? Idź i przynieś jego szkarłatny dublet, srebrny pas i najlepsze białe pończochy. Wyciągnęła w jej stronę sakiewkę. — Zapłać, ile będzie żądał. I pośpieszaj.

Dziewczyna wybiegła z komnaty. W drzwiach minęła posępnego starca który przystanął i obrzucił uważnym spojrzeniem całą grupę. Miał na sobie bogaty strój z kasztanowego jedwabiu haftowanego w srebrzyste lilie, z kołnierzem z grono-stajów.

— Już jesteś, moja lady — rzekł, podchodząc bliżej.

Claire skłoniła się przed nim.

— Jestem, sir Danielu.
 — Wróciłaś bezpiecznie.
 — Bogu dziękować.
 Mężczyzna prychnął pogardliwie.
 — Zaiste powinnaś, bo i jego cierpliwość może się wyczerpać. Czyż twoja wyprawa przyniosła choć rezultat pomierny z niebezpieczeństwem?
 Claire przygryzła wargi.
 — Nie.
 — Widziałaś się z opatem?
 Zawahała się.
 — Nie.
 — Mów mi prawdę, Claire.
 Pokręciła głową.
 — Nie widziałam, panie. Wyjechał na łowy.
 — Szkoda — mruknął sir Daniel. — Czemuż nie zaczekałaś na jego powrót?
 — Nie śmiałam, skoro ludzie sir Olivera wpadli do klasztoru, aby siłą pojąć magistra. Obawiałam się rozpoznania i uciekłam.
 — Ach, same kłopoty z tym magistrem. — Sir Daniel skrzywił się z niechęcią. Wszyscy o nim gadają. A wieszli, co mówią? Że potrafi znikać i pojawiać się w błysku światła. — Pokręcił głową, trudno jednak było ocenić, czy w to wierzy.
 — Ponoć jest uczony w sztuce... prochu strzelniczego — wymówił to powoli, z pewnym trudem, jakby określenie było mu obce. — Miałaśli możliwość ujrzeć tegoż magistra?
 — W rzeczy samej, rozmawiałam z nim.
 — Aha.
 — Zapytałam o niego, dowiedziawszy się o wyjeździe opata. Mówią, że magister w ostatnich dniach bardzo się z nim zaprzyjaźnił.
 Hughes, który z niejakim wysiłkiem śledził przebieg rozmowy, dopiero teraz się zorientował, że chodzi o profesora. Wtrącił więc:
 — Magister?
 — Znać, panie, magistra? Edwarda de Johnesa? — spytała Claire.
 Postanowił natychmiast się wycofać.
 — Och, nie... skądże... Nie znam...
 Sir Daniel popatrzył na niego z nieskrywanym osłupieniem. Odwrócił się do Claire i zapytał:
 — Co on gada?
 — Mówi, że nie zna magistra.
 Starzec znów obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.
 — A to po jakiemu?
 — Jakowąś gwarą angielską, sir Danielu, pomieszaną z galijskim, jak mnie-
 mam.

— Nigdy nie słyszał takiego galijskiego. — Zwrócił się do niego: — Znacnie *la langue*? Nie? *Loquerisquide Latine*?

Chciał się dowiedzieć, czy Chris zna łacinę. Ten uczył się jej kiedyś, ale słabo pamiętał. A już nigdy nie próbował posługiwać się nią w rozmowie. Wydukał z wysiłkiem:

— *Non, sir Danielis, solum perpaululum. Perdoleo.* — Bardzo słabo. Przepraszam.

— *Per, per... dicendo ille Ciceroni persimilis est.* — Wszak mówisz jak Ciceron.

— *Perdoleo.* — Przepraszam.

— To już lepiej milcz. — Starzec odwrócił się z powrotem do Claire. — I co ci rzekł ten magister?

— Nie mógł mi towarzyszyć.

— Zna sekret, który pragniemy osiąść?

— Powiada, że nie zna.

— Azali nie zna go opat? Musi znać, nie inaczej, skoro jego poprzednik, biskup z Laon, radą służył przy ostatniej przebudowie La Roque.

— Magister mówił, że biskup z Laon nic nie radził.

— Nie? — Sir Daniel zmarszczył brwi. — Skąd magister o tym wie?

— Zapewne opat mu powiedział alibo sam wyczytał w starych pergaminach. Magister jął się uporządkować dawne księgi Sainte-Mčre, na korzyść mnichów.

— Zaiste? — mruknął w zamyśleniu sir Daniel. — Ciekawym po co.

— Nie miałam czasu pytać, nim ludzie sir Olivera wpadli do klasztoru.

— Takoż magister wkrótce tu będzie. I lord Oliver sam go już wpyta... Zmarszczył brwi, jakby zaniepokoiła go ta myśl. Odwrócił się nagle do dziewięcio- czy dziesięcioletniego pazia, który wszedł do sali za nim. — Prowadź giermka Christophera do moich komnat, aby mógł się tam obmyć i przysposobić.

Claire zmierzyła go groźnym wzrokiem.

— Stryju, nie krzyżujcie mi planów.

— Czym to kiedy czynił?

— Wiecie dobrze, że tak.

— Drogie dziecko, jedynym moim zmartwieniem jest twoje bezpieczeństwo... jako i twój honor.

— Mój honor, stryju, nikomu jeszcze nie ślubowany. — Z uniesioną dumnie głową podeszła do Chrisa, zarzuciła mu ręce na szyję i patrząc śmiało w oczy, powiedziała: — Liczyć będę każdą chwilę twego odejścia i cknąć za tobą całym sercem. Wracaj do mnie skoro.

Musnęła ustami jego wargi i odsunęła się szybko, ale ręce zdjęła z ramion i wyraźnym ociąganiem, przeciągnawszy palcami po szyi. Poczuł się zmieszany tak bezpośrednim zachowaniem pięknej dziewczyny. Sir Daniel odkaslnął i ponownie zwrócił się do pazia:

— Prowadź giermka Christophera i dopomóż mu w kąpieli.

Chłopak wskazał Chrisowi drogę. W pokoju panowała martwa cisza. Nie ulegało wątpliwości, że powinien natychmiast wyjść. Skłonił się sztywno i bąknął:

— Dziękuję ci, panie.

Spodziewał się zdumionych spojrzeń, lecz tym razem chyba wszyscy zrozumieli jego słowa. Sir Daniel oziębło odpowiedział na ukłon i Chris wyszedł za paziem na korytarz.

34.25.54

Kopyta koni zadudniły na belkach zwodzonego mostu. Profesor siedział sztywno w siodle, zapatrzony przed siebie. Zdawał się nie dostrzegać eskortujących go żołnierzy. Strażnicy tylko odprowadzili wzrokiem gromadkę jeźdźców.

— I co teraz? — spytała Kate, zatrzymując się przed wejściem na most. — Idziemy za nimi?

Marek nie odpowiedział. Obejrzała się na niego. Stał zapatrzony na dwóch konnych, którzy na polu pod murami walczyli na miecze. Ćwiczyli bądź demonstrowali jakieś elementy, gdyż otaczała ich spora gromadka młodzików. Część nosiła barwy jaskrawozielone, druga złocistożółte. Najwyraźniej były to poczty ścierających się ze sobą rycerzy. Oprócz nich zebrał się spory tłum gapiów, którzy zaśmiewali się głośno, pokpiwali i okrzykami zachęcali walczących. Rumaki chodziły po ciasnym okręgu, niemal stykając się bokami, przez co jeźdźcy w zbrojach przez cały czas pozostawali naprzeciwko siebie. Marek patrzył na tę scenę jak urzeczony. Kate delikatnie poklepała go po ramieniu.

— Posłuchaj, Andre.

— Profesor... Za chwilę.

— Ale...

— Powiedziałem: za chwilę!

* * *

Marka po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości. Do tej pory wszystko mu pasowało, nawet przez chwilę nie był niczym zaskoczony. Klasztor wyglądał tak, jak należało oczekiwać. Wieśniacy w polu nie odznaczałi się niczym szczególnym. Przygotowania do turnieju były zgodne z jego wyobrażeniami. A kiedy wjechali do Castelgard, przekonał się, że i miasto jest takie, jakie spodziewał się ujrzeć. Kate poraził widok rzeźnika pracującego na ulicy czy też fetor wydobywający się z zakładu garbarskiego, jego jednak nic nie dziwiło. Dokładnie tak wyobrażał sobie życie w średniowieczu.

Oślupiał dopiero na widok walczących rycerzy.

Walka prowadzona była zadziwiająco szybko. Przeciwnicy wyprowadzali ciosy jeden za drugim, to z dołu, to z góry, jakby posługiwali się lekkimi tyczkami, a nie ciężkimi obusiecznymi mieczami, których brzęk rozlegał się rytmicznie najwyżej w dwusekundowych odstępach. Toczyli pojedynek bez chwili wytchnienia.

Marek wyobrażał sobie zawsze, że turniejowe potyczki prowadzono powoli. Zakuci w zbroję rycerze mieli ograniczoną swobodę ruchów, a miecze były tak ciężkie, że każdy cios wymagał ogromnego wysiłku. Musieli szukać chwili wytchnienia między kolejnymi uderzeniami. W wielu opracowaniach naukowych pojawiały się wzmianki o skrajnym zmęczeniu rycerzy po walce. Marka ani trochę to nie dziwiło; wszak rycerze walczyli bardzo ciężkim orężem i byli zakuci w żelazne zbroje.

Z podziwem patrzył na teraz na roślących, barczystych mężczyzn posiadających równie potężnych i silnych rumaków.

Nigdy nie dał się zwieść niewielkim rozmiarom zbroi wystawianych w muzeach. Był niemal pewien, że to rysz tunek ceremonialny, używany podczas różnych uroczystości. Nie potrafił tego udowodnić, podejrzewał jednak, że zbroje, które dotrwały do czasów współczesnych — stosunkowo lekkie i bogato zdobione — pierwotnie były przeznaczone wyłącznie na pokaz i miały reklamować mistrzostwo rękodzielników.

Jego zdaniem prawdziwe zbroje bitewne w ogóle się nie zachowały. Według literatury najsłynniejsi średniowieczni rycerze przypominali mitycznych olbrzymów, byli wysocy, potężnie umięśnieni i nadzwyczaj silni. Wywodzili się ze szlachty, byli więc dobrze odżywieni. Poza tym spędzali mnóstwo czasu na ćwiczeniach fizycznych, uwielbiali rozmaite zmagania, choćby siłowanie się na ręce, co pozwalało im zaimponować damom.

Ale nawet przez chwilę Marek nie wyobrażał sobie, że prawdziwa walka wyglądała w ten sposób. Patrzył na rycerzy, którzy tylko ćwiczyli, a przecież robili to z prawdziwą pasją, wkładając w zmagania wszystkie siły i umiejętności. Wyglądało na to, że mogli tak walczyć przez cały dzień, nie przejawiając najmniejszych oznak zmęczenia. Najwyraźniej ich to bawiło.

Przyglądając się zacieklej, gwałtownej wymianie ciosów, pomyślał, że gdy by tylko starczyło mu sił i umiejętności, walczyłby właśnie w ten sposób — szybko i zwinnie, zachowując rezerwę energii, która pozwoliłaby mu pokonać przeciwnika. Powolność i długotrwałość takich zmagania stanowiły jedynie wytwór jego wyobraźni, wynikający z powszechnego przekonania, że średniowieczni rycerze byli słabsi i mniej sprawni od współczesnych mężczyzn.

Widział teraz na własne oczy, że przeświadczenie to było błędne.

Docierały do niego gromkie okrzyki obserwujących pojedynek gapiów, więc dopiero po jakimś czasie uzmysłowił sobie, że głośno pokrzykują również walczący. Starczało im sił nie tylko na zadawanie ciosów, ale jeszcze na wzajemne

obrzucanie się obelgami.

Później spostrzegł, że miecze wcale nie są stępione, walkę toczono prawdziwym bojowym orężem o głowniach ostrych jak brzytwa. Mimo to rycerze nie wyrządzali sobie żadnej krzywdy, uczestniczyli w zwyczajnej rozgrzewce przed zbliżającym się turniejem. Ewidentna pobłażliwość, z jaką traktowali się nawzajem, nie mniej zaskoczyła Marka od zaciekłości i tempa wymienianych ciosów.

Walka toczyła się przez dobre dziesięć minut, dopóki zamaszysty cios jednego z rycerzy nie wysadził drugiego z siodła. Człowiek z hukiem grzmotnął o ziemię, lecz zaraz poderwał się ze śmiechem, tak zwinnie, jakby nie miał na sobie ciężkiej zbroi. Wśród gapiów sakiewki zaczęły przechodzić z rąk do rąk, Rozległy się okrzyki:

— Jeszcze! Jeszcze!

Giermkowie zaczęli się okładać pięściami. Dwaj rycerze uścisnęli się serdecznie i ruszyli w kierunku urządzonej w namiocie karczmy.

Do Marka dotarł głos Kate:

— Andre?...

Odwrócił się powoli.

— Andre? Dobrze się czujesz?

— Tak, wszystko w porządku — odparł. — Wiele muszę się jeszcze nauczyć.

* * *

Kiedy ruszyli przez zwodzony most ku bramie strzeżonej przez halabardników, wyczuł, że Kate znów zaczyna się denerwować.

— Co zrobimy? — mruknęła. — Co im powiemy?

Na szczęście pod murami rozpoczęła się następna walka i obaj strażnicy poszli na skraj mostu, by ją obejrzeć. Marek i Kate minęli ich niepostrzeżenie, zanurkowali w mrok pod zwałistą bramą i wyszli na zamkowy dziedziniec.

— Jesteśmy w środku — powiedziała zdumiona Erickson, rozglądając się ciekawie. — Co dalej?

* * *

Zamarznę na kość, pomyślał Chris, szczękając zębami. Siedział w samych gaciach na małym drewnianym stołeczku w komnacie sir Daniela. Przed nim stał

kociołek z ciepłą wodą, obok leżały lniane myjki. Paż przyniósł parujący kociołek z kuchni, dźwigając go z takim namaszczeniem, jakby był wypełniony płynnym złotem. Najwyraźniej gorąca woda do mycia była oznaką wyjątkowej gościnności.

Hughes zrezygnował z pomocy pazia i sam się wyszorował. Kociołek był niewielki, więc woda szybko zrobiła się czarna. Zdołał zeszkrobać błoto z rąk i twarzy, a nawet wydfubał brud zza paznokci. Przyjrzawszy się w lusterku z polerowanej blachy, uznał, że efekt jest całkiem niezły.

Kiedy jednak zakomunikował to paziowi, ten mruknął, nie kryjąc zdumienia:

— Ależ wcale nie jesteście czyści, panie Christopherze. I jał nalegać, aby pozwolił mu dokończyć dzieła.

Szorował go już prawie od godziny. Zmarznięty Chris siedział spokojnie na stołeczku. Był coraz bardziej zdumiony. Zawsze sądził, że w średniowieczu ludzie chodzili niedomyci i śmierdzący. Tymczasem w zamku zetknął się z istnym kultem czystości. Nie spotkał dotąd nikogo brudnego, od nikogo nic śmierdziało.

Nawet toaleta — na skorzystanie z której przed kąpielą paż również stanowczo nalegał — wcale nie była taka odrażająca, jak podejrzewał. W wąskim pomieszczeniu, oddzielonym od łazienki drewnianymi drzwiami, znajdował się kamienny murek okalający lejkowaty odpływ. Najwyraźniej nieczystości spływały do jakiegoś zbiornika, który regularnie opróżniano. Chłopak wyjaśnił, że każdego ranka służący musi spłukać ubikację perfumowaną wodą i umieścić w haku na ścianie świeżą porcję suszonych wonnych ziół. Chris nie zdziwił się więc, że panowała tam całkiem znośna atmosfera. Przyszło mu nawet do głowy, że znacznie bardziej śmierdzi w ciasnych klozetach samolotów.

Ale przede wszystkim zaskoczył go widok czyściutkich białych skrawków lnianego płótna do mycia. Wiele rzeczy wyglądało tu zupełnie inaczej, niż się spodziewał.

Zmuszony do marznięcia na niewygodnym stołeczku, postanowił wykorzystać beczynność na rozmowę z paziem. Chłopak okazał się powściągliwy, odpowiadał pojedynczymi słowami, jakby miał do czynienia z półgłówkiem. Za to Chris miał okazję wsłuchać się w odpowiedzi, zanim translator zdążył je przetłumaczyć, i szybko zaczął sam rozumieć, co się do niego mówi. Nie bez zdumienia stwierdził, że wystarczy zastąpić kilka podstawowych słów ich archaicznymi odpowiednikami — których paż używał niemal na okrągło aby być znacznie lepiej rozumianym. Zaczął więc mówić „mniemam” zamiast „sądzę”, „jakoż” w miejsce „ponieważ” czy „alibo” zamiast „albo”.

Wciąż siedział na stołeczku, gdy do komnaty wkroczył sir Daniel. Przy niósł starannie złożone bogato zdobione ubrania. Położył je na brzegu łóżku.

— Zatem, Christopherze z Hewes, zadałeś się z naszą piękną i sprytną lady.

— Ocaliła moje życie — wycedził powoli Chris.

— Mniemam, że nie przysporzy ci to kłopotów.

— Kłopotów?

Sir Daniel westchnął.

— Powiedziała mi, drogi chłopcze, żeś szlachcicem, ale nie rycerzem. Zali jesteś giermkim?

— Tak.

— Za staryś na giermka. Władasz orężem?

— Orężem?.. — Chris zmarszczył brwi. — No cóż, ja..

— Posiadłeś, zaiste jakową sztukę? Gadaj wprost, umiesz cośkolwiek?

Hughes zdecydował, że lepiej mówić prawdę.

— W rzeczy samej, jam scholar.

— Scholar? — Zdziwiony starzec pokręcił głową. Tyś.. *Escolier? Esne discipulus? Studesne sub magistra?* — Studiowałeś u jakiegoś mistrza?

— *Ita est.* — Zaiste.

— *Ubi?* — Gdzie?

— Och.. w Oksfordzie.

— W Oksfordzie — sir Daniel prychnął z pogardą. — Zali niczego ci tu szukać, z naszą lady. Wierzaj mi, to nie miejsce dla.. *scolere.* Dozwól, że ci objaśnię twoje położenie.

* * *

— Lord Oliver potrzebuje złota na opłacenie wojów, skończyły się już łupy z pobliskich miast. Naciska na małżeństwo Claire, boby wziął swatną opłatę. Guy de Malegant złożył godziwą ofertę ku zadowoleniu lorda Olivera. Guy niebogaty i nie wniesie swatnego, póki nie posiadzie części dziedzictwa mojej lady. Na to zaś ona się nie godzi. Ludzie gadają, że lord Oliver i Guy dawno już skrycie umowę zawarli, jeden na przedanie lady Claire, drugi na przedanie jej ziemi.

Chris milczał.

— Jest i dalsza przeszkoda ku związkowi. Claire gardzi Malegantem, mniemając, że ręki przyłożył do śmierci jej małżonka. Guy bowiem opiekę sprawował nad sir Geoffreyem w chwili jego śmierci. Wszystkich zaskoczyła nagłość jego odejścia z tego świata. Geoffrey był młodym rycerzem, pełnym wigoru. Odniósł ciężkie rany, jednakowoż siły mu wracały. Nikt nie zna prawdy, krążą jeno głosy o otruciu.

— Pojmuję — bąknął Chris.

— Zaiste? Wątpię. Nasza lady jest więźniem lorda Olivera w tym zamku. Skrycie może się wyśliznąć, jednakowoż nie wyprowadzi potajemnie całego swojego orszaku. Gdyby zaś uciekła i wróciła do Anglii, co jest jej życzeniem, lord Oliver skupiłby zemstę na mnie i innych jej dworzanach. Ona o tym wie i musi

zostać. Lord Oliver pragnie jej ślubu, ona zaś ucieka się do forteli, aby go opóźnić. Prawda, że chytrości jej nie brak. Jeno teraz jedyna jej nadzieja tam.

Sir Daniel przeszedł przez komnatę i wskazał za okno. Chris pospiesznie stanął obok niego.

Z piętra rozciągał się wspaniały widok na zamkowy dziedziniec i otaczające go blanki. Za nimi widać było dachy miasta i strażę przechadzającą się po szczycie murów obronnych. Dalej, aż po horyzont, rozciągały się pola uprawne.

Hughes spojrzał pytająco na gospodarza.

— Tam, mój scolere — wskazał sir Daniel. — Ognie.

Chris zmrużył powieki i dostrzegł w oddali strzelające w niebo słupy szarego dymu. Ledwo odróżniały się od niebieskawej mgiełki, były na granicy widoczności.

— To kompania Arnauta de Cervole — wyjaśnił starzec. — Stanęli obozem nie dalej niż piętnaście mil stąd. Dotrze tu za dzień, najdalej dwa. Wszyscy już to wiedzą.

— A sir Oliver?

— Spodziewa się krwawej bitwy z wojskiem Arnauta.

— I mimo to organizuje turniej?

— To sprawa honoru — odparł sir Daniel. — Jego użądłonej dumy. Zapewne by zrezygnował, gdyby mógł. Nie ma jednak śmiałości. I tamże twoje ryzyko.

— Moje ryzyko?

Starzec westchnął i odwrócił się od okna.

— Ubierz się, abyś na spotkanie lorda Olivera wyglądał stosownie. Spróbuj oddalić nadchodzącą klęskę.

Energicznym krokiem ruszył do wyjścia. Zdumiony Chris popatrzył na pazia, który stał bez ruchu z myjką w dłoni.

— Jaką klęskę? — zapytał.

33.12.51

Największą niedogodnością dla historyków średniowiecza jest całkowity brak obrazów wiarygodnie przedstawiających wystrój komnat mieszkalnych czternastowiecznych zamków. Nie ukazują ich ani ilustracje w manuskryptach, ani szkice na pergaminach. Nie zachowało się nic z tamtej epoki. Najwcześniejsze obrazy przedstawiające życie codzienne pochodzą z piętnastego wieku i nawet jeśli dotyczą poprzedniego stulecia, pokazują wnętrza, żywność oraz stroje typowe dla wieku piętnastego.

W rezultacie nikt nie wie, jak naprawdę wyglądały ówczesne meble, czym dekorowano ściany, jak ubierali się ludzie i jak żyli. Gdy w podziemiach londyńskiej Tower odkopano i zrekonstruowano apartamenty Edwarda I, trzeba było zostawić

na ścianach gołe tynki, bo nikt nie potrafił rozsądzić, jak pierwotnie wyglądały te pomieszczenia.

Artystyczne wyobrażenia czternastowiecznych komnat ukazują ponure wnętrza, sale o zimnych kamiennych ścianach i skąpym umeblowaniu, ograniczonym do najprostszych zydl, stołów i skrzyń. Rozpowszechnił się pogląd, że ludzie w tamtej epoce żyli w spartańskich warunkach.

Takie myśli przemknęły przez głowę Kate Erickson w sieni zamku Castelgard. Lada moment spodziewała się ujrzeć to, czego przed nią nie widział żaden historyk. Śmiało przepychała się za Markiem przez tłum zapelniający główny hol. Tuż za przejściem stanęła jak wmurowana, oszołomiona bogactwem i panującym tu nieładem.

Obszerna sala skrzyła się niczym gigantyczny klejnot. Ściany były pokryte gobelinami przetykanymi złotą nicią. Promienie słoneczne, które wpadały przez wysokie, wąskie okna, wzbudzały tysiące refleksów. Sklepienie pomalowano na żółto i czerwono. Boczna ścianę zajmował olbrzymi arras. Pokrywał go geometryczny wzór srebrnych lilii na granatowym tle. Gobelin wiszący naprzeciwko przedstawiał walczących rycerzy w srebrzystych zbrojach, okrytych niebiesko-białymi i czerwono-złotymi płaszczami; nad nimi powiewały chorągwie z wyszywanymi złotą nicią herbami.

W drugim końcu sali znajdowało się bogato zdobione palenisko. Było tak wysokie, że rosły człowiek mógł bez schylania głowy wejść pod pokryty ornamentem i wysadzany błyszczącymi kamieniami gzyms. Przed nim stała masywna krata z kutych prętów, z tarczą również pokrytą zdobieniami. Gobelin nad paleniskiem przedstawiał stado łabędzi lecących nad kwitnącą łąką. Kwiaty wykonano z czerwonej i żółtej koronki.

Sala była urządzona bogato i wykwinnie. Jej piękno i przepych kontrastowały z zachowaniem wypełniającego ją tłumu, hałaśliwym i prostackim.

Na wprost paleniska stał długi, wysoki stół przykryty lnianym obrusem i ciasno zastawiony stosami jadła. Wokół niego kręciły się psy. Ściągały z talerzy, co popadnie, dopóki stojący przy stole mężczyzna nie rozpędził ich gromkim przekleństwem.

Lord Oliver de Vannes miał koło trzydziestki, małe oczy i krągłą, nalaną twarz. . . Głębokie zmarszczki wokół ust nadawały jej wyraz wiecznego niezadowolonia. Wargi trzymał mocno zaciśnięte, widocznie brakowało mu kilku przednich zębów. Ubrany był w niebiesko-złotą suknię z wysokim sztywnym złotym kołnierzem i futrzaną czapkę. Na szyi miał łańcuch z niebieskimi kamieniami wielkości przepiórczych jaj. Na kilku palcach nosił pierścienie z dużymi owalnymi klejnotami oprawionymi w złoto. Nerwowo dźgał nożem porcję pieczeni i głośno mlaskał. Ze swymi towarzyszami porozumiewał się krótkimi, złowrogimi pomrukami.

Wyglądał na człowieka groźnego i nieobliczalnego. Wodził po sali zaczerwie-

niomymi oczami, gotów wylapać każdy przejaw nieprzychylności i wszczać burdę. Był nerwowy i agresywny. Gdy jeden z psów zbliżył się do stołu, by zwędzić następny kasek, Oliver z całej siły dźgnął go sztyletem w zad. Krwawiące zwierzę odskoczyło z przejmującym wyciem i wypadło z zamku na dziedziniec.

Gospodarz zarechotał głośno, otarł psią krew z noża i jadł dalej.

Rozległy się gromkie śmiechy. Mężczyźni siedzący przy stołach, zapewne rycerze w służbie sir Olivera, także nosili wytworne stroje, daleko im jednak było do przepychu gospodarza. W towarzystwie znajdowały się tylko cztery kobiety — młode i urodziwe, wszystkie w ciasno zawiązanych stanikach i obcisłych sukniach, z długimi włosami skręconymi w loki. Zachowywały się wyzywająco, lubieżnie chichotały, ilekroć siedzący obok mężczyźni wsuwali ręce pod stół.

Patrzącej na tę scenę Kate przypomniało się nagle właściwe określenie: kasztelan. Oto miała przed sobą możnego średniowiecznego kasztelana, który uczłował ze swoimi rycerzami i ladacznicami w zdobytym warownym zamku.

Majordomus zastukał łaską w posadzkę, a herold zapowiedział głośno:

— Mój panie! Magister Edwardus de Johnes!

Erickson spojrzała w stronę wejścia. Strażnicy przecisnęli się przez tłum gawiedzi i popchnęli profesora w kierunku stołu.

Lord Oliver podniósł głowę, otarł usta wierzchem dłoni i rzekł:

— Witaj, magistrze Edwardusie. Nie wiem jeno, czyś magistrem czy magikiem.

— Lordzie Oliverze — odezwał się Johnston, dwornie skłaniając głowę.

— Skąd ta oziębłość, magistrze? — rzucił gospodarz, pogardliwie wydymając wargi. — Azali chcesz mnie zranić? Czymże sobie zasłużyłem na twoją wrogość? Nie radujesz się, żem cię sprowadził z klasztoru? Zapewniam, uczłować tu będziesz mógł do woli. Żadną miarą nie potrzebnyś opatowi, jeno mnie.

Profesor stał z dumnie uniesioną głową, milczał.

— Nie masz mi nic do powiedzenia? — zdziwił się Oliver, patrząc na niego spode łba. Zmarszczył brwi. — I to się odmieni — syknął.

Johnston nawet nie drgnął. Uparcie milczał.

Gospodarz ochłonął szybko, rozpozgodził się i uśmiechnął blade.

— Dość! Dość! Nie spierajmy się. Z całą łaską i szacunkiem, potrzebna mi twoja rada. Uczonyś, a mnie najbardziej potrzeba uczonych rad, jako gada to pospółstwo. — Wokół stołu rozległy się chichoty. — Mówiono mi, że potrafisz zobaczyć przyszłość.

— Nikt nie może jej zobaczyć — odparł Johnston.

— Zaiste? Mniemałem, że ty możesz, magistrze. Lepiej bacz o swoją. Nie godzi się, aby człek twojego stanu znosił cierpienia. Wieszli, jaki koniec spotkał twego imiennika, ostatniego króla, Edwarda Głupiego? Znać po twojej minie, że wiesz. Nie było cię jednak pośród obecnych wtenczas na zamku, ja zaś byłem.

Uśmiechnął się złowieszczo i odchylił na oparcie krzesła. — Ni jeden ślad nie został na jego ciele.

Johnston pokiwał głową.

— Lecz jego wrzaski słychać było na miłę.

Erickson spojrzała pytająco na Marka, który wyjaśnił jej szeptem:

— Mówią o Edwardzie Drugim, królu angielskim. Został uwięziony i zamordowany. Oprawcy nie chcieli zostawiać na jego ciele śladów tortur, wetknęli mu więc rurę w odbytnicę i tak długo grzebali rozżarzoną pogrzebaczem we wnętrznościach, aż skonał z bólu. — Kate wzdrygnęła się z obrzydzenia, toteż dodał szybko: — Król spędzał życie na hulankach i w powszechnym przekonaniu egzekucję wykonano w sposób bardzo stosowny.

— W rzeczy samej, wrzaski było słychać na miłę — rzekł Oliver. — Zatem miej to na względzie. Wiesz o wielu rzeczach, o których i ja chciałbym wiedzieć. Będziesz moim doradcą alibo nie znajdziesz dla siebie miejsca na tym świecie.

Przerwał mu rycerz, który przecisnął się za plecami biesiadników i powiedział coś szeptem na ucho. Miał na sobie kasztanowo-szary płaszcz wojsk Olivera, a poorana głębokimi zmarszczkami twarz świadczyła o sporym bitewnym doświadczeniu. Przez jego lewy policzek, od czoła aż linię szczęki ginącą pod stojką płaszcza, biegła głęboka blizna. Lord wysłuchał go z uwagą mruknął:

— Tak mniemasz, Robercie?

Rycerz ze szramą pochylił się i znów zaczął szeptać, nie spuszczać wzroku z profesora. Lord Oliver także wpatrywał się w Johnstona, wreszcie odparł:

— Cóż, przekonamy się.

Sir Robert szepnął jeszcze parę słów, a gospodarz pokiwał głową.

* * *

Marek popatrzył na stojącego obok dworzanina i zagadnął po oksytańsku:

— Wybaczcie, cóż to za szlachcic znajduje posłuch lorda?

— To sir Robert de Kere, przyjacielu.

— De Kere? Nie znam go.

— Od niedawna służy panu, rok jeszcze nie minął, znalazł jednak dużo względów w oczach sir Olivera.

— Ach, tak. A to z jakiego powodu?

Nieznajomy obojętnie wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że motywy decyzji kasztelana nie są powszechnie znane.

— Sir Robert ma bitną naturę i jego rady w sprawach oręża spotkały się z zaufaniem lorda Olivera. — Zniżył głos i dodał: — Prawdę rzekłszy, nie w smak

mu widok innego doradcy, na dodatek uczonego, co może być wyniesiony ponad niego.

— Rozumiem. — Marek pokiwał głową.

Sir Robert musiał naprawdę się bardzo zagrożony, bo nadal szeptał z przejęciem, dopóki lord Oliver nie machnął mu przed nosem dłonią, jakby się opędał od natrętnego komara. Rycerz skłonił się szybko i wycofał, pozostał jednak za krzesłem gospodarza.

— Magistrze — powiedział głośno Oliver.

— Mój panie.

— Doszły mnie wieści, jakobyś znał metodę greckiego ognia.

Marek mimowolnie parsknął z pogardą. Szeptem wyjaśnił Kate:

— To zapomniana tajemnica. Nikt jej nie zna.

Sława tych owianych legendą pocisków zapalających, siejących ogromne spustoszenia w szeregach wroga, przetrwała stulecia, lecz ich budowa nie była znana, pozostawała przedmiotem licznych sporów historyków.

— Tak, znam tę metodę — przyznał Johnston.

Marek zmarszczył brwi. Do czego on zmierza? — pomyślał. Bez wątpienia profesor przejrzał zamiary kasztelana, ale musiał wiedzieć, że naraża się na olbrzymie niebezpieczeństwo.

— I możesz zrobić ogień grecki? — zapytał Oliver.

— Mogę, mój panie.

— Mhm.

Gospodarz obejrzał się i zmierzył surowym wzrokiem sir Roberta. Wyglądało na to, że doradca tym razem się pomylił. Kiedy Oliver znów popatrzył na profesora, ten rzekł:

— Zrobiłbym go bez trudu, gdybym miał tu swoich uczniów.

— Co? Uczniów? Masz ty uczniów?

— Mam, mój panie, i...

— To pewne, będą mogli ci służyć pomocą, magistrze. Gdyby zaś stało się inaczej, otrzymasz taką pomoc, jaka będzie ci konieczna. Tym troskać się nie musisz. A płonąca rosa, ogień z Nathos? Jego także znasz?

— Znam, mój panie.

— Zali dasz temu dowód próbą demonstracji?

— Kiedy sobie zażyczysz, mój panie.

— Bardzo dobrze, magistrze. Bardzo dobrze. — Oliver zawiesił głos i przez chwilę wpatrywał się w profesora. — I znasz ten jeden sekret, który chcę poznać ponad wszystko inne?

— Sir Oliverze, ten sekret nie jest mi znany.

— Kłamiesz! Znasz go! I wyjawisz go przede mną! — ryknął kasztelan walcąc pucharem o stół. Poczzerwieniał, na skroniach wystąpiły mu nabrzmiałe żyły.

Donośny okrzyk rozniósł się echem po sali, zamilkły wszelkie rozmowy. — Użytkam twą odpowiedź jeszcze dzisiaj!

Pies, który wcześniej wskoczył na stół, aż przysiadł ze strachu. Olivier strącił go wierzchem dłoni. Zwierzę musiało się boleśnie potłuc, bo uciekło z piskiem. Siedząca obok dziewczyna chciała zaprotestować, ale gospodarz zaklął szpetnie i wymierzył jej tak silny policzek, że przewróciła się razem z krzesłem i uderzyła głową o posadzkę. Nawet nie zdążyła krzyknąć. Leżała bez ruchu z nogami w górze.

— Rozsierdziłeś mnie! — huknął Oliver, wstając od stołu. — Okrutnie mnie rozsierzdziłeś!

Powiódł dokoła wściekłym spojrzeniem, z dłonią na rękojeści miecza, jakby szukał następnej ofiary.

W sali panowała martwa cisza. Nikt się nie poruszył, wszyscy wbili wzrok w ziemię. Wydawało się, że czas nagle stanął w miejscu i tylko lord Oliver zachował zdolność ruchu. Sapnął z irytacji, dobył miecza i z łoskotem spuścił go na stół. Talerze i puchary z brzękiem podskoczyły, gdy głównia wbiła się w krawędź blatu.

Gospodarz znów spojrzał na profesora. Szybko odzyskiwał panowanie nad sobą.

— Będziesz mi posłuszny, magistrze! — wycedził i ruchem głowy dał znać strażom. Zabrać go! Niechaj ma sposobność do medytacji!

Dwaj strażnicy chwycili profesora pod ramiona i pociągnęli z powrotem przez zatłoczony hol. Kate i Marek znaleźli się w pierwszym szeregu uskakującej im z drogi gawiedzi, ale Johnston szedł ze spuszczoną głową, nawet ich nie widział.

Lord Oliver powiódł wzrokiem po sali.

— Siadać i weselić się! — warknął. — Zanim wpadnę we wściekłość!

Muzycy zaczęli grać, salę wypełnił gwar rozmów.

* * *

Zaraz za strażnikami prowadzącymi Johnstona z sali wyszedł Robert de Kere. Nie wróżyło to niczego dobrego. Marek trącił lekko Kate i ruchem głowy dał jej znać, że powinni iść za nim. Zaczęli się przeciskać w stronę Wyjścia, kiedy majordomus ponownie uderzył laską o posadzkę, a herald obwieścił:

— Mój lordzie! Lady Claire z Eltham i giermek Christopher z Hewes.

Oboje stanęły jak wryci.

— Cholera — syknął Marek.

Do sali weszła piękna młoda dama. Towarzyszył jej Chris Hughes w wytwor-

nym, dworskim stroju. Wyglądał wspaniale, choć po jego minie było widać, że czuje się nieswojo.

Andre postukał się palcem w ucho i szepnął:

— Chris, dopóki jesteś w tej sali, w ogóle się nie odzywaj i nic nie rób. Rozumiesz? — Hughes ledwie zauważalnie skinął głową. — Zachowuj się tak, jakbyś niczego nie rozumiał. To nie powinno być nazbyt trudne.

Lady Claire i Chris podeszli do stołu. Lord Oliver spoglądał na nich z wyraźnym rozbawieniem. Dostrzegłszy jego ironiczny uśmiezek, dama przy stanęła, pochyliła głowę i złożyła głęboki ukłon.

— Zbliź się — powiedział gospodarz z irytacją, machnąwszy trzymanym w garści udkiem kurczęcia. — Ta pokora do ciebie nie pasuje.

— Mój panie. — Lady Claire wyprostowała się. Oliver parsknął pogardliwie.

— Kogóż to przyciągnęłaś dzisiaj do zamku? Jeszcze jedną zdobycz bez języka w gębie?

— Pozwól, mój panie, że przedstawię ci Christophera z Hewes, giermka z Irlandii. Ocalił mnie przed łotrami, którzy chcieli mnie dzisiaj porwać.

— Co? Łotry? Chcieli cię porwać? — Lord Oliver z szerokim uśmiechem popatrzył na siedzących przy stole rycerzy. — Sir Guy? Cóż na to odpowiesz?

Sir Guy Malegant wstał gwałtownie. Był ubrany w czarną kolczugę i smolisty płaszcz z wyhaftowanym srebrnym orłem.

— Mój panie, mniemam, że lady pragnie się zabawić naszym kosztem. Dobrze wie, że wysłałem jej swoich ludzi na ratunek, widząc, że jest samotna i nieszczęśliwa. — Wolno podszedł do Chrisa i zmierzył go wyzywającym spojrzeniem. — To ten człowiek, mój panie, wystawił na ryzyko jej życie. Nie rozumiem, czemu lady go teraz broni. Dowodzi to jeno jakowychś nierozsądnych zamiarów

— Czego? Zamiarów? Lady Claire, jaka myśl tobą kierowała?

Claire obojętnie wzruszyła ramionami.

— Jeno bezrozumni, mój panie, widzą zamiary tam, gdzie nie ma nijakich.

Śniady rycerz prychnął pogardliwie.

— Szybkie słowa mają pokryć jeno to, co skrywa się pod nimi. — Podszedł jeszcze bliżej Chrisa, stanął tuż przed nim i spojrzał mu w oczy. Wpatrywał się tak przez chwilę, wreszcie zaczął powoli ściągać rękawicę. — Giermku Christopherze, zali nie tak cię zwa?

Chris nie odpowiedział, tylko sztywno skinął głową.

* * *

Był przerażony. Znalazł się w sytuacji, której nie rozumiał — w sali pełnej

wulgarnego żołdactwa, jego zdaniem, niewiele różniącego się od zwyrodnialców z ulicznych gangów, naprzeciwko tego rozwścieczonego południowca o oddechu cuchnącym zepsutymi zębami, czosnkiem i winem. Za wszelką cenę starał się zapanować nad drżeniem kolan.

Przez radio doleciał go szept Marka:

— Pod żadnym pozorem się nie odzywaj.

Sir Guy patrzył na niego spode łba.

— Zadałem ci pytanie, giermku. Nie odpowiesz?

Wciąż powoli ściągał rękawicę. Chris nabrał pewności, że za chwilę do stanie cios pięścią między oczy.

— Nic odpowiadaj — syknął Marek.

Chris nawet nie widział innej możliwości, jak usłuchać tej rady. Wziął głębszy oddech, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Nogi miał jak z waty, dygotały coraz mocniej. Naszły go obawy, że lada moment ugną się pod nim i runie na posadzkę. Jeszcze raz zaczerpnął powietrza, pragnąc zdusić strach.

Sir Guy odwrócił się do lady Claire.

— Pani, zali twój wybawca umie mówić czy potrafi jeno wzdychać?

— Niech ci będzie wiadome, sir Guy, że pochodzi z odległej krainy i często nie pojmuje naszego języka.

— Dic mihi nomen tuum, scutari. — Powiedz, jak się nazywasz.

— Obawiam się, że łaciny takóž nie zna, sir Guy — rzekła lady Claire.

Malegant skrzywił się z obrzydzeniem.

— Commodissime. To bardzo dogodne dla tępego giermka, abyśmy nie mogli go wypytać, skąd przybył i po co. Skoro jest Irlandczykiem, zawędrowaliście daleko od domu. Nie jest pielgrzymem i nie pozostaje w służbie, to kim jest? I co tutaj robi? Patrzcie, jak się trzęsie. Czegóž miałby się bać? — Zapewne nie nas, mój panie, chyba że jest dzikusiem Arnauta wysłanym na przeszeptegi. To by wyjaśniało, czemu udaje tępego. Tchórz nie odważa się zabierać głosu.

— Nic odpowiadaj — powtórzył szeptem Marek.

Malegant dźgnął palcem w pierś Chrisa.

— Tchórzliwy giermku, nazwałem cię szpiegiem i łajdakiem, niegodnym miana człeka zdolnego wyjawić swe pochodzenie. Wyzwałbym cię zaraz, gdybyś był tego godzien.

Zdjął rękawicę i z politowaniem kiwając głową, rzucił ją na ziemię. Z brzękiem wylądowała u stóp Chrisa. Sir Guy odwrócił się do niego plecami i ruszył z powrotem do stołu.

Spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się na Hughesa. Stojąca obok Claire szepnęła:

— Rękawica. . .

Chris zerknął na nią z ukosa.

— Rękawica! — powtórzyła z naciskiem.

— O co tu chodzi? — pomyślał, marszcząc brwi. Schylił się szybko i podniósł rękawicę. Zdumiało go, że jest aż tak ciężka. Wyciągnął ją w kierunku Claire, lecz dziewczyna odwróciła się do Maleganta.

— Panie! — zawołała. — Giermek przyjął twoje wyzwanie. Jakie wyzwanie? — przemknęło Chrisowi przez myśl.

— Po trzy kopie bez grotów, a outrance — obwieścił sir Guy.

— Cholerny idioto! — syknął przez radio Marek. — Wiesz, co zrobiłeś?

* * *

Sir Guy zwrócił się do rozpartego na krześle lorda Olivera:

— Mój panie, racz zezwolić, aby turniejowe zmagania otworzyła nasza walka.

— Niechaj tak będzie — odparł gospodarz.

Sir Daniel przecisnął się przez tłum i skłoniwszy się nisko przed stołem, powiedział:

— Lordzie Oliverze, moja bratanica posunęła się za daleko. Może bawi ją, że sir Guy, rycerz wielkiej sławy, dał się sprowokować do walki ze zwykłym giermkiem, ponosząc tym samym ujmę na honorze. Jednakowoż źle mu posłuży ten niewieści podstęp.

— Zaiste? — zdziwił się lord Oliver, zerkając ciekawie na czarnego rycerza.

Guy Malegant splunął na podłogę i odparł:

— Z giermkiem? Jakiż to giermek? W moim mniemaniu to przebrany rycerz, łotr i szpieg. Jego zdrada musi się spotkać z odpowiednią zapłatą. Zmierzę się z nim dzisiaj.

— Jeśli pozwolisz, mój panie — ciągnął sir Daniel — nikomu nie posłuży takie widowisko. To zaiste jeno giermek, niewprawny we władaniu orężem. Gdzie mu się mierzyć ze sławnym rycerzem.

Chris wciąż jeszcze nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Nie spodziewanie z tłumy gawiedzi wystąpił Marek i przemówił płynnie w dziwnym języku, przypominającym nieco starofrancuski. Hughes domyślił się, że to oksytański.

— Mój panie. — Andre skłonił się uniżenie. — Ten czcigodny człek prawdę mówi. Giermek Christopher jest moim kompanem, żaden z niego rycerz. Z głębi serca proszę, panie, byś dozwolił Christopherowi podać imię rycerza, który w jego miejsce przyjmie to wyzwanie.

— Co? Rycerza? Jakiego rycerza? Kimże jesteś?

Chris spostrzegł, że lady Claire wpatruje się w Marka z nieskrywanym zaciekawieniem. Andre spojrział na nią przelotnie, zanim odpowiedział:

— Wybacz, mój panie. Jam jest sir Andre de Marek, pochodzę z Hainault. Z bożą pomocą siebie stawiam w miejsce Christophera. Godnie stanę przeciwko temu czcigodnemu rycerzowi.

Lord Oliver potarł dłonią policzek. Widząc jego wahanie, sir Daniel wtrącił szybko:

— Mój lordzie, rozpoczęcie turnieju od nierównej walki nie przysporzy ci zabawy i nie zapisze tego dnia w ludzkiej pamięci. Mniemam, że sir Marek lepiej się sprawi w polu.

Oliver popatrzył na Marka.

— Panie, skoro mój przyjaciel, Christopher, jest brany za szpiega, to i ja szpiegiem być muszę. Rzucając jemu potwarz, sir Guy znieważył także mnie. Przeto błagam, abym mógł bronić honoru swojego imienia.

Gospodarz sprawiał wrażenie coraz bardziej rozbawionego nieoczekiwanym obrotem sprawy.

— Cóż na to rzekniesz, Guy?

— Zaiste, przyznaję, że sir Marek może być dobrym sekundantem, jeśli rękę ma równie wprawną jak język. Przeto jako sekundant niech staje w polu z moim sekundantem, sir Charlesem de Gaune.

Przy końcu stołu podniósł się rosły rycerz. Miał pociągłą twarz o bladej cerze. Długi spiczasty nos i głęboko osadzone wąskie oczy upodobały go do szczura. Był jednak mocno zbudowany.

— Z radością stanę jako sekundant — powiedział.

Marek postanowił nie dawać za wygraną.

— Wygląda na to, że sir Guy lęka się zmierzyć pierwszej ze mną.

Słyszając to, lady Claire uśmiechnęła się szeroko i śmielej popatrzyła na nieznanego, co jeszcze bardziej rozsierdziło sir Guya.

— Nikogo się nie lękam — warknął — a najmniej kogoś z Hainault. Jak przeżyjesz walkę z moim sekundantem, w co bardzo wątpię, z radością się z tobą zmierzę i położę kres twemu zuchwalstwu.

— Niech tak będzie — rzucił sir Oliver i skierował się do wyjścia. Jego kategoryczny ton wskazywał, że nie życzy sobie dalszych dyskusji.

32.16.01

Olbrzymie bitewne rumaki biegały wzdłuż ogrodzenia, głośno dudniąc kopytami po trawie. Pole turniejowe miało wielkość boiska piłkarskiego. Na ukończonych naprędce trybunach zajmowały miejsca damy dworu. Gromady skromnie ubranych, hałaśliwych gapiów z całej okolicy tłoczyły się przy ogrodzeniu.

Kiedy minęła ich kolejna para jeźdźców na parsających koniach, Marek zapytał:

— Poradzisz sobie z takim rumakiem?

Chris wzruszył ramionami.
— Trochę jeździłem z Sophie.
— Chyba zdołam ocalić ci życie — mruknął Andre. — Musisz jednak dokładnie wykonywać moje polecenia.
— W porządku.
— Do tej pory nie brałeś sobie zbyt do serca moich rad — rzekł Marek z wyrzutem. — Teraz będziesz musiał mnie słuchać.
— W porządku, rozumiałem.
— Wystarczy, że utrzymasz się w siodle tylko do czasu pierwszego starcia. Kiedy sir Guy zauważy, że marny z ciebie jeździec, nie będzie miał innego wyjścia, jak mierzyć ci prosto w piersi, bo to stosunkowo najpewniejszy cel. Dlatego chcę, żebyś przyjął cios jego kopii na piersi, możliwie na środek napierśnika. Zrozumiałeś?
— Mam przyjąć cios kopii na piersi — powtórzył Hughes ze zboląłą miną.
— Uderzenie prawdopodobnie wyrzuci cię z siodła. Nie próbuj się w nim utrzymać za wszelką cenę. Gdy spadniesz na ziemię, leż bez ruchu, udawaj, że straciłeś przytomność. Może nawet faktycznie ją stracisz. W każdym razie nie wstawaj pod żadnym pozorem. Zrozumiałeś?
— Mam leżeć i nie wstawać.
— Dokładnie tak. Bez względu na to, co się wydarzy, masz pozostać na ziemi. Wysadzenie z siodła i pozbawienie rywala przytomności będzie oznaczało koniec pojedynku. Jeśli się podniesiesz, sir Guy każe sobie podać drugą kopię albo zeskokczy z konia i sięgnie po miecz, a wtedy na pewno zginiesz.
— Nie wstanę — zapewnił Hughes.
— Dobrze. Pamiętaj: bez względu na wszystko masz leżeć bez ruchu. — Marek klepnął kolegę po ramieniu. — Przy odrobinie szczęścia wyjdiesz z tego bez szwanku.
— Jezu — mruknął Chris.
Minęła ich kolejna para jeźdźców, ziemia zadygotała pod uderzeniami kopyt.

* * *

Weszli między namioty rozstawione na skraju pola. Były nieduże, cylindryczne, z tkaniny barwionej w jaskrawe pasy, szachownice bądź rozmaite zygzaki. Nad każdym łopotała chorągiew. Konie stały uwiązane na zewnątrz Dookoła uwiązali się giermkowie i pachołki. Nosili zbroje, siodła, wodę i siano. Na obrzeżu obozowiska kilku ludzi przetaczało beczki, z których przy każdym obrocie dolaływał głośny szum.

— To piasek — wyjaśnił Marek. — Wycierają w nim kolczugi, żeby usunąć rdzę.

— Aha.

Chris próbował się skupić na szczegółach, chcąc odsunąć od siebie myśl o tym, co go czeka. Nie mógł się jednak uwolnić od wrażenia, że idzie na ścięcie.

Weszli do namiotu, gdzie czekało już trzech pachołków. W przeciwległym końcu paliło się małe ognisko. Na derce pośrodku leżała rozłożona zbroja Marek pobieżnie zlustrował ją wzrokiem i orzekł:

— Dobra. Zawrócił na pięcie.

— Dokąd idziesz? — spytał Chris.

— Do drugiego namiotu, żeby się przygotować.

— Ale ja nie wiem, jak...

— Oni ci pomogą — rzucił Andre i wyszedł.

Chris obrzucił uważnym spojrzeniem elementy zbroi. Jego uwagę przyciągnął hełm ze spłaszczoną przednią częścią. Przypominała kaczy dziób. Powyżej znajdowała się pojedyncza wąska szczelina wizury. Obok leżał drugi wyglądający zwyczajnie. Ucieszyła go możliwość wyboru.

— Pozwólcie, panie — odezwał się najstarszy z pachołków, nieco lepiej ubrany od innych. Wyglądał na czternastolatka. — Stańcie tutaj. — Wskazał miejsce pośrodku namiotu.

Chris przesunął się posłusznie. Chłopcy zaczęli go rozbierać. Po chwili został w samych gaciach i lnianej koszuli. Wśród pachołków rozległy się pomruki zdziwienia.

— Chorowaliście, panie? — zapytał któryś.

— Nie...

— Musiała was trawić jakaś gorączka, co osłabiła wasze ciało.

— Nie skąd... — Zmarszczył brwi.

Bez dalszych komentarzy zaczęli go ubierać. Najpierw wciągnęli mu grube i sztywne wełniane pończochy, potem ciężką, gęsto pikowaną koszulę z długimi rękawami, zapinaną z przodu rzemykami naciąganyymi na guziki. Ledwie mógł w niej podnieść i zgiąć ręce.

— Zesztywniała od prania, jednak szybko się poluźni — wyjaśnił jeden z pachołków.

Chris wcale nie był o tym przekonany. Matko Boska, pomyślał, już mam skrupowane ruchy, a jeszcze nawet nie zaczęli mnie zakuwać w zbroję. Z rosnącym zdumieniem patrzył, jak chłopcy mocują na nim kolejne płyty osłaniające gołonie, kolana i uda. Później przyszła kolej na naramienniki zakrywające także ręce. Po przytwierdzeniu każdego elementu prosili go, by podniósł nogę albo zgiął rękę i sprawdził, czy rzemienie nie są ściągnięte zbyt mocno.

Potem wsunęli mu przez głowę kolczugę. Poczuł na barkach jej olbrzymi ciężar. Kiedy dwaj chłopcy mocowali z przodu napierśnik, najstarszy pachołek po-

czał zadawać pytania, na które Chris nie potrafił odpowiedzieć.

- Siadacie wysoko, panie, czy na terlicy?
- Chylicie kopię ku ziemi alibo wznosicie ją na piętcę?
- Wiążecie, panie, klamrę do łęku, zali siadacie swobodnie?
- Strzemiona mają być nisko libo krótko ku przodowi?

Wydawał z siebie nieartykułowane pomruki. W miarę, jak przybywało kolejnych elementów zbroi, padały dalsze pytania.

- Trzewiki luźno czy sztywno?
- Nałokietniki ku osłonie, zali do tarczy?
- Miecz z lewej czy z prawej?
- Chcecie misiurkę pod hełm?

Uginał się już pod rosnącym ciężarem, a przybywające płyty pancerza coraz bardziej ograniczały mu zakres ruchów. Chłopcy uwijali się sprawnie i po paru minutach był zakuty w zbroję. Odsunęli się od niego i obrzucili uważnymi spojrzzeniami.

- Dobrze, panie?
- Tak, dobrze — odparł.
- Teraz hełm.

Sądził, że to, co ma już na głowie, stanowi wystarczającą osłonę, okazało się jednak, że misiurka jest tylko podkładką pod hełm z kaczym dziobem. Nagle otoczyła go ciemność, poczuł na ramionach dodatkowy ciężar. Nie widział niczego poza wąską przestrzenią dokładnie na wprost poziomej szczeliny wizury.

Serce zaczęło mu mocniej bić. Dusił się, nie mógł zaczerpnąć powietrza. Z wysiłkiem uniósł dłoń do twarzy i nieporadnie próbował odchylić przednią zasłonę, lecz to nie była przyłbica. Jego chrapliwy oddech rozbrzmiewał echem wewnątrz żelaznego hełmu. Żołądek podszedł mu do gardła. Naprawdę się, dusił! Wetknął kciuki pod szeroką kryzę osłaniającą szyję, chcąc zrzucić hełm z głowy.

Pachołki unieśli go szybko, najstarszy zajrzał mu w oczy.

- Wszystko dobrze, panie?

Chris odkaszlnął i pokiwał głową, bojąc się otworzyć usta. Chciał powiedzieć, żeby nie wkładali mu tego żelastwa na głowę, lecz nie zdążył. Hełm opadł na ramiona. Chłopcy chwycili go pod ręce i wyprowadzili z namiotu przed którym stał już przygotowany koń.

Jezus, Maria!

Koń był olbrzymi i miał na sobie jeszcze więcej żelaza niż on. Łeb zakrywał mu bogato zdobiony pancerz, pierś i boki osłaniały wielkie masywne płyty. Mimo tego obciążenia zwierzę było nadzwyczaj ruchliwe, głośno par skało i szarpało wodze trzymane przez pachołka. To był prawdziwy bojowy rumak, w dodatku znacznie bardziej narowisty niż jakikolwiek wierzchowiec z którym Chris miał dotąd do czynienia. Ale nie to go najbardziej martwiło. Przeraziła go wielkość zwierzęcia. Koń był tak ogromny, że Hughes ponad jego grzbietem widział tylko

niebo. A ponadto miał na sobie wielkie drewniane siodło. Stojący dookoła chłopcy patrzyli na Chrisa z wyczekiwaniem. Czego się spodziewają? — pomyślał. Że sam się tam wdrapię?

— Jak mam. . .

Najstarszy pacholek zrobił zdziwioną minę. Podeszedł bliżej i wyjaśnił półgłosem:

— Chwycie się tutaj, panie, za ten kołek i podnieście. . .

Chris wyciągnął rękę. Ledwie zdołał dosięgnąć przedniego łęku siodła trójkątnego w przekroju. Zacisnął na nim palce, z wysiłkiem podniósł nor, i wsunął stopę w strzemię.

— Powinniście postawić lewą nogę, panie.

No tak oczywiście, że lewą. Wiedział o tym, ale był zbyt przejęty i zdenerwowany. Machnął kilkakrotnie nogą, chcąc uwolnić stopę ze strzemienia, lecz blaszany trzewik na dobre się o nie zaczepił. Chris pochylił się maksymalnie i próbował odzepić rzemień ręką, ale ten trzymał mocno. Kiedy wreszcie ześlizgnął się z trzewika, Hughes stracił równowagę, poleciał do tyłu i padł sztywno na wznak tuż pod zadnie kopyta rumaka. Przerażeni chłopcy błyskawicznie odciągnęli go spod konia.

Postawili go na nogi i wspólnym wysiłkiem pomogli dosięgnąć rumaka, Chris czuł, że popychają za biodra. Gdy znalazł się w powietrzu, wysoko zadarł prawą nogę i niemal cudem, z głośnym brzękiem zbroi, wylądował w siodle.

Spojrzał w dół, ziemia wydawała mu się strasznie daleko. Miał wrażenie, że znalazł się co najmniej trzy metry nad nią. Rumak zaczął głośniejsz parskać i potrząsać łbem. Rzucił przy tym zadem na boki. Chris miał wrażenie, że strzemiona umykają mu spod stóp. To cholerne bydlę zaraz mnie zrzuci, przemknęło mu przez myśl.

— Wodze, panie! Wodze! Musicie je ściągnąć!

Raz i drugi szarpnął wodze, ale koń nie zareagował. Wciąż rzucał się na boki i zadzierał łeb, jakby chciał ugryźć jeźdźca.

— Pokażcie mu, panie! Mocno!

Chris ściągnął wodze z taką siłą, jak gdyby chciał skrócić rumakowi kark. Koń głośno parsknął, ale karnie uniósł łeb i natychmiast się uspokoił.

— Tak dobrze, panie.

Zagrały fanfary, rozbrzmiał krótki hejnał.

— To pierwsze wezwanie do oręża — oznajmił najstarszy pacholek. — Trza ruszyć na pole.

Chwycił wodze i poprowadził rumaka na koniec porośniętego trawą pola.

36.02.00

Była pierwsza w nocy. Ze swego gabinetu w gmachu zarządu ITC Robert Doniger patrzył przez okno na wylot kopalnianej sztolni, oświetlanej przez światła

sześciu karetek. Wsłuchiwał się w trzaski krótkofalówek sanitariuszy i spoglądał na wyłaniające się z szybu grupki ludzi. Ujrzał w tłumie Gordona, który wyszedł spod ziemi w towarzystwie tego młodego archeologa, Sterna. Wyglądało na to, iż żaden z nich nie odniósł najmniejszych obrażeń. W szybie odbiła się sylwetka wchodzącej do pokoju Kramer. Diane była wyraźnie zdyszana. Nie oglądając się, zapytał:

— Ilu rannych?

— Sześciu, w tym dwóch ciężko.

— Jak bardzo?

— Jednego poraniły odłamki granatu, drugi doznał poparzeń od toksycznych wyziewów.

— Zabiorą ich do szpitala uniwersyteckiego?

— Tak, do Albuquerque. Powiedziałam im już, co mają zeznawać. To był zwykły wypadek w laboratorium, nic więcej. Zadzwoiłam też do dyrektora szpitala, Whittle'a, i przypomniałam mu o naszej ostatniej dotacji. Nie sądzę, by robił jakieś trudności.

Doniger wciąż stał przed oknem.

— Miejmy nadzieję — burknął.

— Z całą resztą poradzą sobie nasi rzecznicy.

— Albo i nie.

Ostatnio zarząd ITC zatrudnił dwudziestu sześciu speców od reklamy. Ich zadaniem nie było jednak propagowanie osiągnięć firmy, ale odciąganie od niej uwagi opinii publicznej. Wszystkim zainteresowanym tłumaczyli, że ITC zajmuje się wytwarzaniem nadprzewodzących elementów kwantowych do magnetometrów i medycznych skanerów rezonansu magnetycznego. Demonstrowali tajemniczy walec piętnastocentymetrowej długości, nie wdając się w żadne szczegóły skomplikowanej konstrukcji mechanicznej i elektronicznej. Dzięki temu wszelkie doniesienia prasowe mogły zawierać jedynie nudne specjalistyczne opisy produkowanych części aparatów.

Jeśli mimo wszystko jakiś dziennikarz okazywał zaniepokojenie, oprowadzano go po kompleksie w Nowym Meksyku, pokazując wybrane laboratoria badawcze. Na końcu demonstrowano olbrzymią halę, gdzie montowano urządzenia — robotnicy instalowali obwody gradiometryczne w kriostatach, zakładali osłony elementów nadprzewodzących i podłączali zewnętrzne wyprowadzenia. Rozwlekłe wyjaśniano zasadę działania tych części, opierając się na równaniach Maxwella i prawach ruchu ładunków elektrycznych. To zawsze sprawiało, że niktó wszelkie zainteresowanie pracami ITC. Jeden z reporterów, napisał, że „jest to równie pasjonujące, jak linia montażowa suszarek do włosów”.

W ten sposób udawało się trzymać w ścisłej tajemnicy najbardziej niezwykle odkrycie naukowe końca dwudziestego wieku. Postępowali tak ze względu na konkurencję. Wiadomo było, że takie firmy jak IBM czy Fujitsu prowadziły bada-

nia w zakresie fizyki kwantowej. Doniger wyprzedził ich osiągnięcia co najmniej o cztery lata, nie zamierzał jednak ujawniać, jak daleko posunął się w swoich pracach.

Nie osiągnął jeszcze celu, a chciał do końca realizować swój plan w sekrecie. Często powtarzał z łobuzerskim uśmieszkiem: „Gdyby ludzie wiedzieli, co chcemy uzyskać, zrobiliby wszystko, aby nas powstrzymać”.

Niemniej zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później, choćby nawet przez przypadek, prawda wyjdzie na jaw. Dlatego zawczasu przygotowywał się na tę chwilę.

Teraz zaprzętało go tylko jedno pytanie: Czy ta chwila właśnie nadeszła?

Patrzył, jak karetki odjeżdżają z wyciem syren.

— Tylko pomyśl — odezwał się do Kramer. — Jeszcze dwa tygodnie temu wszystko było zapięte na ostatni guzik. Mogliśmy się najwyżej martwić tą wścibską francuską dziennikarką. Potem Traubowi odbiło i całe przedsięwzięcie znalazło się w zagrożeniu. Śmierć Trauba przyciągnęła uwagę znudzonego gliniarza z Gallup, który do dzisiaj węszy wokół nas. Później zjawił się Johnston, wreszcie czworo jego podopiecznych. A teraz sześciu techników zabrano do szpitala. Wkrótce zlecą się tu sępy, Diane. Będziemy musieli się gęsto tłumaczyć.

— Myślisz, że sytuacja wymyka się nam spod kontroli?

— Niewykluczone, ale spróbuję temu zaradzić. Dziś po południu mam się spotkać z trzema potencjalnymi nowymi członkami zarządu. Wcześniej musimy wszystko doprowadzić do porządku.

Przytaknęła ruchem głowy.

— Sądzę, że jakoś z tego wybrniemy.

— Dopilnuj — rzekł, odwracając się od okna — żeby Stern wylądował na noc w jednym z pokoi gościnnych i grzecznie usnął. Załóżcie mu blokadę na telefon. A jutro Gordon ma go nie odstępować na krok. Niech go oprowadzi po laboratoriach, czymś zajmie. Nie spuszczaście go z oka. Na ósmą rano zwołaj w sali konferencyjnej spotkanie całego zespołu rzeczników prasowych. Na dziewiątą chcę mieć raport o stanie technicznym sekcji tranzytowej. Rzecznicy mają stąd zniknąć do południa. Już teraz ich powiadom, żeby zdążyli się przygotować.

— Oczywiście.

— Nie wiem, czy zdołam przywrócić kontrolę nad sytuacją, ale się postaram.

— Zmarszczył brwi, jeszcze raz wyjrzał przez okno i zapytał: — Kiedy ludzie będą mogli wrócić na swoje stanowiska?

— Za dziewięć godzin.

— Damy radę zorganizować kolejną wyprawę ratunkową?

Kramer odchrząknęła.

— No cóż. . .

— Coś ci utkwilo w gardle czy boisz się powiedzieć: nie?

— Eksplozja zniszczyła wszystkie maszyny, Bob.

- Wszystkie?
- Niestety tak.
- Więc możemy tylko uporządkować sekcję i mieć nadzieję, że tamci wrócą cali i zdrowi?
- Zgadza się. Nie zdołamy im pomóc.
- Pozostaje więc liczyć na ich spryt i znajomość rzeczy. Niech pieprzona opatrność ma ich w swej opiece.

31.40.44

Przez wąską szczelinę wizury Chris mógł dostrzec jedynie, że trybuny są niemal całkowicie zapełnione, głównie przez kobiety, a przy ogrodzeniu tłoczy się zbита rzesza gawiedzi. Rozległy się okrzyki nawołujące do rozpoczęcia pojedynku. Stał na wschodnim krańcu pola w otoczeniu trzech pachołków, którzy próbowali poskromić olbrzymiego rumaka, na nowo pobudzonego zgiełkiem i wrzaskami gapiów. Najstarszy chłopak starał się ułożyć w dłoni Chrisa skrócone wodze. Wydawały się niepomernie długie i wąskie, trudne do utrzymania w ciężkiej rękawicy. Kiedy tylko szarpnięciami usiłował opanować konia, ten natychmiast parsknął jeszcze głośniej i rzucał zadem na boki.

W pewnym momencie Hughes zauważył Kate. Stała przy samym ogrodzeniu w ciżbie widzów. Uśmiechem próbowała dodać mu odwagi.

Z boku pola dostrzegł także zakutego w zbroję Marka. Otaczali go pachołkowie.

Rumak szarpnął, wyrwał wodze z rąk chłopców i obrócił się bokiem. Chris ujrzał wreszcie stojącego w przeciwległym końcu placu sir Maleganta, który wkładał właśnie przyłbicę ozdobioną czarnymi piórami.

Koń szarpnął w drugą stronę i obrócił się tyłem do pola walki. Zagrały fanfary, spojrzenia ludzi skierowały się ku środkowej części trybuny. Chris domyślił się, że to lord Oliver zajmuje honorowe miejsce.

Po raz drugi rozległy się fanfary.

— To sygnał dla was, panie — rzekł pachołek, podając mu kopię.

Tym razem Chris zdołał ją utrzymać na tyle długo, by chłopak zdążył wcisnąć piętę w zagłębienie tylnego łęku siodła. Drzewce układało się skośnie względem grzbietu konia i mierzyło w lewo, jego tępo ścięty koniec znalazł się na wysokości głowy jeźdźca. Rumak wierzgnął i znów szarpnął się w bok, aż Hughes poleciał na jego kark. Chłopcy rozpierzchli się z krzykiem, gdy ciężka kopia przecięła powietrze tuż nad nimi.

Ponownie zagrały fanfary.

Chris mocno ściągnął wodze, starając się zapanować nad niesfornym zwierzęciem. W polu widzenia na krótko ukazał mu się sir Guy, który siedział sztywno na stojącym bez ruchu koniu i patrzył w jego stronę. Hughes pomyślał, że warto

jak najszybciej skończyć tę zabawę. Był pewien, że nie zdoła opanować rumaka. Coraz bardziej rozwścieczony raz i drugi szarpnął wodze.

— Jazda, ty cholerny bydlaku! — wrzasnął.

Koń wolno uniósł i opuścił łeb, wreszcie położył uszy po sobie. Posłusznie ruszył do szarży.

Marek obserwował przyjaciela z rosnącym napięciem. Nie powiedział mu wszystkiego, bo nie chciał go straszyć. Był jednak przeświadczony, że sir Guy będzie chciał zabić przeciwnika i wymierzy kopię nie w pierś, lecz w głowę. Chris kołysał się na wszystkie strony w siodle, jego kopia jak oszalała tańczyła w powietrzu. Stanowił bardzo niepewny cel, lecz jeśli sir Guy miał wprawę w takich potyczkach — a w to Marek ani trochę nie wątpił — i tak mógł trafić w hełm. Na pewno pragnął zadać śmiertelny cios, nawet ryzykując chybienie celu podczas pierwszej szarży.

Chris zbliżał się do środka pola, jakimś cudem wciąż utrzymując się w siodle. Malegant ruszył do ataku. Wprawnie kierował koniem, lekko pochylony do przodu, z kopią ułożoną w zgięciu prawej ręki.

No cóż, pomyślał Marek, pozostaje tylko się modlić, by Chris wyszedł cało z tego pojedynku.

Hughes niewiele widział przez wizurę. Silnie rzucało nim na boki, więc przed oczyma miał to zapełnioną trybunę, to trawiaste pole, to znów rycerza pędzącego w jego stronę. Na podstawie tych wyrywkowych obserwacji starał się ocenić szybkość przeciwnika, a raczej oszacować czas, jaki pozostał mu do wysadzenia z siodła. Słyszał tylko ogłuszający tętent kopyt swego rumaka i głośny świst końskiego oddechu. Starał się utrzymać w pozycji wyprostowanej i jednocześnie nakierować kopię na szarżującego przeciwnika. Wszystko trwało znacznie dłużej, niż przewidywał. Miał wrażenie, że galopuje już od godziny.

W ostatniej chwili dostrzegł tuż przed sobą sir Guya. Nagle coś wyrwało mu kopię z ręki, drzewce boleśnie uderzyło go w prawy bok. Niemal równocześnie poczuł przeszywający ból w lewym ramieniu. Impet uderzenia sprawił, że tylny łęk siodła wbił mu się w plecy. Rozległ się głośny trzask pękającego drzewca.

I jęk zawodu gapiów.

Rumak, jakby nic się nie stało, galopował na koniec pola. Chris osłupiał. Jak to możliwe? Ramię miał silnie stłuczone. Kopia rozpekła się w drzazgi.

On jednak wciąż utrzymywał się w siodle!

Szlag by to trafił!

Marek skrzywił się boleśnie. Nie dopisało im szczęście. Kopia przeciwnika ześliznęła się po naramienniku zbroi, uderzenie było zbyt słabe, żeby wysadzić Chrisa z siodła. Trzeba było powtórzyć szarżę. Obejrzał się na sir Guya, który kłął na cały głos, odbierając z rąk pachołków drugą kopię. Po chwili zawrócił konia i ustawił go do kolejnego ataku.

Chris także dzierżył w dłoni długie, ciężkie drzewce. Kołysało mu się nad

głową jak gigantyczna wskazówka metronomu. Wreszcie zdołał zaprzeć piętę w zagłębieniu siodła, lecz jego rumak znów zaczął rzucać się na boki.

Sir Guy był coraz bardziej rozwścieczony. Nie czekał na hejnał. Szarpnął wodze i ruszył do ataku.

Ty łobuzie! — przemknęło Markowi przez myśl.

* * *

W tłumie gapiów rozległy się okrzyki zdumienia. Słyszac je, Chris spojrzął przed siebie i zobaczył pędzącego ku niemu przeciwnika. Tymczasem jego koń w ogóle nie reagował na szarpnięcia wodzami. Hughes ściągał je z całej siły, wreszcie któryś z pachołków mocno klepnął zwierzę po zadzie.

Koń zarżał. Położył uszy po sobie.

I ruszył do ataku.

Chrisa ogarnęły najgorsze przeczucia. Miał już przedsmak tego, co może się zdarzyć.

Dostał silne uderzenie w piersi, ból rozlał się po całym ciele. Chris odnósł wrażenie, że czas nagle zwolnił. Dokładnie widział wyskakujące spod niego siodło i oddalający się koński zad. Po chwili szczelinę wizury wypełnił błękit nieba.

Z hukiem grzmotnął plecami o ziemię. Tyłem głowy uderzył o wewnętrzną część hełmu, aż pociemniało mu w oczach. Widział tylko granatowe plamy, stopniowo szarzące i ciemniejące. Usłyszał jeszcze głos Marka:

— Zostań tam! Nie ruszaj się!

Gdzieś w oddali zagrały fanfary. Plamy przed oczyma zlały się powoli i ogarnął go mrok.

Sir Guy zawrócił konia, szykując się do trzeciej szarży. W tej samej chwili hejnał obwieścił początek starcia drugiej pary.

Marek opuścił kopię, kopnął piętami boki konia i ruszył do ataku. Nie spuszczał wzroku z pędzącego z naprzeciwka sir Charlesa de Gaune. Wsłuchał się w rytmiczny tętent kopyt i narastający gwar tłumy gapiów, przeczuwających widocznie, że ten pojedynek będzie bardziej widowiskowy. Koń błyskawicznie nabierał prędkości. Sir Charles także galopował coraz szybciej.

Według średniowiecznych kronikarzy największym wyzwaniem dla ścierających się rycerzy nie było precyzyjne wymierzenie kopii w zbliżający się szybko ruchomy cel, lecz pozostanie na linii natarcia, utrzymanie się prosto w siodle i opanowanie lęku, który nakazywał wykonanie natychmiastowego unik.

Marek wielokrotnie napotykał podobne opisy, ale dopiero teraz pojął ich prawdziwe znaczenie: przeszył go nagle dreszcz, opanowała dziwna słabość, a kolana

zaczęły dygotać, mimo że ścisnął nimi boki konia. Starał się wymierzyć kopię w sir Charlesa, lecz koniec drzewca odchyłał się w górę i w dół podczas jazdy. Andre poderwał kopię z łęku siodła i ułożył w zgięciu ramienia. Przeszła tańczyć. Skupił się na opanowaniu oddechu. Poczuł, że wracają mu siły. Zacisnął wodze w garści. Od przeciwnika dzieliło go osiemdziesiąt metrów.

Popędził jeszcze konia.

Zauważył, że sir Charles unosi kopię. Mierzył wysoko, w głowę. A może to tylko wybieg? Często się zdarzało, że szarżujący rycerze w ostatniej chwili zmieniali obronę taktykę. Jak powinien postąpić?

Sześćdziesiąt metrów.

Mierzenie w głowę było ryzykowne. Cios w środek napierśnika można było zadać ułamek sekundy wcześniej. Dawało to kilkanaście centymetrów przewagi i zarazem sposobność wyprzedzenia przeciwnika. Wymagało jednak ogromnej siły. Trzeba było wytrzymać impet uderzenia i zachować dostateczną kontrolę nad kopią.

Pięćdziesiąt metrów.

Sir Charles wciąż mierzył wysoko. Silnie ścisnął drzewce i pochylił się do przodu. W ten sposób mógł lepiej panować nad kopią. Marek poczuł, że znów ogarnia go lęk.

Czterdzieści metrów.

Nic jeszcze nie było pewne. Postanowił mierzyć w pierś. Opuścił nieco kopię. Wiedział, że nie będzie już czasu wymierzyć jej ponownie.

Trzydzieści metrów.

Ryk tłumu wybił się ponad ogłuszający tętent kopyt. W starych kronikach przestrzegano, aby nigdy nie zamykać oczu w chwili starcia. Należało je mieć do końca otwarte, jeśli chciało się trafić przeciwnika.

Dwadzieścia metrów.

Marek miał oczy szeroko rozwarte.

Dziesięć.

Ten łajdak jeszcze podniósł kopię!

Mierzy prosto w twarz!

Trzask!

Huk pękającego drzewca przypominał wystrzał z pistoletu. Marek poczuł gwałtowny ból w lewym ramieniu, promieniujący na całą górną połowę ciała. Dojechał do końca pola, rzucił na ziemię strzaskaną kopię i wyciągnął rękę po drugą. Nie dostał jej jednak. Pacholki z rozdziawionymi ustami patrzyli na środek placu.

Obejrzał się przez ramię. Sir Charles leżał bez ruchu na trawie.

Sir Guy zaś krążył wokół nieprzytomnego Chrisa i szarpał wodzami rumaka. A więc tak chciał zakończyć walkę — stratować przeciwnika.

Marek zawrócił, dobył miecza i uniósł go wysoko nad głowę.

Z dzikim okrzykiem skierował konia na środek pola.

Nasilił się ryk tłumu, pięści zadudniły o belki ogrodzenia. Sir Guy obejrzał się na galopującego przeciwnika. Potem spojrzął na Hughesa, spiął konia i szarpnął wodzami w bok, chcąc go zmusić do tratowania leżącego człowieka.

— Łotr! Łotr! — ryknęła gawiedź.

Nawet zdumiony lord Oliver poderwał się z miejsca. Marek dopadł rycerza. Nie mógł gwałtownie zatrzymać konia, więc tylko obrócił miecz w dłoni i wymierzył silny cios płazem w jego hełm.

— Kretyn! — wrzasnął.

Wiedział, że w ten sposób nie pokona rywala, chciał go jednak znieważyć i odciągnąć od przyjaciela. Osiągnął zamierzony skutek.

Sir Guy natychmiast skierował konia w jego stronę, dobył miecza i z takim impetem machnął nim nad głową, że ostrze ze świstem rozcięło powietrze. Miecze zderzyły się z głośnym brzękiem. Ledwie opanowując silne wibracje żelaza, Marek błyskawicznie ciął w lewo, ale i ten cios został sparowany. Konie zaczęły krążyć wokół siebie. Rytmiczny brzęk mieczy rozniósł się nad polem turniejowym.

Już po pierwszych uderzeniach Andre zrozumiał sobie, że to walka na śmierć i życie.

Kate przyglądała się pojedynekowi ze skraju placu. Marek walczył dzielnie, ale widać było, że nie dorównuje Malegantowi w bojowym doświadczeniu. Cięcia wyprowadzał zbyt szeroko, a w siodle trzymał się niepewnie. Musiał zdawać sobie z tego sprawę, podobnie jak sir Guy, który zachowywał stały dystans, jakby specjalnie robiąc miejsce do zamachów. Marek bezskutecznie napierał to z jednej, to z drugiej strony niczym bokser usiłujący klinzować przeciwnika.

Było jasne, że nie wytrzyma tego długo; wcześniej czy później Guy wykorzysta jego zmęczenie i znalazłszy dogodną chwilę, wyprowadzi to jedno potężne, zabójcze cięcie.

Marka zalewał pot, grube krople ściekały mu z brwi na oczy. Energicznie potrząsnął głową, chcąc oczyścić sobie pole widzenia, lecz niewiele to pomogło. Wkrótce zabrakło mu też oddechu. Przez wizurę obserwował uważnie sir Guya, który sprawiał wrażenie spokojnego i rozluźnionego. Ani na chwilę nie przerywał ataku, wyprowadzał cięcia rytmicznie, bez większego wysiłku, jak na ćwiczeniach. Andre pomyślał, że musi szybko zmienić taktykę, bo niedługo pokona go własne zmęczenie. Trzeba było zakłócić rytm natarć przeciwnika.

Mięśnie jego prawej ręki, w której trzymał miecz, odzywały się już dotkliwym bólem. Lewą miał prawie tak samo silną. Czemu więc tego nie wykorzystać?

Warto spróbować.

Spiął konia i po raz kolejny zbliżył się do przeciwnika. Zaczekał na cios, sparował go i grzmotnął lewą pięścią w przednią część hełmu Maleganta. Temu głowa odskoczyła do tyłu, rozległo się ciche plaśnięcie. Najwyraźniej sir Guy uderzył

czołem o żelazną płytę osłony.

Marek natychmiast poderwał miecz nad głowę i wymierzył drugi cios w hełm ciężką gałką rękojeści. Huk był o wiele głośniejszy, sir Guy wyraźnie zachwiał się w siodle, bezradnie opuściwszy ręce. Andre bez zastanowienia jeszcze raz grzmotnął gałką w przednią część hełmu. Wiedział, że dla zakutego w zbroję rycerza musi to być bardzo bolesne. Nie wystarczyło jednak, by go zranić.

Miecz Maleganta zatoczył w powietrzu szeroki łuk i spadł Markowi na plecy. W prawym ramieniu rozlał się nieznośny ból, jakby ktoś go smagnął biczem po gołej skórze. Czy kolczuga wytrzymała? Nie pękła żadna kość? — przemknęło mu przez myśl. Wciąż mógł poruszać ręką. Wyprowadził więc szeroki cios w hełm przeciwnika, który nie zdążył się przed nim zasłonić. Miecz z głośnym brzękiem uderzył w czołową płytę. To powinno go oszołomić, pomyślał Andre.

Błyskawicznie wziął kolejny zamach, szarpnął wodzami, obracając koniu, i wymierzył cięcie w kryzę pod hełmem. Sir Guy zdołał sparować cios, lecz, impet uderzenia musiał go zaskoczyć. Wychylił się w siodle daleko do tyłu. Lewą ręką sięgnął na osłep do łęku, ale nie zdążył. Stracił równowagę i z łoskotem zwałił się na ziemię.

Marek natychmiast przerzucił prawą nogę nad siodłem. Gapie zawyli z radości. Dostrzegł przez ramię, że sir Guy bez trudu poderwał się na nogi, najwyraźniej nie odniósł poważniejszych urazów. Od razu zamachnął się do ciosu, zanim jeszcze Andre zdołał zeskoczyć z konia. Z lewą stopą uwięzioną wciąż w strzemieniu nieporadnie sparował uderzenie, po czym zeskoczył na trawę. Przeciwnik zachował mnóstwo sił i nadal był pewny siebie.

Marek pojął, że znalazł się w jeszcze gorszej sytuacji. Jego zaciekle ataki Malegant parował z łatwością, poruszał się lekko i zwinnie. On tymczasem z trudem łapał powietrze. Nie miał wątpliwości, że sir Guy słyszy jego chrapliwy oddech i świetnie rozumie, co to oznacza.

Błyskawicznie tracił siły.

Przeciwnikowi wystarczyło tylko umiejętnie się bronić i spokojnie czekać, aż wyczerpanie weźmie górę.

Chyba że...

Na lewo od nich Chris wciąż nieruchomo leżał na wznak.

Marek nasilił atak, metodycznie przesuwał się w prawo po każdym ciosie. Malegant wciąż z łatwością parował każde uderzenie. Ale teraz był spychany w kierunku nieprzytomnego Hughesa.

Chrisowi z wolna wracała świadomość, docierał do niego głośny szczeł mieczy. Stopniowo uprzytomnił sobie, że leży na ziemi, szczelinę wizury wypełniał błękit nieba. Wciąż żył. Nie wiedział jednak, co się stało. Z wysiłkiem obrócił głowę. Przed oczyma miał tylko wąski skrawek dziennego blasku. W pancerzu było gorąco i duszno. Powrócił klaustrofobiczny lęk.

Zrobiło mu się niedobrze.

Poczuł skurcz żołądka. Pomyślał, że nie wolno mu wymiotować w hełmie. Zbyt ciasno otaczał głowę, łatwo było się zakrztusić własnymi wymiocinami. Musiał go ściągnąć. Wciąż leżąc na wznak, uniósł ręce i wcisnął palce pod kryzę.

Pchnął raz i drugi.

Hełm nawet nie drgnął. Dlaczego? Coś go trzymało na zbroi? A może był zbyt ciężki, by go zsunąć w pozycji leżącej?

Chrisowi było coraz bardziej niedobrze.

Matko Boska!

W panice przekreślił się na brzuch.

Marek wyprowadzał coraz szersze cięcia. Zauważył, że Chris zaczyna się ruszać. Chciał krzyknąć, żeby pozostał na trawie, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Natarł z prawej, potem z lewej.

Hughes próbował zdjąć hełm. Dzielilo ich od niego jeszcze z dziesięć metrów. Sir Guy lekko kołysał się na nogach, robił uniki, jakby sprawiało mu radość parowanie kolejnych ciosów.

Marek czuł, że jest u kresu sił. Wiedział, że jego uderzenia wyraźnie słabną. Tymczasem Malegant był w swoim żywiole. Płynnie odskakiwał i zasłaniał się mieczem. Tylko czekał na dogodny moment.

Pięć metrów.

Chris przekreślił się na brzuch, zaczynał wstawać. Uklęknął i znów sięgnął oburącz do hełmu. Chwilę później rozległy się odgłosy gwałtownych torsji.

Guy także je usłyszał. Przekreślił głowę, jakby chciał się obejrzeć...

Marek dał nura przed siebie. Walnął przeciwnika bykiem w sam środek narpierśnika. Malegant poleciał do tyłu, potknął się o Chrisa i grzmotnął na ziemię.

Przekreślił się błyskawicznie, ale Marek zdążył go dopaść. Prawą nogą przydeptał dłoń sir Guya, zaciśniętą na rękojeści, a lewą stopą przycisnął do ziemi jego lewe ramię. Uniósł wysoko miecz, gotów do zadania śmiertelnego pchnięcia.

Nad polem zaległa cisza.

Malegant leżał bez ruchu.

Andre powoli opuścił głownię, poprzecinał rzemienie wiążące hełm z kirysem i czubkiem miecza zsunął go z głowy przeciwnika.

Guy zerknął na niego z ukosa i splunął w trawę. Jego lewe ucho silnie krwawiło.

Marek ponownie uniósł miecz. Ogarnęła go wściekłość. Zaciśnął mocniej palce na rękojeści, żeby jednym cięciem odrąbać przeciwnikowi głowę.

W oczach Maleganta pojawiło się przerażenie.

— Litości! — wrzasnął. — W imię Świętej Trójcy i Dziewicy Maryi! Litości! Błagam o litość!

Na trybunach zaległa cisza.

Marek nie był pewien, co zrobić. W głębi duszy jakiś głos mu podpowiadał: „Zabij tego łobuza”. Wiedział, że musi szybko podjąć decyzję. Im dłużej luk stał, z mieczem uniesionym nad bezbronnym przeciwnikiem, tym bardziej tracił pewność siebie.

Rozejrzał się po szeregach gapiów stłoczonych wzdłuż ogrodzenia. Nikt się nie poruszył, wszyscy spoglądali na niego. Później podniósł wzrok na sir Olive-
ra stojącego w otoczeniu dam dworu na trybunie. Gospodarz sprawiał wrażenie przerażonego. Marek obejrzał się pospiesznie na gromadkę pachołków przed namiotami. Oni także mieli strach w oczach. Po chwili najstarszy chłopak uniósł dłoń i jakby mimowolnym gestem szybko przeciagnał palcem przez pierś. Dawał znak: Wykończ go!

To dobra rada.

Marek jednak wciąż się wahał. Nad placem turniejowym zaległa pełna napięcia cisza, tylko od strony Chrisa dolatywały odgłosy kolejnych wymiotów. To one przeważyły szalę. Andre cofnął się o krok i wyciągnął rękę do Maleganta.

Sir Guy przyjął pomocną dłoń, szybko podniósł się z ziemi.

— Spotkamy się w piekle, łotrze! — rzucił z wściekłością.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

31.15.58

Przez zieloną łąkę porośniętą polnymi kwiatami płynął wąski strumyk. Chris kłęczał przy nim i zanurzał twarz w zimnej wodzie. Podnosił głowę, parsknął głośno i odkasływał. Wreszcie popatrzył na Marka, który siedział obok ze wzrokiem utkwionym w oddali.

— Mam dosyć — burknął. — Słyszysz? Mam tego dość!

— Wcale ci się nie dziwię.

— Mogłem zginąć. Co to ma być? Sport? Zabawa? Urządzają sobie walki kogutów na koniach! Ci ludzie są... nienormalni! — Pochylił się i zanurzył twarz w strumieniu.

— Chris.

— Nie cierpię wymiotów! Nie znoszę tego!

— Chris.

— Czego? Co jeszcze? Chcesz mi powiedzieć, że zbroja zardzewieje od wody? Gówno mnie to obchodzi, Andre!

— Nie. Pragnę cię przestrzec, że gdy filcowa koszula nasiąknie, silnie napęcznieje i nie dasz rady ściągnąć z siebie zbroi.

— Naprawdę? To też mnie nie obchodzi. Zawołam pachołków, żeby ją ze mnie ściągnęli. — Usiadł w trawie i splunął. — Jezu! Nie mogę się uwolnić od tego smrodu. Muszę wziąć kąpiel.

Marek nie odpowiedział. Widział, że Chrisowi wciąż trzęsą się ręce. Niech się swobodnie wygada, wyrzuci z siebie złość.

Na polu przed nimi łucznicy w kasztanowo-szarych strojach ćwiczyli strzelanie do tarczy. Nie zwracali uwagi na okrzyki dolatujące z placu turniejowego. Z godnym podziwu spokojem zakładali strzały, naciągali cięciwy i wypuszczali pociski. Dokładnie tak przedstawiały ich opisy w starych kronikach — angielscy łucznicy byli nadzwyczaj zdyscyplinowani i całymi oddziałami prowadzili codziennie ćwiczenia.

— Możesz podziwiać nową formację średniowiecznych wojsk — rzekł Marek. — Już teraz decydują o przebiegu całych bitew. Tylko popatrz.

Chris odchylił się do tyłu i oparł na łokciach.

— Chyba żartujesz — mruknął.

Łucznicy zwiększyli właśnie dystans do celów. Stali na samym końcu łąki, dobre dwieście metrów od tarcz, czyli w odległości dwóch boisk piłkarskich. Sylwetki ludzi były ledwie widoczne pod lasem.

— Oni naprawdę zamierzają?...

Niebo nad horyzontem poczerwiano od wypuszczonych strzał. Znaczna ich część wbiła się w słomiane tarcze, pozostałe utkwiliły w trawie blisko celu.

— No, no — mruknął Chris z podziwem.

Niemal od razu w górę wystrzeliła kolejna seria pocisków, później trzecia i czwarta. Marek odliczał w myślach. Strzelali w trójsekundowych odstępach. A więc to prawda, pomyślał, rzeczywiście angielscy łucznicy potrafili wypuszczać po dwadzieścia strzał na minutę. Ze zdumieniem patrzył, jak coraz więcej żelaznych grotów wbija się w wielkie koła ze słomy.

— Nawet szarża zbrojnej jazdy załamywała się pod takim ostrzałem — powiedział. — Pociski raziły ludzi i konie. Właśnie dlatego angielscy rycerze zawnazasiadali z rumaków i ruszali do boju pieszo. Francuzi nadal atakowali w tradycyjny sposób i wystawiali się na rzeź, nie zbliżywszy się nawet do angielskich szeregów. Pod Crecy zginęło cztery tysiące rycerstwa, a pod Poitiers jeszcze więcej. W tej epoce to były ogromne straty.

— Więc dlaczego Francuzi nie zmienili taktyki? Nie widzieli, co się dzieje?

— Widzieli, lecz dla nich oznaczało to konieczność zmiany całej filozofii walki, zarzucenia narosłej od wieków tradycji. Rycerze wywodzili się ze szlachty, koszty uzbrojenia przekraczały możliwości pospólstwa. Każdy wojownik musiał kupić sobie zbroję, utrzymać co najmniej trzy bojowe rumaki, w dodatku opłacić liczną służbę, giermków i pachółków. Do tej pory rycerstwo stanowiło decydującą siłę w każdej wojnie, lecz ta epoka dobiegła końca. — Wskazał szereg łuczników pod lasem. — Ci wojownicy wywodzą się z pospólstwa. Zwyciężają dzięki żelaznej dyscyplinie i karności. Walory osobiste tracą na znaczeniu. Oni po prostu wykonują to, za co biorą żołd. Rodzi się właśnie przyszłość sił zbrojnych, oddziały dobrze opłacanych, zdyscyplinowanych, lecz bezimiennych żołnierzy. To

koniec rycerstwa.

— Któremu pozostaną jedynie turnieje — dodał z goryczą Chris.

— Zgadza się. Ale i one wkrótce przejdą do historii. Zbroje rozwinęły się jako ochrona przed strzałami łuczników, godzącymi śmiertelnie wroga, nawet osłoniętego kolczugą. Dlatego rycerze potrzebowali kutych żelaznych zbroi, dla siebie i swych rumaków. Mimo wszystko pod tak intensywnym ostrzałem... — ruchem głowy wskazał następną gromadę strzał, które wyleciały w powietrze. — To koniec rycerstwa.

Chris obejrzał się na plac turniejowy i mruknął:

— Chyba na nas pora.

Marek odwrócił głowę. W ich kierunku szło pięciu pachołków i dwóch strażników w krótkich, czerwono-czarnych płaszczach.

— Wreszcie uwolnię się od tej przeklętej skorupy — dodał Hughes. Obaj wstali z ziemi. Pierwszy strażnik zatrzymał się przed nimi i oznajmił:

— Złamaliście prawa turnieju, okryliście hańbą walecznego rycerza Guya de Maleganta i gościnę naszego pana, lorda Olivera. Jesteście wzięci w areszt i pójdziecie z nami.

— Chwileczkę! — syknął Chris. — My go pohańbiliśmy?!

— Pójdziecie z nami.

— Zaraz! Nie...

Strażnik otwartą dłonią trzasnął go w ucho i pchnął w kierunku placu turniejowego. Marek posłusznie ustawił się obok. Cała grupa ruszyła do zamku.

* * *

Kate wciąż stała w tłumie gapiów. Już jakiś czas temu straciła z oczu obu kolegów. Zamierzała ich szukać między namiotami na skraju pola, ale tam kręcili się wyłącznie mężczyźni, rycerze, giermkowie i pachołkowie. A ona w skromnym stroju nie wyglądała na szlachetnie urodzoną. Gdyby jakiś hultaj zaciągnął ją na bok i zgwałcił, nikt nawet nie zwróciłby na to uwagi.

Zachowywała się tak, jak w New Haven po zmroku. Starła się nie oddalać od ludzi, zawsze trzymać blisko jakiejś grupy, ale i nie zbliżać za bardzo do podejrzanych gromadek młodych mężczyzn, żeby ich nie prowokować.

Przecisnęła się pod trybunę. Gromkie okrzyki gawiedzi powitały na placu zmagających kolejnych rycerzy. Rozglądała się uważnie po namiotach po drugiej stronie pola, nigdzie jednak nie spostrzegła Marka i Chrisa. Obaj zeszli z placu zaledwie parę minut wcześniej, sądziła więc, że powinni być w którymś namiocie. Już od godziny nie słyszała niczego przez radio. Domyślała się, że masywne hełmy

blokują łączność radiową, miała jednak nadzieję, że lada moment obaj uwolnią się od zbroi.

Nagle zobaczyła ich na łące za polem turniejowym, siedzących nad strumieniem.

Ruszyła w tamtą stronę. Słońce grzało dość mocno, zaczęła ją swędzić spocna skóra pod peruką. Pomyślała, że chyba lepiej było pójść za radą Gomez i przebrać się za mężczyznę. Nie musiałyby nosić uciążliwej peruki, a włosy ukryłaby pod czapką. Zresztą wystarczyło je trochę skrócić, a i bez czapki mogłaby uchodzić za kilkunastoletniego chłopaka.

Zaczęła się już nawet zastanawiać, skąd zdobyć nożyczki, gdy spostrzegła żołnierzy podchodzących do Marka. Zwolniła kroku. W radiu wciąż panowała cisza, chociaż nic nie powinno zakłócać łączności.

Czyżby urządzenie było wyłączone? Postukała się palcem w ucho.

Natychmiast doleciał ją głos Chrisa:

— My go pohańbiliśmy?!

Zaraz jednak coś głośno zatrzęszczało. Uniosła głowę. Strażnik popychał Hughesa w kierunku zamku. Marek posłusznie szedł obok niego.

Kate odwróciła się, odczekała kilkanaście sekund i ruszyła za nimi.

* * *

Castelgard wyglądało jak wymarłe. Sklepy i warsztaty były pozamykane, ulice wyludnione. Wszyscy poszli na turniej. Kate trudno było niepostrzeżenie śledzić grupę idącą ulicami. Musiała zostać w tyle. Czekwała, aż mężczyźni znikną za rogiem, po czym ruszała biegiem i ostrożnie wychylała się zza węgła.

Wiedziała, że wygląda to podejrzanie, miała jednak nadzieję, iż nikt jej nie zauważy. W oknie jednego z domów spostrzegła starszą kobietę. Na szczęście miała zamknięte oczy, wystawiała twarz do słońca. Nawet nie spojrzała na ulicę. Może zapadła w drzemkę.

Chris i Marek w eskorcie strażników wyszli na otwarty teren pod murami zamku. Tu także nie było nikogo. Zniknęli rycerze na koniach i poczty z chorągwiami. Kiedy kroki grupy mężczyzn zadudniły na belkach zwodzonego mostu, Kate wyrzuciła się spomiędzy zabudowań. Docierały tu okrzyki gawiedzi stłoczonej na placu turniejowym. Halabardnicy nawoływali strażę na murach, skąd było widać zmagania rycerzy. Przekazywane komentarze wywoływały bądź okrzyki radości, bądź głośne przekleństwa. Bez wątplenia robiono zakłady na zwycięstwo tego czy innego faworyta.

Kate prześliznęła się na teren zamku.

* * *

Zaraz za bramą skręciła na niewielki boczny dziedziniec gospodarczy. Nie było tu żywej duszy, stało tylko parę uwiązanych koni. Nie krążyły też straże. Kto mógł, obserwował turniej z murów obronnych.

Rozejrzała się, ale Marka i Chrisa nigdzie nie było. Nie bardzo wiedząc, co dalej począć, wróciła na dziedziniec i zajrzała do głównego holu. Doleciało ją głośnie echo kroków, dochodzące ze spiralnych schodów po lewej.

Ruszyła w górą, ale już za pierwszym zakrętem odgłosy niemal całkiem ucichły.

Zrozumiała, że tamci poszli na dół.

Zbiegła szybko. Schody prowadziły do nisko sklepionego korytarza wypełnionego wilgotnym, zatechłym powietrzem. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się zakratowane cele. Drzwi do nich stały otwarte, w środku nikogo nie było. Z załomu korytarza doleciały stłumione głosy, później brzęk zamykanej kraty.

Ostrożnie ruszyła dalej. Wiedziała, że znajduje się pod głównym holem. Z nawyku utrwalala w myślach rozkład pomieszczeń, opierając się na dobrze zapamiętanym wyglądzie ruin, w których spędziła przecież kilka tygodni. Nie mogła sobie jednak przypomnieć tego korytarza. Być może zawalił się i zniknął bez śladu już przed wielu laty.

Znów brzęknęły kraty, doleciał czyjś śmiech.

Potem rozległy się kroki.

Minęła dłuższa chwila, zanim Kate zrozumiała, że ktoś idzie w jej kierunku.

* * *

Marek wyciągnął się na stercie gnijącego, cuchnącego siana. Chris usiadł przy nim. Drzwi zatrzasnęły się z brzękiem. Umieszczono ich na końcu korytarza. Po obu jego stronach ciągnęły się cele. Andre odprowadził wzrokiem odchodzących strażników. Tuż przed zakrętem jeden z nich rzucił głośno:

— Hej, Paolo! A ty gdzie leziesz? Masz tu zostać i pilnować więźniów.

— Po co? Nigdzie nie uciekną. Chcę obejrzeć turniej.

— To twoja służba. Oliver kazał ich pilnie strzec.

Potęźnie zbudowany strażnik jeszcze przez chwilę protestował, klnąc głośno. Pozostali jednak odeszli ze śmiechem, ich kroki ucichły za zakrętem korytarza. Paolo wrócił, przez kraty zmierzył więźniów groźnym wzrokiem i jeszcze raz zaklął pod nosem. Nie był zadowolony, że omija go pasjonujące widowisko. Siar-

czyście splunął na posadzkę celi, odwrócił się i odszedł parę kroków. Stołek zakrzywił pod jego ciężarem. Marek nie widział go z za krat, ale na załomie muru wyraźnie rysował się cień strażnika.

Wyglądało na to, że zaczął dłużyć sobie w zębach.

Andre podszedł do drzwi i ciekawie rozejrzał się po lochu. Prawa strona korytarza tonęła w gęstym mroku, ale w jednej z cel po lewej dostrzegł sylwetkę człowieka skulonego w kącie pod murem.

Rozpoznał profesora Johnstona.

30.51.09

Stern siedział w pokoiku jadalnym w gmachu zarządu ITC. W niewielkim pomieszczeniu stał stół przykryty obrusem i zastawiony na cztery osoby. Gordon jadł śniadanie. Dawid popatrzył na kiwający się czubek jego głowy i nerwowe ruchy widelca, którym nabierał kawałki jajecznicy na bekonie. Ten człowiek śpieszy się zawsze i wszędzie, pomyślał.

Za oknem słońce stało już dość wysoko ponad kopulastymi mesas widocznymi na wschodzie. Spojrzał na zegarek. Była szósta rano. Na parkingu technicy szykowali balon meteorologiczny. Przypomniawszy sobie, że robiono to co godzinę. Po chwili balon majestatycznie wzniósł się w niebo i wkrótce zniknął w wiszących nisko chmurach. Ludzie na parkingu nawet nie czekali, aż wzbije się na odpowiednią wysokość. Zebrali sprzęt i poszli do sąsiedniego budynku.

— Nie smakuje ci tost francuski? — zapytał Gordon, podnosząc głowę. — Może wolałbyś coś innego?

— Nie, dziękuję. Po prostu nie jestem głodny.

— Posłuchaj rady starego wojaka. Zawsze skończ posiłek, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy będzie okazja do następnego.

— Cenna rada — burknął Stern — ale naprawdę nie jestem głodny.

Gordon wzruszył ramionami i powrócił do jedzenia. Do pokoju wszedł starszy mężczyzna w białym, sztywno nakrochmalonym fartuchu.

— Kawa już gotowa, Haroldzie? — zapytał Gordon.

— Tak. Jeśli pan sobie życzy, mogę zrobić cappuccino.

— Dziękuję, napiję się gorzkiej.

— Jak pan sobie życzy.

— A ty, Davidzie? Masz ochotę na kawę? — spytał Gordon.

— Z odtłuszczoną śmietanką, jeśli jest — odparł Stern.

— Zaraz przyniosę — powiedział Harold i wyszedł z jadalni.

David znów popatrzył za okno. Pomarańczowa smuga nad wschodnim horyzontem barwiła się od góry na niezwykle różowy kolor, rozlewający się stopniowo po błękitnie nieba. Kiedy Gordon zaczął skrobać widelcem po prawie pustym talerzu, Stern zagadnął:

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem sytuację. W tej chwili nie mogą wrócić, zgadza się?

— Tak.

— Ponieważ maszyny nie mają się gdzie zmaterializować.

— Owszem.

— Bo teren jest zawalony szczątkami konstrukcji.

— Dokładnie tak.

— Więc kiedy będą mogli wrócić?

Gordon westchnął i odsunął talerz.

— Uspokój się, Davidzie — powiedział. — Nic złego się nie wydarzy.

— To nie jest odpowiedź? Kiedy?

— Zaraz policzymy. Trzeba jakichś sześciu godzin na wymianę powietrza w pieczarze. Na wszelki wypadek dodajmy godzinę rezerwy. Mamy więc siedem. Później ze dwie godziny zajmie uprzążanie sekcji. To razem dziewięć. W końcu trzeba będzie odbudować osłony wodne.

— Odbudować osłony?

— Te trzy pierścienie ochronne wypełnione wodą. Są niezbędne.

— Do czego?

— Do zminimalizowania błędów transkrypcyjnych.

— A co to są błędy transkrypcyjne?

— Wady powstające w procesie rekonstrukcji człowieka we wnętrzu maszyny.

— Mówił pan przecież, że to proces idealny, że odtwarza się precyzyjnie tego samego człowieka.

— Z naszego punktu widzenia ta precyzja jest wystarczająca, jeśli tylko proces następuje za osłonami wodnymi.

— A gdyby ich nie było?

Gordon znowu westchnął.

— Będą, Davidzie. — Zerknął na zegarek. — Nie masz się czym martwić. Jeszcze przez kilka godzin nie będziemy mogli wrócić na poziom transmisyjny, więc chyba nie warto sobie psuć humoru.

— Ta sytuacja nie daje mi spokoju — odparł Stern. — Na pewno coś mogliśmy zrobić. Wysłać wiadomość, podjąć jakąś próbę nawiązania kontaktu. . .

Gordon pokręcił głową.

— Nie możemy ani wysłać wiadomości, ani nawiązać kontaktu. To po prostu niewykonalne. W tej chwili są całkowicie od nas odcięci. Naprawdę nie da się nic dla nich zrobić.

30.40.39

Erickson przywarła plecami do ściany, jakby chciała się wtopić w mur z zimnego kamienia. Wcisnęła się w najdalszy kąt otwartej celi. Wstrzymując oddech

czekała, aż strażnicy, którzy przyprawdzili Chrisa i Marka do lochu, miną ją w drodze powrotnej na górę. Śmiali się głośno, humor im dopisywał. Któryś powiedział:

— Sir Oliver był mocno rozsierdzony na tego przybysza z Hainault, który z jego porucznika zrobił głupca.

— Ten drugi był jeszcze gorszy! Ledwo na koniu się trzymał, jednak Tete Noir skruszył na nim aż dwie kopie!

Zarechotali głośno.

— Zaiste, zrobił z Tete Noira głupca. Za to lord Oliver każe im zapłacić głową jeszcze przed nocą.

— Jeśli nie zwodzą mnie przecucia, każe ich ściąć nawet przed wieczerzą.

— Nie, po wieczerzy. Wtedy przybędzie więcej gapiów.

Znów się zaśmiali.

Głosy stopniowo cichły, po chwili Kate ledwie je rozróżniała. Wreszcie zapadła cisza. Wyteżyła słuch, pragnąc złowić kroki na schodach, ale te się opóźniały. W końcu znów doleciały ją śmiechy. Zabrzmiały dziwnie głośno.

Coś było nie w porządku.

Nastawiła ucha. Strażnicy rozmawiali półgłosem na temat sir Guya i lady Claire, nie potrafiła jednak wyłowić sensu. Rozróżniła jedynie słowa „wielce udrepczony przez naszą lady”, po których ponownie rozległy się chichoty.

Zmarszczyła brwi.

Głosy strażników, mimo że ciche, wcale nie były stłumione.

Niedobrze. Najwyraźniej wracali.

Tylko dlaczego? — zastanawiała się gorączkowo. — Co się stało?

Zerknęła na drzwi celi. Nagle dostrzegła własne ślady na kamiennej posadzce, prowadzące prosto do tych drzwi.

Widocznie i ona przemoczyła buty na łące nad strumieniem. Wszyscy mieli mokre bury, środkiem korytarza ciągnął się szeroki błotnisty trop. Ale jej siady się wyróżniały, bo skręcały do tej właśnie celi.

Strażnicy musieli je zauważyć.

Do diabła!

— Kiedy kończy się turniej?

— Przed nocą.

— To, prawdę rzekłszy, już po wszystkim.

— Lord Oliver będzie chciał wcześniej wieczerzać, aby gotować się na przybycie Arcykapłana.

Kate nasłuchiwała uważnie, próbując rozróżnić głosy i na tej podstawie określić liczbę strażników. Usiłowała sobie przypomnieć, czy w lochu widziała ich tylko trzech, czy też więcej. Wtedy nie zwracała na nich zbytnej uwagi.

Cholera!

— Gadają, że Arcykapłan prowadzi tysiąc zbrojnych...

Na posadzce przed drzwiami celi przesunął się cień. Chyba rozstawili się po obu stronach wejścia.

Co robić?

Wiedziała, iż nie może dać się schwytać. Była kobietą, pewnie w ogóle nie miała wstępu do lochu. W podziemiach strażnicy mogliby ją zgwałcić, u potem zamordować. . .

Zaraz, przecież nie wiedzą, że weszła tu kobieta! Ciszę za drzwiami zmaćił odgłos ostrożnych kroków. Co oni zamierzali? Chyba jeden powinien wejść do celi, a reszta przycyai się za drzwiami, pewnie z naszykowaną bronią, mieczami nad głową. . .

Nie mogła dłużej czekać. Nisko pochylona, skoczyła do wyjścia.

Zderzyła się z wchodzącym strażnikiem. Trafiła go ramieniem w udo, ścinając z nóg. Poleciał do tyłu i z głośnym jękiem runął na podłogę. Usłyszała okrzyki zdumienia. Opadły dwa miecze, ale przecięły tylko powietrze za jej plecami i z brzękiem uderzyły o posadzkę, krzesząc skry. Kate pognała korytarzem.

— Niewiasta! Niewiasta!

Strażnicy rzucili się w pościg.

Biegła spiralnymi schodami, przeskakując po kilka stopni naraz, gnana brzękiem oręza biegnących za nią strażników. Wypadła do sieni i bez namysłu skręciła do głównego holu.

Nie było tu nikogo. Na stołach szykowanych do wieczery stała już zastawa. Kate pobiegła w głąb sali, gorączkowo rozglądając się za jakąś kryjówką!. Za gobelinem? Nie, przylega do ściany. Pod stołem? Tam na pewno zajrzą. No więc gdzie? Gdzie?! Zwróciła uwagę, że płomienie w palenisku strzelają wysoko. Czy nie tam znajdował się wylot tajemnego korytarza wychodzącego z holu? A owo przejście było tu czy na zamku La Roque? Nie pamiętała.

Trzeba było bardziej przykładać się do swoich zadań! Martwiła się wyłącznie o to, by zdobyć dobrą ocenę i uzyskać przedłużenie stypendium! Powinna była wkładać więcej serca w swoją pracę!

Usłyszała łomot butów na schodach. Nie było już czasu. Skoczyła w kierunku paleniska i przykucnęła za kolistą drewnianą tarczą wielkiej osłony z kutego żelaza. W plecy uderzyło ją ciepło bijące od ognia, przyjemnie rozlało się po całym ciele. Strażnicy wpadli do holu, z głośnymi okrzykami rozbiegli się po całej sali. Kate skuliła się jeszcze bardziej i wstrzymała oddech.

* * *

Docierał do niej głośny tupot, szuranie stołków, brzęk zastawy na stołach.

Nie mogła jednak rozróżnić głosów ludzi, zlewały się z trzaskami i hukiem ognia w palenisku. Nagle coś upadło na posadzkę — coś dużego i ciężkiego. Może stojak na pochodnie?

Czekała cierpliwie.

Któryś z mężczyzn rzucił krótkie pytanie, lecz Kate nie usłyszała odpowiedzi. Kiedy jednak padło następne, po chwili rozległ się miękki, łagodny głos. Raczej nie należał do mężczyzny. Z kim rozmawiali? Czyżby w sali pojawiła się kobieta? Erickson wyteżyła słuch. Tak, to był głos kobiety. Bez wątplenia.

Po krótkiej wymianie zdań strażnicy wybiegli z holu. Kate ostrożnie wyjrzała zza tarczy. Dostrzegła plecy ostatniego w przejściu do sieni.

Odczekała jeszcze parę sekund i wyszła zza osłony.

Dziewczyna miała około dziesięciu lat, na głowie nosiła wielką białą chustkę, zawiązaną bardzo nisko, tuż nad oczami. Była ubrana w różową luźną powłóczystą szatę do samej ziemi. W rękę trzymała duży złoty dzbanek, z którego nalewała wodę do pucharów.

Obejrzała się. Przez chwilę mierzyła nieznajomą obojętnym wzrokiem.

Kate pomyślała, że służąca podniesie alarm, lecz dziewczyna nie zrobiła nawet zdziwionej miny. Spoglądała na nią z zaciekawieniem, wreszcie powiedziała cicho:

— Pobiegli na górę.

Kate odwróciła się na pięcie i skoczyła do wyjścia.

* * *

Przez umieszczone pod sufitem okno do lochu docierał głos fanfar i gromkie okrzyki tłumów obserwujących turniej. Strażnik wychylił się zza załomu ściany, obrzucił ich gniewnym spojrzeniem, zaklął głośno i z powrotem usiadł na stołku.

— Macie jeszcze swój marker?

— Tak — odparł Marek. — A co się stało z pańskim?

— Straciłem go. Nie więcej niż trzy minuty po wyjściu z maszyny.

Profesor powiedział, jak wylądował na skraju lasu między rzeką a klasztorem. W ITC zapewniano go wcześniej, że to idealne miejsce, całkowicie bezpieczne. Rzeczywiście mógł stamtąd ogarnąć wzrokiem wszystkie stanowiska swoich wykopalisk.

Zdecydował przypadek. Johnston pojawił się tuż przed grupą drwali, którzy szli w głąb lasu z siekierami na ramionach.

— Gdy tylko zauważyli rozbłyśki światła i maszynę materializującą się między drzewami, padli na kolana i zaczęli się modlić. W pierwszej chwili uznali to

za cud. Ale szybko doszli do wniosku, że jestem intruzem, i ruszyli na mnie z toporami. Myślałem, że mnie zarąbią na miejscu. Na szczęście znam oksytański. Przekonałem ich, żeby zaprowadzili mnie do klasztoru, aby mnisi mogli ocenić niezwykle zjawisko.

Zakonnicy uwolnili profesora z rąk drwali, odarli z ubrań i zaczęli szukać na jego ciele stygmatów cudu.

— Muszę przyznać, że szukali ich w dość niezwykłych miejscach. Stanowczo zażądałem rozmowy z opatem, a ten zaczął się domagać, bym ujawnił wejście do tajemnego korytarza prowadzącego do twierdzy La Roque. Podejrzewam, że obiecał to Arnautowi. Podsunąłem mu myśl, że klucz do tajemnicy może się kryć w starych pergaminach. — Profesor uśmiechnął się chytrze. — Obiecałem, że z chęcią przejrzę papierzyska.

— I opłaciło się?

— Tak. Sądzę, że znalazłem.

— Wejście do ukrytego korytarza?

— Tak mi się wydaje. Prowadzi wzdłuż podziemnej rzeki, prawdopodobnie przez ciąg jaskiń. Wejście powinno się znajdować w budowlu zwanej Zieloną Kaplicą. Natknąłem się na klucz do tego wejścia.

— Klucz?

Strażnik warknął coś groźnie, musieli więc przerwać rozmowę. Do kraty podszedł Chris. Ocierał z twarzy krople wilgoci.

— Musimy się stąd wydostać — powiedział. — Gdzie jest Kate?

Marek pokręcił głową. Miał nadzieję, że Erickson pozostaje na wolności. Gromkie okrzyki strażników, które jakiś czas temu rozległy się w głębi korytarza, mogły oznaczać, że i ją schwytano. Liczył jednak na przebiegłość Kate. Sądził, że gdyby tylko mogli się z nią skontaktować, na pewno by im pomogła.

Najpierw trzeba było jakoś unieszkodliwić strażnika. Główny problem polegał na tym, że drzwi celi od załomu ściany, za którym siedział, dzieliło jakieś dwadzieścia metrów. Trudno byłoby go wziąć przez zaskoczenie. Gdyby jednak Kate pozostawała w zasięgu miniaturowych krótkofalówek... Chris załomotał w kraty celi i wrzasnął:

— Hej! Strażnik! Słyszysz mnie?!

Zanim Marek zdążył zareagować, barczysty wojak wychylił się zza rogu i podejrzliwym wzrokiem zmierzył Hughesa, który wyciągnął rękę między kratami i przywoływał go jednoznacznym gestem.

— Hej! Chodź tu! Podejdz bliżej!

Strażnik zbliżył się ostrożnie i trącił otwartą dłonią rękę więźnia. W tej samej chwili zaniósł się kaszlem. Hughes prysnął mu prosto w twarz paraliżującym aerozolem. Błyskawicznie wyciągnął przez kraty drugą rękę, przytrzymał go za kołnierz i zaaplikował następną dawkę środka z pojemnika.

Strażnikowi oczy zasłyły mgłą, zwiotczał natychmiast. Chris próbował go utrzymać, ale ciężar nieprzytomnego wgniół mu ręce w kratę. Z okrzykiem bólu rozluźnił uścisk i wojak jak kłoda zwałił się na posadzkę.

Legł na środku korytarza.

Poza ich zasięgiem.

— Wspaniała akcja — mruknął Marek. — I co teraz?

— Zamiast gderać, mógłbyś mi pomóc — syknął Chris. — Jesteś do niczego. Przykleknął i przez kratę próbował dosięgnąć nieprzytomnego strażnika.

Na próżno. Końcami palców jedynie muskał jego trzewik. Brakowało co najmniej dwudziestu centymetrów, żeby pewnie chwycić leżącego za nogę. Jak najdalej wyciągał rękę, postępując z wysiłku.

— Gdybym tylko miał coś... jakiś patyk albo kawałek liny... żeby go przyciągnąć...

— To i tak nic nie da — powiedział profesor.

— Dlaczego?

Johnston podszedł do drzwi celi, stanął w kręgu blasku rzucanego przez pochodnię i wyrztał przez kratę.

— Bo on nie ma przy sobie klucza — odparł.

— Nie ma? To gdzie jest klucz?

— Wisi tam, na ścianie. — Johnston wskazał palcem w głąb korytarza.

— Jasna cholera! — mruknął Chris.

Strażnik poruszył się, jego lewa noga zadrgała spazmatycznie. Szybko odzyskiwał przytomność.

Przerażony Hughes obejrzał się na Marka.

— Co robić?

* * *

— Kate, słyszysz mnie? — zapytał Andre.

— Tak.

— Gdzie jesteś?

— U wylotu korytarza. Wróciłam do lochu, bo pomyślałam, że tu na pewno nie będą mnie szukać...

— Chodź tutaj! Szybko! — rzucił Marek.

Zza zakrętu korytarza doleciał cichy odgłos kroków.

Strażnik zacharczał, przekręcił się na bok i uniósł na łokciu. Spojrzał w głąb korytarza i zaczął pospiesznie wstawać.

Był na czworakach, gdy dosięgnął go kopniak Kate. Głowa odskoczyła mu do tyłu, ponownie legł bez czucia na kamieniach. Nie stracił jednak przytomności, był tylko oszołomiony. Chwilę później znów dźwignął się na łokciu i potrząsnął głową.

— Kate! — zawołał Marek. — Klucze...

— Gdzie?!

— Na ścianie.

Erickson odskoczyła od strażnika, zdjęła z haka ciężkie kółko z kluczami i podbiegła do drzwi celi. Wetknęła pierwszy z brzegu klucz w dziurkę, lecz nie dała rady go obrócić.

Strażnik rzucił się w jej kierunku z gardłowym okrzykiem. Objął ją wpół, odciągnął od drzwi i przewrócił na posadzkę. Zwalił się na nią całym ciężarem. Kate była o wiele mniejsza od niego, bez trudu przygwoździł ją do ziemi.

Marek błyskawicznie sięgnął oburącz przez kratę, wyszarpnął klucz z zamka i wetknął następny. Ten także nie pasował.

Strażnik usiadł na Kate i zacisnął palce na jej szyi.

Trzeci klucz też nie pasował. Na kółku było ich dziewięć.

Erickson posiniała, szeroko rozwartymi ustami próbowała zaczerpnąć oddechu. Waliła pięściami po ramionach przeciwnika. Bez rezultatu. Sięgnęła do jego krocza, ale miał na sobie kolczugę z fartuchem zasłaniającym całe biodra.

— Nóż! — wrzasnął Marek. — Wyciągnij nóż!

Chyba nie zrozumiała. Gorączkowo próbował obrócić w zamku kolejny klucz, lecz bez skutku. Z drugiej celi Johnston zawołał do strażnika po oksytańsku.

Mężczyzna podniósł głowę i warknął coś groźnie w odpowiedzi. Kate zdołała wyciągnąć sztylet i próbowała go wbić w ramię strażnika, ale ostrze zaklinowało się w kolczudze. Pchnęła po raz drugi. Wojak zaczął tłuc głową Kate o kamienie. Sztylet wysunął jej się z dłoni.

Marek wepchnął w dziurkę następny klucz.

Ten obrócił się lekko, szczęknął zamek.

Profesor krzyczał coś głośno, Chris mu zawtórował. Andre pchnął drzwi celi. Strażnik obejrzał się i skoczył na nogi, wypuszczając Kate. Błyskawicznie zaczerpnęła powietrza, sięgnęła po sztylet i wbiła go w udo mężczyzny, aż zawył z bólu. Jednocześnie Marek wymierzył mu dwa szybkie ciosy w szczękę. Strażnik zwalił się na posadzkę i legł bez ruchu.

Chris otworzył drzwi celi profesora. Kate z trudem dźwignęła się na klęczki, krew powoli odpływała jej z twarzy.

Marek błyskawicznie wyciągnął białą kostkę markera i położył palec na przy-cisku.

— Dość tego. Wreszcie jesteśmy wszyscy razem. — Rozejrzał się po lochu. — Starczy miejsca? Możemy tu przywołać maszyny?

— Nie — odparł Hughes. — Powinny mieć po dwa metry wolnej przestrzeni ze wszystkich stron.

— Trzeba wyjść na otwarty teren. — Johnston odwrócił się do Kate. — Wiesz, jak można się stąd wydostać?

Pokiwała głową. Ruszyli korytarzem w kierunku schodów.

30.21.02

Poprowadziła ich spiralnymi schodami do wyjścia z zamku. Walka wręcz z roślą mężczyzną dodała Kate otuchy, napełniła serce nadzieją, że najgorsze mają już za sobą. Mimo że wciąż kręciło jej się w głowie, od czasu wyjścia z maszyny ani przez chwilę nie czuła się tak spokojna i opanowana. Zaczęła sobie wreszcie przypominać szczegóły prac wykopaliskowych, wiedziała już, któredy biegły sekretne przejścia.

Kiedy wyszli do sieni, ostrożnie wyjrzała na dziedziniec. Nie spodziewała się takiego tłumu. Oprócz straży kręciło się tam wielu rycerzy w zbrojach i gromadki dam dwora wracających z placu turniejowego. Po ostrym oświetleniu i wyraźnie wydłużających się cieniach oceniła, że jest mniej więcej trzecia po południu.

— Nie możemy wyjść z zamku — szepnął Marek, zerkając ponad jej ramieniem.

— Spokojna głowa.

Poprowadziła ich schodami na piętro, później szerokim korytarzem z drzwiami po jednej stronie i oknami po drugiej. Domyślała się, że znajdują się tu pokoje przeznaczone dla mniej znaczących członków rodziny i gości.

— Już tu byłem — szepnął idący za nią Chris. Wskazał któreś drzwi. — To komnata lady Claire.

Na końcu korytarza ścianę po lewej zakrywał duży gobelin. Kate uniosła jego róg, zdziwiona nieco, że jest aż tak ciężki. Zaczęła wodzić dłońmi po murze i naciskać poszczególne kamienie.

— Gdzieś tu musi być ukryte przejście — mruknęła.

— Jesteś pewna? — zapytał Hughes.

— Tak. Korytarz prowadzi na tylny dziedziniec gospodarczy.

Dotarła do końca ściany, bez skutku. Popatrzyła uważnie wzdłuż muru, ule nigdzie nie mogła dostrzec nawet szczeliny wskazującej na istnienie ukrytego przejścia. Kamienie ściśle do siebie przylegały, szpary między nimi były wypełnione zaprawą. Ze stosunkowo gładkiej ściany nic nie wystawało, nie zauważyła też żadnych wgłębień. Nie było widać śladu jakichkolwiek przeróbek czy napraw. Przywarła policzkiem do muru i badawczym spojrzeniem zmierzyła całą długość ściany pod gobelinem. Nic nie zwróciło jej uwagi.

Czyżby się pomyliła?

Może przejście znajdowało się gdzie indziej?

Była niemal pewna, że ukryte drzwi są właśnie tutaj. Cofnęła się o parę kroków i ponownie zaczęła naciskać kamienie. Bez rezultatu. Z końca korytarza doleciały stłumione głosy ludzi wchodzących po schodach. Obróciła się, żeby spojrzeć w tamtym kierunku, i czubkiem buta zawadziła o kamień tuż nad posadzką.

Poczuła, że zapadł się pod naciskiem.

Coś stuknęło metalicznie i na wprost jej twarzy pojawiła się szczelina drzwi. Uchyliły się zaledwie na parę centymetrów. Kate nie mogła wyjść z podziwu, jak doskonale zamaskowano ukryte przejście.

Energicznie pchnęła drzwi. Lekko obróciły się na zawiasach. Weszli do korytarza. Marek poprawił jeszcze gobelin, nim zamknął za sobą drzwi.

W wąskim korytarzu panował półmrok. Co kilka metrów w murze były niewielkie otwory, przesączało się przez nie trochę światła. Nie musieli więc zapalać pochodni.

Kiedy Kate odkryła w ruinach to przejście, nie miała pojęcia, po co je zbudowano. Teraz zrozumiała.

To nie był korytarz łączący odległe części zamku. Służył szpiegowaniu ludzi przebywających w komnatach pierwszego piętra.

Ruszyli wzdłuż muru. Zza ściany dolatywały stłumione głosy. Przy każdym otworze przystawali i ciekawie zaglądali do pokojów.

Nagle Chris westchnął głośno, w wąskiej przestrzeni zabrzmiało to jak żalony jęk.

Najpierw dostrzegł tylko dwie ciemne sylwetki na tle okna. Dopiero po chwili rozpoznał lady Claire i sir Guya. Obejmowali się. Malegant całował Claire namiętnie, ona odwzajemniała pocałunek. Ręce splotła na jego szyi.

Wreszcie sir Guy odstaąpił na krok, obrzucił kochankę czułym spojrzeniem i rzekł:

— Pani, twoje zachowanie przy ludziach i jawna niechęć prowokują wielu do kpin za moimi plecami. A pogłoski o mojej zniewieściałości są obrażą, której nie mogę ścierpieć.

— Tak musi być dla naszego wspólnego dobra — odparła lady Claire. Dobrze to wiesz.

— Jednakowoż, abyś nie była tak stanowcza w swojej wrogiej postawie.

— Zaiste? To jak miałabym postępować? Chcesz wystawić na próbę los, którego oboje pragniemy? Są też inne dobrze ci znane pogłoski, mój panie. Podejrzania, że przyłożyłaś rękę do śmierci mego małżonka. Przeto gdy lord Oliver wymusi nasz mariaż wbrew mej woli, wbrew wszelakim moim staraniom, nikt się nie pożali na moje względy. Mamli słuszność?

— Masz, pani — mruknął, smętnie kiwając głową.

— Cóż się stanie, gdy teraz poczniesz okazywać swoje względy? Te same ozory, co młą bez ustanku, będą szeptać, że i ja miałam udział w niewczesnej śmierci małżonka. A takie szeptki wraz dotrą do angielskich krewnych mego męża.

Zali już teraz przemyślają, jak odzyskać jego dobra. Brak im jeno wymówki do działań. Sir Daniel baczy na wszelakie moje uczynki. Łatwo splugawić kobiecą cześć, mój panie, co nigdy odbudować się nie da. Wszak nasze bezpieczeństwo zależy od mej nieugiętej wrogości do ciebie. Przeto błagam, abyś cierpliwie znosił potwarze i myślał o nagrodzie, jaka cię czeka.

Chris rozdziawił usta ze zdumienia. Od razu spostrzegł, że lady Claire stosuje te same wybiegi, których niedawno używała wobec niego — mówi tak samo ciepłym, miękkim głosem, wodzi powłóczytym spojrzeniem i delikatnie muska palcami szyję kochanka. Wcześniej podejrzewał, że to efekt wrażenia, jakie wywarł na młodej wdowie. Teraz jednak się przekonał, że sam znalazł się pod jej przemożnym urokiem.

Sir Guy wciąż był nachmurzony.

— A twe wyprawy do klasztoru? Nie chcę, abyś tam więcej chodziła.

— Czemu? Jesteście, panie, zazdrośni o starego opata? — spytała zaczepnie.

— Rzekłem jeno, że nie chcę, abyś tam więcej chodziła.

— Zda mi się cel mój ważniejszy, bo kto zna sekret La Roque, ten w garści ma lorda Olivera. Zrobi wszystko, aby poznać tajemnicę.

— Święta prawda, pani, ale tyś jej jeszcze nie poznała. Opat wie o tajemnym korytarzu?

— Nie widziałam opata. Nie było go w klasztorze.

— Magister rzecze, że nic mu nie wiadomo.

— Prawda, tak rzecze. Jednak sama chcę wypytać opata, może jutro.

Rozległo się pukanie do drzwi. Z korytarza doleciał niewyraźny męski głos. Kochankowie odskoczyli od siebie.

— To pewno sir Daniel — szepnął Malegant.

— Szybko, mój panie. Ukryjcie się.

Sir Guy ruszył w stronę ściany, zza której Chris go obserwował, i szybkim ruchem odchylił gobelin. W murze pojawiło się nagle sekretne przejście. Malegant wszedł do ukrytego korytarza, przystanął w pół kroku i wrzasnął na cały głos:

— Więźniowie! Wszyscy uciekli! Są tutaj!

Lady Claire wychyliła się na korytarz i zaczęła wzywać strażę.

Profesor odskoczył pod przeciwległą ścianę i zawołał:

— Gdyby nas rozdzielili, idźcie do klasztoru. Szukajcie brata Marcela. To on ma klucz do tajemniczego korytarza. Jasne?

Zanim któreś z nich zdążyło odpowiedzieć, z obu stron wbiegli strażnicy. Chrisowi pierwszemu wykręcono ręce na plecy i brutalnie pchnięto go do wyjścia.

Znów zostali schwytani.

30.10.55

W wielkiej sali samotny minstrel grał na lutni, służba kończyła rozstawianie potraw do wieczerzy. Lord Oliver i sir Robert ćwiczyli z dwiema damami dworu kroki nowego tańca. Poruszali się w takt rytmicznych uderzeń w ręce szeroko uśmiechniętego mistrza ceremonii. W pewnym momencie Oliver obrócił się szybko, lecz zamiast znaleźć się twarzą do swojej partnerki, ujrzał przed sobą jej plecy. Zaklął głośno.

— Bagatela, mój panie — rzekł pospiesznie nauczyciel, nie przestając się uśmiechać. — Jak wasza lordowska mość pamięta, robimy krok do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, potem obrót, krok do tyłu, znowu obrót i znów krok do tyłu. Pominęliśmy jeden obrót.

— Ja niczego nie pominąłem — burknął Oliver.

— W rzeczy samej, mój panie — wtrącił szybko sir Robert. — To fraza w muzyce spowodowała pomyłkę. — Zerknął złowrogo na minstrela.

— Zaiste — podchwycił gospodarz. Zajął pozycję wyjściową, wyciągnął ręki; do swej partnerki i zapytał: — Jak to jest? W przód, w tył, w przód, w tył, obrót, do tyłu. . .

— Bardzo dobrze! — zawołał rozpromieniony mistrz ceremonii i znów zaczął wykłaskiwać rytm. — Dokładnie tak, panie. Musicie jeno. . .

— Mój lordzie! — krzyknął ktoś od drzwi.

Muzyka umilkła. Poirytowany Oliver odwrócił się szybko. Do sali wkroczył sir Guy, za nim szli strażnicy, który eskortowali profesora i troje obcych ludzi.

— Co znowu? — warknął kasztelan.

— Mój lordzie, wygląda na to, że znaleźliśmy uczniów magistra.

— Co? Jakich uczniów?

Oliver podszedł bliżej i obrzucił spojrzeniem rycerza z Hainault, głupekowatego Irlandczyka, który nawet nie umiał się utrzymać na koniu, oraz młodą kobietę drobnej budowy.

— Zali co to za kompania?

— Mój lordzie, ci ludzie gadają, że są uczniami profesora.

— Uczniami? — Gospodarz jeszcze raz zmierzył całą grupę badawczym wzrokiem. — Mój drogi magistrze. Kiedy mówiłeś, że wędrujesz ze swymi uczniami, nie pojąłem, iż przybyli do zamku razem z tobą.

— Ja sam o tym nie wiedziałem — odparł Johnston.

Lord Oliver prychnął pogardliwie. Patrząc uważnie na pojmanych więźniów, ocenił:

— Nie możecie być uczniami. Jesteście za starzy. Ponadto nie mówiliście, że znacie magistra. Nie powiadacie prawdy, żadną miarą. — Pokręcił głową i zwrócił się do sir Guya: — Nie wierzę im, ale poznam prawdę. Jednak nie teraz. Wtrącić ich do lochu.

— Mój panie, byli w lochu i uciekli.

— Uciekli? Jak? — Podniósł nagle rękę, powstrzymując odpowiedź. — Gdzie będą najbardziej bezpieczni?

Robert de Kere podszedł do niego i szepnął kilka słów.

— W mojej wieży? Tam, gdzie trzymam panienkę Alice? — Kasztelan zaśmiał się krótko. — To zaiste bezpieczne miejsce. Zamknąć ich tam.

— Dopilnuję tego, mój panie — rzekł sir Guy.

— Ci... uczniowie... zapewnią dobre sprawowanie swego pana. — Oliver uśmiechnął się chytrze. — Mniemam, magistrze, że jeszcze się nauczysz tańczyć ze mną.

Strażnicy wyprowadzili troje więźniów z sali. Lord Oliver ruchem dłoni odprawił muzyków. Mistrz ceremonii i lutnista skłonili się nisko i wyszli bez słowa. Za nimi wybiegły damy dworu. Sir Robert zawahał się, lecz wystarczyło jedno spojrzenie gospodarza, by i on skierował się do wyjścia.

W holu pozostała tylko służba, która szykowała stoły do wieczerzy. Przez chwilę panowała cisza.

— A więc, magistrze, cóż za grę prowadzisz?

— Bóg mi świadkiem, że to moi uczniowie. Mówiłem ci o nich od samego początku, panie — odparł profesor.

— Uczniowie? Jeden jest rycerzem.

— Był mi winien łaskawość, dlatego wstąpił na służbę.

— Zaiste? Jaką to łaskawość był ci winien?

— Ocaliłem życie jego ojcu.

— Zaprawdę? — Oliver zaczął powoli chodzić wokół Johnstona. — Jakiś mu ocalił życie?

— Lekami, panie.

— A na co cierpiał?

Profesor musnął się palcem po ucho i rzucił jednym tchem:

— Mój lordzie, skoro chcesz się upewnić, każ natychmiast sprowadzić tu rycerza Marka, a on powie ci to samo, co i ja. Że ocaliłem życie jego ojca, który cierpiał na wodną puchlinę, zielem arniki, a zdarzyło się to w Hampstead, grodku nieopodal Londynu, w jesieni minionego roku. Każ go przywołać, panie, i zapytaj.

Oliver zamyślił się.

Nadal patrzył na profesora podejrzliwie.

W bocznych drzwiach pojawił się mężczyzna w szacie obsypanej czymś białym i zagadnął:

— Mój panie.

Gospodarz odwrócił się na pięcie.

— Co znowu?!

— Proszę o aprobatę dwóch specjałów, mój lordzie.

— Specjałów? Dobrze, jeno szybko.

— Mój panie. — Mężczyzna skłonił się i strzelił palcami. Do sali weszło dwóch młodzików, którzy nieśli na ramionach dużą srebrną tacę. — Oto pierwszy specjał, mój panie, trzewia.

Na tacy piętrzyły się zwoje zwierzęcych kiszek, ciemne bryły wątroby, płuc i śledziony oraz wielkie jądra i penis. Oliver powoli obszedł kuchcika, uważnie oglądając wyrób ze wszystkich stron.

— W rzeczy samej, wnętrzności wołu — przyznał — jakby wydobyte zaraz po polowaniu. — Zwrócił się do profesora: — Aprobujesz owo dzieło mojego kucharza?

— Zaiste, mój panie. Trzewia to danie tradycyjne, zwłaszcza tak świetnie wykonane. Szczególnie jądra wyglądają jak prawdziwe.

— Dziękuję, panie — rzekł kucharz, kłaniając się uprzejmie. — Są zrobione ze śliwek smażonych w cukrze, jeśli łąska. Kiszki to oczywiście jabłka nanizane na sznur z polewą z jaj i piwa, pokryte miodem.

— Dobrze, dobrze — powiedział Oliver. — Zaserwujecie to przed drugą turą?

— Jak sobie zażyczyacie, mój panie.

— A ten drugi specjał?

— Marcepan, mój panie, barwiony mniszkiem i szafranem.

Kucharz skłonił się, skinął dłonią i do sali wkroczyło czterech chłopców z jeszcze większą tacą. Stał na niej gigantyczny tort w kształcie zamku Castelgard, jego baszty miały półtora metra wysokości. Jasnożółte ciasto jak żywo przypominało piaskowiec, z którego wzniesiono mury. Zdobiące go elementy w najdrobniejszych szczegółach przypominały autentyczną budowlę, na szczytach cukrowych wieżyczek znajdowały się nawet chorągiewki z lukru.

— Elegante! Znakomity! — wykrzyknął Oliver, klaszcząc w dłonie z radości. Przez chwilę sprawiał wrażenie uszczęśliwionego dziecka. — Niepomierne mnie raduje! — Odwrócił się do profesora i wskazując tort, zapytał: — Wieszli, że ten zbój Arnaut pragnie zdobyć mój zamek i będę musiał go przed nim bronić?

Johnston przytaknął ruchem głowy.

— Wiem.

— Jak mi radzisz urządzić obronę Castelgard?

— Mój panie — rzekł z ociąganiem profesor — ja bym wcale nie bronił Castelgard.

— Co? Dlaczego tak rzeczesz?

Oliver podszedł do stołu i nalał sobie wina do pucharu.

— Ilu zbrojnych potrzebowaliście, panie, aby go odbić Gaskończykom? — Pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu. Nie więcej.

— No to macie, panie, odpowiedź.

— Jednak nie przypuszczaliśmy szturm. Wzięliśmy go podstępem.

— A Arcykapłan nie zna podstępów?

— Zapewne spróbuje, ale będziemy czujni. Przygotujemy się na tę napaść.

— Może tak — mruknął Johnston — a może nie.

— Zatem jesteś szarlatanem. . .

— Nie, mój panie, nie znam przyszłych dziejów. Nie posiadam takich nadzwyczajnych zdolności. Radzę jeno uczciwie, jako bardzo doświadczony człowiek. I rzec mogę, że Arcykapłan będzie tak samo sprytny, jako i wy, panie.

Oliver zmarszczył brwi i zasępił się wyraźnie. Dopiero po chwili zauważył wciąż czekającego cierpliwie kucharza i chłopców z olbrzymim tortem, oddalił ich więc ruchem ręki. Rzucił jeszcze za odchodzącymi:

— Baczcie pilnie na te specjały. Nie chcę, aby coś im się stało, zanim ujrzą je moi goście. — Odwrócił się do Johnstona i wskazując gobelin na ścianie, dodał:

— Nie chcę też, aby coś się stało mojemu zamkowi.

— Nie musisz go wcale bronić, mój panie, skoro masz drugi zamek, dużo lepszy.

— Co? Mówisz o La Roque? Jednak twierdza ma słaby punkt. Prowadzi do niej tajemne przejście, którego nie potrafię odnaleźć.

— A skąd wiecie, panie, że to przejście istnieje?

— Musi istnieć, jako że architektem La Roque był stary Laon. Znałeś Laona? Nie? Był wcześniej opatem klasztoru. Przebiegły stary klecha, ilekroć był proszony o pomoc w odbudowie miasta, zamku czy kościoła, zawsze urządzał jakiś sekret znany tylko jemu. W każdym zamku są potajemne przejścia alibo słabe miejsca, których sekret Laon mógł sprzedać atakującemu, jeśli zaszła taka sposobność. Stary Laon miał bystre oko w interesie Świętego Kościoła, a jeszcze bystrzejsze w swoim interesie.

Jednako skoro nikt nie wie, gdzie jest ten korytarz, to jakby go wcale nie było. Trzeba z czym innym się liczyć, mój panie. Jak silna jest teraz obsada zamku?

— Mam dwustu dwudziestu zbrojnych, dwustu pięćdziesięciu łuczników i dwustu pikinierów.

— Arnaut ma dwukrotnie więcej ludzi.

— Tak mniemasz?

— W rzeczy samej. Nie lepszy on od zwykłego rabusia, ale słynie ze swych podbojów, z marszu na Awinion, zmuszenia arcybiskupa do wydania obiadu dla jego ludzi i wypłacenia dziesięciu tysięcy liwrow w zamian za zaniechanie grabieży miasta.

— Zaprawdę? — mruknął zachmurzony Oliver. — O tym nie słyszałem. Słyszałem jeno, że Arnaut zamierza wyruszyć na Awinion, może nawet uczyni to w przyszłym miesiącu. Ludzie mniemają, że chce zastraszyć papieża. Jednak jeszcze tego nie zrobił. Zali się mylę?

— Prawdę rzeczenie, mój panie — odrzekł profesor. — Chciałem jeno powiedzieć, że te śmiałe zamiary każdego dnia ściągają do jego obozu nowych ludzi. Już teraz jego kompania liczy tysiąc zbrojnych, może nawet dwa tysiące.

Oliver prychnął z pogardą.

— Wcale się go nie lękam.

— To pewne, mój panie. Rozważcie jeno, że ten zamek ma płytką fosę, jeden most zwodzony, jedną wieżę bramną, żadnych zapadni i pojedynczą brzoń w bramie. Mury od wschodu są niskie. Zapasów żywności i wody starczy ledwie na kilka dni. Ludzie będą stłoczeni na ciasnych dziedzińcach, co utrudni ich przemieszczanie na murach.

— A ja ci mówię — syknął Oliver — że zostanę tu, gdzie mój skarbiec.

— Szczerze radzę zabrać wszystko, co się da, i przejść do La Roque — ciągnął spokojnie Johnston. — Tamten zamek stoi na skale, z dwóch stron bronią go urwiska. Z trzeciej jest głęboka fosa, dwie wieże bramne z dwiema fosami i dwoma zwodzonymi mostami. Gdyby nawet atakujący zdołali się przedrzeć przez zewnętrzne mury. . .

— Dobrze znam zalety La Roque!

Profesor w milczeniu patrzył na kasztelana.

— I nie chcę słuchać twoich przeklętych pouczeń! — warknął gospodarz.

— Jak sobie życycie, lordzie Oliverze — odparł Johnston, po chwili zaś dodał: — Aha.

— Co: aha?!

— Nie mogę wam niczego radzić, mój panie, skoro robicie ze mną ceregiele.

— Ceregiele? Nie robię ci żadnych ceregieli, magistrze.

— Ilu ludzi obsadza zamek La Roque?

Przez twarz Olivera przemknął bolesny grymas.

— Trzystu.

— Zatem wasz skarbiec, panie, jest już w La Roque.

Gospodarz skrzywił się jeszcze bardziej. Zaciśnął wargi, zawrócił w kierunku stołu, po czym rzekł ze zboląłą miną:

— Chcesz mnie przymusić do obsadzenia La Roque, rozbudzając moje obawy.

— To nieprawda.

— Chcesz, abym się tam przeniósł, bo dobrze znasz słabe miejsca La Roque. Jesteś stronnikiem Arnauta i pragniesz mu ułatwić zwycięstwo.

— Skoro La Roque jest tak słabe, jako rzeczenie, panie, to dlaczego ukryliście tam swój skarbiec?

Oliver prychnął z wyrazem obrzydzenia.

— Sprawny jesteś w słowach.

— Twoje działania, mój panie, świadczą widno, który zamek jest teraz mocniejszy.

— Jednakowoż, magistrze, że jeśli przeniosę się do La Roque, ty pójdziesz ze mną. A jeśli ktoś odnajdzie tajemne przejście, nim zdążysz je ujawnić przede mną, osobiście dopilnuję, aby w porównaniu z twoją śmiercią Edwarda. . . — zachichotał złowieszczo — . . . wydawała się przyjemnością.

— Będę o tym pamiętał — rzekł Johnston.

— Zaprawdę? Lepiej weź to sobie do serca.

* * *

Hughes wyglądał przez okno.

Leżący dwadzieścia metrów niżej dziedziniec tonął w mroku. W smugach światła padającego z okien wielkiego holu pojawiali się wytwornie ubrani ludzie zmierzający do wejścia. Ze środka dolatywały stłumione dźwięki muzyki. Na myśl, że trwała tam zabawa, Chris poczuł jeszcze większe przygnębienie. Wkrótce mieli umrzeć i nic nie mogą na to poradzić.

Zostali zamknięci w niewielkiej komnacie na szczycie głównej zamkowej wieży. Z okien roztaczał się malowniczy widok na mury obronne i leżące poniżej miasto. Był to pokój kobiecy. W kącie stał kołowrotek, a na ścianie wisiał mały, skromny ołtarzyk. Środek komnaty zajmowało wielkie łoże przykryte czerwoną pluszową kapą, podłogę zakrywał wzorzysty kobierzec. Od korytarza dzieliły ich masywne dębowe drzwi zaopatrzone w solidny zamek. Sir Guy kazał jednemu strażnikowi czuwać wewnątrz, a dwóch innych rozstawił przed wejściem, zanim sam przekręcił klucz w zamku.

Tym razem nie mieli żadnych szans ucieczki.

Marek siedział na brzegu łóżka i w zamyśleniu gapił się na ścianę. Może czemuś się przysłuchiwał, gdyż osłaniał dłonią prawe ucho. Kate krążyła nerwowo od jednego okna do drugiego, wyglądając na zewnątrz. Z ostatniego wychyliła się, popatrzyła na wszystkie strony. Potem stanęła obok Chrisa i wyjrzała na dziedziniec.

— Ze wszystkich widok jest taki sam — burknął ze złością. Dopiero po chwili zauważył, że Erickson wodzi dłonią po zewnętrznym murze, jakby sprawdzała jakość zaprawy. Spojrzał na nią pytająco.

— Może — szepnęła, kiwając głową.

Także się wychylił i pomacał mur. Był gładki, bez żadnych większych występow, i biegł półkuliście. Poniżej okna opadał pionowo aż do samego dziedzińca.

— Żartujesz? — mruknął.

— Nie — odparła. — Wcale nie żartuję.

Wyjrzał jeszcze raz. Po dziedzińcu oprócz gości kręciło się mnóstwo innych osób. Kilku giermków czyściło broje. Chyba opowiadali sobie dowcipy, gdyż co chwilę śmiali się głośno. Pacholkiowie szczotkowali rumaki. Z prawej strony na blankach pojawił się zbrojny patrol. Wystarczyło, żeby któryś wojak podniósł głowę, a z pewnością dostrzegłby człowieka na ścianie wieży.

— Zobaczą cię.

— Nie zobaczą, jeśli wyśliznę się z ostatniego okna. Największym problemem jest on. — Ruchem głowy wskazała strażnika siedzącego przy drzwiach. — Możecie mi jakoś pomóc?

— Ja się tym zajmę — szepnął Marek, nie ruszając się z łóżka.

— O co ci chodzi, do diabła? — rzucił głośno Chris z ironicznym uśmiechem. — Sądzisz, że sam sobie nie poradzę?

— Tak!

— Odwal się! Mam już dość twojego protekcyjnego traktowania! Rozejrzał się, chwycił za nogę stołeczek, który stał przy kołowrotku, i ruszył z groźną miną w stronę łóżka.

— Non! Non! — zawołał strażnik, podrywając się z miejsca.

Marek błyskawicznie zdzielił go w głowę ciężkim lichtarzem, a gdy nogi się pod nim ugięły, chwycił go pod pachy i powoli opuścił na podłogę. Krew z rany strażnika pociekła na orientalny dywan.

— Nie żyje? — zapytał Hughes.

— Czy to ważne? — odparł Andre. — Mów dalej, żeby tamci przed drzwiami słyszeli nasze głosy.

Chris obejrzał się szybko, lecz Kate już zniknęła za oknem.

* * *

To zwykła ścianka, powtarzała Kate w duchu, szukając oparcia dla palców.

Wiatr lekko napierał z boku, jakby chciał ją oderwać od muru. Chwytała się wybruszeń zaprawy wystającej spomiędzy kamieni. Parokrotnie wykruszyła jej się pod palcami, ale gdzieś tam zagłębienia były na tyle duże, że stanowiły solidniejszy punkt podparcia.

Zdarzało jej się już wspinać po trudniejszych ścianach. Na przykład niektóre budynki w Yale stwarzały więcej problemów. Tam jednak zawsze miała talk do osuszenia dłoni, odpowiednie obuwie oraz linę zabezpieczającą. Tutaj nikt jej nie ubezpieczał.

Na szczęście to niedaleko.

Wyśliznęła się przez zachodnie okno, wychodzące na miasto. Z tej strony mur zasłaniał ją przed wzrokiem straży na blankach, a i z dziedzińca w dole nie powinna być widoczna. Jednocześnie miała stąd najbliżej do sąsiedniego okna, znajdującego się na końcu korytarza.

To naprawdę niedaleko, powtarzała sobie w myślach. Najwyżej trzy metry. Trzeba tylko zachować spokój, nie spieszyć się. Najpierw prawa ręka, potem stopa, druga ręka. . .

Jeszcze kawalek.

Bliziotko.

Sięgnęła wreszcie krawędzi otworu okiennego. Mocniej zacisnęła palce. Podsunęła się bliżej i ostrożnie zajrzała do środka.

Strażnicy odeszli od drzwi.

W korytarzu nie było nikogo.

Błyskawicznie przełożyła drugą rękę, podciągnęła się na parapecie i cicho zeskoczyła na podłogę. Na palcach podkradła się do drzwi.

— Jestem — powiedziała półgłosem.

— A strażnicy? — zapytał ze środka Marek.

— Nie ma ich. Ale nie ma także klucza. Obejrzała uważnie drzwi. Były grube i solidne.

— Widać zawiasy? — spytał Andre.

— Tak, są na zewnątrz. — Też były solidne, z kutego żelaza. Dobrze wiedziała, o co Markowi chodzi. — Przybite wielkimi gwoździami. — Gdyby udało się je wyciągnąć z ramy, drzwi mogłyby same wypaść. — Potrzebny mi młotek albo jakieś narzędzie. Tutaj niczego nie ma.

— Poszukaj — przekazał cicho Marek. Kate ruszyła na palcach w stronę schodów.

* * *

— De Kere — powiedział lord Oliver, kiedy rycerz ze szramą na twarzy wszedł do sali — magister radzi, abyśmy się przenieśli do La Roque.

Sir Robert pokiwał głową.

— To może być wielce ryzykowne, panie.

— A nie jest ryzykowne pozostanie tutaj?

— Skoro rady magistra są dobre i szczerze i nie stoją za nimi inne intencje, to czemu jego uczniowie ukrywali swoją tożsamość od przybycia do zamku? Takie uczynki nie są oznaką lojalności, mój panie. Chciałbym poznać wyjaśnienie tego postępowania, zanimbym obdarzył zaufaniem rady magistra.

— Racja, trzeba poznać prawdę — rzekł Oliver. — Sprowadź tych uczniów, abyśmy mogli ich o wszystko wypytać.

— Jak sobie życzysz, mój panie. — De Kere skłonił się nisko i wyszedł.

* * *

Kate bez przeszkód zbiegła po schodach i wmieszała się w tłum na dziedzińcu. Zastanawiała się, skąd zdobyć narzędzia ciesielskie bądź kowalskie, gdzie szukać jakiegoś warsztatu czy kuźni. Po lewej przy uwiązanych rumakach kręcili się pacholki, zaczęła więc ostrożnie przeciskać się w tamtą stronę. Wśród panującego podniecenia nikt nie zwracał na nią uwagi. Dotarli do wschodniego muru i jąła rozmyślać, jak prześliznąć się niepostrzeżenie do stajni. Nagle zauważyła przyglądającego jej się rycerza. To był Robert de Kere.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Kate zawróciła i rzuciła się do ucieczki. Za plecami usłyszała okrzyki de Kere'a przyzywającego strażę i łomot butów na dziedzińcu. Dała nura w tłum, ale tu już nie była bezpieczna. Ludzie próbowali ją złapać, szarpali jej ubrania. Skoczyła w bok, wpadła jakiegoś pomieszczenia i zatrzasnęła za sobą drzwi. Znalazła się w kuchni.

Było tu strasznie gorąco, panował jeszcze większy ścisk niż na dziedzińcu. W wielkich żelaznych kotłach nad olbrzymim paleniskiem coś się gotowało. Kilkanaście kurcząt piekło się na różnie obracanym powoli przez kilkuletniego chłopca. Przystanęła, niepewna, co dalej robić. Drzwi za nią otwarły się z hukiem i do środka wbiegł de Kere.

— Stać! — wrzasnął, wyciągając miecz.

Pochyliła nisko głowę i skoczyła między długie kuchenne stoły. Głownia świsnęła w powietrzu i wbiła się w blat, cynowe talerze z brzękiem spadły na podłogę. Kate pognała w głąb kuchni. Dookoła rozlegały się gniewne okrzyki. Zauważyła na końcu stołu olbrzymi tort w kształcie zamku. Skręciła w tam-tą stronę. De Kere był tuż za nią.

— Non, sir Robert! Non! — wołali pomocnicy kucharza. Ktoś wyskoczył z przejścia, chcąc zastąpić rycerzowi drogę. De Kere zamachnął się po raz drugi. Kate zrobiła unik i głownia ścięła część obronnych murów tortu, wzbijając w powietrze biały obłok pudru. Kucharz wydał z siebie jęk rozpaczony. Chłopcy ze wszystkich stron rzucili się na de Kere'a, wykrzykując, że to ulubiony specjał lorda Olivera i za żadną cenę nie wolno go niszczyć. Rycerz jak długi rozciągnął się na podłodze. Próbował się uwolnić od przygniatających go kuchcików.

Erickson wykorzystała zamieszanie. Skoczyła do drzwi i wybiegła na dziedzińiec gospodarczy.

Z prawej strony ograniczała go łukowata ściana zamkowej kaplicy. Właśnie ją remontowano. O mur były oparte drabiny, pochyły dach zakrywały rusztowania. Widocznie wymieniano łupkowe poszycie.

Kate nie zamierzała znowu szukać szczęścia wśród ludzi. Wiedziała, że po przeciwnej stronie kaplicy znajduje się wąskie przejście oddzielające ją od ze-

wewnętrznego muru wieży. Pomyślała, że może tam znajdzie choć chwilę wytchnienia. Nim jednak zdążyła okrążyć kaplicę, usłyszała za sobą głos de Kere'a, który wybiegł z kuchni i znów zaczął przywoływać strażę. Pognała co sił w nogach, pragnąc zyskać na czasie. Okrążając kaplicę, zauważyła przez ramię, że kilku strażników skręciło wzdłuż ściany zamku. Najwyraźniej zamierzali przeciąć jej drogę na drugim końcu zaułka.

Sir Robert pospiesznie wydał rozkazy i gromadka zbrojnych ruszyła śladem Kate. U wylotu zaułka żołnierze przystanęli jednak zmieszani.

Przejście między murami zamku i kaplicy miało najwyżej półtora metra szerokości. Nie było tu żywej duszy. Ludzie, którzy nadbiegli z przeciwnej strony, tak samo zatrzymali się zdumieni.

Ścigana kobieta zniknęła.

* * *

Kate wisiała cztery metry nad ziemią, ukryta wśród bluszczu pnącego się wzdłuż bogato rzeźbionego obrzeża okna kaplicy. Kiepska to była kryjówka, ale w zaułku panował półmrok, a żadnemu ze strażników nie przyszło do głowy, by patrzeć w górę. Słyszała rozkazy wydawane przez de Kere'a:

— Sprowadzić resztę uczniów! Zetniemy ich na miejscu!

— Jednak, sir Robercie — zaprotestował nieśmiało dowódca warty — to uczniowie magistra lorda Olivera...

— Lord Oliver sam wydał takie rozkazy! Zabić ich wszystkich! Strażnicy pobiegli z powrotem do zamku.

De Kere zaklął pod nosem i zaczął się po cichu naradzać z dowódcą straży. Translator w uchu Kate trzeszczał, nie mogła więc zrozumieć ani słowa z toczącej się u wylotu zaułka rozmowy. A przecież wcześniej wyraźnie słyszała komendy sir Roberta.

Oszacowała wzrokiem odległość i doszła do wniosku, iż powinna słyszeć jego głos przytłumiony. Na pewno nie zadziałał translator, bo nie było charakterystycznego opóźnienia. Ale słowa rycerza docierały bardzo wyraźnie, jak gdyby nawet wzmocnione. Może zaułek odznaczał się szczególną akustyką...

Spojrzała w dół. Strażników już tam nie było, kręcili się u wylotu przejścia, nie mogła więc zeskoczyć na ziemię. Postanowiła wdrapać się na spadzisty dach i tam przeczekać, aż zamieszanie przycichnie. Z tej strony oświetlało go jeszcze słońce. Dostrzegła w pokryciu pojedyncze dziury po wyjętych kawałkach łupka. Stromizna okazała się jednak bardzo duża. Kate przykucnęła w rynnie i powiedziała cicho:

— Andre.

Znów coś zatrzeszczało. Wydawało jej się, że przez szum i zakłócenia przebija ledwie słyszalny głos Marka.

— Andre. Idą na górę, żeby was zabić.

Nie było odpowiedzi.

— Andre?

Nadal nic.

Doszła do wniosku, że grube zamkowe mury tłumią fale radiowe, i postanowiła spróbować ze szczytu dachu. Zaczęła się wspinać po śliskim poszyciu, omijając reperowane miejsca. Przed każdą większą dziurą ustawiono fragment rusztowania, na deskach leżały stosiki łupkowych dachówek, stały wiadra. Donośne ptasie wrzaski sprawiły, że zatrzymała się i zajrzała do jednej z większych dziur. . .

W tej samej chwili coś głośno zgrzytnęło w pobliżu. Błyskawicznie podniosła wzrok. Sekundę później nad szczytem dachu pojawiła się głowa mężczyzny. Obrzucił Kate badawczym spojrzeniem. Obok niego wyłonił się drugi strażnik.

A więc dlatego de Kere naradzał się z dowódcą szeptem. Musiał ją dostrzec na murze przy oknie i kazał wysłać żołnierzy na górę.

Spojrzała w dół. W przejściu znów zaroilo się od zbrojnych. Stali i patrzyli na nią.

Pierwszy wojak przerzucił nogę przez szczyt dachu i zaczął ostrożnie schodzić w jej stronę.

Pozostała tylko jedna droga ucieczki. Dziura w poszyciu miała nie więcej niż pół metra średnicy. Widać przez nią było belki szalunku dachowego, a jakieś dwa metry niżej kopulaste sklepienie kaplicy. Było wykonane z cienkiej warstwy zaprawy przytwierdzonej od spodu do kilku żebrowatych, biegnących ku środkowi dźwigarów. Nad nimi przerzucono wąską deskę, która prowadziła do drzwi na przeciwnym końcu. Wszystko pokrywała gruba warstwa ptasich odchodów.

Wśliznęła się przez otwór i miękko wylądowała na sklepieniu. Panował tu kwaśny zaduch. Ptasie gniazda były wszędzie, na desce biegnącej przez środek, na kamiennych dźwigarach i w kątach pod poszyciem dachu. Tuż przy głowie Kate przeleciało kilka wróbli. Po chwili wszczął się wrzask i trzepot skrzydeł, zawirowały pióra. Muszą ich tu być setki, przemknęło jej przez myśl. Zdażyła tylko zakryć dłońmi twarz. Nie pozostało jej nic innego, jak poczekać bez ruchu, aż spłoszone wróble uciekną. Świergot cichł stopniowo.

Kiedy wreszcie odważyła się spojrzeć przez palce, pod dachem kręciło się już tylko kilka ptaków. A dwaj strażnicy ciekawie zaglądali do środka przez dziurę w poszyciu.

Kate wskoczyła na deskę i pobiegła do drzwi, prowadzących chyba na zaplecze kaplicy. Gdy dotarła na środek sklepienia, drzwi się otworzyły i stanął w nich kolejny strażnik.

Było ich trzech na nią jedną.

Pospiesznie zawróciła ku wąskiej platformie, która biegła po obrzeżu wokół całej budowli. Ale z otworu w poszyciu już zsuwali się tamci dwaj. W rękach trzymali sztylety.

Cofnęła się niepewnie.

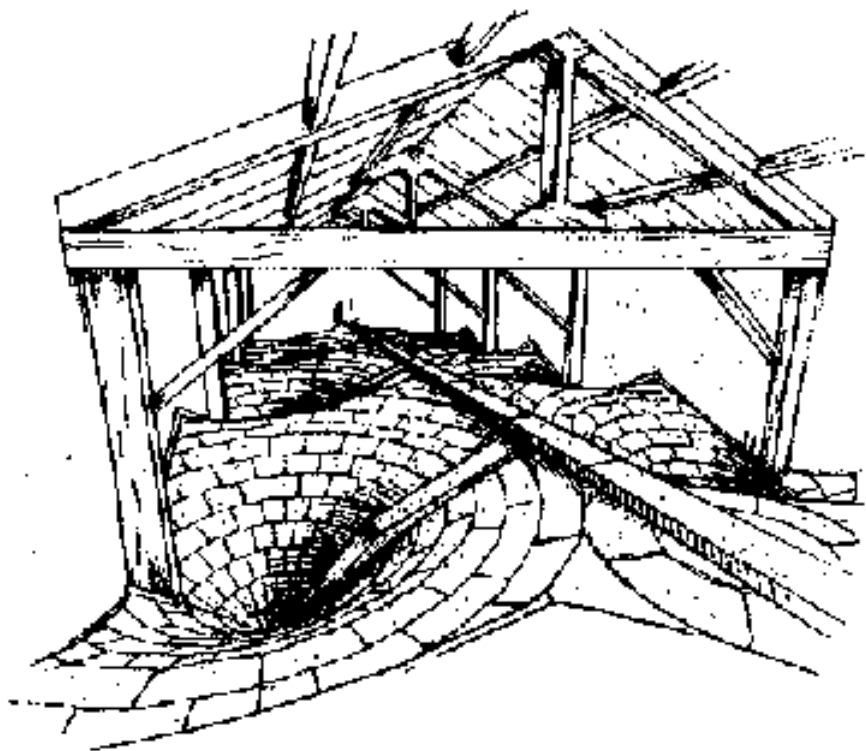
Przypomniała sobie, jak podwieszona na linie badała to samo sklepienie podczas wykopalisk, jak oglądała uważnie wszelkie pęknięcia i ślady napraw wykonywanych przez stulecia. Teraz znajdowała się nad nim. Obecność prowizorycznych kładek z desek wskazywała, że sklepienie jest słabe. Czy utrzyma jej ciężar?

Mężczyźni zbliżali się z obu stron.

Zeszła na belkę żebrowania, sprawdziła stopą wytrzymałość kopuły, wreszcie na niej stanęła.

Zaprawa trzymała.

Strażnicy podkradali się ostrożnie, a mimo to wśród ptaków znowu powstał popłoch. Z wrzaskiem poderwały się do lotu. Mężczyźni stanęli, zakrywając dłońmi twarze. Wróble krążyły wokół nich. Kate cofnęła się jeszcze o parę kroków. Stanęła przestraszona, gdy pod jej stopami zatrzeszczały wyschnięte ptasie odchody.



Była mniej więcej pośrodku fragmentu kopuły ograniczonego dźwigarami.

Ruszyła w kierunku najbliższego z nich. Zapewniał znacznie pewniejsze oparcie, poza tym mogła po nim dotrzeć na skraj budowli, gdzie znajdowały się kolejne drzwi, a za nimi schody prowadzące na dół, za ołtarz.

Jeden ze strażników musiał przejrzeć jej zamiary, gdyż pobiegł kładką po obrzeżu i na wysokości drzwi zeskoczył na kruche sklepienie. Chciał jej odciąć drogę ucieczki. Zbliżał się powoli ze sztyltem w dłoni.

Pochyliła się, zrobiła zwód najpierw w jedną, potem w drugą stronę, ale wojak nie dał się nabrać. Chwilę później dołączył do niego drugi. Trzeci skradał się z tyłu, od środka kopuły. Także zszedł z deski na cienką warstwę zaprawy.

Erickson skoczyła w prawo, lecz obaj strażnicy błyskawicznie znaleźli się na wprost niej. Trzeci wciąż zbliżał się od tyłu.

Byli zaledwie kilka metrów od niej, gdy rozległ się głośny trzask, a w sklepieniu pod ich stopami pojawiła się czarna zygzakowata linia pęknięcia. Skoczyli do tyłu, lecz szpara błyskawicznie się rozszerzała. Sięgała coraz dalej ku krawędzi kopuły. Wreszcie oderwał się wielki kawał sklepienia i obaj strażnicy z wraskiem spadli na posadzkę kaplicy.

Obejrzała się szybko na trzeciego. Ruszył biegiem do najbliższego dźwigara. Pośliznął się jednak na ptasich odchodach i runął jak długi. Rozległ się kolejny trzask. Strażnik zastygł bez ruchu. Z przerażeniem patrzył, jak i wokół niego zaczynają czernieć szczeliny pęknięć. Chwilę później zaprawa puściła i ostatni prześladowca z dzikim wyciem poleciał w dół.

Kate została sama pod dachem kaplicy.

Stała na kruchej skorupie. Wróble z wraskiem trzepotały się wokół niej. Była zbyt przerażona, żeby zrobić choć jeden krok. Wzięła kilka głębszych oddechów.

Jeszcze nie spadła.

Sklepienie trzymało.

Rozległ się kolejny trzask.

I cisza.

Czekała w przerażeniu.

Jeszcze jeden trzask. Tym razem kopuła drgnęła jej pod stopami. Kate spojrzała w dół. Zaprawa pękła, szczeliny rozchodziły się w paru kierunkach. Zrobiła krok w lewo, w stronę belki nośnej, ale było za późno.

Odpadł kawał sklepienia, trafiła nogą w próżnię. W ostatniej chwili instynktownie rozrzuciła szeroko ramiona i zawisła w dziurze. Przez kilka sekund trwała bez ruchu, gwałtownie łapiąc oddech. Miała rację, że to kiepska konstrukcja — przemknęło jej przez myśl.

Gorączkowo rozważała, jak dostać się z powrotem na górę. Spróbowała się podciągnąć.

Następny trzask.

Pęknięcie pojawiło się tuż przed jej oczami, po prawej odpadł duży kawał kopuły. Całe sklepienie wyginało się z wolna pod jej ciężarem. Pomyślała, iż lada

moment i ona poleci w dół.

* * *

W komnacie na szczycie wieży Chris zakrywał dłonią ucho, próbując coś wyłowić przez szumy i trzaski radia. Był niemal pewien, że wcześniej rozpoznał głos Kate: „Idą, żeby was zabić”. Później rozległy się jakieś okrzyki, ale utonęły w fali silnych zakłóceń.

Marek otworzył skrzynię pod ołtarzykiem na ścianie i zaczął gorączkowo przerzucać jej zawartość.

— Chodź, pomóż mi! — zawołał.

— Czego szukasz?

— Oliver trzyma w tym pokoju swoją nałóżnicę. Jestem pewien, że ukrył gdzieś broń.

Chris podszedł do drugiej skrzyni, stojącej przy łóżku, i odchylił wieko. Była tu tylko pościel, damskie suknie i jedwabne ozdoby. Wyrzucił wszystko na podłogę.

Nie znalazł żadnej broni.

Nie było tam niczego, co mogliby wykorzystać do obrony.

Obejrzał się na Marka, który z rezygnacją pokręcił głową.

Także nie znalazł broni.

Z korytarza doleciał odgłos kroków nadbiegających straży. Tuż za drzwiami rozległ się metaliczny brzęk. Żołnierze dobyli mieczy.

29.10.24

Mogę zaproponować coca-colę, zwykłą lub dietetyczną, fantę albo sprite'a — powiedział Gordon.

Stali przed automatem do sprzedaży napojów w korytarzu budynku laboratoryjnego ITC.

— Napiję się coli — odparł Stern.

Puszka z hukiem wylądowała w otworze maszyny. David podniósł ją i zerwał kapsel. Gordon wybrał dla siebie sprite'a.

— Na pustyni nie wolno dopuścić do odwodnienia organizmu — rzekł. — Mamy nawilżacze powietrza w systemach wentylacyjnych, ale nie sprawują się najlepiej.

Poszli dalej korytarzem do najbliższych drzwi.

— Pomyślałem, że powinienes to zobaczyć — powiedział Gordon, wprowadzając Sterna do sali. — To już tylko historyczna ciekawostka. Właśnie w tej pracowni odbyła się pierwsza demonstracja opracowanej przez nas techniki.

Zapalił światło. Pokój był obszerny, nieco zaniedbany. Podłogę zakrywała szara wykładzina antystatyczna, zamiast sufitu ciągnęły się metalowe kratownice, za którymi na tle jarzeniówek biegły grube pęki kabli elektrycznych. Inne przewody zbiegały po ścianie do stojących na długim pulpicie komputerów. Na stole pośrodku znajdowały się dwie klatki mniej więcej półmetrowej wysokości. Między nimi wiły się kable.

— To jest Alice — rzekł z dumą Gordon, wskazując pierwszą klatkę — a to Bob.

David pomyślał z rozbawieniem, że nawet w eksperymentalnej fizyce kwantowej prototypom nadawano imiona zaczynające się od kolejnych liter alfabetu. Przyjrzał się uważniej klatkom. W jednej plastikowa lalka w turystycznym ubranku.

— Właśnie tu dokonaliśmy pierwszej transmisji — ciągnął Gordon. — Przenieśliśmy tę lalkę z jednej klatki do drugiej. Od tamtej pory minęły cztery lata.

Stern podniósł lalkę. Była to tandetna, tania zabawka spod sztancy. Po bokach od czubka głowy biegły byle jak wykończone szwy po zgrzaniu dwóch połówek plastikowych wytłoczek. Kiedy dotknął palcem długich sztywnych rzęs, oko zakryła cielistą powieka.

— Pierwotnie zamierzaliśmy wykorzystywać maszyny do zdalnego transferu obiektów trójwymiarowych. Miał to być rodzaj przestrzennego telefaksu. Pewnie wiesz, że tą dziedziną interesują się różne instytucje.

Stern pokiwał głową. Rzeczywiście słyszał o badaniach w tym zakresie.

— Wstępne projekty powstały na uniwersytecie Stanford, wiele doświadczeń prowadzi się w Krzemowej Dolinie. Już od dwudziestu lat większość korespondencji jest przesyłana drogą elektroniczną, czy to faksem, czy e-mailem. Wkrótce listy w ogóle znikną, pocztę zastąpią sieci informatyczne. Wcześniej czy później także obiekty trójwymiarowe powinny być transportowane w ten sam sposób. Na przykład mebli nie trzeba będzie przewozić do nowego domu, wystarczy je przesłać między dwoma odpowiednimi urządzeniami.

— O ile będzie to wykonalne.

— Owszem. Gdy pierwsze próby z drobnymi przedmiotami zakończyły się sukcesem, zachęciło nas to do dalszych prac. Doszliśmy do wniosku, że przekaz między aparatami połączonymi przewodami elektrycznymi to za mało. Potrzebowaliśmy transmisji na znaczne odległości, w pewnym sensie poprzez fale eteru. I doszliśmy do tego.

Ruszył w głąb sali i zatrzymał się przy dwóch następnych klatkach, nieco większych i bardziej skomplikowanych. Przypominały już te maszyny, które Stern mógł podziwiać w działaniu. Nie były połączone ze sobą kablami.

— To Alice i Bob drugiej generacji — wyjaśnił Gordon. — Nazywaliśmy je zdrobniale Allie i Bobbie. Posłużyły nam do pierwszych prób z transmisją bezprzewodową.

— Jaki był rezultat?

— Marny. Wszystkie przedmioty z Allie zniknęły, ale w Bobbiem nic się nie pojawiało.

Stern pokiwał głową.

— Wysyłane obiekty trafiały do innego wszechświata.

— Zgadza się, lecz wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. To znaczy doszliśmy do takiego teoretycznego wyjaśnienia, ale kto mógł przypuszczać, że dzieje się tak w rzeczywistości? Ustalenie prawdy zajęło nam mnóstwo czasu. Wreszcie powstała maszyna odbiorcza, czyli taka, która wyruszała razem z danym obiektem i automatycznie wracała razem z nim. Zespół ochrzcił ją mianem Allie-Wańka-Wstańka. Stoi tam.

Następna klatka miała około metra wysokości. Niewiele się różniła od działających urządzeń. W trzech wspornikach rozmieszczone były lasery.

— I co dalej? — zapytał Stern.

— Kiedy tylko uzyskaliśmy potwierdzenie, że wraca ten sam przedmiot, który został wysłany, zaczęliśmy transferować bardziej złożone obiekty. Wkrótce w klatce znalazł się aparat i automatycznie zrobił zdjęcie punktu docelowego.

— Coś wyszło?

— Otrzymaliśmy fotografię pustyni, a konkretnie tego miejsca, w którym się znajdujemy, ale jeszcze przed zbudowaniem kompleksu badawczego.

— Zidentyfikowaliście okres?

— Trochę to trwało — odparł Gordon. — Ponawialiśmy próby, ale na zdjęciach wychodziła tylko pustynia. Czasami w deszczu, kiedy indziej pod śniegiem, ale zawsze to samo pustkowienie. Stało się jasne, że maszyna wędruje do innej epoki. Tylko jakiej? Niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie. No bo jak można określić epokę na podstawie takich zdjęć?

Stern zamyślił się. Dobrze znał ten problem. Wiek fotografii zwykle oceniało się na podstawie ukazanych obiektów — budowli, pojazdów, ubiorów czy nawet ruin. Ale wygląd pustynnych okolic Nowego Meksyku nie ulegał zmianie przez tysiące, może nawet setki tysięcy lat.

Gordon uśmiechnął się.

— Wysłaliśmy aparat ze skierowanym ku górze obiektywem typu „rybie oko”. Chcieliśmy uzyskać zdjęcie rozgwieżdżonego nieba.

— Rozumiem.

— To też nie wypaliło za pierwszym razem, trzeba było trafić na pogodną, bezchmurną noc. Wiedzieliśmy jednak, że jeśli uchwycimy na zdjęciu wystarczająco dużo planet, precyzyjnie, z dokładnością do godziny obliczymy czas wykonania fotografii. To dało początek naszym próbom nawigowania. . .

— Ale jednocześnie zupełnie odmieniło cały projekt.

— Tak, oczywiście. Nie mieliśmy złudzeń, że nie chodzi już o zdalną transmisję trójwymiarowych obiektów. Dalsze próby w tym zakresie straciły sens. Odkryliśmy sposób przemieszczania się między różnymi wszechświatami.

— Kiedy zaczęliście ekspediować ludzi?

— Nie tak szybko.

Gordon poprowadził go do drugiej części sali. Znajdowały się tam wypełnione wodą osłony z przezroczystego tworzywa. Przypominały ustawione na sztorc grube materace piankowe. Między nimi stała pełnowymiarowa klatka, niemal identyczna jak te, którymi jego koledzy wyruszyli profesorowi na ratunek.

— To nasza pierwsza skutecznie działająca maszyna — oświadczył z dumą Gordon.

— Nadal jest sprawna? — zapytał Stern.

— Tak, oczywiście.

— I można by z niej skorzystać?

— No cóż, od dawna nie była używana, ale podejrzewam, że byłoby to możliwe. Dlaczego pytasz?

— Gdybym postanowił wyruszyć im na pomoc, ta maszyna dostarczyłaby mnie na miejsce. Tak?

— Owszem — mruknął Gordon z ociąganiem. — Mógłbyś skorzystać z tej maszyny, ale...

— Jestem przekonany, że mają kłopoty.

— Niewykluczone.

— A tu stoi maszyna, która wciąż działa.

Gordon westchnął głośno.

— Obawiam się, że nie jest to takie proste, jak sobie wyobrażasz, Davidzie.

29.10.00

Oderwał się kolejny płat sklepienia. Kate zdołała chwycić się krawędzi pękającej zaprawy. Zawisała na jednej ręce, jak czyniła to wielokrotnie podczas wspinaczek. Na szczęście kopuła nie ukruszyła jej się pod palcami. Spojrzała w dół na posadzkę kaplicy. Nie zauważyła nigdzie strażników, którzy spadli wcześniej.

Ostrożnie uniosła prawą rękę i zacisnęła palce na brzegu popękanego sklepienia. Wiedziała, że lada moment może się oderwać następny jego fragment. Kopuła była już mocno nadwerężona. Najbardziej wytrzymałymi częściami konstrukcji powinny być obszary w pobliżu murowanych hakowatych dźwigarów i pod ścianą budowli.

Postanowiła przesuwając się w kierunku ściany.

Odkruszył się fragment pod jej prawą dłoń i znów przez chwilę wisiła tylko na lewej ręce. Rozhuśtała się i chwyciła krawędź drugą ręką.

Niemal równocześnie oderwał się fragment, na którym zaciskała lewą dłoń. Ponownie zawisała na jednej ręce, szybko jednak znalazła nowy punkt oparcia. Od ściany kaplicy dzielił ją najwyżej metr. Warstwa kruchej zaprawy wydawała się tu nieco solidniejsza i zapewne stawała się jeszcze grubsza bliżej zewnętrznego muru. W każdym razie nie pojawiały się już kolejne pęknięcia.

Z dołu doleciał tupot i okrzyki strażników wbiegających do kaplicy. Bez wątpienia byli uzbrojeni w łuki.

Erickson podciągnęła się błyskawicznie i przerzuciła lewą nogę przez krawędź kopuły. Zaprawa nadal trzymała. Uniosła się ostrożnie na kolanie i oparła biodro o poszarpany brzeg sklepienia. Nim zdążyła podnieść drugą nogę, pierwsza strzała świsnęła jej koło ramienia. Kilka innych trafiło w skraj kopuły, odbijając z niej tynk. Kate przesunęła się pospiesznie i ułożyła płasko na brzuchu.

Nie mogła tu zostać. Odotoczyła się od wyrwy w kierunku kamiennego dźwigarą. Chwilę później następny fragment sklepienia runął w dół.

Krzyki w dole umilkły. Ożyła w niej nadzieja, że któryś ze zbrojnych dostał po głowie dużym kawałkiem zaprawy. Zaraz jednak usłyszała tupot, strażnicy wybiegali przed kaplicę. Na zewnątrz rozległy się donośne wrzaski i rżenie koni.

Co tam się dzieje? — pomyślała.

* * *

Chris rozpoznał odgłos klucza wsuwanego do zamka. Po chwili ktoś zaczął nawoływać strażnika w pokoju.

Marek wciąż rozglądał się gorączkowo. Wreszcie przyklęknął i zajrzał pod łóżko.

— Mam! — krzyknął triumfalnie, wyciągając stamtąd miecz i sztylet. Podał nóż Chrisowi.

Z korytarza strażnicy coraz głośniejszy nawoływali kolegę. Marek podkradł się do drzwi i na migi dał znać Hughesowi, by zajął miejsce po drugiej stronie.

Chris podbiegł i przywarł plecami do ściany. Z zewnątrz dolatywał gwar podnieconych głosów. Serce zaczęło mu walić jak młot. Przypomniał sobie nagle, jak Marek jednym ciosem lichtarza powalił strażnika. On nigdy wcześniej nie był świadkiem śmierci człowieka.

„Idą, żeby was zabić!”

Słowa Kate odbijały się echem w jego głowie. Nie mógł uwierzyć, że strażnicy naprawdę przybiegli po to, aby ich zabić.

W uczelnianej bibliotece nieraz czytał opisy dawnych aktów przemocy, zabójstw czy nawet rzezi; wstrząsające relacje o strumieniach krwi płynącej ulica-

mi, rycerzach zakrwawionych od stóp do głów, niewinnych kobietach i dzieciach zarzynanych mimo błagalnych próśb o łaskę. Podświadomie uznawał jednak te opisy za przesadne. Zresztą wśród historyków panowało podobne przekonanie. Mówili o naiwnej narracji, wątpliwym kontekście, zbytnej ufności w potęgę oręża. . . Traktowali badanie tego typu relacji jak intelektualną zabawę. Chris zdążył się w nią wciągnąć, przestał się nawet zastanawiać, czy przerażające opisy w starych kronikach mogą być prawdziwe. Uszedł jego uwagi zasadniczy fakt, że ma do czynienia z zapisami historycznymi.

Dopiero teraz brutalna rzeczywistość uderzyła go z pełną mocą.

Zgrzytnął klucz obracany w zamku.

Marek zastygł z grymasem wściekłości na twarzy, kurczowo zagryzał zęby. Jest jak krwiożercza bestia, pomyślał Chris. Andre trzymał miecz wysoko nad głową, gotów do zadania ciosu. Gotów do zabijania.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, zasłaniając mu widok. Dostrzegł tylko opadający miecz. Rozległ się histeryczny wrzask, na posadzkę trysnął wielki strumień krwi. Chwilę później zwałiło się ciało zabitego.

Drzwi przygwoździły Hughesa do ściany. Próbował je odepchnąć, ale drugi strażnik zapierał się o nie plecami, walcząc z Markiem. Jęknął głośno, głośnia z hukiem uderzyła o dębowe deski i pod nogi Chrisa upadło kolejne ciało.

Drzwi grzmotnęły o ścianę, Marek zaciekle atakował trzeciego napastnika. Ciął go przez pierś i ten także runął na podłogę u stóp Hughesa. Z rozplątanej klatki piersiowej trysnęła fontanna krwi. Chris pochylił się, aby wyjąć miecz z ręki rannego, ale strażnik kurczowo zacisnął palce i skrzywił się boleśnie. Zaraz jednak osłabł i rozluźnił uścisk. Chris wyrwał mu miecz i odskoczył od ściany.

Leżący strażnik wciąż patrzył na niego szklistymi oczyma. Na twarzy zastygł mu wyraz wściekłości i przerażenia.

Mój Boże! Właśnie wyzionął ducha! — pomyślał Hughes.

Do pokoju wskoczył następny zbrojny i stanął naprzeciwko Marka, tyłem do Chrisa. Zabrzęczały miecze w gwałtownej wymianie ciosów. Hughes odsunął się od ściany i podniósł oręż nad głowę. Miecz wydał mu się strasznie ciężki i nieporęczny. Nie był pewien, czy potrafi spuścić go na głowę przeciwnika z wystarczającą siłą, by go ogłuszyć, a co dopiero zabić. Chwycił rękojeść oburącz i ustawił miecz skosem, jakby to był kij bejsbolowy. W tym momencie Marek odrąbał strażnikowi rękę.

Poleciała dziwnie daleko, w drugi koniec pokoju, aż pod okno. Strażnik ze zdziwieniem popatrzył jej śladem, tymczasem Andre ciął go z całej siły w kark. Odcięta głowa wyleciała w powietrze i spadła na podłogę tuż przed Chrisem.

Odskoczył jak oparzony. Głowa potoczyła się i znieruchomiła twarzą ku górze. Patrzył z przerażeniem, jak powieki zamrugały kilkakrotnie, a wargi się poruszyły, jakby chciały coś powiedzieć. Odskoczył jeszcze dalej pod ścianę.

Ze zwalonego korpusu mężczyzny trysnęły na podłogę strugi krwi. Chris miał

wrażenie, że wylewają się jej dziesiątki litrów. Kiedy oprzytomniał i podniósł wzrok, Marek siedział już na brzegu łóżka. Dyszał ciężko, był cały zbryzgany krwią.

Spojrzał na niego i zapytał:

— Dobrze się czujesz?

Chris nie odpowiedział.

Nie był zdolny wydobyć z siebie głosu.

Z zewnątrz doleciał wibrujący dźwięk kościelnych dzwonów.

* * *

Hughes wyrzwał przez okno. Zobaczył płomienie nad strzechami dwóch chałup na samym skraju miasta, tuż po murami. Ludzie biegli ulicami w tamtym kierunku.

— Pali się — powiedział.

— Wątpię — mruknął Marek ze spuszczoną głową.

— Naprawdę. Sam popatrz.

Na ulicy prowadzącej do zamku pojawiła się grupa jeźdźców. Byli ubrani w kupieckie stroje, ale galopowali na rycerskich rumakach.

— To typowa dywersja — mruknął Marek. — Zaczyna się atak.

— Jaki atak?

— Arcykapłan zaatakował Castelgard.

— Tak szybko?

— To tylko szpica, grupa zwiadowcza licząca około setki zbrojnych. Jej zadaniem jest wywołanie bałaganu i zamieszania. Główne siły zapewne nie przeprawiły się jeszcze przez rzekę. Ale to początek ataku.

Mieszkańcy Castelgard chyba myśleli tak samo. Goście lorda Olivera wybiegali z wielkiego holu na dziedziniec i kierowali się w stronę bramy. Ruszyła grupa konnych rycerzy. Okrzykami rozpędzili pieszych, z łomotem przejechali przez zwodzony most i pognali ulicą w głąb miasta.

Do komnaty zajrzała zdyszana Kate.

— Chodźmy! — zawołała. — Musimy odnaleźć profesora, dopóki nie jest za późno.

28.57.32

W wielkiej sali zapanowało istne pandemonium. Muzycy rzucali instrumenty, goście tratowali się w drodze do wyjścia, psy szczekały, nakrycia z brzękiem

spadały na podłogę. Rycerze, gotowi natychmiast włączyć się do walki, wykrzykiwali rozkazy swoim giermkom. Lord Oliver wybiegł zza stołu, chwycił profesora za ramię i zwrócił się do sir Guya:

— Jedziemy do La Roque. Zaopiekuj się lady Claire. I sprowadź jego uczniów. Robert de Kere wpadł do sali jak bomba.

— Mój panie, uczniowie zabici! Straże ich ścięły, gdy próbowali uciec!

— Co? Próbowali uciec?! Nie bacząc na życie swojego mistrza?! Pójdź ze mną, magistrze.

Ruszył w stronę drzwi prowadzących na boczny dziedziniec.

Kate popędziła spiralnymi schodami, przeskakując po dwa stopnie. Chris i Marek biegli tuż za nią. Na pierwszym piętrze musiała zwolnić, aby przepuścić ludzi, którzy schodzili na dół, gromadkę kobiet i ubranego na czerwono, z trudem poruszającego się starca.

— Co się stało? — zapytał z tyłu Chris.

Erickson ruchem ręki nakazała mu milczenie. Minęła co najmniej minuta, zanim wydostali się na dziedziniec.

* * *

Panował tu nieopisany chaos. Rycerze na koniach razami batów próbowali utorować sobie drogę przez tłum przerażonych biesiadników. W powietrzu krzyżowały się wrzaski ludzi, rżenie koni i głośne okrzyki straży ze szczytu murów.

— Tędy — rzuciła Kate, skręcając w stronę kaplicy.

Wąskim zaułkiem przedostali się na dziedziniec gospodarczy, ale tu panował podobny ścisk. Ujrzeni lorda Olivera na koniu i sir Maleganta u jego boku. W gronie rycerzy był także profesor. Gospodarz wykrzyknął komendę i oddział zbrojnych ruszył w kierunku bramy.

Kate nakazała kolegom, aby zostali w cieniu zaułka, a sama podbiegła bliżej murów, skąd widać było drogę łączącą gród z miastem. Oddział zjechał właśnie ze zwodzonego mostu i Oliver skręcił w lewo, ku obrzeżom Castelgard. Straże otworzyły przed nim bramę we wschodnim murze. Cała grupa wyjechała na zewnątrz i po chwili ukazała się wśród pól. Bramę pospiesznie zatrzęsiono z powrotem.

— Dokąd pojechali? — spytał Marek.

Wskazała wschodnią bramę. Strzegło jej co najmniej trzydziestu rycerzy. Gromady zbrojnych stały na blankach.

— Tamtędy się nie wydostaniemy — mruknął.

Na skraju miasta spostrzegli grupę mężczyzn, którzy zrzucali szare stroje współstwa. Pod spodem mieli zielono-czarne kaftany regularnego wojska. Błyska-

wicznie uformowali oddziały i skierowali się w stronę zamku. Zabrzęczały łańcuchy zwodzonego mostu.

— Biegiem! — krzyknął Andre.

Popędzili w stronę bramy. Przy wtórze głośnego skrzywienia most zaczął się podnosić. Biegli co tchu w piersiach. Kiedy dotarli do skraju mostu, belki były już metr nad ziemią. Pospiesznie zeskoczyli.

— I co dalej? — zapytał Chris, dźwigając się na nogi. Wciąż kurczowo ścisnął w garści zakrwawiony miecz.

— Za mną! — rzucił Marek i ruszył biegiem ku wylotowi głównej ulicy.

* * *

Za kościołem skręcili między domy, bo na głównej ulicy rozgorzała walka. Żołnierze Olivera byli ubrani w kasztanowo-szare płaszcze, ludzie Arnauta mieli okrycia zielono-czarne. Marek, Chris i Kate dotarli zaułkami na rynek, teraz całym opustoszały. U wylotu uliczki cofnęli się przed gromadą rycerzy Arnauta galopujących w kierunku zamku. Jeden z konnych machnął mieczem w ich stronę i coś krzyknął. Marek odprowadził go wzrokiem i ruszył dalej.

Chris rozglądał się wokoło. Nigdzie nie widział rozplątanych kobiet i pomordowanych dzieci. Przyjął to z ulgą, chociaż gdzieś w głębi duszy poczuł się rozczarowany.

— Wszyscy uciekli albo dobrze się pochowali — wyjaśnił Marek. — Wojny toczą się w tym rejonie już od dłuższego czasu. Ludzie nauczyli się, jak postępować.

— Którędy dalej? — zapytała idąca przodem Kate.

— W lewo, do głównej bramy.

Znów skręcili w wąską boczną uliczkę. Niespodziewanie usłyszeli okrzyki, grupa zbrojnych ruszyła w ich kierunku. Hughes nie wiedział, czy rzucili się w pościg, czy tylko biegną w tę samą stronę. Nie zamierzał czekać, aby się przekonać.

Marek i Kate pędzili wielkimi susami, pognął więc za nimi. Kiedy po chwili obejrzał się przez ramię, zauważył, że prześladowcy zostali wyraźnie z tyłu. Poczuł przyływ dumy.

Nie chciał jednak ryzykować kolejnego starcia. Gwałtownie skręcił w wąziutki zaułek. Domy były tu pozamykane na głucho, między płótkami ciągnęły się błotniste alejki. Wbiegli na podwórze na tyłach jakiegoś warsztatu. Było zastawione dużymi drewnianymi kadziami, a pod komórką stała wielka rama z grubych żerdzi. Odrażający fetor gnijącego mięsa mieszał się ze smrodem gnojówki.

Na pewno był to warsztat garbarski.

— Tutaj! Szybko! — zakomenderował Marek, kucając za jedną z kadzi.
— Uff — sapnęła Kate, zatykając nos. — Co tak cuchnie?
— Zwierzęce skóry moczone w ptasich odchodach — szepnął Chris. —
Związki azotowe z guana rozmiękczej skórę.

— Ohyda.

— Czasem używano też psich odchodów.

Obejrzał się. Z boku komórki na ramie suszyło się kilka skór. Dalej pod płó-
tem leżała cuchnąca sterta żółtawej, rozplływającej się mazi. To był zjełczały łój
zdrapywany z wewnętrznej powierzchni skór.

— Aż piecze w oczy — mruknęła Kate.

Chris wskazał białą ciecz w kadzi i wyjaśnił, że to silnie alkaliczna woda
wapienna, używana do czyszczenia skór z resztek mięsa i sierści. Właśnie opary
wapna szczypały w oczy.

Jego uwagę przykuły hałasy dolatujące z ulicy, głośny tupot i szczęk oręza,
Wychylił się ostrożnie i rozpoznał sir Roberta de Kere'a dowodzącego siedmio-
osobowym oddziałem. Strażnicy rozglądali się uważnie na wszystkie strony, bez
wątpienia za nimi.

Hughes nie mógł kompletnie zrozumieć, dlaczego wciąż są ścigani. Czemu
nawet teraz, gdy miasto zostało zaatakowane, de Kere nadal pragnął ich pojmać?

Najwyraźniej strażnikom także nie podobał się fetor otaczający warsztat gar-
barski. Sir Robert wydał krótki rozkaz i oddział wycofał się z zaułka, a po chwili
zniknął w głębi uliczki.

— O co im chodzi? — zapytał Chris szeptem.

Marek zrobił zdziwioną minę i pokręcił głową.

Za płotu doleciały gromkie okrzyki, strażnicy znów pojawili się między do-
mami. Hughes zmarszczył brwi. Czy to możliwe, żeby coś usłyszeli? Spojrzał na
Marka, którego chyba także to zastanowiło. De Kere krzyknął głośno:

— Ici! Ici!

Pewnie zostawił na skraju podwórka jednego ze swoich ludzi, pomyślał Chris.
Marek wyrzwał zza kadzi, ale zaraz się cofnął. De Kere i strażnicy przełazili wła-
śnie przez płot. Nie było mowy o podjęciu walki z ośmioma prześladowcami na-
raz.

— Andre — szepnął Chris, stukając kciukiem w klepki pojemnika. — To ług.
Marek uśmiechnął się chytrze.

— Przyda nam się — rzekł.

Naparł ramieniem na kadź, Chris i Kate poszli w jego ślady. Chwilę później
pojemnik się przechylił i szeroki strumień żrącej cieczy chlusnął w kierunku stra-
ży. Buchnął odrażający fetor. Zbrojni musieli wiedzieć, że biały płyn wywołuje
bolesne oparzenia, bo z okrzykami skoczyli z powrotem na płot. Słupki zaczę-
ły się przechylać pod ciężarem ludzi. Strażnicy jeden po drugim zeskoczyli na
błotnistą ścieżkę i wybiegli na ulicę.

— Teraz! — rzucił Marek.

Pobiegli w głąb podwórza i skręcili za komórkę. Przeskoczyli przez płot na drugą uliczkę.

* * *

Było już późne popołudnie, zapadał zmierzch. U wylotu uliczki stały dwie płonące chałupy. Ziemia wokół nich była stratowana, zapewne mieszkańcy próbowali ugasić pożar. Ale teraz w pobliżu nie było nikogo. Z płonących domów wysoko w niebo strzelały snopy iskier, głośno trzaskały palące się belki.

Poszli wąską ścieżką biegnącą na tyłach zabudowań wzdłuż chlewików. Przeżalone świnie kwiczały i miotaly się w zagrodach.

Marek skierował się ku południowej bramie, tej, którą weszli do miasta. Wkrótce spostrzegł, że toczy się tam zacięty bój. Przejście między otwartymi wrotami blokowały ciała zabitych koni, ludzie Arnauta nacierali na strażników uzbrojonych w miecze i topory.

Poprowadził ich z powrotem przez zabudowania wieśniaków.

— Dokąd idziemy? — zapytał Chris.

— Nie jestem pewien. — Wyjrzał zza węgła na mury obronne. Po blankach biegli żołnierze, kierowali się ku południowej bramie, gdzie wrzała walka. — Musimy się dostać na mur.

— Na samą górę?

— Tak. Chodźmy tędy.

Wskazał przejście między płotkami, które wiodło do schodów prowadzących na blanki. Wbiegli na szczyt. Z góry widać było, że pożar się rozprzestrzenił. Wyglądało na to, że wkrótce pożoga ogarnie całe Castelgard. Marek spojrział w dół. Od ziemi dzieliło ich dobre sześć metrów. Nieco dalej pod murem rosła gęsta kępa zarośli. Powinny złagodzić upadek z tej wysokości.

— Rozluźnij się. Nie napinaj mięśni.

— Jak to? — zdziwił się Hughes.

Kate błyskawicznie przykucnęła, zsunęła się z muru i zawisła na rękach. Po chwili wylądowała w zaroślach miękko jak kot. Spojrzała w górę i przywołała ich ruchem ręki.

— To dość wysoko — mruknął Chris. — Nie chcę połamać nóg. . .

Z prawej strony doleciały głośne okrzyki, trzech zbrojnych pędziło w ich kierunku z mieczami w dłoniach.

— No to nie połam — odparł Marek i skoczył.

Chris poszedł w jego ślady. Wylądował na ugiętych nogach, poleciał do tyłu i potoczył się po trawie. Wolno wstał z ziemi. Nie odniósł żadnych urazów.

Poczuł ogromną ulgę i w tej samej chwili usłyszał złowróżbny świst. Pierwsza strzała świsnęła mu koło ucha, druga wbiła się w ziemię u jego stóp. Na murze zaroilo się nagle od łuczników. Marek pociągnął go w stronę odległych o dziesięć metrów krzaków. Pod ich osłoną padli na ziemię.

Po chwili w powietrzu zrobiło się aż gęsto od strzał, ale większość z nich nadlatywała z przeciwnej strony. W zapadającym zmroku dostrzegli ludzi Arnauta w zielono-czarnych barwach, którzy zbliżali się po stromym zboczu szczytu.

— Dlaczego do nas strzelają? — spytał Chris.

Andre nie odpowiedział, zaczął się czołgać wzdłuż muru. Erickson popęzła za nim, trzymając nisko głowę. Któraś strzała drasnęła ramię Hughesa. Poczuł piekący ból. Spojrzał na rozcięty dublet i ze zdwojoną energią zaczął się czołgać za Markiem i Kate.

28.12.39

— Mam dwie wiadomości, dobrą i złą — powiedziała Diane Kramer, wchodząc do gabinetu Donigera.

Była dziewiąta rano. Prezes siedział przy komputerze. Jedną ręką wystukiwał coś na klawiaturze, w drugiej trzymał puszkę coca-coli.

— Najpierw chcę usłyszeć złą — odparł.

— Rannych techników zabrano do szpitala uniwersyteckiego. Dotarli na izbę przyjęć koło pomocy. Nie zgadniesz, kto miał dyżur. Pani doktor Tsosie, ta sama, która badała Trauba w Gallup.

— Pracuje w obu szpitalach?

— Tak. Ma stały etat w Albuquerque, ale dwa dni w tygodniu spędza w Gallup.

— Cholera — syknął Doniger. — To dozwolone?

— Oczywiście. W każdym razie doktor Tsosie ochoczo wzięła naszych ludzi pod lupę. Trzem wykonała nawet badanie rezonansu magnetycznego. Gdy tylko się dowiedziała przez radio, że wiozą jej rannych pracowników ITC, zarezerwowała aparat.

— Czyżby coś podejrzewała? — Doniger zmarszczył brwi. — To by znaczyło, że wykryła błędy transkrypcyjne u Trauba.

— Owszem — przyznała Kramer. — Najwidoczniej robiła Traubowi rezonans i teraz szukała konkretnych objawów. Defektów fizycznych, liniowych uskoków budowy ciała.

— Cholera — powtórzył Doniger.

— W dodatku zrobiła wokół tych badań sporo szumu, postawiła na nogi niemal cały personel szpitala i zawiadomiła tego gliniarza z Gallup, Waunekę. Wygląda na to, że są zaprzyjaźnieni.

— Tylko tego brakowało — warknął prezes. — Potrzebne nam to jak wrzód na dupie.

— Chcesz usłyszeć dobrą wiadomość?

— Słucham.

— Wauneka przekazał sprawę policji w Albuquerque, sam komendant przyjechał do szpitala. Ściągnął też paru dziennikarzy. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach, czekając na sensacyjne wiadomości. Spodziewali się chyba skażenia radioaktywnego, świecenia ciał w ciemności lub czegoś w tym rodzaju. Tymczasem obrażenia techników okazały się niegroźne, w większości były to skaleczenia odłamkami szkła. Nawet człowiek, który ucierpiał wskutek wybuchu granatu, miał tylko powierzchowne rany, odłamki utkwiły tuż pod skórą.

— Główny impet eksplozji poszedł na osłony wodne.

— Tak, chyba tak. W każdym razie wszyscy byli rozczarowani. A teraz najważniejsze. Gwóźdź programu, badanie rezonansu magnetycznego, wykonywano trzy razy. U żadnego z naszych ludzi nie znaleziono błędów transkrypcyjnych. Oczywiście dlatego, że byli technikami. Komendant policji wpadł we wściekłość. Dyrektor szpitala dostał białej gorączki. Dziennikarze odjechali w pośpiechu do pożaru. Tymczasem jakiś chłopak z kamicą nerkową omal się nie przekreślił. Nie można mu było zrobić rezonansu magnetycznego, bo doktor Tsosie okupowała aparat. Stała nagle przed perspektywą utraty pracy. Wauneka dostał opieprz i oboje natychmiast gdzieś zniknęli.

— Wspaniale — rzekł Doniger, bębniąc palcami po stole. Uśmiechnął się szeroko. — W pełni sobie na to zasłużyli.

— To jeszcze nie wszystko — dodała triumfalnie Kramer. — Ta wścibska Francuzka, Louis Delvert, zgodziła się odwiedzić nasz ośrodek.

— No wreszcie! Kiedy?

— W przyszłym tygodniu. Urządzimy jej zwykłą wycieczkę.

— Zapowiada się cudowny dzień. Wiesz, chyba damy radę zapędzić dzina z powrotem do butelki. Jak sądzisz?

— W południe masz konferencję prasową.

— To jeszcze jedna zła wiadomość — mruknął Doniger.

— A Stern odkrył stary prototyp. Chce nim wyruszyć. Gordon tłumaczył mu, iż to nie wchodzi w rachubę, lecz Stern zażądał twojego potwierdzenia, że go nie puścimy.

Doniger zawahał się.

— Moim zdaniem powinien wyruszyć, jeśli chce.

— Bob...

— Dlaczego nie?

— Bo to cholernie ryzykowne. Maszyna ma niewystarczającą osłonę. Nie była używana od lat. Zresztą większość poważnych błędów transkrypcyjnych wystąpiła u ludzi korzystających właśnie z niej. Prawdopodobnie Stern w ogóle by nie

wrócił.

— Wiem. — Doniger lekceważąco machnął ręką. — To wszystko drobnostki.

— A co nie jest drobnostką? — spytała zdziwiona Kramer.

— Baretto.

— Baretto?

— Cóż to? Bawisz się w echo? Myśl, Diane, na miłość boską! Kramer zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

— Weź pod uwagę, że Baretto zginął na początku podróży, w ciągu paru minut po wyjściu z maszyny.

— Owszem. . .

— A na samym początku, tuż po wyjściu z maszyny, wszyscy są zszokowani i przez jakiś czas pozostają razem. Zgadza się? Więc jak sądzisz, dlaczego zginął tylko Baretto?

Nie odpowiedziała.

— Zdrowy rozsądek podpowiada, że ten, kto zabił Baretto, pewnie zabił też pozostałych. Wyciął całą ekipę do nogi.

— Pewnie tak. . .

— A to oznacza, że prawdopodobnie nikt stamtąd nie wróci. Nie ma co czekać na profesora, skoro ekipa ratunkowa przestała istnieć. Niezbyt to nam na rękę, ale zdołamy jakoś wytłumaczyć zaginięcie całej grupy ludzi. Mógł się zdarzyć tragiczny wypadek w laboratorium i zwłoki doszczętnie spłonęły albo doszło do katastrofy lotniczej, z której nikt nie ocalał. . .

Przez chwilę milczeli.

— Jest jeszcze Stern — powiedziała Kramer cicho. — A on zna całą prawdę. — Zgadza się.

— I dlatego chcesz go również wyprawić, pozbyć się ostatniego świadka. Wtedy sprawa będzie czysta.

— Nic podobnego — odparł stanowczo Doniger. — W gruncie rzeczy jestem przeciwny jego wyprawie. Ale skoro zgłosił się na ochotnika i chce pomóc przyjacielom. . . Byłoby nie w porządku z mojej strony, gdybym robił mu przeszkody.

— Wiesz co, Bob? Czasami wyłazi z ciebie straszna świnią.

Doniger niespodziewanie wybuchnął gromkim śmiechem. A śmiał się jak dziecko, piskliwie, spazmatycznie, jakby wpadł w histerię. Kramer słyszała go już nieraz i zawsze kojarzył jej się ze śmiechem hieny.

— Jeśli pozwolisz Sternowi wyruszyć, odchodzę.

To tylko nasiliło wesołość Donigera. Odchylił się na krześle, zadarł głowę i chichotał donośnie. Kramer ogarnęła złość.

— Mówię poważnie, Bob.

Nagle spowaźniał i otarł załzawione oczy.

— Nie wygłupiaj się, Diane. Żartowałem. Przecież to jasne, że Stern nie może wyruszyć. Gdzie się podziało twoje poczucie humoru?

Odwróciła się do wyjścia.

— Przekażę Sternowi, że się nie zgodziłeś — syknęła. — Wiem jednak, że wcale nie żartowałeś.

Doniger znów zaczął się śmiać, pokój wypełnił donośny chichot. Kramer wyszła i z wściekłością trzasnęła drzwiami.

27.27.22

Od czterdziestu minut przedzierali się przez las. Dotarli wreszcie na szczyt wzgórza, gdzie mogli trochę odpocząć i rozpatrzeć się w sytuacji.

— O mój Boże — jęknęła Kate, patrząc w dal.

Mieli przed sobą dolinę rzeki i klasztor na drugim brzegu. Wyżej, nad zabudowaniami klasztorными, wznosiła się twierdza La Roque. Robiła imponujące wrażenie. W oknach i na blankach płonęły setki pochodni. Zewnętrzne mury obrzeżone szeroką fosą odcinały się głęboką czernią. Wewnątrz ciągnął się drugi pierścień szańców, najeżony licznymi basztami, a w samym środku kompleksu stał potężny zamek z olbrzymim głównym holem i masywną, czworokątną wieżą centralną.

— Przypomina zamek w Bezenac? — spytał Marek.

— Ależ nie — odparła Kate, energicznie kręcąc głową. — Jest znacznie potężniejszy. Współczesna rekonstrukcja w Bezenac ma tylko jeden mur obronny, a tu są dwa. Po zewnętrznych szańcach do dzisiaj nie zostało ani śladu.

— Jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie został zdobyty.

— Teraz wiadomo dlaczego — wtrącił Chris. — Tylko spójrz, jak jest usytuowany.

Forteca stała na szczycie wapiennego masywu, od wschodu i południa wznoszącego się niemal pionowo jakieś sto pięćdziesiąt metrów ponad dolinę Dordogne. Od zachodu, gdzie stoki nie były takie strome, kamienne domy miasta Beyzac podchodziły tarasami niemal pod same mury. Niemniej każdy, kto chciałby się przedostać szerokimi ulicami do zamku, i tak musiałby stanąć nad fosą, przez którą przerzucono kilka zwodzonych mostów. Od pomocy, gdzie teren był prawie płaski, las wycięto szerokim pierścieniem. Nawet zmasowany szturm przez to karczowisko równałby się samobójstwu.

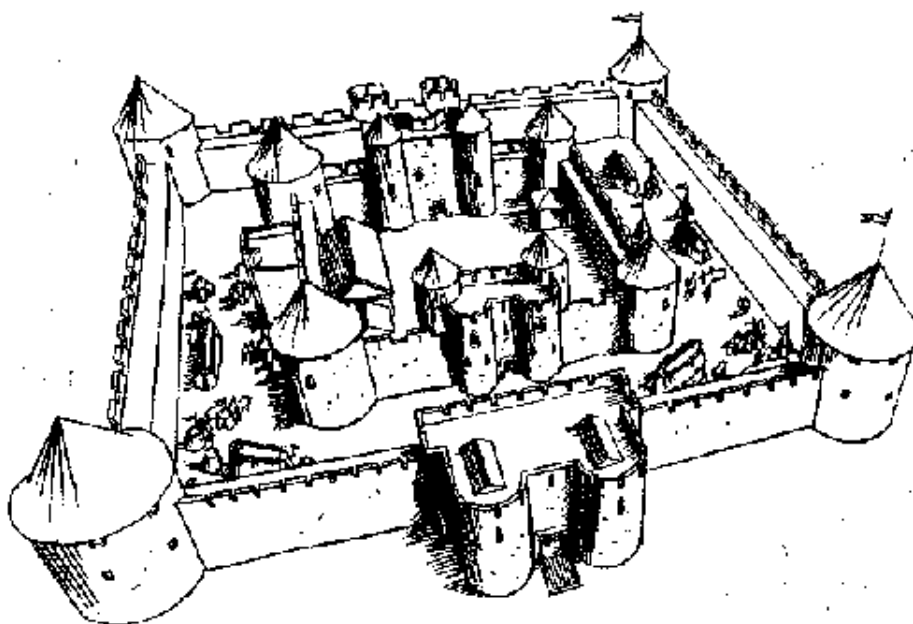
— Spójrzcie tam. — Marek wskazał palcem.

* * *

W szarówce ledwie było widać orszak konnych zbliżający się do zamku zachodnim gościńcem. Dwaj rycerze jadący przodem trzymali pochodnie.

Oświetlały sylwetki lorda Olivera, sir Guya, profesora i gromadę zbrojnych ciągnących za nimi w dwóch kolumnach. Z tej odległości ludzi można było rozpoznać wyłącznie na podstawie postury, Chris jednak nie miał najmniejszych wątpliwości, co to za orszak.

Westchnął głośno, kiedy wjechali na zwodzony most przed olbrzymią wieżą bramną zwieńczoną dwiema półkolistymi basztami. Archeolodzy nazywali ją bramą podwójnego D, bo z góry baszty wyglądały jak lustrzane odbicia tej litery. Straże na blankach obu wież uważnie śledziły przejazd zbrojnej gromady.



Na obszernym dziedzińcu za bramą jezdni minęli szeregi drewnianych baraków.

— Wreszcie wiemy, gdzie stacjonowały oddziały obrońców — odezwała się Kate.

Grupa minęła koszary, przejechała po drugim zwodzonym moście nad wewnętrzną fosą i na krótko zniknęła w kolejnej bramie, zwieńczonej jeszcze potężniejszymi, dziesięciometrowymi basztami o licznych otworach strzelniczych, z których padał blask pochodni.

Dopiero na wewnętrznym dziedzińcu zamkowym jezdni zsiadli z koni. Oliver poprowadził Johnstona do wielkiego holu i chwilę później zniknęli w wejściu.

* * *

— Profesor powiedział, że gdybyśmy zostali rozdzieleni, powinniśmy iść do klasztoru i odszukać brata Marcela, który ma klucz — przypomniała Kate. — Podejrzewam, że chodzi o klucz do drzwi zamykających sekretny korytarz.

Marek przytaknął ruchem głowy.

— I tak zrobimy. Wkrótce będzie już całkiem ciemno, wtedy wyruszymy. Chris spojrział w przeciwną stronę. Po całym terenie od szczytu wzgórza aż do krawędzi nadrzecznego urwiska kręciły się grupy zbrojnych. Musieli się przekraść między nimi, jeśli zamierzali dotrzeć do klasztoru.

— Naprawdę chcesz tam iść jeszcze dzisiaj?

— Owszem — mruknął Andre. — Wiem, że nie wygląda to zachęcająco, ale jutro w ciągu dnia będzie jeszcze trudniej się przedrzeć.

26.12.01

Noc była bezksiężycowa. Na niebie usianym miriadami gwiazd tylko z rzadka przesuwały się chmury. Marek poprowadził ich w dół zbocza z dala od płonącego Castelgard. Chrisa zaskoczyło, że jest w stanie dostrzec najważniejsze punkty orientacyjne terenu. Blask gwiazd wydał mu się bardzo intensywny. Przypomniał sobie, że według średniowiecznych kronikarzy Wenus widoczna była na niebie również za dnia, tak jak teraz Księżyc.

Wokół panowała zupełna cisza. Słyszeli tylko odgłos własnych kroków i szelest gałązek ocierających się o ubrania.

— Gdy dotrzemy do ścieżki — powiedział Marek szeptem — skęcimy w dół ku rzece.

Posuwali się wolno. Marek często przystawał, kucał i nasłuchiwał przez dwie, trzy minuty, zanim ruszył dalej. Dopiero po godzinie dostrzegli ścieżkę wiodącą nad brzeg rzeki. Szarawa smuga przecinała czarne połacie trawy i zarośli.

Andre znowu stanął. Było cicho. Tylko wiatr delikatnie szemrał w gałęziach drzew. Chrisa ogarnęło zniecierpliwienie. Odczekał minutę, po czym wstał.

Marek pociągnął go za rękę i przyłożył palec do warg, nakazując milczenie.

Chris wyczuł słuch. Szum wiatru niósł ze sobą szepty ludzi. Po chwili usłyszeli gdzieś z przodu czyjeś kasznięcie. Później rozległo się drugie po przeciwnej stronie ścieżki.

Marek bez słowa wskazał palcem w lewo i prawo. Dopiero teraz Chris zauważył w zaroślach przy ścieżce ledwie widoczne odbicia blasku gwiazd w zbroi.

I znów usłyszał szepty, tym razem znacznie bliżej.

To musiała być zasadzka, zbrojni czekali przyczajeni po obu stronach ścieżki. Andre pokazał kierunek, z którego przyszli. Powoli zaczęli się wycofywać.

* * *

— Dokąd teraz? — zapytał szeptem Hughes.

— Musimy się trzymać z dala od ścieżki. Pójdziemy na wschód — odparł Marek.

Ruszył na przełaj przez łąkę.

Chris szedł spięty, próbował wyłować najcichsze odgłosy, ale szelest trawy pod stopami wszystko zagłuszał. Zrozumiał teraz, dlaczego Andre tak często się zatrzymywał. Nie było innego sposobu na usłyszenie czegokolwiek w nocnej ciszy.

W odległości jakichś dwustu metrów od ścieżki skręcili w kierunku rzeki. Minęli łąkę i dalej szli przez pola. Mimo ciemności Chris czuł się niepewnie. Kamienny murek okalający uprawną ziemię stanowił wprawdzie osłonę przed strzałami, ale na otwartej przestrzeni nie miałoby gdzie się skryć. Odetchnął z ulgą, kiedy ponownie wyszli na łąki porośnięte kępami krzaków, wśród których zalegał nieprzenikniony mrok.

* * *

Ten świat pogrążony w ciszy i ciemności wydawał mu się obcy i nieprzyjazny. Niebezpieczeństwo mogło się kryć za każdym najdrobniejszym poruszeniem i najdelikatniejszym szmerem. Chris szedł na ugiętych nogach, przygarbiony, ostrożnie sprawdzał grunt przy każdym kroku. Rozglądał się na wszystkie strony.

Obejrzał się na Kate. Ona także poruszała się bardzo ostrożnie, z pochyloną głową, napięta do granic wytrzymałości.

Przypomniał sobie dyskusje, jakie toczyli w gronie magistrantów. W sali seminaryjnej na pierwszym piętrze gmachu Peabody'ego spierali się, czy archeologia postępową jest dziedziną historyczną czy raczej archeologiczną, czy kryteria formalistów przeważają nad kryteriami obiektywistów, czy doktryna derywacjonistów zawiera pierwiastki normatywne.

Wiedli dysputy dotyczące pojęć czysto abstrakcyjnych, kwestii nie mających rozstrzygnięcia, i stawiali pytania, na które nie było odpowiedzi. Wkładali w te polemiki wiele serca i traktowali je bardzo poważnie.

Teraz, w trakcie mozolnego posuwania się w ciemności w dół zbocza ku rzece, świat akademickich sporów wydał mu się odległy i tak mało ważny, że niewart zachowania w pamięci.

Niedaleko trzasnęła gałązka. Chris zatrzymał się nagle.

Marek i Kate także zastygli bez ruchu.

Usłyszeli szelest trawy, później ciche chrząknięcie. Czekali w napięciu. Marek zacisnął palce na rękojeści miecza.

Nagle tuż przed nimi mignęła w blasku gwiazd ciemna sylwetka dzika.

— Trzeba było go zabić — szepnął Andre. — Jestem głodny.

Poszli dalej, choć mieli świadomość, że to nie oni spłoszyli zwierzę. Wkrótce usłyszeli wyraźnie odgłosy kroków. Grupa ludzi zmierzała w ich stronę.

* * *

Marek zmarszczył brwi.

W świetle gwiazd dostrzegł niewyraźne odblaski na zbrojach żołnierzy. Było ich siedmiu lub ośmiu. Podążali na wschód, wkrótce jednak przyczaili się w kępie krzaków. Zapadła cisza.

Co się dzieje, do cholery?!

Żołnierze najpierw przygotowali zasadzkę przy ścieżce, jakby czyhali właśnie na nich, a teraz przesunęli się bliżej rzeki, znowu blokując im drogę.

Dlaczego?

Spojrzał na Kate, która przykucnęła obok. Na jej twarzy malował się tylko strach.

Chris postukał go lekko w ramię. Wymownie pokręcił głową i wskazał palcem ucho.

Marek wyczuł słuch. Nie złowił jednak niczego poza szumem wiatru. Zdumiony obejrzał się na Chrisa, który energiczniej postukał się otwartą dłonią w bok głowy.

Dawał mu znać, żeby włączył translator.

Marek trącił palcem ucho.

Rozległ się ledwie słyszalny trzask i znowu nic. Dopiero po pewnym czasie Marek wyłapał przez radio cichy, ledwie słyszalny odgłos czyjegoś oddechu.

Ale to nie był nikt z nich.

Ktoś jeszcze miał implant.

* * *

— To zbyt niebezpieczne, Andre — szepnął Chris. — Nie próbujmy forsować

rzeki nocą.

— Masz racją — odparł Marek. — Wrócimy do Castelgard i przeczekamy do rana za murami.

— Tak będzie najlepiej.

Równocześnie sięgnęli do uszu i wyłączyli urządzenia.

Kilka minut później żołnierze wyszli zza krzaków i ruszyli z powrotem przez łąkę. Biegli ku szczytowi wzgórza, w stronę Castelgard.

Odczekali bez ruchu następnych pięć minut i zaczęli się przekradać w kierunku rzeki.

* * *

Chris odkrył prawdę przypadkiem. Gdy szli przez łąkę, odpędzał od twarzy natrętnego komara i niechcący włączył odbiornik implantu. Kilka sekund później usłyszał wyraźnie czyjeś westchnienie.

A przecież żadne z nich nie westchnęło.

Potem, gdy przystanęli przed spłoszonym dzikiem, doleciało go czyjeś sapanie. Marek i Kate byli obok, nie poruszali się i nie wydawali żadnych odgłosów.

Właśnie wtedy Chris zyskał pewność, że ktoś jeszcze dysponuje komputerowym implantem. Nie musiał się nawet zastanawiać nad jego pochodzeniem. Gomez miała identyczny. Ktoś wydłubał go z ucha zabitej kobiety. Nie wiadomo było tylko...

Marek trącił go lekko i wskazał ręką przed siebie.

Kate uniosła dłoń z kciukiem skierowanym ku górze i uśmiechnęła się szeroko.

Dotarli nad rzekę.

W tym miejscu Dordogne była dość szeroka, ledwie mogli dostrzec przeciwny brzeg, gęsto porośnięty krzakami. Kilkaset metrów w górę rzeki z mroku wyłaniał się niewyraźny zarys kamiennego mostu. O tej porze młyn był zamknięty, pracowano tam tylko za dnia.

Marek dotknął ramienia Chrisa i wskazał coś na wprost nich po drugiej stronie rzeki. Hughes wytężył wzrok, ale niczego nie zauważył. Obojętnie wzruszył ramionami.

Andre pokazał mu jeszcze raz.

Na tle smolistego nieba ledwie się odcinały trzy grube smugi szarawego dymu. Nie byli pewni, czy to dym z ognisk, nie dostrzegli nawet najsłabszego blasku płomieni.

Ruszyli brzegiem w górę rzeki i wkrótce natknęli się na łódź uwiązaną do

palika. Kołysana prądem wody, głucho postukiwała o kamienie. Marek jeszcze raz oszacował ich położenie, znajdowali się dość daleko od ognisk.

Wskazał łódź i pytająco rozłożył ręce: Chcecie zaryzykować przeprawę?

Chris przytaknął ruchem głowy.

Kate także kiwnęła głową.

Odwiazali łódź i weszli do niej. Marek usiadł przy wiosłach. Ruszyli w stronę przeciwnego brzegu.

* * *

Kate siedziała koło Chrisa. Przypomniała jej się rozmowa, jaką prowadzili przed kilkoma dniami podczas przeprawy przez rzekę. Miała wrażenie, że od tamtej pory upłynęło mnóstwo czasu.

Wodziła spojrzeniem po przeciwnym brzegu, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Gdyby ktoś spojrział w ich stronę, mógłby dostrzec łódź. Ale nikogo nie było.

Wkrótce dziób otarł się o trawę, dno z cichym zgrzytem przejechało po kamieniach. Wysiedli. Kilka metrów dalej wzdłuż rzeki prowadziła ledwie widoczna ścieżka. Marek przyłożył palec do warg, nakazując milczenie, i poprowadził w kierunku skarpy, nad którą unosił się dym.

Po kilku minutach wszystko się wyjaśniło. Na szczycie skarpy płonęły cztery ogniska. Były jednak rozmieszczone w zagłębieniach terenu i obsypane wałami, a blask płomieni skutecznie zasłaniały części zbroi powtykane na sztorc w ziemię.

Przy ogniskach nikogo nie było.

— Stara sztuczka — szepnął Marek. — Ognie mają sugerować obrońcom, że znajduje się tu obóz przeciwnika.

Kate wcale nie była pewna, co naprawdę oznacza ta „stara sztuczka”. Chciała wierzyć, że chodzi wyłącznie o zamarkowanie obecności znacznie liczniejszych oddziałów niż w rzeczywistości. Marek poprowadził ich dalej, w kierunku następnej grupy podobnych ognisk płonących nad rzeką. Kiedy minęli ostatnie ognisko w szeregu, nagle skoczył w bok ścieżki i padł plackiem w trawę. Kate i Chris poszli w jego ślady. Po chwili usłyszeli bełkotliwy pijacki śpiew. „Piwo pomaga drzemać przy ogniu, piwo pomaga moczyć się w bagnie...” — brzmiały słowa piosenki.

W kółko powtarzały się te same zwrotki. Prosta piosenka skojarzyła się Kate ze współczesną rymowanką: „Było morze, w morzu kołek...”. Nie zdziwiło jej, że rozróżnia tylko kilka męskich głosów. Najprawdopodobniej żołnierzom kazano czynić jak największy hałas, tak aby wydawało się, że przy wszystkich ogniskach

obożują grupy podpitych ludzi.

Marek dał im znać, że muszą się wycofać, a gdy przeszli kilkadziesiąt metrów, skręcił w lewo i poprowadził dalej od rzeki. Wkrótce wyłonili się z zarośli i ponownie wyszli między pola uprawne. Kate zorientowała się, że rano spoglądała na tę samą okolicę z brzegu lasu. Kilkaset metrów po lewej widać było kilka słabych świateł padających z okien klasztornego budynku. Widocznie niektórzy mnisi pracowali także w nocy.

Chris wskazał klasztor i zrobił pytający gest: Dlaczego nie idziemy tam od razu?

Marek złożył dłonie i oparł na nich głowę: Bo wszyscy śpią.

Hughes wzruszył ramionami: I co z tego?

Andre wykonał pantomimę, obrazującą zrywanie się z łóżek, alarm, zamieszanie. Chciał dać do zrozumienia, że niepotrzebnie narobiliby szumu, dobijając się do klasztoru w środku nocy.

Chris znowu wzruszył ramionami: I co z tego?

Marek pokivał palcem: Nic by to nam nie dało. Przekazał ruchem warg: Rano. Hughes westchnął.

Poszli dalej w stronę zabudowań. Na skraju wioski natknęli się na spaloną chałupę, z której pozostały okopcone ściany i zwęglone resztki szkieletu dachowego. Skręcił w stronę otwartych drzwi. Nawet w ciemności widać na nich było złowieszcze krwawe smugi.

Wnętrze chaty porastała bujna trawa, w której wałały się gliniane skorupy. Marek zaczął wodzić palcami wśród kęp darni i po chwili wyciągnął dwie nadtłuczone miski. Kształtem i wielkością przypominały nocniki. Postawił je na zwęglonej ramie okiennej.

— Chcesz tu spać? Gdzie? — spytała szeptem Kate. Wymownie wskazał palcem na ziemię.

— Dlaczego nie możemy iść do klasztoru?

Noc stawała się coraz zimniejsza. Byli też głodni. Kate marzyła, by znaleźć się gdzieś pod dachem.

— To zbyt niebezpieczne — odparł Andre. — Prześpimy się tutaj. Ułożył się w trawie i splótł dłonie pod głowę.

— Dlaczego niebezpieczne? — nie dawała za wygraną.

— Bo ktoś ma implant — syknął. — A w dodatku wie, dokąd zmierzamy. Chciałbym z tobą porozmawiać o... — zaczął Chris.

— Nie teraz — przerwał mu Marek. — Idźcie spać.

Kate ułożyła się na ziemi obok Chrisa i przywarła do niego plecami. Miała nadzieję, że w ten sposób obojgu będzie nieco cieplej. Robiło się naprawdę bardzo zimno.

W oddali zagrzmiało.

* * *

Po północy zaczęło padać. Kate obudziły grube krople deszczu spadające jej na twarz. Poderwała się z ziemi. W kącie pod ścianą zauważyła szeroką ławę. Była częściowo nadpalona, ale trzymała się jeszcze na nogach. Kate wsunęła się pod nią. Plecy oparła o zwęglone deski ściany, a kolana podciągnęła pod brodę. Chris usiadł obok niej. Później dołączył do nich Marek. Zasnął błyskawicznie. Krople deszczu ściekały mu ze szpary w ławie na policzek, ale jemu to nie przeszkadzało. Pochrapował cicho.

26.12.01

Dochodziła jedenasta. Nad kopulastymi mesas uniosło się kilka balonów. Jeden z nich był pomalowany w długie zygzaki, ulubiony deseń Indian Nawaho.

— Przykro mi — rzekł Gordon. — Prezes się nie zgodził. Nie możesz wyruszyć, Davidzie. To zbyt ryzykowne.

— Dlaczego? Podobno wasza technika jest całkowicie bezpieczna, o wiele bardziej niż jazda samochodem. Więc na czym polega ryzyko?

— Powiedziałem ci, że wyeliminowaliśmy błędy transkrypcyjne powstające podczas materializacji. Nie jest to całkiem zgodne z prawdą.

— Aha.

— Nie kłamałem, mówiąc, że nie jesteśmy w stanie stwierdzić żadnych różnic. Prawdopodobnie błędy występują przy każdej rekonstrukcji, lecz są na tyle drobne, że nie sposób ich zauważyć. Wygląda na to, że się kumulują, podobnie jak skutki napromieniowania. Nie widać ich po jednej wyprawie, ale po dziesięciu lub dwudziestu tak. Mogą to być szramy na skórze, ciemne smugi na rogówce oka albo też objawy chorobowe, na przykład cukrzycy lub choroby wieńcowej.

— Komuś się to już przydarzyło?

— Tak. Zaobserwowaliśmy zmiany u zwierząt doświadczalnych i u kilku osób, które korzystały z maszyny prototypowej.

Stern zamyślił się.

— Co się stało z tymi ludźmi?

— Większość nadal tu pracuje, ale nie mogą już uczestniczyć w wyprawach.

— Rozumiem, lecz w moim wypadku chodzi tylko o jedną podróż.

— Nie używaliśmy tej maszyny od dawna, nawet jej nie regulowaliśmy — odparł Gordon. — Nie wiemy, czy jest sprawna. Załóżmy, że pojawisz się w roku tysiąc trzysta pięćdziesiątym siódmym i stwierdzisz u siebie poważne błędy transkrypcyjne. Nie będziesz mógł wrócić, bo ryzyko ich kumulacji będzie zbyt duże. Co wtedy?

— Domyślałam się, że musiałbym tam zostać.

- Owszem.
- Zdarzyło się to już komuś?
- Gordon wyraźnie się zawahał.
- Być może.
- Mam rozumieć, że któryś z waszych ludzi pozostał w przeszłości?
- Niewykluczone. Nie jesteśmy pewni.
- Muszę to wiedzieć — rzekł Stern z naciskiem. — Bo jeśli wciąż przebywa tam któryś z waszych agentów, mógłby pomóc moim kolegom.
- Nie jestem pewien, czy ten człowiek chciałby komukolwiek pomóc — mruknął Gordon.
- Mimo wszystko powinniśmy ich zawiadomić o jego istnieniu.
- Już ci tłumaczyłem, że nie można się z nimi skontaktować.
- Nieprawda — powiedział Stern. — Można.

16.12.23

Chris obudził się przed świtem. Niebo dopiero szarzało, nad ziemią unosiła się lekka mgiełka. Zesztywniał od siedzenia w skulonej pozycji, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Kate spała z głową opartą na jego ramieniu. Kiedy poruszył się ostrożnie, by przez otwarte drzwi wyrzeć na zewnątrz, poczuł dotkliwy ból. Mięśnie bolały go od nadmiernego wysiłku, poza tym był cały poobijany i potłuczony.

Lniana koszula przylepiła mu się do ramienia. Widocznie skaleczenie grotem strzały krwawiło o wiele bardziej, niż podejrzewał. Zagryzł zęby i poruszył kilka razy ręką. Nie było tak źle.

Gdyby jeszcze usiąść przy ognisku i zjeść coś ciepłego... Czuł ssanie w żołądku i chciało mu się pić. Gdzie tu można znaleźć czystą wodę? Czy woda z rzeki nadaje się do picia? Może lepiej poszukać źródła? No i warto by zdobyć coś do jedzenia.

Obrócił się, żeby porozmawiać o tym z Andre, lecz przyjaciela nie było. Wyciągnął szyję — krzywiąc się przy tym z bólu — i zlustrował teren przed domem, ale i tam nie zauważył Marka.

Zaczął się gramolić spod ławki, kiedy usłyszał czyjeś kroki za domem. Czyżby wracał Andre? Nie, nadchodziło kilka osób. Po chwili rozległ się wyraźnie brzęk kolczugi.

Kroki ucichły. Chris wstrzymał oddech. Na prawo, nie dalej niż metr od jego głowy, na osmalonej ramie okiennej ukazała się dłoń w ciężkiej rękawicy. Widoczny koniec rękawa płaszcza miał kolor zielony z czarnym obszyciem.

To byli ludzie Arnauta.

— Hic nemo habitavit nuper — powiedział męski głos. Od strony drzwi doleciała odpowiedź:

— Et intellego quare. Specta, porta habet signum rubrum. Estne pestilentiae?
— Pestilentia? Certo scisne? Abeamus!

Dłoń z okna zniknęła. Żołnierze oddalali się w pośpiechu. Chris miał wyłączony translator, musiał więc polegać na swojej słabej znajomości łaciny. Co znaczyło pestilential Chyba zaraza. Żołnierze zobaczyli czerwony znak na drzwiach i dlatego tak szybko odeszli.

Matko Boska, pomyślał, czy w tym domu panowała zaraza? Dlatego został spalony? A może zarazki przetrwały nawet pożar? Z trawy pod ścianą wylazł wielki czarny szczur i wybiegł przez otwarte drzwi przed dom. Hughes wzdygnął się z obrzydzenia. W tej samej chwili obudziła się Kate. Ziewnęła szeroko i zapytała:

— Która go...?

Pospiesznie zakrył jej dłonią usta.

Z zewnątrz wciąż dolatywały głosy oddalających się żołnierzy. Chris wygramolił się spod ławy, podszedł do okna i wyjrzał na ścieżkę.

Między zabudowaniami wioski sąsiadującej z klasztorem dostrzegł kilkunastu żołnierzy w zielono-czarnych płaszczach. Po chwili zza muru wyłonił się Marek. Szedł przygarbiony, powłócząc nogą. Tulił do piersi jakieś warzywa. Kiedy żołnierze go zatrzymali, nisko się uklonił. Pewnie udawał nierozgarniętego kalekę. Pokazał strażom, co niesie. Żołnierze wybuchnęli śmiechem, przepuścili go jednak. Pokuśtykał dalej.

* * *

Marek minął spaloną chatę i zniknął za rogiem klasztornej muru. Najwyraźniej nie chciał wskazywać żołnierzom ich kryjówek.

Chris usiadł z powrotem pod ławką, krzywiąc się z bólu. Kate pomogła mu rozpiąć kaftan. Odchyliła połę koszuli i zobaczyła, że cały lewy bok ma siny. Wokół wylewu skóra przybierała barwę czarno-żółtą. Musiał to być ślad po ciosie kopią w czasie turnieju.

Widząc jej zatroskaną minę, Chris zapytał:

— Kiepsko wygląda?

— Nie, to chyba tylko rozległe stłuczenie. Ale możesz mieć pęknięte zębra.

— Boli jak cholera.

Zsunęła brzeg koszuli z jego ramienia, żeby obejrzyć ranę. Wokół pięciocentymetrowego skaleczenia tworzył się już strup.

— I jak? — spytał.

— Powierzchowne rozcięcie.

Zainfekowane?

Nie. Wygląda czysto.

Zsunęła niżej brzeg koszuli, żeby ocenić wielkość siniaka na łopatce i pod pachą. Na plecach miał wiele drobniejszych stłuczeń, był strasznie poobijany. Musiał bardzo cierpieć. Zdziwiło ją, że nie skarżył się wcześniej. Dobrze pamiętała jego utyskiwania, kiedy w restauracji do omletu zamiast duszonych świeżych grzybów dostał suszone, czy dziecinne fochy, gdy nie odpowiadało mu wino do posiłku.

Naciągnęła mu z powrotem koszulę i zaczęła zapinać dublet.

— Sam sobie poradzę — burknął.

— Pomogę ci...

— Powiedziałem, że dam sobie radę!

Odsunęła się i uniosła dłonie w obronnym geście:

— Już dobrze. W porządku.

— Muszę choć trochę rozruszać ręce — odparł.

Powoli zapiął dublet, ale później przywarł plecami do ściany, zamknął oczy i przez jakiś czas ciężko dyszał. Na czoło wystąpił mu pot.

— Chris...

Otworzył oczy.

— Naprawdę dam sobie radę. Nic mi nie będzie. Nie martw się o mnie.

Mówił całkiem poważnie.

Ostatnie przeżycia bardzo go odmieniły.

* * *

Chris kątem oka ocenił wielkość i kolor rozległego siniaka na piersi. Był zaskoczony własną reakcją. Stłuczenie wyglądało groźnie, tymczasem odczuł dziwną ulgę, jak gdyby było mu wszystko jedno. Nawet przenikliwy ból wydawał się bez znaczenia. W jego sercu dominowała radość, że wciąż żyje i noc dobiegła końca. Nawet nie musiał tłumić chęci do uskarżania się i narzekań, zniknęła gdzieś wieczna niepewność siebie. Ze zdumieniem odkrył w sobie źródło niespożytej energii, nie znaną mu dotąd silną żywotność. Czuł, jak siły witalne niczym fala ciepła ogarniają całe jego ciało. Otaczający go świat wydawał się bardziej żywy niż dotychczas, dostarczał wielu fascynujących wrażeń.

Nawet ten szary, posępny świt krył w sobie pierwotne piękno. Zimne, wilgotne powietrze wypełniały zapachy świeżej ziemi i mokrej trawy. Mur za plecami stanowił solidną podporę. Ból spełniał pozytywną rolę, bo przyćmiewał wszelkie niepotrzebne doznania. Chris poczuł się uwolniony od cywilizacyjnego balastu,

pobudzony, gotów na wszystko. Przestało się liczyć, że zabił człowieka. Gdyby musiał, zrobiłby to znowu. Znalazł się w innym świecie, a tu obowiązywały inne prawa.

Po raz pierwszy odczuł więź z tym światem.

* * *

Kiedy żołnierze się oddalili, wrócił Marek.

— Rozumiecie coś z tego? — zapytał.

— Z czego?

— Ludzie Arnauta szukają trojga uciekinierów z Castelgard, dwóch mężczyzn i kobiety.

— Dlaczego?

— Podobno Arnaut chce z nimi rozmawiać.

— Jak to miło być sławnym — mruknął Chris z ironicznym uśmiechem. — Teraz już wszyscy nas szukają.

Marek wręczył im po parę liści jakichś roślin.

— Trochę zieleniny na śniadanie — rzekł. — Zjadajcie.

Chris ochoczo wbił w nie zęby.

— Wyśmienite — przyznał szczerze.

— Te z ząbkowanymi brzegami to liście maruny, działają przeciwbólowo. A przyprószone na biało to liście wierzby, powinny zmniejszyć opuchliznę.

— Dzięki. Są naprawdę bardzo smaczne.

Marek przez chwilę patrzył na niego z niedowierzaniem, po czym zwrócił się do Kate:

— Coś mu się stało?

— Nie, chyba wszystko w porządku.

— To dobrze. Jak zjecie, pójdziemy do klasztoru. Mam nadzieję, że uda nam się ominąć strażę.

Kate zdjęła perukę.

— To żaden problem — powiedziała. — Szukają dwóch mężczyzn i kobiety. Który z was ma ostrzejszy nóż?

* * *

Na szczęście jej włosy już były krótkie, przycięcie kilku dłuższych kosmyków zajęło Markowi zaledwie parę minut. Kiedy zajmował się wyrównywaniem fryzury, Chris zagadnął:

— Myślałem o wczorajszych wydarzeniach.

— Nie ulega wątpliwości, że ktoś jeszcze dysponuje implantem — rzekł Andre.

— To prawda. Chyba wiem, skąd go zdobył.

— Z ucha Gomez.

Hughes przytaknął ruchem głowy.

— Doszedłem do tego samego wniosku.

— Pozostaje pytanie, kto go wziął. Jesteśmy w czternastym wieku. Przedmiot, który potrafi gadać ludzkim głosem, musiałby zostać uznany za dzieło szatana. Każdy byłby przerażony takim znaleziskiem. Gdyby więc ktoś przypadkiem odkrył implant w uchu odciętej głowy człowieka, z pewnością rzuciłby go na ziemię i pewnie jeszcze rozgniół obcasem. Albo uciekł z opętańczym wrzaskiem.

— Zgadza się. Dlatego przychodzi mi na myśl tylko jedno wyjaśnienie. Te łobuzy z Black Rock nie powiedziały nam wszystkiego.

— Co jeszcze mieli powiedzieć? — zaciekawiała się Kate.

— Że jest tu jeszcze ktoś pochodzący z dwudziestego wieku.

— Tak, to jedyne sensowne wytłumaczenie — przyznał Marek.

— No więc kto? — spytała Erickson.

Hughes, który rozmyślał nad tym od chwili przebudzenia, rzucił krótko:

— De Kere. To musi być de Kere.

Marek z kwaśną miną pokręcił głową.

— Weź pod uwagę, że jest tu dopiero od roku — ciągnął Chris. — Zgadza się? I nikt nie wie, skąd przybył. Jakimś sposobem wkradł się w łaski sir Olivera. No i ma powód, żeby nas wszystkich nienawidzić. Wie, że wciąż mamy szansę wrócić, prawda? Tylko udawał, że oddala się z żołnierzami od warsztatu garbarskiego. Kiedy się odezwałem, natychmiast zawrócił. Mówię ci, to musi być de Kere.

— Jedna rzecz mi u niego nie pasuje. Bardzo płynnie mówi po oksytańsku.

— Nie lepiej od ciebie.

— Nieprawda. Po moim akcencie natychmiast można wyczuć obcokrajowca. Wy oboje bazujecie głównie na tłumaczeniach tłumacza, ale ja słucham bezpośrednio mowy tych ludzi. Uwierz mi, że de Kere mówi nadzwyczaj płynnie, a jego akcent niczym się nie różni od wymowy tubylców. Nie zapominaj, że w dwudziestym wieku oksytański jest martwym językiem. Nie wierzę, aby ktokolwiek

potrafił go tak dobrze opanować. De Kere musi pochodzić stąd.

— Może to lingwista?

Marek znowu pokręcił głową.

— To nie de Kere, tylko Guy Malegant.

— Sir Guy?

— Bez dwóch zdań. Naszły mnie wątpliwości co do niego już wtedy, gdy przyłapał nas w sekretnym korytarzu. Pamiętasz? Siedzieliśmy cicho jak myszy pod miotłą, a on ledwie otworzył ukryte przejście, od razu nas namierzył.

Nawet nie próbował udawać zaskoczenia, nie sięgnął po miecz. Natychmiast zaczął przywoływać strażę. Dlaczego? Bo wiedział wcześniej, że się tam ukryliśmy.

— Było trochę inaczej. Najpierw sir Daniel wszedł do komnaty. . .

— Na pewno? Nie przypominam sobie.

— Mówiąc szczerze — wtrąciła Kate — wydaje mi się, że Chris ma rację. To de Kere. Kiedy uciekłam przed strażami w wąski zaułek między wieżą a kaplicą i wdrapałam się na mur, de Kere zaczął tłumaczyć żołnierzom, że mają biec na górę i was zabić. Stali dość daleko ode mnie. Sama się wtedy zdziwiłam, że słowa de Kere'a docierają do mnie aż tak wyraźnie.

Marek spojrzał jej w twarz.

— A co było potem?

— De Kere powiedział coś szeptem do dowódcy straży. Nie usłyszałam jednak ani słowa.

— No właśnie, bo to nie on ma implant. Gdyby go nosił, słyszałabyś wszystko, nawet najcichszy szept. To nie de Kere, tylko sir Guy. Kto od razu ściął Gomez? Sir Guy. I kto później miał najlepszą okazję, żeby wrócić na miejsce zdarzenia i wyciągnąć aparat z jej ucha? Sir Guy. Jego ludzi przeraziły błyski znikającej maszyny, tylko on nie okazał zdziwienia. Zapewne dlatego, że wiedział, co to za urządzenie. Musi pochodzić z naszych czasów.

— Jeśli dobrze pamiętam, sir Guy był zajęty tratowaniem zwłok i nie patrzył w kierunku znikającej maszyny — rzekł Chris.

— Jeszcze jedno świadczy przeciwko niemu. Straszliwie kaleczy oksytański. Mówi z nosowym nowojorskim akcentem.

— A nie pochodzi przypadkiem z północnej Anglii? Zresztą robi wrażenie prostaka. Zapewne nie jest szlachetnie urodzony i został pasowany na rycerza za zasługi.

— I nie starczyło mu umiejętności, żeby wysadzić cię z siodła w pierwszym starciu, a mnie pokonać w walce na miecze? — zaoponował Marek. — Powtarzam jeszcze raz, to Guy Malegant.

— Tak czy inaczej, wszyscy już wiedzą, że idziemy do klasztoru.

— To prawda. — Marek odsunął się od Kate i zmierzył jej fryzurę uważnym spojrzeniem. — Może być.

Erickson przeciągnęła palcami po włosach.
— Czy powinnam się cieszyć, że nie mam lusterka?
Andre pokiwał głową.
— Chyba tak.
— Przypominam chłopaka?
Chris i Marek wymienili porozumiewawcze spojrzenia.
— Trochę.
— Tylko trochę?
— No nie. W każdym razie nie wyglądasz na kobietą.
— Naprawdę nie jest tak źle — dodał Marek.

15.12.09

Masywna dębowa furta uchyliła się z głośnym skrzypieniem. Wyjrzał zza niej mnich o twarzy osłoniętej głębokim białym kapturem.
— Niech Bóg obdarzy was dostatkiem i pomyślnością — mruknął posępnym głosem.
— Niech Bóg ześle ci zdrowie i mądrość — odparł Marek po oksytańsku.
— Z czym przybywacie?
— Chcieliśmy się zobaczyć z bratem Marcelem.
Mnich pokiwał głową, jakby się tego spodziewał.
— Certes, możecie wejść. Przychodzicie w dobrą porę, bo on jeszcze tu jest.
Uchylił szerzej furte i wpuścił ich do środka. Weszli do ciasnej mrocznej sieni, wypełnionej zapachami róż i pomarańczy. Gdzieś z głębi klasztoru dolatywały głosy chóru śpiewającego jakąś pieśń.
— Tutaj zostawcie broń — rzekł mnich, wskazując kąt sieni.
— Obawiam się, że nie możemy tego zrobić, bracie — odparł Andre.
— Nie musicie się niczego obawiać. Złóżcie broń alibo odejdźcie.
Marek nie dyskutował dłużej. Zaczął odpinać pas.

* * *

Mnich poprowadził ich długim korytarzem o gołych kamiennych ścianach. Później skręcili w drugi, niemal identyczny korytarz. Klasztor był bardzo rozległy, zabudowania tworzyły istny labirynt.

Był to klasztor cystersów. Zakonnicy nosili proste białe habity z kapturami. Surowa reguła cystersów miała zapobiegać korupcji trawiącej pokrewne zakony benedyktynów i dominikanów. Mnisi musieli przestrzegać ostrej dyscypliny

i żyć w skrajnym ascetyzmie. Nie wolno im było umieszczać żadnych ornamentów na wznoszonych kamiennych budowlach ani zdobić manuskryptów jakimikolwiek ilustracjami. Powinni się żywić głównie chlebem, jarzynami i wodą, ich bezmięsna dieta nie zawierała nawet sosów. Sypiać musieli na twardych posłaniach, w zimnych, pozbawionych sprzętów celach. Krótko mówiąc, mieli wieść spartańskie życie. W rzeczywistości jednak ta żelazna dyscyplina...

Coś głucho stuknęło.

Marek pochylił głowę i nastawił ucha. Zbliżali się do wyjścia na otwarty dziedziniec, z trzech stron otoczony łukowato sklepionymi arkadami. W założeniu było to miejsce do czytania i kontemplacji.

Drugie stuknięcie.

Dotarli do nich śmiechy i stłumione męskie głosy.

Znowu coś stuknęło. I jeszcze raz.

Ku swemu zdumieniu Marek ujrzał, że pośrodku dziedzińca nie było fontanny i ogrodu kwiatowego. Na gołej ubitej ziemi uwijało się czterech mnichów, mocno spoconych w grubych lnianych habitach. Grali ciężką skórzaną piłką wielkości piłki ręcznej.

Łup!

Piłka potoczyła się przez plac. Mężczyźni popychali się i ze śmiechem uskakiwali jej z drogi. Kiedy się zatrzymała, jeden z nich ją podniósł i zawołał:

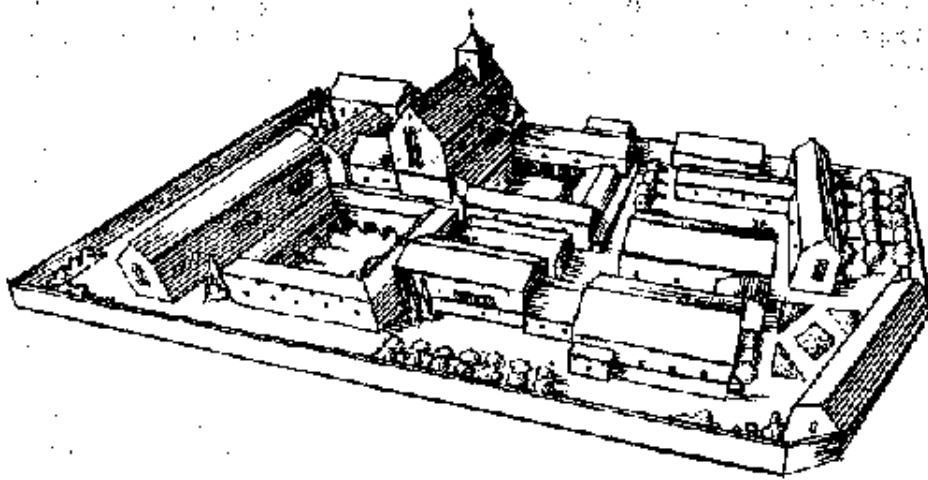
— Tenez!

Wyrzucił ją nad głowę i uderzył otwartą dłonią, jakby serwował w siatkówce. Piłka odbiła się od muru. Pozostali mnisi ustawiali się, aby ją odbić po raz drugi. Zakonnicy i klasztorni goście stojący na krużgankach hałaśliwie dopingowali graczy. Niektórzy trzymali wypchane sakiewki, bez wątpienia robiono zakłady.

Na murze wisiała drewniana tablica rozmiarów drzwi do komnaty. Ilekroć piłka z hukiem odbijała się od niej, okrzyki kibiców i graczy przybierały na sile.

Marek przystanął pod ścianą. Minęła dłuższa chwila, zanim uzmysłowił sobie, że patrzy na pierwotną wersję gry znanej w jego czasach jako tenis.

Nazwa pochodziła od wykrzykiwanego przez serwującego słowa „tenez”, które znaczyło: odbierz! Rakiety i siatka przegradzająca pole pojawiły się wiele wieków później, na razie była to odmiana piłki ręcznej. Wymyślona na początku czternastego wieku, błyskawicznie zdobyła olbrzymią popularność, była znana we wszystkich warstwach społecznych. Dzieci uczyły się grać w tenisa wszędzie tam, gdzie był kawałek dachu wystającego nad ulicę, od którego można by odbijać piłkę. Wśród szlachty zapanowała nawet moda fundowania nowych klasztorów i przerywania prac budowlanych, gdy tylko wzniesiono mury okalające wewnętrzny dziedziniec z placem do gry. Na dworze królewskim głośno wyrażano obawy, że rycerstwo całkiem utraci zapał do walki, jeśli dalej będzie go poświęcało rozgrywkom tenisowym, toczonym nawet przy świetle pochodni do późnej nocy. Francuski król Jan II, teraz uwięziony w Anglii, musiał przez wiele lat słać



swe długi tenisowe. Mawiano, że król, powszechnie zwany Dobrym, jest dobry w wielu dziedzinach, ale na pewno nie w grze w tenisa.

— Często tutaj gracie? — zapytał Marek przewodnika.

— Tak. Ćwiczenia rozwijają tężyznę ciała i bystrość umysłu — odparł mnich. Gramy na dwóch dziedzińcach.

Nim weszli do kolejnego budynku, Marek zwrócił uwagę, że wśród obstawiających zakłady kibiców jest sporo żołnierzy w zielono-czarnych barwach. Sprawiali wrażenie groźnych dzikusów o zbójeckich nawykach.

Kiedy szli schodami na piętro, zwrócił się do mnicha:

— Widno tutejszy zakon z radością gości ludzi Arnauta de Cervole.

— Zaiste. Przychylnie na nas patrzą i obiecali zwrócić młyn.

— Został wam odebrany?

— Można tak rzec. — Zakonnik wskazał widoczny przez okno wielki młyn, stojący kilkaset metrów w górę Dordogne. — Mnisi z Sainte-Mčre pobudowali go własnymi rękami pod kierunkiem czcigodnego brata Marcela, cieszącego się wielkim szacunkiem w tym zakonie. Wiadomo wam, że brat Marcel był architektem poprzedniego opata, biskupa Laona. Młyn przez niego obmyślony, a przez nas zbudowany, jest własnością klasztoru. Jednakowoż sir Oliver zażądał młyńskich opłat dla siebie, choć nie ma ku temu żadnych praw, jeno swą armię władającą tymi ziemiami. Stąd nasz pan, opat, z radością przyjął słowo Arnauta, że młyn wróci do klasztoru, jako i wszelakie zyski. Przeto przyjaźnie gościmy ludzi Arnauta.

Chris słuchał tych wyjaśnień z rosnącą dumą. Potwierdzały jego tezy. Część naukowców wciąż jeszcze traktowała średniowiecze jak okres głębokiego zacofania. Według niego była to epoka intensywnego rozwoju techniki, niewiele odbiegająca pod tym względem od czasów współczesnych. Rewolucja przemysłowa, która stała się wyznacznikiem cywilizacji zachodniej, miała swój początek wła-

śnie w średniowieczu. Najpotężniejsze wówczas źródło energii, siła wody, wykorzystywane było szeroko w różnych gałęziach, nie tylko do mielenia ziarna, lecz także do spilśniania sukna, zasilania palenisk kowalskich, warzenia piwa, cięcia drewna, mieszania zaprawy murarskiej, produkcji papieru, skręcania powrozów, wytłaczania oleju, rozdrabniania pigmentów do barwienia tkanin czy nawet wytopu żelaza. W całej Europie budowano zapory, niekiedy zaledwie w odległości kilometra, a koła młyńskie montowano pod każdym mostem. Gdziejegdzie powstawały całe kompleksy młynów stawianych jeden za drugim, żeby efektywniej spożytkować energię wodną.

Młyny dawały więc monopol na dostawę i wykorzystanie energii. Stanowiły znaczące źródło dochodów, ale były też przedmiotem konfliktów. Czasem dochodziło do procesów sądowych, zbrodni, a nawet całych bitew. Tutejszy młyn był tego dobrym przykładem.

— Wszelako młyn pozostaje w rękach sir Olivera — rzekł Marek. — Wszak jego chorągwie powiewają na wieżach i jego łucznicy obsadzają mury obronne.

— Oliver chce utrzymać most, którym wiedzie gościniec do La Roque. Kto włada mostem, ten włada całym gościńcem. Jednak wkrótce Arnaut odbije młyn z jego rąk.

— I zwróci go wam?

— W rzeczy samej.

— A czymże zakon odwdzięczy się Arnautowi za taką łaskawość?

— Oczywiście błogostawieństwem — odparł szybko mnich, a po chwili dodał ciszej: — Jak też sowitą zapłatą.

* * *

Przeszli przez skryptorium, gdzie mnisi przy stołach ustawionych w dwóch rzędach pieczołowicie kopiowali manuskrypty. Zamiast wzniosłych pieśni religijnych ich pracy towarzyszyły dolatujące z dziedzińca okrzyki i huk piłki odbijanej od tablicy. W dodatku wbrew regule cystersów wielu mnichów szkicowało obrazki w rogach i na marginesach ksiąg. Ilustratorzy mieli przed sobą całe wachlarze różnych pędzli i kamienne miseczki z farbami. Niektóre ilustracje były nadzwyczaj pracochłonne.

— Tędy. — Przewodnik poprowadził ich do następnych schodów, po których zeszli na mniejszy boczny dziedziniec. Pod ścianą stało ośmiu ludzi Arnauta w zielono-czarnych barwach. Byli uzbrojeni w miecze.

Szli w kierunku niewielkiego domku pod samym murem. W drzwiach doleciał ich plusk płynącej wody, chwilę później ujrzeli stojącą pośrodku fontannę z du-

żym basenem. Klasztorny chór cicho śpiewał jakąś żałobną pieśń po łacinie. Za fontanną dwaj mnisi obmywali wodą nagie poszarżałe zwłoki leżące na katafalku.

— Frater Marcellus — szepnął ich przewodnik, chyląc nisko głowę.

Marek przez chwilę nie mógł pojąć znaczenia obserwowanej sceny. Wreszcie zrozumiał.

Brat Marcel nie żył.

14.52.07

Zdumienie ich zdradziło. Mnich natychmiast się domyślił, że nie wiedzieli o śmierci brata Marcela. Odciągnął Marka na bok i marszcząc brwi, zapytał:

— Po co tu przyszliście?

— Mieliśmy nadzieje, porozmawiać z bratem Marcelem.

— Zmarł ostatniej nocy.

— Jak umarł?

— Nie wiemy. Sami widzicie, że był stary.

— Mieliśmy do niego nadzwyczaj pilną sprawę — rzekł Marek. — Może gdybym obejrzał jego rzeczy osobiste...

— Nie miał żadnych rzeczy osobistych.

— Na pewno jednak coś po nim pozostało...

— Żył bardzo skromnie.

— Czy mógłbym obejrzeć jego celę?

— Przykro mi, lecz to niemożliwe.

— Byłbym jednak wielce zobowiązany, gdyby...

— Brat Marcel mieszkał we młynie. Już przed laty urządził tam sobie celę.

— Rozumiem.

Młyn był teraz w rękach żołnierzy lorda Olivera. Nie mogli więc obejrzeć celi zmarłego.

— Może ja mógłbym wam pomóc. Wyznajcie ową pilną przyczynę waszego przybycia — rzekł mnich łagodnym, z pozoru obojętnym tonem, który od razu wzbudził podejrzenia Marka.

— To sprawa osobista. Nie możemy o niej mówić z obcymi.

— Nie ma w zakonie spraw osobistych.

Mnich zaczął się wycofywać w stronę drzwi. Marek przestraszył się, że za chwilę podniesie alarm.

— Mieliśmy go o coś spytać w imieniu magistra Edwardusa — rzekł pospiesznie.

— Magistra Edwardusa! — wykrzyknął rozpromieniony przewodnik. — Cemuż nie rzekliście tego od razu? Cóż was łączy z magistrem Edwardusem?

— Prawdę rzekłszy, jesteśmy jego uczniami.

— Certes?

- W rzeczy samej.
- Czemu od razu tak nie mówiliście? Magister Edwardus jest tu mile widziany, jako że służył pomocą naszemu opatowi.
- Aha.
- Pójdźcie ze mną. Opat z pewnością was przyjmie.
- Kiedy my. . .
- Pójdźcie! Pójdźcie! To wola opata!

* * *

Wyszli na zalany słońcem dziedziniec. Było tu teraz znacznie więcej ludzi w zielono-czarnych strojach. I wcale nie odpoczywali; szykowali się do bitwy.

Opat zajmował oddzielny mały domek, stojący w przeciwległym końcu klasztornego terenu. Wprowadzono ich do przytulnej, wyłożonej lakierowanymi deskami sieni, gdzie przed zamkniętymi drzwiami pokoju siedział na niskim stołku stary, otyły mnich. Przypominał ropuchę.

— Czy jest nasz pan, opat? — spytał przewodnik.

— Jest, ale zajęty rozgrzeszaniem pokutnicy. Zza drzwi dolatywało rytmiczne poskrzypywanie.

— Długo będzie zadawał tej grzesznicy pokutę?

— Zapewne trochę to potrwa — burknął grubas. — To zawzięta grzesznica. Niezliczone jej przewiny.

— Zali mógłbyś przedstawić tych czcigodnych przybyszów naszemu panu, opatowi? Przynoszą wieści od magistra Edwardusa.

— Bądź pewien, że ich przedstawię — odparł staruch znudzonym głosem. Marek zauważył jednak błysk zainteresowania w jego oczach. Bez wątpienia imię profesora było znane wśród zakonników.

— Wkrótce tercja — skrzeknęła ropucha, oceniwszy pozycję słońca na niebie. — Zali nasi goście uraczą się prostą klasztorną strawą?

— Wielceśmy wdzięczni, ale musimy. . . — Chris głośno zakasłał, przerywając Markowi, a Kate trąciła go łokciem w bok. — Z przyjemnością, skoro nie sprawi to zbyt wielu kłopotów.

— Z bożej łaski, ugościmy was z ochotą.

Zbierali się już do wyjścia, kiedy w progu stanął zdyszany młody przystojny zakonnik.

— Nadciąga pan Arnaut! Zechce się natychmiast widzieć z opatem!

Grubas błyskawicznie poderwał się ze stołka i rzucił:

— Wejdźcie tu szybko. Otworzył drugie drzwi z boku sieni.

* * *

Znaleźli się w niewielkim, skromnie urządzonym pokoju sąsiadującym z komnatami opata. Rytmiczne poskrzypywanie łożka nagle ustało, zza ściany doleciał skrzekliwy głos starego zakonnika.

Chwilę później do pokoju wpadła kobieta w podkasanym habicie. Na jednej nodze miała pończochę, druga była goła. Gorączkowo zapinała guziki. Była zaczerwieniona. Kiedy się odwróciła, Chris ze zdumieniem rozpoznał lady Claire.

Pochwyciła jego spojrzenie i burknęła groźnie:

— Czemu się gapisz?

— Och, droga lady...

— Twoja mina jest wielce wymowna, giermku. Jak śmiesz mnie sądzić? Jestem szlachcianką przetrzymywaną w obcej ziemi, samotną, nie mam nikogo do obrony mej czci. Muszę się dostać do Bordeaux, odległego o osiemdziesiąt mil, a stamtąd do Anglii, jeśli chcę zachować prawa do majątku po mężu. Wszak to mój obowiązek wdowy i matki. W tych czasach wojny i zamętu gotowam bez wahania uczynić wszystko, co niezbędne dla osiągnięcia mego celu.

Chris pomyślał, że wahanie w ogóle nie leży w charakterze tej kobiety. Niemniej zaskoczyła go jej śmiałość. Marek patrzył na nią z nieskrywanym podziwem. Zagadnął dwornie:

— Racście mu wybaczyć, pani, bo młody jest i często gada bez zastanowienia.

— Okoliczności się zmieniają. Potrzebowałam wprowadzenia, które jeno opat mógł mi uczynić. Przeto używam wszelakich perswazji, jakie są mi dostępne.

Lady Claire zaczęła podskakiwać na jednej nodze, usiłując na drugą wciągnąć pończochę. Wreszcie jej się to udało. Pospiesznie wygładziła je na kolanach i opuściła podkasany habit. Włożyła kwef, wsunęła pod niego włosy i wprawnie zawiązała tasiemki pod brodą.

Przebranie zakonnicy zmieniło ją nie do poznania. Z miną niewiniątka powiedziała miękko, łagodnym głosem:

— Tylko przez przypadek poznaliście moje zamiary, których nikomu nie wyjawiam. Przeto upraszam waszej łaski dochowania milczenia.

— Możecie na nią liczyć, pani — odrzekł Marek — jako że nie nam rozsądzać wasze sprawy.

— A i wy możecie liczyć na moje milczenie, bo widno opat nie chciałby wyjawiać waszej obecności przed Arnautem de Cervole. Trzeba nam zachować nasze tajemnice. Dacie swoje słowo?

— W rzeczy samej, lady.

— Oczywiście, lady — dodał Chris.

— Tak, lady — odezwała się Kate.

Claire zmarszczyła brwi.
 — Prawdę rzeczesz? — spytała, podchodząc bliżej.
 — Tak, pani — powtórzyła Kate.
 Claire przesunęła dłonią po jej piersi.
 — Ścieliście włosy, panienko — powiedziała ostro. — Zali nie wiecie, że przebieranie się w męskie stroje karane jest śmiercią?
 Zerknęła na Chrisa.
 — Wiemy — odparł Marek.
 — Widno wielceście przywiązani do magistra, jeśli wyrzekacie się swej płci.
 — Zaiste, lady.
 — Będę się modlić za wasze przeżycie.
 Drzwi się otworzyły i otyły mnich przywołał ich energicznym ruchem ręki.
 — Pójdźcie, szlachetni panowie. Wy poczekajcie, lady, opat rychło będzie mógł wysłuchać reszty waszych grzechów.
 Wyszli na dziedziniec. Chris pociągnął Marka za rękę i szepnął:
 — Andre, ta baba to jadowita żmija.
 Marek wyszczerzył zęby w uśmiechu.
 — Przyznaję, ma w sobie coś szczególnego...
 — Wierz mi, jej nie wolno ufać.
 — Czyżby? Wydawało mi się, że mówiła szczerze. Naprawdę potrzebuje ochrony...
 — Ochrony? — zdziwił się Hughes.
 — Tak, potrzebny jej rycerz — odparł Marek w zamyśleniu.
 — Rycerz? O czym ty mówisz? Zostało nam tylko... Właśnie, ile mamy jeszcze czasu?
 Andre zerknął na tarczę wyświetlacza.
 — Jedenaście godzin i dziesięć minut.
 — Więc co ci chodzi po głowie? Jaki znowu rycerz?
 — Tylko głośno myślałem — rzucił obojętnie Marek i obejmując przyjaciela, dodał: — Nie przejmuj się tym.

11.01.59

Zasiedli przy długim stole, przed wielką misą parującej zupy, w której pływały kawałki mięsa. Na tacach pośrodku stołu piętrzyły się stosy jarzyn i pieczonych kurcząt. Wszyscy mnisi mieli głowy nisko spuszczone. Braciszek siedzący u szczytu stołu zaintonował modlitwę:

*Pater noster qui es in coelis
 Sanctificetur nomen tuum
 Adveniat regnum tuum
 Fiat voluntas tua.*

Kate ukradkiem zerkała na jedzenie. Ślinka jej ciekła na widok parujących kurcząt i tłustego żółtego sosu. Dopiero po chwili zauważyła, że siedzący naprzeciwko zakonnicy spoglądają na nią podejrzliwie, wyraźnie zaskoczeni jej milczeniem. Wyglądało na to, że powinna znać tę modlitwę.

Obok niej Marek powtarzał na głos:

*Panem nostrum quotidianum
Da nobis hodie
Et dimmitte nobis debita nostra.*

W ogóle nie znała łaciny, nie mogła nawet udawać, że się modli. Pochyliła niżej głowę i doczekała w napięciu do końcowego „Amen”.

Mnisi wyprostowali się, pozdrowili ją skinieniem głowy. Kate przeszył dreszcz. Właśnie tej chwili obawiała się najbardziej. Nie potrafiłaby nawet odpowiedzieć, gdyby któryś o coś zapytał. Jak miała postąpić?

Spojrzała na Marka. Zachowywał się swobodnie. Nic dziwnego, dobrze znał oksytański i łacinę.

Sąsiad z drugiej strony podał jej półmisek z plasterami wołowiny. Na szczęście nikt się nie odzywał. Ciszę przerywało tylko pobrzękiwanie cynowych talerzy i sztućców. Odetchnęła z ulgą.

Wzięła półmisek i skłoniła lekko głowę. Nałożyła sobie duży kawał mięsa i sięgała po drugi, gdy pochwyciła karcące spojrzenie Marka. Szybko podała mu półmisek.

W rogu sali jeden z zakonników zaczął czytać półgłosem jakiś łaciński tekst, który w uszach Kate rozbrzmiał niczym melodyjna pieśń. Zaczęła jeść. Była bardzo głodna. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak bardzo jej smakował jakikolwiek posiłek. Od czasu do czasu zerkała na Marka, który jadł z niewyraźnym uśmiechem na ustach. Błyskawicznie rozprawiła się z mięsem i sięgnęła po zupę. Ta również okazała się wyśmienita. Po chwili Kate znowu spojrzała na Marka.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

* * *

Andre kątem oka obserwował wejścia do refektarza. Do obszernej sali prowadziło troje drzwi — jedno z lewej, drugie z prawej, a trzecie na wprost nich, w połowie długości pomieszczenia.

Marek już wcześniej dostrzegł żołnierzy w zielono-czarnych barwach gromadzących się wokół drzwi po prawej. Zaglądali do środka, jakby też byli głodni, ale nie wchodzili.

Teraz zauważył drugi oddział przy drzwiach na wprost. Pochylił się ku Kate i szepnął:

— Lewe drzwi.

Siedzący najbliżej zakonnicy obrzucili ich karcącymi spojrzeniami. Kate bez słowa lekko skinęła głową.

Przy drzwiach nie było żołnierzy, a korytarz tonął w mroku. Gdy siedzący po drugiej stronie stołi Chris zerknął na Marka, ten dał mu znak ruchem kciuka: Pora się stąd wynosić. Hughes ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Andre odsunął talerz z zupą i wstał z ławy. Niespodziewanie zbliżył się do niego mnich w białej szacie i przekazał na ucho:

— Opat chce was widzieć.

* * *

Przełożony klasztoru Sainte-Mčre okazał się energicznym trzydziestoparolatkiem o atletycznej budowie ciała i bystrym spojrzeniu lichwiarza. Jego czarny habit był pięknie haftowany. Na szyi nosił ciężki złoty łańcuch, a na dłoni, którą wyciągnął do ucałowania, aż cztery wielkie pierścienie wysadzone klejnotami. Przywitał ich na osłonecznionym dziedzińcu, po czym ruszył powoli razem z Markiem. Chris i Kate szli za nimi. Na dziedzińcu było coraz więcej ludzi w zielono-czarnych płaszczach. Opat sprawiał wrażenie nastawionego przychylnie, ale często zmieniał niespodziewanie temat, jakby lubił zaskakiwać rozmówcę.

— Raccie wybaczyć tych zbrojnych — rzekł — lecz, niestety, na teren klasztoru przedostali się wrogowie, ludzie Olivera. Dopóki ich nie znajdziemy, należy zachować ostrożność. Szczęściem pan Arnaut szcudrobliwie zaoferował nam ochronę. Dobrze zjedliście?

— Bardzo dobrze, dzięki łasce Boga i waszej, mój panie opacie.

Zakonnik uśmiechnął się.

— Nie lubię pochlebstw — odparł. — A i nasza reguła je odrzuca.

— Będę tego pomny — powiedział Marek.

Opat powiódł wzrokiem dookoła i westchnął ciężko.

— Tak wielu zbrojnych psuje zabawę.

— Jaką zabawę macie na myśli, panie?

— Jakążby inną? — zdziwił się mnich. — Wczoraj rankiem ruszyliśmy na łowy i wróciliśmy tylko z jednym rogaczem. A ludzie Arnauta jeszcze nie przybyli.

Teraz już są, w sile dwóch tysięcy zbrojnych. Czego sami nie upolują, spłoszy się w knieje. Upłyną miesiące, nim w lasach na nowo zapanuje pokój. A cóż to za wieści od magistra Edwardusa? Mówcie szybko, bo zaprawdę bardzom ich ciekaw.

Marek zmarszczył brwi. Opatowi musiało naprawdę zależeć na wiadomościach, gdyż nie krył podniecenia. Wyglądało jednak na to, że oczekuje konkretnej informacji.

— Magister jest teraz w La Roque, mój panie.

— Nie może być. Z sir Oliverem?

— Zaiste, mój panie.

— To bardzo nie po naszej myśli. Zali przekazał wiadomość dla mnie? —

Dostrzegł marsową minę Marka i zdziwiony spytał: — Nie?

— Edwardus nie przekazał żadnej wiadomości, mój panie.

— Może ją zaszyfrował? Nie powiedział niczego dziwnego, niezrozumiałego?

— Przykro mi.

— Nie bardziej niż mnie. Więc jest teraz w La Roque?

— Tak, mój panie.

— To zaprawdę niedobrze — mruknął opat. — Mniemam bowiem, że La Roque nie będzie zdobyte.

— Jeśli istnieje ów sekretny korytarz wiodący za mury... — zaczął Andre.

— Och, korytarz, korytarz — rzucił mnich, machnąwszy ręką. — Przyprawi mnie to o zgubę. Nic innego się nie słyszy, wszyscy chcieliby wiedzieć, gdzie jest ten korytarz. A już najbardziej Arnaut. Magister służył mi pomocą w przeszukiwaniu starych pergaminów Marcellusa. Jesteście pewni, że nie przekazał żadnej wiadomości?

— Powiedział tylko, byśmy odszukali brata Marcela.

Opat prychnął z pogardą.

— Certes, to sekretne przejście jest dziełem ucznia i kronikarza Laona, naszego brata Marcela. Jednak w ostatnich latach stary Marcel nie był już przy dobrym zdrowiu. Dlatego zezwoliliśmy mu zamieszkać we młynie. Po całych dniach mruczał i mamrotał do siebie, potem nagle zaczynał krzyczeć, że widzi demony i duchy, oczy mu się wywracały w głowie i członki trzęsły straszliwie, dopóki wizja nie przeminęła. — Pokręcił głową. — Reszta mnichów otaczała go czcią, biorąc te widzenia za objaw nabożności, a nie choroby, czym zaprawdę były. Czemu magister kazał wam go odszukać?

— Powiedział, że brat Marcel ma klucz.

— Klucz? — zdumiał się opat i powtórzył z wyraźnym rozbawieniem: Klucz?! Zapewne miał klucz, miał setki kluczy, a wszystkie są we młynie. Jednak nie możemy...

Zatoczył się nagle, rozdziawił usta i popatrzył na Marka rozszerzonymi oczyma.

Siedzący pod murem żołnierze poderwali się z ziemi. Coś krzyczeli i wskazywali w górę.

— Mój panie. . .

Opat zacharczał, z ust pociekła mu krew. Runął w objęcia Marka, który powoli opuścił go na ziemię. Domyślił się, że w plecach mnicha tkwi strzała, jeszcze zanim ją ujrzał. Kolejne pociski ze świstem rozcinały powietrze i wbijały się w ziemię wokół niego.

Podniósł głowę. Na kościelnej wieży łucznicy w kasztanowych strojach wypuszczali jedną strzałę za drugą. Któraś zerwała mu czapkę z głowy, inna rozcięła rękaw dubletu, kolejna utkwiała w plecach martwego opata.

Po chwili został trafiony w udo. Całe jego ciało przeszył gwałtowny ból. Impet uderzenia był tak duży, że Marek stracił równowagę i runął na ziemię. Próbował wstać, ale w głowie mu się zakręciło, a w oczach pociemniało.

* * *

Po drugiej stronie dziedzińca Chris i Erickson skoczyli pod osłonę najbliższego budynku. Wszędzie dookoła padały pociski. W pewnej chwili Kate z krzykiem zwała się na ziemię. Hughes popatrzył z przerażeniem na długą strzałę sterczącą jej z pleców. Dziewczyna podniosła się jednak. Odetchnął z ulgą na widok żelaznego grotu wystającego jej z przodu pod pachą. Nim dotarli do przejścia pod arkadami, i jego strzała drasnęła w łydkę, rozcinając pończochę. Dysząc ciężko z wysiłku, oparł się o ścianę.

— Wszystko w porządku? — zwrócił się do Kate.

Pokiwała głową, z trudem łapiąc powietrze.

— A gdzie Marek? — spytała. Chris wyjrzał ostrożnie zza filaru.

— Och, nie! — jęknął. Pognał susami wzdłuż kolumnady.

* * *

Marek dźwignął się na łokciu. Opat żył jeszcze.

— Wybaczcie mi — powiedział Andre, zarzucił sobie rannego na ramię i ruszył w stronę ocienionego arkadami przejścia.

Dotaszczył go na skraj kolumnady i ostrożnie położył na boku. Opat zacisnął palce na grocie, wyszarpnął strzałę przez piersi i odrzucił ją daleko. Spazmatycz-

nie łapał powietrze.

— Moje plecy... — szepnął. — Plecy...

Andre przekreślił go ostrożnie i obejrzał ranę. Krew wypływała z niej falami w takt uderzeń serca.

— Chcecie, abym wydobył i drugą strzałę, mój panie?

— Nie... — Opat zarzucił mu rękę na szyję i mocno przyciągnął do siebie.

— Nie trzeba... Księdza... Księdza... — Oczy zaszyły mu mgłą.

Jakiś mnich pędził w ich stronę.

— Już tu biegnie, mój panie.

Opat rozluźnił się, wciąż jednak obejmował Marka za szyję.

— Klucz... do La Roque... — powiedział szeptem.

— Tak? Słucham, mój panie.

— W pokoju...

Przez kilka sekund panowała cisza.

— W którym pokoju, panie? W którym?

— Arnaut... — Opat z wysiłkiem pokręcił głową, jakby chciał odzyskać pewność myśli. — Arnaut będzie zły... W pokoju... — Rozluźnił nagle uścisk. Marek ostrożnie ułożył go na wznak i pochylił się nisko do jego ust. — Ilekroć będzie chciał... Nie mówcie nikomu... żeby Arnaut... — Powieki mu opadły. Zdyszany zakonnik przykłęknął obok nich. Na ziemi postawił buteleczkę z oliwą. Zaczął odmawiać modlitwę po łacinie, ściągając jednocześnie opatowi buty. Chwilę później udzielił mu ostatniego namaszczenia.

* * *

Marek wstał, oparł się ramieniem o filar i wyszarpnął strzałę z uda. Nie utkwiała tak głęboko, jak podejrzewał. Rozcięcie sięgało najwyżej trzy centymetry w głąb ciała, tylko sam czubek grotu był zakrwawiony. Cisnął strzałę na ziemię. Podbiegli do niego Chris i Kate.

Ze strachem patrzyli na jego ranę i leżącą obok strzałę. Krwawienie się nasiłało. Kate błyskawicznie rozpięła dublet i sztyletem odcięła wąski pasek tkaniny z dołu swej koszuli. Zrobiła z niego opaskę uciskową na udzie Marka.

— To tylko lekkie draśnięcie — mruknął.

— Nie zaszkodzi założyć opatrunek — odparła. — Możesz chodzić?

— Tak.

— Jesteś bardzo blady.

— Nic mi nie będzie. — Ostrożnie wyjrzał zza filara na dziedziniec. Czterech martwych żołnierzy leżało na ziemi, pozostali zniknęli. Nikt też nie strzelał już

z kościelnej dzwonnicy. Za to z górnych okien klasztoru zaczęły wydobywać się gęste kłęby dymu. Budynki po drugiej stronie dziedzińca również niknęły w smolistocząym dymie, wydobywającym się prawdopodobnie z refektarza. Wyglądało na to, że wkrótce cały kompleks klasztorny stanie w ogniu.

— Musimy znaleźć ten klucz — powiedział.

— Jest przecież we młynie.

— Nie wiadomo.

Przypomniał sobie, że tuż przed ich wyjazdem z Francji Elsie, grafolog ekipy, natknęła się na tajemniczą wzmiankę o kluczu. Trafiała też na dziwne słowo, którego nie było w słowniku. Nie pamiętał szczegółów, był wtedy zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością i milczeniem profesora. Nie miał jednak wątpliwości, że Elsie znalazła tę notatkę na marginesie jednego z pergaminów wyniesionych z podziemi klasztoru.

Wiedzieli, gdzie ich szukać.

* * *

Poszli w kierunku kościoła. Część szyb w oknach była wybita, ze środka wydobywał się dym. Dolatywały też okrzyki ludzi, po chwili na dziedziniec wysypał się oddział zbrojnych. Marek zawrócił na pięcie i poprowadził ich arkadami z powrotem.

— Szukasz czegoś? — zapytał Chris.

— Tak. Drzwi.

— Jakich drzwi?

Andre skręcił w lewo, w inne przejście prowadzące na boczny dziedziniec. Po kilku krokach znaleźli wejście do głównego budynku klasztoru. Prowadziło do jakichś mrocznych pomieszczeń, chyba magazynów. Ciasną sień oświetlała samotna pochodnia. W jej blasku Marek odnalazł drewnianą klapę w podłodze. Podniósł ją. Schody do podziemi tonęły w mroku. Wyciągnął pochodnię z uchwytu na ścianie i wszyscy zeszli na dół. Chris zamknął za sobą klapę. Znaleźli się w wilgotnej, zatęchłej piwnicy.

* * *

Pochodnia zaskwierczała w zimnym powietrzu. W jej mętnym blasku ujrzeli

stojące pod ścianą beczki. Byli w piwnicy na wino.

— Obawiam się, że żołnierze Arnauta wkrótce się tu zjawią — powiedział Marek.

Bez wahania ruszył w głąb podziemi. Kate z ociąganiem poszła za nim.

— Na pewno wiesz, czego szukasz? — spytała.

— A ty nie?

Nie wiedziała. Starła się trzymać jak najbliżej Marka, w wąskim kręgu światła rzucanego przez pochodnię. Dotarli do katakumb, gdzie w głębokich niszach spoczywały poowijane w całuny zwłoki. Spod strzępów materiału tu i tam wyglądały nagie czaszki, niektóre jeszcze z resztkami włosów, gdzie indziej rozkładające się stopy czy kikuty nóg. Z kąta pod ścianą doleciał pisk szczura.

Kate przeszył dreszcz.

Marek prowadził dalej. Zatrzymał się nagle w prawie całkiem pustym pomieszczeniu.

— Co się stało? — zapytała.

— Naprawdę nie poznajesz? — mruknął zdziwiony.

Rozejrzała się dookoła. Byli w piwnicy, do której ruin przed kilkoma dniami spuszczała się na linie. Pod ścianą zobaczyła ten sam sarkofag jakiegoś księcia, teraz przykryty wiekiem. Naprzeciwko stał masywny stół z surowych desek. Leżały na nim arkusze ciemnej ceraty i sterty pergaminów przewiązanych konopnym powrozem. Jeden pakiet był zapakowany w ceratę. Obok ujrzeli okulary profesora.

— Musiał je tu wczoraj zostawić — powiedziała Kate. — Widocznie ludzie Olivera zastali go przy pracy.

— Na to wygląda.

Marek pobieżnie przejrzał pliki manuskryptów i odwinął ceratę z ostatniego. Natychmiast odnalazł wiadomość od Johnstona. Przybliżył do oczu sąsiadujący z nią pergamin, obracając go do światła pochodni.

— Co to jest? — zaciekała się Erickson.

Opis jakiejś podziemnej rzeki, a poza tym... O, jest! — Wskazał notatkę na marginesie. — To znaczy: „Brat Marcel ma klucz” — tłumaczył, wzdając palcem po tekście. — A dalej jest coś o... drzwiach czy przejściu... i wielkiej stopie.

— Wielkiej stopie?

— Nie, zaraz! — Przygryzł wargi, usiłując sobie przypomnieć, co wtedy mówiła Elsie. — Tu chodzi o stopę giganta. Tak, stopę giganta.

— Giganta? — Kate spojrzała na niego podejrzliwie. — Na pewno się nie pomyliłeś?

— Tak tu jest napisane.

— A to? — Erickson wskazała umieszczone na końcu dwa słowa, zapisane jedno nad drugim:

DESIDE

VIVIX

— Pamiętam, że Elsie szukała w słowniku wyrazu *vivix*, ale go nie znalazła. Nic jednak nie mówiła o *deside*. To mi nie wygląda na łacinę. Nie są to także słowa oksytańskie ani starofrancuskie.

Odciał sztyletem fragment innego pergaminu, wyskrobał na nim tajemnicze słowa, po czym złożył papier i wsunął do kieszeni pod dubletem.

— Co to może oznaczać? — spytała Kate.

Marek pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia.

— Taki dopisek na marginesie wcale nie musi zawierać ukrytego sensu. To może być jakaś bzdurna rymowanka, zlepek przypadkowych liter czy coś w tym rodzaju.

— Wątpię.

— W tych czasach na pewno istniały dziecięce rymowanki.

— Pewnie tak, ale to nie przypomina rymowanki. — Sięgnął jeszcze raz po pergamin i wodząc po nim palcem, wyjaśnił: — Popatrz sama. Tu jest napisane... *Transitus occultus incipit...* przejście zaczyna się... *prope ad capellam viridem, sive capellam mortis...* w Zielonej Kaplicy zwanej też Kaplicą Śmierci, a dalej...

— W Zielonej Kaplicy? — powtórzyła Erickson nieswoim głosem.

Marek pokiwał głową.

— Zgadza się, lecz nigdzie nie znalazłem wskazówki, gdzie jest ta kaplica. — Westchnął. — Jeśli korytarz rzeczywiście prowadzi przez ciąg wapiennych jaskiń, może się zaczynać dość daleko...

— Mylisz się, Andre.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo wiem, gdzie jest Zielona Kaplica.

* * *

— Była zaznaczona na mapach rekonesansowych projektu Dordogne — wyjaśniła. — To niewielkie ruiny tuż za granicą naszego terenu badań. Pamiętam, że zastanowiło mnie, dlaczego nie została objęta projektem, skoro znajduje się tak blisko granicy terenu. Była opisana: *chapelle vert morte*, co przetłumaczyłam jako „Kaplica Zielonej Śmierci”. Utkwiło mi to w pamięci, bo kojarzy się z poezją Edgara Allana Poe’ego.

— I pamiętasz, gdzie były te ruiny?

— Nie bardzo. Gdzieś w lesie, jakiś kilometr na północ od Bezenac.

— To możliwe — mruknął Marek. — Wybudowanie kilometrowego podziemnego przejścia nie jest zbyt trudne.

Z głębi katakumb doleciały głosy ludzi Arnauta.

— Wiejemy stąd.

Obszedł stół i skręcił do sąsiedniego pomieszczenia, skąd prowadziły schody na górę. Kiedy Kate widziała je ostatnio, były zavalone masą zbitej ziemi. Teraz wiodły do drewnianej kłapy w podłodze.

Marek wbiegł po schodach i napał na nią ramieniem. Odchyliła się lekko. Ujrzeni poszarzałe niebo zasnułe kłębamii dymu.

Wyszli z podziemi.

* * *

Znaleźli się w sadzie. Drzewka owocowe okryte żywą wiosenną zielenią stały w równiutkich szeregach. Pobiegli między nimi i wkrótce dotarli do klasztornego muru. Miał cztery metry wysokości. Weszli na jego szczyt po gałęziach najbliższego drzewa i zeskoczyli na ziemię po drugiej stronie. Kilkadziesiąt metrów dalej na wprost zaczynał się las. Popędzili w tamtą stronę.

09.57.02

David Stern odsunął się od prototypu i obrzucił krytycznym spojrzeniem niewielki zestaw sprzętu elektronicznego, który montował i sprawdzał od pięciu godzin.

— Gotowe — oznajmił. — Powinni odebrać wiadomość. Była dziesiąta wieczorem, za oknami panował nocny mrok.

— Która tam jest godzina? — zapytał. Gordon szybko przeliczył na palcach.

— Mieli przybyć o dziewiątej rano. Od chwili wyruszenia minęło dwadzieścia pięć godzin, więc teraz powinna być dziesiąta rano następnego dnia.

— W porządku. To najlepsza pora.

Mimo zastrzeżeń Gordona Stern upierał się, że zdoła skonstruować zestaw, który pozwoli przekazać wiadomość ludziom przebywającym w średniowieczu. Nie zważał nawet na argument, że przekaz radiowy wcale nie musi do nich dotrzeć, bo nie wiadomo dokładnie, gdzie maszyna się pojawi. Mogła wylądować w dowolnym rejonie ziemi, prawie na pewno poza zasięgiem łączności radiowej. Drugim ważnym problemem była niemożność uzyskania potwierdzenia odbioru wiadomości.

Stern wpadł na prosty pomysł. Zaproponował zrobienie zestawu złożonego z krótkofalówki dostrojonej do komputerowych implantów i sprzężonej z dwoma

magnetofonami kasetowymi. W pierwszym znajdowała się kasetka z nagraniem wiadomości, drugi miał zarejestrować nadaną przez radio odpowiedź. Urządzenie to Gordon określił szumnym mianem aparatu łączności multiświatowej.

Nagrana wiadomość brzmiała: „Tu David. Wasza wyprawa trwa już dwadzieścia pięć godzin. Nie próbujcie wracać jeszcze przez pięć godzin, dopiero wtedy będziemy gotowi na wasze przybycie. Tymczasem chcemy wiedzieć, czy nic się wam nie stało. Wasza odpowiedź zostanie nagrana. Do widzenia. Wkrótce się zobaczymy”.

Stern wysłuchał tego komunikatu po raz ostatni i powiedział:

— W porządku, można to wysłać.

Gordon wcisnął kilka klawiszy w panelu sterowania. Maszyna zaczęła szumieć, zalała ją oślepiająca błękitna poświata.

* * *

Parę godzin wcześniej, gdy przystępował do pracy nad zestawem łączności, myślał tylko o tym, aby zawiadomić przyjaciół, że chwilowo nie mogą wrócić. Oczyma wyobraźni widział ich uciekających przed gromadą wrogiego żołdactwa, może nawet otoczonych ze wszystkich stron, gorączkowo przywołujących maszyny w nadziei, że zdołają się natychmiast wydostać z trudnej sytuacji. Koniecznie należało ich zawiadomić, że przez pewien czas nie będą mogli wrócić.

Początkowo tylko to nim kierowało. Później doszedł jeszcze ważniejszy powód. Wymiana powietrza w pieczarce trwała od dwunastu godzin, w sekcji tranzytowej uwijały się grupy ludzi oczyszczających teren. Ale w sali sterowania technicy czuwaliby na stanowiskach kontrolnych już znacznie dłużej.

I wciąż nie obserwowano żadnego uskoku pola.

Oznaczało to, że nadal nikt nie wraca. Wszyscy, z Gordonem na czele, milczeli w tej kwestii, ale Stern wyczuwał, że według specjalistów z ITC dwadzieścia godzin bez pojawienia się uskoku pola bardzo źle wróży. Niewątpliwie sądzili, że wszyscy uczestnicy wyprawy zginęli.

Dlatego od wysyłanej wiadomości stało się dla niego ważniejsze, czy uzyska jakąkolwiek odpowiedź. Tylko w ten sposób mógłby zdobyć dowód, że jego koledzy nadal żyją.

Uzbroił krótkofalówkę w teleskopową antenę na ruchomej głowicy napędzanej silniczkiem, która powinna wykonać pełny obrót w czasie trójkratnej emisji nagranych komunikatów. Liczył, że za którymś razem wiadomość dotrze do odbiorców. Po wykonaniu swego zadania maszyna miała automatycznie powrócić, tak jak to czyniła w czasie pierwszych prób z aparatem fotograficznym.

— Odpalamy — zapowiedział Gordon.
W rozbłyskach promieni laserów klatka prototypu zaczęła się kurczyć.

* * *

Oczekiwanie dłużyło się niemiłosiernie, lecz zgodnie z programem po dziesięciu minutach maszyna wróciła. Stern przedarł się przez kłęby białej pary nad podłogą, przewinął kasetę i uruchomił odtwarzanie.

Z głośnika popłynęła pierwsza wiadomość.

Ale nie było żadnej odpowiedzi.

Ten sam tekst rozbrzmiał ponownie.

I znów zapadła cisza.

Gordon z kamienną twarzą popatrzył na Sterna.

— Można to wyjaśnić na wiele sposobów... — bąknął David.

— Oczywiście... .

Nagrana wiadomość padła po raz trzeci. Stern wstrzymał oddech.

Coś zatrzęszczało i nagle w ciszy laboratorium rozległ się dźwięczny głos Kate Erickson:

— Słyszeliście coś, chłopaki?

— Nie. A ty coś słyszałaś? — zapytał Andre.

— Jezu! Kate! Wyłącz implant! — syknął Chris.

— Ale... .

— Wyłącz natychmiast! — rozkazał Marek. Dalej był już tylko szum.

Cel został osiągnięty.

— Żyją — powiedział David.

— Bez wątpienia — przyznał Gordon. — W taki razie chodźmy zobaczyć, jak postępują naprawy w sekcji tranzytowej.

* * *

Doniger krążył nerwowo po gabinecie, powtarzał pod nosem tekst swego wystąpienia, ćwiczył odpowiednią gestykulację. Cieszył się sławą porywającego, charyzmatycznego mówcy, ale Kramer wiedziała, że nie jest to efekt wrodzonych zdolności. Zawsze przygotowywał się starannie, dobierał słowa, brzmienie głosu, mimikę. Nigdy niczego nie zostawiał przypadkowi.

Na początku Diane bardzo dziwiła ta niemal obsesyjna chęć publicznych wystąpień u człowieka, który na co dzień nie dbał ani trochę o to, jak go widzą inni. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że Donigera pasjonuje przede wszystkim manipulowanie słuchaczami. Uważał się za sprytniejszego od nich i wszystkie jego tyrady — bo jak mawiał, „nikt się nawet nie zorientuje, że został wykiwany” — miały służyć umacnianiu tego przekonania.

Teraz Kramer pełniła rolę próbnego audytorium.

— Rządzi nami przeszłość — mówił Doniger, rozłożywszy szeroko ręce — choć nikt nie zdaje sobie z tego sprawy, bo nikt nie docenia potęgi przeszłości. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, przeszłość zawsze okazuje się ważniejsza od terażniejszości. Ta bowiem przypomina koralową wysepkę ledwie wyłaniającą się z morza, stojącą jednak na milionach martwych koralu niewidocznych pod falami. Analogicznie nasza codzienność jest budowana na miliardach minionych wydarzeń i decyzji z przeszłości. Wobec ich ogromu to, co dobudowujemy dzisiaj, wydaje się drobnostką. Powiedzmy, że jakiś nastolatek po śniadaniu idzie do sklepu, żeby kupić sobie nową płytę kompaktową ulubionego zespołu rockowego. Żyje tylko terażniejszością, lekceważy przeszłość. Skąd jednak wziął się termin „zespół rockowy”? Kto zdefiniował, co to jest „sklep”? Kto ustalił pojęcie „nastolatka”? Albo „śniadania”? Pomijam już kwestie uwarunkowań socjalnych życia tego chłopca, jego rodzinę, szkołę, stroje, przyzwyczajenia, umiejscowienie w społeczeństwie i systemie prawnym.

— Żadna z tych definicji nie powstała w terażniejszości, większość pochodzi sprzed wielu lat, stu, pięciuset, tysiąca. Ten nastolatek znajduje się na wierzchołku góry narosłej w przeszłości. A przecież w ogóle nie zwraca na to uwagi. Jego życiem kieruje to, czego on nie widzi, nad czym się nie zastanawia, o czym nie wie. To rodzaj uzależnienia akceptowanego bez sprzeciwu. Ten sam chłopak buntuje się przeciwko wszelkim innym rodzajom kontroli, wymogom rodziców, ograniczeniom ekonomicznym, przepisom prawa. Jednocześnie niewidzialne więzy z przeszłości, decydujące niemal o każdym aspekcie jego życia, przyjmuje za coś naturalnego. Tu właśnie kryje się potęga przeszłości, władza, którą można wziąć w swe ręce i wykorzystać. Bo przeszłość rządzi nie tylko terażniejszością, ale i przyszłością. Właśnie dlatego ośmielam się twierdzić, że nasza przyszłość zależy od przeszłości. A jedynym powodem. . .

Urwał nagle i rozejrzał się zdumiony. Telefon komórkowy Kramer popiskiwał. Włączyła go i uniosła do ucha. Doniger zaczął dalej krążyć nerwowo w oczekiwaniu na koniec rozmowy. Do swoich myśli zrobił jeden gest, potem drugi.

Diane rozłączyła się i spojrzała na niego.

— Tak? Co się stało? — zapytał.

— Dzwonił Gordon. Tamci żyją, Bob.

— Już wracają?

— Jeszcze nie. Na razie dotarło tylko nagranie ich głosów. Wszyscy troje mają

się dobrze.

— Nagranie? Kto wymyślił sposób nawiązania łączności?

— Stern.

— Naprawdę? Chyba nie jest tak głupi, jak myślałem. Powinniśmy go zatrudnić. — Urwał na chwilę. — Mam rozumieć, że mimo wszystko należy oczekiwać ich powrotu?

— Nie byłabym tego pewna.

— Jest jakiś problem?

— Mają wyłączone odbiorniki radiowe.

— Niemożliwe. Dlaczego? Baterie wystarczają do zasilania krótkofalówek znacznie dłużej niż przez trzydzieści siedem godzin. Nie trzeba ich wyłączać...

— Zrobił zdziwioną minę. — Myślisz, że to przez niego? Przez Deckarda?

— Niewykluczone.

— Jak to możliwe? Minał już przeszło rok. Nie wierzę, aby Deckard przeżył. Pamiętasz jego skłonności do wszczynania awantur i bójek?

— Owszem. W każdym razie z jakiegoś powodu nie włączają urządzeń...

— Coś mi tu nie pasuje. Rob skumulował zbyt wiele błędów transkrypcyjnych, coraz częściej tracił panowanie nad sobą. Do cholery, groziło mu więzienie.

— Pamiętam. Pobił jakiegoś nieznajomego w barze — powiedziała Kramer. — Według raportu policyjnego zadał mu pięćdziesiąt dwa ciosy metalowym stołkiem. Facet przez parę miesięcy leżał w szpitalu. Rob na pewno zostałby skazany. Właśnie dlatego zgłosił się do udziału w jeszcze jednej wyprawie.

— Jeśli on ciągle żyje — mruknął Doniger — to tych troje może mieć kłopoty.

— Zgadza się, Bob. Nieliche kłopoty.

09.57.02

Na polanie w lesie Marek zaczął rysować patykiem w ziemi schematyczną mapę okolicy.

— Jesteśmy tutaj, na tyłach klasztoru. Młyn jest gdzieś tu, około pół kilometra stąd. Po drodze będziemy musieli minąć czujkę ludzi Arnauta.

— Zgadza się — przyznał Chris.

— A później przedostać się jakoś do młyna.

— Jakoś — powtórzył Hughes.

— No właśnie. Gdy zdobędziemy już klucz, pójdziemy do Zielonej Kaplicy. Gdzie ona jest, Kate?

Erickson wzięła od niego patyk i dorysowała kwadrat.

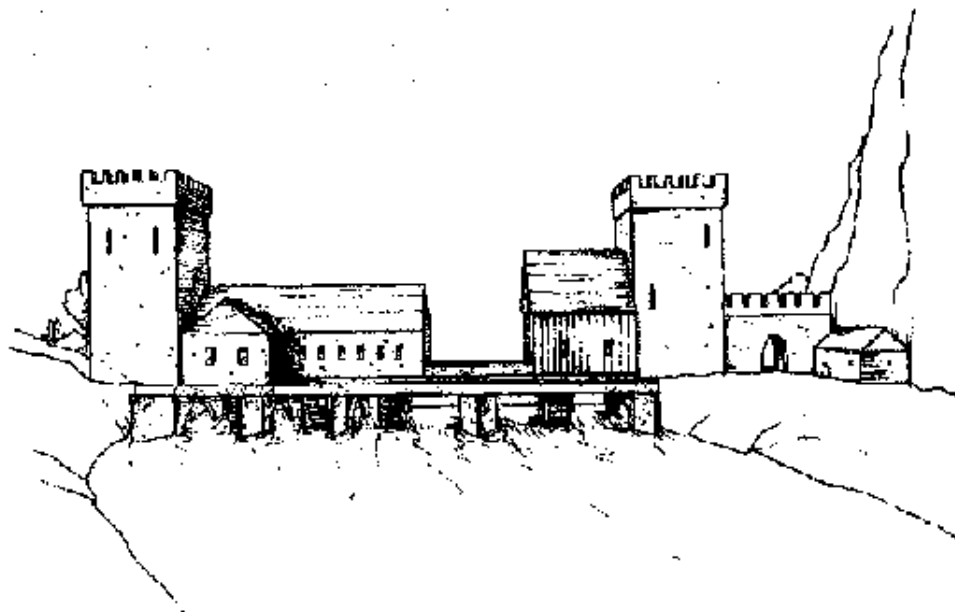
— Jeśli tu, na szczycie klifu, znajduje się La Roque, to kaplica powinna być w lesie na północ od miasta. Gdzieś tędy biegnie droga. Musi stać niedaleko od niej. Powiedzmy... tutaj.

— Jak daleko stąd? Dwa kilometry? Trzy?

— Raczej trzy. Marek pokiwał głową.

— Kaszka z mlekiem — mruknął Chris, otrzepując dłonie z piasku. — Wystarczy przedrzeć się przez posterunek ludzi Arnauta, zdobyć ufortyfikowany młyn, a stamtąd przeskoczyć do nikomu nieznannej kaplicy. I oczywiście nie dać się zabić po drodze. No to chodźmy.

Kiedy wyszli z lasu, ich oczom ukazał się ogrom zniszczeń. Płomienie strzelały wysoko ponad zabudowaniami klasztoru Sainte-Mère, kłęby dymu przesłaniały niebo. Spadający popiół otulał ziemię grubym całunem, osiadał im na twarzach, drapał w gardle. Coraz trudniej było oddychać. Po drugiej stronie Dordogne jeszcze wczoraj tętniące życiem Castelgard było już tylko poczerniałą, dymiącą masą zgliszcz na szczycie nadrzecznej skarpy.



Przez dłuższy czas nie spotkali nikogo na swojej drodze. Na podwórzu samotnego budynku na zachód od klasztoru leżał starszy mężczyzna, z jego piersi sterczały dwie strzały. Z wnętrza domu dobiegało kwilenie niemowlęcia. Zajrzeli do środka. Przy palenisku leżała twarzą do podłogi zabita kobieta. Obok niej, ze szklistymi oczyma zwróconymi ku niebu, spoczywał najwyżej sześćioletni chłopczyk z rozplatanym brzuchem. Stłumione popiskiwanie dolatywały spod derki leżącej w rogu chaty.

Kate ruszyła w tamtą stronę, ale Marek złapał ją za rękę.

— Zostaw.

Poszli dalej.

* * *

Nad polami, ugorami i wśród porzuconych gospodarstw wiły się pasma dymu. Wciąż nie napotykali żywej duszy.

— Gdzie się wszyscy podziali? — zapytał Chris.

— Ukryli się w lasach — odparł Marek. — Mają tam zamaskowane szałas i ziemianki. Dla wieśniaków to nie pierwszozna.

— Żyją w lesie? Z czego?

— Z rabowania pojedynczych oddziałów wojska. Właśnie dlatego rycerstwo zabija ludzi napotkanych w lesie. Wszyscy są uznawani za zbójców. Rycerze dobrze wiedzą, jaki los ich czeka, jeśli wpadną w ręce mieszkańców lasu.

— To dlatego sir Guy sięgnął po miecz, kiedy tylko nas ujrzął po wylądowaniu?

— Tak. W okresie zamętu najwyraźniej uwidaczniają się antagonizmy między szlachtą a pospólstwem. Wieśniacy nie mogą się pogodzić, że muszą płacić swoim panom podatki i daniny, a gdy nadchodzi godzina próby, rycerstwo nie dotrzymuje warunków obowiązującej umowy społecznej. Przegrywa bitwy i tym samym nie jest w stanie utrzymać porządku na swoich ziemiach. Teraz, gdy król Francji dostał się do niewoli, dla prostego ludu ma to ogromne znaczenie symboliczne. A ponieważ wojna między Anglią i Francją chwilowo przycichła, stało się oczywiste, że winę za zniszczenia ponosi wyłącznie rycerstwo. Oliver i Arnaut walczyli pod Poitiers po stronie swoich władców, teraz zaś obaj łupią okolicznych chłopów, by zdobyć żołąd na utrzymanie wojsk. Wieśniakom się to nie podoba, dlatego tworzą zbójckie bandy, mieszkają w lesie i odgrywiają się za swoją krzywdę przy każdej okazji.

— Więc po co wymordowano całą rodzinę z tamtego samotnego gospodarstwa? — zapytała Kate.

Marek wzruszył ramionami.

— Może czyjś ojciec zginął w lesie z rąk bandy wieśniaków albo czyjś brat upił się któregoś wieczoru, pomylił drogę i został napadnięty przez zbójców? Może czyjaś żona z dziećmi zginęła bez śladu w czasie podróży z jednego zamku do drugiego? W każdym razie to akt zemsty, próba wylądowania na kimś wściekłości. Tak czy inaczej żądza krwi...

Marek urwał nagle i ruchem głowy wskazał skraj lasu, gdzie wśród drzew przemykał galopem jeździec z zielono-czarną chorągwią.

Zaczęli się przekradać w górę strumienia, żeby ominąć łukiem posterunek ludzi Arnauta. Wkrótce dotarli w pobliże młyna.

* * *

Dostępu do przeprawy bronił kamienny mur z łukowato sklepieniem przejściem. Po obu stronach drogi stały budki strażników pobierających myto. Prowadził tędy jedyny gościniec do La Roque, a więc wojska Olivera, które obsadziły most, kontrolowały także drogę do miasta.

Pod murem, pogrążony w rozmowie ze zbrojnymi chroniącymi przejścia, stał Robert de Kere.

Marek pokręcił głową.

W kierunku przeprawy ciągnęła kolumna wieśniaków, głównie kobiet z dziećmi, niosących swój dobytek w zawiniątkach. Uciekali pod osłonę zamku La Roque. Rozmawiając ze strażnikami, de Kere od czasu do czasu spoglądał na idących drogą ludzi. Chyba nie zwracał na nich większej uwagi, ale i tak nie dałoby się niepostrzeżenie prześliznąć obok niego.

Wreszcie de Kere odszedł w stronę ufortyfikowanych zabudowań. Andre dał znać Chrisowi i Kate. Wskoczyli z zarośli i włączyli się w strumień uciekinierów sunący powoli w kierunku mostu.

Strażnicy sprawdzali głównie zawartość zawiniątek. Konfiskowali wszelkie wartościowe przedmioty, zrzucając je na wielką stertę znajdującą się na poboczu drogi.

Marek dotarł do punktu kontrolnego. Został przeszukany, lecz nikt mu się dokładniej nie przyjrzał. Przeszedł pod kamiennym łukiem. Tak samo bez kłopotu minął kontrolę Chris, a na końcu Kate.

Poszli dalej szczytem nadbrzeżnej skarpy. Dopiero w miejscu, gdzie droga skręcała w stronę La Roque, zawrócili nad Dordogne. Dali nura w zarośla. Nieco dalej wyjrzeli ostrożnie na ufortyfikowany młyn oddalony o kilkaset metrów w dół rzeki.

Był pilnie strzeżony.

Na obu końcach mostu wznosiły się masywne wieże strażnicze, wysokie na dwa piętra, z potężnymi blankami i otworami strzelniczymi na wszystkie strony. Na ich szczytach czuwało po kilkunastu zbrojnych w kasztanowo-szarych barwach, wzdłuż murów krążyły gotowe do obrony straż. Na szczycie wieży po drugiej stronie powiewała chorągiew z herbem lorda Olivera.

Most łączący obie wieże był w zasadzie szeroką rampą. Pod nim obracały się z wolna cztery młyńskie koła napędzane przez nurt rzeki, spiętrzony w systemie kamiennych wałów i nasypów.

— I co o tym sądzisz? — zwrócił się Marek do Chrisa, który od dwóch lat interesował się tą budowlą i dokładnie badał jej ruiny. — Damy radę się tam dostać? Hughes pokręcił głową.

- Nie mamy szans. Jest zbyt pilnie strzeżona.
- A co to za budynek, ten bliżej nas? — Andre wskazał piętrową drewnianą konstrukcję.
- Najpewniej młyn zbożowy. Kamienne żarna powinny znajdować się na piętrze, żeby mąka zsypywała się rynkami do skrzyń na parterze, gdzie łatwiej przepakować ją do worków i załadować na wozy.
- Ilu ludzi tam pracuje?
- Dwóch, może trzech. Ale w tej chwili... — wskazał kręcących się po terenie żołnierzy — ...może nie być nikogo.
- Rozumiem. A ten drugi budynek?
- Był niższy i dłuższy. Z młynem zbożowym łączyła go dodatkowa rampa biegnąca równolegle do mostu.
- Nie jestem pewien. To może być kuźnia, papiernia, zakład wytwarzający zacier chmielowy do warzenia piwa, a nawet tartak.
- Z piłami do cięcia drewna?
- Tak. W tych czasach istniały już tartaki zasilane energią wodną.
- Ale nie wiesz dokładnie, co tam jest?
- Nie potrafię rozpoznać po wyglądzie.
- Przepraszam, że zapytam, ale po co w ogóle rozważacie możliwość przedostania się do młyna? — wtrąciła Kate. — Przyjrzyjcie się tylko. Nie prześlizgniemy się do środka za żadne skarby.
- Musimy — odparł Marek. Trzeba obejrzeć celę brata Marcela i znaleźć klucz do sekretnego przejścia.
- Jak chcesz tego dokonać, Andre? Jak ominiemy strażę?
- Marek przez dłuższy czas w posepnym milczeniu spoglądał na cały kompleks.
- Popłyniemy — rzucił w końcu. Chris znowu pokręcił głową.
- To na nic. — Wskazał grube kamienne filary mostu. Były gęsto pokryte zielonymi glonami i z pewnością oślizłe. — Nie zdołamy się po nich wspiąć.
- A kto mówi o wspinaniu?

09.27.33

Woda była bardzo zimna. Chris aż się wzdrygnął. Marek śmiało odbił się od brzegu i zaczął powoli dryfować z nurtem. Kate trzymała się blisko niego, delikatnymi wymachami rąk kierując się w stronę środka koryta rzeki. Chris popłynął za nimi, kilkakrotnie zerknąwszy przez ramię na oddalający się brzeg.

Jak dotąd nie zostali zauważeni. Dokoła panowała cisza, słychać było tylko chłopot płynącej wody. Chris uważnym spojrzeniem obrzucił most przed sobą. Wiedział doskonale, że będzie miał tylko jedną szansę. Jeśli nie chwyci się za pierwszym razem, prąd zniesie go w dół rzeki. A nie mógł wrócić łodem w górę Dordogne i podjąć drugiej próby. Zbyt wielu było strażników.

Od brzegu odchodził ukosem szereg kamiennych wałów nakierowujących nurt na młyńskie koła. Prąd zaczynał ich unosić coraz szybciej w stronę zwężającego się kanału. Znaleźli się w cieniu mostu. Słysząc już było ciche poskrzypywanie obracających się olbrzymich kół.

Marek dopłynął pierwszy. Zacisnął palce na obręczy koła, przepłynął obok niego w wąskim kanale, po czym złapał się drugą ręką i lekko wskoczył na łopatkę. Koło wyniosło go z rzeki. Po chwili zniknął Chrisowi z oczu.

Kate zbliżyła się do drugiego koła, bliżej środka mostu. Równie zwinnie stanęła na łopacie, pośliznęła się jednak i omal nie spadła z powrotem do rzeki. Niemal cudem zdołała się utrzymać i przykucnięta szybko została wywindowana ku górze.

Chris starał się utrzymać w spienionym rwącym nurcie na skraju kanału. Woda wokół niego kipiała niczym wrzątek, a silny prąd ciągle znosił go na środek, prosto pod łopatki koła.

Sięgnął prawą ręką do obręczy wynurzającej się z wody, chwycił się mocno — była zimna i oślizła, pokryta glonami. Drzazga wbiła mu się w skórę. Rozwarł dłoń i błyskawicznie wyciągnął drugą rękę, desperacko zacisnął palce. Obręcz wędrowała coraz wyżej, nie mógł się na niej utrzymać. Rozwarł uścisk i zanurzył się z pluskiem. Próbował jeszcze złapać łopatkę koła, ale tylko musnął dłonią oślizłą deskę. Nie zdążył. . .

 Nie zdążył!

Prąd unosił go coraz dalej od mostu. Po chwili znów wynurzył się spod jego cienia.

 Nie dał rady!

 Cholera!

Nurt z każdą chwilą spychał go coraz dalej od młyna, w którym zostali Marek i Kate.

09.25.12

Kate przywarła całym ciałem do koła, klęcząc jedną nogą na łopacie. Dopiero gdy została wyniesiona w powietrze, przesunęła się ostrożnie i oparła na śliskiej desce drugie kolano. Zauważyła, że prąd znosi Chrisa w dół rzeki, jego głowa wyłoniła się właśnie spod cienia mostu. Z każdą chwilą była coraz bliżej szerokiego wycięcia w podłodze młyna.

Zeskoczyła z koła i przyczała się w półmroku. Deski pod jej stopami były wilgotne i oślizłe, w powietrzu unosiła się woń stęchlizny. Niewielkie pomieszczenie zajmował zestaw drewnianych kół zębatach, które obracały się ze skrzypieniem. Przekładnia stożkowa na końcu przenosiła napęd na pionowy wał niknący w otworze w suficie. Kate nasłuchiwała bez ruchu, nie bacząc na krople wody skapujące

na nią z łopatek. Nie wyłowiła jednak niczego poza monotonnym pluskiem wody i skrzypieniem drewnianego mechanizmu.

Na wprost niej były drzwi. Podkradła się i zacisnąwszy palce na rękojeści sztyletu, uchyliła je ostrożnie.

* * *

Tuż za drzwiami pod ścianą stała olbrzymia skrzynia z desek, do której po drewnianej rynnie sypała się z góry grubo zmielona mąka. Naprzeciwko w kącie piętrzył się olbrzymi stos worków ze zbożem. Powietrze było aż białe od pyłu, który osiadł grubą warstwą na podłodze, ścianach i szczeblach drabiny prowadzącej przez otwór w suficie na piętro. Kate przypomniała sobie, jak Chris tłumaczył im kiedyś, że ten pył jest łatwo palny i nawet jedna iskra może spowodować eksplozję, dlatego nie wolno używać tu ognia. Rzeczywiście w pomieszczeniu nie było ani jednego kaganka czy ściennego uchwyty na pochodnie.

Ruszyła na palcach w kierunku drabiny. Była już blisko, gdy zauważyła dwóch mężczyzn. Leżeli na workach ze zbożem. Chrapali cicho, na podłodze stało kilka opróżnionych butelek po winie.

Zaczęła ostrożnie wchodzić na górę.

Wysunęła głowę nad podłogę i popatrzyła na wielki krąg granitu, obracający się ze zgrzytem na drugim, nieruchomym. Podobną, cieńszą rynną zboże zsuwało się do kolistego otworu w centralnej części górnego kamienia. Mąka wysypywała się na całym obwodzie ze szczeliny między kamieniami i była zbierana poniżej, skąd spadała rynną do skrzyni na parterze.

W rogu pomieszczenia dostrzegła Marka. Pochylił się nad nieruchomym ciałem strażnika. Na jej widok przyłożył palec do ust i wskazał drzwi po prawej stronie. Dolatywały stamtąd głosy zbrojnych pełniących wartę na wieży. Podeszedł do dziury w podłodze, wciągnął drabinę, ustawił ją skosem i oparł o drzwi, tarasując przejście.

Wspólnie rozbili zabitego strażnika, zabierając miecz, łuk i kołczan ze strzałami. Bezwładne ciało przelewało im się przez ręce, nawet najprostsze czynności trwały strasznie długo. Kate mimo woli spojrzała na twarz trupa — jego brodę okrywał dwudniowy zarost, na dolnej wardze widniała rozległa blizna po wrzodzie; szkliste piwne oczy były szeroko rozwarte.

Odkoczyła jak oparzona, kiedy strażnik wyciągnął rękę w jej stronę.

Dopiero po chwili zrozumiała, że mokry rękaw jej kaftana zaczepił się o ciężką metalową bransoletę na jego przegubie. Uwolniła się szarpnięciem. Ręka trupa z głuchym stuknięciem opadła na podłogę.

Marek przypasał sobie miecz, jej podał łuk ze strzałami.

Na ścianie wisiało kilka białych zakonnych habitów. Zdjął jeden dla siebie, drugi rzucił Kate.

Wskazał na lewo, w kierunku rampy prowadzącej do drugiego budynku. Mniej więcej w połowie długości stało na niej dwóch strażników w kasztanowo-szarych płaszczach.

Rozejrzał się, wziął stojący pod ścianą gruby kij do mieszania ziarna i podał go Kate. Sięgnął po dwie butelki wina, uchylił drzwi i pokazując je strażnikom, rzucił coś po oksytańsku. Kiedy ruszyli w jego stronę, ustawił Kate za drzwiami i powiedział szeptem:

— Mocno!

Dwaj zbrojni niemal wbiegli do środka. Erickson wzięła potężny zamach i z całej siły huknęła kijem w tył głowy drugiego strażnika. Była niemal pewna, że rozłupała mu czaszkę. Mężczyzna zwałił się na podłogę, ale natychmiast zaczął wstawać. Dopiero po dwóch kolejnych ciosach legł bez ruchu twarzą do ziemi. Tymczasem Marek roztrzaskał butelkę wina na głowie pierwszego i teraz z całej siły kopał go w brzuch. Mężczyzna zwijał się na deskach, usiłując zasłonić się przed kopniakami. Znieruchomiał dopiero wtedy, gdy Kate i jego zdzieliła kijem.

Andre z uznaniem pokiwał głową. Wsunął miecz pod habit, naciągnął kaptur na głowę i z pochyloną głową, naśladując mnicha, śmiało wyszedł na rampę. Kate ruszyła za nim.

Nie miała odwagi nawet zerknąć na szczyt wieży obsadzonej wojskiem. Kołczan zdołała ukryć pod białą szatą, ale długi łuk musiała nieść w ręku. Nie wiedziała, czy w ten sposób nie zwróci na siebie czyjejś uwagi. Bezpiecznie dotarli jednak do drugiego budynku. Marek przystanął przed drzwiami. Przez chwilę nasłuchiwał, lecz ze środka dobiegało jedynie głośnie rytmiczne postukiwanie i plusk wody napędzającej młyńskie koło.

Ostrożnie uchylił drzwi.

* * *

Chris starał się trzymać głowę nad powierzchnią wody. Nurt był tu znacznie powolniejszy, ale zniósł go dobre sto metrów od młyna. Na obu brzegach koczowali ludzie Arnauta, najwyraźniej czekali na rozkaz rozpoczęcia szturm na ufortyfikowany most. Dalej, pod lasem, giermkowie krzatali się przy wielkim stadzie rycerskich koni.

Promienie słoneczne odbijały się od lekko falującej powierzchni wody. Mu-

siały razić zbrojnych. Chris zauważył raz i drugi, jak mrużą oczy i odwracają się tyłem do rzeki. Świetnie, pomyślał. Łatwiej będzie przepłynąć niepostrzeżenie obok nich.

Delikatnymi ruchami rąk zaczął się kierować do północnego brzegu. Znalazł się wreszcie pod zwieszonymi nisko gałęziami drzewa, gdzie nikt nie powinien go dostrzec. Stał w płytkiej wodzie, żeby zaczerpnąć oddechu. Musiał się trzymać strony francuskiej, jeśli marzył o dołączeniu do Marka i Kate.

Wcześniej jednak musiał dotrzeć z powrotem w pobliże młyna. Nie potrafił ocenić swoich szans. Wszędzie aż roiło się od zbrojnych oddziałów.

Przypomniał sobie nagle, że to Andre ma przy sobie ceramiczną kostkę markera. Gdyby zginął, straciliby ostatnią szansę powrotu do domu. Zresztą i tak pewnie nigdy się stąd nie wydostaniemy, pomyślał z goryczą.

Coś stuknęło go w tył głowy. Odwrócił się. Po wodzie dryfował zdechły szczur, rozdęty jak balon. Chrisowi żołądek podszedł do gardła. Zaczął szybko gramolić się na brzeg. W pobliżu nie było ludzi Arnauta, ale spory oddział rozłożył się w cieniu dębowego zagajnika, kilkadziesiąt metrów dalej, w dole rzeki. Hughes wyszedł z wody i dał nura w zarośla. Słońce przyjemnie grzało. Spod lasu dolatywały gardłowe śmiechy żołnierzy. Pomyślał, że powinien znaleźć lepszą kryjówkę. Tu w trawie zauważy go każdy, kto będzie szedł ścieżką, biegnącą wzdłuż brzegu. Ciepło rozleniwiło go jednak. Dało o sobie znać przemęczenie, oczy zaczęły mu się kleić. Pomyślał, że poleży jeszcze kilka minut. Tylko kilka minut.

* * *

Wewnątrz budynku hałas był ogłuszający. Kate aż się skrzywiła, kiedy stanęła na wąskim balkoniku i spojrzała z góry na rozległą halę. Przez całą długość budowli ciągnęły się ustawione w dwóch rzędach mechaniczne młoty, które rytmicznie uderzały w masywne kowadła. Metaliczny szczęk niósł się głośnym echem między kamiennymi ścianami.

Przy każdym kowadle stał cebrzyk napełniony wodą i kocioł z rozżarzonymi węglami. Znaleźli się w kuźni, gdzie wykuwano stal, hartując ją przez zanurzenie w zimnej wodzie i rozgrzewanie w ogniu. Siłę ludzkich mięśni zastąpiono urządzeniami napędzanymi przez młyńskie koła.

Teraz nikt nie pracował, młoty na pusto uderzały w kowadła. Kilku żołnierzy w kasztanowo-szarych barwach metodycznie przeczesywało wszystkie kąty hali. Zaglądali pod drewniane koła zębate i kowadła, opukiwali ściany w poszukiwaniu ukrytych drzwi, z brzękiem przekładali kowalskie narzędzia w skrzyniach.

Szukali tajemniczego klucza brata Marcela.

Marek odwrócił się i pokazał na migi, że muszą zejść na dół. Za otwartymi szeroko drzwiami znajdowało się tam jakieś pomieszczenie. Drzwi nie miały zamka. W tej części budynku była tylko jedna przybudówka, więc pewnie właśnie tam mieściła się cela zakonnika.

Bez wątpienia została już przeszukana.

Marek, jakby wcale się tym nie przejmując, ruszył schodami w dół. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Skręcił wzdłuż najbliższego szeregu mechanicznych młotów i wszedł do otwartej celi brata Marcela.

Skrzywił się boleśnie.

Pokoik był małej i prawie całkiem pusty. Przy wąskim łóżku stał nocnik i miska z wodą, na stoliku pojedynczy lichtarz. Na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi wisały dwa białe habity.

Nie było niczego więcej.

Wystarczył jeden rzut oka, by się przekonać, że w celi nie ma żadnych kluczy. Jeśli nawet jakieś były, zabrali je żołnierze.

Ku zdumieniu Kate Marek klęknął i zajrzał pod łóżko. Później przesunął nocnik i miskę z wodą.

* * *

Andre pamiętał słowa, jakie opat wyszeptał tuż przed śmiercią. Najwyraźniej nie wiedział, gdzie znajduje się wejście do ukrytego korytarza, a bardzo mu na tym zależało, bo chciał ujawnić tajemnicę Arcykapłanowi. Właśnie dlatego zachęcał profesora do przejrzenia starych pergaminów. Śmiertelnie chory brat Marcel zapewne bredził już w malignie i nie sposób było czegokolwiek się od niego dowiedzieć.

Johnston znalazł na marginesie notatkę mówiącą o kluczu i uznał ją za ważne odkrycie. Ale opat je zlekceważył. W rozmowie z Markiem rzucił zniecierpliwiony: „Brat Marcel na pewno miał klucz, miał setki kluczy...”.

A więc opat już wcześniej wiedział o istnieniu klucza. Wiedział też, gdzie należy go szukać. Nie miał tylko pojęcia, jak z niego skorzystać.

Dlaczego?

Kate postukała go w ramię. Marek obejrzał się. Odsunęła habity wiszące na haku, odsłaniając trzy kwadratowe ornamenty zdobiące wewnętrzną stronę drzwi. Były w stylu rzymskim, odznaczały się jednak dziwnym brakiem harmonii, jakby nie miały nic wspólnego z elementami dekoracyjnymi. No i całkiem nie pasowały do stylistyki średniowiecza.

Nagle zrozumiał ich sens. To nie były ornamenty, lecz stylizowane diagramy objaśniające znaczenie szyfru.

Poszukiwane przez wszystkich klucze!

* * *

Jego uwagę przykuł trzeci, ostatni w szeregu.



Najwyraźniej został wyżłobiony w drewnie przed wieloma laty. Żołnierze musieli go widzieć, lecz nie zrozumieli jego znaczenia, skoro dalej prowadzili poszukiwania.

Ale dla Marka wszystko stało się jasne.

Kate popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

— Schody? — spytała szeptem. Postukał palcem w diagram.

— Mapa.

Wiedział już wszystko.

Słowo VIVIX nie figurowało w łacińskim słowniku. Nie był to wyraz, ale ciąg rzymskich cyfr: V, IV i IX. Wiązały się ściśle z konkretnymi kierunkami, zaszyfrowanymi w formie drugiego wyrazu: DESIDE. Była to zbitka pierwszych liter słów DEXtra, SINistra, DEXtra, oznaczających po łacinie: w prawo, w lewo, w prawo.

W środku Zielonej Kaplicy zrób pięć kroków w prawo, cztery w lewo i znów dziewięć w prawo. Tam powinieneś znaleźć wejście do sekretnego korytarza.

Uśmiechnął się szeroko do Kate.

Udało im się znaleźć to, czego wszyscy szukali: klucz do twierdzy La Roque.

09.10.23

Teraz trzeba jeszcze wyjść cało z tego przeklętego młyna, pomyślała Erickson. Marek podszedł do drzwi i ostrożnie zajrzał do hali. Kate zerknęła nad jego ramieniem.

Naliczyła dziewięciu zbrojnych. A w wejściu stał de Kere.

Ich dwoje przeciwko dziesięciu.

Co gorsza, żołnierze nie byli już tak zajęci poszukiwaniami. Niektórzy stali z założonymi rękami, spoglądali na towarzyszy i wzruszali ramionami, jakby zapytali: I co dalej? Gdzie jeszcze mamy szukać?

Nie było się co łudzić, że i tym razem zdołają się przekraść niepostrzeżenie.

Marek wskazał schody prowadzące na balkon:

— Biegnij na górę i uciekaj przez młyn, będę cię ubezpieczał. Spotkamy się na północnym brzegu w dole rzeki. Jasne?

Kate jeszcze raz wyjrzała do hali.

— Sam przeciwko dziesięciu? Zostaje.

— Nie. Któraś z nas musi się stąd wydostać. Dam sobie radę. Uciekaj. — Sięgnął do kieszeni. — I weź to. — Podał jej ceramiczny marker.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

— Dlaczego, Andre?

— Bierz!

Wyszli z celi. Erickson skierowała się ku schodom. Marek ruszył w poprzek hali, w kierunku okien wychodzących na rzekę.

Była w połowie długości schodów, gdy na dole rozległy się okrzyki. Żołnierze ze wszystkich stron biegli w stronę Marka, który zrzucił kaptur z głowy i dobył miecza.

Kate nie wahała się ani sekundy. Sięgnęła pod habit, wyciągnęła strzałę z kołczana i założyła ją na cięciwę. Przypomniała sobie rady Andre: „Jeśli będziecie chcieli zabić człowieka...”. Wtedy jego nauki wydały jej się po prostu śmieszne.

Jeden ze zbrojnych wskazał ją palcem, krzyknął głośno i rzucił się do schodów. Strzeliła do niego. Strzała trafiła w nasadę szyi. Poleciał do tyłu i wpadł do kotła z rozżarzonymi węglami. Zawył dziko. Jego kolega stanął w pół kroku i zaczął się rozglądać za jakąś kryjówką. Dostał w sam środek piersi. Nogi się pod nim ugięły i padł na podłogę.

Zostało ośmiu.

Marek miał przeciwko sobie trzech, w tym de Kere'a. Bronił się zaciekle. Robił uniki, nurkował pod wirującymi osiami mechanizmu. Szczęk mieczy tonął w ogłuszającym huku młotów. Po chwili Andre zdołał ciąć jednego żołnierza, mężczyzna padł na ziemię.

Zostało siedmiu.

Kate spostrzegła, że ranny strażnik dźwiga się powoli na nogi i zaczyna podkraść od tyłu do Marka. Wycelowała pośpiesznie i wypuściła strzałę. Dostał w udo i odskoczył. Nadal jednak był tylko ranny. Dopiero druga strzała trafiła go w głowę i pozbawiła życia.

Sięgała po następną, gdy de Kere odłączył się od grupy i popędził wielkimi susami w jej kierunku.

Założyła strzałę na cięciwę i wystrzeliła w pośpiechu, ale chybiła. Sir Robert zaczął wbiegać po schodach.

Rzuciła łuk i wybiegła na rampę.

* * *

Spojrzała z góry na rzekę. Woda pieniała się i kipiała między kamiennymi wałami. Nurt był zbyt płytki, żeby stąd skoczyć. Musiała wracać tą samą drogą, którą dostała się do młyna. De Kere był coraz bliżej. Krzyknął coś do strażników. Sięgnęli po łuki.

Zanim pierwsze strzały przecięły powietrze, Kate wpadła do budynku. Zauważyła, że de Kere w pośpiechu wycofuje się z rampy, wygrażając pięścią żołnierzom na blankach. Kilkanaście strzał tkwiło wbitych w deski rampy, tuż przed nim.

Z zewnątrz dobijano się już do drzwi, które Marek zatarasował drabiną. Było jasne, że prowizoryczna blokada nie wytrzyma zbyt długo. Erickson podbiegła do dziury w podłodze i miękko zeskoczyła na parter. Zgiełk na wieży obudził pijanych strażników. Rozglądali się dokoła mętym wzrokiem, ale w powietrzu unosiło się tyle pyłu, że trudno było przez niego cokolwiek dostrzec.

I wtedy właśnie Kate przyszedł do głowy pewien pomysł.

Sięgnęła do pakietu pod ubraniem i wyciągnęła czerwoną woskową kostkę oznakowaną liczbą sześćdziesiąt. Zerwała kapsel i cisnęła ładunek w kąt pomieszczenia.

Zaczęła w myślach odliczać.

Pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt osiem. . .

Na górze rozległ się odgłos szybkich kroków. De Kere przedostał się do młyna. Nie zeskoczył jednak od razu. Chyba nie był pewien, czy Kate nie jest uzbrojona. Po chwili rozległ się huk, rozbrzmiały okrzyki i odgłosy gorączkowej bieganiny. To strażnicy z wieży wyłamali drzwi. Musiało ich być co najmniej kilkunastu.

Jeden z pijanych zauważył ją między workami i ruszył chwiejnym krokiem, wyciągając ręce. Wymierzyła mu tęgiego kopniaka między nogi. Jęknął głucho, zgiął się wpół i zwałił na podłogę.

Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt jeden. . .

Pochyliwszy nisko głowę, przemknęła do przyległej sali, do której wyniosło ją młyńskie koło. Nadal obracało się niestrudzenie, poskrzypując cicho i ociekając wodą. Zamknęła za sobą drzwi, nie miały jednak zamka, nawet zwykłego haczyka. Nie stanowiły żadnej przeszkody.

Pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć. . .

Spojrzała w dół. Wycięcie w podłodze było na tyle szerokie, że mogła bez trudu zeskoczyć na łopatki koła. Wystarczyło chwycić się obręczy, stanąć na desce

i powoli zjechać na tyle blisko powierzchni wody, by móc bezpiecznie zsunąć się do kanału.

Patrzyła na koło i próbowała wybrać właściwy moment. Tylko pozornie wydawało się to proste. Koło obracało się bardzo szybko, łopatki śmigały jej przed oczyma. Ile czasu zostało? Trzydzieści sekund? Dwadzieścia? Nie było na co czekać. Jeśli Chris się nie mylił, cały młyn lada moment mógł wylecieć w powietrze. Zaciśnęła palce na obręczy, ale gdy koło pociągnęło jej rękę w dół, przeraziła się i rozluźniła uścisk... Spróbowała drugi raz, lecz znów strach okazał się silniejszy... Odetchnęła kilkakrotnie, usiłując opanować nerwy.

Żołnierze z łomotem zaczęli jeden po drugim zeskakiwać na parter. Nie było czasu. Musiała uciekać.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, przeskoczyła na łopatkę i przywarła całym ciałem do koła, trzymając się go oburącz. Zjechała pod podłogę i wynurzyła się na słońcu. Udało się!.. Nagle koło wysliznęło się spod niej i Kate jakimś cudem zawisła w powietrzu.

Spojrzała do góry.

Robert de Kere trzymał ją za kołnierz w stalowym uścisku. Sięgnął przez szczelinę i w ostatniej chwili złapał uciekinierkę. Nie puszczał. Kilkadziesiąt centymetrów przed jej oczyma łopatki koła monotonnie wędrowały w dół. Szarpnęła się raz i drugi, wierzgając nogami, aby uwolnić się z jego rąk. Spoglądał na nią z kamienną twarzą, jakby nic sobie nie robił z jej wysiłków.

Szarpnęła się jeszcze raz.

Trzymał mocno.

Nagle oczy mu się rozszerzyły, na krótko pojawił się w nich lęk. Przesiąknięte wodą, przegniłe deski podłogi zaczynały się wyginać. Ciężar dwóch osób był zbyt duży dla nadgryzionego zębem czasu drewna. Zewnętrzna deska pękła z trzaskiem. Kolano de Kere'a osunęło się w szczelinę, lecz nadal mocno trzymał Kate.

Ile czasu zostało? Wbiła paznokcie lewej dłoni w nadgarstek przeciwnika, mając nadzieję, że ból każe mu rozluźnić uścisk.

Ile jeszcze?

De Kere przypominał rozwścieczonego buldoga, który zanurzył kły w ciele ofiary i za nic nie chciał jej puścić. Rozległ się drugi trzask. Rycerz z trudem utrzymał równowagę. Gdyby zewnętrzna deska całkiem się przełamała, oboje spadliby do rzeki.

Nic sobie z tego nie robił, wciąż ją trzymał.

Ile jeszcze?!

Kurczowo zaciśnęła dłonie na łopatkę. Miała nadzieję, że siła obracającego się koła zdoła ją wyrwać ze stalowego uścisku prześladowcy. Poczowała gwałtowne, bolesne szarpnięcie. Poskutkowało. Deska się złamała. De Kere runął w dół,

puszczając wreszcie jej kołnierz. Ale Kate też spadła. Prosto w spienioną kipieli pod kołem.

W górze strzelił żółty płomień. Rozległ się ogłuszający huk, zalała ją fala gorąca. Dostrzegła jeszcze deski rozlatujące się na wszystkie strony. Fala eksplozji obróciła nią w powietrzu i cisnęła w lodowatą wodę. Przed oczyma rozbłysły jej gwiazdy. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że kipieli wciąga ją w głąb, i straciła przytomność.

09.04.01

Chrisa obudziły krzyki żołnierzy. Uniósł głowę i popatrzył w kierunku mostu. Panował tam zgiełk, trwała bezładna bieganina. W górnym oknie kamiennej budowli pojawił się nagle mnich w białym habicie, w którym od razu rozpoznał Marka. Przyjaciel przez chwilę parował mieczem ciosy kogoś atakującego z wewnątrz, wreszcie zsunął się po winorośli i skoczył do rzeki. Chrisa przeszył dreszcz, pod mostem było bardzo płytko. Wyteżał wzrok, ale nigdzie na powierzchni nie zauważył głowy kolegi.

W tej samej chwili sąsiedni młyn eksplodował. Buchnęły płomienie, deski poleciały na wszystkie strony. Strażnicy wyrzuceni w górę impetem wybuchu stoczyli się po umocnieniach jak szmaciane lalki. Kiedy rozwiła się chmura białawego dymu, ujrzał, że po wielkiej budowli pozostała tylko sterta płonących belek. Na wodzie między potrzaskanymi kawałkami desek unosiły się ciała zabitych strażników, nadal jednak nigdzie nie było widać płynącego Marka.

Nigdzie nie widział też Kate. Nurt przyniósł w pobliże jego kryjówek biały habit. Chrisa ogarnęło bolesne przecucie, że Marek zginął.

Bał się zostać tu sam. Postanowił zaryzykować łączność radiową. Stuknął się palcem w ucho i powiedział cicho:

— Kate? Andre? Nie było odpowiedzi.

— Kate, słyszysz mnie? Andre?

Znowu cisza.

Na wodzie dryfowały zwłoki mężczyzny. Był podobny do Marka, równie wysoki i barczysty, ciemnowłosy, w białej lnianej koszuli. Chris jęknął. To na pewno Andre. Wśród żołnierzy obozujących pod dębowym zagajnikiem rozległy się krzyki. Obejrzał się szybko, żeby sprawdzić, czy nie biegną w jego stronę. Kiedy znów przeniósł wzrok na rzekę, zwłoki były już kilkadziesiąt metrów dalej.

Dał nura w zarośla i zaczął się zastanawiać, co robić.

* * *

Kate wynurzyła się na powierzchnię. Była całkiem Zesztywniała, bezwolnie dała się ponieść prądowi. Wszędzie dokoła niczym pociski spadały kawałki roztrzaskanych desek. Chciała zaczerpnąć oddechu, lecz przeszył ją silny ból w karku. Jego echa jak ukłucia wstrząsów elektrycznych rozplynęły się po całym ciele. W ogóle nie mogła się poruszyć. Uderzyła ją myśl, że doznała urazu kręgosłupa i jest sparaliżowana. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że ma władzę w palcach rąk i nóg. Ból zanikał stopniowo, jak gdyby cofał się do szyi, gdzie był szczególnie dotkliwy, wręcz nie do zniesienia. Ale już łatwiej było oddychać, a chwilę później mogła też poruszyć rękoma i nogami. Sprawdziła raz i drugi. Tak, mogła nimi poruszać. Nie była sparaliżowana.

Tylko ten ból szyi. Ostrożnie obróciła głowę najpierw w lewo, potem w prawo. Ból był nieznośny, ale nie skrzyła karku. Dryfowała w spokojnym nurcie. W kąciku oka zebrała jej się kropelka wody. Kate powoli uniosła rękę i starła kropkę z powieki. To była krew. Ściekała z jej czoła. Dotknęła rany palcami. Bardzo krwawiła.

Wciąż leżała w wodzie na wznak. Czuła tak silny ból, że nie miała odwagi przekręcić się na brzuch i popłynąć. Zresztą prąd znosił ją w dół rzeki. Ciekawe, dlaczego do tej pory nikt jej nie zauważył.

Usłyszała okrzyki na brzegu. Właśnie została dostrzeżona.

* * *

Chris wyglądał spomiędzy zarośli. Zobaczył Kate unoszącą się na wodzie. Była ranna, całą lewą stronę twarzy miała zakrwawioną. W dodatku wcale się nie ruszała. Może była sparaliżowana?

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się blado. Wiedział, że jeśli ujawni swoją kryjówkę, na pewno zostanie pojmany, nie wahał się jednak ani przez chwilę. Teraz, po śmierci Marka, nie mieli już nic do stracenia, najlepiej więc było trzymać się razem do końca. Wskoczył do wody i zaczął brodzić w kierunku Kate. Za późno spostrzegł swój błąd.

Był w zasięgu rażenia łuczników czuwających na wieży przy moście. Zaczęli do niego strzelać.

Niemal natychmiast z francuskiego brzegu ruszył konny rycerz w kompletnej zbroi. Na głowie miał hełm, nie sposób było go rozpoznać. Najwyraźniej nie bał się niczego. Śmiało zasłonił sobą cel łucznikom i skrzył za oddalającą się powoli

Kate. Jego koń zaczął płynąć, rycerz znalazł się w wodzie po pas. Dopędził dryfującą Erickson i bez trudu wciągnął ją na siodło. Chwycił Chrisa pod rękę i rzucił krótko:

— Allons!

Skierował konia do brzegu.

* * *

Kate zsunęła się na ziemię. Rycerz wydał jakiś rozkaz i po chwili z obozu nadbiegł medyk z chorągwią w ukośne białe-czerwone pasy. Obejrzał jej ranę, oczyścił z krwi i zabandażował skrawkiem lnianego płótna.

Rycerz zsiadł z konia, odpiął rzemienie i zdjął hełm. Był wysoki i potężnie zbudowany, a do tego nadzwyczaj urodziwy, ciemnooki, z czarnymi kręconymi włosami i pełnymi zmysłowymi wargami. W jego spojrzeniu igrały wesołe błyski. Był smagły jak Hiszpan.

Medyk skończył opatrywać Kate. Rycerz uśmiechnął się do niej szeroko, ukazując równe białe zęby.

— Uczynicie mi wielki zaszczyt, jeśli pójdziecie ze mną.

Poprowadził oboje w kierunku klasztoru. Przy bocznej furcie obozowała gromada zbrojnych, wśród których byli także rycerze na koniach. Jeden z nich trzymał zielono-czarną chorągiew wojsk Arnauta de Cervole.

Skręcili w stronę kościoła. Mijani żołnierze kłaniali się nisko rycerzowi, powtarzając:

— Mój panie... mój panie...

Chris trącił Kate i szepnął:

— To on.

— Kto?

— Arnaut.

— Ten rycerz? Chyba żartujesz.

— Tylko spójrz, jak mu się wszyscy kłaniają.

— Arnaut ocalił nam życie — mruknęła Kate.

Chris uświadomił sobie ironię tej sytuacji. Wśród historyków średniowiecza sir Oliver uchodził za symbol szlachetności i odwagi, Arnauta zaś uważano za wicherzyciela. „Był jednym z największych złoczyńców swojej epoki”, napisał jeden z mediewistów. Tymczasem wyglądało na to, że prawda jest całkiem inna. Oliver był wybuchowym gburem, natomiast Arnaut dał dowód rycerskości, ratując ich oboje z opresji.

— Co z Andre? — spytała cicho Erickson. Hughes pokręcił głową.

— Jesteś pewien?

— Raczej tak. Chyba widziałem jego zwłoki w rzece.

Kate przygryzła wargi.

Przed kościołem Sainte-Mčre stał bardzo długi szereg mężczyzn z rękami związanymi na plecach, najwyraźniej oczekujących na wpuszczenie do środka. Przeważali ludzie Olivera w kasztanowo-szarych strojach, ale było także paru wieśniaków w grubych szarych kaftanach. Chris oszacował ich liczbę na około czterdziestu, może pięćdziesięciu. Więźniowie odprowadzali ich posępnymi spojrzzeniami. Niektórzy byli ranni, wszyscy natomiast wyglądali na zmęczonych.

Kiedy szli wzdłuż szeregu, jeden z jeńców powiedział do swego kolegi:

— To ten łotr, pan z Narbonne. Zajmuje się brudną robotą, za brudną nawet dla Arnauta.

Hughes nie zdążył jeszcze w pełni pojąć sensu tego zdania, gdy prowadzący ich przystojny rycerz zawrócił nagle.

— Tak rzeczesz? — zapytał.

Chwycił jeńca za włosy, poderwał mu głowę do góry i trzymanym w drugim ręku nożem przeciągnął po gardle. Więzień zalał się krwią. Nie upadł jednak. Z jego piersi wydobyło się straszliwe rżenie.

— Nikogo więcej nie zelżysz — rzekł rycerz.

Wciąż z sympatycznym uśmiechem na twarzy spoglądał na gęsty strumień krwi i przerażenie malujące się w rozszerzonych oczach konającego. Człowiek z poderżniętym gardłem wciąż utrzymywał się na nogach. Chris miał wrażenie, że jego agonía przeciąga się w nieskończoność, choć w rzeczywistości trwała pół minuty. Śniady rycerz do końca spoglądał na swoją ofiarę w milczeniu, z uśmiechem.

Wreszcie więzień osunął się na kolana i pochylił nisko głowę, jak do modlitwy. Rycerz podetknął mu blaszany trzewik pod brodę i kopnął lekko. Mężczyzna padł na wznak. Oprawca stanął nad nim, jakby chciał nasycić oczy przedśmiertnymi konwulsjami. Tkwił tak bez ruchu jeszcze z minutę, dopóki zabity nie skonał.

Rycerz pochylił się, wytarł ostrze sztyletu o jego kaftan, później oczyścił zakrwawiony czubek trzewika zbroi. Ruchem głowy dał znać Chrisowi i Kate.

Weszli do kościoła Sainte-Mčre.

* * *

We wnętrzu wiły się jeszcze smugi dymu. Do samego ołtarza na posadzce nie było nic, ławki i klęczniki miały się tu pojawić na nowo dopiero za jakieś dwieście lat. Śniady rycerz nakazał im się zatrzymać tuż za drzwiami. Musieli

zaczekać. W bocznej nawie grupa zbrojnych porozumiewała się szeptem.

Pośrodku przed ołtarzem klęczał samotnie rycerz pogrążony w modlitwie.

Chris obrzucił ciekawym spojrzeniem resztę rycerstwa. Chyba toczyli jakiś spór, szeptali z przejęciem, gwałtownie gestykulując. Nie mógł jednak wyłapać ani jednego słowa.

Coś kapnęło mu na ramię. Spojrzał w górę. Dokładnie nad nim na sznurze kołysał się wisielec. Z mokrej nogawki pończoch ściekały kropelki moczu. Chris cofnął się szybko pod ścianę. Dopiero teraz zauważył, że z poręczy balkonu zwisa kilku powieszonych więźniów z rękami związanymi na plecach. Trzej nosili barwy lorda Olivera. Dwóch innych wyglądało na wieśniaków. Ostatni był w białym zakonnym habicie. Dwaj jeńcy siedzieli na posadzce i w posepnym milczeniu spoglądali, jak pacholkiwie przywiązują do balustrady kolejne stryczki. Sprawiali wrażenie pogodzonych z czekającym ich losem.

Rycerz przed ołtarzem legł krzyżem na ziemi. Po chwili podniósł się i odwrócił. Ich przewodnik powiedział głośno:

— Mój panie, oto ci uczniowie.

— Co rzeczesz? Uczniowie?

Arnaut de Cervole miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Był chudy i żyłasty, miał pociągłą twarz o ostrych rysach. W nerwowym tiku wyginał ku górze kącik ust i marszczył nos jak szczur wietrzący niebezpieczeństwo. Całą zbroję miał zbryzganą krwią. Popatrzył na nich znudzonym, obojętnym wzrokiem.

— Powiadasz, że to ci uczniowie, Raimondo?

— Zaiste, mój panie. To uczniowie magistra Edwardusa.

— Aha. — Arnaut zbliżył się i obszedł ich dookoła. — Zali czemu są mokrzy?

— Wyciągnęliśmy ich z rzeki, mój panie — oparł Raimondo. — Byli we młynie i zbiegli w ostatniej minucie przed pożogą.

— Zaprawdę? — Z twarzy Arnauta zniknął wyraz znudzenia. Z wyraźnym zainteresowaniem zmierzył wzrokiem Chrisa i Kate. — Zechciejcie mi rzec, jakżeście zniszczyli młyn.

Chris odchrząknął i odparł cicho:

— Nie myśmy to uczynili, mój panie.

— Co? — Arcykapłan zmarszczył brwi. Po chwili zwrócił się do Hiszpana: — Po jakiemu on gada? Nic nie rozumiem.

— To Irlandczycy, mój panie, zapewne z Hebrydów.

— Nie Anglicy? To przemawia na ich korzyść. — Po raz drugi ich okrążył i zajrzał Chrisowi w twarz. — Rozumiecie mnie?

— Tak, mój panie — Wydukał Hughes. Tym razem jego odpowiedź była chyba całkiem jasna.

— Jesteście Anglikami?

— Nie, mój panie.

— Zaiste, wcale na nich nie wyglądacie. Słabiście, widno nie nawykli do bitew. — Przeniósł wzrok na Kate. — Ten to gładysz jako dziewczka. A ten... — Pomacał muskuły Chrisa. — ...zapewne ciura albo skryba. Certes, to nie Angli-
cy. — Pokręcił głową, marszcząc nos. — Anglicy to dzikusy! — huknął na cały głos, aż echo poszło po kościele. — Mam rację?

— Oczywiście, mój panie — przyznał Chris.

— Nie ma dla nich innego życia od ciągłych waśni i buntów. Wiecznie mordują własnych panów na swój okrutny sposób. Nasi normańscy bracia podbili ich ziemie i próbowali cywilizować dzicz, widno im się nie udało, zanadto barbarzyńska jest krew Saksonów. Przeto Anglicy lubują się w zniszczeniu, śmierci i torturach. Mało im walk między sobą na tej paskudnej zimnej wyspie, skoro przywiedli tu swoje armie, do tej spokojnej kwitnącej krainy, aby siać spustoszenie wśród prostego ludu. Mam rację?

Kate pokiwała głową i skłoniła się dwornie.

— Zaprawdę nikt im nie dorówna w okrucieństwie. Znaliście ich starego króla, Edwarda Drugiego? Wiecie, jak go zamęczyli rozpalonym do żaru pogrzebaczem? I to kogo?! Króla! I co się dziwować, że traktują nasz lud z większym jeszcze okrucieństwem. — Ruszył w stronę ołtarza, ale po chwili zawrócił. — A człowiek, który przejął po nim królewską władzę, Hugon Despenser? Wedle angielskich obyczajów także musiał być zabity. Wiecie jak? Uwiązali go do drabiny na miejskim rynku, odrzezali mu przyrodzenie i spalili na jego oczach, aż wyzionął ducha! I co? Charmant!

Znów popatrzył na nich wyczekująco. Pokiwali zgodnie głowami.

— Toteż ostatni król, Edward Trzeci, nauczony losem poprzedników, wie już, że musi stale prowadzić wojnę albo zaryzykować śmierć z rąk swoich poddanych. Przeto on i jego bękart, książę Walii, sprowadzili swe barbarzyńskie hordy do Francji, kraju nieznanego okrutnych bitew do dnia, kiedy zjawili się Angli-
cy ze swoimi... chevauchees i jęli mordować naszych chłopów, gwałcić nasze niewiasty, zarzynać zwierzęta, niszczyć zbiory, palić miasta i dławić handel. Dlaczego? Aby żądny krwi angielski duch mógł się pożywić na cudzej ziemi. Aby pomnażać swe bogactwa kosztem szlchetnego kraju. Aby każda angielska lady mogła podawać gościnę na francuskiej zastawie. Aby rycerstwo mogło się szczyścić szlachetnością, nie uczyniwszy nic więcej ponad sieczenie niewinnych dzieci na śmierć.

Arnaut przerwał płomienną tyradę i podejrzliwie zajrzał im prosto w oczy.

— Oto dlaczego nie umiem pojąć — dokończył — czemuście wybrali stronę tego angielskiego wieprza, Olivera.

— Nie jest to prawdą, mój panie — odparł szybko Chris.

— Nie słynę ja z cierpliwości. Gadajcie prawdę: zali nie radziliście Oliverowi, skoro wasz magister jest na jego służbie?

— Nie, mój panie. Magistra wzięto wbrew jego woli.

— Wbrew? — Arnaut rozłożył szeroko ręce. — Któż mi wyjaśni, co ten mokry hultaj rzecze?

Przystojny rycerz wystąpił krok do przodu.

— Znam dobrze angielski, mój panie. — Zwrócił się do Chrisa: — Rzeknij raz jeszcze.

Hughes zastanawiał się przez chwilę.

— Magister Edwardus...

— Aha.

— ...jest więźniem.

— Więź.. ? — Raimondo zmarszczył czoło.

Chris nie znał zbyt dobrze łaciny, postanowił jednak zaryzykować.

— *Est in carcere. .. captus. .. heri captus est de coenabio sanctae Mariae.*

— Miał nadzieję, iż stanie się jasne, że profesor został wzięty siłą w klasztorze Sainte-Mčre.

Rycerz uniósł brwi ze zdziwienia.

— *Invitel* — Przeciw swej woli?

— Zaiste, mój panie.

Raimondo odwrócił się do Arnauta.

— Powiada, że magistra wczoraj wzięto z klasztoru przeciw jego woli i jest teraz jeńcem Olivera.

Arcykapłan podszedł do nich i syknął Chrisowi w twarz:

— *Sed vos non capti estis. Nonnel* — Was jednak nie uwięziono?

Hughes zawahał się.

— Bo my...

— *Oui*?

— Nie, mój panie — odparł szybko. — *Non*. Zdołaliśmy uciec... Och... *ef... effugi... i... imus. Effugimus*. — Nie był pewien, czy użył właściwego słowa. Pocił się z napięcia.

Ale to chyba wystarczyło, bo przystojny rycerz ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Rzecze, jako uciekli.

— Uciekli?! — warknął Arnaut. — Skąd?

— *Ex Castelgard heri...* — zaczął Chris.

— Uciekliście wczoraj z Castelgard?

— *Etiam, mi domine*. — Zaiste, mój panie.

Arcykapłan przez jakiś czas w milczeniu spoglądał mu w oczy. Tymczasem jeńców zawleczono na balkon, założono im stryczki na szyje i zepchnięto za balustradę.

Szarpnięcie było za słabe, aby przerwać rdzeń kręgowy i zesłać szybką śmierć. Charczeli przerażająco i przez jakiś czas miotali się na sznurach, zanim w końcu wyzionęli ducha.

Arnaut spoglądał w górę jakby rozbawiony, że konwulsyjne rżenia wisielców przerwały tę rozmowę.

— Zostało jeszcze trochę sznurów — rzekł, spoglądając znowu na Chrisa. — Muszę znać prawdę.

— Rzekłem całą prawdę, mój panie. Arnaut odwrócił się na pięcie.

— Zali nie rozmawialiście z tym mnichem, Marcelem, przed jego śmiercią?

— Marcelem? — Chris najlepiej jak potrafił udał zaskoczonego. — Z mnichem Marcelem, mój panie?

— Nie inaczej. *Frere Marcel... CognovistinefratremMarcellum!* Znaliście go?

— Nie, mój panie.

— *Transitum ad Roccam cognitum habesne?* — To pytanie Hughes zrozumiał od razu: Czy znacie przejście do La Roque?

— Korytarz... *transitum...* — Wzruszył ramionami. — Nie, mój panie.

Arnaut spojrział na niego z ukosa.

— Zali niczego w ogóle nie wiecie? — Znow przybliżył twarz, niemal trącił nosem Chrisa, jakby go obwąchiwał. — Nie wierzę. Kłamiecie. — Odwrócił się do Raimondo. — Powieś jednego, aby drugi gadał prawdę.

— Którego, mój panie?

— Którego? — Arnaut wskazał Chrisa, lecz zaraz przeniósł wzrok na Kate, musnął palcem jej policzek i przeciągnął dłonią po brodzie. — Tenże gładki chłopiec ujął moje serce. Zabawię go dziś wieczór w moim namiocie. Szkoda go tracić przedwcześnie.

— Jak każesz, mój panie.

Śniady rycerz rzucił krótki rozkaz i zbrojni spuścili z balkonu jeszcze jedną pętlę. Dwaj inni chwycili Chrisa za ręce, wykręcili mu je na plecy i związali.

Matko Boska! Naprawdę to zrobią! Hughes spojrział w panice na Kate. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Żołnierze zaczęli wlec go pod balkon.

— Mój panie! — rozbrzmiał donośny kobiecy głos od strony bocznego wejścia.

Stojący tam rycerze rozstąpili się szybko i do głównej nawy weszła lady Claire.

* * *

— Raczysz, panie, wysłuchać mnie na osobności? — spytała.

— Oczywiście, skoro tak sobie życzysz.

Arnaut podszedł do niej i Claire zaczęła mu coś z przejęciem tłumaczyć na ucho. Po chwili zapytał zdziwiony:

— A czemu miałyby to służyć?

Znów wyszeptała kilka zdań. Chris nie mógł wyłowić ani słowa.

— Czcigodna lady — odparł stanowczo Arnaut — już zdecydowałem.

Claire nie rezygnowała.

Wreszcie Arcykapłan odwrócił się w ich stronę i kręcąc głową, powiedział:

— Lady Claire pragnie bezpiecznie przedostać się do Bordeaux. Rzecz, iż was zna i jesteście uczciwymi ludźmi. — Urwał na krótko. — Mówi, że powinienem was uwolnić.

— Jeżeli ci to odpowiada, mój panie — wtrąciła Claire. — Wszystkim wiadomo, jak niezrównani są Anglicy w zabijaniu. Lecz Francuzi są inni. Potrafią okazać litość, będącą oznaką mądrości i szlachectwa.

— Nie inaczej — odparł Arnaut. — Zaprawdę Francuzi to ludzie szlachetni. I jeśli tym dwóm nic nie wiadomo o bracie Marcelu i przejściu, nie są nam już do niczego potrzebni. Powiadam zatem, dajcie im konie i jadła i odeślijcie w drogę. Zyskamy łaskawość waszego magistra Edwardusa. Przez was mu się polecam i życzę, aby Bóg zezwolił wam bezpiecznie do niego dołączyć. Odejdźcie.

Lady Claire skłoniła się nisko.

Chris i Kate zrobili to samo.

Śniady rycerz rozciął więzy Hughesa i wyprowadził ich z kościoła. Oboje byli tak zaskoczeni rozwojem wypadków, że niemal przez całą drogę powrotną nad rzekę milczeli. Chrisowi szumiało w głowie, nie mógł pozbierać myśli. Kate lekko poklepywała się po policzku, jakby chciała się otrzeźwić.

— Zawdzięczacie życie przebiegłej damie — odezwał się w końcu ich przewodnik.

— *Certes...* — mruknął Hughes. Rycerz uśmiechnął się ironicznie.

— Bóg patrzy na was łaskawym okiem — dodał.

Nie zabrzmiało to radośnie.

* * *

Sytuacja nad rzeką całkiem się zmieniła. Ludzie Arnauta zdobyli ufortyfikowany most, nad wieżą powiewała zielono-czarną chorągiew. Zbrojna jazda strzegła dostępu do przeprawy na obu brzegach. Drogą w kierunku La Roque ciągnął strumień ludzi i wozów z zapasami. Oprócz wyładowanych furmanek jechały także powozy z trąkoczącymi kobietami i dokazującymi dziećmi oraz wielkie platformy z gigantycznymi balami. Były to części rozmontowanych katapult do

miotania głazów i beczek z płonąca smołą za mury obronne zamku.

Rycerz zarekwirował dla nich dwa konie, wychudzone chabety z grzywami wytartymi od chomąta. Polecił im dosiąść ich na oklep, a sam poprowadził za wodze do punktu kontrolnego, gdzie kazał zbrojnym przepuścić uwolnionych z rozkazu Arnauta.

Uwagę Chrisa przyciągnął zgiełk pośrodku rzeki. Grupa żołnierzy brodziła po kolana w wodzie. Przeprawiali olbrzymią żeliwną bombardę na zbitej z bali lawecie. Patrzył z prawdziwą fascynacją. Do dwudziestego wieku nie zachowało się ani jedno działo z tej epoki, nie ocalał nawet żaden opis.

Było wiadomo, że w tym czasie istniała już artyleria. Na miejscu bitwy pod Poitiers archeolodzy wykopywali kule wystrzeliwane z dział. Zdaniem historyków należały one jeszcze do rzadkości i były używane głównie podczas ceremonii, do strzelania na wiwat. Chris, który patrzył, jak ludzie z ogromnym wysiłkiem przenoszą bombardę przez rzekę i umieszczają na podstawionej platformie, nie miał żadnych wątpliwości, że nie wkładano by tyle energii w przetransportowanie kolosa o symbolicznym znaczeniu. Działo musiało być bardzo ciężkie, z pewnością opóźniało pochód całej armii, mającej zapewne rozkaz stanięcia pod murami La Roque jeszcze przed zmrokiem.

Ale nie rozumiał powodu, dla którego nie można by go przewieźć już po rozpoczęciu oblężenia. Wysilek wkładany w jego transport musiał oznaczać, że działo odegra zasadniczą rolę podczas szturmu.

Jaką? W końcu mury obronne La Roque miały trzy metry grubości. Żadna kula nie mogła ich przebić.

Śniady rycerz pożegnał się z nimi, mówiąc:

— Niech Bóg ma was w swojej opiece.

— A was niech błogosławi i ześle wam pomyślność — odparł Chris.

Raimondo klepnął konie po zadach. Ruszyły stępa drogą wiodącą do La Roque.

* * *

W czasie jazdy Kate opowiedziała o odkryciu dokonany w celi brata Marcela i sekretnym przejściu w Zielonej Kaplicy.

— Wiesz, gdzie jest ta kaplica? — zapytał Chris.

— Tak. Jej ruiny były zaznaczone na mapie terenu badań. Stoi około kilometra na wschód od La Roque. Prowadzi do niej ścieżka przez las.

Hughes westchnął.

— Wreszcie pojawiła się szansa odnalezienia tego przeklętego korytarza. Ale

Andre miał przy sobie marker. Skoro zginął, i tak już się stąd nie wydostaniemy.

— Jesteś w błędzie. To ja mam marker.

— Naprawdę?

— Dał mi go na moście. Chyba przeczuwał, że nie zdoła ująć stamtąd z życiem. Na pewno by się uratował, gdyby uciekał. Został jednak, żeby mnie osłaniać. Tylko dlatego udało mi się wydostać. . .

Zaczęła cicho szlochać.

Chris milczał. Przypomniawszy sobie, jak bardzo pasja Marka bawiła młodszych studentów, szepczących za jego plecami: „Wyobrażasz to sobie? On naprawdę wierzy w te brednie o rycerskości!”. Uważali, że to zwykła afektacja, pozowanie na kogoś, kim naprawdę nie jest. Zresztą w dwudziestym wieku trudno kogokolwiek pytać poważnie, czy wierzy w honor i prawdę, czy uznaje czystość ciała, szacunek dla kobiet, świętość prawdziwej miłości i temu podobne rzeczy.

Marek wierzył w to naprawdę.

Wokół nich rozciągał się krajobraz niczym z koszmarne snu. Było południe, lecz słońce ledwie się przebijało przez kłęby dymu. W winnicach uprawy zostały doszczętnie spalone, na ziemi leżały poskręcane, wciąż jeszcze kopzące kłącza winorośli. W sadach pozostały tylko osmalone szkielety drzew. Zdobywcy puszczali wszystko z dymem.

Zewsząd dobiegały żałosne jęki rannych żołnierzy. Najwięcej leżało ich tuż przy drodze. Niektórzy jeszcze oddychali, martwi mieli poszarzałe twarze.

Chris zatrzymał się, żeby wyjąć miecz z ręki zabitego, gdy leżący obok uniósł rękę i zawołał piskliwym głosem:

— *Secors, secors!*

Jedna strzała tkwiła mu głęboko w podbrzuszu, druga sterczała z piersi. Miał zaledwie dwadzieścia parę lat i chyba zdawał sobie sprawę, że umiera. Spoglądał błagalnym wzrokiem na Chrisa, w kółko powtarzając słowo, którego ten nie rozumiał. Wreszcie żołnierz wskazał palcem usta i rzekł po łacinie:

— *Aquam. Da mihi aquam.*

Chciało mu się pić, prosił o wodę. Chris bezradnie rozłożył ręce. Nie mieli wody. Młodzieniec skrzywił się boleśnie, zamknął oczy i odwrócił głowę. Hughes dosiadł konia. Od tej pory przestał zwracać uwagę na wołania o pomoc. Nie zatrzymywał się. W żaden sposób nie mógł tym ludziom pomóc.

Przed nimi, bardzo wysoko na skalistym cyplu ponad doliną Dordogne, wznosił się niedostępny zamek La Roque. Dzieliła ich od niego najwyższej godziny jazdy.

* * *

W mrocznym kącie kościoła Sainte-Mère śniady rycerz pomógł Markowi dźwignąć się na nogi.

— Twoi przyjaciele odjechali — powiedział.

Andre zakasłał. Chwycił się ramienia rycerza, żeby przetrzymać falę nieznośnego bólu, jaka rozlała się w jego nodze. Raimondo przyjął to z wyraźnym rozbawieniem. Wziął Marka do niewoli zaraz po eksplozji w młynie.

Kiedy Andre skoczył spod okna kuźni, szczęśliwie wylądował w nieco głębszym miejscu rzeki i tylko trochę się potłukł. Wynurzywszy głowę nad powierzchnię, stwierdził ze zdumieniem, że znajduje się pod mostem. W dzień musiało tu być większe zagłębienie, gdyż leniwy nurt tworzył rozległy, obracający się z wolna wir, który zniósł go pod prąd.

Zdążył ściągnąć z siebie habit i puścić go z wodą, kiedy młyn eksplodował. Na wszystkie strony poleciały fragmenty roztrzaskanych desek. Jakiś żołnierz spadł do wody obok niego i po chwili zaczął się obracać w wirze. Marek ruszył w kierunku brzegu. Wychodził już na trawę, gdy niespodziewanie śniady rycerz podektnął mu czubek miecza pod brodę i kazał się zbliżyć. Andre wciąż miał na sobie kasztanowo-szary kaftan wojsk Olivera, zaczął więc tłumaczyć się po oksytańsku i błagać o litość.

Ale rycerz nie chciał słuchać.

— Zamilcz — powiedział. — Wszystko widziałem.

Najwyraźniej obserwował jego skok z okna i późniejsze pozbycie się zakonnego habitu. Powiódł jeńca do kościoła, gdzie zdumiony Marek ujrzał lady Claire pogrążoną w rozmowie z Arnautem. Arcykapłan był w ponurym nastroju, wyglądała jednak na to, że Claire ma na niego duży wpływ. To właśnie ona kazała Markowi siedzieć cicho w kącie, gdy rycerz wprowadził Chrisa i Kate.

— Jeśli Arnaut pomyśli, że może cię wykorzystać przeciwko tamtym dwójgu, zapewne ocalisz siebie i swoich przyjaciół — wyjaśniła. — A jeśli uzna was wszystkich za swoich wrogów, z wściekłości was pozabija.

Obiecała przejąć sprawy w swoje ręce i okazało się, że zrobiła to skutecznie. Przynajmniej na razie.

Wyszli na środek kościoła, Arnaut zmierzył go podejrzliwym wzrokiem i rzekł:

— Zatem twoi przyjaciele znają wejście do tajemnego korytarza? Tak, panie. Przysięgam.

— Zawierzyłem twemu słowu i puściłem ich wolno — odparł Arcykapłan. — Zawierzyłem też poręce tej lady, która wstawiła się za wami. — Skłonił się lekko w kierunku Claire, ona zaś się uśmiechnęła.

— Słusznie postąpiłeś, mój panie — powiedziała. — Powieszenie jednego człowieka może rozwiązać języki patrzących na to dwóch jego przyjaciół, jednakowoż równie często może im zamknąć usta. A chodzi tu wszak o tajemnicę tak ważną, że moim pragnieniem jest, aby wasza lordowska mość posiadała ją na pewno.

— Zatem podążymy za tamtymi dwoma i zobaczymy, dokąd zmierzają. — Wskazał głową Marka. — Raimondo, znajdź wierzchowca dla tego biednego człowieka. I wyznacz mu do eskorty dwóch swoich najlepszych *chevaliers*, którzy pojedą z nim tropem towarzyszy. Śniady rycerz skłonił się nisko.

— Jeśli dozwolisz, mój panie, sam podążę za nimi.

— Dobrze, bo może się w tym kryć jakowąś kabała. — Posłał swemu zaufanemu znaczące spojrzenie.

Tymczasem Claire podeszła do Marka i czule ujęła w dłoń jego rękę. Poczuł w palcach zimny metalowy przedmiot. Zrozumiał, że to maleńki sztylet.

— Lady — powiedział — jestem twoim dozgonnym dłużnikiem.

— Tako dopilnuj, byś mógł spłacić ten dług, rycerzu — odparła, patrząc mu w oczy.

— Dopilnuję. Bóg mi świadkiem. — Niepostrzeżenie wsunął sztylet pod kaptan.

— Będę się modliła o boską łaskawość dla ciebie, rycerzu. — Stała na palcach, przyciągnęła jego głowę i cmoknęła go w policzek. Szepnęła pospiesznie: — Twa eskorta to Raimondo z Narbonne, słynny rzeźmieszek. Gdy pozna tajemnicę, dbaj pilnie o swoje gardło, jako też o gardła przyjaciół.

Odsunęła się od niego z uśmiechem.

— Jesteś zbyt łaskawa, lady — powiedział Marek. — Wezmę twe życzliwe pragnienia do serca.

— Niechaj Bóg cię prowadzi bezpiecznie, dobry rycerzu.

— Na zawsze pozostaniesz w moich myślach, lady.

— Wolalabym, dobry rycerzu. . .

— Dość tego. Dość — przerwał ostro Arnaut, po czym zwrócił się do Raimondo: — Ruszajcie już, bo ten nadmiar sentymentów ciąży mi w trzewiach.

— Mój panie.

Śniady rycerz skłonił się nisko i poprowadził Marka do wyjścia.

07.34.49

— Powiem wam, na czym polega pieprzony problem — syknął Robert Doniger, wodząc spojrzeniem po swoich gościach. — Trzeba ożywić przeszłość, uczynić ją realną.

Na sofie w jego gabinecie siedziało dwóch młodych mężczyzn i kobieta. Wszyscy byli ubrani na czarno, w modne, grubo watawane na ramionach marynarki, które wyglądały tak, jakby się zbiegły w praniu. Mężczyźni nosi długie

włosy, za to kobieta była ostrzyżona na jeża. Cała trójka pełniła funkcje rzeczników prasowych firmy. Doniger zwrócił uwagę, że dziś wyjątkowo Kramer usiadła naprzeciwko nich, jakby chciała podkreślić, że niewiele ją z nimi łączy. Ciekawe, czy widziała wcześniej przygotowane przez rzeczników materiały.

Nie lubił ludzi współpracujących z mediami, a dziś był wyjątkowo wściekły.

— Nasz problem polega na tym, że jutro zwali się tu trzydziestu członków zarządu, aby wysłuchać mojego wystąpienia. Jest zatytułowane „Obietnica przeszłości”, a jak dotąd nie mam niczego ciekawego, aby je zilustrować.

— Rozumiem — rzucił jeden z mężczyzn. — Przecież to jedno z naszych podstawowych zadań, panie Doniger. Klient żąda ożywienia przeszłości, a my właśnie od tego jesteśmy. Korzystając z pomocy panny Kramer, zwróciliśmy się do waszych obserwatorów, aby zechcieli zarejestrować krótkie filmy wideo. Naszym zdaniem uzyskany materiał jest wyjątkowej jakości i powinien. . .

— Obejrzymy go — uciął Doniger.

— Jak pan sobie życzy. Czy mógłbym prosić o zgaszenie świateł?

— Niech zostaną zapalone.

— Oczywiście, panie Doniger. — Włączył odtwarzacz i wielki płaski ekran ścienny. Wziął do ręki kasetę: — Te pierwsze ujęcia szczególnie nam się spodobały, bo ukazują znane wydarzenie historyczne, które trwało tylko dwie minuty. Jak panu wiadomo, wiele zdarzeń w historii trwało bardzo długo, szczególnie według współczesnych kryteriów. To jednak zaszło bardzo szybko. Niestety, nastąpiło pochmurnego i deszczowego dnia.

Na ekranie ukazał się ponury, szary krajobraz. Niebo zasnuwały wiszące nisko chmury. Obiektyw kamery przesunął się po plecach zgromadzonego tłumu, wreszcie powędrował w górę. Na prowizoryczne podwyższenie z surowych desek wkroczył wysoki, szczupły mężczyzna.

— Co to jest? Egzekucja? — spytał Doniger.

— Nie. To Abraham Lincoln, który wygłosił za chwilę Orędzie Gettysburskie.

— Naprawdę? Wygląda jak dziad, chodzący trup. Całe ubranie ma pomięte. Do tego za krótkie rękawy.

— To prawda, ale. . .

— I dlaczego ma taki skrzekliwy głos?

— Nikt dotąd nie słyszał na własne uszy głosu Lincolna, panie prezesie. To autentyczne nagranie. . .

— We łbach wam się, kurwa, przewracało?!

— Skądże, panie Doniger. . .

— Na miłość boską! Nie mogę tego pokazać ludziom! Kto chciałby się dowiedzieć, że Abraham Lincoln miał skrzekliwy głos, jak kaczor Donald? Nie macie czegoś innego?

— Już pokazuję, panie prezesie. — Młody człowiek pospiesznie zaczął zmieniać kasetę. — Drugi fragment wybraliśmy z zupełnie innych powodów. Mieliśmy

nadzieję uzyskać interesujący, żywy zapis, ale znów natura spletała nam figła. To ważne, wszystkim znane wydarzenie. Jest Boże Narodzenie tysiąc siedemset siedemdziesiątego ósmego roku. Tego dnia nad rzeką Delaware. . .

— Nic nie widzę, do cholery!

— Rzeczywiście zdjęcia wyszły trochę niewyraźne. Zapadał zmierzch. Sądzi-
liśmy jednak, że przeprawa George'a Washingtona przez Delaware. . .

— Washingtona? Który to?

— Ten z prawej. — Dźgnął palcem ekran. Gdzie?

— Tam, w głębi.

— To ten facet skulony na końcu łodzi?!

— Tak, zgadza się. . .

— Niemożliwe — oświadczył Doniger. — Dlaczego nie stoi na rufie z dumnie
uniesioną głową jak generał?

— Wiem, że w ten sposób przedstawia się go na obrazach, ale rzeczywistość
wyglądała inaczej. To autentyczne zdjęcia z przeprawy George'a Washingtona. . .

— Wygląda, jakby zamierzał się porzygać. Chcecie, abym pokazał ludziom
film przedstawiający Washingtona cierpiącego na chorobę morską?

— Tak było naprawdę.

— Mam to w dupie! — warknął Doniger. Chwycił jakąś kasetę i cisnął nią
przez pokój. — Co się z wami dzieje, do cholery? Nie obchodzi mnie, jak było
naprawdę. Ja chcę czegoś intrygującego, podniecającego. A wy mi pokazujecie
chodzącego trupa i zmokłą kurę.

— Więc może przygotujemy jakieś rysunki. . .

— Jutro wygłaszam przemówienie — huknął prezes. — Przyjeżdżają trzy
ważne osobistości, którym już zapowiedziałem, że zobaczą coś absolutnie wy-
jątkowego. — Rozłożył szeroko ręce. — Jezus, Maria!

Kramer chrząknęła.

— A nie lepiej pokazać zdjęcia? — zaproponowała.

— Jakie zdjęcia?

— Pojedyncze klatki z tych zapisów wideo, powiększone i rozjaśnione. Mo-
głyby wyrzeć odpowiedni skutek.

— Tak, tak. To będzie najlepsze — przytaknęli rzecznicy, zgodnie kiwając
głowami.

— Lincoln nadal miałby wymięte ubranie — mruknął Doniger.

— To się da poprawić w komputerze. Prezes zamyślił się.

— Może? — bąknął niepewnie.

— I tak nie powinieneś zbyt wiele pokazywać — dodała Kramer. — Rzekła-
bym, że im mniej, tym lepiej.

— Zgoda. Przygotujcie te zdjęcia. Chcę je zobaczyć za godzinę.

Cała trójka wybiegła z gabinetu i Doniger został sam na sam z Kramer. Pod-
szedł do swego biurka i zaczął przerzucać maszynopis wystąpienia. Po chwili

zapytał:

— Podoba ci się tytuł „Obietnica przeszłości”? A może „Przyszłość przeszłości”?

— „Obietnica”. Brzmi o wiele lepiej.

07.34.49

Marek w eskorcie dwóch rycerzy przeciskał się w tumanach kurzu między wyładowanymi wozami w kierunku czoła kolumny. Nie widział jeszcze Chrisa i Kate, jechali jednak dość szybko i wkrótce powinni ich dogonić. Ukradkiem zerkał na swoich towarzyszy. Raimondo po lewej był w kompletnej zbroi, siedział sztywno wyprostowany w siodle, z nieodłącznym uśmiechem na twarzy. Po prawej miał niedźwiedziowatego osiłka o zaciętej minie, także w zbroi, najwyraźniej zaprawionego w bojach. Żaden nie zwracał na niego większej uwagi, widocznie byli pewni swego. Zwłaszcza że ręce miał skrępowane grubym powrozem. Dwadzieścia centymetrów luzu w więzach umożliwiała mu kierowanie koniem.

Jechał nieco z przodu, krztusząc się od kurzu. Zdołał niepostrzeżenie wyciągnąć z zanadru sztylecik, obrócić go ostrzem do góry i przycisnąć rękojeść do przedniego łęku siodła, którego się przytrzymał. Miał nadzieję, że będzie w stanie tak ustawić nóż, aby krępujący mu ręce sznur ocierał się o ostrze. Nie było to jednak łatwe, gruby powróż wciąż się ześlizgiwał, a sztylet wykręcał mu palce do tyłu. Marek zerkał na licznik czasu. Wskazywał 07.21.02. Zostało ponad siedem godzin do wyczerpania się akumulatorów maszyn.

Wkrótce zjechali z równego nadrzecznego gościńca. Dalej droga wspinała się serpentyną w kierunku miasteczka La Roque, które stało na szczycie urwiska. Niemal wszystkie zabudowania były wzniesione z kamienia, co nadawało osadzie wygląd posępnej fortecy.

Znaleźli się wreszcie wśród czołowych oddziałów wojsk Arnauta, złożonych głównie ze zbrojnej jazdy. Ludzie i konie z trudem wspinali się po brukowanych uliczkach; zwierzęta głośno parskwały, koła wozów zsuwały się po nierównych kamieniach. Prowadzący pochód z determinacją parli do przodu. Pierwsza fala wozów była wyładowana belkami rozmontowanych katapult. Najwyraźniej zamierzano przystąpić do oblężenia jeszcze przed zmrokiem.

Byli wciąż między zabudowaniami, kiedy Marek zauważył Chrisa i Kate. Jechali jakieś sto metrów w przodzie. Po chwili zniknęli za zakrętem ulicy.

— Nie zbliżajmy się bardziej — powiedział Raimondo.

Przed nimi wielka łopocząca chorągiew uderzyła konia po nozdrzach, Zwierzę zarżało i szarpnęło się do tyłu, a ciągnięty przez nie wóz osunął się w poprzek ulicy i przewrócił. Po bruku z łoskotem potoczyły się armatnie kule. Właśnie na taką chwilę zamieszania Marek czekał. Natychmiast spiął konia, ale ten tylko stanął dęba. Eskortujący go z prawej posępny rycerz chwycił jego wodze.

— Mój przyjacielu — syknął złowieszczo Raimondo. — Nie zmuszaj mnie, bym cię zabił. Jeszcze nie teraz. — Ruchem głowy wskazał skrępowane ręce Marka. — I wyrzuć ten śmieszny nożyk, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Andre poczuł, że się czerwieni. Usłuchał jednak i schował sztylecik pod ubraniem. Pojechali dalej w milczeniu.

Spomiędzy kamiennych domów doleciał głośny wrzask dzikiego ptaka. Raimondo natychmiast wyprostował się w siodle i zaczął uważnie spoglądać na boki. Jego towarzysz zrobił to samo. Najwyraźniej nie był to głos dzikiego ptaka.

Wyteżyli słuch. Chwilę później podobny sygnał rozległ się na szczycie wzgórza. Raimondo zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Zachowywał jednak spokój.

— Co to było? — zapytał Marek.

— Nie twoja sprawa.

Żaden nie odezwał się już więcej.

Żołnierze pchający wyładowane wozy byli zbyt zajęci, żeby zwracać na nich uwagę. Bez przeszkód dotarli na szczyt i wyjechali z miasta na rozległe karczowisko. Z prawej mieli mury obronne La Roque, z lewej ciągnęła się ściana lasu. Z przodu, ku północy, otwierała się trawiasta, lekko pofałdowana równina.

Dopiero teraz Marka uderzyło, że posuwają się równolegle do fosy, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od murów. Minęli wieżę bramną, przed którą zwodzony most wciąż był opuszczony. Chris i Kate nadal jechali sto metrów przed nimi na czole kolumny.

Atak nastąpił nieoczekiwanie. Z lasu wypadło pięciu zbrojnych rycerzy. Z mieczami uniesionymi nad głową rzucili się do szarży. Pędzili wprost na Marka i jego eskortę.

Raimondo i jego ponury towarzysz dobyli mieczy i skierowali rumaki w stronę napastników. Wywiązała się walka. Niespodziewanie od strony miasta nadjechał galopem sam Arnaut w otoczeniu dalszych rycerzy, którzy od razu z zapalem włączyli się do bitwy. Wszyscy zapomnieli o skrępowanym jeńcu.

Tymczasem w przodzie inna grupa zbrojnych zaatakowała czoło kolumny. Andre dostrzegł przystrojony czarnymi piórami henn sir Guya. Chris i Kate znaleźli się nagle w okrążeniu. Spiął konia i ruszył galopem wzdłuż kolumny wozów.

Widział, jak jeden z napastników złapał Chrisa za kołnierz i usiłował ściągnąć z siodła. Drugi chwycił wodze Kate. Jej koń się spłoszył i zaczął skakać na boki. Trzeci sięgnął do wodzy Chrisa, lecz ten zdążył je szarpnąć. Omal nie posadził konia na zadzie, ale napastnik musiał puścić wodze, żeby nie spaść na ziemię. Nagle Hughes wrzasnął dziko i zalał się krwią. Najwyraźniej stracił panowanie nad wierzchowcem. Koń zarżał głośno i pognał galopem w stronę lasu. Chris ledwie trzymał się w siodle. Po chwili zniknął między drzewami.

Kate wciąż próbowała się uwolnić od napastnika trzymającego wodze jej wierzchowca. Rozpętało się istne piekło. Ludzie Arnauta zaczęli sięgać po broń, pojedynczy pikinierzy usiłovali strącić napastników na ziemię. Wreszcie któryś

cios dosięgnął prześladowcę Kate i ten puścił wodze. Marek, chociaż nie miał broni, skierował się w sam środek tego zamieszania. Chciał odciągnąć Kate od napastników. W końcu go dostrzegła.

— Andre!

— Uciekaj! Uciekaj! — wrzasnął, a chcąc ściągnąć na siebie uwagę, dodał jeszcze głośniejsze: — Malegant!

Sir Guy błyskawicznie odwrócił się ku niemu.

Marek skierował konia nieco w bok, minął gromadę walczących i pogalopował wprost ku otwartej bramie zamku. Zauważył, że rycerze lorda Olivera zawracają i rzucają się za nim w pościg. W tumanie kurzu pod lasem Raimondo i Arnaut zaciekle atakowali pięciu jeźdźców.

Kate spięła konia i popędziła przez karczowisko na pomoc. Oglądała się przez ramię, widziała więc, jak Marek wjeżdża po zwodzonym moście i znika w fortecnej bramie zamku. Wpadła za nim do środka gromada rycerzy. Ciężka brona w bramie opadła ze zgrzytem, zwodzony most zaczął się podnosić.

Została sama. Marek i Chris wystawili się na ogromne niebezpieczeństwo, mogli zginąć w każdej chwili. Może już byli martwi.

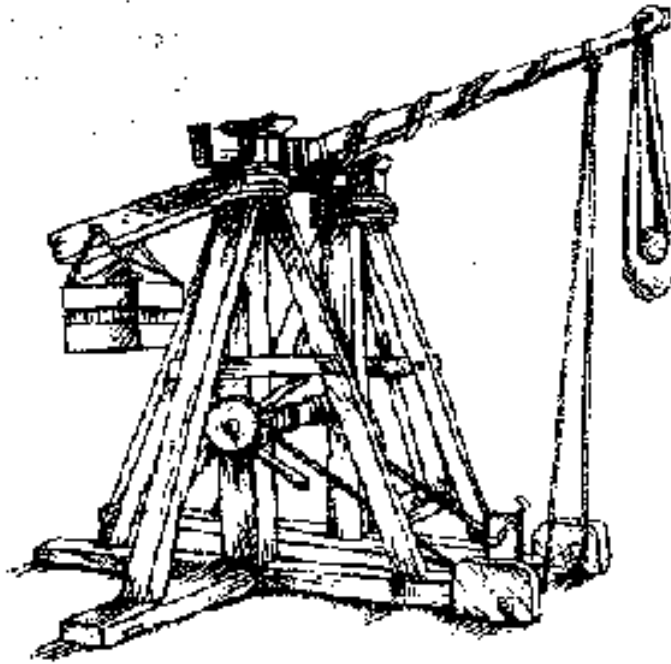
Teraz wszystko zależało od niej.

07.24.33

Wszędzie dookoła stacjonowały wojska Arnauta. Kate przemykała się nieopstrzeżenie między wyładowanymi wozami w stronę lasu. Na skraju rozległej łąki wznoszącej się łagodnie ku murom La Roque żołnierze rozstawiali namioty. Kiedy się do nich zbliżyła, ten i ów krzyknął, by im pomogła, lecz unosiła tylko otwartą dłoń, mając nadzieję, że zostanie to potraktowane jak pozdrowienie, i jechała dalej. W końcu zagłębiła się w las. Najpierw musiała się przedzierać przez zarośla, wreszcie ujrzała dróżkę prowadzącą w mroczną gęstwinę. Wyjechała na nią i zatrzymała konia, aby dać mu chwilę odpocząć.

Na równinie pośpiesznie składano przywiezione w częściach katapulty. Były to wielkie niezgrabne maszyny — na masywnej podstawie z belek znajdowało się sprężyste ramię miotające. Przyginano je za pomocą konopnych lin i kołowrotu, ładowano pocisk do uchwytu znajdującego się na jego konni, po czym zwalniano blokadę, a ramię wyrzucało pocisk w stronę obleganych murów. Maszyna musiała ważyć co najmniej ćwierć tony. Mimo to żołnierze składali je nadzwyczaj sprawnie. Ich poczynania nadzorowali specjaliści, którzy przechodzili od jednej grupy do drugiej i wydawali polecenia. Patrząc na to, Kate zrozumiała, dlaczego niektóre kościoły czy zamki średniowieczne powstawały zaledwie w ciągu paru lat. Doświadczeni fachowcy potrafili znakomicie skoordynować pracę podległych im ludzi.

Kate zawróciła konia i pojechała w głąb lasu.



* * *

Dróżka zwężała się stopniowo. W leśnej gęstwinie zalegał głęboki mrok. Erickson poczuła się nieswojo. Słyszała pohukiwanie sów i stłumione wrzaski nieznanego jej ptaków. Na konarze drzewa dostrzegła dwanaście czarnych jak smoła kruków. Aż policzyła je drugi raz. Co to mogło oznaczać? Jakiś omen?

Zagłębiając się w pierwotną puszcze, miała wrażenie, że jej umysł cofa się po drabinie ewolucyjnej do bardziej prymitywnych sposobów myślenia. Drzewa niemal całkowicie odcinały dostęp dziennego światła, wśród zarośli panował wieczny zmierzch. Zapewne ten półmrok wywoływał poczucie izolacji i zagubienia.

Po niespełna półgodzinie wyjechała na rozległą polanę, skapaną w słońcu i porośniętą wysoką trawą. Na drugim jej końcu ścieżka ponownie znikła w lesie. Kate pokonała kilkanaście metrów otwartej przestrzeni, zanim spostrzegła po lewej stronie wiejski dworek o bielonych ścianach. Miniaturowe baszty wzniesione w narożnikach budowli nadawały jej wygląd niewielkiego zamku. Spadzisty dach pokrywały kawałki niebieskawego łupka. W pierwszej chwili dworek bardzo jej się spodobał, spostrzegła jednak, że otwory okienne zieją pustymi jamami, a część dachu się zapadła. Przybudówka rozsypywała się w gruzy. Cała polana zapewne była niegdyś uprawnym polem, które teraz porośło trawą i chwastami. Dom ota-

czała atmosfera śmierci i rozkładu.

Dostrzegła, że trawa jest stratowana. Ktoś jechał tędy konno, i to całkiem niedawno, bo źdźbła wciąż się prostowały.

Minęła polanę i ponownie znalazła się w leśnej gęstwinie. Znow otoczył ją półmrok. Dróżka stawała się rozmiękła, w błocie były wyraźnie widoczne ślady kopyt.

Kate zatrzymywała się od czasu do czasu i nastawiała ucha. Nie złowiła jednak żadnych podejrzanych odgłosów. Albo jeździec był dość daleko w przodzie, albo posuwał się nadzwyczaj cicho. Po jakimś czasie wydało jej się, że słyszy stłumione parsknięcie konia, nie była jednak tego pewna.

Pojechała dalej w kierunku tajemniczej budowli, która na jednej mapie rekoniesansowej opisana była *la chapelle vert*, na innej natomiast *la chapelle mort*. Szukała Zielonej Kaplicy, zwanej także Kaplicą Śmierci.

Po kilku minutach zobaczyła starca odzianego w kaftan z kapturem. Siedział na zwalonym pniu, obok niego leżała siekiera. Na jej widok zawołał wysokim, zachrypniętym głosem:

— Błagam zmiłowania, dobry panie! Błagam! Dajcie mi kęs czego do jedzenia, bom biedny, bez nijakiego jadła.

W pierwszej chwili chciała odmówić, przypomniała sobie jednak, że śniady rycerz wyposażył ich w jakieś zapasy. Sięgnęła po zawiniątko przywiązane do tylnego łęku siodła, wyjęła grubą pajdę chleba i plaster suszonej wołowiny. Nie wyglądały zbyt apetycznie, zwłaszcza że przesiąkły końskim potem. Wyciągnęła je w stronę drwala.

Błyskawicznie wstał, podbiegł do niej i sięgnął kościstą dłonią po jedzenie. Nie wziął jednak chleba. Zdziwiająco silnie chwycił Kate za rękę i szarpnął, jakby chciał ją ściągnąć z siodła. Zachichotał donośnie, przejmująco. Kaptur zsunął mu się z głowy. Był o wiele młodszy, niż Erickson początkowo sądziła. Z pobliskich zarośli po obu stronach dróżki wypadło nagle trzech innych mężczyzn. Uzmysłowała sobie, że to zbójce, zmuszeni do rabunków wieśniacy. Nie dała się ściągnąć na ziemię, ale przed czterema ludźmi nie mogła się długo bronić. Spięła konia, lecz był już zbyt zmęczony i nie zareagował. Najstarszy ze zbójców wciąż próbował ją zrzucić z siodła.

— Głupcze! Naiwny młokosie! — mamrotał pod nosem.

Kate wrzasnęła wniebogłosy. Zaskoczeni napastnicy przystanęli na moment, zaraz jednak znow zaczęli się zbliżać. Niespodziewanie z tyłu rozległ się wyraźny przybierający na sile tętent galopującego konia, a później złowieszczy okrzyk bojowy. Dwaj zbójce spojrzeli na siebie ze strachem. Tylko najstarszy się nie zląkł. Nie puszczając ręki Kate, uniósł nad głowę siekiere.

W tej samej chwili zza zakrętu wypadł zalany krwią jeździec na spienionym koniu. Na jego widok zbójce dali nura w zarośla.

Chris ściągnął wodze i zatrzymał się obok Kate. Jej śmiertelne przerażenie

ustąpiło miejsca nieopisanej uldze. Hughes uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

— Zali nic się wam nie stało, panienko? — zapytał.

— A tobie? — bąknęła osłupiała Erickson.

Był cały zakrwawiony, ubranie miał przesiąknięte krwią. Kiedy się uśmiechnął, zakrzepła skorupa wokół jego ust popękała na setki kawałków. Wyglądał tak, jakby wpadł do rzeźniczej kadzi wypełnionej świeżą posoką.

— Nic mi nie jest — odparł. — W zamieszaniu ktoś trafił konia i musiał mu przeciąć arterię, bo w jednej chwili zostałem zalany strumieniem krwi. Wiedziałaś, że krew jest gorąca?

Kate patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma, jakby nie potrafiła pojąć, że może jeszcze żartować. Chris chwycił wodze jej konia i pociągnął go głębiej w las.

— Chyba nie chcesz tu czekać, aż znów zbiorą się na odwagę. Mamusia ci nie mówiła, żebyś nigdy nie rozmawiała z nieznajomymi? Zwłaszcza takimi, których spotykasz w środku lasu?

— Miałam nadzieję, że jeśli podzielę się z nim jedzeniem, pomoże mi odnaleźć drogę...

— Naczytałaś się bajek. W prawdziwym świecie biedak spotkany na odludziu natychmiast zwoła swoich kumpli, żeby ograbić cię ze wszystkiego, a potem zabić. Właśnie dlatego nikt nie ryzykuje.

Wciąż uśmiechał się szeroko. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego i pewnego siebie. Kate po raz pierwszy przyszło do głowy, iż Chris jest atrakcyjny, a już na pewno ma wspaniałe usposobienie. Zaraz jednak otrzeźwiła się myślą, że dopiero co uratował jej życie, więc jej ocena wynika w znacznej mierze z wdzięczności.

— A swoją drogą, skąd się tu wzięłeś? — zapytała.

— Próbowałem cię dogonić. Sądziłem, że jesteś już daleko.

* * *

Dotarli do rozstaju. Główna ścieżka skręcała w prawo, gdzie teren zaczynał wyraźnie opadać ku rzece. Dróżka odchodząca w lewo wiodła po równinie, ale wyglądała na mało uczęszczaną.

— Jak sądzisz, którądy powinniśmy jechać? — spytała Kate.

— Lepiej trzymać się głównej drogi — odparł spokojnie Chris, kierując konia w prawo.

Kate pojechała za nim. Las przerzedzał się stopniowo, za to podszycie by-

ło znacznie bujniejsze. Wkrótce wjechali między wysokie paprocie, których potężne liście zwieszały się niczym słoniowe uszy. Doleciał ich też huk spadającej wody. Ścieżka prowadziła po coraz większej stromiźnie i miejscami całkiem nikała wśród paproci. Zsiedli więc z koni i przywiązali je do drzewa, zostawiając zwierzętom dość dużo swobody. Dalej poszli pieszo.

Dróżka prowadząca nad rzekę zrobiła się błotnista. Hughes stracił równowagę i zaczął zjeżdżać po śliskim stoku. Próbował się łapać gałęzi drzew, ale po chwili upadł z głośnym jękiem i poleciał w dół.

Kate przystanęła.

— Chris! — zawołała. Nie było odpowiedzi.

Stuknęła się palcem w ucho i powtórzyła:

— Chris?

Nadal nic.

Nie była pewna, co robić, iść dalej czy cofnąć się do koni. Postanowiła odszukać Chrisa. Szła bardzo ostrożnie, ale wkrótce pośliznęła się w błocie. Huknęła pośladkami o ziemię i zaczęła się zsuwać w strudze gliniastej mazi. Bezradnie odbijała się od pni drzew, z trudem łapiąc oddech.

Stromizna stawała się coraz większa. Kate położyła się na plecach i usiłowała orać piętami ziemię, aby choć trochę wyhamować. Kolczaste pędy drapały jej twarz, ale gdy próbowała zasłonić się przed nimi rękoma, rozcięła sobie skórę na dłoni. Nie była w stanie kontrolować tej szalonej jazdy w lawinie błota.

Huk wodospadu przybierał na sile. Kiedy zniosło ją do koryta wąskiego strumyka, ujrzała z przerażeniem, że dwadzieścia metrów niżej las urywa się gwałtownie.

Wiedziała, co to oznacza.

Była nad krawędzią urwiska.

Obróciła się na brzuch i z całej siły wbiła palce w błoto. Bez skutku. Nadal zjeżdżała w dół zbocza. Nie mogła wyhamować. Mogła już tylko bezradnie wypatrywać nadchodzącego końca. Strumień błota wyniósł ją z lasu i nagle znalazła się w powietrzu. Nie miała odwagi spojrzeć w dół.

* * *

Wylądowała w gąszczu gałęzi. Złapała się ich kurczowo, zakołysała w górę i dół. Była w koronie drzewka rosnącego nad samym skrajem przepaści, dokładnie nad wodospadem. Ten zaś okazał się wcale nie tak potężny, jak można by sądzić. Miał najwyżej pięć metrów wysokości.

Kate próbowała podciągnąć się w górę, lecz ubłocone palce ześlizgiwały się

po korze. Wbrew woli zjechała jeszcze niżej, zsunęła się z gałęzi i zawisała na rękach. Wierzgnęła raz i drugi nogami, chcąc się przesunąć bliżej pnia, ale przyniosło to odwrotny skutek. Ześlizgnęła się na drugą gałąź, dobry metr niżej. Zrozumiała, że nie zdoła utrzymać się na drzewie.

Rozluźniła uścisk.

Wylądowała na następnej gałęzi, jeszcze metr niżej. Zaciśnęła na niej palce, lecz wisała tylko przez chwilę. Znowu się osunęła.

Spojrzała w dół. Była dokładnie nad progiem wodospadu. Nie mogła ocenić głębokości spienionej wody.

Gdzie, do cholery, podział się Chris? — pomyślała. W tej samej chwili palce ześlizgnęły jej się z gałęzi i poleciała w dół.

* * *

Wpadła do lodowatej wody. Odruchowo wyprostowała nogi i uderzyła stopami o skaliste dno. Odbiła się od niego i wypląnęła na powierzchnię wprost pod ścianę spadającej wody. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, zanurkowała, odpłynęła parę metrów i wynurzyła się ponownie. Na skraju zagłębienia woda nie kipiała już tak zaciekle, ale była jeszcze zimniejsza.

Kate wygramoliła się na brzeg i usiadła na głazie. Spostrzegła, że woda zmyła całe błoto z jej ubrania. Poczuała się odświeżona, a przede wszystkim szczęśliwa, że wyszła cała z opresji.

Odetchnęła z ulgą i rozejrzała się dookoła.

Pod ścianą urwiska ciągnęła się wąska kotlinka, zamglona od wilgoci z pobliskiego wodospadu. Wszystko tu było mokre, trawa, drzewa i pokryte mchem skały. Kamienista ścieżka prowadziła do małej kapliczki.

Kaplica też była mokra, mazista powłoka glonów tworzyła na ścianach grube zacieki, spod okapu dachu zwieszały się jasnozielone girlandy.

Zielona Kaplica.

Przed wejściem piętrzył się stos zniszczonych elementów zbroi; pokryte rdzą napierśniki, powgniatane hełmy. Leżały tam również miecze i topory.

Kate rozejrzała się za Chrisem. Nigdzie go nie było. Widocznie nie spadł aż nad wodospad i przedzierał się jeszcze błotnistą ścieżką przez zarośla. Spojrzała w górę, na krawędź urwiska. Nie dostrzegła żadnego ruchu. Poza hukiem spadającej wody w kotlince panowała cisza, nie słyhać było nawet świergotu ptaków. Ta cisza wydała jej się złowieszcza.

A jednak Kate miała wrażenie, że nie jest tu sama. Wyraźnie wyczuwała czyjąś obecność.

Z kapliczki doleciało głośnie, gardłowe warczenie.

Zaczęła się skradać ścieżką w stronę wejścia do kaplicy. Podniosła wyszczerbiony miecz i mocno zacisnęła obie dłonie na rękojeści. Z wnętrza kapliczki dolatywał intensywny fetor. Znow rozległo się warczenie.

W drzwiach stanął rycerz w pełnej zbroi. Był potężnie zbudowany, miał co najmniej dwa metry wzrostu. Płyty jego zbroi pokrywała warstwa zielonych glonów. Na głowie nosił olbrzymi hełm zasłaniający twarz. Był uzbrojony w ciężki obusieczny topór.

Machnął nim na boki i ruszył powoli w jej kierunku.

* * *

Kate cofnęła się, nie spuszczać wzroku z topora. Miała ochotę rzucić się do ucieczki, ale rycerz poruszał się bardzo zwinnie i zapewne by ją dogonił. Nie mogła też zaatakować takiego olbrzyma. Nie odezwał się ani słowem, z wnętrza hełmu dolatywały tylko pomruki i groźne warczenie. Musi być obłąkany, pomyślała Kate.

Zrobił dwa gwałtowniejsze kroki, jakby chciał zmusić ją do działania. Wzięła szeroki zamach mieczem, lecz rycerz tylko lekko uniósł topór i z łatwością sparował cięcie. Miecz zawibrował jej w rękach tak silnie, że omal go nie wypuściła. Zamachnęła się po raz drugi, mierząc nisko w nogi. I ten cios odbił z dziecinną łatwością, po czym wykonał toporem półobrót i wyszarpnął jej z ręki miecz.

Kate rzuciła się do ucieczki, ale zrobiła tylko parę kroków. Dopadł ją z tyłu, chwycił za włosy i powlókł w kierunku kapliczki. Zaczęła wrzeszczeć jak opętana. Zauważyła pod ścianą wielki zaokrąglony pieńek noszący ślady licznych cięć. Od razu pojęła, co ją czeka.

Nie miała sił, aby się bronić. Rycerz był bardzo silny. Przygiął ją do ziemi, ułożył jej głowę na pieńku i nogą przycisnął kark. Zamachała rękami, próbując go dosięgnąć. Bez skutku.

Uniósł topór nad głowę.

06.40.27

Davidę obudził dzwonek telefonu. Ziewnął, zapalił nocną lampkę i podniósł słuchawkę.

— Halo — mruknął zasnianym głosem.

— Davidzie, tu John Gordon. Powinieneś przyjść do sekcji tranzytowej.

Stern wymacał na stoliku okulary, włożył je i spojrzął na zegarek. Było dwadzieścia po szóstej.

— Trzeba podjąć pewną decyzję — dodał Gordon. — Wpadnę po ciebie za pięć minut.

— Dobra.

Odłożył słuchawkę, wstał z łóżka i podniósł żaluzje. Oślepił go blask słońca. Poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Umieszczono go w jednym z trzech pokoi budynku laboratoryjnego, przeznaczonych dla pracowników, którzy zostawali na noc. Był urządzone jak typowy pokój hotelowy, nie wyłączając jednorazowych opakowań szamponu i mydła w płynie. Stern ogolił się i ubrał, po czym wyszedł do holu. Gordon jeszcze się nie zjawił, ale z głębi korytarza dolatywały jakieś głosy. Ruszył w tamtym kierunku, zaglądając przez oszklone drzwi do sal laboratoryjnych. O tak wczesnej porze nikt jeszcze nie pracował.

Drzwi na końcu korytarza były otwarte. Jakiś mężczyzna mierzył żółtą taśmą wysokość i szerokość framugi. W środku było czterech techników. Stali wokół dużego stołu, na którym umieszczono makietę zamku La Roque i jego najbliższego otoczenia. Mówili coś do siebie, jeden przyglądał się uważnie krawędzi makiety. Najwyraźniej dostali polecenie, aby ją stąd wynieść.

— Doniger powiedział, że to konieczne — mruknął jeden z techników. — Chce pokazać ją gościom.

— No to może mi powiesz, jak mamy ją wytaszczyć z pokoju rzucił drugi. — I jak ją tu wniesiono?

— Zbudowano na miejscu.

— Może się zmieści — rzekł mężczyzna stojący w drzwiach, zwijając taśmę mierniczą.

Stern wszedł do środka, żeby z bliska popatrzeć na makietę. Zamek i otaczającą go osadę rozpoznał od razu. Dalej jednak, za pasem zieleni, widać było duży kompleks budynków i gęstą sieć dróg dojazdowych, nieistniejących w rzeczywistości. Zresztą w średniowieczu nie było nawet pasa zieleni wokół warownego grodu.

— Co to za model? — spytał.

— La Roque — odparł technik.

— Czemu się nie zgadza ze stanem faktycznym?

— Zgadza się. Makietę została wykonana według dostarczonych planów architektonicznych.

— Jakich planów? — zdziwił się David.

Technik przygryzł wargi i spojrzał z zakłopotaniem na kolegów. Stern dopiero teraz zauważył dwie inne makiety, grodu Castelgard oraz zespołu klasztornego Sainte-Mčre. Na ścianach były porozwieszane szkice i schematy, zupełnie jak w pracowni architekta.

W tej samej chwili do sali zajrzał Gordon.

— Chodźmy — rzekł do Davida.

* * *

Szli z powrotem korytarzem. Stern obejrzał się na techników. Trzymali makietę pionowo i ostrożnie wynosili ją z pokoju.

— O co tu chodzi? — zapytał.

— To trójwymiarowy projekt zabudowy terenu — odparł Gordon. — Przygotowaliśmy plany zagospodarowania wszystkich naszych stanowisk archeologicznych. Chcemy odtworzyć średniowieczne obiekty i zbudować wokół nich bazę noclegową dla turystów i naukowców. Na razie to tylko projekty.

— Dlaczego chcecie inwestować w bazy turystyczne?

— Bo to przyniesie zyski. Planujemy wydać miliony dolarów na restauracje tych obiektów, jest więc chyba zrozumiałe, że chcielibyśmy zająć się także zagospodarowaniem okolic. Jak mówiłem, to plany dalekosiężne. Najpierw musimy uzyskać zgodę lokalnych władz. — Spojrzał na Sterna. — Nie sądziłem, że cię to zainteresuje.

— A co się stało w sekcji tranzytowej? Po co tam idziemy?

— Zaraz zobaczysz.

* * *

Z pieczary usunięto wszystkie szczątki. Technicy układali fragmenty czarnej wykładziny w miejscach, gdzie kwas powyżerał dziury. Dwie osłony wodne były już zamontowane. Przed jedną z nich klęczał mężczyzna w wielkich czarnych goglach. Badał ją dokładnie, przesuwając powoli wzdłuż szklanej tafli jakieś dziwne źródło światła w grubej osłonie. David spojrzął w górę. Trzeci blok, przeniesiony z sąsiedniego stanowiska, kołysał się jeszcze w górze na łańcuchach dźwigu.

— Całe szczęście, że mieliśmy gotowe osłony w drugiej, nie wykończonej jeszcze sekcji — powiedział Gordon. — W przeciwnym razie minąłby tydzień, zanim udałoby się tu ściągnąć identyczne szklane zbiorniki. Naprawdę mieliśmy szczęście.

Stern wciąż stał z zadartą głową. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie i ciężkie muszą być te osłony. Kołyszący się nad podłogą, wygięty łukowato zbiornik miał dobre trzy metry wysokości i pięć długości. W dodatku był gruby na pół metra. Transportowano go na palecie wyłożonej jakimś elastycznym piankowym tworzywem. Z podłoża na obwodzie sekcji wystawały masywne uchwyty wózka, na którym osłona się przesuwiała.

— Nie mamy jednak żadnych elementów zapasowych — dodał Gordon. —

Tylko ten jeden gotowy zestaw.

Podszedł do najbliższej osłony.

— W dużym uproszczeniu to zwykła olbrzymia piersiówka — rzekł. — Trzeba ją tylko napełnić wodą. Oczywiście wtedy już nie da się jej ruszyć z miejsca, będzie ważyła około pięciu ton. Szkło na zewnętrznym łuku krzywizny jest grubsze, bo musi mieć zwiększoną wytrzymałość. I właśnie stan ścianek budzi moje wątpliwości.

— Dlaczego? — zdziwił się Stern.

— Podejdź bliżej. — Gordon wskazał palcem zewnętrzną ścianę osłony. — Widzisz te maleńkie, szarawe punkty? Trudno je dostrzec gołym okiem. To wżery, których wcześniej nie było. Widocznie wskutek eksplozji kropelki kwasu fluorowodorowego doleciały aż na tamto stanowisko.

— I te wżery osłabiają wytrzymałość tafli?

— Tak. Nie wyglądają zbyt groźnie, lecz jeśli napełnimy osłonę wodą, zbiornik może pęknąć pod ciśnieniem. Niewykluczone, że cała osłona rozsypie się na kawałki.

— I co wtedy?

— Nie będziemy mieli pełnego ekranowania sekcji — odparł Gordon. — A w takiej sytuacji nie zapewnimy twoim przyjaciołom bezpiecznego powrotu. Ryzyko wystąpienia błędów transkrypcyjnych bardzo się zwiększy.

David zmarszczył brwi.

— Możecie jakoś zbadać te tafle i sprawdzić, czy wytrzymają ciśnienie wody? — spytał.

— Nie. Testy wytrzymałościowe wiążą się z ryzykiem rozbicia osłon, a nie mamy zapasowych. Dlatego zarządziłem tylko mikroskopowe badania polaryzacyjne. — Ruchem głowy wskazał kłęczącego przed osłoną technika w wielkich goglach. — Pozwolą umiejscowić linie największych naprężeń, a więc potencjalnych pęknięć. Efekt polaryzacyjny jest przekazywany z cyfrowej kamery bezpośrednio do komputera, gdzie gromadzone są wyniki badań.

— Zamierzacie wykonać komputerową symulację wytrzymałości osłon?

— Dość pobieżną. Zapewne niewiele wyjaśni, ale warto spróbować.

— I jaką decyzję muszę podjąć?

— Kiedy napełnić osłony wodą.

— Nie rozumiem.

— Jeżeli napełnimy je już teraz, a szkło wytrzyma ciśnienie, wszystko będzie w porządku. Lecz pęknięcia tafli mogą się pojawić dopiero po jakimś czasie. Właśnie dlatego najlepiej byłoby napełnić osłony w ostatniej chwili.

— Ile potrwa napełnianie?

— Niedługo, mamy tu dość wydajny system przeciwpożarowy. Poza tym sprzęt w sekcji kontrolnej jest wyłączony od dziesięciu godzin. Tam również prze-

dostały się opary kwasu i nie wiemy, czy nie uszkodziły urządzeń elektronicznych. Będziemy jeszcze musieli sprawdzić, czy wszystko działa prawidłowo.

— Rozumiem — mruknął Stern. — Osłony różnią się kształtem, więc nie można ich zamienić.

— Zgadza się.

Stern pomyślał, że to klasyczny problem nauk eksperymentalnych. Trzeba oszacować ryzyko i maksymalnie je ograniczyć. Niewiele osób zdawało sobie sprawę, że naukowcy wciąż zmagają się z takimi trudnościami. Kwaśne deszcze, efekt cieplarniany, zanieczyszczenie środowiska czy plaga chorób nowotworowych — we wszystkich tych zagadnieniach bardzo istotna była właściwa interpretacja faktów. Do jakiego stopnia można zaufać wynikom badań? Na ile odpowiedzialni byli ludzie, którzy je prowadzili? Jaką wartość mają symulacje komputerowe? Czy można na nich polegać? Wciąż szukano odpowiedzi na podobne pytania. Tylko media miały skłonność do lekceważenia tego rodzaju problemów i upraszczania skomplikowanych zagadnień. Tymczasem nawet najbardziej ugruntowane pojęcia, jak choćby kwestia chorobotwórczych bakterii i wirusów, wcale nie zostały do końca wyjaśnione, jak powszechnie sądzono.

Stern musiał niemal w ciemno podjąć decyzję, która mogła zaważyć na losie jego przyjaciół. Nie był pewien, czy osłony wytrzymają, czy aparatura kontrolna w porę ostrzeże przed zagrożeniami, czy lepiej napełnić osłony już teraz, czy też później.

Gordon patrzył na niego wyczekująco.

— Wszystkie osłony zostały wystawione na działanie kwasu? — spytał David.

— Nie. Na czterech nie ma wżerów.

— W takim razie napełnijcie je już teraz. Z pozostałymi zaczekajmy na wyniki badań polaryzacyjnych.

Gordon przytaknął ruchem głowy.

— Jestem tego samego zdania — rzekł.

— A jak pan sądzi? Wytrzymają ciśnienie wody?

— Mam nadzieję, że tak. Za kilka godzin będziemy wiedzieć więcej.

06.40.22

— Tędy, szlachetny panie — powiedział Malegant, skłoniwszy się nisko. Marek nie potrafił ukryć zdumienia. Kiedy gnał galopem ku bramie zamku La Roque, był przekonany, że sir Guy przy pierwszej okazji rzuci się na niego z mieczem. Tymczasem potraktowano go niemal jak gościa honorowego. Zaprowadzono przez ciąg bram na wewnętrzny dziedziniec, gdzie przed wejściem do wielkiego holu — jasno oświetlonego pochodniami, mimo że słońce stało jeszcze wysoko na niebie — czekał Malegant.

Poszli wzdłuż zamkowego muru w stronę stojącego na uboczu kamiennego budynku. Jego okna miały nie tylko drewniane okiennice, ale ramy, na których porozpinano przezroczyste świńskie pęcherze. Na zewnętrznych parapetach stały kandelabry.

Marek domyślał się, dlaczego świece umieszczono na zewnątrz. Gdy weszli do przestronnej sali, był już pewien. Jedną ścianę zajmowały drewniane półki, na których leżały wypchane płócienne woreczki wielkości pięści. Pod drugą piętrzył się stos żelaznych kul. W powietrzu unosiła się charakterystyczna cierpka woń.

To był arsenał.

— Magistrze, sprowadziłem jednego z twoich uczniów do pomocy — powiedział Malegant.

— Dziękuję — odparł profesor.

Johnston siedział po turecku na środku sali. Obok niego stały dwie misy z czarnym prochem. Trzecią trzymał na kolanach i kamiennym tłuczkiem od moździerza ucierał jakąś szarą mieszaninę. Ani na chwilę nie przerwał pracy, w ogóle nie okazał zdumienia na widok Marka.

— Cześć, Andre — rzucił krótko.

— Witaj, profesorze.

— Nic ci się nie stało?

— Nie, wszystko w porządku. Mam tylko niewielką ranę na nodze.

W rzeczywistości odczuwał dość silny ból, ale starannie obmył ranę w rzece i obejrzał ją dokładnie. Była czysta, za kilka dni powinna się zabielić. Profesor nadal pieczołowicie ucierał proszek w misie. — To dobrze, Andre — powiedział spokojnie. — A gdzie się podziała reszta?

— Nie znam losu Chrisa — rzekł Marek z ociąganiem — ale Kate chyba nic się nie stało i powinna wkrótce się odnaleźć. . .

— Znakomicie — przerwał mu Johnston, zerkając podejrzliwie na Guya Maleganta. Ruchem głowy wskazał misę i dodał: — Chyba się domyślasz, co robię?

— Uciera pan proch. Wyjdzie coś z tego?

— Składniki nie są takie złe. Węgiel z drewna wierzbowego wydaje się idealny, siarka jest dość drobna, a funkcję saletry spełnia znana ci substancja.

— Guano?

— Oczywiście.

Marek wiedział, że w czternastym wieku proch strzelniczy był już powszechnie stosowany w całej Europie. Należał jednak do tych szczególnych odkryć, których nie dało się powiązać z konkretną epoką, miejscem i osobą wynalazcy. Pierwotna receptura, dotycząca mieszaniny jednej części węgla drzewnego, jednej części siarczanego pyłu i sześciu części saletry, na pewno wywodziła się z Chin. Spierano się natomiast co do dróg, którymi przywędrowała do Europy. Dyskutowano także, czy w początkowym okresie proch był wykorzystywany jako materiał wybuchowy czy tylko jako środek zapalający.

Średniowieczny proch nie miał zbyt dużej mocy, nie znano dokładnie mechanizmu jego spalania, nie rozwinęła się jeszcze trudna sztuka produkcji. Siła wybuchowa prochu jest efektem gwałtownego spalania siarki i węgla pod wpływem rozkładu bogatych w tlen azotanów. Współcześnie stosuje się czyste sole zwane saletrami, ale w średniowieczu najpospolitszym źródłem azotanów były wydobywane z jaskiń odchody nietoperzy. Nikt jeszcze nie wpadł na pomysł odzyskiwania z nich saletry, do wyrobu prochu stosowano suszone i sproszkowane guano.

Największym osiągnięciem czternastowiecznej pirotechniki było odkrycie zależności między siłą wybuchową prochu a stopniem rozdrobnienia jego składników. Właściwe ucieranie i dokładne ich mieszanie dawało w rezultacie proch o konsystencji talku. Kryształki siarki i saletry musiały wnikać w mikroskopijne pory węgla drzewnego. Dlatego do produkcji prochu stosowano najbardziej porowate gatunki węgla, między innymi węgiel z drewna wierzbowego.

— Nie ma sita? — zdziwił się Marek. — To będzie proch granulowany?

— Zapominasz, że granulacja nie została jeszcze odkryta. Rzeczywiście dopiero później zaczęto zarabiać prochową mieszanekę wodą, a z powstałej pasty formować granulki, które dokładnie suszono. Proch granulowany miał nie tylko większą siłę wybuchową, ale był też trwalszy i łatwiejszy do transportu.

— Może pana zastąpię? — spytał Marek.

Ucieranie prochu było żmudne i pracochłonne, trwało sześć do ośmiu godzin.

— Nie, już kończę. — Profesor odstawił misę, wstał i zwrócił się do sir Guya: — Powiedz lordowi Oliverowi, że jestem gotów do demonstracji.

— Greckiego ognia?

— Niezupełnie.

* * *

Lord Oliver niecierpliwie krążył między bombardami rozstawionymi na blankach zewnętrznego muru. Towarzyszyli mu sir Guy i jak zwykle zasępiony Robert de Kere. Wszyscy spojrzeli wyczekująco na zbliżającego się profesora.

— I cóż? Zali w końcu gotowyś, magistrze? — spytał Oliver.

— Jestem gotów, mój panie — odparł Johnston.

Taszczył dwie duże gliniane misy. W trzeciej, którą niósł za nim Andre, drobny proch był zarobiony gęstą cieczą o silnym zapachu żywicy. Profesor przykazał mu, aby pod żadnym pozorem nie dotykał tej mieszaniny. Markowi nie trzeba było powtarzać takich ostrzeżeń. Marszczył tylko nos od słodkawej, mdlącej woń. W drugim ręku trzymał misę z piaskiem. To grecki ogień? Na pewno grecki

ogień?

— Nie, mój panie. Coś lepszego. Ogień Athenaios z Naukratis, zwany także ogniem automatycznym.

— Zaprawdę? — Oliver uniósł brwi. — Pokaż mi go.

Bombardy były wymierzone w równinę, na której ustawiano katapulty. Znajdowały się już poza zasięgiem strzałów z łuku, w odległości dwustu metrów. Johnston postawił misy na murze między dwoma działami. Pierwsze załadował wziętym z arsenału woreczkiem prochu i masywną żelazną strzałą zakończoną łopatkami stateczników.

— Oto wasz proch i wasz pocisk, panie — powiedział.

Przeszedł do drugiej bombardy. Ostrożnie napełnił płócienny woreczek przygotowaną mieszanką i wsunął go do lufy.

— Andre, bądź tak dobry i podaj mi piasek.

Marek postawił misę z piaskiem u stóp profesora.

— Po co piasek? — zaniepokoił się Oliver.

— To środek bezpieczeństwa, mój panie, na wypadek pomyłki. Sięgnął po kolejną żelazną strzałę. Trzymał ją bardzo ostrożnie, za sam koniec. Czubek strzały był wyżłobiony, a rowki wypełniała jakaś mazista brunatna substancja o ostrym zapachu.

— To zaś mój proch i mój pocisk.

Bombardier podał mu grube, rozżarzone na końcu polano. Johnston przytknął je do otworu pierwszego działa.

Rozległ się niezbyt głośny huk. Z lufy buchnął kłęb czarnego dymu, strzała wyleciała w powietrze i spadła na ziemię dobre sto metrów od najbliższej katapulty.

— A teraz mój proch — powtórzył profesor, przytykając polano do otworu drugiej bombardy.

Huk był wyraźnie głośniejszy, a kłęb dymu większy. Strzała poszybowała znacznie dalej, spadła na trawę jakieś trzy metry od podstawy katapulty. Oliver prychnął z pogardą.

— Tylko tyle? Wybacz mi, że...

Urwał nagle, gdyż pocisk stanął w ogniu, długie jęzory płomieni strzeliły na wszystkie strony. Chwilę później ogień przeniósł się na katapultę.

Wśród ludzi Arnauta powstało zamieszanie, pachołkowie pobiegli po bukłaki z wodą.

— Widzę, że... — zaczął po raz drugi Oliver i znowu urwał.

Woda ani trochę nie tłumiała ognia. Wręcz przeciwnie, po każdej wylanej porcji płomienie strzelały jeszcze wyżej. Zaskoczeni żołnierze odsunęli się od katapulty i patrzyli bezradnie, jak się pali. Po kilku minutach pozostała z niej tylko sterta dymiących, osmalonych belek.

— Na Boga i świętego Jerzego, Edwardusie — mruknął z podziwem Oliver.

Johnston uśmiechnął się szeroko i skłonił głowę.

— Uzyskałeś dwa razy większą odległość i zbudowałeś strzałę, która sama skrzesała ogień. Jak?

— Mój proch jest lepiej roztarty, toteż wybucha gwałtowniej. A strzałę napełniłem oliwą, siarką i wapnem palonym. Dałem też lont, by w zetknięciu z wodą, choćby z rosą na trawie, wapno podpaliło oliwę z siarką. Po to była misa z piaskiem, jako że ślad tej mieszaniny mógł buchnąć płomieniem od wilgoci na moich palcach. To bardzo delikatna broń, mój panie, i trzeba się z nią obchodzić ostrożnie.

Odwrócił się do misy przyniesionej przez Marka, sięgnął po naszykowany kij i rzekł:

— Zechciejcie, panie, spoglądać z uwagą. — Ostrożnie zanurzył koniec kija w pachnącej żywicy mazi i uniósł go w powietrze. — Jak widzicie, nic się nie dzieje. Można tak czekać wiele godzin, a nawet dni. Jeśli jednak...

Z wprawą iluzjonisty szybkim ruchem chlusnął na koniec kija wodą. Zaskwierczało, pojawił się najpierw dym, wreszcie buchnął jaskrawy pomarańczowoczerwony płomień.

— Ach — jęknął Oliver z zachwytem. — Dużo mi tego potrzeba. Ilu ludzi chcecie do pomocy w ucieraniu tej mieszanki?

— Wystarczyłoby dwudziestu, mój panie, ale i dla pięćdziesięciu znajdę pracę.

— Dostaniesz pięćdziesięciu, a nawet więcej, jak będzie trzeba — oznajmił Oliver, zacierając ręce. — Ile zajmie przygotowanie mieszanki?

— Niezbyt długo, mój panie, jednak nie można się z tym spieszyć, bo to niebezpieczna praca — odparł Johnston. — A gotowej mieszanki nie można trzymać w zamku. Mniemam, iż Arnaut jeszcze dzisiaj zacznie obłęzenie pociskami zapalającymi.

Oliver parsknął.

— Nic nam od nich nie grozi, magistrze. Bierz się do pracy, a zrobię dobry użytek z twoich strzał jeszcze tej nocy.

* * *

W arsenale Johnston porozsadzał przysłanych ludzi w pięciu rzędach po dziesięciu. Każdy z nich miał już misę i tłuczek od mózdzierza. Kiedy rozpoczęło się ucieranie składników, profesor chodził między rzędami, tu i ówdzie przystawał i udzielał instrukcji. Żołnierze początkowo marudzili, że zapędzono ich do babskiej, kuchennej roboty, ale Johnston powtarzał z zapałem, iż chodzi tu, jak się wyraził, „o warzenie bitewnego ziela”.

Dopiero po jakimś czasie profesor wycofał się w kąt sali i przysiadł obok Marka. Andre spytał cicho:

— Czy panu również Doniger wygłosił mowę o niemożności zmiany biegu historii?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Wygląda na to, że pomożemy Oliverowi utrzymać zamek. Ludzie Arnauta będą musieli odsunąć katapulty od murów, bo inaczej je tracą. A maszyny oblężnicze umieszczone zbyt daleko są bezużyteczne. Nie zostanie więc osiągnięty podstawowy cel, czyli szybkie zwycięstwo nad przeciwnikiem. Jeśli zaś szybkie zdobycie zamku będzie niemożliwe, Arnaut może się wycofać.

— To prawda.

— A przecież w rzeczywistości Francuzi zajęli La Roque.

— Owszem, ale nie wskutek oblężenia, tylko dzięki zdrajcy, który wprowadził ich za mury.

— Dużo o tym myślałem — mruknął Andre. — Według mnie to nie ma sensu. Zdrajca musiałby otworzyć zbyt wiele bram, żeby wpuścić ludzi do zamku. Nie wierzę, aby jeden człowiek mógł tego dokonać.

Johnston uśmiechnął się.

— Uważasz więc, że pomagając Oliverowi w utrzymaniu fortecy, możemy wpłynąć na bieg historii?

— Tak, mam takie obawy.

Zdaniem Marka rezultat tego starcia musiał wywrzeć znaczny wpływ na losy przyszłych pokoleń. Cały przebieg wojny stuletniej można było rozpatrywać jak ciąg doniosłych bitew i oblężeń. Za kilka lat armia brigandes miała zdobyć twierdzę Moins u ujścia Sekwany. Wydarzenie to, samo w sobie niezbyt doniosłe, dawało jednak Francuzom kontrolę nad transportem rzeczny, co w efekcie umożliwiło zdobywanie kolejnych twierdz leżących w górę Sekwany aż do samego Paryża. Była też inna istotna kwestia. W średniowieczu mieszkańców zdobytego grodu zwycięzcy wycinali w pień. A w La Roque schroniło się przed wojskami Arnauta kilkuset ludzi. Jeśli twierdza padnie, zginą. Jeżeli nie, przeżyją. A ich potomkowie wpłyną na bieg przyszłych wydarzeń.

— Pewnie nigdy się tego nie dowiemy — mruknął Johnston. — Ile czasu nam zostało?

Andre spojrzął na licznik, który wskazywał 05.50.29. Przygryzł wargi. Całkiem zapomniał o upływie czasu. Kiedy sprawdzał ostatnio, mieli jeszcze prawie dziewięć godzin. Uznał, że to dużo. Teraz ta rezerwa zmalała o połowę.

— Niespełna sześć godzin — odparł.

— Kate wzięła marker?

— Tak.

— Gdzie ona jest?

— Pojechała szukać wejścia do ukrytego korytarza.

Pomyślał, że gdyby je odnalazła, bez trudu mogłaby się przedostać do zamku w ciągu dwóch, najwyżej trzech godzin.

— Gdzie zamierzała szukać tego wejścia?

— W Zielonej Kaplicy.

Johnston westchnął.

— Właśnie tam prowadził klucz z celi Marcela?

— Tak.

— I pojechała sama?

— Tak.

Profesor pokręcił głową.

— Nikt tam nie chodzi.

— Dlaczego?

— Powiadają, że Zielonej Kaplicy strzeże szalony rycerz. Podobno zmarła tam jego ukochana i z rozpaczy pomieszało mu się w głowie. Uwięził siostrę żony w pobliskim zamku i teraz krąży między zamkiem a kaplicą, zabijając każdego, kogo napotka na swej drodze.

— Myśli pan, że to prawda?

Johnston wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć, skoro dotąd nikt nie wrócił żywy z Zielonej Kaplicy.

05.19.55

Kate zacisnęła powieki w oczekiwaniu na cios. Stojący nad nią rycerz mruczał i prychał z zadowoleniem, jakby pragnął nacieszyć się tą chwilą.

Nagle umilkł.

Kate poczuła, że przyciskająca ją stopa obróciła się nieco.

Ostrze topora spoczęło na pieńku kilka centymetrów od jej twarzy. Szalenięc warknął głucho.

Otworzyła oczy. Topór całkowicie przesłaniał jej widok, usłyszała jednak czyjeś kroki.

Ktoś był przy kaplicy.

Ostrze znów powędrowało w górę, stopa rycerza uniosła się z jej karku. Kate błyskawicznie odskoczyła i spojrzała w bok. Kilka metrów dalej stał Hughes. Trzymał w dłoni miecz, który szalenięc wytrącił jej z rąk.

— Chris! — zawołała.

Uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby. Widać było, że jest przerażony. Nie spuszczał oczu z zielonego rycerza. Ten warknął głośniejsze i zamachnął się toporem. Chris błyskawicznie uniósł miecz i sparował cios. Posypały się iskry. Szalenięc zaczął krążyć wokół niego. Zamachnął się po raz drugi. Hughes zrobił unik i odskoczył do tyłu. Potknął się, ale zdołał umknąć przed ostrzem topora, które

wbiło się w ziemię. Kate pospiesznie sięgnęła pod ubranie i wyciągnęła pojemnik z gazem. Ten przedmiot z innej epoki wydał jej się dziwnie mały i lekki.

— Chris! — krzyknęła, pokazując pojemnik.

Skinął głową, ale natychmiast musiał znów odskoczyć przed kolejnym ciosem. Kate widziała, że szybko traci siły i wciąż musi się cofać przed nacierającym z coraz większą furją szaleńcem.

Nie miała wyboru. Skoczyła rycerzowi na plecy. Warknął głośniejsze. Objęła go kurczowo za szyję, skierowała pojemnik na szczelinę wizury w hełmie i rozpyliła sporą dawkę. Zakrztusił się i zachwiał. Zaaplikowała mu drugą porcję. Kiedy poczuła, że kolana pod nim miękną, zeskoczyła na ziemię i krzyknęła do Chrisa:

— Wykończ go!

Hughes klęczał na jednym kolanie i spazmatycznie łapał powietrze. Zielony rycerz wciąż trzymał się na nogach, ale coraz mniej pewnie. Chris zbliżył się ostrożnie, wymierzył i z całej siły pchnął go w bok, między płyty kirysu. Szaleniec zawył dziko i upadł na wznak.

Hughes skoczył na niego. Poprzecinał czubkiem miecza rzemienie i kopniakiem zrzucił mu z głowy hełm. Ukazała się gęstwina zmierzwionych włosów, posklejana w strąki gęsta broda i chorobliwie błyszczące oczy. Uniósł miecz i opuścił go z impetem. Chciał odrąbać przeciwnikowi głowę.

* * *

Nie udało się.

Głownia zaklinowała się między kręgami szyi. Trysnęła krew, ale rycerz wciąż żył. Patrzył na Chrisa z wściekłością i bezgłośnie poruszał wargami.

Hughes szarpnął raz i drugi, chcąc wyciągnąć miecz, ale zabrakło mu sił. Szaleniec błyskawicznie uniósł lewą rękę i złapał go za ramię. Był niewiarygodnie silny. Oczy miał przekrwione, zęby połamane i zepsute. Między gnijącymi resztkami jedzenia w skołtunionej brodzie kręciły się wszy. Cuchnął padliną.

Chrisowi żołądek podszedł do gardła. Przekręcił się na bok, postawił stopę na twarzy szaleńca, odepchnął się i wyrwał z uścisku. Jednocześnie uwolnił zaklinowany czubek miecza. Uniósł głownię do następnego ciosu.

Nie musiał go zadawać. Rycerzowi oczy wywróciły się białkami do góry, szczeka bezwładnie opadła. Nie żył. Wokół jego głowy natychmiast zabrzęczały muchy.

Chris cofnął się i usiadł w mokrej trawie, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Wciąż odczuwał nudności, rosnące obrzydzenie sprawiło, że ręce zaczęły mu dygotać. Mimo woli zadzwonił zębami.

Kate położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała cicho:

— Mój bohaterze.

Prawie jej nie słyszał. Zagryzł wargi. Po paru sekundach przestał się trząść i wstał z ziemi.

— Nawet się nie domyślasz, jaką radość sprawił mi twój widok — szepnęła Kate.

Skinął głową i uśmiechnął się blado.

— Wybrałem łatwiejszą drogę w dół.

Opowiedział pokrótce, jak zdołał opanować niekontrolowany ślizg po błocie, a potem przez długie minuty wspinał się mozolnie, dopóki nie trafił na inną ścieżkę. Doprowadziła go aż pod sam wodospad. Tam ujrzał Kate i szalonego rycerza.

— Resztę znasz — zakończył. Spojrzał w niebo, zaczynało powoli zmierchać. — Ile mamy jeszcze czasu?

— Nie wiem. Cztery, może pięć godzin.

— Więc lepiej się pospieszmy.

* * *

Sklepienie Zielonej Kaplicy było w paru miejscach zapadnięte, na posadzce między kałużami walał się gruz. Drewniane ramy w strzelistych gotyckich oknach popękały i wykruszyły się, skromny ołtarzyk wyglądał żałośnie. Mimo to dało się zauważyć, że kiedyś była to piękna budowla. Portal i łuki pod sklepieniem pokrywały misterne ornamenty. Teraz jednak ginęły pod grubą warstwą oślizgłych zielonych glonów.

Chris ruszył po spiralnych schodach do podziemnej krypty. Kate szła za nim. Wewnątrz panowały ciemności, tylko odrobina światła przedostawała się przez szczeliny w posadzce kaplicy. Pośrodku stał wielki sarkofag z czarnego kamienia, wzdłuż ścian ciągnęły się pogruchothane resztki kilku innych. Na pokrywie sarkofagu widniała płaskorzeźba przedstawiająca rycerza w zbroi. Kate spojrzała na jego twarz, ale erozja płyty rozmyła rysy nie do poznania, w dodatku i ją pokrywały wszechobecne glony.

— Co mówił ten klucz? — zapytał Chris. — Jeśli dobrze pamiętam, było tam coś o stopie giganta.

— Zgadza się, musimy odliczać kroki od stopy giganta, a raczej od gigantycznej stopy.

— Stopy giganta — powtórzył. Wskazał płaskorzeźbę na wieku sarkofagu. Nogi rycerza kończyły się ściętymi, zaokrąglonymi kikutami. — Myślisz, że chodzi o te stopy?

Kate zmarszczyła brwi.

— Wcale nie są gigantyczne.

— To prawda.

— Spróbujmy.

Stała u podstawy sarkofagu, obróciła się w prawo i odmierzyła pięć kroków. Potem skręciła w lewo i zrobiła cztery kroki. Wreszcie ponownie odwróciła się w prawo, ale już po trzech krokach dotarła do ściany krypty.

— Chyba nie tak — mruknął Chris.

Zaczęli się uważnie rozglądać po całym pomieszczeniu. Kate zauważyła, że w uchwycie na murze tkwi kilka pochodni. Były w samym kącie, w dodatku odchylone od ściany, nie zamokły więc dokumentnie. Zapaliły się, skwiercząc głośno, ale dawały niewiele światła.

— Drzwi do podziemnego korytarza muszą tu być — powiedziała z naciśkiem. — Jestem pewna.

Zaczęli szukać. Ścierali glony ze ścian i posadzki, przyglądali się ledwie widocznym ornamentom. Szukali czegokolwiek, co można by skojarzyć z gigantyczną stopą.

— Czy w tej zaszyfrowanej instrukcji była mowa tylko o stopie znajdującej się wewnątrz kaplicy, czy też przy niej, na zewnątrz? — spytał w końcu Chris.

— Nie wiem. Andre mi ją przeczytał, tłumaczył tekst łaciński.

— Może powinniśmy się rozejrzeć po okolicy? Nie bez powodu ktoś tu zostawił pochodnie.

— Masz rację.

Wrócili do poszukiwań.

— Nie sądzę, aby klucz brata Marcela dotyczył sarkofagu — powiedziała Kate. — Przecież można go przenieść w inne miejsce. Na pewno chodziło o jakiś stały element, chociażby na ścianie krypty.

— Albo na posadzce.

— Właśnie, na posadzce.

Stała w najdalszym końcu krypty, obok płytkiej niszy w murze. Początkowo sądziła, że znajdował się tu kiedyś mały ołtarzyk. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że nisza jest za płytka, a w dodatku na ścianie są zacieki z wosku. Zapewne ustawiano tu kaganki. Tynk wewnątrz zagłębienia pokrywał ornament, przedstawiający symetrycznie rozłożone ptasie skrzydła.

Uderzyła ją jego idealna symetria.

Podniecona, przeszła szybko do następnej niszy. Tu wzór przedstawiał symetrycznie ułożone liście winorośli. W kolejnej zostały wyryte dłonie złożone do modlitwy. Kate obiegnęła całą kryptę, zaglądając we wszystkie nisze.

W żadnej nie było ornamentu ukazującego zarys stóp.

Tymczasem Chris szurał nogą po posadzce, odsłaniając płyty spod warstwy śliskiego nalotu.

— Gdzie jesteś, wielka stopo? — mamrotał pod nosem.

Spojrzała na niego i mruknęła:

— Ale ze mnie idiotka.

— Dlaczego?

Bez słowa wskazała drzwi prowadzące do schodów. Ich obramowanie także pokrywał ornament, teraz ledwie widoczny.

Nawet w słabym blasku pochodni można było jednak dostrzec jego pierwotny wygląd.

Po obu stronach drzwi znajdowało się po pięć zagłębień. Najmniejsze i najpłytsze było tuż nad podłogą, największe, o wyraźnie spłaszczonym dnie, ponad głowami wchodzących. Ich rozmieszczenie i kształt nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Zagłębienia przypominały odciski pięciu palców stóp.

— O cholera — mruknął Chris. — To te przeklęte drzwi. Kate pokiwała głową.

— Gigantyczna stopa.

— Co ma symbolizować?

— Nad otworami drzwi i okien umieszczano czasem demoniczne symbole. Prawdopodobnie miały odstraszać złe moce i upiory.

Podeszli do drzwi. Kate ponownie odmierzyła pięć kroków w prawo, cztery w głąb krypty i znowu dziewięć w prawo. Zatrzymała się przed zardzewiałym żelaznym kółkiem zamocowanym w uchwycie w murze. Pociągnęła za nie, ale rozsypało jej się w dłoni.

— Chyba znowu się pomyliłam.

— Spróbuj jeszcze raz.

Cofnęła się do drzwi i ruszyła wolniej, mniejszymi krokami. W prawo, potem w lewo i znów w prawo. Stała przed ścianą jakiś metr bliżej. Nic tam jednak nie było, tylko gładki kamienny mur. Westchnęła głośno.

— Nie rozumiem, Chris. Na pewno robimy coś źle, tylko nie wiem co.

W desperacji zaczęła naciskać ręką poszczególne kamienie.

— Może nadal stawiasz zbyt duże kroki? — podsunął Hughes.

— Albo za małe.

Podszedł bliżej i spojrzał jej w oczy.

— Daj spokój. To na nic.

— Tak sądzisz?

— Owszem.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia, kiedy nagle za jego plecami coś głośno zgrzytnęło. Płyta posadzki, na której przed chwilą stanął, odsunęła się w bok, ukazując kamienne schody wiodące pod ziemię. Z głębi doleciał stłumiony plusk podziemnej rzeki. Mroczny korytarz otwierał się przed nimi złowieszczą jamą.

— No, wreszcie — mruknął Chris.

03.10.12

Gordon i Stern siedzieli w sali kontrolnej nad sekcją tranzytową. Patrzyli na ekran monitora. Pięć prostokątów przedstawiało zamontowane właśnie osłony, których badania polaryzacyjne dobiegły końca. Wewnątrz nich pojawiły się drobne białe punkciki.

— To rozmieszczenie wżerów w szkle — wyjaśnił Gordon. Obok każdej plamki komputer wyświetlił trzy liczby, zbyt małe jednak, żeby można je odczytać. — Pokazał rozmiary i głębokość poszczególnych wżerów.

Stern milczał. Rozpoczęła się symulacja. Niebieska pozioma linia sunąca powoli ku górze w prostokątach wskazywała poziom napełnienia zbiorników. Nad nią wyświetlały się dwie liczby, określające ciężar wlanej wody i ciśnienie panujące u podstawy osłon.

Wewnątrz jednego prostokąta pojawiła się nagle czerwona migająca plamka.

Pierwszy zbiornik przecieka — mruknął Gordon.

Chwilę później zaczął przeciekać drugi. Na ekranie pojawiła się zygzakowata poszarpana linia i cały prostokąt zniknął.

— Ten się roztrzaskał.

Stern smutno pokiwał głową.

— Na ile dokładna jest ta symulacja?

— Bardzo pobieżna.

Kolejny zbiornik popękał i zniknął. Dwa ostatnie dały się napełnić do końca. Wszystko jasne — rzekł Gordon. — Do trzech z pięciu osłon nie ma sensu lać wody.

— O ile dane są wiarygodne. Czy można polegać na tej prognozie?

— Nie bardzo. Nie mieliśmy kompletu danych wejściowych, a przyjęte do obliczeń parametry naprężeń w szkle są hipotetyczne. Mimo wszystko sądzę, że będzie lepiej napełnić zbiorniki w ostatniej chwili.

Gdyby tak można było je wzmocnić — mruknął Stern.

Gordon obejrzał się na niego.

— No właśnie. Masz jakiś pomysł?

— Sam nie wiem. Myślałem o pokryciu ścianek jakimś kitem czy szybko schnącym klejem.

Gordon pokręcił głową.

— Trzeba by to zrobić z niezwykłą precyzją, aby warstwa tworzywa rozłożyła się na taflach szkła równomiernie.

— Nie mam pojęcia, jak można by tego dokonać.

— Na pewno jest to niemożliwe w ciągu trzech godzin, a tylko tyle czasu nam zostało.

Stern odchylił się na oparcie krzesła i zmarszczył brwi. Z niewiadomego powodu przyszyły mu na myśl samochody wyścigowe. Z pamięci wypłynął ciąg ode-

rwanych obrazów: ferrari, Steve McQueen, Formuła 1, pękaty ludzik o bieżnikowanym korpusie z symbolu Michelin, żółty znak Shella, gigantyczne opony ciężarówek syczące od deszczu, B.F. Goodrich.

Nie interesował się specjalnie samochodami. W New Haven jeździł starym volkswagenem garbusem. Najwyraźniej jego umysł starał się uciec od przykrej rzeczywistości, z którą nawet nie próbował się zmierzyć.

— Zatem napełnimy zbiorniki wodą w ostatniej chwili i będziemy się modlić, żeby wytrzymały? — zapytał.

— Tak. Może to niezbyt bezpieczne, ale moim zdaniem powinno się udać.

— A jest inne wyjście?

— Możemy zablokować im powrót, nie pozwolić na zakończenie wyprawy. A potem zamówić nowe zbiorniki i zamontować je na miejscu.

— Ile by to potrwało?

— Dwa tygodnie.

— Odpada — uciął Stern. Musimy zaryzykować.

— Też tak myślę — przyznał Gordon.

02.55.14

Marek i Johnston weszli po spiralnych schodach. U ich szczytu czekał de Kere z chytrym uśmieszkiem na twarzy. Ponownie znaleźli się na blankach potężnych murów obronnych La Roque. Lord Oliver dreptał nerwowo w tę i z powrotem. Był wściekły.

— Poznajecie tę woń?! — ryknął, wskazując pole, na którym obozowały wojska Arnauta.

W pierwszym szeregu stało kilkanaście katapult. Odsunięto je dalej od murów, żeby obrońcy nie mogli ich podpalić. Za linią ogromnych machin przy ogniskach szykowały się do szturm oddziały uderzeniowe. Jeszcze dalej, w głębokim cieniu pod lasem, obozowała reszta wojska.

Wszystko wyglądało zwyczajnie, jak przed każdym oblężeniem. Marek nie rozumiał, co tak rozgniewało kasztelana.

Czuł tylko specyficzną ostrą woń dolatującą od strony wielkich ognisk. Kojarzyła mu się z kryciem dachów papą.

— Poznaję, panie — odparł Johnston. — Topią smołę.

Zdziwienie malujące się na twarzy profesora świadczyło, że on również nie pojmuje przyczyny niepokoju Olivera. Przecież pociski zapalające ze smoły stosowano podczas każdego oblężenia.

— Pewnie, że to smoła — warknął Oliver. — Jednak nie tylko. Naprawdę nie czujecie? Coś mieszają ze smołą.

Marek jeszcze raz pociągnął nosem. Gospodarz miał rację. Czysta smoła podczas wytapiania szybko traciła zapach, tymczasem woń docierająca do murów

była bardzo ostra i zalatywała spalenizną. Najwyraźniej dodano do smoły jakichś innych substancji, oleju, włókien konopnych bądź siarki, aby otrzymać dłużej palącą się mieszankę.

— Tak, panie — rzekł profesor.

— I co to jest? — zapytał Oliver oskarżycielskim tonem.

— Mniemam, że... ceraunia.

— Zwana też kamieniem piorunującym?

— Zaiste, mój panie.

— Czy i my będziemy używać kamienia piorunującego?

— Nie, mój panie. My...

— Tak też myślałem! — przerwał mu Oliver, skinąwszy głową w kierunku de Kere'a.

Niewątpliwie to właśnie sir Robert podsunął gospodarzowi kolejne podejrzenia.

— Niepotrzebny nam kamień piorunujący, panie — wyjaśnił Johnston. — Mamy lepszy proszek, czystą siarkę.

— Siarka to nie to samo! — Oliver znów zerknął na de Kere'a.

— Jest lepsza, panie. Kamień piorunujący to wszak *pyrite kerdonienne*. Jeśli go drobno sproszkować, można uzyskać siarkę.

Oliver prychnął pogardliwie i zrobił kilka nerwowych kroków. Po chwili zawrócił i spytał:

— A skąd Arnaut ma kamień piorunujący?

— Nie umiem powiedzieć, jednak jest on dobrze znany pośród wojsk oblężniczych. Już Pliniusz o nim pisał.

— Znowu próbujesz swoich sztuczek, magistrze. Nie obchodzi mnie Pliniusz, tylko Arnaut. Ten wieprz nie umie nawet czytać. Skąd miałby wiedzieć o ceraunii alibo kamieniu piorunującym?

— Mój panie...

— Widno ktoś mu dobrze radzi! — syknął złowieszczo Oliver. — A gdzież to podzieli się twoi uczniowie?

— Moi uczniowie?

— No, magistrze? Co na to odpowiesz?

— Jeden jest tutaj. — Johnston wskazał Marka. — Mówiono mi, że drugi nie żyje, a o trzecim nic nie wiem.

— A ja mniemam, że dobrze wiesz, gdzie oni są. Właśnie teraz obaj trudzą się w obozie Arnauta. I dlatego ten wieprz daje do smoły drogocenny kamień.

Marek słuchał tej rozmowy z rosnącym niepokojem. Od pierwszej chwili uważał Olivera za nieobliczalnego raptusa. Teraz, w obliczu nadchodzącej bitwy, ogarniała go prawdziwa paranoja, umiejętnie podsycana przez de Kere'a. Trudno było przewidzieć, co jeszcze strzeli mu do głowy.

— Mój panie... — zaczął po raz kolejny profesor.

— Zamilcz! — ryknął Oliver. — Od samego początku podejrzewałem, żeś szpiegiem Arnauta, boś siedział trzy dni w Sainte-Mère razem z opatem, który spiskował z Francuzami.

— Gdybyś zechciał wysłuchać, mój panie. . .

— Nie zechcę! To ty słuchaj! Mniemam, że knujesz przeciwko mnie, że ty albo twoi uczniowie poznaliście sekretne wejście do mojego zamku i że planujecie uciec w dogodnej chwili, może jeszcze dzisiaj, pod osłoną ataku wojsk Arnauta.

Marek starał się zachować obojętną minę. Rzeczywiście, właśnie to planowali, jeśli tylko Kate uda się odnaleźć podziemny korytarz.

— Ha! — wrzasnął Oliver, wskazując go palcem. — Patrzajcie, jak zacisnął zęby! Widno odgadłem prawdę!

Andre chciał coś powiedzieć, ale Johnston położył mu dłoń na ramieniu. Sam pominął tę uwagę milczeniem, tylko pokręcił głową.

— Co? Chcesz go powstrzymać przed wyjawieniem prawdy? — syknął kasztelan.

— Nie, mój panie, gdyż twe podejrzenia nie są zasadne.

Oliver tynął na niego spode łba.

— Skoro tak, to daj mi mieszaninę, którą miałeś zrobić.

— Nie jest jeszcze gotowa, mój panie.

— Ha! — Znowu zerknął na de Kere'a.

— Mój panie, ucieranie prochu musi zająć wiele godzin.

— Wtedy będzie już za późno.

— Dostaniesz go we właściwym czasie, mój panie.

— To kłamstwo! Kłamstwo! — Oliver odwrócił się na pięcie i omiół spojrzeniem szereg katapult. — Spójrz jeno, jak się gotują. I odpowiedz mi teraz, magistrze. Gdzie on jest?

— Kto, mój panie?

— Arnaut! Gdzie jest Arnaut? Jego wojska gotują się do ataku. Zawsze sam je wodził, ale teraz go nie ma. Gdzie więc jest?

— Nie wiem, mój panie. . .

— Jest tam też ta wiedźma z Eltham. . . Widzisz ją? Stoi przy katapulcie. Widzisz? Patrzy na nas. Przeklęta wiedźma.

Marek popatrzył we wskazanym kierunku. Claire rzeczywiście kręciła się wśród oddziałów, spacerowała w towarzystwie sir Daniela. Serce zabiło mu mocniej. Nie umiał sobie jednak wytłumaczyć, co ona robi na pierwszej linii ataku. Patrzyła w stronę murów obronnych. Nagle zatrzymała się w pół kroku. Był pewien, że go zobaczyła. Miał ochotę pomachać jej ręką, lecz oczywiście nie mógł tego zrobić.

— Lady Claire — syknął gospodarz. — Ona też od początku szpiegowała dla Arnauta. Wprowadziła jego ludzi do Castelgard. Bez wątpienia wszystko zostało

ukartowane z tym zdrażliwym opatem. To gdzie jest ten łajdak? Gdzie ten wieprz, Arnaut? Nigdzie go nie widać.

Zapadło milczenie. Oliver uśmiechnął się kwaśno.

— Mój panie — zaczął Johnston — świetnie rozumiem powód twego niepokoju. . .

— Nic nie rozumiesz! — kasztelan tupnął nogą. — Obydwaj pójdziecie ze mną.

* * *

Woda była czarna i oleista, nawet z wysokości dziesięciu metrów czuło się bijący od niej fetor zgnilizny. Stali wokół okrągłej studni w głębi zamkowych lochów. Światło pochodni ledwie rozpraszało panujący tu mrok.

Na znak Olivera strażnik zaczął obracać bębniem kołowrotu. Ze studziennej otchłani jął się wysuwać gruby żelazny łańcuch.

Nazywają tę jamę Łażnią Milady — rzekł Oliver. — Kazał ją wykopać Francois le Gros, który miał upodobanie w takich rozrywkach. Powiadają, że Henri de Renaud był tam trzymany przez dziesięć lat, nim umarł. Zrzucali mu szczury, a on je zabijał i pożerał na surowo. Przez dziesięć lat.

Woda zafalowała i wyłoniła się z niej masywna żelazna klatka. Powoli wędrowała ku górze. Pręty były czarne i oślizgłe. Bił od niej odrażający fetor. Oliver spojrzął na klatkę i dodał:

— Obiecałem ci w Castelgard, magistrze, że jeśli mnie zdradzisz, to cię zabiję. Wykąpiesz się w Łażni Milady. — Podniósł wzrok i popatrzył na nich błyszczącymi oczyma. — Wyznajcie prawdę.

— Nie mamy nic do wyznania, mój panie — rzekł profesor.

— Więc nie macie się czego bać. Jednak zapamiętaj, magistrze: jeśli odkryję, że ty albo twoi uczniowie znacie sekretne wejście do zamku, każę was wtrącić tam, skąd nie ma ucieczki aż do śmierci, i tam was zostawię, w mroku, głodzie i zgniliźnie.

Robert de Kere, który stał nieco z tyłu i trzymał pochodnię, uśmiechnął się złowieszczo.

02.22.13

Schody prowadziły w nieprzeniknioną ciemność. Kate szła pierwsza, trzymając przed sobą pochodnię. Chris schodził tuż za nią. Wreszcie dotarli do wąskiego korytarzyka, przez który ledwie mogli się przecisnąć. Nie wyglądał na formację

naturalną. Ale za nim otwierała się duża, bez wątpienia naturalna pieczara. W górze z lewej strony dostrzegli smugę światła. Musiało się tam znajdować wejście do jaskini.

Teren wciąż opadał. Przed nimi zabłysła mroczna tafla sporego jeziora, z głębi doleciał szmer podziemnej rzeki. W pieczarze unosił się intensywny słodkawo-kwaśny odór, przypominający woń uryny. Kate wdrapała się na skalny próg przegradzający drogę do jeziora. Otaczał go pierścień jaśniejszego piasku.

A w nim były odcisnięte ślady stóp.

Wielu stóp.

— To stare ślady — ocenił Chris.

— Którędy dalej? — zapytała. Jej głos odbił się zwielokrotnionym echem. Dostrzegła po lewej stronie ścieżkę wykutą w skale. Wiodła wzdłuż brzegu jeziora.

Ruszyła w tamtym kierunku. Chris podążył za nią.

— Wiesz — rzekła Kate — to przejście nie może być zbyt długie, skoro ludzie nosili tędy wodę do zamku w czasie oblężenia.

— Nie nosili wody. Na zamku są studnie. Pewnie dostarczali żywność i inne zapasy.

— Wszystko jedno. I tak nie mogli wędrować godzinami.

— W czternastym wieku ludzie pokonywali pieszo spore odcinki, czasem trzydzieści lub więcej kilometrów dziennie. Nawet pielgrzymi dzielili trasę na dwudziestopięciokilometrowe etapy, a przecież były wśród nich kobiety i ludzie starsi.

— No tak — mruknęła.

— To przejście może mieć i piętnaście kilometrów — rzekł Chris. — Ale mam nadzieję, że jest krótsze.

Dotarli do wykutego w skale tunelu. Miał niecałe dwa metry wysokości i półtora szerokości. Ale na skraju tafli wody stała uwiązana do palika łódź, mała, wąska dłubanka.

Kate obejrzała się.

— Co o tym sądzisz? Idziemy dalej czy płyniemy?

— Lepiej popłynemy-zdecydował.

Wsiadli do łodzi. Na dnie leżały wiosła. Kate trzymała pochodnię, a Chris odepchnął łódź od brzegu i zaczął wiosłować. Wkrótce znaleźli się w nurcie podziemnej rzeki.

* * *

Kate obawiała się, że zostało im nie więcej niż dwie godziny. A musieli przecież dotrzeć do zamku, odnaleźć profesora i Marka, po czym wydostać się na otwartą przestrzeń, żeby przywołać maszyny. I to wszystko w ciągu dwóch godzin.

Na szczęście wartki nurt szybko popychał łódź w głąb jaskini. Pochodnia skwierczała i syczała głośno. Słysząc było także stopniowo narastający szelest, jakby wiatr poruszał kartkami papieru. Później rozległy się popiskiwanie podobne do odgłosów stada myszy.

Dochodziły z mrocznej głębi jaskini.

Spojrzała pytająco na Chrisa. Zrobił dziwną minę i rzekł:

— No cóż, zbliża się zmierzch.

Nagle je zobaczyła. Najpierw pojawiło się tylko kilka, ale po chwili z mroków pieczary wyleciała olbrzymia gromada i niczym szeroki brunatny strumień skierowała się do wylotu jaskini. Kate poczuła na twarzy impet powietrza uderzanego tysiącami skrzydeł.

Stado nietoperzy mijało ich przez kilka minut. Wreszcie znów zapadła cisza, przerywana tylko skwierczeniem pochodni.

Podziemna rzeka nieustrudzenie unosiła łódź w głąb jaskini.

* * *

Pochodnia zaczęła przygasać i Kate zapaliła od niej następną. Pozostały już tylko trzy. Czy tyle wystarczy? A co będzie, jeśli zużyją wszystkie, zanim dotrą do końca korytarza? Będą musieli wędrować po omacku. Może nie znajdą drogi i zostaną tu na zawsze?

— Przestań — mruknął Chris.

— Co mam przestać?

— Zastanawiać się nad tym.

— Nad czym?

Uśmiechnął się lekko.

— Wszystko będzie dobrze. Damy sobie radę.

Nie zapytała, skąd wiedział, czego się obawia. Wystarczyło, że jego słowa podziały na nią kojąco.

Minęli wąskie, bardzo niskie przejście i wpłynęli do następnej dużej komory. Była ogromna, spod stropu zwieszały się potężne stalaktyty, w wielu miejscach

sięgające do samego dna. Niektóre wisały nad nurtem rzeki. Pochodnia oświetlała tylko fragment pieczary, ale widać było ścieżkę ciągnącą się wzdłuż strumienia. Widocznie prowadziła przez całą długość podziemnego zespołu jaskiń.

Rzeka stała się wąska i bardziej rwąca, wiła się między stalaktytami. Posuwali się znacznie szybciej, przy tej prędkości mogliby przebyć piętnaście kilometrów w ciągu kilkunastu minut. Może zdążymy, pomyślała Kate. W tej samej chwili usłyszała ostrzegawczy okrzyk Chrisa. Uważaj!

Podniosła szybko głowę, ale stalaktyt był już za blisko. Uderzyła w niego czołem i ręką, w której trzymała pochodnię. Zapalona szmata zsunęła się z drzewca i spadła do rzeki. Płomień zetknął się ze swym odbiciem w lustrze wody, głośno zasyczał i zgasł.

Otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

Kate wstrzymała oddech.

Chyba jeszcze nigdy nie znalazła się w tak gęstym mroku. Nie widziała zupełnie nic. Słyszała tylko plusk kapiącej wody i czuła na twarzy lekki ruch powietrza. Łódź dalej płynęła z prądem, od czasu do czasu szorując dnem o skały. Nagle tuż za jej plecami rozległ się jęk. Łodzią zakołysało gwałtownie i coś z głośnym pluskiem spadło do wody.

— Chris? — zawołała. Ogarnęła ją panika.

— Chris?! — powtórzyła głośniejszym głosem. — Co teraz zrobimy? Odpowiedziało jej tylko echo.

01.33.00

Zapał zmrok, niebo przybrało odcień głębokiego granatu i rozbłysły na nim miliardy gwiazd. Lord Oliver, wyczerpawszy chwilowo zapas gróźb i przechwałek, poszedł z sir Robertem do wielkiego holu na wieczerzę. Dobiegały stamtąd okrzyki i głośne śmiechy, rycerze raczyli się winem przed bitwą. Marek ruszył z Johnstonem do arsenału. Po drodze zerknął na wyświetlacz, który wskazywał 01.32.14. Profesor nie pytał, ile czasu im zostało, wołał więc nie informować go o tym z własnej woli. Nagle rozległ się głośny świst. Żołnierze na blankach podnieśli wrzask. Gigantyczny ognisty pocisk przeleciał nad murami i z łoskotem spadł na wewnętrzny dziedziniec.

— Zaczęło się — rzekł spokojnie profesor.

Dwadzieścia metrów przed nimi płomienie rozlały się po kamieniach. Marka zdziwił widok martwego konia, którego sztywne nogi sterczały z ognia. Dokoła rozszedł się swąd palonego włosia i mięsa, zaskwierczał topiący się łój.

— Matko Boska — mruknął.

— To stara padlina — rzekł Johnston, wskazując zeszywniałe nogi. — Rzucanie końskich trupów za mury obleganego zamku nie należało do rzadkości. Nie takie rzeczy będzie tu można zobaczyć tej nocy.

Profesor wszedł do arsenału. Pięćdziesięciu ludzi wciąż mozolnie ucierało proch. Jeden z nich mieszał w wielkiej kadzi żywicę z palonym wapnem.

Marek obserwował pracę żołnierzy, kiedy z zewnątrz doleciał kolejny głośny świst i coś ciężkiego grzmotnęło o dach, aż zadygotały wszystkie kaganki za oknami. Rozległy się krzyki ludzi, później odgłosy kroków na dachu.

Profesor westchnął głośno.

— Za którymś razem może im się udać — rzekł. — Właśnie tego najbardziej się obawiałem.

— Czego?

— Arnaut wie, że znajduje się tu arsenał. Doskonale go widać ze szczytu sąsiedniego wzgórza. Wie zatem, że jest tu przechowywany proch. Gdyby pocisk zapalający wpadł do środka, spowodowałby wielkie zniszczenia.

— Wylecielibyśmy w powietrze — odparł Andre. Powiódł wzrokiem po półkach zawalonych płóciennymi woreczkami.

— Zgadza się, wylecielibyśmy w powietrze — przyznał Johnston. — W dodatku zginęłoby mnóstwo ludzi, powstał olbrzymi zamęt, a pożar ogarnąłby sporą część zamku. Trzeba by ściągnąć z murów ludzi do gaszenia ognia, a zmniejszenie obsady na blankach podczas oblężenia. . .

— Arnaut ruszyłby do szturmu.

— Od razu.

— Tylko czy to możliwe, żeby pocisk zapalający wpadł do środka? Ściany tego budynku mają co najmniej pół metra grubości.

— Wcale nie trzeba kruszyć ścian, wystarczy przebić się przez dach.

— Ale jak?

— Arnaut ma działa i żelazne kule. Będzie je rozgrzewał w ogniu do czerwoności i strzelał do nas, licząc na to, że któraś wpadnie do środka. Dwudziestokilogramowa kula może się przebić przez łupkowe pokrycie. Lepiej się stąd wynieść, zanim do tego dojdzie. — Uśmiechnął się krzywo. — Gdzie, do diabła, podziewa się Kate?

01.22.12

Czuła się całkowicie zagubiona w ciemności. To prawdziwy koszmar, pomyślała, kuląc się w łodzi. Usiłowała wyczuć jej ruch i przewidzieć kolejne uderzenia o skały albo stalaktyty. Mimo że w jaskini było zimno, zaczęła się pocić. Serce waliło jej jak oszalałe. Oddychała szybko i płytko, jakby nie mogła zaczerpnąć głębiej powietrza.

Była przerażona. Kiedy się przesunęła, łodzią zakołysało gwałtownie. Natychmiast chwyciła się obydwu burt.

— Chris? — zawołała znowu.

Z tyłu w oddali rozległ się plusk, jak gdyby ktoś płynął rzeką.

— Chris? — powtórzyła.
— Jestem — doleciało z głębi jaskini.
— Gdzie?
— Wypadłem z łodzi.

Głos dobiegał z daleka. Prawdopodobnie oddalała się od Chrisa z każdą sekundą. Musiała jakoś rozjaśnić mrok, zapalić pochodnię. Odwróciła się ostrożnie i popełzła na czworakach w stronę rufy. Macała po dnie, usiłując wyczuć pod palcami drzewce. Łódź stuknęła o skałę i znów się zakołysała.

Cholera!

Kate zastygła bez ruchu, chcąc utrzymać równowagę.

Gdzie te przeklęte pochodnie? Wydawało jej się, że Chris ułożył je sobie pod nogami, lecz nigdzie nie mogła ich odnaleźć. Wymacała wiosło, potem chropowatą deskę ławeczki, ale nie pochodnie.

Wypadły z łodzi razem z Chrisem?

Za wszelką cenę musiała rozpalić ogień.

Sięgnęła do etui pod ubraniem, wsunęła dłoń do środka. Namacała fiolkę z pigułkami, pojemnik ciśnieniowy, wreszcie śliską sześcienną kostkę. Ładunek zapalający! Wyciągnęła go szybko i wetknęła między zęby.

Ostrzem sztyletu odcięła kawałek rękawa koszuli, pasek szerokości kilkunastu centymetrów. Owinęła kostkę tkaniną i wyciągnęła sznurek zapalnika.

Czekała cierpliwie.

Nic się nie działo.

Może ładunek zamókł, kiedy wpadła do rzeki przed wybuchem w młynie? Miał być wodoodporny, ale przecież dryfowała wtedy z nurtem dość długo. A może po prostu nie zadziałał? Postanowiła wykorzystać trzecią, ostatnią kostkę. Sięgała już do etui, kiedy nagle tkanina w jej dłoni stanęła w płomieniach.

Wreszcie!

Ledwie powstrzymała okrzyk bólu. Zacisnęła jednak zęby, walcząc z odruchem wyrzucenia parzącego ją zawiniątka. Uniosła je nad głowę i od razu zauważyła pochodnie wetknięte w kąty pod samą burtą. Chwyliła jedną z nich, przytknęła do płonącej tkaniny i zapaliła. Pospieszenie cisnęła pakunek do rzeki i zanurzyła poparzoną dłoń w zimnej wodzie.

Skóra piekła jak diabli. Kate obejrzała zaczerwienione palce, ale nie dostrzegła żadnego poważniejszego urazu. Trudno, stało się. Trzeba będzie później opatrzyć poparzenie.

Uniosła pochodnię i rozejrzała się dookoła. Ze wszystkich stron otaczały ją białawe stalaktyty zwieszające się nad rzeką. Miała wrażenie, że wpływa do rozwartej paszczy ogromnej drapieżnej ryby, a łódź prześlizguje się między jej zębami.

— Chris?

— Tu jestem — doleciało z oddali.

— Widzisz pochodnię?

— Tak.

Chwyciła się mijanego stalaktytu. Miała nadzieję, że zdoła zatrzymać łódź, bo nie mogła wiosłować pod prąd, trzymając jednocześnie pochodnię.

— Dasz radę do mnie dopłynąć?

— Tak.

W ciemności za rufą rozległ się głośniejszy plusk.

* * *

Kiedy tylko Chris wdrapał się z powrotem do łodzi, Kate puściła stalaktyt i prąd poniósł ich dalej. Po kilku minutach wydostali się ze skalnego lasu i wpłynęli do kolejnej rozległej komory. Nurt znowu stał się szybszy. Gdzieś z przodu docierał ogłuszający huk, musiał tam być wodospad.

Jednocześnie Kate dostrzegła coś, od czego serce zabiło jej mocniej. Wielki głaz na skraju strumienia był powycierany po bokach, bez wątpienia przywiązano do niego sznur łodzi.

— Chris...

— Widzę.

Dalej odchodziła w bok niezbyt wyraźna ścieżka. Hughes sięgnął po wiosło i skierował łódź do brzegu. Uwiązali ją do głazu i wysiedli. Ścieżka prowadziła do wykutego w skałach tunelu o gładkich ścianach. Ruszyli w tamtą stronę. Kate znowu szła przodem, trzymając w górze pochodnię.

Zwolniła nagle.

— Chris, tam jest stopień.

— Co?

Stopień wycięty w skale. Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nami. — Znów przyspieszyła kroku i uniosła wyżej pochodnię. — To nawet nie jeden stopień, a całe schody.

Schody prowadziły w górę, prosto do kwadratowej kamiennej kłapy w stropie jaskini, zaopatrzonej w żelazne kółko.

Przekazała Chrisowi pochodnię i na palcach ruszyła pod górę. Pociągnęła za kółko, ale kłapa ani drgnęła. Napała więc na nią ramieniem.

Płyta uniosła się na parę centymetrów.

Przez szczelinę wpadł jaskrawożółty oślepiający blask. Doleciał też trzask płonących drewn i głosy ludzi. Kate nie dała rady dłużej trzymać kłapy, opuściła ją na miejsce.

Hughes wbiegł po schodach i stanął tuż za nią.

— Włącz krótkofalówkę — rzekł, stukając się palcem w ucho.
— Tak sądzisz?
— Musimy zaryzykować.
Włączyła aparat. Usłyszała wzmocniony szmer oddechu Chrisa.
— Pójdę pierwsza — powiedziała.
Sięgnęła do kieszeni, wyjęła marker i podała go Hughesowi. Zmarszczył brwi.
— Na wszelki wypadek — mruknęła. — Nie wiemy, dokąd prowadzi to przejście.
— W porządku.
Opuścił pochodnię i z całej siły napał na klapę. Odchyliła się ze zgrzytem. Kate wdrapała się na górę i pomogła Chrisowi cicho opuścić klapę z powrotem.
Udało się.
Byli w La Roque.

01.13.52

Robert Doniger odwrócił się w stronę słabo widocznego audytorium i rzekł do mikrofonu:

— Spróbujcie sami sobie odpowiedzieć, co jest podstawowym kierunkiem zainteresowań ludzkości pod koniec dwudziestego wieku. Jak ludzie postrzegają świat wokół siebie i jakim chcieliby go widzieć? Odpowiedź jest prosta. W każdej dziedzinie, od biznesu i polityki do handlu i oświaty, tym podstawowym kierunkiem staje się rozrywka.

Na wprost wąskiego podwyższenia urządzono trzy oddzielone przepierzeniami kabiny. W każdej stał fotel i biurko, a na nim notatnik i szklanka z wodą. Ludzie zasiadający w kabinach mogli widzieć jedynie prowadzącego prezentację, lecz nie siebie nawzajem.

Doniger nie po raz pierwszy stosował tę metodę, której opis znalazł w jakimś starym podręczniku psychologii, w rozdziale omawiającym zjawisko zwane presją zgromadzenia. Jego słuchacze wiedzieli, że w sąsiednich kabinach siedzą inni ludzie, nie widzieli ich jednak i nie słyszeli. W ten sposób byli poddawani dodatkowej presji. Oprócz spraw merytorycznych musieli się zastanawiać nad tym, jaką decyzję podejmą tamci, czy postanowią zainwestować żądane fundusze.

Zaczął krążyć po podwyższeniu.

— Dzisiaj wszyscy oczekują rozrywki — ciągnął — szukają jej na każdym kroku. Wszelkie prezentacje podczas zebrań i negocjacji muszą być żywe, z wypunktowanymi zagadnieniami i animowaną grafiką, żeby nie usnąć słuchaczy. Witryny sklepowe powinny nie tylko przyciągać klientów, ale także ich rozbawiać. Politycy muszą ciężko pracować nad swoim wizerunkiem prezentowanym w mediach i mówić wyłącznie to, co opinia społeczna chce usłyszeć. W programach nauczania kładzie się nacisk na atrakcyjność prezentowanych treści. Chodzi o to,

by nie zanudzać uczniów, którzy oczekują równie ciekawych lekcji, jak programy telewizyjne. Nawet studentów na wyższych uczelniach trzeba rozbawiać. Każdemu należy zapewnić rozrywkę. W przeciwnym razie klienci przestawią się na inne gatunki towarów, widzowie na inne audycje, a wyborcy na inne opcje polityczne. Taka jest rzeczywistość u schyłku naszego stulecia. Dawniej ludzie oczekiwali przede wszystkim pomocy, poprawy warunków życiowych, poszerzenia swobód czy lepszego wykształcenia. Teraz wszystkim zależy tylko na rozrywce. Najgorszą perspektywą, jaka pojawia się przed nami, nie jest już epidemia czy śmierć, ale nuda, lęk przed bezczynnością, jałowym odliczaniem mijającego czasu, brakiem nowych rozrywek.

Do czego doprowadzi ta mania wiecznej zabawy? Co będzie, gdy ludziom znudzi się telewizja i sprzykrzy kino? Odpowiedź już znamy. Zaczną szukać czynnych rozrywek, uprawiać sport, odwiedzać specjalistyczne parki i ogrody, jeździć na zwariowane wyprawy bądź do wesołych miasteczek. Przestawią się na rozrywkę strukturalną, poszukają skalkulowanych wrażeń. A co będzie, gdy znudzą się także disneylandami, rollercoasterami i diabelskimi młynami? Bo wcześniej czy później zaczną im dokuczać sztuczność tego typu atrakcji. Zaczną sobie uświadamiać, że najwymyślniejszy park rozrywki jest tylko więzieniem, w którym trzeba słono płacić za to, że przez jakiś czas jest się więźniem. Wstręt do sztuczności każe im szukać autentycznej zabawy. Właśnie autentyczność stanie się kluczowym hasłem dwudziestego pierwszego wieku. A co jest autentyczne? Wszystko to, co nie zostało sztucznie wtłoczone w struktury nastawione wyłącznie na przynoszenie zysku, co nie jest pod kontrolą wielkich korporacji, co istnieje samo z siebie we własnej, niepowtarzalnej postaci. Oczywiście nic we współczesnym świecie nie ma prawa pozostawać w swojej pierwotnej postaci. Dzisiejszy świat jest wolnorynkową odmianą kwietnika, na którym starannie wypielęgnowane rośliny rozmieszcza się tak, by uzyskać jak najlepszy efekt. Nic nie jest naturalne, a tym samym nic nie jest autentyczne.

W takim razie co przyciągnie uwagę znudzonych ludzi, szukających wyjątkowych wrażeń w zetknięciu z autentycznością? Przeszłość. Niewątpliwie jest autentyczna. Przeszłość to świat, który istniał przed nastaniem Walta Disneya czy Iris Murdoch, przed Nissanem, Sony, IBM i całą resztą współtwórców naszej rzeczywistości. Przeszłość istniała przed ich narodzinami, rozwijała się i podupadała bez ich ingerencji, bez sondaży opinii publicznej, promocji i wyprzedaży. Przeszłość jest rzeczywista, a więc autentyczna. I to właśnie czyni ją niewiarygodnie atrakcyjną. Ośmielałam się twierdzić, że naszą przyszłością jest przeszłość. Tylko ona stwarza prawdziwą alternatywę... Tak? O co chodzi, Diane?

— Mamy problem w sekcji tranzytowej. Wygląda na to, że eksplozja zniszczyła pozostałe osłony wodne. Gordon przeprowadził symulację komputerową, która wykazała, że cztery zbiorniki mogą się roztrzaskać, jeśli napełnimy je wodą.

— To jakiś pieprzony idiotyzm, Diane! — rzucił ze złością, szarpnięciem po-

luzowując krawat pod szyją. — Chcesz mi powiedzieć, że wyprawa może powrócić bez dostatecznej osłony?

— Tak.

— Nie zgodzę się na takie ryzyko.

— Sprawa nie jest prosta. . .

— Owszem, jest! Nie możemy ponosić ryzyka. Już lepiej, żeby w ogóle nie wrócili, niż mieliby się pojawić z poważnymi uszkodzeniami.

— Ale. . .

— Co? Jeśli Gordon zrobił symulację, to czemu jeszcze nie wyłączył urządzeń?

— Twierdzi, że wyniki obliczeń są niepewne. Nie mógł wprowadzić wszystkich danych wejściowych i uważa, że tranzyt dokona się bez przeszkód.

— Nie możemy ryzykować. — Doniger pokręcił głową. — Nie wolno dopuścić do ich powrotu bez pełnego ekranowania. Koniec, kropka.

Kramer przygryzła wargi.

— Bob, moim zdaniem. . .

— Czyżbyś już zapomniała? Niedawno sama sprzeciwiałaś się wyprawie Sterna z powodu ryzyka wystąpienia błędów transkrypcyjnych. A teraz chcesz, żeby cała grupa wróciła do sekcji pozbawionej ekranów ochronnych? Nic z tego, Diane.

— W porządku — mruknęła z ociąganiem. — Pójdę i porozmawiam. . .

— Z nikim nie musisz rozmawiać. Klamka zapadła. Odłącz zasilanie, jeśli okaże się to konieczne, tylko nie pozwól tym ludziom wrócić. Doskonale wiesz, że mam rację.

* * *

— Co powiedział?! — rzucił gniewnie Gordon w sekcji kontrolnej.

— Nie możemy im pozwolić na powrót, pod żadnym pozorem. Postawił sprawę jasno.

— Przecież muszą jakoś wrócić — odezwał się Stern. — Nie macie prawa odciąć im drogi powrotu.

— Owszem, mamy — ucięła Kramer tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Ale. . .

— John — zwróciła się do Gordona. — Czy on widział Wellseya? Pokazywałeś mu?

— Kto to jest Wellsey? — spytał David.

— Kot — odparł Gordon.

— Wrócił pocięty — wyjaśniła Kramer. — Był jednym z pierwszych zwierząt doświadczalnych, jakie wysłaliśmy, zanim jeszcze wyszło na jaw, że konieczne są osłony wodne w sekcji tranzytowej. Wrócił naprawdę mocno pocięty.

— Jak to pocięty?

Diane znów odwróciła się do Gordona.

— Nie powiedziałeś mu wszystkiego?

— Oczywiście, że powiedziałem — rzucił ze złością i wytłumaczył: — Pocięty to znaczy z wieloma poważnymi błędami transkrypcyjnymi. — Popatrzył na Kramer. — Ale stało się to przed laty, Diane, kiedy nawet z komputerami mieliśmy jeszcze kłopoty. . .

— Lepiej mu go pokaż, może wtedy nie będzie nalegał, byśmy za wszelką cenę dopuścili do powrotu jego przyjaciół. Zresztą to i tak nie ma już znaczenia. Bob zdecydował, powiedział nie. Jeśli nie będzie pełnej ekranizacji, nie dopuścimy do powrotu, bez względu na okoliczności.

Technik przy konsoli sterowania odwrócił się do nich.

— Mamy uskok pola!

* * *

Zebrali się wokół monitora. Na ekranie widać było rozmyty pik z kilkoma rysującymi się wierzchołkami.

— Kiedy się tu zjawia? zapytał Stern.

— Sądząc po mocy sygnału, w przybliżeniu za godzinę.

— Ile osób wraca? — odezwał się Gordon.

— Trudno jeszcze powiedzieć. Na pewno więcej niż jedna. Może nawet cztery czy pięć.

— Czyli wszyscy. — Gordon odetchnął z ulgą. — Widocznie odnaleźli profesora i wracają w komplecie.

Obaj popatrzyli znacząco na Kramer.

— Przykro mi — rzuciła. — Bez osłon nikt się tu nie pojawi. To nie podlega dyskusji.

01.01.52

Kate podniosła się powoli. Była w wąskiej przestrzeni, najwyżej dwumetrowej, między wysokimi kamiennymi ścianami. Jaskrawy blask płomieni padał z szerokiego przejścia po lewej. Naprzeciwko znajdowały się ciężkie kamienne drzwi. W głębi korytarza były schody. Prowadziły stromo wzdłuż muru na niewielki podest zawieszony dobre dziesięć metrów wyżej. Gdzie się znalazła?

Chris znowu uniósł klapę, wyjrzał przez szparę i wskazując blask płomieni widoczny w przejściu, szepnął:

— Chyba już wiem, dlaczego nie mogliśmy znaleźć początku tego korytarza.

— Dlaczego?

— Jesteśmy za paleniskiem.

— W wielkiej sali?

Podeszła do otworu i wyjrzała ostrożnie. Zobaczyła tuż przed sobą ogień w gigantycznym palenisku. Przez płomienie dostrzegła rycerzy lorda Olivera siedzących przy stole tyłem do niej, nie dalej niż pięć metrów.

— Masz rację — szepnęła. — Jesteśmy na tyłach wielkiej sali.

Obejrzała się na Chrisa i przywołała go ruchem ręki. Już zamierzała prześliznąć się do drzwi na końcu korytarza, gdy nagle sir Guy odwrócił się od stołu, cisnął w ogień ogryzione udko kurczęcia i pochylił się z powrotem nad talerzem.

Kate cofnęła się. Ale było za późno. Malegant nagle wyprostował się na krześle i odwrócił po raz drugi. Musiał ją wcześniej zauważyć. Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, wykrzyknął:

— Mój panie!

Poderwał się z miejsca i sięgnął po miecz.

Kate rzuciła się do drzwi. Szarpnęła raz i drugi, ale były zamknięte naглуcho. Nie dała rady ich otworzyć. Zawróciła ku schodom po drugiej stronie paleniska. Spostrzegła, że sir Guy stoi tuż przed stosem płonących drew, jakby się wahał. Zauważył ją po raz drugi i natychmiast przeskoczył przez ogień. Chris był wychylony do połowy z otworu w podłodze.

— Uciekaj! — krzyknęła do niego i wbiegła na schody.

Malegant machnął za nią mieczem, ale głownia z brzękiem uderzyła w mur. Zaklął głośno i spojrzał w otwarte przejście. Chyba nie dostrzegł Chrisa, bo błyskawicznie rzucił się za nią po schodach.

Kate żałowała, że nie ma żadnej broni.

Pomknęła w górę.

* * *

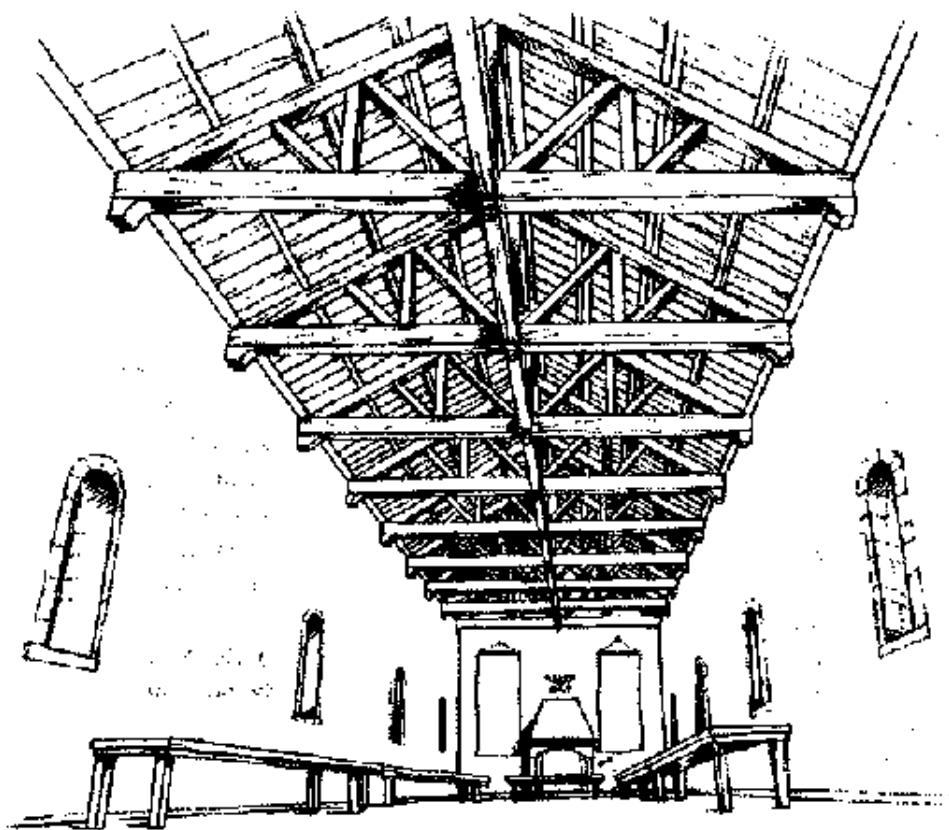
Na szczycie schodów, tuż przed wąską platformą, wpadła twarzą w gęstą sieć pajęczyn. Ściągnęła je z obrzydzeniem. Niezabezpieczony barierką podest miał najwyżej metr długości, ale jej to nie przeszkadzało. Była przyzwyczajona do jeszcze węższych półek skalnych.

Za to sir Guy musiał się bać. Wyraźnie zwolnił, stawiał ostrożnie stopy, sunąc ramieniem wzdłuż muru. Trzymał się jak najdalej krawędzi schodów, wbijał palce

we wszelkie nierówności kamiennej ściany. Raz po raz zerkał przez ramię. Więc ten nieustraszony rycerz cierpi na lęk wysokości, pomyślała. Nie rezygnował jednak. Widocznie trudne położenie tylko podsycalo jego wściekłość, bo spoglądał na nią z morderczym błyskiem w oczach.

Platforma kończyła się niskimi drewnianymi drzwiami z wywierconym pośrodku otworem wielkości monety. Najwyraźniej schody i podest zbudowano tylko po to, by z ukrycia można było obserwować, co się dzieje w zamkowym holu. Kate pchnęła drzwi. Ani drgnęły. Napała na nie ramieniem. Zamiast się otworzyć, wypadły z futryny, runęły w dół i z hukiem wylądowały na posadzce. Omal nie poleciała razem z nimi, ledwie zdołała się złapać krawędzi ściany.

Wyjrzała na salę.



Była wysoko, na poziomie masywnych dzwigarów podtrzymujących konstrukcję dachu. Stół zastawiony do wieczerzy znajdował się dziesięć metrów niżej. Na wprost podestu odchodziła centralna krokiew, która biegła przez całą długość budowli. Co półtora metra krzyżowała się z bocznymi krokiewiami ginącymi w otworach zewnętrznych ścian. Wszystkie belki były pokryte ornamentami i po-

łączone w całość krzyżulcami.

Kate bez wahania wyszła na główną krokiew. Mężczyźni w dole zadarli głowy, wskazywali ją palcami. Lord Oliver krzyknął:

— Na Świętego Jerzego! To uczeń magistra! Jesteśmy zdradzeni! Magister! — Grzmotnął pięścią w stół i poderwał się z krzesła, nie spuszczać z niej wzroku.

— Chris, odszukaj profesora — powiedziała cicho Kate.

Coś zatrzęszczało.

— ... bra.

— Słyszysz mnie? Chris?

Nie było odpowiedzi.

Ruszyła szybko po krokwi. Znaczna wysokość nie budziła w niej lęku. Belka miała dobre pół metra szerokości, była jak kładka nad otchłanią. W dole znów rozległy się krzyki. Kate zerknęła przez ramię. Sir Guy wyszedł za nią na krokiew. Wyglądał na przerażonego, ale obecność świadków tego wyczynu dodawała mu odwagi. W każdym razie nie zamierzał okazywać strachu.

Zrobił kilka drobnych kroków, lecz poczuwszy się pewniej, ruszył nieco szybciej. Trzymany w ręku miecz pomagał mu utrzymać równowagę. Kiedy dotarł do pierwszego łączenia, chwycił się pionowego wspornika, okrążył go ostrożnie, zaczerpnął głęboko powietrza i poszedł dalej.

Szeroka centralna krokiew ułatwiała mu pościg. Erickson przeskoczyła więc szybko na boczną belkę i skręciła w kierunku ściany. Ta krokiew miała nie więcej jak trzydzieści centymetrów szerokości, nie było już tak łatwo po niej iść. Kate dotarła do krzyżulca i prześliznęła się na drugą stronę pionowego wspornika.

Dopiero teraz zrozumiała swój błąd.

W średniowiecznych konstrukcjach dachowych zwykle umieszczano elementy wzmacniające wzdłuż ścian: dodatkowe krzyżulce, belki rozporowe czy choćby ozdobne wiązania. Ale ten zamek został zbudowany w stylu francuskim. Boczna krokiew była po prostu wpuszczona w otwór w murze, nieco ponad metr wyżej odchodził ukośnie wspornik dachu. Poza tym nie było nic. A przecież oglądała szczegóły tej konstrukcji wśród ruin w Beyzac, nawet dokładnie badała otwory w ścianach. Dlaczego wyleciało jej to z pamięci?

Znalazła się w pułapce.

Przed sobą miała gładką ścianę, a nie mogła już zawrócić, bo sir Guy czekał przy spojeniu krokwi. Nie dało się też przeskoczyć na sąsiednią krokiew, oddaloną o półtora metra.

A może? Odległość była duża, a Kate nie miała żadnego zabezpieczenia.

Obejrzała się. Malegant ostrożnie wszedł na boczną belkę i zaczął się do niej zbliżać. Wymachiwał mieczem i uśmiechał się posępnie. Dobrze wiedział, że jego ofiara jest bezbronna.

Nie miała wyboru. Oszacowała odległość dzielącą ją od sąsiedniej krokwi.

Musiała się zdobyć na odwagę. Powinna wybić się dość mocno w górę, jeśli chciała bezpiecznie wylądować na tamtej belce.

Guy dotarł do pionowego wspornika i zaczął się przeciskać na drugą stronę. Był już niemal na wyciągnięcie ręki. Kate przykucnęła, wzięła głęboki oddech, napięła mięśnie i odbiła się od belki. Na ułamek sekundy zawisła w powietrzu.

Chris wyskoczył z otworu w podłodze. Zajrzał do sali i spostrzegł, że wszyscy przy stole stoją z zadartymi głowami. Natychmiast się domyślił, że Kate jest gdzieś pod dachem, ale nie mógł jej w niczym pomóc. Podszedł do kamiennych drzwi i pchnął je. Nawet nie drgnęły. Cofnął się o krok i z całej siły naparł na nie ramieniem. Uchyliły się na parę centymetrów. Uderzył po raz drugi i wreszcie całkiem się otworzyły.

Wyszedł na boczny dziedziniec La Roque, po którym gorączkowo biegały straże. Palił się krużganek biegnący wysoko wzdłuż zewnętrznej ściany zamku. Pośrodku dziedzińca także strzelały płomienie, jakby zrobiono tu wielkie ognisko. W zamieszaniu nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— Andre? Słyszysz mnie? — odezwał się cicho.

Przez radio dolatywał jedynie szum elektrostatyki. Dopiero po paru sekundach rozległ się głos Marka:

— Tak, słyszę.

— Gdzie jesteś?

— Z profesorem.

— Gdzie? — powtórzył Chris.

— W arsenale.

— A gdzie to jest?

00.59.20

W magazynie laboratorium trzymano w klatkach kilkanaście zwierząt doświadczalnych: kotów, świnek morskich i białych myszy. W powietrzu unosił się charakterystyczny cierpkawy zapach zwierzyńca. Gordon poprowadził Sterna w głąb pomieszczenia.

— Egzemplarze pocięte musimy izolować od pozostałych — wyjaśnił, wskazując trzy klatki stojące z boku.

David zwrócił uwagę, że ich pręty są znacznie grubsze. W kacie pierwszej z nich spał zwinięty w kłębek duży kot perski o popielatej sierści.

— To właśnie Wellsey — rzekł Gordon.

Zwierzę wyglądało całkiem normalnie. Oddychało powoli we śnie. Spod nastroszonej sierści widać było jedno zamknięte oko i sterczące ucho. Łapy zakończone były długimi czarnymi pazurami. Stern przybliżył twarz do klatki, lecz Gordon powstrzymał go ruchem ręki.

— Nie za blisko — ostrzegł.

Podniósł ze stołu bambusowy kijek i przeciągnął nim po prętach.

Kot gwałtownie otworzył oko. Ale nie wstał. Leżał dalej bez ruchu, łypiąc na nich groźnie.

Gordon znów przeciągnął kijkiem po prętach.

Kot z groźnym syczeniem rzucił się w ich kierunku, obnażywszy kły. Huknął łbem o pręty, cofnął się i skoczył po raz drugi. Atakował wściekle, niemal bez przerwy, sycząc i fukając.

Stern patrzył na to z przerażeniem.

Zrozumiał wreszcie, dlaczego nazywano te zwierzęta pociętymi. Łepok kota był wyraźnie zdeformowany. Jedna strona wyglądała normalnie, była jednak przesunięta względem drugiej, znajdującej się sporo niżej. Prosta linia spojenia biegła od szczytu czaszki do nozdrzy.

Druga część łepka była silnie zniekształcona. Z tyłu, za postrzępionym uchem, znajdowało się trzecie oko, mniejsze i nie do końca uformowane. Pod nim zwisał jakby pozbawiony kośćca fragment drugiego pyska. Wyraźnie rysował się ciemniejszy nos, pokryta futrem górna warga i szereg wystających ze skóry białych zębów. Całość przypominała odrażającą rakowatą narośl.

Dopiero teraz David uzmysłowił sobie w pełni, jak groźne mogą być skutki błędów transkrypcyjnych.

Kot niestrudzenie walił łbem o pręty klatki, aż zaczął krwawić z rozcięcia na skórze.

— Będzie się tak miotał, dopóki stąd nie wyjdziemy — rzekł Gordon.

— To lepiej już chodźmy.

Wycofali się na korytarz. Przez jakiś czas szli w milczeniu.

— Najgorsze są te zmiany, których nie widać, psychiczne — odezwał się w końcu Gordon. — Właśnie na ich podstawie zaobserwowano pierwsze objawy kumulacji błędów u ludzi.

— Chodzi ci o tego człowieka, który nie mógł powrócić z wyprawy?

— Tak. Nazywał się Deckard, Rob Deckard. Był jednym z czterech zatrudnionych przez nas komandosów. Zmiany w jego psychice wystąpiły na długo przed tym, nim zaobserwowano pierwsze fizyczne błędy transkrypcyjne. Nikt wtedy jeszcze nie podejrzewał, że mogą się przejawiać w ten sposób.

— Jakie to były zmiany?

— Rob miał bardzo pogodne usposobienie, był dobrodusznym olbrzymem o wybitnych zdolnościach językowych. Potrafił zaprosić na piwo obcokrajowca i już po paru minutach zaczynał mówić jego językiem. Rozumiesz? Wyłapywał najpierw pojedyncze słowa, potem proste zdania. Wystarczyło, żeby się porozumieć. I od razu chwycił bezbłędny akcent. Po kilku tygodniach już dość swobodnie operował tym językiem. Wojsko zwróciło uwagę na jego zdolności i skierowało go do szkoły języków obcych. Ale u nas już po paru pierwszych wyprawach

błędy transkrypcyjne sprawiły, że całkiem stracił pogodę ducha i stał się paskudnym typkiem. Naprawdę paskudnym.

— To znaczy? — zapytał David.

— Pobił do nieprzytomności strażnika przy bramie tylko dlatego, że za długo sprawdzał jego przepustkę. A potem omal nie zabił jakiegoś faceta w barze w Albuquerque. Dopiero po tym wypadku zrozumieliśmy, że w psychice Deckarda następują nieodwracalne zmiany, które z czasem mogą się jeszcze pogłębiać.

* * *

Kramer siedziała w sali kontrolnej przed monitorem. Obserwowała fluktuacje pola, które coraz wyraźniej przybierały kształt piku. Zdaniem technika rosnąca szybko amplituda wskazywała, że wracają co najmniej trzy osoby. Była w rozterce. Ona też pragnęła bezpiecznego powrotu całej ekipy.

— Nadal sądzę, że nie należy zbyt ufać wynikom symulacji komputerowej — powiedział Gordon. — Zresztą możemy zaraz napełnić zbiorniki i zobaczyć, czy się nie rozsypią.

Kramer pokiwała głową.

— To prawda, ale nawet jeśli nie potrzaskają teraz, i tak nie będziemy mieć pewności, że wytrzymają do końca. A co będzie, jeżeli strzelą podczas tranzytu? Doszłoby do prawdziwej katastrofy.

Stern usiadł na krześle. Odczuwał rosnący niepokój. Nurtowała go jakaś myśl, której nie potrafił skonkretyzować. Kiedy Kramer użyła słowa „strzelą”, z jego pamięci wypłynęło dziwne skojarzenie z samochodami wyścigowymi. Znowu przed oczyma wyobraźni przesunął mu się szereg oderwanych obrazów — Formuła 1, gigantyczne opony ciężarówek, pękaty człowieczek z symbolu Michelina, wielki gwóźdź sterczący z asfaltu i przejeżdżające po nim koło auta.

Strzelała opona.

Szklane zbiorniki rozrywały się pod ciśnieniem podobnie jak przedziurawiona dętka. Co wspólnego miały te dwa zjawiska?

— Żeby mieć pewność — dodała Kramer — musielibyśmy czymś wzmocnić tafle osłon.

— Już się nad tym zastanawialiśmy — odparł Gordon. — Nie da się tego zrobić prowizorycznie.

Stern westchnął głośno.

— Ile mamy czasu? — zapytał.

— Pięćdziesiąt jeden minut — odparł technik.

00.54.00

Kate trafiła idealnie. Chwyciła się krokwi i zakotłosała w przód i w tył. Wśród rycerzy jej wyczyn wywołał takie owacje, jakby obserwowali popisy cyrkowego linoskoczka.

Szybko przerzuciła nogę przez belkę, podciągnęła się i usiadła na niej okra-kiem.

Malegant zawrócił pospiesznie, żeby znów odciąć jej drogę na centralnej kro-ki.

Poderwała się na nogi i ruszyła biegiem. Była zwinniejsza, więc dotarła do głównej belki wcześniej od niego. Zyskała w ten sposób kilka sekund. Mogła uspokoić nerwy i zebrać myśli.

Co dalej?

Znajdowała się mniej więcej nad środkiem wielkiego holu, nieopodal masyw-nego pionowego wspornika, dwukrotnie grubszego od słupa telegraficznego. Tak jak krokiew miał około pół metra średnicy. W obie strony odchodziły od niego ukośne belki dodatkowo wzmacniające boczne krokwie. Były zamocowane tak nisko, że chcąc ją tu dopaść, sir Guy musiałby kucnąć i przecisnąć się pod nimi na drugą stronę słupa.

Przykucnęła, aby sprawdzić, czy mu się to uda. Na pewno nie mógł zrobić tego szybko. Kiedy wstawała, mimowolnie musnęła dłonią rękojeść sztyletu tkwiącego za paskiem. Zupełnie o nim zapomniała. Wyciągnęła nóż, zacisnęła w palcach i skierowała ostrze przed siebie.

Guy popatrzył na sztylet i głośno roześmiał się. Jego wesołość udzieliła się rycerzom przy stole. Krzyknął coś do nich, powodując wybuch gromkiego śmie-chu.

Obserwowała uważnie jego ruchy. Cofnęła się o krok, żeby zrobić mu miejsce po tej stronie pionowego wspornika. Starła się sprawiać wrażenie przerażonej, co wcale nie było takie trudne. Jej ręka, w której trzymała sztylet, wyraźnie się trzęsła.

Trzeba tylko wybrać odpowiednią chwilę do ataku, pomyślała.

Malegant zatrzymał się przed słupem i obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Potem kucnął i zaczął się przesuwac pod ukośną belką. Obejmował słup oburącz, przyciskając do niego miecz.

Kate podbiegła i wbiła sztylet w jego dłoń. Odskoczyła, dała nura pod ukośny wspornik po drugiej stronie i kopniakiem strąciła stopy Maleganta z krokwi. Zawisł bezradnie, przyszpilony nożem do belki. Nie jęknął nawet, tylko kurczowo zagryzł zęby. Ci faceci naprawdę byli cholernie wytrzymali, pomyślała.

Nie wypuszczając z ręki miecza, próbował przerzucić nogę przez krokiew. Ale zanim mu się to udało, Kate wróciła na poprzednie miejsce. Ich spojrzenia się zetknęły.

Dobrze wiedział, co ona zamierza zrobić.

— Zgnijesz w piekle — warknął.

— Ty pierwszy.

Wyszarpnęła sztylet ze wspornika i sir Guy runął w dół. Spadł na umieszczoną trzy metry niżej poziomą żerdź, z której zwieszały się chorągwie. Nadział się brzuchem na sterczący z niej, spiralnie skręcony ozdobny grot. Wisiał na nim przez chwilę, ale żerdź pękła pod jego ciężarem i z hukiem zwałił się na stół. Cynowe talerze i puchary poleciały wysoko w powietrze. Rycerze odskoczyli na boki. Malegant legł bez ruchu w stercie porzrzanego jada.

Oliver wskazał Kate palcem i ryknął:

— Zabić go! Zabić!

Okrzyk rozbrzmiał echem w całym holu. Strażnicy przy drzwiach sięgnęli po haki.

Lord Oliver nie czekał. Energicznie ruszył w stronę wyjścia, za nim biegło czterech zbrojnych.

Wszyscy obecni w sali, nie wyłączając służących i kuchcików, zaczęli powtarzać:

— Zabić go!

Kate pognęła biegiem po krokwi ku przeciwległej ścianie. Jedna strzała przeleciała tuż obok niej, druga wbiła się w belkę. Na szczęście łucznicy nie mieli czasu, żeby dobrze wycelować. Po tej stronie także znajdowały się niskie drewniane drzwi. Dopadła ich i z impetem natarła ramieniem, ale otworzyły się lekko. Dała nura w zalegające za nimi ciemności.

Była w tak ciasnej przestrzeni, że gdy się wyprostowała, uderzyła głową o sklepienie. Uzmysłowała sobie, że znalazła się w północnym końcu wielkiego holu, a to oznaczało, iż nie ma tu żadnych innych pomieszczeń. Mur na wprost powinien być zewnętrzną ścianą zamku, a więc...

Po omacku pchnęła kamienne sklepienie i odchyliła klapę. Szybko wdrapała się na dach i zsunęła ostrożnie na okap nad dziedzińcem.

Widać stąd było jak na dłoni wojska prowadzące oblężenie. Płonące strzały przelatywały łukiem ponad murami i spadały na gród pod nią. Łucznicy na blankach w pośpiechu mierzyli do atakujących. Z bombard wycelowanych w równię odpalano wielkie żelazne strzały. Kanonierami kierował Robert de Kere. Krążył między działami i wykrzykiwał rozkazy. Na szczęście nie patrzył w tę stronę.

Kate przykucnęła, zakryła dłonią ucho i cicho zawołała:

— Chris?

De Kere odwrócił się gwałtownie i uniósł rękę do głowy. Zaczął się rozglądać po murach obronnych i dziedzińcu. To on miał odbiornik!

Nagle ją zauważył. Rozpoznał natychmiast. Pobiegnęła na skraj budowli.

— Kate? — odpowiedział Chris. — Jestem tu, na dole.

Schylając głowę przed ognistymi pociskami, wybiegł na dziedzińiec i popatrzył w górę. Natychmiast dostrzegł ją na krawędzi dachu. Pomachał ręką, ale chyba nie zauważyła tego w zapadającym zmroku.

— ..ważaj, to... — wyłowił poprzez serię głośnych trzasków. Spojrzał w drugą stronę. Zobaczył lorda Olivera, który w towarzystwie czterech zbrojnych pojawił się w drzwiach zamku. Skręcili w kierunku stojącego na uboczu przysadzistego budynku, zapewne arsenału.

Chris ruszył za nim. Nagle u jego stóp wylądowała ognista kula i potoczyła się pod ścianę. Popatrzył ze zdumieniem na odciętą ludzką głowę. Przez płomień widać było szeroko rozwarłe oczy i rozdziawione usta. Rozszedł się swąd palonego mięsa, zaskwierczał tłuszcz. Biegający żołnierz odtrącił ją kopniakiem, jakby to była piłka.

Płonąca strzała otarła się o ramię Chrisa, pozostawiając na rękawie smugę żółtych płomyków. Poczul ostrą woń smoły, żar przeniknął przez tkaninę, ogień buchnął w twarz. Rzucił się na ziemię i zaczął trzeć ramieniem o bruk, lecz niewiele to pomogło. Uklęknął, sztyletem porozcinał rzemienie dubletu, zdjął go i odrzucił. Drobne kropelki smoły tliły się jeszcze na rękawie koszuli. Zebrał garść piachu i zaczął nim pocierać rękę.

Wreszcie zdołał stłumić ogień.

— Słyszysz mnie, Andre? — zawołał. — Idę do was.

Nie było odpowiedzi.

Zaniepokojony ruszył w kierunku drzwi arsenału. Niespodziewanie wyłonił się z nich lord Oliver. Za nim szli Marek i profesor, żołnierze popychali ich czubkami mieczy. Chrisowi serce zabiło mocniej. Miał przeczucie, że tym razem Oliver każe ich zabić.

— Kate?

— Słucham.

— Widzę ich.

— Gdzie?

— Kierują się do bocznego wejścia.

Chciał iść za nimi, gdy uzmysłowił sobie, że nie ma żadnej broni. Rozejrzał się. Kilka metrów dalej leżał twarzą do ziemi martwy żołnierz, z jego pleców sterczała płonąca strzała. Szybko podbiegł i wyjął miecz z ręki trupa:

— Chris! — usłyszał przez radio.

To był męski, nieznany mu głos. Rozejrzał się po dziedzińcu, ale wokół niego przebiegali tylko zaaferowani obrońcy; w kilku miejscach buchały płomienie, strzały ze świstem rozcinały powietrze.

— Tu jestem, Chris. — Głos brzmiał łagodnie, miękko.

Hughes zauważył mężczyznę na murze. Stał nieruchomo niczym posąg i spoglądał w jego stronę. Wyglądało na to, że w ogóle nie interesuje go tocząca się dookoła walka. To był Robert de Kere.

— Już się domyślasz, na czym mi najbardziej zależy, Chris?

Nie odpowiedział. Zacisnął palce na rękojeści miecza, nerwowo ważąc go w dłoni. De Kere spostrzegł to i zachichotał.

— Czyżbyś zamierzał ze mną walczyć? — spytał. Nagle ruszył w jego kierunku.

Hughes zaczerpnął głęboko powietrza. Nie mógł się zdecydować, czy powinien się bronić, czy uciekać. Niespodziewanie otworzyły się kamienne drzwi, którymi wcześniej wyszedł z sekretnego korytarza, i na dziedziniec wybiegł rycerz w zbroi.

— W imię Boga i Arcykapłana Arnauta! — ryknął.

Był bez hełmu, Chris od razu rozpoznał przystojnego Raimondo. Za nim zaczęli się wysypywać żołnierze w zielono-czarnych strojach i błyskawicznie włączyć do walki z ludźmi lorda Olivera.

De Kere przystanął, zaskoczony takim rozwojem wydarzeń. Ktoś chwycił Chrisa od tyłu za gardło i podetknął mu miecz pod nos. Tuż nad jego uchem rozległ się dziki wrzask Arnauta:

— Oliver! Gdzie jest Oliver?!

Hughes pospiesznie wskazał palcem boczne wejście.

— Prowadź!

Zbiegli po spiralnych schodach do podziemi. Arnaut popychał go, dysząc głośno, czerwony z wściekłości. Hughes musiał prawie biec. Kiedy dotarli do końca drugiej sali, tak samo pustej jak pierwsza, z głębi lochu doleciały głosy ludzi. Chris rozpoznał głos profesora.

00.36.02

Na szczycie trójwymiarowego piku widać już było ostre wierzchołki. Kramer spojrzała na ekran i przygryzła wargi.

— W porządku, napełnijmy wszystkie osłony — zdecydowała. — Zobaczmy, czy wytrzymają.

— Dobrze — odparł Gordon z ulgą w głosie.

Sięgnął do przełącznika mikrofonu i zaczął wydawać polecenia technikom w sekcji tranzytowej.

Stern przeniósł wzrok na duży ekran ścienny. Patrzył, jak ludzie podciągają do szklanych zbiorników grube węże strażackie. Po chwili jeden z techników wszedł na drabinę, nakierował wylot węża na otwór i sięgnął do zaworu.

To najlepsze wyjście — powiedział Gordon. — Przekonamy się, czy...

David gwałtownie poderwał się z krzesła.

— Nie! Zaczekajcie z napełnianiem!

— Dlaczego?

— Powstrzymajcie ich!

Kramer spojrzała na niego zdumiona.

— Co się stało? Dlaczego...?

— Powstrzymajcie ich! — powtórzył Stern. Spojrzał na ekran. Technik mowiał jeszcze końcówkę węża. — Niech nie odkręcają wody! Zaczekajcie z tym!

Gordon wydał polecenie przez interkom. Zdziwieni ludzie popatrzyli w ich kierunku. Usłuchali jednak. Technik zszedł z drabiny i położył wąż na wykładzinie.

— Davidzie — odezwał się cicho Gordon. — Myślałem, że...

— Powiedziałem: zaczekajcie z napełnianiem osłon.

— Ale dlaczego?

— Bo woda wypłucze klej.

— Jaki klej?

— Mam pomysł, jak wzmocnić szklane zbiorniki.

— Naprawdę? — zdziwiła się Kramer. — Jak? Gordon odwrócił się do technika przy pulpicie.

— Ile mamy czasu?

— Trzydzieści pięć minut. Popatrzyl z powrotem na Sterna.

— Zostało zaledwie trzydzieści pięć minut, Davidzie. Nie zdążymy.

— Owszem, zdążymy — rzucił Stern. — Tylko teraz trzeba się bardzo pospieszyć.

00.33.09

Kate zbiegła na główny dziedziniec i zaczęła się gorączkowo rozglądać za Hughesem. Nigdzie go nie było.

— Chris?

Nie odpowiedział.

A przecież to on miał ceramiczny marker.

Wszędzie dookoła leżały trupy, niektóre się paliły. Zaczęła im się przyglądać, przestraszona, że Chris także mógł zginąć.

W drugim końcu placu dostrzegła Raimondo. Rozpoznał ją, skłonił się lekko i pozdrowił uniesieniem ręki. Nagle zachwiał się na nogach. W pierwszej chwili pomyślała, że to efekt zafalowania powietrza rozgrzanego od ognia, ale gdy rycerz się odwrócił, dostrzegła, że jego bok jest cały zalany krwią. Ujrzała stojącego za nim człowieka, który zadawał precyzyjne ciosy mieczem między spojenia elementów zbroi. Nie wyprowadzał silniejszych pchnięć, jakby nie zamierzał zabić przeciwnika, tylko go poranić. Raimondo próbował odskoczyć, ale napastnik był szybszy. Zalany krwią rycerz osunął się na kolana. Oprawca stanął nad nim i atakował dalej, a gdy Raimondo padł na ziemię, zaczął raz za razem ciąć w twarz, czoło, nos, usta. Krew tryskała na boki. Przez ogień Kate nie mogła rozpoznać napastnika, złowiła jednak powtarzane przy każdym ciosie słowo:

— Bydlaku! Bydlaku!

Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że oprawca mówi po angielsku. Był nim Robert de Kere.

* * *

Chris szedł za Arnautem w głąb lochu, skąd dolatywały coraz wyraźniejsze głosy. Arcykapłan zbliżył się do ściany i zaczął skradać na palcach. Ostrożnie wyjrzeni zza załomu na kolejną rozległą salę, pośrodku której znajdowała się duża kolistą studnia. Na grubym łańcuchu wisiała nad nią żelazna klatka, a w niej stał profesor. Spoglądał obojętnie na dwóch żołnierzy obracających powoli kołowrót. Klatka opuszczała się powoli w głąb studni. Marek stał dalej, pod ścianą. Miał związane ręce. Pilnowało go dwóch innych zbrojnych.

Lord Oliver przy krawędzi studni uśmiechał się szeroko. Pociągnął łyk wina ze złotego pucharu i wierzchem dłoni otarł brodę.

— Dotrzymam obietnicy, magistrze — powiedział, po czym zwrócił się do żołnierzy przy kołowrocie: Wolniej! Nie tak spieszo!

Na jego widok Arnaut warknął gardłowo niczym rozwścieczony pies i dobył miecza. Obejrzał się na Chrisa i szepnął:

— Ja biorę Olivera, ty bierz resztę.

Jak to resztę? — przemknęło Hughesowi przez głowę. Miał stanąć sam przeciwko czterem żołnierzom? Nie zdążył jednak zaprotestować. Arnaut wyskoczył zza rogu i ryknął na całe gardło:

— Oliver!

Gospodarz, wciąż z pucharem w dłoni, odwrócił się powoli. Wykrzywił usta w grymasie obrzydzenia i mruknął:

— Aha. Wieprz się pojawił.

Cisnął kielich w kąt, dobył miecza i stanął naprzeciwko Arnauta.

Chris pobiegł w stronę żołnierzy przy kołowrocie, nie bardzo wiedząc, co ma robić. Dwaj ludzie pilnujący Marka unieśli broń. Tymczasem Oliver i Arnaut zwarli się z impetem, zadzwoniły miecze, rozległy się głośnie przekleństwa.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Marek podciął nogi jednemu ze strażników i przeciągnął mu dłonią po gardle. Musiał w niej mieć sztylet, bo żołnierz zalał się krwią. Zanim drugi strażnik zdążył się odwrócić, Andre kopnął go w brzuch. Poleciał do tyłu, zwalając z nóg kolegów przy kołowrocie.

Bęben zaczął się szybko obracać. Był zaopatrzony w jakiś mechanizm zapadkowy, oprócz brzęku łańcucha dał się słyszeć głośny, metaliczny łoskot. Klatka z profesorem w środku zniknęła pod posadzką.

Chris dopadł pierwszego żołnierza, który nie zdążył jeszcze odzyskać równo-

wagi. Ciął go mieczem, ale tylko dotkliwie zranił. Pospieszenie zamachnął się po raz drugi i żołnierz zwałił się na ziemię.

Jeden z dwóch pozostałych ruszył na Marka. Andre był skrępowany i nie pozostało mu nic innego, jak robić gwałtowne uniki przed ciosami miecza. Drugi strażnik zdążył się podnieść, by stawić czoło atakującemu. Hughes wyprowadził szerokie cięcie, lecz przeciwnik sparował je bez trudu. Andre zatoczył łuk i trącił go w plecy, a gdy żołnierz się odwrócił, krzyknął:

— Teraz!

Chris pchnął z całej siły i strażnik upadł.

Kołowrót wciąż się obracał. Hughes podbiegł i chciał złapać dźwignię bębna, ale musiał odskoczyć przed atakującym przeciwnikiem. Klatki w studni nie było już widać. Marek wyciągnął ku niemu związane ręce. Chris się zawahał, nie będąc pewnym, czy zdoła trafić w sznur, ale przyjaciel wrzasnął:

— Tnij!

Machnął mieczem, sznur pękł. Ostatni żołnierz rzucił się na niego z furią dzięki zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Ciął go w rękę, nim Chris zdołał odskoczyć.

Ostry ból uświadomił mu, że znalazł się w poważnych kłopotach. Szykował się do sparowania kolejnego cięcia, kiedy nagle przeciwnik zastygł bez ruchu i przerażonym wzrokiem popatrzył na zakrwawiony koniec miecza wystający mu z brzucha. Dopiero gdy nogi się pod nim ugięły, Hughes zauważył, że to Marek pchnął go od tyłu.

Ponownie skoczył do kołowrotu. Ledwo zdołał złapać dźwignię i wyhamować bęben. Klatka była już do połowy zanurzona w mętnej cuchnącej wodzie, nad powierzchnię wystawała jedynie głowa profesora. Jeszcze parę sekund i całkowicie zniknęłaby pod wodą.

Razem z Markiem zaczęli wybierać łańcuch.

— Ile czasu zostało? — spytał Chris.

Andre spojrzał na licznik.

— Dwadzieścia sześć minut.

W odległym mrocznym kącie lochu Arnaut wciąż walczył z Oliverem. Ścierających się rycerzy nie było widać, tylko w ciemności sypały się skry z mieczy.

Klatka wyłoniła się wreszcie nad krawędzią studni. Profesor uśmiechnął się szeroko do Chrisa.

— Byłem pewien, że zdążycie na czas — powiedział.

Czarne, oślizgłe pręty wysuwały im się z palców, toteż niemało wysiłku kosztowało odciągnięcie klatki znad studni. Spływająca z niej lepka cuchnąca maź utworzyła kałużę na kamieniach. Chris poluzował łańcuch windy i w końcu zdołali postawić klatkę na posadzce. Profesor był doszczętnie przemoczony, ale z uśmiechem przyjmował swój powrót z głębi mrocznej otchłani. Hughes chciał

otworzyć drzwi, lecz były zamknięte na masywną żelazną kłódkę wielkości ludzkiej pięści.

— Gdzie klucz? — zapytał, odwracając się do Marka.

— Nie wiem. Leżałem twarzą do ziemi, kiedy zamykali profesora. Nie widziałem, co zrobili z kluczem.

— Profesorze?

Johnston pokręcił głową.

— Nie jestem pewien. Patrzyłem tam. — Ruchem głowy wskazał czeluść studni.

Marek z całej siły uderzył mieczem w kłódkę, aż posypały się iskry. Nie puściła, głównia ją tylko zarysowała.

— To na nic — mruknął Chris. — Musimy znaleźć ten cholerny klucz, Andre.

Marek odwrócił się i zaczął rozglądać po mrocznym lochu.

— Ile mamy czasu? — zapytał Hughes.

— Dwadzieścia pięć minut.

Kręcąc głową, Chris przykucnął obok najbliższego zabitego strażnika i zaczął przeszukiwać zwłoki.

00.21.52

W sali kontrolnej Stern obserwował na monitorze, jak technicy zanurzają powłokę ze sztucznego kauczuku w zbiorniku z klejem i pospiesznie, jeszcze ociekającą gęstym płynem, wpychają do środka szklanego zbiornika. Druga grupa natychmiast wtykała w otwór końcówkę węża, którym włączano sprężone powietrze, i worek zaczynał się szybko rozszerzać. Tylko przez moment można było w nim rozpoznać balon meteorologiczny, bo błyskawicznie zaczynał się rozciągać i ściśle przylegać od środka do grubych szklanych tafli. Wreszcie stawał się półprzezroczysty i dokładnie wypełniał całą przestrzeń osłony. Wtedy zatykano otwór, włączano stoper i rozpoczynano odliczanie czasu tężenia kleju.

— Ile jeszcze? — zapytał David.

Dwadzieścia jeden minut. — Gordon wskazał kolejny szykowany zbiornik. — To prowizorka, ale miejmy nadzieję, że wytrzyma. Stern pokręcił głową.

— Że też wcześniej tego nie skojarzyłem.

— Czego?

— Strzelania — odparł David. — Szukałem odpowiedzi na pytanie: czego chcemy uniknąć? A ona brzmiała: rozerwania się zbiornika ciśnieniowego. Skojarzyłem to ze strzelaniem dętek samochodowych. Nie mogłem zrozumieć, co oznacza takie skojarzenie. W końcu teraz już się nie stosuje dętek w kołach samochodów. W oponach są specjalne powłoki z elastycznego tworzywa, które samoczynnie się zakleszczają w razie przekłucia. — Westchnął. — Pewnie dlatego

tak długo trwało, zanim sobie uzmysłowiłem, że i tu możemy stworzyć elastyczną powłokę wewnątrz zbiornika.

— Ale ta się sama nie zakleszczy, gdyby nastąpiło pęknięcie — powiedziała Kramer.

— Owszem, lecz balony powinny wystarczająco wzmocnić szklane tafle, aby wytrzymały ciśnienie wody — wtrącił Gordon.

— Zgadza, się — przyznał Stern.

Technicy zakończyli napełnianie powietrzem ostatni balon. Czekali teraz, aż klej się utwardzi. Gordon spojrzął na zegarek.

— Jeszcze trzy minuty.

— Ile czasu potrwa napełnianie zbiorników?

— Po sześć minut na każdy. Będziemy łać wodę do dwóch naraz. Kramer westchnęła głośno.

— To razem osiemnaście minut. Pozostaje bardzo mała rezerwa.

— Zdamy uciął Gordon. Puścimy wodę maksymalnym strumieniem.

— Nie boisz się, że to jeszcze bardziej osłabi zbiorniki?

— Może i osłabi, ale musimy zaryzykować.

Popatrzyła na monitor kontrolny. Pik był szeroki i rozmyty, ale miał ostre wyraźne wierzchołki.

— Dlaczego kształt pików się zmienia?

— Niemożliwe — mruknął Gordon, nie patrząc na nią.

— Naprawdę się zmienia. Wyraźnie maleje.

Gordon cofnął się, pochylił przed ekranem i zmarszczył brwi. Z czterech wierzchołków zrobiły się trzy, następnie tylko dwa, ale zaraz znów rozdzieliły się na cztery.

— To funkcja probabilistyczna — odparł. — Amplituda zaburzeń pola odzwierciedla jedynie prawdopodobieństwo wystąpienia zjawiska.

— Możesz to przełożyć na ludzki język?

Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w ekran.

— Tam się dzieje coś cholernie niedobrego mruknął w końcu — co stale zmienia prawdopodobieństwo powrotu wyprawy.

00.15.02

Chris pocił się z wysiłku. Postępując, obrócił ciało na wznak i podjął mozolne przeszukiwanie zabitego. Strażnicy mieli na sobie długie do kolan kasztanowo-szare płaszcze, a pod spodem grube, pikowane lniane koszule, pełne rozmaitych kieszeni. Sprawdzenie wszystkich trwało bardzo długo, chociaż klucz nie mógł zostać schowany głęboko. Sądząc po rozmiarach kłódki, musiał być masywny, z kutego żelaza, co najmniej kilkunastocentymetrowej długości.

Nigdzie go jednak nie było, ani przy pierwszym zabitym żołnierzu, ani przy drugim. Zaklął pod nosem i wstał.

W głębi lochu Arnaut wciąż walczył z Oliverem, dolatywał stamtąd głośny, rytmiczny szcęk mieczy. Marek chodził wzdłuż ścian i trzymając nisko pochodnię, zaglądał we wszystkie kąty sali. On także nie mógł nigdzie znaleźć klucza.

Chris miał wrażenie, że w jego mózgu coraz głośniej tyka zegar. Rozglądał się gorączkowo. Zdał sobie sprawę, że klucz może być niemal wszędzie, wisieć na jakimś haku na ścianie albo w uchwycie na pochodnie. Zawrócił do windy i zajrzał pod kołowrót. Od razu go zauważył.

— Mam! — krzyknął, podnosząc wielki żelazny klucz.

Marek obejrzał się i szybko popatrzył na wskaźnik czasu. Chris podbiegł do klatki i wetknął klucz w otwór kłódki. Nie dał się jednak obrócić. Pomyślał najpierw, iż mechanizm się zaciął od mulistej wody, ale po trzydziestu sekundach wysiłków doszedł do wniosku, że to nie ten klucz. Z wściekłością cisnął go pod ścianę i popatrzył na profesora spoglądającego smętnie zza prętów klatki.

— Przepraszam — mruknął. — Naprawdę strasznie mi przykro.

Johnston jak zwykle przyjmował porażkę ze stoickim spokojem.

— Właśnie próbowałem sobie wszystko dokładnie przypomnieć — powiedział.

— I co?

— Chyba Oliver ma klucz. To on mnie zamykał. Wydaje mi się, że nikomu go nie oddał.

— Oliver?

Walczący rycerze pojawili się na skraju oświetlonej przestrzeni. Widać było wyraźnie, że gospodarz stawia coraz słabszy opór. Arnaut był lepszym szermierzem, a w dodatku Oliver miał trochę w czubie. Arcykapłan, uśmiechając się coraz szerzej, zdołał go w końcu zepchnąć z powrotem nad brzeg studni. Ciężko dyszący, zlany potem Oliver oparł się o ramę kołowrotu i bezsilnie opuścił broń.

Arnaut przytknął mu czubek miecza do krtani.

— Litości — jęknął Oliver. — Błagam o litość.

Było jasne, że nie ma na co liczyć. Cervole pchnął go nieco mocniej w gardło, aż gospodarz zacharczał.

— Lordzie Arnaut, potrzebny nam klucz od klatki — odezwał się Marek.

— Co? Klucz? Jaki klucz?

Ociekający potem Oliver uśmiechnął się ironicznie.

— Tylko ja wiem, gdzie on jest.

Arnaut dźgnął go mieczem.

— To gadaj.

Oliver pokręcił głową.

— Nigdy.

— Gadaj! — powtórzył Arcykapłan. — Jak powiesz, daruję ci życie.

— Certes?
— Nie jestem zdrażliwym, dwulicowym Anglikiem — wycodził Arnaut. — Słowo francuskiego szlachcica, że jeśli oddasz klucz, to cię nie zabiję.
Oliver milczał przez chwilę.
— Dobrze.
Odrzucił miecz, sięgnął pod połę kaftana i wyciągnął wielki żelazny klucz. Marek wyrwał mu go z dłoni. Kasztelan popatrzył na Arnauta.
— Zali można zaufać twemu słowu?
— Zapewne. Nie zabiję cię. . . — Podszedł bliżej i sięgnął ręką do jego kolan.
— . . . ale cię wykąpie.
Błyskawicznie poderwał mu nogi w górę i Oliver z wrzaskiem poleciał w głąb studni. Wpadł do cuchnącej wody, zaraz się jednak wynurzył i podpłynął do ściany. Zaczął wodzić rękoma po kamieniach, szukając jakiegoś punktu podparcia. Ale gładka cembrowina była pokryta śliskim czarnym szlamem. Nie miał się czego złapać. Zaczął zagarniać wodę ramionami, żeby się utrzymać w pozycji pionowej. Zadarł głowę i popatrzył na Arnauta.
— Dobrze pływasz? — zapytał Arcykapłan.
— Bardzo dobrze, ty synu francuskiej świni.
— Doskonale. W takim razie nie utoniesz zbyt szybko.
Arnaut wyprostował się i sztywno skinął głową w kierunku Chrisa i Marka.
— Jestem waszym dłużnikiem. Niech Bóg obdarzy was swą łaską do końca waszych dni — rzekł i ruszył energicznie do wyjścia. Jego kroki szybko ucichły na schodach.
Marek otworzył kłódkę i wypuścił profesora.
— Jak stoimy z czasem? — spytał Johnston.
— Jedenaście minut.
Pobiegli w stronę schodów. Marek wyraźnie utykał, ledwie za nimi nadażał. Z głębi studni doleciał głośniejszy chłupot, a chwilę później przeciągły wrzask:
— Arnaut! Arnaut!
Głos Olivera odbił się echem po całym lochu.

00.09.04

Na wielkich monitorach w sali kontrolnej widać było, jak technicy pośpiesznie napełniają osłony wodą. Na razie zbiorniki wytrzymały. Nikt jednak nie zwracał na nie baczniejszej uwagi, wszyscy wpatrywali się z napięciem w generowany przez komputer, lekko migoczący trójwymiarowy wykres funkcji prawdopodobieństwa. Przez ostatnie dziesięć minut pik systematycznie malał, aż prawie zupełnie zniknął. Na powierzchni szeroko rozlanego garbka tylko sporadycznie pojawiały się chwilowe ostrzejsze wierzchołki.

Wszyscy obserwowali to w milczeniu.

Wreszcie pik jakby zaczął znowu rosnąć, na jego szczycie znów ukazały się nie znikające, wyraźniejsze czubki.

— Chyba coś się dzieje — mruknęła Kramer z nadzieją w głosie.

Gordon pokręcił głową.

— Nie. To raczej tylko przypadkowe fluktuacje.

— Wydaje mi się, że powoli narastają.

Stern nie robił sobie żadnych złudzeń. Gordon miał rację, zmiany kształtu pikę nosiły wyraźnie przypadkowy charakter, jego wierzchołki nadal były niestabilne.

— Wygląda na to, że mają tam poważne kłopoty — dodał ponuro Gordon.

00.05.30

Mimo płomieni ogarniających już prawie cały główny dziedziniec Kate zauważyła ich, gdy tylko pojawili się w drzwiach. Pobiegnęła w tamtą stronę. Wyglądało na to, że nic się nikomu nie stało. Profesor skinął głową na jej widok. Wszyscy ruszyli przez dziedziniec.

— Masz marker? — zwróciła się do Chrisa.

— Tak, mam. — Wyjął kostkę z kieszeni i obrócił przyciskiem do góry.

— Tu nie możemy przywołać maszyn — wtrącił Johnston. — Za mało miejsca.

— Chyba wystarczy... — zaczął Hughes.

— Nie. Zapomniałeś, że potrzeba dwóch metrów wolnej przestrzeni z każdej strony?

Wszędzie dookoła paliły się ognie.

— Nigdzie na dziedzińcu nie ma tyle miejsca — powiedział Marek.

— Musimy się wydostać na dziedziniec zewnętrzny — rzekł profesor. Kate popatrzyła w kierunku odległej o czterdzieści metrów bramy. Brama była podniesiona, brama wyglądała na nie strzeżoną. Widocznie obrońcy walczyli jeszcze z ludźmi Arnauta, którzy wtargnęli na teren grodu.

— Ile mamy czasu?

— Pięć minut.

— W porządku. Zdążymy — rzucił Johnston.

* * *

Ruszyli truchtem w tamtym kierunku, okrążając płomienie i przeskakując nad ciałami zabitych. Profesor i Kate biegli przodem, Marek, który krzywił się wyraźnie z bólu, nieco z tyłu, a Chris, martwiący się o przyjaciela, na końcu.

Kate pierwsza dotarła do bramy. Nigdzie nie było straży. Bez kłopotów dała nura pod uniesioną broną i wypadła na średni dziedziniec.

— Och, nie — jęknęła.

Przed barakami, w których stacjonowały wojska lorda Olivera, panował nieopisany zamęt. Kręciły się dziesiątki rycerzy w zbrojach, pachołkowie biegali tam i z powrotem, pokrzykiwali do łuczników na blankach, roznosili broń i żywność.

— Tu też za mało miejsca — rzekł profesor. — Musimy przejść następną bramę i wydostać się z zamku.

— Za fosę? — zdziwiła się Kate. — Nie jestem pewna, czy przejdziemy nawet przez ten dziedziniec.

Dogonił ich zadyszany Marek. Rzucił okiem na cizbę i powiedział:

— Parkan.

— Masz rację. — Profesor pokiwał głową, wskazując schody prowadzące na zewnętrzny mur. — Idziemy na parkan.

Był to rodzaj zadaszonego krużganka ciągnącego się wzdłuż murów obronnych, który zapewniał osłonę łucznikom strzelającym do wojsk oblężniczych. Mieli nadzieję, że przedostaną się tamtędy na przeciwległy koniec dziedzińca, w pobliże wieży bramnej.

— A gdzie jest Chris? — zapytał Andre. Obejrzał się na główny dziedziniec. Hughesa nigdzie nie było.

* * *

Kiedy Chris podążał za utykającym przyjacielem, zastanawiając się, czy dałby radę go ponieść, nagle został szarpnięty w bok. Poleciał twarzą na ścianę. Tuż nad uchem usłyszał szept:

— Nie tak szybko, koleś! Ty zostajesz!

Czubek miecza wbił mu się w plecy.

Ostrożnie obrócił głowę i spojrzał na Roberta de Kere'a. Rycerz chwycił go za kołnierz i pchnął z całej siły na sąsiedni mur. Chris spostrzegł z niepokojem, że to zewnętrzna ściana arsenału. Przy tyłu ogniach płonących na dziedzińcu nie było to najlepsze miejsce.

De Kere chyba nie zwrócił na to uwagi. Uśmiechnął się ironicznie.

— Mówiąc szczerze — mruknął — żaden z was, bydlaków, nigdzie się stąd nie ruszy.

— Niby dlaczego? — bąknął Hughes, nerwowo zerkając na wymierzony w siebie miecz.

— Bo to ty masz marker, koleś.

— Nieprawda.

— Zapomniałeś, że mogę odbierać wasze rozmowy przez radio? — De Kere wyciągnął rękę. — Dawaj go.

Znów chwycił Chrisa za kołnierz i pchnął do środka. Hughes omal się nie przewrócił w progu. W obszernej sali nikogo nie było. Na półkach leżały sterty płóciennych woreczków z prochem. Na posadzce stały gliniane misy, w których ucierano węgiel z siarką i saletrą.

— Ten wasz pieprzony profesor — rzucił de Kere, wskazując misy. — Wydaje mi się, że wszystkie rozumy pozjadał. Dawaj ten marker!

Chris wsunął dłoń pod koszulę i wymacał etui. Zniecierpliwiony de Kere strzelił palcami.

— Szybciej, bo cię zaszlachtuję na miejscu!

— Zaraz...

— Wszyscy jesteście tacy jak Doniger. Wiesz, co mi powtarzał? Nie martw się, Rob, już pracujemy nad nową techniką, dzięki której zlikwidujemy u ciebie wszelkie skazy. Każdemu świecił w oczy tą nową techniką, co wszystko załatwi. Ale nawet nie zarządził żadnych badań. W ogóle nie zamierzał wydawać na nie forsy. Po prostu, jak zawsze. Spójrz na moją cholerną mordę. — Musnął palcami głęboką szramę przecinającą policzek. — Boli jak diabli. Mam też coś ze stawami, bo mnie w nich łamie. No i w bebechach mi się coś przewraca, także boli. — Ponownie wyciągnął rękę. — No, dawaj ten marker. Szybko.

Chris zacisnął palce na pojemniku. Zastanawiał się, czy na taką odległość gaz paraliżujący zadziała. De Kere trzymał go na długość miecza. Nie było jednak innego wyjścia.

Wstrzymał oddech i prysnął mu w twarz. De Kere kichnął, bardziej poirytowany niż zaskoczony, i zbliżył się na krok.

— Idioto! warknął. — Myślałeś, że to ci coś da? Że to dobry pomysł? Patrzcie, jaki spryciarz!

Dźgnął go mieczem w brzuch. Przestraszony Chris odskoczył do tyłu.

— Powiniennem cię za to rozciąć na pół i pokazać ci twoje własne flaki.

Zamachnął się szeroko, Hughes kucnął błyskawicznie. A jednak jest jakiś skutek, pomyślał. Prysnął mu w twarz po raz drugi, z bliska, i odskoczył w bok. Miecz z brzękiem trafił w posadzkę, wysypał się proch z przewróconej misy.

De Kere zachwiał się, ale wciąż stał dość pewnie na nogach. Chris zaaplikował mu trzecią dawkę, lecz i ta niewiele pomogła. Znowu musiał uskoczyć przed mieczem, który ze świstem rozciął powietrze. Spóźnił się trochę i poczuł piekący ból w prawym ramieniu, powyżej łokcia. Pojemnik ciśnieniowy wysunął mu się z dłoni.

De Kere uśmiechnął się szeroko.

— Tutaj takie sztuczki nie skutkują — mruknął. — Jesteśmy w realnym świecie, a to prawdziwy miecz. Tylko patrz, koleś, jak to się robi.

Groźnie uniósł miecz. Jeszcze chwiał się trochę na nogach, ale szybko odzyskiwał siły. Chris znów zrobił unik i skoczył w głąb arsenału. Głównia przecięła kilka woreczków z prochem, wzbijając w powietrze chmurę szarego pyłu. Cofnął się jeszcze o krok, zawadził o coś piętą i spojrzął w dół. Chciał odtrącić miś kopniakiem, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Spostrzegł, że jej zawartość to nie proch, lecz brunatna mazista substancja, od której biła dusząca, ostra woń. Rozpoznał ją natychmiast, podobnie cuchnęło wapno w warsztacie garbarskim.

A to mogło oznaczać jedno: była to mieszanka zapalająca nazwana przez profesora „ogniem automatycznym”.

Schylił się i szybko podniósł miś z podłogi.

De Kere przystanął.

Musiał wiedzieć, co jest w środku.

Chris zawahał się tylko na moment, cisnął miś w głowę napastnika. Ten chciał się uchylić, ale dostał w pierś. Brunatna masa zachlapała mu twarz, pociekła po ubraniu.

Ryknął wściekle.

Hughes potrzebował teraz wody. Rozejrzał się gorączkowo, ale nigdzie jej nie było. De Kere osaczył go w samym rogu pomieszczenia. Uśmiechnął się i zapytał: — Co? Nie ma wody? Tym gorzej dla ciebie, spryciarzu.

Uniósł miecz poziomo przed siebie i ruszył jak do szarży z kopią. Chris oparł się plecami o kamienną ścianę i pomyślał z żalem, że to już koniec. Pocieszające było tylko to, że reszta jego przyjaciół uszła z życiem.

Spoglądał na zbliżającego się powoli, pewnego siebie de Kere'a. Czuł już nieprzyjemny zapach bijący mu z ust, mógł mu napluć w twarz. . .

Napluć!

Bez wahania splunął na niego, tyle że nie w twarz, lecz na ubranie. De Kere prychnął pogardliwie, jakby chciał mu okazać, że nawet pluć dobrze nie potrafi. Tymczasem żywiczna pasta na jego piersi zaczęła syczeć i dymić.

Spojrzał w dół z przerażeniem w oczach.

Chris szybko splunął po raz drugi i trzeci.

Syczenie przybrało na sile, pojawiły się pierwsze wątle smużki dymu. Lada moment mieszanka zapalająca mogła się zająć płomieniem. De Kere w panice przeciągnął dłonią po ubraniu, lecz jedynie bardziej rozmazał pastę, która zaczęła także syczeć i dymić mu na palcach.

— Teraz ty popatrz, koleś, jak to się robi — rzucił Hughes i dał nura w kierunku wyjścia.

Usłyszał za sobą stłumiony huk, oznaczający, że ubranie de Kere'a zajęło się ogniem. Zerknął przez ramię. Rycerz przypominał żywą pochodnię, palił się od pasa w górę. I poprzez płomienie spoglądał za nim rozszerzonymi ze strachu oczyma.

Chris pognał przed siebie wielkimi susami, byle dalej od arsenału.

* * *

Cała grupa stała w bramie, spoglądając w jego kierunku. Zamachał szeroko rękoma, ale nie zrozumieli tego gestu. Stali w samym środku przejścia, czekając na niego.

— Uciekajcie! Uciekajcie! — wrzasnął, pokazując, żeby się schowali za mur.

Marek zrobił krok do przodu. W tej samej chwili płomienie strzeliły z okien arsenału.

— W nogi! — wrzasnął.

Popchnął Johnstona i Kate w głąb średniego dziedzińca.

Kiedy Chris się z nim zrównał, chwycił go za ramię i pociągnął w bok. W tej samej chwili nastąpiła eksplozja. Nad murami wyrósł gigantyczny słup płomieni, wewnętrzny dziedziniec zalał upiorny, oślepiający blask. Fala uderzeniowa runęła przez bramę, przewróciła namioty, ludzi i konie. Wybuchła panika.

— Zapomnijmy o parkanie — rzucił Marek. — Chodźcie.

Utykając, pobiegł wprost przez środek dziedzińca ku głównej bramie zamku.

00.02.22

W sali kontrolnej rozległy się oklaski i wiwaty. Kramer aż podskoczyła z radości. Gordon poklepał Sterna po plecach. Pik na ekranie monitora stał się znacznie wyraźniejszy i ostrzejszy, już nie malał i nie zanikał.

— Wracają szczęśliwie! — wykrzyknęła Diane.

David przeniósł wzrok na monitory ścienne, pokazujące osłony wokół sekcji tranzytowej. Część zbiorników była już wypełniona wodą, szklane tafle na razie wytrzymały ciśnienie. Trwało jeszcze napełnianie ostatnich osłon.

— Ile czasu zostało? — zapytał.

— Dwie minuty dwadzieścia.

— A ile jeszcze potrwa napełnianie?

— Dwie minuty dziesięć. Stern przygryzł wargi.

— Zdamy?

— Bez dwóch zdań — odparł Gordon.

David spojrzął znowu na monitor stanowiska kontrolnego. Amplituda zaburzeń pola stale rosła, spiczaste wierzchołki piku zaczynały się mienić różnymi kolorami. Były jednak stabilne, nie zlewały się i nie znikały.

— Wiadomo już, ile osób wraca? — zapytał.

Zanim jeszcze usłyszał odpowiedź, sam domyślił się prawdy. Na krzywiźnie kopulastego piku pojawiły się wyraźne fałdy.

— Trzy — odparł technik. — Wygląda na to, że tylko trzy.

00.01.44

Brona w bramie była opuszczona, zwodzony most podniesiony. Pięciu zabitych strażników leżało na ziemi. Marek zdołał na tyle podnieść bronę, że wszyscy się pod nią prześliznęli. Musieli jeszcze sforsować most.

— Jak go opuścimy? — zapytał Chris.

Andre popatrzył na łańcuchy znikające w otworach muru.

— Winda musi być na górze. — Wskazał piętro wieży. — Zostańcie. Ja się tym zajmę.

— Tylko wracaj szybko — odparła Kate.

— Spokojnie. Zdążę.

Pobiegł spiralnymi schodami prowadzącymi do niewielkiej sali, w której znajdował się mechanizm windy zwodzonego mostu. Był tam tylko jeden człowiek, siwy starzec — trzęsącymi się rękoma trzymał żelazną sztabę blokującą kołowrót. To jemu powierzono czuwanie nad mostem. Andre pospiesznie odepchnął go i wyciągnął blokadę. Bęben zaczął się obracać, zadzwoniły łańcuchy. Ciężki most wolno powędrował w dół. Marek spojrział na wyświetlacz. Zdziwiło go, że pokazuje zaledwie 00.01.19.

— Andre — odezwał się przez radio Chris. — Chodź już.

— Biegnę.

Marek odwrócił się do wyjścia. W tej samej chwili rozległ się głośny tupot. Zrozumiał, że na szczycie wieży bramnej byli obrońcy, którzy natychmiast rzucili się na dół, aby sprawdzić, kto opuszcza most. Gdyby teraz wybiegł, z pewnością podnieśliby most i zablokowali mechanizm.

Nie było innego wyjścia. Musiał zostać i ich powstrzymać.

* * *

Chris patrzył, jak ciężki most zaczyna się opuszczać. W szczelinie ujrzał nocne rozgwieżdżone niebo.

— Andre — zawołał. — Chodź już.

— Biegną tu strażnicy.

— I co z tego?

— Muszę bronić windy.

— Co takiego?

Marek nie odezwał się więcej. Przez radio doleciał gardłowy jęk i okrzyk bólu. Na górze rozgorzała walka. Chris wpatrywał się w napięciu na opadający most. Przeniósł wzrok na profesora, ale Johnson stał z obojętną miną.

* * *

Andre stanął u wylotu wąskich schodów prowadzących na szczyt wieży. Szybko zabił pierwszego żołnierza, który się na nich pojawił. Równie łatwo poszło mu z drugim. Ich przedśmiertne krzyki musiały powstrzymać resztę obrońców, zyskał więc trochę czasu. Odsunął nogą trupy.

Bęben wciąż się obracał, dzwoniły łańcuchy. Most opadał powoli.

— Andre! Pospiesz się!

Znow zerknął na wyświetlacz, który wskazywał 00.01.04. Została tylko minuta. Wyrzwał przez okno. Jego przyjaciele nie czekali, aż most opadnie do końca. Wdrapali się po belkach i z krawędzi zeskakiwali na ziemię. W zapadającym zmroku ledwie dostrzegał ich sylwetki.

— Andre! — zawołał znowu Chris. — Słyszysz?

Na schodach pojawił się następny żołnierz. Marek podbiegł do niego. Zabrzęczały miecze, posypały się skry. Po krótkiej wymianie ciosów strażnik wycofał się i zaczął okrzykami zachęcać swoich kolegów.

— Biegnij, Andre! — wołał Chris. — Jeszcze zdążysz!

To prawda, mógłby zdążyć, gdyby natychmiast stąd wybiegł. Obrońcy raczej nie daliby rady na tyle podnieść mostu, by nie mógł zeskoczyć z jego krawędzi i dołączyć do grupy. Wiedział, że wszyscy na niego czekają.

Odwrócił się do wyjścia. Jego wzrok padł na skulonego w kącie roztrzęsionego starca. Przyszło mu nagle do głowy, że mógłby zostać w tym świecie. Doskonale wiedział, iż musiałby się zmagać z głodem i chorobami, ciągle ocierać się o śmierć i zabijać, żyłby jednak pełnią życia.

— Andre! Idziesz?

— Nie ma czasu — odpowiedział.

— Andre!

Jeszcze raz wyrzwał przez okno. Równinę pod murami rozjaśniały już rozbłyśki laserowego światła. Przywołali maszyny, szykowali się do powrotu.

* * *

Wszystkie klatki pojawiły się równocześnie. Wokół ich podstaw zawirowały pasma gęstej białej mgły.

— Andre! Chodź tu! — zawołała Kate. Przez chwilę panowała cisza:

— Nie wracam z wami. Zostaję.

— Andre! Nie gadaj bzdur!

— Zostaję.
— Chyba nie mówisz poważnie?
Obejrzała się na profesora. W zamyśleniu pokiwał głową.
— Marzył o tym przez całe życie.
Pochyliła się wolno i wsunęła ceramiczny marker w szczelinę w podłodze.

* * *

Marek obserwował ich z okna wieży.
— Żegnaj, Andre! — rozległo się w słuchawkach.
— Do zobaczenia, Chris.
— Trzymaj się.
— Andre — mruknęła Erickson. — Nie wiem, co powiedzieć.
— Do widzenia, Kate.
— Do widzenia, Andre — odezwał się profesor.
— Do widzenia — odparł Marek.
Przez radio doleciały odtwarzane z taśmy polecenia:
— Proszę się nie ruszać. Stać z otwartymi oczami. Zaczerpnąć głęboko powietrza i wstrzymać oddech... Teraz!
Na równinie pod zamkiem znów rozbłysły lasery. Jeden błysk następował po drugim. Stopniowo słabły, aż wreszcie pochłonęła je ciemność.

Doniger chodził tam i z powrotem po tonącym w półmroku podwyższeniu. Naprzeciwko niego w kabinach siedziało trzech potencjalnych inwestorów. Obserwowali go w milczeniu.

— Wcześniej czy później wrażenie sztuczności dostarczanych rozrywek — mówił — odczuwalne na każdym kroku, każe ludziom poszukiwać autentycznych wrażeń. Właśnie autentyczność stanie się kluczowym hasłem dwudziestego pierwszego wieku. A co jest autentyczne? Wszystko to, co nie jest pod kontrolą wielkich korporacji, co nie zostało sztucznie włożone w struktury nastawione wyłącznie na przynoszenie zysku, co istnieje samo z siebie we własnej, niepowtarzalnej postaci. A co jest najbardziej autentyczne ze wszystkiego? Przeszłość.

Bo przeszłość to świat, który istniał przed nastaniem Walta Disneya czy Iris Murdoch, przed Nissanem, Sony, IBM i całą resztą współtwórców naszej rzeczywistości. Przeszłość istniała przed ich narodzinami, rozwijała się i podupadała bez ich ingerencji. Przeszłość jest rzeczywista, a więc autentyczna.

I to właśnie czyni ją niewiarygodnie atrakcyjną. Tylko przeszłość jest alternatywą dla kształtowanej przez korporacje teraźniejszości.

Co zatem przyciągnie ludzi? To, co już dzisiaj jest wielką atrakcją. Najszybciej rozwijająca się gałąź turystyki, podróże kulturoznawcze. Ludzie nie chcą już zwiedzać świata, wolą odwiedzać inne epoki. Zagłębiają się w labirynty średnio-wiecznych miast otoczonych warownymi murami, poznają buddyjskie świątynie, miasta-piramidy Majów, egipskie nekropolie. Pragną znaleźć się w świecie przeszłości, który zniknął na zawsze.

W dodatku nie chcą być oszukiwani. Nie zależy im na pięknych, starannie wysprzątanym wnętrzach. Żądają autentyczności. A kto może im ją zagwarantować? Jaki będzie znak firmowy żywej przeszłości? ITC.

Chcę państwa zapoznać z naszymi planami rozwoju turystyki kulturoznawczej na całym świecie. Skoncentruję się na jednym obiekcie we Francji, ale dysponujemy też wieloma innymi. W każdym wypadku zabytek pozostaje własnością rządu danego kraju, ale to my jesteśmy właścicielami otaczających go terenów, a to oznacza, że możemy tam zbudować hotele, restauracje i sklepy, stworzyć całą infrastrukturę turystyczną. Nie wspomnę już o albumach, filmach wideo, przewodnikach, strojach regionalnych, zabawkach i tak dalej. Jeśli za wstęp do obiektu turyści będą płacili tylko dziesięć dolarów, to w naszej bazie będą musieli wydać pięćset. Wszystko pozostanie pod naszą kontrolą. — Uśmiechnął się. — Oczywiście po to, aby dostarczyć ludziom satysfakcji.

Za nim na ekranie wyświetlił się wykres.

— Szacujemy, że każdy nasz obiekt przyniesie ponad dwa miliardy dolarów rocznego zysku, odliczając koszty reklamy. Szacujemy też, że w drugim dziesięcioleciu realizacji projektu całkowity roczny zysk firmy przekroczy sto miliardów dolarów. To jeden z głównych powodów, dla których warto w nas zainwestować.

Drugi powód jest jeszcze ważniejszy. Staniemy się potentatem w dziedzinie turystyki, wyrobimy sobie markę. Takie znaki firmowe istnieją w dziedzinie oprogramowania komputerowego, ale nie ma ich w historii. A przecież historia jest najpotężniejszym intelektualnym narzędziem, jakim dysponuje ludzkość. Powiedzmy sobie szczerze. Historia to nie tylko nudny zapis minionych dziejów ani też pole do popisu wyłącznie dla naukowców rozmiłowanych w bezproduktywnych dyskusjach. Głównym zadaniem historii jest tłumaczenie teraźniejszości, wyjaśnianie, dlaczego otaczający nas świat jest taki, a nie inny. Historia mówi nam, co jest ważne w naszym świecie i dlaczego nabrało takiej wagi. Mówi też, co należy ignorować, a co odrzucać. To prawdziwa potęga, do tego potęga absolutna, bo definiująca kształt całej cywilizacji.

Nasza przyszłość leży w przeszłości, a więc w rękach tego, kto przeszłość kontroluje. Dotąd jakkolwiek kontrola nie była możliwa. Teraz już jest. ITC pragnie służyć swoim klientom pomocą w kształtowaniu świata, w którym wszyscy żyjemy, pracujemy i tworzymy. To jest główny cel, dla którego, mam nadzieję,

uzyskamy wasze pełne poparcie.

Nie było żadnego aplauzu, odpowiedziała mu całkowita cisza. Ale Doniger nie spodziewał się innej reakcji. Ludzie potrzebowali czasu, aby w pełni pojąć znaczenie jego słów.

— Dziękuję państwu za uwagę — rzekł i zszedł z podwyższenia.

* * *

— Mam nadzieję, że to coś ważnego — warknął. — Nie znoszę, gdy mi się przerywa takie spotkania.

— To bardzo ważne — odparł Gordon.

Szli korytarzem w kierunku sekcji tranzytowej.

— Wrócili?

— Tak. Osłony wytrzymały i wrócili bezpiecznie.

— Kiedy?

— Jakież piętnaście minut temu.

— I co?

— Wiele przeszli. Jedna osoba jest poważnie ranna, wymaga hospitalizacji. Dwie pozostałe odniosły tylko lekkie obrażenia.

— Więc o co chodzi?

Minęli przeszklone drzwi.

— Chcą wiedzieć — rzekł Gordon z ociąganiem — dlaczego nie powiedziałaś im o planach ITC.

— Bo to nie ich sprawa — rzucił ostro Doniger.

— Ryzykowali życie. . .

— Zgłosili się na ochotnika.

— Ale. . .

— Mam ich wszystkich w dupie! Skąd ten cały rwetes? Kogo to obchodzi? Przecież to tylko banda tępych historyków. I tak wszyscy niedługo znajdą się na bruku, chyba że zaczną pracować dla mnie.

Gordon nie odpowiedział, wpatrywał się w coś ponad jego ramieniem. Doniger odwrócił się powoli.

Tuż za nim stał Johnston, nieco dalej dziewczyna z krótko obciętymi włosami, a obok niej Hughes. Wszyscy byli zakrwawieni. Ekran najbliższego monitora pokazywał trzy kabiny w zaciemnionej sali konferencyjnej, puste podwyższenie i trzech inwestorów zbierających się właśnie do wyjścia. Słyszeli jego wypowiedź, a przynajmniej ostatnie słowa.

— No cóż... — Doniger uśmiechnął się niespodziewanie. — Bardzo się cieszę, że wróciliście.

— My też się cieszymy — odparł Johnston sucho. Przez chwilę panowała cisza.

Wszyscy wpatrywali się w Donigera.

— Odpieprzcie się ode mnie! — rzucił i spojrzął na Gordona. — Po co mnie tu ściągnąłeś? Tylko dlatego, że państwo historycy są niezadowoleni? Taka jest przyszłość, bez względu na to, czy im się podoba. Nie mam czasu na bzdury. Czekają na mnie bardzo ważne sprawy.

Gordon uniósł trzymany w ręku cylindryczny pojemnik.

— Wiele dyskutowaliśmy na ten temat, Bob — odparł — i doszliśmy do wniosku, że firmie przydałby się prezes o bardziej umiarkowanych poglądach.

Coś głośno syknęło. Doniger poczuł ostry zapach podobny do woni eteru.

Kiedy się ocknął, otaczał go basowy szum i zgrzyt wyginanego metalu. Znajdował się wewnątrz maszyny. Od razu spostrzegł całą grupę. Spoglądali na niego zza szklanych osłon. Wiedział, że jest już za późno, aby wyjść z klatki.

— Nic wam z tego nie przyjdzie! — zawołał.

Rozbłyśły lasery, oślepił go niebieskawy blask. Sekcja tranzytowa zaczęła szybko rosnać w miarę kurczenia się maszyny. Usłyszał charakterystyczne trzeszczenie piany i runął w otchłań. Pisk dartego metalu stał się nie do zniesienia. Zamknął oczy, wyczekując na ten ostatni moment.

Otoczyła go ciemność.

Zaraz jednak usłyszał świergot ptaków. Rozejrzał się. Ponad nim ciągnął się czysty klarowny błękit pogodnego nieba. Nie wylądował więc pod Wezuwuszem. Otaczający go las nie przypominał prastarej puszczy, więc nie mógł być także w okolicach Tokio. Ptaki szczebiotały radośnie, a słońce grzało. Nie była to też Syberia.

Gdzie ja jestem, do cholery? — pomyślał.

Maszyna stała nieco pochylona, dalej na lewo teren wyraźnie opadał. Między grubymi pniami drzew prześwitywała otwarta przestrzeń. Wyszedł z klatki i ruszył w dół zbocza. Gdzieś z oddali doleciał dudniący rytm wybijany na bębnie.

Wyszedł na skraj lasu i popatrzył na ufortyfikowane miasto. Znaczną jego część przesłaniały dymy licznych pożarów, lecz mimo to rozpoznał je od razu. Do diabła, to Castelgard! Też wymyślili! Nie mieli mnie gdzie wysłać, tylko właśnie tu!

Oczywiście musiał to być pomysł Gordona, który wziął sobie do serca brednie zawiedzionych naukowców. Ten sukinsyn kierował pracami nad skonstruowaniem maszyn i teraz doszedł do wniosku, że mógłby pokierować całą firmą. To Gordon wyprawił go w przeszłość, myśląc zapewne, że nie zdoła stąd wrócić.

Ale jego nie tak łatwo przechytryć. Nie musiał się niczym martwić, zawsze nosił przy sobie ceramiczną kostkę markera. Trzymał ją ukrytą w obcasie buta. Ściągnął go szybko i zajrzał do schowka. Kostka była na miejscu. Chciał ją wyjąć, ale zaklinowała się w głębi wycięcia. Potrząsnął energicznie butem. Bez skutku. Próbował podważyć ją patykiem, lecz szybko złamał cienką gałązkę.

Postanowił oderwać cały obcas, ciągnął z całej siły. Klej trzymał jednak mocno. Potrzebne mu było jakieś metalowe narzędzie, dłuto albo przebijak. Na pewno mógł je znaleźć w mieście.

Włożył but, zdjął marynarkę oraz krawat i poszedł w dół zbocza. Spoglądając na miasto, zwrócił uwagę na kilka zastanawiających szczegółów. Ścieżka wiodła prosto do wschodniej bramy w murach obronnych, która była szeroko otwarta. Dziwne. Nic nie wskazywało, aby trwała wojna, w każdym razie w Castelgard nie toczyły się walki. Więc brama powinna być zamknięta. Rozejrzał się po polach, ale i na nich nie prowadzono żadnych prac. Sprawiały wrażenie zaniedbanych, w wielu miejscach porosły chwastami.

Co się stało, do cholery?

Dotarł do bramy prowadzącej na główną ulicę. Za zwodzonym mostem dostrzegł zwłoki zabitego strażnika. Przystanął, aby mu się dokładniej przyjrzeć. Na twarzy mężczyzny ciemniały smugi krwi biorące początek wokół oczu. Musiał dostać bardzo silne uderzenie w głowę.

Popatrzył na zabudowania Castelgard. Dymy unosiły się znad glinianych garnków rozstawionych w różnych miejscach, w drzwiach domów, przed oknami, na słupkach płotów. Mimo pogodnego, słonecznego dnia ulice świeciły pustkami. Poszedł na rynek, ale i tam nikogo nie było. Skręcił w kierunku, z którego dolatywało chóralne zawołanie mnichów. Znów zadudnił bęben.

Dreszcz przebiegł mu po plecach.

Zza rogu wyszła procesja kilkunastu mnichów w czarnych habitach. Połowa z nich miała opończe zsunięte do pasa. Biczowali się pejcami z cienkich rzemieni nabijanych żelaznymi ćwiekami. Ich plecy i ramiona ociekały krwią.

Biczownicy!

Doniger jęknął głucho i szybko się wycofał. Odprowadził wzrokiem idących wolno zakonników, którzy nawet nie spojrzeli w jego stronę. Bezwiednie cofał się krok za krokiem, aż uderzył plecami o grubą żerdź. Obejrzał się błyskawicznie.

Był to porzucony wóz drabiniasty. Piętrzył się na nim wielki stos łachmanów. Dopiero po chwili Doniger spostrzegł wystającą spod szmat dziecięcą stopkę, a nieco dalej kobiecą dłoń. Dookoła z głośnym bzyčeniem kręciły się roje much, wisiały wielką chmurą nad stosem martwych ciał.

Wzdrygnął się gwałtownie.

Na skórze kobiecej dłoni ciemniały dziwne guzy.

Czarna śmierć.

Wysłano go w rok tysiąc trzysta czterdziesty ósmy, kiedy zaraza spadła na Castelgard i zabrała z tego świata trzecią część mieszkańców miasta. Doniger wiedział, że dżuma jest niezwykle zaraźliwa, przenosi się przez powietrze, mogą ją roznosić nawet muchy. Zabija bardzo szybko. Ludzie, którzy przed minutą czuli się jeszcze nieźle, nagle padają na ulicy, zaczynają kasłać, narzekać na potworny ból głowy i w ciągu godziny umierają.

A on pochylił się nad martwym strażnikiem w bramie, zajrzał mu w twarz.

Odskoczył pod ścianę, ogarnięty nagłym przerażeniem. Powoli osunął się po murze na bruk.

Siedząc na kamieniach, zaniósł się gwałtownym kaszlem.

Epilog

Mglisty angielski krajobraz rozmywał się w deszczu. Wycieraczki ledwie nadszyły zgarniać wodę z szyby. Edward Johnston pochylał się nad kierownicą, usiłując cokolwiek dojrzeć przez ulewę. Droga wiła się między niskimi, zielonymi wzgórzami, których zbocza przecinały ciemniejsze linie ogrodzeń. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się pastwiska. Ostatnie wiejskie zabudowania minęli kilka kilometrów wcześniej.

— Elsie, jesteś pewna, że to ta droga? — zapytał.

Całkowicie. — Siedząca obok Elsie Kastner trzymała na kolanach rozłożoną mapę i wodziła palcem wzdłuż zaznaczonej wcześniej trasy. — Cztery mile za skrzyżowaniem Cheatham Cross, gdzie odchodzi szosa do Bishop's Vale, i miłą w bok od drogi. Powinien być gdzieś tam, po prawej. — Wskazała pobliskie wzgórze z gromadką dębów na szczycie.

— Nic nie widzę — odezwał się z tylnego siedzenia Chris.

— Czy nawiew jest otwarty? — zapytała Kate. — Strasznie tu duszno. Była w siódmym miesiącu ciąży i często miała duszności.

— Tak, otwarty — odparł Johnston.

— Do maksimum?

Chris poklepał ją lekko po kolanie.

Johnston jechał powoli, wypatrując słupków przy drodze. Deszcz zelżał, poprawiła się widoczność. Nagle Elsie zawołała:

— Jest! Tam!

Na szczycie kolejnego wzgórza ujrzeli ciemną bryłę ruin zamku.

— To na pewno ten? — spytał profesor.

— Tak, zamek Eltham. A raczej to, co z niego zostało.

Johnston zatrzymał wóz na poboczu i wyłączył silnik. Elsie sięgnęła po przewodnik.

— Zbudowany w jedenastym wieku — przeczytała — potem wielokrotnie przebudowywany. Większa część ruin pochodzi z wieku dwunastego. Godna uwagi jest typowo angielska gotycka kaplica z czternastego stulecia.

Deszcz prawie ustał, o przednią szybę uderzały tylko pojedyncze krople. Johnston otworzył drzwi, wysiadł i poprawił sobie płaszcz na ramionach. Elsie schowała mapę oraz przewodnik do plastikowej obwoluty i wysiadła z drugiej strony. Chris wyskoczył żwawo, obiegł samochód i otworzył drzwi, żeby pomóc wysiąść Kate. Poszli bitą drogą wzdłuż kamiennego muru w stronę ruin.

Były w znacznie lepszym stanie, niż można by sądzić z daleka. Wysokie kamienne ściany pociemniały od deszczu. Nie zachowały się stropy, nad wszystkimi salami widniało gołe niebo. Nigdzie nie było tablicy informacyjnej, nie mieli nawet pewności, czy to ten zamek, którego szukali. Wreszcie Kate zapytała:

— Gdzie ona jest?

— Kaplica? Gdzieś tam.

Wyszli zza załomu strzelistego muru. Ich oczom ukazała się wyjątkowo dobrze zachowana kaplica z odbudowanym dachem. W wąskich otworach okiennych nie było szyb, nawet ram. Nie było też drzwi.

Wewnątrz wiatr pohukiwał we wszystkich szczelinach. Z sufitu kapłała woda. Johnston zapalił wielką latarkę i omiół strumieniem światła kamienne ściany.

— Jak się dowiedziałas o ruinach tego zamku, Elsie? — zapytał Chris.

— Znalazłam wzmiankę w starych dokumentach z archiwum w Troyes. Zapisano, że bogaty angielski możnowładca, Andrew d'Eltham, u schyłku życia odbył pielgrzymkę do klasztoru Sainte-Mère i złożył hojną darowiznę na jego odbudowę. Wyruszył w podróż z całą rodziną, z żoną i dorastającymi synami.

— Tutaj! — zawołał Johnston, świecąc na podłogę. Wszyscy podeszli bliżej.

Pośrodku kaplicy leżały na posadzce połamane gałęzie i zamokłe od deszczu uschnięte liście. Johnston uklęknął i zaczął je rozgarniać, odsłaniając wpuszczoną w podłogę płytę nagrobną. Chris wstrzymał oddech. Płaskorzeźba przedstawiała kobietę leżącą na wznak, ubraną w długą do kostek suknię. Bez wątplenia była to lady Claire. Została ukazana z otwartymi szeroko oczyma, jakby wpatrywała się w zwiedzających.

— Wciąż tak samo piękna — mruknęła Kate. Stała z rękami opartymi na biodrach, wygięta do tyłu.

— Tak — przyznał Johnston. — Bardzo piękna.

Pospiesznie odgarnął liście z sąsiedniej płyty. Obok Claire został pochowany Andre Marek. Płaskorzeźba na jego płycie także miała oczy szeroko otwarte. Wyglądał nieco starzej, poważniej. Lewy policzek przecinała długa szrama.

— Według starych kronik — ciągnęła Elsie — sir Andrew towarzyszył lady Claire w drodze z Francji do Anglii i tu, nie zważając na plotki, według których miała uśmiercić swojego pierwszego męża, pojął ją za żonę. Bardzo ją kochał. Byli nierozłączni do końca życia. Mieli pięciu synów. W późniejszym wieku stary routier osiadł na swoich włościach i zajął się wychowywaniem wnuków. Na łożu śmierci miał powiedzieć: „Wybrałem dobre życie”, został pochowany w kaplicy zamku Eltham w czerwcu tysiąc trzysta osiemdziesiątego drugiego roku.

— Osiemdziesiątego drugiego — powtórzył Chris. — Przeżył pięćdziesiąt trzy lata.

Johnston odgarnął liście z całej płyty. Ich oczom ukazała się tarcza z rycerskim herbem. Przedstawiał angielskiego lwa stojącego na tylnych łapach na tle francuskich lilii. Wzdłuż obrzeża ciągnął się napis.

— Na tarczy wykuto rodowe motto, tłumaczenie słów Ryszarda Lwie Serce — odczytała Elsie ze swoich dokumentów. — *Mes compaignons cui j amoie et cui j'aim. . . Me di, chanson.* — Urwała na chwilę. — To znaczy: „Towarzyszom, których kochałem i których wciąż Kocham. . . Powiedz to, moja pieśni”.

Przez dłuższy czas w milczeniu wpatrywali się w wizerunek Andre Marka. Johnston delikatnie musnął palcami wykutą w kamieniu twarz i powiedział:

— No cóż, w każdym razie wiemy, co go spotkało.

— Sądzicie, że naprawdę tak uważał? — spytał Chris, wskazując napis na tarczy. — Myślicie, że był szczęśliwy?

— Tak — odparł Johnston.

Pomyślał jednak, że mimo miłości, jaką Marek żywił do średniowiecza, zawsze musiał się czuć choć trochę nieswojo. Ostatecznie był w tamtym świecie kimś obcym, przybyszem z innej epoki.

Wiatr uderzył silniej, kilka liści poderwało się z podłogi. Powietrze w kaplicy było przesiąknięte wilgocią.

— Ciekaw jestem, czy o nas myślał — przerwał ciszę Chris, spoglądając na wykutą w kamieniu twarz przyjaciela. — Czy kiedykolwiek mu nas brakowało?

— Z pewnością — odparł profesor. — A tobie jego nigdy nie brakuje?

Chris przytaknął ruchem głowy. Kate pociągnęła nosem.

— Bo mnie tak — dodał ciszej Johnston.

Wyszli z kaplicy i w milczeniu ruszyli z powrotem do samochodu. Deszcz całkiem ustał, ale niebo było zaciągnięte ciężkimi, ciemnymi chmurami, wiszącymi nisko nad szczytami wzgórz.

Posłowie

Nasze spojrzenie na średniowiecze zmieniło się diametralnie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Wciąż jeszcze można usłyszeć naukowców mówiących z przekonaniem o „ciemnych wiekach”, ale większość specjalistów dawno odrzuciła wszelkie uproszczenia. Epoka, uważana niegdyś za zacofaną i brutalną, obecnie jest postrzegana jako okres dynamicznych zmian, rozkwitu nauki, powstawania szkół i uniwersytetów, gwałtownego rozwoju techniki i burzliwych przemian społecznych, rozkwitu handlu międzynarodowego — czasy, w których przemoc, mimo że była zjawiskiem powszechnym, nie zbierała tak śmiertelnego żniwa jak obecnie. Wprawdzie kronikarskie zapisy ukazują średniowiecze jako epokę ciemnoty, prześladowań religijnych i masowych rzezi, ale wnikliwy obserwator musi dojść do wniosku, że nie jesteśmy ani trochę lepsi od naszych przodków.

Pogląd, jakoby średniowiecze było mroczną epoką, rozpowszechnił się w okresie renesansu. Ówczesni orędownicy nowego stylu życia szerzyli swe idee nawet wbrew faktom historycznym. Trudno było wykazać mylność takiego poglądu, ponieważ idealnie pasował do hołubionej przez wszystkich tezy, że ludzkość nieustannie się rozwija, dążąc do lepszego życia. A przecież ta właśnie teza jest czczą fantazją. Niełatwo jednak uwierzyć, że rewolucja naukowo-techniczna niewiele nas odmieniła.

Jeszcze słowo na temat podróży w czasie. To prawda, że w kilku laboratoriach na świecie zademonstrowano już kwantową teleportację. Ale praktyczne zastosowania tego zjawiska pozostają domeną przyszłości. Pomysły przedstawiane w powieści zostały oparte między innymi na spekulacjach Davida Deutscha, Kipa Thorne’a, Paula Nahina i Charlesa Bennetta. Fabuła książki zapewne ich rozbawi, ale przecież nie należy jej traktować poważnie. To tylko fikcja literacka. Podróże w czasie nadal pozostają wytworem fantazji.

Natomiast obraz codziennego życia w średniowieczu ma solidne podstawy naukowe. W tym zakresie dużo zawdzięczam publikacjom wielu badaczy. Odpowiedzialność za wszelkie błędy ponoszę ja, a nie autorzy prac, z których korzystałem.

Bardzo dziękuję Catherine Kanner za ilustracje oraz Brantowi Gordonowi za komputerowe szkice architektoniczne.

Na koniec pragnę złożyć szczególne podziękowania historykowi Bartowi Vrankenowi za jego bezcenne uwagi oraz pomoc w zwiedzeniu mało znanych, pozostających w zapomnieniu ruin francuskiego Perigordu.

MICHAEL CRICHTON

Autor powieści *Jurassic Park* i *Zaginiony świat*, największych przebojów książkowych i filmowych lat 90.!

Sława autora osiągnęła niespotykane w historii literatury rozmiary, według magazynu „Forbes” Michael Crichton jest najlepiej zarabiającym pisarzem świata.
„*Publishers Weekly*”

Michael Crichton — doktor Harvard Medical School, reżyser i pisarz — zdobył światowy rozgłos pierwszą książką „*Andromeda*” *znaczy śmierć*, która została sfilmowana. Zapoczątkował nią nowy gatunek powieści — technothriller. Udoskonalił go w książkach *Człowiek terminal*, *Kongo*, *Kula*, a przede wszystkim *Jurassic Park* i *Zaginiony świat*, sfilmowanych przez Stevena Spielberga. Zekranizowano również klasyczne powieści sensacyjne *Wielki skok na pociąg* i *Wschodzące słońce*, a także *System* (film *W sieci* z Demi Moore i Michaeliem Douglassem). Prawa do ekranizacji powieści *Norton N22* sprzedano Disney Studios za rekordową sumę 10 milionów dolarów. Książka *Zjadacze umarłych* została przeniesiona na ekran jako *Trzynasty wojownik* z Antonio Banderasem. Najnowszy przebój *Linia czasu* od grudnia 1999 roku zajmuje 1 miejsce na listach bestsellerów. Rewelacyjna powieść wydana w USA w nakładzie 1 500 000 egzemplarzy powtarza w Stanach Zjednoczonych bezprecedensowy sukces superbestsellera *Jurassic Park*.

LINIA CZASU

Prawa do ekranizacji kupione przez wytwórnię Paramount.

Właściciel wielkiej firmy komputerowej realizuje odwieczne marzenie ludzkości: konstruuje prototyp maszyny czasu. Zamierza zbić fortunę na czymś, czego jeszcze nie było — turystycznych podróżyach w przeszłość. W południowej Francji tworzy średniowieczny park rozrywki. Główną atrakcją ma być wizyta w wieku XIV, w czasach krwawej wojny stuletniej. Ale czy linię czasu można przekraczać bezkarnie?

*Oscar za najlepsze efekty specjalne!
Na pewno niedługo usłyszemy te słowa!
„Publishers Weekly”*

*Myślisz, że wszystko na tym świecie zostało już wyjaśnione
i nie ma nic nowego pod słońcem?
Przeczytaj najnowszą książkę Crichtona!
„Kirkus Reviews”*